Henryk Sienkiewicz

Pan Wołodyjowski

Książka dostępna na stronie Bryk.pl

Wstęp

Po wojnie węgierskiej, po której odbył się ślub pana Andrzeja Kmicica z panną Aleksandrą Billewiczówną, miał także wstąpić w związki małżeńskie z panną Anną Borzobohatą Krasieńską równie sławny i zasłużony w Rzeczypospolitej kawaler — pan Jerzy Michał Wołodyjowski, pułkownik chorągwi laudańskiej.

Ale przyszły znaczne mitręgi, które sprawę opóźniły i przewlokły. Panna Borzobohata była wychowanicą księżnej Jeremiowej Wiśniowieckiej, bez której pozwolenia żadną miarą na wesele zgodzić się nie chciała, musiał więc pan Michał pannę w Wodoktach z powodu niespokojnych czasów zostawić, a sam do Zamościa po pozwolenie i błogosławieństwo jechać.

Lecz nie świeciła mu pomyślna gwiazda, gdyż księżnej w Zamościu nie zastał, która dla edukacji syna do Wiednia na dwór cesarski się udała.

Wytrwały rycerz podążył za nią i do Wiednia, choć mu to siła czasu zabrało. Tam załatwiwszy szczęśliwie sprawy, z dobrą otuchą do ojczyzny powracał.

Czasy, wróciwszy, zastał niespokojne; wojsko do związku szło, na Ukrainie bunty trwały — od wschodniej ściany nie gasł pożar. Zaciągano nowe wojska, aby choć jako tako granice osłonić.

Zanim więc pan Michał z powrotem do Warszawy dojechał, zastał listy zapowiednie na jego imię z ramienia wojewody ruskiego wydane. Uważając zaś, że ojczyzna zawsze przed prywatą iść powinna, myśli o prędkim weselu poniechał, a na Ukrainę ruszył. Kilka lat w tamtych stronach wojował mając zaledwie sposobną porę list od czasu do czasu do utęsknionej panienki posłać, żyjąc w ogniu, w niewypowiedzianych trudach i pracy.

Potem do Krymu posłował; potem przyszła nieszczęśliwa, domowa, z panem Lubomirskim wojna, w której po stronie królewskiej przeciw bezecnikowi onemu i zdrajcy walczył; potem pod panem Sobieskim znów na Ukrainę ruszył.

Rosła stąd sława jego imieniowi tak znaczna, że go powszechnie za pierwszego żołnierza Rzeczypospolitej uważano, ale lata płynęły mu w trosce, wzdychaniach, utęsknieniu.

Aż nadszedł wreszcie rok 1668, w którym z rozkazu pana kasztelana na wypoczynek odesłan, z początkiem lata po miłą pannę pojechał i zabrawszy takową z Wodoktów, do Krakowa dążył.

Księżna Gryzelda bowiem, która już była wróciła z krajów cesarskich, tam go na wesele zapraszała, sama ofiarując się być matką panience.

Kmicicowie zostali we Wodoktach nie spodziewając się rychłej od Wołodyjowskiego wiadomości i zupełnie nowym gościem, który się do Wodoktów obiecywał, zajęci. Albowiem aż do tej pory Opatrzność odmówiła im dzieci; teraz miała nastąpić szczęśliwa a zgodna z ich pragnieniami odmiana.

Był to nadzwyczaj urodzajny rok. Zboża wydały plon tak obfity, że gumna pomieścić go nie mogły, i cały kraj, jak szeroki i długi, okrył się stertami. W okolicach, opustoszałych przez wojnę, młody bór urósł jednej wiosny tak znacznie, jak w innych czasach i przez dwa lata uróść by nie zdołał. Była obfitość zwierza i grzybów w lasach, ryb w wodach, jakby ta niezwyczajna płodność ziemi udzieliła się wszystkim istotom na niej zamieszkałym.

Przyjaciele Wołodyjowskiego wyprowadzali stąd pomyślne i dla jego ożenku wróżby, ale owóż losy postanowiły inaczej.

Rozdział I

Pewnego pięknego dnia jesienią siedział sobie pod cienistym dachem letnika pan Andrzej Kmicic i popijając miód poobiedni, spoglądał przez obrosłe dzikim chmielem kraty na żonę, która przechadzała się pięknie ugniecioną ulicą przed letnikiem.

Niewiasta była urodziwa nad miarę, jasnowłosa, o pogodnej, nieledwie anielskiej twarzy.

Chodziła z wolna i ostrożnie, bo było w niej pełno powagi i błogosławieństwa.

Pan Andrzej Kmicic patrzył na nią okrutnie rozkochany. Gdzie się ruszyła, tam wzrok jego zwracał się za nią z takim przywiązaniem, z jakim pies wodzi oczyma za panem. Chwilami zaś uśmiechał się, bo był z jej widoku rad bardzo, i wąsa do góry podkręcał.

A wówczas pojawiał się w jego twarzy pewien wyraz wesołego hultajstwa. Znać żołnierz był z przyrodzenia krotofilny i za kawalerskich lat musiał moc figlów napłatać.

Ciszę w sadzie przerywały tylko odgłosy spadających na ziemię przejrzałych owoców i brzęczenie owadów. Pogoda ustaliła się cudnie. Był to początek września. Słońce nie prażyło już za mocno, ale rzucało jeszcze obfite złote blaski. W blaskach owych lśniły się czerwone jabłka wśród szarych liści siedzące tak obficie, że drzewa zdawały się być nimi oblepione. Gałęzie śliw gięły się pod owocem okrytym siwym woskiem. Pierwsze

zapowiednie nitki pajęczyny, pouczepiane do drzew, chwiały się wraz z leciuchnym powiewem, tak lekkim, iż nie szeleścił nawet liśćmi.

Może i owa pogoda na świecie napawała tak pana Kmicica wesołością, bo oblicze rozjaśniało mu się coraz więcej. Wreszcie pociągnął miodu i rzekł do żony:

— Oleńka, a pójdź ino tu! Coś ci rzeknę.

— Byle nie coś takiego, czego nierada słucham.

— Jak mi Bóg miły, nie! Daj ucho!

To rzekłszy objął ją wpół, przysunął wąsy do jej jasnych włosów i szepnął:

— Jeśli będzie chłop, to niech mu będzie Michał.

Ona zaś odwróciła twarz nieco zapłonioną i odszepnęła mu z kolei:

— A obiecałeś się nie przeciwiać, żeby był Herakliusz?

— Bo widzisz, dla Wołodyjowskiego...

— Zali nie pierwsza pamięć dziada?

— I mego dobrodzieja... Hm! prawda... Ale drugiemu będzie Michał! Nie może inaczej być!

Tu Oleńka wstawszy próbowała się uwolnić z rąk pana Andrzeja Kmicica, ale on, przygarnąwszy ją jeszcze silniej do siebie, począł całować po ustach, po oczach, powtarzając przy tym:

— A mój ty krociu, mój tysiącu, moje ty kochanie najmilsze!

Dalszą rozmowę przerwał im pachołek, który ukazał się na końcu ulicy i szedł spiesznie ku letnikowi.

— Czego chcesz? — spytał Kmicic puszczając żonę.

— Pan Charłamp przyjechał i czeka na pokojach — odrzekł pachoł.

— A owóż i on sam! — zawołał Kmicic na widok męża zbliżającego się ku altanie. — Dla Boga, jakże mu wąsy posiwiały! Witaj, towarzyszu miły! Witaj, stary kompanionie!

To rzekłszy wypadł z altany i biegł naprzeciw pana Charłampa z roztworzonymi rękoma.

Ale pan Charłamp skłonił się naprzód nisko Oleńce, którą za dawnych czasów na kiejdańskim dworze u księcia wojewody wileńskiego widywał, następnie przycisnął jej dłoń do swoich niezmiernych wąsów, za czym dopiero rzuciwszy się w objęcia Kmicica zaślochał na jego ramieniu.

— Dla Boga, co waści jest? — zawołał zdumiony gospodarz.

— Jednemu Bóg przysporzył szczęścia — odrzekł Charłamp — a drugiemu umknął. Smutku zaś mojego powody samemu tylko waszmości opowiedzieć mogę.

Tu spojrzał na panią Andrzejową, ona zaś domyśliwszy się, że przy niej nie chce mówić, rzekła do męża:

— Przyślę waszmościom miodu, a teraz ich samych zostawuję…

Kmicic pociągnął pana Charłampa do letnika i usadowiwszy go na ławie, zawołał:

— Coć jest? Pomocy ci trzeba? Liczże na mnie jako na Zawiszę!

— Nic mi nie jest — odpowiedział stary żołnierz — żadnej też pomocy nie potrzebuję, póki tą oto ręką i tą szablą ruchać mogę; ale nasz przyjaciel, najgodniejszy w Rzeczypospolitej kawaler, w srogim strapieniu, nie wiem, czyli dycha jeszcze.

— Na rany Chrystusa! Wołodyjowskiemu się coś przygodziło?

— Tak jest! — odrzecze Charłamp, nowe strumienie łez wypuszczając. — Dowiedz się waszmość, że panna Anna Borzobohata ten oto padół opuściła.

— Zmarła! — krzyknął Kmicic chwytając się obiema rękoma za głowę.

— Jako ptak grotem ugodzon.

Nastała chwila milczenia; tylko jabłka spadające biły tu i owdzie ciężko w ziemię; tylko pan Charłamp sapał coraz głośniej, płacz hamując. Kmicic zaś załamał ręce i powtarzał kiwając głową:

— Miły Boże! Miły Boże! Miły Boże!

— Waszmość się nie dziw moim śluzom — rzekł wreszcie Charłamp — bo jeśli waści na samą wieść tylko o przygodzie dolor nieznośnie serce ściska, cóż dopiero mnie, którym patrzył i na jej konanie, i na jego boleść przechodzącą miarę przyrodzoną.

Tu wszedł sługa z gąsiorkiem na tacy i drugą szklenicą, a za nim pani Andrzejowa, która przecie ciekawości pokonać nie mogła.

Spojrzawszy teraz w twarz męża i widząc w niej głębokie strapienie rzekła zaraz:

— Co to za wieści waszmość przywiózł? Nie oddalajcieże mnie. Będę was ile się godzi pocieszać albo zapłaczę z wami, albo radą jakowąś posłużę…

— Już i w twojej głowie rady się na to nie znajdzie — odrzekł pan Andrzej. — Ale boję się, żebyś z żalu na zdrowiu szwanku nie poniosła.

A ona na to:

— Siła ja wytrzymać umiem. Gorzej żyć w niepewności…

— Anusia zmarła! — rzekł Kmicic.

Oleńka przybladła trochę i opuściła się ciężko na ławkę; myślał Kmicic, że omdleje, ale żal wziął w niej górę nad nagłością wieści i płakać poczęła, a obaj rycerze zawtórowali jej zaraz.

— Oleńka — rzekł wreszcie Kmicic pragnąc myśl żony w inną stronę skierować — zali ty nie myślisz, że ona w raju?

— Nie nad nią ja, jeno za nią płaczę i nad pana Michałowym sieroctwem, bo co do jej szczęśliwości wiekuistej, chciałabym mieć dla siebie taką nadzieję zbawienia, jaką mam dla niej. Nie było nad nią zacniejszej panienki, lepszego serca, poczciwszej! Oj, moja Anulka! Moja Anulka kochana!...

— Widziałem jej śmierć — rzekł Charłamp — nie daj Boże nikomu mniej pobożnej.

Tu nastało milczenie, aż gdy im nieco żalu łzami spłynęło, ozwał się Kmicic:

— Powiadaj waszmość, jako to było, miodem w najżałośniejszych miejscach przepijając.

— Dziękuję — odrzekł Charłamp. — Od czasu do czasu przepiję, jeśli waszmość do mnie przepijesz, bo ból nie tylko za serce, ale i za gardziel jako wilk chwyta, a gdy chwyci, to bez jakowegoś ratunku zgoła zadławić może. Było tak. Jechałem z Częstochowy w rodzinne strony, by spokoju na stare lata zażyć i na dzierżawie zasiąść. Dość mi już wojny, bom ją wyrostkiem praktykować począł, a teraz mam już wiechy siwe. Chyba żebym całkiem wysiedzieć nie mógł, to jeszcze pod jaką chorągiew ruszę; aleć owe związki wojskowe z krzywdą ojczyzny, a na pociechę nieprzyjaciół erygowane i owe domowe wojny do reszty mi Bellonę zbrzydziły... Miły Boże! Pelikan krwią dzieci karmi, prawda! Ale tej ojczyźnie już i krwi w piersiach nie staje. Świderski był wielki żołnierz... Niech go tam Bóg sądzi!...

— Moja Anulu najmilsza! — przerwała z płaczem pani Kmicicowa — toć żeby nie ty, co by się ze mną i z nami wszystkimi stało?... Ucieczką mi była i obroną! Moja Anulu kochana!

Słysząc to Charłamp ryknął znowu, ale na krótko, bo mu Kmicic przerwał pytaniem:

— A Wołodyjowskiego gdzieś waść spotkał?

— Wołodyjowskiego spotkałem takoż w Częstochowie, gdzie oboje spoczynek umyślili, bo się tam po drodze ofiarowali. Zaraz mi powiedział, jako z narzeczoną z waszych stron do Krakowa jedzie, do księżnej Gryzeldy Wiśniowieckiej, bez której pozwolenia i błogosławieństwa panna żadną miarą ślubu wziąść nie chciała. Dziewczyna była jeszcze wonczas zdrowa, a on wesół jak ptak. „Ot — powiada — dał mi Pan Bóg za moją pracę nagrodę!” Chełpił się też Wołodyjowski (Boże go pociesz) niemało i dworował ze mnie, że tośmy się, widzicie waszmość państwo, o tę pannę czasu swego wadzili i mieliśmy się siekać. Gdzie ona teraz, nieboga?

Tu ryknął znowu pan Charłamp, ale na krótko, bo Kmicic znów mu przerwał:

— Mówisz waszmość, że ona była zdrowa? Skąd jej tak nagle przyszło?

— Że nagle, to nagle. Mieszkała u pani Marcinowej Zamoyskiej, która naonczas z mężem w Częstochowie bawiła. Wołodyjowski cały dzień u niej przesiadywał, trochę na mitręgę narzekał i mówił, że chyba za rok do Krakowa dojadą, bo ich wszyscy po drodze zatrzymują. I nie dziwota! Takiego żołnierza jak pan Wołodyjowski każdy rad ugościć, a kto złapie, to trzyma. Mnie też do panny prowadzał i groził śmiejąc się, że usiecze, gdybym ją rozamorował... Ale ona za nim świata nie widziała. Mnie też istotnie ckliwo się czasem czyniło, że to człek na starość jako ćwiek w ścianie. Nic to! Aż pewnej nocy wpada do mnie Wołodyjowski w konfuzji wielkiej. „Na Boga! Nie wiesz gdzie jakiego medyka?" — „Co się stało?" — „Chora świata nie poznaje!" Pytam, kiedy zachorowała, powiada, że dopiero co dali mu znać od pani Zamoyskiej. A tu noc! Gdzie szukać medyka, kiedy tam jeno klasztor cały, a w mieście więcej jeszcze zgliszczów niż ludzi. Wynalazłem wreszcie felczera, a i to nie chciał iść! Musiałem go obuszkiem przygnać na samo miejsce. Ale tam już był ksiądz potrzebniejszy niż felczer; jakoż zastaliśmy godnego paulina, któren modlitwą ją do przytomności przyprowadził, tak że mogła sakramenta przyjąć i z panem Michałem czule się pożegnać. Na drugi dzień z południa już było po niej! Felczer mówił, że jej kto musiał coś zadać, luboć to niepodobna, bo w Częstochowie czary się nie chwytają. Ale co się z panem Wołodyjowskim działo, co wygadywał, tego ufam, że mu Pan Jezus nie zakarbuje, bo człek się ze słowami nie liczy, gdy go boleść targa... Ot, mówię waszmości — tu pan Charłamp zniżył głos — bluźnił w zapamiętaniu!

— Dla Boga! Bluźnił? — powtórzył cicho Kmicic.

— Wypadł od jej ciała na sień, z sieni na podwórzec i taczał się jak pijany. Tam pięści do góry podniósłszy począł okropnym głosem wołać: „Takaż mi nagroda za moje rany, za moje trudy, za moję krew, za moję dla ojczyzny przychylność?!..." „Jedno jagnię (powiada) miałem, i to mi, Panie, zabrałeś. Zbrojnego męża (powiada) powalić, któren w hardości po ziemi stąpa, godna (powiada) boskiej ręki sprawa, ale gołębia niewinnego potrafi zadusić i kot, i jastrząb, i kania!... i..."

— Na rany boskie! — zakrzyknęła pani Andrzejowa — nie powtarzaj waść, bo nieszczęście na dom ściągniesz!

Charłamp przeżegnał się i dalej mówił:

— Myślało żołnierzysko, że się dosłużyło, a ot mu nagroda! Ha! Bóg najlepiej wie, co robi, choć tego ni rozumem ludzkim pojąć, ni sprawiedliwością ludzką odmierzyć! Zaraz tedy po onych bluźnierstwach stężał i na ziemię upadł, a ksiądz nad nim

egzorcyzma odprawował, żeby sprośne duchy w niego nie wstąpiły, które mogły na bluźnierstwa się zwabić.

— Prędkoże przyszedł do siebie?

— Z godzinę leżał jak nieżywy, potem zasie się ocknął i wróciwszy do swojej kwatery nikogo widzieć nie chciał. W czasie pogrzebu przemówiłem do niego: „Panie Michale (powiadam) miej Boga w sercu!” On nic! Trzy dni siedziałem jeszcze w Częstochowie, bo mi go żal było odjeżdżać, alem na próżno we drzwi kołatał. Nie chciał mnie! Biłem się z myślami, co czynić, czy tentować dłużej u drzwi, czy jechać?... Jakże tak człeka bez nijakiej pociechy zostawić? Wszelako poznawszy, że nic nie wskóram, postanowiłem jechać do Skrzetuskiego. On przecie najlepszy jego przyjaciel, a pan Zagłoba drugi; może mu jako do serca trafią, a zwłaszcza pan Zagłoba, któren jest człowiek bystry i wie, jak do kogo przemówić.

— I byłeś waść u Skrzetuskich?

— Byłem, ale i tu Bóg nie pofortunił, bo oboje z panem Zagłobą wyjechali w Kaliskie, do pana Stanisława, rotmistrza. Nie umiał nikt powiedzieć, kiedy wrócą. Wówczas ja sobie pomyślałem: i tak mi droga na Żmudź, wstąpię do waćpaństwa dobrodziejstwa i opowiem, co się stało.

— Wiedziałem to dawno, że godny z waści kawaler — rzekł Kmicic.

— Nie o mnie tu chodzi, jeno o Wołodyjowskiego — odparł Charłamp — i przyznam się waćpaństwu, że się wielce o niego obawiam, aby umysł mu się nie pomieszał...

— Bóg go od tego ochroni — rzekła pani Andrzejowa.

— Jeśli go uchroni, to pewnikiem habit wdzieje, bo powiadam waćpaństwu, że takiej żałości, jakom żyw, nie widziałem... A szkoda żołnierza! Szkoda!

— Jak to szkoda? To chwały bożej przybędzie! — ozwała się znów Kmicicowa.

Charłamp począł wąsami ruszać i trzeć czoło.

— Owóż, mościa dobrodziko... albo przybędzie, albo i nie przybędzie. Policzcie no waćpaństwo, ilu to on pogan i heretyków w życiu zgładził, czym pewnie więcej Zbawiciela naszego i jego Najświętszą Matkę udelektował niż niejeden ksiądz kazaniami. Hm! Rzecz namysłu godna! Każdy niech służy chwale bożej, jak najlepiej umie... Owóż, widzicie państwo, między jezuitami znajdzie się zawsze siła od niego mądrzejszych, a takiej drugiej szabli w Rzeczypospolitej nie masz...

— Prawda jest, jak mi Bóg miły! — ozwał się Kmicic. — Nie wiesz waszmość, czyli on został w Częstochowie, czy pojechał?

— Był do chwili mego wyjazdu. Co potem uczynił, nie wiem. Wiem jeno, że broń Boże zapamiętania, broń Boże choroby, która często z desperacją idzie w parze, sam on tam będzie, bez pomocy, bez krewnego, bez przyjaciela, bez pociechy.

— Niechże cię Najświętsza Panna w cudownym miejscu ratuje, wierny przyjacielu! — zawołał nagle Kmicic — któryś mi tyle wyświadczył, że i brat nie uczyniłby więcej!

Pani Andrzejowa zamyśliła się głęboko i długi czas trwało milczenie, na koniec podniosła swą jasną głowę i rzekła:

— Jędrek, czy ty pamiętasz, ileśmy mu winni?

— Jeśli zapomnę, to od psa oczu pożyczę, bo swoimi nie będę śmiał na uczciwego człeka spojrzeć!

— Jędrek, ty go nie możesz tak ostawić.

— Jakże to?

— Jedź do niego.

— Oto zacne białogłowskie serce, oto zacna pani! — zawołał Charłamp chwytając ręce Kmicicowej i pokrywając je pocałunkami.

Ale Kmicicowi nie w smak była rada, więc począł głową kręcić i rzekł:

— Ja bym dla niego na koniec świata pojechał, ale... sama wiesz... żebyś to była zdrowa, nie mówię... ale sama wiesz! Broń Boże strachu jakiego, jakiej przygody... Usechłbym z niespokojności... Żona pierwsza niż najlepszy przyjaciel... Pana Michała mi żal ale... sama wiesz!...

— Ja się pod opieką laudańskich ojców zostanę. Teraz tu spokojnie, nie byle czego też się ulęknę. Bez woli bożej włos mi nie spadnie... A tam pan Michał ratunku może potrzebuje...

— Oj, potrzebuje! — wtrącił Charłamp.

— Słyszysz, Jędrek. Ja zdrowa. Krzywda mnie od nikogo nie spotka... Wiem ja, że ci niesporo odjeżdżać...

— Wolałbym na armaty z kociubą iść! — przerwał Kmicic.

— Zali to myślisz, że jak ostaniesz, nie będzie ci gorzko, ilekroć pomyślisz: przyjacielam zaniechał! A jeszcze i Pan Bóg w gniewie słusznym łatwo błogosławieństwa może umknąć!

— Sęk mi w głowę wbijasz. Powiadasz, że może błogosławieństwa umknąć? Tego się boję!

— Taki przyjaciel jak pan Michał, toż to święty obowiązek go ratować!

— Jać Michała kocham całym sercem. Trudno!... Kiedy trzeba, to rychło trzeba, bo tu każda godzina znaczy! Zaraz do stajen idę... Przez Bóg żywy, czy już nie ma innej rady? Licho tamtych nadało w Kaliskie jechać! Toć mi nie o siebie chodzi, ale o ciebie, krociu najmilszy! Wolałbym majętności stracić niż bez ciebie jeden dzień dychać. Kto by mi powiedział, że nie dla służby publicznej ciebie odjadę, to bym mu rękojeść po krzyżyk w gębę wsadził. Obowiązek — mówisz? Niechże będzie! Kiep, kto się ogląda! Żeby dla kogo innego, nie dla Michała, nigdy bym tego nie uczynił!

Tu zwrócił się do Charłampa:

— Mości panie, proszę ze mną do stajen, konie opatrzym. A ty, Oleńka, każ mi łuby pakować. Niech tam który z laudańskich omłotu pilnuje... Panie Charłamp, choć ze dwie niedziele musisz waćpan u nas posiedzieć, żony mi dopilnujesz. Może też się tu w okolicy jaka dzierżawa znajdzie. Bierz Lubicz! Co? Chodź waćpan do stajni! Za godzinę ruszam! Kiedy trzeba, to trzeba!...

Rozdział II

Jakoż dobrze jeszcze przed zachodem słońca ruszył rycerz, żegnany przez żonę łzami i krzyżem, w którym drzazgi świętego drzewa kunsztownie w złoto były osadzone. A że z dawnych lat bardzo był pan Kmicic do nagłych pochodów nawykły, więc ruszywszy gnał, jakby chodziło o doścignięcie umykających z łupem Tatarów.

Dobrawszy się do Wilna, jechał na Grodno, Białystok, a stamtąd do Siedlec się przebierał. Przejeżdżając przez Łuków dowiedział się, że państwo Skrzetuscy z dziećmi i panem Zagłobą dniem przedtem powrócili właśnie z Kaliskiego, więc postanowił do nich wstąpić, bo z kimże mógł nad ratowaniem Wołodyjowskiego skuteczniej się naradzić?

Przyjęli go tedy ze zdziwieniem i radością, która jednak zaraz w ciężki płacz się zmieniła, gdy im cel swego przybycia oznajmił.

Pan Zagłoba cały dzień uspokoić się nie mógł i nad stawem wciąż płakał tak rzewnie, że jak sam później powiadał: aż staw wezbrał i stawidła trzeba było otwierać. Ale wypłakawszy się poszedł po rozum do głowy i oto co mówił na naradzie:

— Jan nie może jechać, bo do kapturu obran, spraw zaś będzie siła, jako że po tylu wojnach pełno jest duchów niespokojnych. Z tego, co jegomość pan Kmicic powiada, widać, że bociany na zimę w Wodoktach zostaną, bo je tam do inwentarza roboczego policzono i funkcję spełnić muszą. Nie dziwota, że przy takim gospodarstwie niesporo

waćpanu wyruszać w drogę, zwłaszcza że nie wiadomo, jak długo ona może potrwać. Wielkiegoś serca dowiódł, żeś wyjechał, ale mamli szczerze radzić, toć powiem: wracaj, gdyż tam bliższego jeszcze konfidenta potrzeba, który by do serca nie brał, choćby go i ofuknięto, i widzieć nie chciano. Patientia tam potrzebna i doświadczenie wielkie, a waszmość masz tylko przyjaźń dla Michała, która w takowym wypadku non sufficit. Nie gniewaj się jeno waść, bo sam przyznać musisz, żeśmy obaj z Janem dawniejsi przyjaciele i więcejśmy razem przygód przebyli. Miły Boże! Ileż to razy on mnie, a ja jego w opresji ratowałem!

— Gdybym się też zrzekł funkcji deputata? — przerwał Skrzetuski.

— Janie, to służba publiczna! — odparł surowo Zagłoba.

— Bóg widzi — mówił strapiony Skrzetuski — że stryjecznego mego, Stanisława, miłuję szczerym braterskim afektem, ale Michał bliższy mi niż brat.

— Mnie on i od rodzonego bliższy, tym bardziej że rodzonego nigdy nie miałem. Nie czas się o afekta spierać! Widzisz, Janie, żeby to nieszczęście świeżo w Michała uderzyło, może sam bym ci powiedział: daj katu kaptur i jedź! Ale policzmy, ile to już czasu upłynęło, nim Charłamp z Częstochowy na Żmudź zdążył, a pan Andrzej ze Żmudzi do nas. Teraz nie tylko trzeba do Michała jechać, ale przy nim zostać, nie tylko z nim płakać, ale perswadować; nie tylko mu Ukrzyżowanego jako przykład pokazywać, ale uciesznymi krotochwilami myśl i serce rozweselić. Ot, wiecie, kto powinien jechać? — Ja! I pojadę! Tak mi dopomóż Bóg! Znajdę go w Częstochowie, to go tu przywiozę; nie znajdę, to choćby na Multany za nim się powlokę i póty go szukać nie przestanę, póki o własnej mocy szczyptę tabaki sobie do nozdrzech podnieść zdołam.

Usłyszawszy to dwaj rycerze poczęli brać w objęcia pana Zagłobę, a on się rozczulił nieco i nad pana Michała nieszczęściem, i nad własnymi przyszłymi fatygami. Przeto łzy ronić począł, a wreszcie, gdy już miał uścisków dość, rzekł:

— Jeno mi za Michała nie dziękujcie, boście mu nie bliżsi ode mnie!

Na to Kmicic:

— Nie za Wołodyjowskiego my dziękujemy, ale żelazne lub też zgoła nieczłowiecze serce musiałby mieć ten, kto by się tą gotowością waćpana nie wzruszył, która w przyjacielskiej potrzebie na fatygi nie dba i na wiek względu nie ma. Inni w tym wieku o przypiecku ciepłym jeno myślą, a waćpan tak sobie o długiej drodze mówisz, jakbyś moje albo pana Skrzetuskiego miał lata.

Pan Zagłoba nie ukrywał wprawdzie swych lat, ale nie lubił w ogóle, aby przy nim o starości jako o towarzyszce niedołęstwa wspominano; więc choć miał oczy jeszcze czerwone, spojrzał bystro z pewnym niezadowoleniem na Kmicica i odparł:

— Mój mospanie! Kiedym siedmdziesiąty siódmy rok począł, ckliwo mi jakoś było na sercu, że to dwie siekiery nad karkiem wisiały; ale gdy mi ośmdziesiąty minął, taki duch we mnie wstąpił, że jeszcze mi żeniaczka po głowie chodziła. I widzielibyśmy, kto by z nas pierwszy miał się z czym pochwalić!

— Jać się nie chwalę, ale waszmości bym pochwały nie poskąpił.

— I pewnie bym waćpana skonfundował, jakom pana hetmana Potockiego w obliczu króla skonfundował, któren gdy mi do wieku przytyki dawał, wyzwałem go: kto więcej kozłów od razu machnie. I cóż się pokazało? Oto pan Rewera machnął trzy i hajducy musieli go podnosić, bo sam wstać nie mógł, a ja go naokolusieńko objechałem, mało trzydzieści pięć razy fiknąwszy. Spytaj się Skrzetuskiego, który na własne oczy na to patrzył.

Skrzetuski wiedział, że od pewnego czasu pan Zagłoba miał zwyczaj na niego się we wszystkim jako na naocznego świadka powoływać; więc ani okiem nie mrugnął, jeno o Wołodyjowskim znów mówić począł.

Zagłoba, pogrążywszy się w milczeniu, zamyślił się o czymś głęboko; na koniec po wieczerzy wpadł w lepszy humor i tak ozwał się do towarzyszów:

— Powiem wam to, w co by nie każdy rozum umiał ugodzić. Oto mam w Bogu nadzieję, że nasz Michał wyliże się łatwiej z tego postrzału, niż nam się na początku zdało.

— Dałby Bóg, ale skądże to waszmości do głowy przyszło? — pytał Kmicic.

— Hm! Tu trzeba i bystrego dowcipu, który z przyrodzenia jest dany, i eksperiencji wielkiej, której w waszych latach mieć nie możecie, i znajomości Michała. Każden ma inną naturę. W jednego, owo, tak nieszczęście uderzy, jakobyś, figuraliter mówiąc, kamień w rzekę wrzucił. Nibyć to woda po wierzchu tacite płynie, a przecie on tam na dnie leży, a bieg przyrodzony hamuje, a zawadza, a tak okrutnie rozdziera, i będzie leżał, będzie rozdzierał, póki wszystka woda do Styksu nie spłynie! Ty, Janie, do takich zaliczon być możesz; ale takim gorzej na świecie, bo w nich i boleść, i pamięć nie mija. Inny zasię, eo modo klęskę przyjmie, jakobyś go pięścią w kark huknął. Zamroczy go zrazu, potem przyjdzie do siebie, a gdy się siniec zgoi, to i zapomni. Oj, lepsza taka natura na tym pełnym przygód świecie.

Słuchali rycerze ze skupieniem mądrych słów pana Zagłoby, a on rad widział, że go z taką uwagą słuchają, i dalej mówił:

— Ja Michała na wskroś przeznałem i Bóg mi świadkiem, że nie chcę mu tu przymawiać, ale tak mi się widzi, że on więcej ożenku niż onej dziewczyny żałował. Nic to, że desperacja chwyciła go okrutna, boć i to nieszczęście, zwłaszcza dla niego, nad nieszczęściami. Nie wyimaginujecie sobie nawet, jaką ten chłop miał ochotę do ożenku. Nie masz w nim chciwości żadnej ni ambicji, ni prywaty; swojego odbieżał, fortunę tak dobrze jak utracił, o żołd się nie upominał; ale za wszystkie prace, za wszystkie zasługi niczego od Pana Boga i Rzeczypospolitej nie wyglądał, jeno żony. I to sobie w duszy wykalkulował, że mu się taki chleb należy; już, już miał go w gębę wziąść, aż tu jakoby mu kto w wąsy dmuchnął! Maszże teraz! Jedz! Co i dziwnego, że go desperacja chwyciła? Nie mówię, żeby i dziewki nie żałował, ale jak mi Bóg miły, tak ożenku więcej żałuje, choć sam przysiągłby, że jest przeciwnie.

— Dałby Bóg! — powtórzył Skrzetuski.

— Poczekajcie, niech jeno owe rany duszne mu się zamkną i świeżą skórą pokryją, a obaczym, czy mu dawna ochota nie powróci. Periculum w tym tylko, by teraz sub onere desperacji czegoś nie uczynił albo nie postanowił, czego by potem sam żałował. Ale co się miało stać, to się już stało, bo w nieszczęściu prędka rezolucja. Mój wyrostek już szatki ze skrzyń wyjmuje i układa, więc nie mówię tego, żeby nie jechać, chciałem tylko waszmościów pocieszyć.

— Znowu plastrem ojciec Michałowi będziesz! — rzekł Jan Skrzetuski.

— Jako i tobie byłem. Pamiętasz? Bylem go tylko prędko znalazł, bo się boję, że się w jakowejś pustelni przytai albo gdzie w dalekich stepach zapadnie, do których od młodu nawykł. Waszmość, panie Kmicic, przymawiałeś mi do wieku, a ja ci powiem, że jeśli kiedy gończy bojar tak z listem sunął, jako ja będę sunął, to mi każcie za powrotem nitki ze starych bławatów wyciągać, groch łuszczyć albo mi kądziel dajcie. Ani mnie niewygody nie zatrzymają, ani cudza gościnność skusi, ani jadło lub też napitek w pędzie zahamuje. Jeszczeście takiego pochodu nie widzieli! Już teraz ledwie usiedzieć mogę, właśnie jakoby mnie kto szydłem spod ławy ekscytował: już i koszulę podróżną kazałem sobie łojem kozłowym dla wstrętu gadowi wysmarować...

Rozdział III

Jednakże nie jechał tak szybko pan Zagłoba, jak to sobie i towarzyszom obiecywał. Im zaś był bliżej Warszawy, tym jechał wolniej. Był to czas, w którym Jan Kazimierz, król, polityk i wódz wielki, pogasiwszy pożary postronne i wywiódłszy Rzeczpospolitą jakoby z toni potopu, zrzekł się panowania. Wszystko on przecierpiał, wszystko przetrwał, wszystkim tym ciosom piersi nadstawił, które szły od zewnętrznego nieprzyjaciela; ale gdy potem wewnętrzne reformy zamierzył i zamiast pomocy od narodu, oporu tylko i niewdzięczności doznał, wówczas dobrowolnie zdjął z poświęconych skroni tę koronę, która nieznośnym ciężarem mu się stała.

Sejmiki powiatowe i generały już się były poodprawiały, a ksiądz prymas Prażmowski konwokację na 5 listopada oznaczył.

Wielkie były wcześnie różnych kandydatów starania, wielkie partii rozmaitych współzawodnictwa, a choć to elekcja miała dopiero rozstrzygnąć, rozumiał wszakże każdy niezwykłą sejmu konwokacyjnego ważność. Jechali tedy posłowie do Warszawy koleśno i konno, z czeladzią i pachołkami, jechali senatorowie, a przy każdym dwór wspaniały. Po drogach było ciasno, gospody zajęte, a wynalezienie sobie noclegu z wielką połączone mitręgą. Wszakże ustępowano panu Zagłobie miejsca ze względu na jego wiek, ale natomiast niezmierna jego sława nieraz właśnie narażała go na stratę czasu.

Bywało, zajedzie do jakiej karczmy, a tam ani już palca wścibić, to personat, który ją wraz z dworem zajmował, wyjdzie przez ciekawość zobaczyć, kto przyjechał, a widząc starca z białymi jak mleko wąsami i brodą, rzecze na widok takiej powagi:

— Proszę waszmości dobrodzieja ze mną do stancji na przygodną zakąskę.

Pan Zagłoba grubianinem nie był i nie odmawiał wiedząc, że znajomość z nim każdemu miłą będzie. Gdy więc gospodarz przez próg go przepuściwszy pytał następnie: „kogóż mam honor?” — on się tylko w boki brał i pewien efektu odpowiadał dwoma słowami:

— Zagłoba sum!

Jakoż nie zdarzyło się nigdy, aby po owych dwóch słowach nie nastąpiło wielkie ramion otwieranie, okrzyki: „do najfortunniejszych dni ten zapiszę!”, i nawoływania towarzyszów albo dworzan: „patrzcie! ów jest wzór, gloria et decus wszystkiego Rzeczypospolitej kawalerstwa!” Zbiegali się tedy podziwiać pana Zagłobę, a młodsi

przychodzili całować poły jego podróżnego żupana. Za czym ściągano z wozów beczułki i ankary i następowało gaudium trwające czasem i kilka dni.

Powszechnie myślano, że jako poseł na konwokację jedzie, a gdy mówił, że nie, zdziwienie bywało powszechne. Ale on tłumaczył się, że panu Domaszewskiemu mandatu ustąpił, aby zasię i młodsi do spraw publicznych przykładać się mogli. Jednym też powiadał prawdziwą przyczynę, dla której w drogę wyruszył; innych zaś, gdy się dopytywali, zbywał słowami:

— Ot, z małegom do wojny przywykł, toć zachciało się jeszcze na stare lata z Doroszeńką pohałasować.

Po których słowach podziwiano go jeszcze więcej. A nikomu przez to nie był tańszym, że nie jako poseł jechał, wiedziano bowiem, że i między arbitrami znajdują się tacy, którzy więcej od samych posłów mogą. Zresztą baczył każden senator, choćby i najznamienitszy, na to, że po paru miesiącach nastąpi elekcja, a wówczas każde słowo męża tak między rycerstwem wsławionego nieoszacowaną wagę mieć będzie.

Brali też w ramiona pana Zagłobę i czapkowali mu by i najwięksi panowie. Pan podlaski trzy dni go poił; panowie Pacowie, których w Kałuszynie napotkał, na rękach go nosili.

Niejeden i dary znaczne kazał po cichu w wasąg mu wsuwać: od wódek, win do sepecików kosztownie oprawnych, szabel i pistoletów.

Miała się z tego dobrze i służba pana Zagłoby, ale on sam, wbrew postanowieniu i obietnicy, jechał tak wolno, że trzeciego tygodnia dopiero w Mińsku stanął.

Za to w Mińsku nie popasał. Wjechawszy na rynek ujrzał dwór tak znaczny i piękny, jakiego dotąd po drodze nie spotkał: dworzanie w szumnej barwie; pół regimentu jeno piechoty, bo na konwokację zbrojno nie jeżdżono, ale tak strojnej, że i król szwedzki strojniejszej gwardii nie miał; pełno karet pozłocistych, wozów z makatami i kobiercami dla obijania karczem po drogach, wozów z kredensem i zapasami żywności; przy tym służba cała niemal cudzoziemska, tak że mało kto się zrozumiałym językiem w tej ciżbie odezwał.

Pan Zagłoba dopatrzył wreszcie jednego z dworzan po polsku ubranego, więc kazał stanąć i pewien dobrego popasu, wysadził już jedną nogę z wasągu, a jednocześnie spytał:

— A czyj to dwór taki foremny, że i król foremniejszego mieć nie może?

— Czyjże ma być — odpowiedział dworzanin — jak nie pana naszego, księcia koniuszego litewskiego?

— Kogo? — powtórzył Zagłoba.

— Czyś waść głuchy? Księcia Bogusława Radziwiłła, który posłem na konwokację jedzie, ale — da Bóg! — po elekcji elektem zostanie.

Zagłoba schował prędko nogę w wasąg.

— Jedź! — krzyknął na woźnicę. — Nic tu po nas!

I pojechał trzęsąc się z oburzenia.

— Wielki Boże! — mówił — niezbadane Twoje wyroki i jeśli tego zdrajcy piorunem w kark nie trzaśniesz, to masz w tym jakoweś ukryte intencje, których się rozumem dochodzić nie godzi, choć po ludzku rzeczy biorąc, należałaby się takiemu skurczybykowi dobra chłosta. Ale widać, źle się dzieje w tej prześwietnej Rzeczypospolitej, jeśli podobni przedawczykowie, bez czci i sumienia, nie tylko kary nie odnoszą, ale w bezpieczności i potędze jeżdżą, ba! jeszcze obywatelskie funkcje sprawują. Chyba że zginiem, bo gdzież, w jakim kraju, w jakim innym państwie taka rzecz przygodzie by się mogła? Dobry był król Joannes Casimirus, ale nadto przebaczał i przyuczył najgorszych dufać w bezkarność i przezpieczeństwo. Wszelako nie jego to tylko wina. Widać, że i w narodzie sumienie obywatelskie i czułość na cnotę do reszty zaginęła. Tfu! tfu! On posłem! W jego bezecne ręce obywatele całość i bezpieczeństwo ojczyzny składają, w te same ręce, którymi ją rozdzierał i w szwedzkie łańcuchy okuwał! Zginiemy, nie może inaczej być! Jeszcze go i na króla rają... A cóż! wszystko, widać, w takim narodzie możliwe. On posłem! Dla Boga! Przecież prawo wyraźnie mówi, że nie może być posłem ów, który w obcych krajach urzędy sprawuje, a przecie on jest generalnym, u swego parszywego wuja, Prus Książęcych gubernatorem! Aha! Czekajże, mam cię! A rugi sejmowe od czego? Jeśli do sali nie pójdę i tej materii, chociaż tylko arbitrem będąc, nie poruszę, to niech się tu zaraz w skopa zmienię, a mój woźnica w rzeźnika. Znajdą się przecie między posłami, którzy mnie poprą. Nie wiem, czyli ci, zdrajco, jako takiemu potentatowi, dam rady i z poselstwa wyrugować zdołam, ale że ci to do elekcji nie posłuży — to pewna! I Michał, niebożę, poczekać na mnie musi, bo to będzie pro publico bono uczynek.

Tak rozmyślał pan Zagłoba przyrzekając sobie koło tej sprawy rugów pilnie chodzić i posłów prywatnie dla niej kaptować. Z tego powodu od Mińska spieszniej już do Warszawy dążył bojąc się na otwarcie konwokacji zapóźnić.

Przyjechał jednak dość wcześnie. Posłów i postronnych zjazd był tak wielki, że gospody ni w samej Warszawie, ni na Pradze, ni nawet za miastem wcale nie można było dostać; trudno się było też do kogo zaprosić, bo w jednej izbie po trzech i czterech

się mieściło. Pierwszą noc przepędził pan Zagłoba w handlu u Fukiera i zeszła jakoś dość gładko; ale nazajutrz, wytrzeźwiawszy na swym wasągu, sam dobrze nie wiedział, co ma czynić.

— Boże! Boże! — mówił wpadłszy w zły humor i rozglądając się po Krakowskim Przedmieściu, które właśnie przejeżdżał — oto Bernardyni, a oto ruina pałacu Kazanowskich! Niewdzięczne miasto! Własną krwią i trudem musiałem je nieprzyjacielowi wydzierać, a teraz mi kąta dla siwej głowy żałuje.

Miasto wszelako nie żałowało wcale kąta dla siwej głowy, tylko go po prostu nie miało.

Natomiast czuwała nad panem Zagłobą szczęśliwa gwiazda, bo ledwie do pałacu Koniecpolskich dojechał, gdy jakiś głos krzyknął z boku na woźnicę:

— Stój!

Czeladnik powstrzymał konie; wtem nieznajomy szlachcic zbliżył się z rozjaśnionym obliczem do wasągu i zawołał:

— Panie Zagłoba! Nie poznajesz mnie waszmość?

Zagłoba ujrzał przed sobą męża mającego koło trzydziestu kilku lat, przybranego w kołpak rysi z piórkiem, znak niechybny wojskowej służby, w makowy żupan i ciemnoczerwony kontusz przepasany pozłocistym pasem. Twarz nieznajomego była nadzwyczajnej piękności. Cerę miał ów bladą, nieco tylko w polach wichrem na złotawo opaloną, oczy błękitne, pełne jakowegoś smutku i zamyślenia, rysy twarzy nadzwyczaj foremne, prawie — jak na męża — zbyt piękne; pomimo polskiego stroju nosił on długie włosy i brodę z cudzoziemska przyciętą. Stanąwszy przy wasągu otworzył szeroko ramiona, a pan Zagłoba, lubo nie mógł go sobie na razie przypomnieć, przechylił się i objął go za szyję.

Ściskali się tedy serdecznie, a chwilami jeden odsuwał drugiego, aby mu się lepiej przypatrzeć; na koniec Zagłoba rzekł:

— Wybaczaj waszmość, ale jeszcze nie mogę sobie przypomnieć...

— Hassling-Ketling!

— Dla Boga! Twarz wydała mi się znajomą, ale strój całkiem waćpana odmienił, bom cię dawniej w kolecie rajtarskim widywał. To już i po polsku chodzisz?

— Bom tę Rzeczpospolitą, która mnie tułacza pacholęciem jeszcze niemal będącego przygarnęła i dostatnim chlebem opatrzyła, za swoją matkę uznał i innej mieć nie chcę. Waćpan nie wiesz o tym, żem indygenat po wojnie otrzymał?

— A to mi słodką nowinę zwiastujesz! Także ci się to poszczęściło?

— I w tym, i w czym innym, bom w Kurlandii, na samej granicy żmudzkiej, na człeka takiego samego nazwiska, jako jest moje, natrafił, któren mnie adoptował, do herbu przyjął i fortuną obdarzył. Mieszka on w Świętej, w Kurlandii, ale i z tej strony ma majętność Szkudy, którą mnie puścił.

— Szczęść ci Boże! Toś tedy wojnę porzucił?

— Niech się jeno jakakolwiek zdarzy, stawię się niezawodnie. Dlatego to i wioskę w dzierżawę oddałem, a tu czekam okazji.

— To mi kawalerska fantazja! Zupełnie jak ja, kiedym był młody, choć i dziś jeszcze wigor w kościach jest! Co tedy porabiasz w Warszawie?

— Posłuję na konwokację.

— Rany boskie! Toś już z kościami Polak!

Młody rycerz uśmiechnął się.

— I duszą, a to więcej!

— Żonatyś?

Ketling westchnął.

— Nie!

— Tego ci tylko brakuje. A wierę! Czekaj jeno! Zaliby ci dotąd dawny sentyment do Billewiczówny nie wyszedł z pamięci?

— Skoro waćpan o tym wiedziałeś, com moją sądził być tylko tajemnicą, to wiedz, że żaden nowy nie przyszedł...

— Daj spokój! Ona niedługo małego Kmicica światu przyrzuci. Daj sobie spokój! Coć za robota wzdychać, gdy kto inny w lepszej konfidencji z nią żyje. Powiemć prawdę, że to i śmieszno.

Ketling podniósł swe smutne oczy w górę.

— Rzekłem tylko, iż nowy sentyment nie przyszedł.

— Przyjdzie, nie bój się! Ożenim cię! Wiem to z własnej eksperiencji, że zbytnia stałość w amorach tylko zgryzot przyczynia. Żem to był swego czasu stały jako Troilus, siła delicyj, siła dobrych okazji poniechałem, a com się nagryzł!

— Daj Boże każdemu zachować tak jowialny humor, jako waszmość zachowałeś!

— Bom w modestii żył zawsze, przeto mi w kościach nie strzyka! Gdzie mieszkasz, zali znalazłeś gospodę?

— Mam dworek wygodny ku Mokotowu, który po wojnie już wybudowałem.

— Toś szczęśliwy; ja zaś od wczoraj na próżno po całym mieście jeżdżę!

— Dla Boga! Dobrodzieju! Jużże mi tego nie odmówisz, żebyś u mnie stanął; miejsca jest dosyć; prócz dworku oficyna i stajnia wygodna. Znajdzie się dla czeladzi i koni pomieszczenie.

— Toś mi z nieba spadł, jak mnie Bóg miły!

Ketling siadł na wasąg i ruszyli.

Po drodze opowiadał mu Zagłoba o nieszczęściu, jakie w pana Wołodyjowskiego ugodziło, a on ręce nad nim łamał, bo nic był dotąd nie wiedział.

— Tym to ostrzejszy grot i dla mnie — rzekł wreszcie — że może waszmość i nie wiesz, jaka między nami w ostatnich czasach przyjaźń powstała. Wszystkie późniejsze wojny w Prusiech, przy oblężeniu zamków, gdzie tylko były jeszcze szwedzkie załogi, odprawowaliśmy razem. Chodziliśmy i na Ukrainę, i na pana Lubomirskiego, i znów na Ukrainę, już po śmierci ruskiego wojewody, pod panem marszałkiem koronnym Sobieskim. Jedna kulbaka nam za poduszkę służyła, z jednej jadaliśmy misy; Kastorem i Polluksem nas zwano. I dopiero gdy on po pannę Borzobohatą na Żmudź jechał, nadeszła chwila separationis; któż by się spodziewał, że najlepsze jego nadzieje tak prędko przeminą jako strzała na powietrzu?

— Nic stałego na tym padole płaczu nie masz — odpowiedział Zagłoba.

— Prócz przyjaźni statecznej… Trzeba będzie radzić i dowiadywać się, gdzie on teraz. Może od pana marszałka koronnego czegoś się dowiemy, który Wołodyjowskiego jak źrenicę oka miłuje. A nie, toć tu są posłowie ze wszystkich stron. Niepodobna, aby który o takim rycerzu nie słyszał. W czym będę mógł, w tym waszmości posłużę, lepiej jak gdyby o mnie samego chodziło.

Tak rozmawiając przybyli na koniec do Ketlingowego dworku, który dworem się być okazał. W środku były porządki wszelkie i niemało sprzętów kosztownych bądź kupionych, bądź ze zdobyczy pochodzących. Broni zwłaszcza wybór był znamienity. Ucieszył się pan Zagłoba na ten widok i rzekł:

— O! toż waćpan mógłbyś tu i dwadzieścia osób pomieścić. Szczęście to dla mnie, żem cię spotkał. Mogłem pana Antoniego Chrapowickiego gospodę zająć, bo to mój znajomy i przyjaciel. Ciągnęli mnie i Pacowie, którzy przeciw Radziwiłłom partyzantów szukają, ale u ciebie wolę.

— Słyszałem między posłami litewskimi — odrzekł Ketling — że ponieważ teraz na Litwę kolej przypada, chcą koniecznie pana Chrapowickiego marszałkiem sejmu postanowić.

— I słusznie. Człek to zacny i realista, jeno nieco dobrowolny. Dla niego nie masz nad zgodę; tylko patrzy, gdzie by kogo z kim pogodzić, a to na nic. Ale! Powiedz no szczerze, czymć jest Bogusław Radziwiłł?

— Od czasu, jak mnie Tatarzy pana Kmicicowi pod Warszawą w niewolę wzięli — niczym. Porzuciłem tę służbę i nie zabiegałem o nią więcej, bo choć to możny pan, ale zły i przewrotny człowiek. Napatrzyłem ja mu się dosyć, gdy w Taurogach na cnotę tej nadziemskiej istoty nastawał.

— Jakiej nadziemskiej? Człeku, co gadasz? Z gliny ona jest i tak jak pierwsza lepsza farfurka stłuc się może. — Wszelako mniejsza z tym!

Tu zaczerwienił się pan Zagłoba z gniewu, aż mu oczy na wierzch wyszły.

— Wyobraź sobie, ta szelma posłem jest!

— Kto taki? — pytał zdumiony Ketling, którego myśl była jeszcze przy Oleńce.

— Bogusław Radziwiłł! Ale rugi! Rugi od czego?! Słuchaj, tyś poseł, możesz tę materię poruszyć, a już ja ci z galerii ryknę do wtóru, nie bój się! Prawo za nami, a zechcąli prawo pominąć, to można by między arbitrami tumulcik uczynić tak zacny, żeby się i bez krwi nie obyło.

— Nie czyń tego waść, na miłosierdzie boże. Materię ja wniosę, bo słuszna, ale Boże uchowaj sejm zamieszać.

— Pójdę i do Chrapowickiego, choć to ciepła woda, co ze szkodą jest, bo od niego, jako od przyszłego marszałka, siła zależy. Podszczuję Paców. Przynajmniej wszystkie jego praktyki publice przypomnimy. Przecie słyszałem po drodze, że ta szelma o koronę dla siebie myśli się starać!

— Chybaby naród do ostatniego upadku przyszedł i nie był żywota godny, gdyby tacy królami jego mieli zostawać — odrzekł Ketling. — Ale wypocznij waść teraz, a później któregokolwiek dnia pójdziem do pana marszałka koronnego o naszego przyjaciela wypytywać.

Rozdział IV

Sejm konwokacyjny w kilka dni później został otwarty, na którym, jak przewidywał Ketling, powołano do laski pana Chrapowickiego, naówczas podkomorzego smoleńskiego, a późniejszego wojewodę witebskiego. Ponieważ chodziło tylko o wyznaczenie terminu elekcji i ustanowienie wyższego kapturu, a intrygi rozmaitych partii nie mogły w takich sprawach znaleźć dla siebie pola, przeto konwokacja dosyć

zapowiadała się spokojnie. W samym początku zaburzyła ją tylko nieco materia rugów. Bo gdy poseł Ketling podał w wątpliwość prawomocność wyboru pana pisarza bielskiego i jego kolegi księcia Bogusława Radziwiłła, zaraz jakiś potężny głos spomiędzy arbitrów zakrzyknął: „Zdrajca! Cudzoziemski urzędnik!” Za tym głosem poszły i inne; przyłączyli się do nich takoż niektórzy posłowie i niespodzianie sejm rozpadł się na dwie strony, z których jedna chciała panów posłów bielskich rugować, druga zaś uznać ich wybór. Zgodzono się wreszcie na sąd, który sprawę załagodził i wybór przyznał.

Niemniej był to jednak cios dla księcia koniuszego bardzo dotkliwy; bo już to samo, że rozważano, czy książę godnym jest zasiąść w izbie, to samo, że przypomniano coram publico wszystkie jego z czasów wojny szwedzkiej zdrady i przeniewierstwa — okryło go świeżą hańbą w oczach Rzeczypospolitej i podkopało z gruntu wszystkie jego ambitne zamiary.

Liczył on bowiem, że gdy stronnictwa kondeuszowe, neuburskie i lotaryńskie, nie licząc innych pomniejszych, wzajem sobie będą przeszkadzać, wybór łatwo może paść na krajowca.

Duma zaś i pochlebcy mówili mu, że gdyby się to miało zdarzyć, to tym krajowcem nie mógłby być kto inny, jeno pan najwyższym jeniuszem obdarzony, najpotężniejszy i z najznakomitszego rodu, a inaczej mówiąc — on sam.

Trzymając więc rzeczy do czasu w tajemnicy, porozciągał już poprzednio niewody na Litwie, a teraz właśnie rozpoczął zastawiać sieć w Warszawie, gdy nagle spostrzegł, że zaraz z początku mu ją przerwano i uczyniono dziurę tak wielką, że wszystkie ryby ujść nią łatwo mogły. Zgrzytał też zębami przez cały czas sądu, a gdy na Ketlingu, jako na pośle, nie mógł zemsty wywrzeć, ogłosił między swymi dworzanami nagrodę temu, kto mu wskaże owego arbitra, który pierwszy po Ketlingowym wniosku zakrzyknął: „Zdrajca i przedawczyk!”

Pan Zagłoba zbyt był znany, aby jego nazwisko długo mogło pozostać ukryte. Zresztą nie taił się wcale. Jakoż książę zawrzał jeszcze bardziej, ale i stropił się niemało, usłyszawszy, że mu na wstręcie staje mąż tak popularny, na którego strach było się porywać.

Wiedział o tej swojej mocy i pan Zagłoba, bo gdy z początku pogróżki zaczęły latać, ozwał się raz na wielkim zgromadzeniu szlacheckim:

— Nie wiem, jeśliby to komu było bezpieczno, gdyby tu jeden włos miał mi spaść z głowy. Elekcja niedaleko, a gdy się sto tysięcy braterskich szabel zbierze, łatwo się jakoweś bigosowanie może uczynić…

Słowa te doszły do księcia, który tylko wargi zagryzł i uśmiechnął się wzgardliwie, ale w duszy pomyślał, że pan Zagłoba ma słuszność.

Na drugi dzień odmienił też widocznie względem starego rycerza zamiary, bo gdy na uczcie u księcia krajczego ktoś począł o nim mówić, Bogusław rzekł:

— Wielce mi jest niechętny, jako słyszałem, ów szlachcic, ale ja się tak w ludziach rycerskich kocham, że choćby mi i dalej szkodzić nie przestał, zawsze go będę miłował.

A w tydzień później powtórzył to samo wręcz panu Zagłobie, gdy się u pana hetmana wielkiego, Sobieskiego, spotkali.

Panu Zagłobie, lubo twarz zachował spokojną i pełną fantazji, zabiło nieco serce w piersi na widok księcia, bo to był przecie pan o daleko sięgających rękach i ludojad, którego się wszyscy obawiali. Ten zaś odezwał się do niego przez cały stół:

— Mości panie Zagłoba, doszło już do mnie, żeś waćpan, chociażeś nie poseł, chciał mnie niewinnego z sejmu rugować, ale ja to waćpanu po chrześcijańsku przebaczam i promocją, jeśli kiedy będzie trzeba, służyć nie omieszkam.

— Przy konstytucji tylko stawałem — odrzekł Zagłoba — co szlachcic czynić powinien; quod attinet protekcji, to w moim wieku podobno boska najpotrzebniejsza, bo mi pod dziewięćdziesiąt lat.

— Piękny wiek, jeśli był tak cnotliwy, jak długi, o czym zresztą wcale wątpić nie chcę.

— Służyłem ojczyźnie i swemu panu, obcych bogów nie szukając.

Książę zmarszczył się nieco:

— Służyłeś waszmość i przeciw mnie; wiem o tym. Ale niechże będzie już zgoda między nami. Wszystko to zapomniane, nawet i to, żeś cudzą, prywatną zawiść contra me protegował. Z tamtym prześladowcą mam jeszcze jakoweś rachunki, ale waszmości rękę wyciągam i przyjaźń ofiaruję.

— Chudym tylko pachołek i za wysoka to dla mnie amicycja. Musiałbym się do niej wspinać lub podskakiwać, a to już na starość trudno. Jeśli zaś wasza książęca mość mówisz o rachunkach z panem Kmicicem, moim przyjacielem, tedy radziłbym z serca tej arytmetyki poniechać.

— Proszę, a czemu to? — spytał książę.

— Bo cztery w arytmetyce są działania. Owóż, lubo pan Kmicic fortunę ma zacną, przecie mucha to w porównaniu do waszej książęcej, więc na dzielenie pan Kmicic nie

przystanie; mnożeniem sam się zajmuje; odjąć sobie niczego nie pozwoli; mógłby chyba coś dodać, a nie wiem, czybyś wasza książęca mość był na to łakomy.

Jakkolwiek Bogusław ćwiczony był w szermierce na słowa, jednak czy to wywód pana Zagłoby, czy jego zuchwałość zdumiała go tak dalece, że języka w gębie zapomniał. Przytomnym poczęły się brzuchy trząść ze śmiechu, a pan Sobieski roześmiał się na całe gardło i rzekł:

— Stary to zbarażczyk! Umie ciąć szablą, ale i na języki gracz nie lada! Lepiej go zostawić w spokoju.

Jakoż Bogusław widząc, że na nieprzejednanego trafił, nie próbował więcej pana Zagłoby skaptować, tylko począwszy z kim innym rozmowę, ciskał od czasu do czasu złe spojrzenia przez stół na starego rycerza.

Ale pan hetman Sobieski rozochocił się i mówił dalej:

— Mistrz z was, panie bracie, mistrz prawdziwy. Znaleźliście też kiedy równego sobie w tej Rzeczypospolitej?

— W szabli — odpowiedział zadowolony z pochwały Zagłoba — Wołodyjowski mnie doszedł. A i Kmicica poduczyłem też nieźle.

To rzekłszy zerknął na Bogusława, ale ten udał, że nie słyszy, i rozmawiał pilnie z sąsiadem.

— Ba! — rzekł hetman. — Wołodyjowskiego nieraz przy robocie widziałem i ręczyłbym za niego, choćby o losy całego chrześcijaństwa chodziło. Szkoda, że w takiego żołnierza jakoby piorun uderzył.

— A co mu się stało? — spytał Sarbiewski, miecznik ciechanowiecki.

— Dziewka mu umiłowana w drodze, w Częstochowie, zmarła — odpowiedział Zagłoba — i to najgorzej, że znikąd nie mogę dowiedzieć się, gdzie on się teraz znajduje?

— Przez Bóg! — zawołał na to pan Warszycki, kasztelan krakowski. — Toż ja ciągnąc do Warszawy napotkałem go w drodze również tu jadącego i przyznał mi się, że obrzydziwszy ten świat i jego vanitates, na Mons regius się wybiera, aby w modlitwie i rozmyślaniach stroskanego żywota dokończyć.

Zagłoba porwał się za resztki czupryny.

— Kamedułą został, jak mi Bóg miły! — zakrzyknął w największej desperacji.

Jakoż wiadomość pana kasztelana na wszystkich niemałe uczyniła wrażenie.

Pan Sobieski, który żołnierzy kochał, a sam najlepiej wiedział, jak ojczyzna takich potrzebuje, zmartwił się wielce i po chwili rzekł:

— Wolnej woli ludzkiej i chwale boskiej niepodobna się oponować, ale szkoda jest i trudno mam ukryć waszmościom, że mi żal. Ze szkoły księcia Jeremiego to był żołnierz, przeciw każdemu nieprzyjacielowi wyborny, a już przeciw ordzie i hultajstwu niezrównany. Ledwie kilku jest takich w stepach zagończyków, jako to między Kozakami pan Piwo, a w kompucie pan Ruszczyc; ale i ci Wołodyjowskiego nie doszli.

— Szczęście, że czasy jakoś spokojniejsze — odrzekł pan miecznik ciechanowiecki — i że pogaństwo wiernie traktatów podhajeckich dotrzymuje, wymożonych niezwyciężonym mieczem mojego dobrodzieja.

Tu skłonił się miecznik panu Sobieskiemu, ów zaś uradował się w sercu z publicznej pochwały i odpowiedział:

— W pierwszym rzędzie boska to dobroć pozwoliła mi się wonczas położyć na progu Rzeczypospolitej i nieprzyjaciela nieco pokąsać, a w drugim, dobrych żołnierzów na wszystko gotowa rezolucja. Że chan rad by traktatów dotrzymać, to wiem; ale w samym Krymie przeciw chanowi są zaburzenia, a białogrodzka orda wcale go nie słucha. Odebrałem właśnie wiadomość, że owo się tam na granicy mołdawskiej chmury zbierają i że zagony wejść mogą; kazałem też pilnie nasłuchiwać na szlakach, ale mi żołnierzy niesporo. Co gdzie przyrzucą, to w innym miejscu dziura się czyni. Zwłaszcza mi praktyków — znających ordzińskie sposoby — brak i przeto tak żałuję Wołodyjowskiego.

Na to Zagłoba odjął od skroni pięści, którymi sobie głowę ściskał, i zakrzyknął:

— Ależ on kamedułą nie zostanie, choćbym miał na Montem regium zajazd uczynić i siłą go odjąć! Dla Boga! Jutro zaraz do niego się udam. Przecie może mojej perswazji posłucha, a nie, to do księdza prymasa pójdę, do jenerała kamedułów! Choćbym też do Rzymu miał jechać — pojadę. Nie chcę ja chwale bożej ujmować, ale co z niego za kameduła, kiedy jemu i włosy na brodzie nie rosną. Tyle, co u mnie na pięści! Jak mi Bóg miły! On i mszy nie potrafi nigdy zaśpiewać, a jeśli i zaśpiewa, to szczury z klasztoru pouciekają, bo będą myślały, że koczur miauczy wesele odprawując. Waszmościowie, wybaczcie, że mówię, co żal na język przyniesie! Gdybym miał syna, to bym go tak nie miłował, jako tego chłopa miłowałem. Bóg z nim! Bóg z nim! Żeby choć bernardynem został, ale kamedułą! Nie może z tego nic być, jako żyw tu siedzę! Jutro zaraz do księdza prymasa zastukam, aby mi dał listy do przeora.

— Ślubów przecie nie mógł jeszcze wykonać — wtrącił pan marszałek — ale go waszmość nie naglij, żeby się właśnie nie zaciął, a i z tym się trzeba rachować, czy się wola boska w jego intencji nie objawiła?

— Wola boska? Wola boska nie przychodzi nagle, jako i stare przysłowie mówi, że co nagle, to po diable. Miałaby być wola boska, to bym był z dawna inklinację w nim dostrzegł, a on był nie ksiądz, jeno dragon. Gdyby pełnym rozumem władnąc, takowe postanowienie w spokoju i z rozmysłem uczynił, nic bym nie mówił; ale wola boska nie uderza na człeka w desperacji, jako właśnie raróg na cyrankę. Nie będę go naglił. Nim pójdę, dobrze pierwej sobie ułożę, co mu mam powiedzieć, aby się od razu nie zlisił; ale w Bogu nadzieja! Konfidował zawsze żołnierzysko więcej memu dowcipowi niż swemu; tuszę, że i teraz tak będzie, chyba że się całkiem odmienił.

Rozdział V

Nazajutrz, zaopatrzywszy się w listy księdza prymasa i ułożywszy cały plan z Hasslingiem, zadzwonił pan Zagłoba do furty klasztornej na Mons regius. Serce biło mu mocno na myśl, jak go przyjmie pan Wołodyjowski, i sam też, choć sobie ułożył z góry, co mu powie, poznał, że dużo zależało od przyjęcia, jakiego dozna. Tak myśląc pociągnął za dzwonek drugi raz, a gdy klucz zaskrzypiał w zamku i furta odchyliła się nieco, wpakował się w nią zaraz, trochę przemocą, i rzekł do zmieszanego młodego mniszka:

— Wiem, że żeby wejść tutaj, osobną permisję mieć trzeba, ale ja mam list od księdza arcybiskupa, któren zechciej, carissime frater, księdzu przeorowi oddać.

— Stanie się wedle woli waszmości — odpowiedział furtian skłoniwszy się na widok prymasowskiej pieczęci.

To rzekłszy, pociągnął za rzemień wiszący u serca dzwonka i dwa razy uderzył, aby kogoś przywołać, bo sam nie miał prawa odejść od furty. Na on głos pojawił się drugi mnich i zabrawszy list, oddalił się z nim w milczeniu, pan Zagłoba zaś złożył na ławce zawinięcie, które miał ze sobą, po czym siadł sam i sapać począł mocno.

— Frater — rzekł wreszcie — a jak dawno w zakonie?

— Piąty rok — odrzekł furtian.

— Proszę, taki młody, a już piąty rok! To już, choćby się chciało wyjść, za późno! A musiało się nieraz zatęsknić za światem, bo to, mosterdzieju, jednemu wojenka pachnie, drugiemu uczty, trzeciemu białogłowy...

— Apage! — rzekł mniszek żegnając się pobożnie.

— Jakże? Nie brała pokusa wyjść? — powtórzył Zagłoba.

Lecz mniszek spojrzał z nieufnością na rozmawiającego tak dziwnie arcybiskupiego wysłańca i odrzekł:

— Za kim się tu drzwi zamkną, ten już nie wychodzi.

— To obaczym jeszcze! Co tam z panem Wołodyjowskim się dzieje? Zdrów?

— Nie masz tu nikogo, co by się tak nazywał.

— Brat Michał? — rzekł na próbę pan Zagłoba. — Dawny pułkownik dragoński, który tu wszedł niedawno?

— Tego bratem Jerzym nazywamy, ale on dotąd ślubów nie wykonał i wykonać ich przed terminem nie może.

— I pewno nie wykona, bo nie uwierzysz, frater, co to był za podwikarz! Drugiego tak na białogłowską cnotę zawziętego nie znalazłbyś we wszystkich zako... chciałem powiedzieć: we wszystkich pułkach z całego komputu...

— Mnie się tego słuchać nie godzi — odparł z coraz większym zdziwieniem i zgorszeniem mnich.

— Słuchajże, frater. Nie wiem, gdzie u was moda przyjmować, ale jeśli tu, na tym miejscu, to radzęć, jak tu przyjdzie brat Jerzy, odejść lepiej, ot, do tej izby przy furcie, bo my tu o nader światowych rzeczach będziemy rozmawiali.

— Ja i zaraz wolę odejść — rzekł mnich.

Tymczasem pokazał się Wołodyjowski, czyli raczej brat Jerzy, ale Zagłoba nie poznał nadchodzącego, bo pan Michał zmienił się wielce.

Naprzód, w długim białym habicie wydawał się wyższy niż w dragońskim kolecie; po wtóre, sterczące dawniej ku oczom wąsiki nosił teraz ku dołowi i brodę usiłował zapuścić, która tworzyła dwa żółte kosmyczki nie dłuższe nad pół palca; na koniec wychudł i wymizerniał bardzo, oczy jego straciły dawny blask i zbliżał się powoli, mając ręce ukryte na piersiach pod habitem i spuszczoną głowę.

Zagłoba nie poznawszy go myślał, że to może sam przeor nadchodzi, więc podniósł się z ławy i zaczął mówić:

— Laudetur...

Nagle spojrzał bliżej, ręce roztworzył i zakrzyknął:

— Panie Michale! Panie Michale!

Brat Jerzy dał się porwać w objęcia, coś na kształt łkania wstrząsnęło mu piersi, ale oczy jego pozostały suche. Zagłoba ściskał go długo, na koniec począł mówić:

— Nie sam nad swoim nieszczęściem płakałeś. Płakałem ja, płakali Skrzetuscy i Kmicicowie. Wola boska! Zgódź się z nią, Michale! Niechże cię Ojciec Miłosierny

pocieszy, nagrodzi!... Dobrześ uczynił, żeś na czas w tych oto murach się zamknął. Nie masz w nieszczęściu nic lepszego nad modlitwę i pobożne rozmyślania. Daj, niech cię jeszcze raz uściskam. Przez łzy ledwie że cię dojrzeć mogę!

I pan Zagłoba płakał naprawdę, widokiem Wołodyjowskiego poruszony, wreszcie tak mówił dalej:

— Wybacz, żem ci twe rozmyślania przerwał, ale jużże nie mogłem inaczej uczynić, i sam mi słuszność przyznasz, gdy ci racje moje przytoczę! Ej, Michale! Siłaśmy ze sobą złego i dobrego zażyli! Znalazłeśże za tą kratą jakową pociechę?

— Znalazłem — odrzecze pan Michał — w tych słowach, które tu co dzień słyszę i powtarzam, a które do śmierci chcę powtarzać: memento mori. W śmierci jest dla mnie pociecha.

— Hm! Śmierć łatwiej na polu bitwy znaleźć niż w klasztorze, gdzie życie tak idzie, jakoby kto z kłębka powoli nić odwijał.

— Nie masz tu życia, bo nie masz spraw ziemskich, i zanim dusza ciało opuści, już jakoby na innym świecie żywię.

— Kiedy tak, to już ci nie powiem, że się orda białogrodzka na Rzeczpospolitą w wielkiej potędze gotuje, bo cóż cię to obchodzić może?

Pan Michał wąsikami nagle ruszył i prawicą mimo woli do lewego boku sięgnął, ale nie znalazłszy szabli, zaraz obie ręce pod habit schował, spuścił głowę i rzekł:

— Memento mori!

— Słusznie, słusznie! — rzekł Zagłoba mrugając z pewnym zniecierpliwieniem swoim zdrowym okiem. — Wczoraj jeszcze pan Sobieski, hetman, mówił: „Niechby Wołodyjowski choć przez tę jedną nawałnicę przesłużył, a potem do jakiego chce klasztoru szedł. Bóg by się o to nie rozgniewał, owszem, zasługę miałby taki mnich tym większą”. Ale trudno ci się i dziwić, że własne uspokojenie nad szczęście ojczyzny przekładasz, bo przecie: prima charitas ab ego.

Nastała długa chwila milczenia, tylko wąsy pana Michała zjeżyły się jakoś i poczęły się szybko, choć lekko poruszać.

— Ślubów jeszcze nie wykonałeś — spytał wreszcie Zagłoba — i wyjść w każdej chwili możesz?

— Nie jestem jeszcze zakonnikiem, bom czekał na łaskę bożą i na to, by wszystkie ziemskie myśli bolesne opuściły duszę moją. Ale łaska jest nade mną, spokój mi wraca, wyjść mogę, ale już nie chcę, gdyż zbliża się termin, w którym z czystym sumieniem i próżen ziemskich pożądliwości, będę mógł śluby wykonać.

— Nie chcę ja cię od tego odwodzić, owszem, chwalę rezolucję, chociaż pamiętam, że gdy Skrzetuski zamierzył swego czasu mnichem zostać, to jednak czekał z tym, póki by ojczyzna od nawałności nieprzyjacielskiej wolna nie była. Ale czyń, jak chcesz. Zaiste nie ja cię będę odwodził, bom i sam czuł swego czasu do życia zakonnego wokację. Pięćdziesiąt lat temu zacząłem już nawet nowicjat; szelmą jestem, jeśli łżę! No! Bóg inaczej pokierował... To ci tylko powiem, Michale, że teraz musisz wyjść ze mną choć na parę dni.

— Czemu mam wyjść? Ostawcie mnie w spokoju — odrzekł Wołodyjowski.

Zagłoba podniósł połę od kontusza do oczu i ślochać począł.

— Dla siebie — mówił przerywanym głosem — o ratunek nie proszę, choć mnie książę Bogusław Radziwiłł zemstą ściga i morderców na mnie zasadza, a mnie starego nie masz komu bronić i osłaniać... Myślałem, że ty! Mniejsza z tym!... Ja cię zawsze będę miłował, choćbyś mnie zgoła znać nie chciał... Módl się tylko za duszę moją, bo ja rąk Bogusławowych nie ujdę!... Niech mnie spotka, co ma spotkać. Ale inny twój przyjaciel, który każdym kawałkiem chleba z tobą się dzielił, kona i koniecznie widzieć cię pragnie, i nie chce bez ciebie umierać, bo ma ci wyznania jakoweś uczynić, od których spokój jego duszy zależy.

Pan Michał, który już o niebezpieczeństwie Zagłoby z wielkim wzruszeniem słuchał, porwał się teraz i chwyciwszy Zagłobę za ramiona, pytał:

— Skrzetuski?

— Nie Skrzetuski, ale Ketling!

— Dla Boga! co się z nim dzieje?

— W mojej obronie przez siepaczów księcia Bogusława postrzelon, nie wiem, czy przez dzień jeszcze żyw będzie. Dla ciebie to, Michale, wpadliśmy oba w takie terminy, bośmy tylko dlatego do Warszawy przyjechali, by ci pociechę jakowąś obmyślić. Wyjdź choć na dwa dni i pociesz konającego. Wrócisz później... zostaniesz mnichem... Przywiozłem instancję prymasowską do przeora, aby ci impedimentów nie czyniono... Spiesz się jeno, bo każda chwila droga!...

— Przebóg! — mówił Wołodyjowski. — Co słyszę! Impedimentów nie mogą mi tu stawiać, bom ja dotąd jakoby tylko na rekolekcjach... Przebóg! Prośba konającego święta rzecz! Tej ja odmówić nie mogę!

— Grzech byłby śmiertelny! — zakrzyknął Zagłoba.

— Tak jest! Wiecznie, ten zdrajca Bogusław!... Ale jeśli Ketlinga nie pomszczę, niech tu nigdy nie wrócę... Znajdę ja tych dworzan, tych siepaczów, i łbów napłatam... Wielki

Boże! Już grzeszne myśli mnie opadają! Memento mori!... Czekaj tu waść, jeno się przebiorę w stare szatki, bo w habicie na świat wyjść nie wolno...

— Ot, szatki! — krzyknął Zagłoba porywając za zawinięcie, które dotąd leżało obok niego na ławie. — Wszystkom przewidział, wszystko przygotowałem... Są buty, jest rapierek zacny i kubrak...

— Chodź waść do celi — odrzekł z pośpiechem mały rycerz.

I poszli, a gdy się ukazali znowu, koło pana Zagłoby dreptał już nie mniszek biały, ale oficer w żółtych butach za kolana, z rapierem przy boku i z białym pendentem przez ramię.

Zagłoba okiem mrugał i pod wąsami się na widok brata furtiana uśmiechał, który z widocznym zgorszeniem w twarzy otwierał obydwom bramę.

Nieopodal klasztoru, niżej, czekał wasąg pana Zagłoby, a przy nim dwóch czeladzi: jeden siedział na koźle trzymając lejce dobrze sprzężonej czwórki, na którą pan Wołodyjowski zaraz okiem znawcy rzucił; drugi stał przy wasągu z opleśniałym gąsiorkiem w jednej, z dwoma kielichami w drugiej dłoni.

— Do Mokotowa kawał drogi — rzekł Zagłoba — a przy łożu Ketlinga sroga czeka nas żałość. Napij że się, Michale, abyś miał siłę wszystko przenieść, boś zmizerowany bardzo.

To rzekłszy Zagłoba wyjął gąsior z rąk pacholika i nalał oba kielichy maślaczem tak starym, że aż zgęstniałym ze starości.

— Godny to napitek — rzekł postawiwszy gąsior na ziemi, a biorąc kielichy. — Za zdrowie Ketlinga!

— Za zdrowie! — powtórzył Wołodyjowski. — Spieszmy się!

I wychylili duszkiem.

— Spieszmy się! — powtórzył Zagłoba. — Lej, chłopcze! Za zdrowie Skrzetuskiego! Spieszmy się!

Wychylili znów duszkiem, bo istotnie pilno było jechać.

— Siadajmy! — wołał Wołodyjowski.

— A mego nie wypijesz? — pytał żałosnym głosem Zagłoba.

— Byle prędzej!

I wypili prędko. Zagłoba przechylił od razu, choć przecie było z pół kwarty w kielichu, za czym nie obtarłszy jeszcze wąsów począł wołać:

— Byłbym niewdzięcznikiem, gdybym twego nie wypił! Lej, chłopcze!

— Z podziękowaniem! — odrzekł brat Jerzy.

Dno ukazało się w gąsiorze, Zagłoba chwycił go za szyję i rozbił w drobne kawałki, bo nie mógł znosić widoku próżnych naczyń. Następnie siedli żywo i pojechali.

Szlachetny napitek wnet napełnił ich żyły błogim ciepłem, a serca jakąś otuchą. Policzki brata Jerzego powlokły się lekkim szkarłatem, a wzrok odzyskał dawną bystrość.

Dłonią mimo woli sięgnął raz, drugi do wąsików i nastawił je sobie jak szydełka, aż końce ich pod oczy podchodziły. Począł się przy tym rozglądać po okolicy z ciekawością wielką, jakby ją pierwszy raz widział.

Nagle Zagłoba uderzył się dłońmi po kolanach i zakrzyknął ni z tego, ni z owego:

— Hoc! Hoc! Ufam, że jak cię Ketling ujrzy, do zdrowia wróci! Hoc! hoc!

I chwyciwszy za szyję Michała począł go ściskać z całej siły.

Wołodyjowski nie chciał mu pozostać dłużnym, więc uściskali się najszczerzej.

Jechali czas jakiś w milczeniu, ale w błogim. Tymczasem już domki przedmiejskie poczęły się ukazywać po obu stronach drogi.

Przed domkami ruch był wielki. W tę i w ową stronę ciągnęli mieszczanie, słudzy w różnej barwie, żołnierze i szlachta, często bardzo strojna.

— Na konwokację chmara szlachty zjechała — rzekł Zagłoba — bo choć to niejeden i nie posłuje, wszelako chce być, przysłuchać się, widzieć. Domy i gospody wszędy tak pozajmowane, że jednej izby trudno znaleźć, a co szlachcianek włóczy się po ulicach, to powiem ci, na włosach w brodzie nie zliczysz. Gładkie też, bestie, aż człek ma czasami ochotę strzepnąć rękoma po bokach jako gallus skrzydłami i zapiać. Patrz no! Patrz no na ową czarnuszkę, za którą hajduk zieloną szubkę niesie; czy nie rzęsista? co?

Tu pan Zagłoba trącił kułakiem w bok Wołodyjowskiego, a ten spojrzał, wąsikami ruszył, okiem błysnął, lecz w tejże chwili zawstydził się, opamiętał i spuściwszy głowę rzekł po krótkim milczeniu:

— Memento mori!

A Zagłoba znów chwycił go za szyję.

— Jak mnie kochasz, per amicitiam nostram, jak mnie szanujesz: ożeń się! Tyle jest zacnych panien, ożeń się!

Brat Jerzy spojrzał ze zdumieniem na swego przyjaciela. Pan Zagłoba nie mógł być przecie pijany, bo nieraz trzykroć tyle wypijał bez widomego skutku, więc tylko mówił z rozczulenia. Ale wszelka myśl podobna tak była daleka teraz od głowy pana Michała, że w pierwszej chwili zdumienie przemogło w nim nad oburzeniem.

Następnie jednak spojrzał surowo w oczy Zagłoby i spytał:

— Chybaś waść podchmielił?

— Z całego serca ci to mówię: ożeń się!

Pan Wołodyjowski spojrzał jeszcze surowiej.

— Memento mori!

Lecz Zagłoba nie zrażał się łatwo.

— Michale, jeśli mnie kochasz, uczyń to dla mnie i pocałuj psa w nos, razem ze swoim „memento". Repeto, że uczynisz, jak zechcesz, ale ja tak myślę: niech każdy służy Bogu tym, do czego go stworzył, a ciebie stworzył do rapiera, w czym widoczna była jego wola, gdy ci w onej sztuce do takiej doskonałości dojść pozwolił. A gdyby chciał cię mieć księdzem, tedy byłby cię zgoła innym dowcipem przyozdobił i serce ci więcej do ksiąg a łaciny nakłonił. Zauważ także, że święci żołnierze nie mniejszego respektu w niebie zażywają od świętych zakonników i na wyprawy przeciw komputowi piekielnemu chodzą, i praemia z rąk bożych otrzymują, gdy z chorągwiami zdobycznymi wracają... Wszystko to prawda, nie zaprzeczysz?

— Nie zaprzeczę i to wiem, że trudno jest przeciw waścinemu rozumowi na harc wychodzić; ale i waćpan również nie zaprzeczysz, że dla smutku lepsze jest w zakonie niż na świecie pożywienie.

— Ba! jeśli lepsze, to tym bardziej należy zakonów dla smutku vitare. Głupi, kto smutki prowiantuje, zamiast je o głodzie trzymać, żeby bestie zdechły jako najprędzej!

Pan Wołodyjowski nie znalazł na razie argumentu, więc umilkł i po chwili dopiero ozwał się utęsknionym głosem:

— Waćpan mi o ożenku nie wspominaj, bo takie wspominki jeno żałość na nowo budzą! Dawnej ochoty też nie staje, bo ze łzami spłynęła, a i lata nie po temu. Toćże mnie i czupryna już siwieć poczęła. Czterdzieści dwa lat, a dwadzieścia pięć trudów wojennych, nie żart, nie żart!

— Boże, nie karz go za bluźnierstwo! Czterdzieści dwa lat! Tfu! Przeszło dwa razy tyle mam na karku, a jeszcze człowiek czasem dyscyplinować się musi, aby upały ze krwi jako kurzawę z szat wytrzepać. Szanuj pamięć onej słodkiej nieboszczki, Michale! Toś dla niej był dobry? A dla innych jesteś za tani? Za stary?

— Daj waćpan spokój! Daj waćpan spokój! — odezwał się bolesnym głosem Wołodyjowski.

I łzy poczęły mu ściekać na wąsiki.

— Nie powiem więcej ni słowa! — rzekł Zagłoba — daj mnie tylko parol kawalerski, że co bądź się z Ketlingiem pokaże, przez miesiąc zostaniesz z nami. Trzeba, byś i

Skrzetuskiego zobaczył... Jeśli później zechcesz wrócić do habitu, nikt ci impedimentów nie będzie stawiał.

— Daję parol! — rzekł pan Michał.

I zaraz jęli o czym innym rozmawiać. Pan Zagłoba począł opowiadać o konwokacji, o tym, jako sprawę rugów przeciw księciu Bogusławowi poruszył, i o Ketlingowej przygodzie.

Chwilami wszelako przerywał opowiadanie i pogrążał się w myślach. Musiały być to wszelako wesołe myśli, bo od czasu do czasu uderzał rękoma o kolana i powtarzał:

— Hoc! Hoc!

W miarę jednak jak zbliżali się do Mokotowa, na twarzy pana Zagłoby pojawiła się pewna niespokojność. Obrócił się nagle do Wołodyjowskiego i rzekł:

— Pamiętasz? Dałeś parol, iż cokolwiek się z Ketlingiem pokaże, przez miesiąc zostaniesz z nami?

— Dałem i zostanę — odrzekł Wołodyjowski.

— Ot i Ketlingowy dwór! — zawołał Zagłoba. — Zacnie mieszka!

Po czym zakrzyknął na woźnicę:

— A pal no z bata! Święto dziś w tym domu będzie!

Rozległy się gromkie trzaskania z bicza. Ale jeszcze wasąg bramy nie przejechał, gdy z ganku wypadło kilku towarzyszów, pana Michałowych znajomych; byli między nimi i starzy kompanionowie z czasów chmielnicczyzny, i młodzi towarzysze z czasów ostatnich; między nimi pan Wasilewski i pan Nowowiejski, dzieciuchy jeszcze, ale kawalerowie ogniści, którzy w pacholęcym wieku uciekłszy ze szkół, od kilku lat wojnę praktykowali, pod panem Wołodyjowskim służąc. Tych lubił mały rycerz niezmiernie.

Ze starszych był pan Orlik, herbu Nowina, z czaszką złotem lutowaną, bo mu ją szwedzki granat czasu swego nadłupał, i pan Ruszczyc, półdziki rycerz stepowy, niezrównany zagończyk, jednemu Wołodyjowskiemu w sławie ustępujący, i kilku innych. Wszyscy, dojrzawszy dwóch mężów na powózce, poczęli krzyczeć:

— Jest, jest! Vicit Zagłoba! Jest!

I rzuciwszy się ku wasągowi porwali małego rycerza na ręce i nieśli ku gankowi powtarzając:

— Witaj! Żyj nam, towarzyszu najmilszy! Mamy cię i nie puścim! Vivat Wołodyjowski, pierwszy kawaler, ozdoba wszystkiego wojska! W step z nami, bracie! Na Dzikie Pola! Tam ci wiatr smutki wywieje!

Na ganku dopiero puścili go z rąk. On witał się ze wszystkimi, bo bardzo był owym przyjęciem rozrzewnion, a potem zaraz począł wypytywać:

— Jak się ma Ketling? Zali żyw jeszcze?

— Żyw! żyw! — odpowiedziano chórem i wąsy starych żołnierzy poczęły się poruszać w dziwnym uśmiechu. — Chodź do niego, bo nie doleży, tak cię niecierpliwie wygląda.

— Widzę, że nie tak mu blisko do śmierci, jako pan Zagłoba prawił — odrzekł mały rycerz.

Tymczasem weszli do sieni, a stamtąd do dużej izby. Na środku jej stał stół z przygotowaną ucztą, w jednym zaś kącie tapczan pokryty białą końską skórą, na którym leżał Ketling.

— Przyjacielu! — rzekł pan Wołodyjowski spiesząc ku niemu.

— Michale! — krzyknął Ketling i zerwawszy się na równe nogi, jak gdyby był w pełni sił, chwycił małego rycerza w objęcia.

Ściskali się tedy tak, że chwilami Ketling Wołodyjowskiego, a chwilami Wołodyjowski Ketlinga podnosił w górę.

— Kazali mi chorobę symulować — mówił Szkot — umarłego udawać, ale przecie na twój widok nie mogłem wytrzymać! Zdrów jestem jako ryba i żadna przygoda mnie nie spotkała. Ale chodziło o to, żebyć z klasztoru wydobyć!... Przebacz, Michale!... Z serca uczyniliśmy tę zasadzkę!...

— Na Dzikie Pola z nami! — krzyknęli znów rycerze i poczęli twardymi dłońmi uderzać po szablach, aż chrzęst groźny uczynił się w komnacie.

Lecz pan Michał zdumiał bardzo. Przez chwilę milczał, za czym jął spoglądać na wszystkich, a szczególniej na pana Zagłobę, wreszcie rzekł:

— O zdrajcy! Myślałem, że Ketling na śmierć usieczon!

— Jak to, Michale? — zawołał Zagłoba. — To gniewasz się o to, że Ketling zdrów? To żałujesz mu zdrowia, a śmierci życzysz? Także to skamieniało ci serce, że rad byś wszystkich na marach widzieć: i Ketlinga, i pana Orlika, i pana Ruszczyca, i tych młodzików, ba! nawet Skrzetuskiego i mnie, i mnie, który cię jak syna miłuję!

Tu Zagłoba oczy zatknął i wołał jeszcze żałośniej:

— Nic nam po życiu, mości panowie, bo nie masz wdzięczności na tym świecie, jeno zatwardziałość sama!

— Dla Boga! — odpowiedział Wołodyjowski — zła wam nie życzę, aleście mojego smutku nie umieli uszanować.

— Życia nam żałuje! — powtarzał Zagłoba.

— Dajże waść spokój!

— Powiada, że smutku jego nie chcemy szanować, a jakież to zdroje wyleliśmy nad jego nieszczęściem, mości panowie! Prawda! Boga biorę na świadka, że twój smutek radzi byśmy na szablach roznieść, bo tak zawsze przyjaciele czynić powinni. Ale że dałeś parol, iż przez miesiąc z nami zostaniesz, to przynajmniej przez ten miesiąc kochaj nas jeszcze, Michale!

— Ja i do śmierci będę waściów kochał! — odrzekł Wołodyjowski.

Dalszą rozmowę przerwało przybycie nowego gościa. Żołnierze, zajęci panem Wołodyjowskim, nie słyszeli, jak ów gość zajechał, i spostrzegli go dopiero teraz, we drzwiach. Był to mąż ogromny, wspaniałej tuszy i postawy, twarz miał rzymskiego cezara, w niej potęgę, a zarazem iście monarszą dobroć i łaskawość. Zgoła był inny od tych wszystkich żołnierzy, niezmiernie większy, i stał wobec nich, jakoby król ptaków, orzeł, stanął wobec jastrzębi, rarogów, kobuzów...

— Pan hetman wielki! — zawołał Ketling i skoczył, jako gospodarz, witać.

— Pan Sobieski! — powtórzyli inni.

Wszystkie głowy pochyliły się w pełnym uszanowania pokłonie.

Prócz Wołodyjowskiego wiedzieli wszyscy, że pan hetman przyjedzie, bo się był Ketlingowi obiecał, a jednak przybycie jego tak silne wywarło wrażenie, że przez chwilę nikt pierwszy ust nie śmiał otworzyć. Łaska też to była nadzwyczajna. Ale pan Sobieski kochał nad wszystko żołnierzy, zwłaszcza tych, którzy już z nim tylekroć tratowali po karkach czambułów tatarskich; uważał ich jakoby za rodzinę swoją i przeto właśnie postanowił powitać Wołodyjowskiego, pocieszyć go, wreszcie okazaniem niezwykłego faworu i pamięci wśród szeregów zatrzymać.

Więc powitawszy się z Ketlimgiem wyciągnął zaraz ręce ku małemu rycerzowi, a gdy ów się zbliżył i za kolana go chwycił, ścisnął mu dłońmi głowę.

— No, stary żołnierzu! — rzekł — no! Boża ręka cię przycisnęła do ziemi, aleć cię ona podniesie i pocieszy... Bóg z tobą! Już też zostaniesz z nami...

Szlochanie wstrząsnęło piersią pana Michała.

— Ostanę! — rzekł wśród łez.

— To i dobrze, takich mi jak najwięcej! A teraz, stary towarzyszu, przypomnijmy te czasy, kiedyśmy to w ruskich stepach pod namiotami do uczty siadali. Dobrze mi między wami! Dalej, gospodarzu, dalej!

— Vivat Joannes dux! — zakrzyknęły wszystkie głosy. Uczta się rozpoczęła i trwała długo.

Nazajutrz przysłał pan hetman dla Wołodyjowskiego bułanego dzianeta wielkiej wartości.

Rozdział VI

Ketling z Wołodyjowskim obiecywali sobie, byle się okazja trafiła, znowu strzemię przy strzemieniu jeździć, przy jednym ogniu siadać, z głowami na jednej kulbace sypiać.

Ale tymczasem wypadek ich rozłączył nie później jak w tydzień po pierwszym powitaniu. Oto z Kurlandii przybył posłaniec z oznajmieniem, iż ów Hassling, który młodego Szkota był adoptował i majętnością obdarzył, teraz nagle zachorzał i przybranego syna pilno widzieć pożąda. Młody rycerz nie namyślał się; siadł na koń i pojechał.

Przed wyjazdem prosił tylko pana Zagłobę i Wołodyjowskiego, by dom jego uważali za swój własny i tak długo w nim mieszkali, póki by się im nie uprzykrzyło.

— Może Skrzetuscy przyjadą — mówił. — Gdy elekcja nastanie, przynajmniej on sam z pewnością przybędzie; ale choćby ze wszystką dziatwą, znajdzie się tu dla całej rodziny miejsce. Ja nikogo z krewnych nie mam, a choćbym i braci miał, nie byliby mi od was bliżsi.

Zagłoba szczególniej był z tych zaprosin rad, bo mu było w domu Ketlingowym bardzo wygodnie, lecz przydały się one i dla pana Michała. Skrzetuscy wprawdzie nie przyjechali, ale natomiast dała znać o swym przybyciu siostra Wołodyjowskiego, która była za panem Makowieckim, stolnikiem latyczowskim. Wysłaniec jej przyjechał na dwór hetmański dopytywać, czy kto z dworzan czego o małym rycerzu nie wie. Oczywiście, wskazano mu natychmiast dom Ketlingowy.

Wołodyjowski uradował się bardzo, bo lata całe upłynęły od czasu, jak pani stolnikowej nie widział, a dowiedziawszy się, że w braku lepszej gospody stanęła na Rybakach, w nędznym domku, poleciał zaraz, by ją do Ketlingowego dworu zaprosić.

Szaro już było, gdy wpadł do niej, ale poznał ją od razu, chociaż dwie insze jakieś niewiasty znajdowały się z nią w izbie, bo pani stolnikowa była małego wzrostu, a okrągluchna jak kłębek nici.

Ona także go poznała; więc padłszy sobie w objęcia, długi czas słowa nie mogli przemówić i on czuł jej ciepłe łzy na twarzy, a ona jego; przez ten czas owe dwie inne niewiasty stały jak świece, przyglądając się powitaniu.

Pierwsza pani Makowiecka odzyskała mowę i poczęła wykrzykiwać cienkim i dość piskliwym głosem:

— Ile lat! Ile lat! Boże cię wspomóż, bracie najukochańszy! Jak tylko przyszła wieść o twoim nieszczęściu, zaraz zerwałam się jechać. I mąż mię nie wstrzymywał, bo od Budziaku burza grozi... Mówiono też o białogrodzkich Tatarach. I pewno szlaki się zaczernią, bo ptastwa okrutne stada widać, a przed każdym napadem zawsze tak jest. Boże cię pociesz, bracie kochany! Drogi! Złoty! Mąż sam na elekcję ma tu przyjechać, więc mi powiedział tak: „Weź panny i jedź wcześniej. Michała (powiada) w smutku utulisz, przed Tatary i tak (powiada) trzeba by gdzie głowy schronić, bo kraj stanie w ogniu, więc jedno z drugim się składa. Ruszaj (powiada) do Warszawy, gospodę dobrą zajmij, póki czas, żeby było gdzie mieszkać". On tam z powietnikami na szlaki ruszy ucha nadstawiać. Wojska mało w kraju. U nas tak zawsze. Mójże ty Michale kochany! Chodź do okna, niechże ci w twarz spojrzę. Gęba ci schudła, ale w smutku nie może inaczej być. Łatwo było powiedzieć mężowi na Rusi: szukaj gospody! A tu nic nigdzie; my same ot, w chałupie! Ledwie trzy wiązki słomy na spanie dostałam.

— Pozwól, siostro!... — rzekł mały rycerz.

Ale siostra nie chciała pozwolić i mówiła dalej, jakoby młynek turkotał:

— Tuśmy stanęły, bo nie było gdzie indziej. Gospodarzom jakoś wilkiem z oczu patrzy, może i źli ludzie. Prawda, że to mamy czterech czeladzi, dobrych pachołków, a i my same niepłochliwe, bo to w naszych stronach i niewiasta kawalerskie serce mieć musi, inaczej nie mogłaby tam mieszkać. Mam też bandolecik, który zawsze ze sobą wożę, a Baśka dwie krócice. Jeno Krzysia oręża nie kocha... Ale że tu obce miasto, więc wolałybyśmy w jakiej pewniejszej gospodzie się zatrzymać...

— Pozwól, siostro... — powtórzył pan Wołodyjowski.

— A ty gdzie mieszkasz, Michale? Musisz mi pomóc w wyszukaniu gospody, boś w Warszawie bywały...

— Gospodę mam gotową — przerwał pan Michał — i tak zacną, że senatorski dwór mógłby w niej stanąć. Mieszkam u mego przyjaciela, kapitana Ketlinga, i zaraz cię tam zabiorę...

— Ale pamiętaj, że to nas trzy i dwie sług, i czterech czeladzi. Toż na Boga! Ja cię dotąd z kompanią nie poznajomiłam!

Tu zwróciła się do towarzyszek:

— Waćpanny wiedzą, kto on, ale on nie wie, kto waćpanny; uczyńcie choć i po ciemku znajomość. Nawet nam w piecu dotąd nie zapalono... To jest panna Krystyna

Drohojowska, a ówta, panna Barbara Jeziorkowska. Mąż mój jest opiekunem ich i ich majętności, a one z nami mieszkają, bo sieroty. Samotnie zaś mieszkać tak młodym pannom nie wypada.

Przez czas, gdy stolnikowa mówiła, Wołodyjowski skłonił się żołnierskim obyczajem; panny chwyciwszy palcami za suknie dygnęły obie, przy tym panna Jeziorkowska rzuciła głową jak młody źrebak.

— Siadajmy i jedźmy! — rzekł. — Mieszka ze mną pan Zagłoba, którego prosiłem, aby wieczerzę przygotować kazał.

— Ten sławny pan Zagłoba? — spytała nagle panna Jeziorkowska.

— Baśka, cicho! — rzekła pani stolnikowa. — Boję się tylko, czy kłopotu nie będzie.

— Już jak tam pan Zagłoba o wieczerzy myśli — odparł mały rycerz — to starczy, choćby nas dwa razy tyle przyjechało. Każcie waćpanny łuby wynosić. Wziąłem też i wózek pod rzeczy, a karabon Ketlingowy tak obszerny, że we czworo wygodnie się pomieścić możemy. Ot, co mi przychodzi do głowy: jeśli pachołkowie nie pijacy, niech tu do jutra z końmi i wielkimi rzeczami zostają, a my weźmiem jeno co najpotrzebniejsze.

— Nie mają potrzeby zostawać — rzecze pani stolnikowa — bo wozy jeszcze nie wyładowane, tylko konie wprzęgnąć i mogą zaraz jechać. Baśka, idź, przypilnuj!

Panna Jeziorkowska skoczyła do sieni, a w kilka pacierzy później wróciła z oznajmieniem, że wszystko gotowe.

— To i czas! — rzekł Wołodyjowski.

Po chwili siedzieli w karabonie i jechali do Mokotowa. Pani stolnikowa z panną Drohojowską zajęły tylne siedzenie, na przodku zaś usadowił się mały rycerz koło panny Jeziorkowskiej. Ciemno już było, więc twarzom ich nie mógł się przyjrzeć.

— Waćpanny znają Warszawę? — spytał pochyliwszy się do panny Drohojowskiej i podnosząc głos, aby turkot karabonu zagłuszyć.

— Nie — odrzekła niskim, ale dźwięcznym i miłym głosem. — Parafianki z nas prawdziwe i dotąd nie znamy ni sławnych miast, ni sławnych ludzi.

To rzekłszy skłoniła nieco głowę, jakby dając znać, że do tych ostatnich pana Wołodyjowskiego zalicza, on zaś przyjął wdzięcznie odpowiedź. „Polityczna jakaś dziewczyna!” — pomyślał i zaraz zaczął łamać głowę, jakim by w zamian ruszyć komplementem.

— Choćby to miasto było i dziesięć razy większe, niż jest — rzekł wreszcie — jeszcze byście waćpanny najcelniejszy jego mogły stanowić ornament.

— A waćpan skąd wiesz, kiedy ciemno? — spytała nagle panna Jeziorkowska.

„Ot! koza!” — pomyślał pan Wołodyjowski.

Ale nie odrzekł nic i przez czas jakiś jechali w milczeniu; wtem znów panna Jeziorkowska zwróciła się do małego rycerza:

— Nie wiesz waćpan, czy tam w stajniach dość miejsca, bo to my mamy dziesięć koni i dwa podjezdki?

— Choćby i trzydzieści; znajdzie się gdzie pomieścić.

A panna na to:

— Fiu, fiu!

— Baśka! — rzekła tonem perswazji pani stolnikowa.

— Acha! Dobrze! Baśka! Baśka! A na czyjej głowie były konie przez całą drogę?

W ten sposób rozmawiając zajechali przed dom Ketlingowy.

Wszystkie okna jasno już były oświecone na przyjęcie pani stolnikowej. Wybiegła służba z panem Zagłobą na czele, który przyskoczywszy do wasągu i ujrzawszy trzy niewiasty spytał zaraz:

— W którejże z pań mam zaszczyt powitać osobliwą moją dobrodziejkę, a zarazem siostrę mego najlepszego przyjaciela, Michała?

— Jam jest! — odrzekła pani stolnikowa.

Wówczas Zagłoba chwycił ją za rękę i począł pośpiesznie całować powtarzając:

— Czołem biję, czołem!

Następnie pomógł jej zsiąść z karabonu i prowadził z wielką atencją oraz z szurganiem nogami do sieni.

— Niech mi za progiem wolno będzie jeszcze raz powitać — mówił po drodze.

A tymczasem pan Michał pomagał zsiadać pannom. Że zaś karabon był wysoki, a stopnia po ciemku trudno było nogą zmacać, więc chwycił wpół pannę Drohojowską i uniósłszy ją w powietrzu, postawił przed sobą na ziemi. Ona zaś nie opierając się zaciężyła przez oka mgnienie piersią na jego piersi i rzekła:

— Dziękuję waćpanu!

Pan Wołodyjowski zwrócił się z kolei do panny Jeziorkowskiej, ale ona zeskoczyła już na drugą stronę wasągu, więc podał ramię Drohojowskiej.

W izbie nastąpiła znajomość z panem Zagłobą, który na widok dwóch panien wpadł w doskonały humor i zaraz zaprosił do wieczerzy.

Już też i dymiło się z półmisków na stole, a jak przewidywał pan Michał, wszystkiego była taka obfitość, że i na dwa razy tyle osób by starczyło.

Więc siedli. Pani stolnikowa zajęła naczelne miejsce, obok niej Zagłoba po prawicy, a za nim panna Jeziorkowska. Wołodyjowski siadł z lewej strony, obok Drohojowskiej.

I tu dopiero mały rycerz mógł się dobrze pannom przypatrzyć.

Obie były ładne, ale każda w swoim rodzaju. Drohojowska miała czarne jak krucze skrzydła włosy, takież brwi, duże błękitne oczy, płeć smagłą a bladą i tak delikatną, że widać jej było przez skórę niebieskie żyłki na skroniach. Ledwie dostrzegalny ciemny puszek pokrywał jej wierzchnią wargę, uwydatniając usta słodkie a ponętne, jakby trochę do pocałunku złożone. Była w żałobie, bo niedawno ojca straciła, i ta barwa stroju, przy delikatności cery i czarnych włosach, nadawała jej pewien pozór smutku i surowości. Na pierwszy rzut oka wydawała się starszą od swej towarzyszki i dopiero przyjrzawszy się lepiej, spostrzegł pan Michał, że krew pierwszej młodości płynęła pod tą przezroczystą skórą. I im więcej patrzył, tym więcej podziwiał: i pańskość postawy, i szyję łabędzią, i te kształty smukłe a pełne dziewiczych uroków.

„To jest wielka pani — myślał sobie — która duszę musi mieć wspaniałą! Za to ta druga istny pacholik!”

Jakoż porównanie było trafne.

Jeziorkowska była o wiele od Drohojowskiej mniejsza i w ogóle drobna, choć nie chuda; różowa jak pączek róży, jasnowłosa. Ale włosy miała, widocznie po chorobie, obcięte i w złotą siatkę schowane. Te jednak, na niespokojnej głowie siedząc, nie chciały także zachować się spokojnie, jeno wyglądały kończykami przez wszystkie oka siatki, a nad czołem tworzyły bezładną płową czuprynę, która spadała aż na brwi, na kształt kozackiego osełedca, co przy bystrych niespokojnych oczkach i zawadiackiej minie czyniło tę różową twarzyczkę podobną do twarzy żaka, który jeno patrzy, jak by co zbroić bezkarnie.

Jednak tak była ładna i świeża, że trudno było oczu od niej oderwać. Nosek miała cienki, nieco zadarty, o ruchomych, ciągle rozdymających się nozdrzach, dołki na twarzy i dołek w brodzie — znak wesołego usposobienia.

Ale teraz siedziała poważnie i jadła smacznie, co chwila tylko strzelając oczyma: to na pana Zagłobę, to na pana Wołodyjowskiego, i spoglądając na nich z dziecinną prawie ciekawością jak na jakieś osobliwości.

Pan Wołodyjowski milczał, bo chociaż czuł, że mu wypada zająć rozmową pannę Drohojowską, nie wiedział, od czego zacząć. W ogóle nie był zręczny do niewiast mały rycerz, a teraz miał przy tym duszę tym smutniejszą, że mu te dziewczyny żywo na pamięć kochaną zmarłą przywiodły.

Natomiast pan Zagłoba bawił panią stolnikową, prawiąc jej o czynach pana Michałowych i własnych. W środku wieczerzy wpadł na opowiadanie, jak niegdyś z kniaziówną Kurcewiczówną i Rzędzianem samoczwart przed całym czambułem umykali i jak wreszcie dla ocalenia kniaziówny i zatrzymania pogoni rzucili się we dwóch na czambuł.

Panna Jeziorkowska aż jeść przestała i wsparłszy brodę na rękach, słuchała pilnie, potrząsając co chwila czupryną, mrugając oczyma, trzaskając w palce w najciekawszych miejscach i powtarzając:

— Aha! Aha! No i co? No i co?

Aż gdy przyszło do tego miejsca, jak dragoni Kuszla, nadbiegłszy niespodzianie w pomoc, wsiedli na kark Tatarom i jechali na nich siekąc przez pół mili, nie mogła dłużej wytrzymać panna Jeziorkowska, więc klasnąwszy z całej siły w ręce, zakrzyknęła:

— Chciałabym tam być, dalipan!

— Baśka! — zawołała tłuściuchna pani Makowiecka wybitnym rusińskim akcentem — toż tu między polityczny naród przyjechałaś, odzwyczajże się od swoich „dalipan”! Tego tylko, Boże wielki, braknie, żebyś zakrzyknęła: „Niech mnie kule biją!”

Panienka rozśmiała się świeżym i dźwięcznym jak srebro śmiechem i nagle uderzyła się rękami po kolanach.

— No! To niech mnie kule biją, ciotula!

— O Boże! Uszy więdną! Przeproś całe towarzystwo! — wołała pani stolnikowa.

Wówczas Baśka, chcąc zacząć od pani stolnikowej przeprosiny, zerwała się z miejsca, ale zarazem zrzuciła pod stół nóż i łyżkę, więc następnie sama nurknęła za nimi.

Okrągluchna pani stolnikowa nie mogła dłużej śmiechu powstrzymać, a miała dziwny śmiech, bo naprzód zaczynała się trząść i podrygiwać, a potem piszczeć cienko. Rozweselili się wszyscy. Zagłoba był zachwycony.

— Patrzcie państwo, co ja mam z tą dziewczyną! — powtarzała trzęsąc się stolnikowa.

— Czyste delicje, jak mnie Bóg miły! — mówił Zagłoba.

Tymczasem panna Basia wylazła spod stołu, łyżkę i nóż znalazła, ale zgubiła siatkę z głowy; czupryna całkiem jej spadła na oczy. Wyprostowawszy się poruszyła nozdrzami i rzekła:

— Aha! śmiejecie się waćpaństwo z mojej konfuzji. Dobrze!

— Nikt się nie śmieje — rzekł tonem przekonania Zagłoba — nikt się nie śmieje! Nikt się nie śmieje! Cieszymy się tylko, że nam Pan Bóg radość w osobie waćpanny zesłał.

Po wieczerzy przeszli do bawialnej izby. Tam panna Drohojowska, ujrzawszy wiszącą na ścianie lutnię, zdjęła ją i poczęła w struny brzękać. Wołodyjowski prosił jej, żeby zaśpiewała co do wtóru, ona zaś odrzekła z prostotą i dobrocią:

— Gotowam, jeśli troskę z waćpanowej duszy wygnać zdołam...

— Dziękuję! — odpowiedział mały rycerz podnosząc na nią z wdzięcznością oczy.

Po chwili śpiew się rozległ:

Wierzcie, rycerze,
Na nic pancerze,
  Na nic się tarcze zdały!
Przez stal, żelazo
W serce się wrażą
  Kupida ostre strzały!

— Już nie wiem, jak waćpani dziękować — mówił Zagłoba siedząc opodal z panią stolnikową i całując ją po rękach — żeś i sama przyjechała, i tak foremne dziewki ze sobą przywiozła, że Gracje same mogłyby przy nich w piecu palić. Szczególniej mi ów hajduczek do serca przypadł, bo to ci taka bestyjka tak smutki rozgoni, że i łasica lepiej myszy nie rozpędzi. Cóż bowiem są smutki, jeśli nie myszy, które gryzą ziarna wesołości złożone w naszych sercach? Trza waćpani dobrodziejce wiedzieć, że dawny nasz król, Joannes Casimirus, tak moje comparationes lubił, że jednego dnia się bez nich obejść nie mógł. Musiałem i przypowieści, i mądre maksymy dla niego układać, które kazał sobie zawsze przed nocą powtarzać i według których politykę prowadził. Ale to inna materia. Ufam, że i nasz Michał do reszty przy tych delicjach o przygodzie swej nieszczęśliwej zapomni. Waćpani nie wiesz, że ja go dopiero tydzień wyciągnąłem od kamedułów, gdzie chciał już śluby czynić. Alem sobie samego nuncjusza instancję zjednał, któren przeorowi zapowiedział, że cały klasztor w dragony pośle, jeśli zaraz Michała nie wypuszczą. Nic tam było po nim!... Chwała Bogu! Chwała Bogu!... Znam ja go! Nie dziś, to jutro którakolwiek z tych dwóch takie iskry z niego wykrzesze, że się od nich serce w nim jak huba zajmie.

Tymczasem panna Drohojowska śpiewała dalej:

Lecz gdy pawęża
Hardego męża
  Przed grotem nie obroni —

Mdła białogłowa

Jakże się schowa

I gdzie się biedna schroni?

— Tak się białogłowy tych grotów boją jak pies sadła — szepnął pani stolnikowej Zagłoba. — Ale przyznaj, waćpani dobrodzika, żeś nie bez jakowychś ukrytych zamiarów te sikory tu przywiozła. Setne dziewki! Szczególniej ów hajduczek, żebym tak zdrów był! Chytrą Michał ma siostrzyczkę, co?

Pani Makowiecka uczyniła istotnie bardzo chytrą minę, która zresztą zupełnie nie przypadła do jej prostodusznej, poczciwej twarzy, i odrzekła:

— Myślało się o tym i o owym, jak to zwykle nam, niewiastom, na przebiegłości nie braknie. Mój mąż ma tu przyjechać na elekcję, a ja dziewczyny wcześniej zabrałam, bo Tatarów tylko u nas patrzeć. Gdyby zaś miało z tego co szczęśliwego dla Michała się zdarzyć, ofiarowałabym się piechotą do jakiego cudownego obrazu.

— Zdarzy się, zdarzy! — rzekł Zagłoba.

— Obie dziewczyny z wielkich domów i obie dostatnie, a i to coś w dzisiejszych ciężkich czasach znaczy...

— Nie mnie taką rzecz trzeba powtarzać. Michałową fortunę wojna zjadła, choć wiem, że ma coś grosiwa na prowizji u wielkich panów. Braliśmy nieraz znamienite łupy, mościa pani, a choć się to na dyskrecję hetmańską oddawało, przecie część szła na podział, jak się to mówi u nas po żołniersku: „od szabli". Na Michałową tyle nieraz wypadało, że gdyby był wszystko zachował, miałby dziś piękną fortunę. Ale to żołnierz nie patrzy na jutro, jeno dziś hula. A Michał byłby i wszystko przehulał, gdyby nie to, żem go zawsze powściągał. Powiadasz tedy waćpani, że to dziewki wielkiej krwi?

— W Drohojowskiej jest senatorska krew. Prawda i to, że tam nasze pobrzeżne kasztelanie to nie krakowska, a są i takie, o których mało kto w Rzeczypospolitej słyszał; ale przecie, kto raz na krześle zasiadł, ten swój splendor i potomstwu przekazuje. Co zaś do paranteli, to Jeziorkowska prawie jeszcze Drohojowską przewyższa.

— Proszę, proszę! Ja sam się od pewnego króla Masagietów wywodzę, więc lubię o czyimś pokrewieństwie posłuchać.

— Z tak wysokiego gniazda Jeziorkowska się znowu nie wywodzi, ale jeśli waćpan życzysz posłuchać... bo my tam w naszych stronach każdego domu na palcach możemy wyliczyć koligacje... Owóż ona jest krewna: i Potockich, i Jazłowieckich, i Łaszczów. Widzi waćpan, to było tak...

Tu pani stolnikowa rozgarnęła fałdy sukni i usadowiła się wygodniej, aby żadnej w ulubionym opowiadaniu nie znaleźć przeszkody; rozstawiła palce jednej dłoni, a wskazujący drugiej przygotowała do liczenia dziadków i babek, po czym zaczęła:

— Córka pana Jakuba Potockiego, Elżbieta, z drugiej jego żony, Jazłowieckiej, wyszła za pana Jana Smiotanko, chorążego podolskiego...

— Zakonotowałem! — rzekł Zagłoba.

— Z tego małżeństwa urodził się pan Mikołaj Smiotanko, takoż chorąży podolski.

— Hm! Piękna godność!

— Ten był żonaty pierwszy raz z Dorohostaj... Nie! Z Rożyńską... Nie! Z Woroniczówną... Bodajże cię! Zapomniałam!

— Wieczny jej pokój, jakkolwiek się nazywała! — rzekł z powagą Zagłoba.

— A drugi raz ożenił się z Łaszczówną...

— Tum go czekał! Jakiż był tego małżeństwa effectus?

— Synowie im pomarli...

— Każda radość krucha w tym świecie...

— A z czterech córek najmłodsza, Anna, poszła za Jeziorkowskiego, herbu Rawicz, komisarza do rozgraniczenia Podola, któren był potem, jeśli się nie mylę, i miecznikiem podolskim.

— Był, pamiętam! — rzekł z całą pewnością Zagłoba.

— Z tego małżeństwa, widzisz waćpan, rodzi się Basia.

— Widzę i to przy tym, że się w tej chwili z Ketlingowego szturmaka przymierza.

Jakoż Drohojowska i mały rycerz zajęci byli rozmową, a panna Basia mierzyła sobie dla rozrywki ze szturmaka ku oknu.

Pani Makowiecka poczęła się na ten widok trząść i piszczeć.

— Waćpan sobie nie wyimaginujesz, co ja mam z tą dziewczyną! Czysty hajdamaka!

— Żeby wszyscy hajdamakowie byli tacy, zaraz bym do nich przystał!

— Jej nic w głowie, jeno oręż a konie, a wojna! Raz wyrwała się z domu na polowanie na kaczki, z guldynką. Zalazło to gdzieś między trzciny, aż tu patrzy: trzciny się rozsuwają i co widzi?... Głowę Tatarzyna, który trzcinami pod wieś się przekradał... Inna byłaby się przestraszyła, a ta bieda kiedy nie gruchnie z guldynki. Tatarzyn chlup w wodę! Na miejscu, imainuj sobie waćpan, go położyła... i czym?... kaczym śrutem...

Tu pani Makowiecka poczęła się znów trząść i chychotać nad przygodą Tatarzyna, po czym dodała:

— I co prawda, ocaliła nas wszystkich, bo cały czambulik szedł; ale że wróciwszy narobiła alarmu, więc mieliśmy czas z czeladzią w lasy uskoczyć! U nas tak ciągle!...

Twarz Zagłoby oblała się takim zachwytem, że aż oko na chwilę przymrużył, za czym zerwał się, poskoczył do dziewczyny i nim się opatrzyła, pocałował ją w czoło.

— To od starego żołnierza za tego Tatarzyna w trzcinach! — rzekł.

Panienka potrząsnęła zamaszyście swoją płową czupryną.

— Co? zadałam mu bobu! — zawołała swym świeżym, dziecinnym głosikiem, który tak dziwnie brzmiał wobec sensu jej słów.

— Mójże ty hajduczku najmilszy! — rzekł rozrzewniony Zagłoba.

— Ale co tam jeden Tatar! Waćpanowieście tysiącami ich nasiekli, i Szwedów, i Niemców, i Węgrzynów Rakoczego. Co ja tam przy waćpanach znaczę, przy takich rycerzach, jakich drugich w całej Rzeczypospolitej nie masz. Wiem doskonale! oho!

— Będziem cię uczyć szabelką robić, kiedy masz taki animusz. Ja już trochę przyciężki, ale Michał to także mistrz.

Panienka na taką propozycję aż podskoczyła w górę, następnie pocałowała w ramię pana Zagłobę i dygnęła małemu rycerzowi mówiąc:

— Dziękuję za obietnicę! Już trochę umiem!

Ale Wołodyjowski cały był zajęty rozmową z Krzysia Drohojowską, więc odpowiedział z dystrakcją:

— Co tylko waćpanna rozkażesz!

Zagłoba z rozpromienionym obliczem przysiadł się znów do pani stolnikowej latyczowskiej.

— Moja mościwa dobrodziejko — rzekł. — Wiem ja to dobrze, jako bakalie tureckie są wyborne, bom długie lata w Stambule przesiedział, ale i to wiem także, że właśnie jest siła na nie łakomych. Jakże się to stało, że się na tę dziewczynę nikt dotąd nie złakomił?

— Dla Boga! nie brakło takich, którzy się obydwom zalecali. A Baśkę to nazywamy, śmiejąc się, wdową po trzech mężach, bo naraz trzech godnych kawalerów puściło się do niej w zaloty: pan Świrski, pan Kondracki i pan Ćwilichowski. Wszystko szlachta z naszych stron i posesjonaci, których koligacje mogę także dokładnie waćpanu wymienić.

To rzekłszy pani stolnikowa rozstawiła już znowu palce lewej ręki i przyładowała wskazujący prawej, lecz Zagłoba spytał co prędzej:

— I cóż się z nimi stało?

— Wszyscy trzej na wojnie dali gardła, dlatego też to i Baśkę zowiemy wdową.

— Hm! A ona jakże to przeniosła?

— Widzi waćpan, to u nas codzienna rzecz i rzadko kto, późnego wieku doszedłszy, własną śmiercią schodzi. Mówią nawet u nas, że i nie wypada inaczej szlachcicowi jak w polu. Jak Baśka to przeniosła? Pochlipała trochę, nieboga, a najwięcej w stajni, bo już jak jej co dolega, to ona zaraz do stajni! Poszłam kiedyś za nią i pytam: „Po którym płaczesz?" A ona na to: „Po wszystkich trzech!" Z tego responsu zaraz zmiarkowałam, że żadnego sobie po szczególe nie upodobała... I tak myślę, że mając głowę czym innym zaprzątniętą, wcale ona jeszcze woli bożej nie czuje; Krzysia więcej, ale Baśka chyba jeszcze nic!...

— Poczuje! — rzekł Zagłoba. — Mościa dobrodziejko! My to najlepiej rozumiemy! Poczuje, poczuje!...

— Takie nasze przeznaczenie! — odpowiedziała pani stolnikowa.

— Otóż to właśnie! Z ust mi to waćpani wyjęłaś!

Dalszą rozmowę przerwało zbliżenie się młodszej kompanii.

Mały rycerz bardzo był już ośmielony do panny Krzysi, a ona, widocznie przez dobroć serca, zajmowała się nim i jego smutkiem tak, jak lekarz zajmuje się chorym. I może właśnie dlatego więcej okazywała mu życzliwości, niż pozwalała na to ich krótka znajomość. Ale że pan Michał był bratem stolnikowej, a panienka krewną jej męża, więc nikogo to nie dziwiło. Baśka natomiast została jakoby na uboczu i tylko pan Zagłoba zwracał na nią ustawiczną uwagę. Lecz zresztą było jej to widocznie wszystko jedno, czy się kto nią zajmował, czy nie. Z początku spoglądała z podziwieniem na obydwóch rycerzy, ale z równym podziwieniem przypatrywała się i cudnej Ketlingowej broni porozwieszanej na ścianach. Potem zaczęła trochę ziewać, potem oczy kleiły się coraz bardziej, a wreszcie rzekła:

— Jak się kropnę spać, tak się pojutrze chyba obudzę...

Po tych słowach rozeszli się zaraz wszyscy, bo niewiasty były bardzo zdrożone i czekały tylko na łóżek posłanie.

Gdy pan Zagłoba znalazł się wreszcie sam na sam z Wołodyjowskim, naprzód począł mrugać znacząco, następnie zaś obsypał małego rycerza gradem lekkich kułaków.

— Michał! A co Michał, hę? Jak rzepy! Co? Mnichem zostaniesz, co? A ta borówka Drohojowska, smaczna? A ów hajduczek różowiuchny, uch! Cóż ty na to, Michale?

— Cóż, nic! — odpowiedział mały rycerz.

— Pryncypalnie mi się ów hajduczek udał. To powiadam ci, że kiedym przy niej podczas wieczerzy siedział, tak mnie od niej piekło jak od piecyka.

— Koza to jeszcze; tamta gdzie stateczniejsza!

— Drohojowska węgierska śliwka, istna węgierska śliwka! Ale tamten orzeszek!... Dalibóg, żebym miał zęby!... chciałem rzec, żebym miał taką córkę, tobie jednemu bym ją oddał. Migdał, powiadam, migdał!

Wołodyjowski posmutniał nagle, bo mu się przypomniały przezwiska, jakie pan Zagłoba Anusi Borzobohatej dawał. Jako żywa stanęła mu nagle w myśli i pamięci jej postać, jej twarz malutka, jej ciemne warkocze, jej wesołość i szczebiotanie, i sposób patrzenia. Te obie były młodsze, ale przecie tamta była droższa stokroć od wszystkich młodszych...

Mały rycerz ukrył twarz w dłoniach i żal porwał go tym większy, że niespodziany.

Zagłoba zadziwił się: czas jakiś milczał i patrzył niespokojnie, następnie rzekł:

— Michale, co ci to? Przemów, dla Boga!

Wołodyjowski przemówił:

— Tyle ich żyje, tyle ich chodzi po świecie, jeno mojego jagniątka już nie ma, jeno jej jednej nigdy już nie obaczę!...

Za czym ból mu głos zdławił, więc czoło wsparł o poręcz ławy i począł szeptać przez zaciśnięte wargi:

— Boże! Boże! Boże!...

Rozdział VII

Panna Basia dopilnowała jednak Wołodyjowskiego, żeby ją „fechtów" uczył, on zaś nie odmówił, bo po kilku dniach, choć zawsze wolał Drohojowską, jednak i Baśkę bardzo polubił, ile że zresztą trudno jej było nie lubić.

Pewnego poranku zaczęła się tedy pierwsza lekcja, głównie chełpliwością Baśki wywołana i jej upewnieniami, jako że już tę sztukę wcale nieźle posiada i nie byle kto potrafi jej pola dotrzymać.

— Starzy żołnierze mnie uczyli — mówiła — których u nas nie brak, a wiadomo przecie, że nie masz nad naszych szermierzów... Ba, to jeszcze pytanie, czybyście i waćpanowie równych sobie nie znaleźli.

— Co waćpanna mówisz — zawołał Zagłoba — my w całym świecie równych nie mamy!

— Chciałabym, żeby się pokazało, iż i ja równa. Nie spodziewam się, ale chciałabym!

— Na strzelanie z bandoleciku to i ja bym się popróbowała — rzekła śmiejąc się pani Makowiecka.

— Dla Boga! Chyba same amazonki w Latyczowskiem mieszkają — rzekł Zagłoba.

Tu zwrócił się do Drohojowskiej:

— A waćpanna jaką bronią najlepiej władasz?

— Żadną — odpowiedziała Krzysia.

— Aha! Żadną! — zakrzyknęła Baśka. I tu przedrwiwając Krzysię poczęła śpiewać:

Wierzcie, rycerze,
Na nic pancerze,
  Na nic się tarcze zdały!
Przez stal, żelazo
W serce się wrażą
  Kupida ostre strzały!

— Taką ona bronią władnie, nie bójcie się! — dodała zwracając się do Wołodyjowskiego i Zagłoby. — Szermierz też z niej nie lada!

— Wychodź waćpanna! — rzekł pan Michał chcąc ukryć lekkie pomieszanie.

— Ej, Boże! Żeby się pokazało, co ja myślę! — zawołała Basia rumieniąc się z radości.

I stanęła zaraz w pozycji mając lekką polską szabelkę w prawicy, lewą zaś rękę zasunęła za plecy i z wysuniętą piersią naprzód, z podniesioną głową i rozdętymi chrapkami była tak ładna i tak różowa, że Zagłoba szepnął do pani stolnikowej:

— Żaden gąsiorek, choćby ze stuletnim węgrzynem, nie udelektowałby mnie tak swym widokiem!

— Uważ waćpanna — rzekł Wołodyjowski — ja się tylko będę bronił, ni razu nie przytnę, a waćpanna atakuj, jak się jej żywnie podoba.

— Dobrze. Kiedy zaś waćpan będziesz chciał, żebym przestała, to mi słowo rzeknij.

— Mogłoby się i tak skończyć, kiedy bym tylko zechciał!...

— A to jakim sposobem?

— Bo takiemu szermierzykowi łatwie bym szabelkę z rąk wytrącić zdołał.

— Zobaczymy!

— Nie zobaczymy, bo tego przez politykę nie uczynię.

— Nie trzeba tu żadnej polityki. Uczyń to waść, jeśli zdołasz. Wiem, że mniej umiem od waćpana, ale tego przecie sobie nie dam uczynić!

— Więc waćpanna pozwalasz?

— Pozwalam!

— Dajże spokój, hajduczku najsłodszy — rzekł Zagłoba. — On to z największymi mistrzami czynił.

— Zobaczymy! — powtórzyła Basia.

— Zaczynajmy! — rzekł Wołodyjowski, nieco zniecierpliwiony przechwałkami dziewczyny.

Zaczęli.

Basia przycięła okrutnie, skacząc przy tym jak konik polny.

Wołodyjowski zaś stał w miejscu, czyniąc, wedle swego zwyczaju, malusieńkie ruchy szablą i nie bardzo nawet zważając na atak.

— A waćpan to się ode mnie jak od uprzykrzonej muchy oganiasz! — zawołała podrażniona Basia.

— Jaż się z waćpanną nie próbuję, jeno ją uczę! — odparł mały rycerz. — Dobrze tak! Jak na białogłowę, wcale nieźle! Spokojniej z dłonią!

— Jak na białogłowę? Masz waćpan za białogłowę! Masz! Masz!

Ale pan Michał, lubo Basia zażyła swych cięć najznamienitszych, nic nie miał. Owszem, umyślnie począł rozmawiać z Zagłobą, aby okazać, jak mało dba o Basine ciosy.

— Odstąp waćpan od okna, bo pannie ciemno, a choć szabla większa od igły, za to ma panna mniej eksperiencji do szabli niż do igły.

Chrapki Basi rozdęły się jeszcze więcej, a czupryna spadła całkiem na błyszczące oczka.

— Waćpan mnie lekceważysz? — spytała dysząc mocno.

— Nie osobę, broń Boże!

— Nie cierpię pana Michała!

— Masz, bakałarzu, za twą naukę! — odpowiedział mały rycerz.

Po czym znów do Zagłoby:

— Dalibóg, że śnieg zaczyna padać.

— Ot, śnieg! Śnieg! Śnieg! — powtarzała przycinając Baśka.

— Baśka, dosyć! Ledwie już dyszysz! — wtrąciła pani stolnikowa.

— No, trzymaj waćpanna szablę, bo wytrącę!

— Zobaczymy!

— A ot!

I szabelka, wyfrunąwszy jako ptak z rąk Basi, upadła z brzękiem aż koło pieca.

— To ja sama! Niechcący! To nie waćpan! — wołała ze łzami w głosie panienka i chwyciwszy w mig szabelkę, znowu przycięła.

— Spróbuj waćpan teraz...

— A ot! — powtórzył pan Michał.

I szabelka znów się znalazła pod piecem.

Pan Michał zaś rzekł:

— Na dzisiaj dość!

Pani stolnikowa poczęła drgać i piszczeć głośniej jak zwykle, Basia zaś stała na środku izby, zmieszana, odurzona, dysząc mocno, gryząc wargi i tłumiąc łzy, które przemocą cisnęły się jej do oczu. Wiedziała, że tym bardziej będą się śmieli, jeżeli wybuchnie płaczem, i koniecznie chciała się wstrzymać, ale widząc, że nie zdoła, wypadła nagle z izby.

— Dla Boga! — zawołała pani stolnikowa. — Pewnie do stajni uciekła, a taka zgrzana... jeszcze ją zamróz chyci. Trzeba chyba pójść za nią! Krzysiu, nie wychodź!

To rzekłszy wyszła i porwawszy ciepłą jubkę w sieni, biegła z nią do stajni, a za nią biegł Zagłoba, niespokojny o swego hajduczka.

Chciała wybiec i Drohojowska, lecz mały rycerz chwycił ją za rękę.

— Słyszałaś waćpanna zakaz? Nie puszczę tej ręki, póki nie wrócą.

I rzeczywiście nie puszczał. A była to ręka jakoby atłasowa, miękka; panu Michałowi wydało się, że jakiś strumień ciepły przepływa z tych cienkich palców w jego kości, sprawując w nich lubość niezwykłą, więc trzymał je coraz mocniej.

Lekkie rumieńce przeleciały przez smagławą twarz Krzysi.

— Tom, widzę, branka w jasyr wzięta! — rzekła.

— Kto by taki jasyr wziął, sułtanowi nie miałby czego zazdrościć, któren i sułtan pół państwa swojego chętnie by za taką oddał.

— Aleby mnie waćpan przecie poganom nie sprzedał!

— Jakobym i duszy diabłu nie sprzedał!

Tu pomiarkował pan Michał, że chwilowy zapał zbyt daleko go unosi, i poprawił:

— Jakobym i siostry nie sprzedał!

A Drohojowska odrzekła poważnie:

— Toś waćpan utrafił. Siostrą afektem jestem dla pani stolnikowej, będę i waćpanową.

— Dziękuję z serca — rzekł pan Michał całując jej rękę — bo mi okrutnie pociechy potrzeba.

— Wiem, wiem! — powtórzyła panienka — jam też sierota!

Tu mała łezka stoczyła się jej z powieki i osiadła na owym puszku nad ustami.

A Wołodyjowski patrzył na łezkę, na usta lekko ocienione, wreszcie rzekł:

— Takaś waćpanna dobra jako właśnie anioł! Już mi ulżyło!

Krzysia uśmiechnęła się słodko.

— Daj Boże waćpanu!

— Jak mi Bóg miły!

Czuł przy tym mały rycerz, że gdyby powtórnie pocałował ją w rękę, to by mu jeszcze bardziej ulżyło. Ale w tej chwili weszła pani Makowiecka.

— Baśka jubkę wzięła — rzekła — ale w takiej jest konfuzji, że za nic nie chce przyjść. Pan Zagłoba ugania się za nią po całej stajni.

Jakoż Zagłoba, nie szczędząc pociech i perswazyj, nie tylko się uganiał za Baśką po całej stajni, ale wyparł ją wreszcie na dwór w tej nadziei, że ją prędzej do ciepłej izby namówi.

Ona umykała przed nim powtarzając: — Otóż nie pójdę! Niech mnie zamróz chyci! Nie pójdę! nie pójdę!... — Na koniec dostrzegłszy już przy domu słup ze szczeblami, a na nim drabinę, skoczyła na nią jak wiewiórka i oparła się dopiero na skraju dachu. Tam siadłszy zwróciła się ku panu Zagłobie i na wpół już ze śmiechem zawołała:

— Dobrze, pójdę, jeśli waćpan wleziesz tu po mnie!

— A cóż to ja koczur jestem, hajduczku, żebym za tobą po dachach łaził? Tak to mi płacisz za to, że cię kocham?

— I ja waćpana kocham, ale z dachu!

— Dziad swoje — baba swoje! Złaź mi tu zaraz!

— Nie zlazę!

— Śmiech, jak mi Bóg miły, żeby do serca tak brać konfuzję! Nie tobie, łasico utrapiona, ale Kmicicowi, któren za mistrza nad mistrze uchodził, Wołodyjowski to samo uczynił — i nie na żarty, lecz w pojedynku. Jemu najznamienitsi szermierze włoscy, niemieccy i szwedzcy nie dłużej jak przez jeden pacierz mogli dać opór, a tu jeden bąk taki do serca bierze przeprawę. Fe! Wstydź się! Złaź, złaź! Przecie ty się dopiero uczysz!

— Ale pana Michała nie cierpię!

— Bogać tam! Za to, że exquisitissimus w tym, co sama chcesz umieć? Powinnaś go tym bardziej kochać!

Pan Zagłoba nie mylił się. Uwielbienie Basi dla małego rycerza wzrosło pomimo jej konfuzji, ale odrzekła:

— Niech go Krzysia kocha!

— Złaź, złaź!

— Nie zlazę!

— Dobrze, to siedź; powiem ci jeno, że to nawet i niepolitycznie pannie na drabinie siedzieć, bo ucieszny może dać światu prospekt!

— A nieprawda! — rzekła Basia ogarniając rękoma jubkę.

— Ja tam stary, oczu nie wypatrzę, ale zaraz tu wszystkich zawołam, niech się dziwują!

— Już zlazę! — wołała Basia.

Wtem Zagłoba zwrócił się w bok domu.

— Dalibóg, ktoś idzie! — rzekł.

Jakoż zza węgła ukazał się młody pan Nowowiejski, który przyjechawszy konno, przywiązał konia przy bocznej furcie, sam zaś obchodził dom pragnąc wejść przez główne drzwi.

Basia ujrzawszy go znalazła się w dwóch skokach na ziemi, lecz niestety było już za późno.

Pan Nowowiejski widział ją zeskakującą z drabiny, więc stanął zmieszany, zdumiony, oblany rumieńcami jak panna; Basia stała przed nim tak samo. Aż nagle zakrzyknęła:

— Druga konfuzja!

Pan Zagłoba, rozbawiony wielce, mrugał czas jakiś swym zdrowym okiem, na koniec rzekł:

— Pan Nowowiejski, naszego Michała przyjaciel i podkomendny, a to jest panna Drabinowska... tfu!... chciałem powiedzieć: Jeziorkowska!

Nowowiejski przyszedł prędko do siebie, a że był to żołnierz bystrego dowcipu, choć młody, więc skłonił się i podniósłszy oczy na cudne zjawisko, rzekł:

— Dla Boga! Róże na śniegu w Ketlingowym ogrodzie kwitną!

A Basia dygnąwszy mruknęła sama do siebie:

— Dla innego nosa niż twój!

Po czym rzekła bardzo wdzięcznie:

— Proszę do komnat!

I sunęła sama naprzód, a wpadłszy prędko do izby, w której pan Michał siedział z resztą kompanii, zawołała robiąc przytyk do czerwonego kontusza pana Nowowiejskiego:

— Gil przyleciał!

Za czym siadła na stołku, złożywszy ręce w małdrzyk, a buzię w ciup, jak przystało na skromną i przystojnie wychowaną panienkę.

Pan Michał przedstawił młodego przyjaciela siostrze i Krzysi Drohojowskiej, a ów ujrzawszy drugą pannę, chociaż w odmiennym rodzaju, lecz równie niepośledniej urody, zmieszał się po raz wtóry; pokrył to jednak ukłonem i dla dodania sobie fantazji ręką do wąsów, które mu jeszcze nie rosły, sięgnął.

Zakręciwszy tedy palcami nad wargą, zwrócił się do Wołodyjowskiego i opowiedział mu cel swego przybycia. Oto pan hetman wielki pilnie pożądał widzieć małego rycerza. O ile pan Nowowiejski się domyślał, chodziło o jakąś funkcję wojskową, hetman bowiem odebrał świeżo kilka listów, mianowicie od pana Wilczkowskiego, od pana Silnickiego, od pułkownika Piwo i od innych komendantów na Ukrainie i Podolu rozrzuconych, z doniesieniami o krymskich wypadkach, które nie zapowiadały się pomyślnie.

— Sam chan i sułtan Gałga, który z nami u Podhajec paktował — mówił dalej pan Nowowiejski — chcą paktów dotrzymać; ale Budziak szumi już jako ul na wyroju; białogrodzka orda również się burzy; ci nie chcą ni chana, ni Gałgi słuchać...

— Już mi to pan Sobieski konfidował i o radę pytał — rzekł Zagłoba. — Co tam mówią teraz o wiośnie?

— Powiadają, że z pierwszą trawą ruszy się na pewno to robactwo, które znowu trzeba będzie wygnieść — odpowiedział pan Nowowiejski.

To rzekłszy okrutnego marsa postawił i począł wąsy tak kręcić, że aż mu górna warga poczerwieniała.

Basia, patrząc bystrze, spostrzegła to zaraz, więc zasunęła się nieco w tył, by jej pan Nowowiejski nie widział, i dalej także wąsy kręcić naśladując młodocianego kawalera.

Pani stolnikowa zgromiła ją zaraz oczyma, lecz jednocześnie poczęła drgać tamując usilnie śmiech; pan Michał również wargi przygryzał, a Drohojowska spuściła tak oczy, że aż jej długie rzęsy rzucały cień na policzki.

— Waćpan — rzekł Zagłoba — młody człek, ale doświadczony żołnierz!

— Mam dwadzieścia dwa lat, a siedm, nie wymawiając, ojczyźnie służę, bo w piętnastym roku w pole z infimy uciekłem! — odpowiedział młodzieńczyk.

— I ze stepem się zna, i trawami umie chodzić, i jak kania na pardwy na ordyńców spadać — dodał pan Wołodyjowski. — Zagończyk to nie lada! Jemu się Tatar w stepie nie przytai!

Pan Nowowiejski spłonął z ukontentowania, że go chwalba z tak sławnych ust wobec panien spotykała.

Był to przy tym nie tylko jastrząb stepowy, ale i piękny chłopak, czarniawy, wichrami spalony. Na twarzy nosił bliznę od ucha aż do nosa, który od przycięcia z jednej strony był cieńszy niż z drugiej. Oczy miał bystre, przywykłe w dal patrzyć, nad nimi mocne czarne brwi, zrośnięte nad nosem i tworzące jakoby łuk tatarski. Na wygolonej głowie wichrzył mu się czarny, niesforny czub. Basi podobał się i z mowy, i z postawy, ale mimo tego nie przestała go udawać.

— Proszę! — rzekł Zagłoba. — Miło widzieć starym jak ja, że godne nas młodsze pokolenie roście.

— Jeszcze nie godne! — odparł Nowowiejski.

— Chwalę i modestię! Rychło patrzeć, jak waćpanu zaczną i komendy pomniejsze powierzać.

— Jakże! — zawołał pan Michał — już bywał komendantem i na własną rękę gromił!

Pan Nowowiejski począł tak wąsy kręcić, że o mało sobie wargi nie urwał.

A Basia, nie spuszczając z niego oczu, podniosła również obie ręce do twarzy i naśladowała go we wszystkim.

Lecz sprytny żołnierz spostrzegł wkrótce, że spojrzenia całej kompanii kierują się w bok, tam gdzie nieco za nim siedzi owa panna, którą na drabinie widział, i zaraz domyślił się, że musi ona tam coś przeciw niemu knować.

Niby więc nie zważając rozmawiał dalej i wąsów po staremu szukał, wreszcie upatrzywszy chwilę obrócił się tak szybko, że Basia nie miała czasu ni oczu od niego odwrócić, ni rąk od twarzy odjąć.

Zaczerwieniła się też okrutnie i sama nie wiedząc, co czynić, powstała z krzesła. Wszyscy się trochę zmieszali i nastała chwila milczenia.

Nagle Basia uderzyła się rękoma po sukience.

— Trzecia kontuzja! — zakrzyknęła swym srebrnym głosem.

— Moja mościa panno! — rzekł żywo pan Nowowiejski. — Zaraz spostrzegłem, iż się za mną coś nieszczerego dzieje. Przyznaję, że mi za wąsami tęskno, ale jeśli ich nie doczekam, to dlatego, że dla ojczyzny polegnę, a w takim razie mam nadzieję, że prędzej na płacz niż na uśmiech u waćpanny zarobię.

Basia stała ze spuszczonymi oczyma, szczerymi słowy kawalera tym bardziej zawstydzona.

— Musisz jej waćpan wybaczyć — rzekł Zagłoba. — Płocha jest, bo młoda, ale to złote serce!

A ona, jakby na potwierdzenie słów pana Zagłoby, szepnęła zaraz po cichu:

— Przepraszam waćpana... bardzo...

Pan Nowowiejski zaś chwycił ją w tej samej chwili za ręce i począł je całować.

— Dla Boga! Już też waćpanna do serca nie bierz! Toć ja przecie nie żaden barbarus. Mnie to należy przepraszać waćpannę za to, żem śmiał jej zabawę popsować. My sami, żołnierze, kochamy się w pustocie! Mea culpa! Jeszcze raz te rączęta pocałuję, a jeśli póty mam całować, póki mi waćpanna nie wybaczysz, to — na rany boskie — nie odpuszczaj choćby do wieczora!

— O, to grzeczny kawaler! Widzisz, Basiu! — rzekła pani Makowiecka.

— Widzę! — odpowiedziała Basia.

— Już i dobrze! — zawołał pan Nowowiejski.

To powiedziawszy wyprostował się i z wielką fantazją do wąsów z przyzwyczajenia sięgnął, ale się wnet spostrzegł i wybuchnął szczerym śmiechem; Basia za nim, inni za Basią. Wesołość ogarnęła wszystkich. Zagłoba kazał zaraz jedną i drugą butlę z Ketlingowej piwnicy przynieść i dobrze im się działo.

Pan Nowowiejski, stukając ostrogą o ostrogę, czuprynę palcami nastroszał i coraz ogniściej na Basię spoglądał. Spodobała mu się bardzo. Stał się też wymowny niepomiernie, a że to przy hetmanie będąc żył na wielkim świecie, więc miał co opowiadać.

Prawił tedy o sejmie convocationis, o jego zakończeniu i o tym, jak się piec pod ciekawymi arbitrami w izbie senatorskiej, ku wielkiej uciesze wszystkich, zawalił. Odjechał na koniec aż po obiedzie, mając oczy, serce i duszę Basi pełną.

Rozdział VIII

Tego samego dnia oznajmił się mały rycerz u hetmana, który kazawszy go zaraz puścić rzekł mu:

— Muszę Ruszczyca do Krymu wysłać, aby patrzył, na co się tam zanosi, i aby u chana o dotrzymanie paktów kołatał. Chceszli na nowo wstąpić do służby i komendę po

nim objąć? Ty, Wilczkowski, Silnicki i Piwo będziecie mieć oko na Dorosza i na Tatarów, którym nigdy zupełnie ufać nie można.

Pan Wołodyjowski posmutniał. Przecie oto kwiat wieku przesłużył. Przez całe dziesiątki lat spokoju nie zaznał; żył w ogniu, w dymach, w trudzie, w bezsenności, głodzie, bez dachu nad głową, bez garści słomy do snu. Bóg wie, jakiej krwi nie toczyła już jego szabla. Ni się ustalił, ni się ożenił. Stokroć mniej zasłużeni pożywali już panem bene merentium, dochodzili do honorów, urzędów, starostw. On bogatszym począł służyć, niż był teraz. A jednak oto zachciano na nowo nim zamiatać jak starą miotłą. Przecie i duszę miał rozdartą na dwoje; za czym zaledwie znalazły się słodkie i przyjazne ręce, które poczęły mu rany obwiązywać, już mu kazano zrywać się i lecieć na pustynne, dalekie brzegi Rzeczypospolitej bez względu, że on znużon tak bardzo na duszy. Toż gdyby nie owe zrywania się i służby, byłby się nacieszył choć parę lat swoją Anusią.

Gdy o tym wszystkim teraz pomyślał, gorycz wezbrała w nim niepomierna; ale że mu się nie zdało rzeczą godną kawalera służby swe wymawiać i przypominać, więc odpowiedział krótko:

— Pojadę.

Atoli sam hetman rzekł:

— Nie jesteś w służbie, możesz odmówić. Sam najlepiej wiesz, czy ci to nie za rychło.

Wołodyjowski na to:

— Już mi i umrzeć nie za rychło!

Pan Sobieski przeszedł się kilkakrotnie po komnacie, następnie zatrzymał się nad małym rycerzem i położył mu poufale rękę na ramieniu.

— Jeśli ci łzy dotąd nie obeschły, to ci je wiatr w stepie osuszy. Harowałeś ty, żołnierzyku, przez całe życie, haruj jeszcze. A jeśli przyjdzie ci kiedy do głowy, żeć zapomniano, nie nagrodzono, spocząć nie dano, żeś wysłużył nie smarowane grzanki, ale suchy chleb, nie starostwa, ale rany, nie spoczynek, ale mękę, to jeno zęby ściśnij i powiedz: „Tobie, ojczyzno!” Innej pociechy ci nie dam, bo nie mam, jeno chociażem nie ksiądz, przecie ci mogę dać zapewnienie, że tak służąc, dalej zajedziesz na wytartej kulbace niźli inni w poszóstnych karetach i że będą takie bramy, które się przed tobą otworzą, a przed nimi zamkną.

„Tobie, ojczyzno!” — rzekł w duszy pan Wołodyjowski dziwiąc się zarazem, jak hetman mógł tak bystrze tajne jego myśli przeniknąć.

A pan Sobieski siadł naprzeciw i mówił dalej:

— Nie chcę z tobą gadać jak z podkomendnym, ale jak z przyjacielem, ba! Jako ojciec z synem! Jeszcze za tych czasów, kiedyśmy to w ogniu bywali, u Podhajec i przedtem, na Ukrainie; kiedyśmy ledwie zdużać mogli przemocy nieprzyjacielskiej, a tu, w sercu ojczyzny, ubezpieczeni za naszymi plecami źli ludzie warcholili się, prywat własnych dochodząc — przychodziło mnie nieraz do głowy, że ta Rzeczpospolita zginąć musi. Zbytnio tu swawola nad ładem panuje, zbytnio dobro publiczne prywatnym sprawom ustępować zwykło... Tego nigdzie nie ma w takim stopniu... Ot, gryzły mnie te konsyderacje i w dzień w polu, i w nocy w namiocie, bom sobie myślał: „Nu! My żołnierze, gorzejem!... Dobrze!... To nasza powinność i nasz los! Ale żebyśmy to choć wiedzieli, że z tą naszą krwią, która wypływa nam z ran, wypłynie i zbawienie". Nie! I tej pociechy nie było. Oj, ciężkiem dni przebywał pod Podhajcami, chociażem wam wesołe pokazywał oblicze, abyście zaś nie myśleli, żem o wiktorii w polu zdesperował. Ludzi nie masz! — myślałem sobie — ludzi nie masz prawdziwie tę ojczyznę miłujących! I tak mi było, jakoby mi kto nóż w pierś wbijał. Aż razu pewnego... było to ostatniego dnia w podhajeckim okopie... gdym was w dwa tysiące posłał do ataku na dwadzieścia sześć tysięcy ordy, a wyście na oczywistą śmierć, na pewne jatki lecieli z takim okrzykiem i ochotą, jakoby na wesele, przyszło mi nagle na myśl: „A owi moi żołnierze?" I Bóg w jednej chwili zdjął kamień z serca, i w oczach stało mi się jasno. Ci — rzekłem — z czystej miłości dla matki tam giną; ci nie pójdą do związków ani do zdrajców; z nich utworzę święte bractwo, z nich utworzę szkołę, w której młode pokolenia uczyć się będą. Ich przykład, ich kompania podziała; przez nich ten naród nieszczęsny się odrodzi, prywaty próżen, swawoli niepomny, i stanie jako lew okrutną moc w członkach czujący, i świat zadziwi! Takie to bractwo z moich żołnierzów uczynię!

Tu pan Sobieski sam zapłonął, podniósł do góry głowę podobną do głowy rzymskiego cezara i wyciągnąwszy ręce zawołał:

— Panie! Nie pisz na naszych murach Mane, Tekel, Fares! i pozwól mi moją ojczyznę odrodzić!

Nastała chwila milczenia.

Mały rycerz siedział z głową spuszczoną i czuł, że go drżenie chwyta w całym ciele.

Hetman chodził czas jakiś szybkimi krokami po izbie, następnie zatrzymał się przed małym rycerzem.

— Przykładów trzeba — rzekł — przykładów co dzień, które by w oczy biły. Wołodyjowski! Jam ciebie w pierwszym rzędzie do bractwa zaliczył. Zali chcesz do niego należeć?...

Mały rycerz wstał i objął hetmańskie kolana.

— Ot! — rzekł wzruszonym głosem — Ot! Usłyszawszy, że mam znów jechać, pomyślałem, że mi się krzywda dzieje i że mi się wczas dla mojej boleści należy, a teraz widzę, żem zgrzeszył... i... i kajam się takowej myśli, i mówić nie mogę, bo mi wstyd...

Hetman przycisnął go w milczeniu do serca.

— Garść nas jest — rzekł — ale inni pójdą za przykładem.

— Kiedy mam jechać? — pytał mały rycerz. — Mógłbym i do Krymu samego, bom już tam bywał.

— Nie — rzekł hetman. — Do Krymu poślę Ruszczyca. Ma on tam pobratymców, a nawet i imienników, podobno, że braci stryjecznych, którzy dziećmi przez ordę zagarnięci, zbisurmanili się i do godności między pogany doszli. Ci mu będą we wszystkim pomocą; zaś ciebie w polu potrzebuję, ile że nie masz, kto by ci w procederze z Tatary dorównał.

— Kiedy mam jechać? — powtórzył mały rycerz.

— Za dwie niedziele najdłużej. Potrzebuję się jeszcze z panem podkanclerzym koronnym rozmówić i z panem podskarbim, listy Ruszczycowi przygotować i instrukcje mu dać. Wszelako bądź gotów, bo się będę spieszył.

— Od jutra będę gotów!

— Bóg ci zapłać za intencje, ale tak prędko nie potrzeba. Nie pojedziesz też na długo, bo w czasie elekcji, jeśli tylko pokój będzie, tu mi będziesz potrzebny, w Warszawie. Słyszałeś o kandydatach? Co też się między szlachtą mówi?

— Z klasztorum niedawno na świat wychynął, a tam nie o światowych rzeczach myślą. Wiem tylko, co mi pan Zagłoba powiadał.

— Prawda. Mogę mieć od niego informacje. Siła on między szlachtą znaczy. A ty za kim myślisz dać kreskę?

— Sam jeszcze nie wiem, jeno tak myślę, że wojennego potrzeba nam pana.

— Oto jest! Tak! Tak! Mam i ja takiego na myśli, który by samym imieniem sąsiadów przeraził. Wojennego nam pana potrzeba, jako był Stefan Batory. No, bądź zdrów, żołnierzyku!... Wojennego nam pana potrzeba! Wszystkim to powtarzaj!... Bądź zdrów!... Bóg ci zapłać za gotowość!...

Pan Michał pożegnał się i wyszedł.

Przez drogę rozmyślał. Był jednak żołnierzysko rad, że ma jeszcze przed sobą tydzień lub dwa, bo miłą mu była ta przyjaźń i ta pociecha, którą mu Krzysia Drohojowska niosła. Cieszył się też myślą, że na elekcję powróci, i w ogóle już bez zmartwienia do

domu wracał. Miały i stepy dla niego jakiś urok, za którym nie wiedząc tęsknił. Tak przecie przywykł do tych przestrzeni bez końca, w których konny żołnierz ptakiem się więcej niż człowiekiem czuje.

— Ano pojadę — mówił sobie — do tych pól niezmiernych, do stanic i mogił, starego życia na nowo skosztować, z żołnierzami pochody odprawiać, granicy po żurawiemu strzec, z wiosną w trawach buszować, ano pojadę, pojadę!

Tymczasem rozpuścił konia, i jechał skokiem, bo już zatęsknił za pędem i za świstem wiatru w uszach. Dzień był pogodny, suchy, mroźny. Śnieg zmarzły pokrywał już ziemię i skrzypiał pod nogami bachmata. Zbite jego grudki wylatywały z impetem spod kopyt. Pan Wołodyjowski leciał tak, że pachołek, na gorszym koniu siedzący, daleko pozostał za nim.

Miało się ku zachodowi; zorze świeciły na niebie, rzucając na śnieżne przestrzenie fioletowy odblask. Na rumiane niebo weszły pierwsze gwiazdy migotliwe i księżyc się podnosił w kształcie srebrnego sierpa. Droga była pusta, ledwie gdzieniegdzie wymijał rycerz jakąś furę i leciał ciągle; dopiero ujrzawszy w dali dwór Ketlingowy, powstrzymał konia i pozwolił się dopędzić pachołkowi.

Nagle ujrzał przed sobą idącą naprzeciw jakąś wysmukłą postać.

Była to Krzysia Drohojowska.

Pan Michał poznawszy ją zeskoczył natychmiast z konia i oddał go pachołkowi, sam zaś podbiegł ku niej, nieco zdziwiony, ale bardziej jeszcze uradowany jej widokiem.

— Żołnierze mówią — rzekł — że o zorzy można różne nadprzyrodzone persony spotkać, które czasem złą, a czasem dobrą wróżbę znaczą; ale już dla mnie lepszej nad spotkanie waćpanny wróżby być nie może.

— Pan Nowowiejski przyjechał — odpowiedziała Krzysia — z Basią i panią stolnikową się zabawia, ja zaś wyszłam umyślnie naprzeciw waćpanu, bom była niespokojna o to, co pan hetman miał waćpanu powiedzieć.

Szczerość tych słów niezmiernie ujęła małego rycerza za serce.

— Zali naprawdę waćpanna tak się o mnie troszczysz? — pytał podnosząc na nią oczy.

— Tak! — odrzekła niskim głosem Krzysia.

Wołodyjowski oczu z niej nie spuszczał, bo nigdy dotąd nie wydawała mu się tak piękną. Na głowie miała kapturek atłasowy, a biały puszek łabędzi otaczał jej drobną, bladawą twarz, na którą padał blask miesiąca i rozświecał łagodnie te szlachetne brwi,

oczy spuszczone, długie rzęsy i ów ciemny, ledwie dostrzegalny puszek nad ustami. Spokój jakiś był w jej twarzy i dobroć wielka.

Poczuł pan Michał w tej chwili, że to jest przyjacielskie, kochane oblicze.

Więc rzekł:

— Żeby nie pachołek, który za nami jedzie, to bym na tym śniegu do nóg waćpannie z wdzięczności upadł.

A ona:

— Waćpan takich rzeczy nie mów, bom ich niegodna, a w nagrodę powiedz, że ostajesz przy nas i że cię będę mogła dłużej pocieszać!

— Nie zostaję! — odrzekł pan Wołodyjowski.

Krzysia zatrzymała się nagle:

— Nie może być?

— Zwyczajna żołnierska służba! Na Ruś jadę, ku Dzikim Polom...

— Zwyczajna służba... — powtórzyła Krzysia.

I umilkłszy poczęła iść spiesznie ku domowi. Pan Michał dreptał przy niej nieco zmieszany. Jakoś mu było trochę i ciężko na duszy, i głupio. Chciał coś mówić, chciał na nowo podjąć rozmowę — nie szło. A jednak zdawało mu się, że ma do powiedzenia Krzysi tysiąc rzeczy i że właśnie teraz pora po temu, póki są sami i nikt im nie przeszkadza.

„Byle zacząć! — pomyślał sobie — to dalej pójdzie..."

Więc nagle spytał:

— A pan Nowowiejski dawno przyjechał?

— Niedawno — odrzekła Drohojowska.

I znów rozmowa się urwała.

„Nie tędy droga — pomyślał Wołodyjowski. — Jak tak będę zaczynał, to nigdy nic nie powiem. Ale widzę, że mi resztę dowcipu żałość wyjadła".

I przez jakiś czas dreptał w milczeniu, wąsikami tylko coraz mocniej ruszając.

Na koniec już przed samym domem przystanął i ozwał się:

— Bo widzi waćpanna, jeślim ja przez tyle lat szczęście odkładał, byle ojczyźnie służyć, jakimże czołem pociechy teraz nie odłożę?

Zdawało się Wołodyjowskiemu, że tak prosty argument powinien od razu Krzysię przekonać; jakoż po chwili odrzekła ze smutkiem i łagodnością:

— Im się pana Michała bliżej poznaje, tym się go więcej czci i szanuje...

To powiedziawszy weszła do domu. Już w sieni doleciały ich Basine okrzyki: „Ałła! Ałła!” A gdy weszli do gościnnej izby, zobaczyli na środku pana Nowowiejskiego, z zawiązanymi oczyma, w pochylonej postawie i z wyciągniętymi rękoma, usiłującego złowić Basię, która kryła się po kątach, okrzykiem „Ałła!” oznajmując swą obecność. Pani stolnikowa zajęta była rozmową pod oknem z panem Zagłobą.

Ale wejście Krzysi i rycerza przerwało zabawę. Nowowiejski chustkę ściągnął i biegł witać. Wraz przypadli stolnikowa, Zagłoba i zdyszana Basia.

— Co tam? Co tam, coć pan hetman powiedział? — pytali jedno przez drugie.

— Pani siostro! — odrzekł Wołodyjowski — jeśli chcesz listy do męża posyłać, to masz okazję, bo na Ruś jadę!...

— Już cię posyłają! Dla Boga żywego, nie zaciągaj się jeszcze i nie jedź — zawołała żałośnie pani Makowiecka. — Że też ci to chwili czasu nie dadzą!

— Istotnie, funkcję ci przeznaczono? — pytał zasępiony Zagłoba. — Słusznie pani stolnikowa mówi, że młócą tobą jak cepami.

— Ruszczyc jedzie do Krymu, a ja po nim chorągiew obejmuję, bo jako pan Nowowiejski już wspominał, szlaki pewnie się na wiosnę zaczernią.

— Zali my tylko mamy tę Rzeczpospolitą przed złodziejami obszczekiwać jak pies podwórce! — zawołał Zagłoba. — Inni nie wiedzą, którym końcem z muszkietu się strzela, a dla nas nigdy spoczynku.

— No, cicho! Nie ma o czym gadać! — odrzekł Wołodyjowski. — Służba to służba! Dałem hetmanowi parol, że się zaciągnę, a czy prędzej, czy później, to wszystko jedno...

Tu pan Wołodyjowski przyłożył palec do czoła i powtórzył ów argument, który mu już raz wobec Krzysi posłużył:

— Bo widzicie, waćpaństwo, jeślim ja przez tyle lat szczęście odkładał, byle Rzeczypospolitej służyć, jakimże czołem nie wyrzekłbym się tej pociechy, którą w kompanii waćpaństwa znajduję?

Na to nikt nic nie odpowiedział; jedna tylko Basia przyszła naburmuszona, z buzią wysuniętą naprzód jak rozdąsane dziecko i rzekła:

— Szkoda pana Michała!

A Wołodyjowski roześmiał się wesoło.

— Bodaj waćpannie los szczęścił! Toć jeszcze wczoraj mówiłaś, że mnie nie cierpisz jako Tatarzyna dzikiego!

— Ale! Jako Tatarzyna! Wcale tego nie mówiłam. Waćpan tam sobie będzie na Tatarach używał, a nam tu będzie tęskno!

— Pocieszże się, hajduczku (wybacz waćpanna, że cię tak nazywam, ale ci to okrutnie pasuje). Pan hetman zapowiedział mi, że to nie na długo tej komendy. Za tydzień lub za dwa ruszam, a na elekcją koniecznie mam być w Warszawie. Sam hetman tego pragnie i tak będzie, choćby nawet Ruszczyc z Krymu na maj nie nadążył.

— O, to wybornie!

— Pociągnę i ja z panem pułkownikiem, pewnie pociągnę — rzekł Nowowiejski, bystro patrząc na Basię.

A ona na to:

— Będzie takich jak waćpan niemało! Słodka to dla żołnierza rzecz pod takim komendantem służyć. Jedź waćpan, jedź! Będzie panu Michałowi weselej.

Chłopak westchnął tylko i po czuprynie się szeroką dłonią pogładził, wreszcie rzekł rozstawiając ręce, jak w ślepej babce czynił:

— Ale pierwej pannę Barbarę złapię! Dalibóg, złapię!

— Ałła! Ałła! — zawołała cofając się Basia.

Tymczasem Drohojowska zbliżyła się do Wołodyjowskiego z rozjaśnioną twarzą, cichej radości pełna.

— A niedobry, niedobry dla mnie pan Michał; dla Basi lepszy niż dla mnie?

— Ja niedobry? Ja dla Basi lepszy? — pytał ze zdumieniem rycerz.

— Basi to pan powiedział, że na elekcję wraca, a przecie, żebym to była wiedziała, nie byłabym do serca wzięła odjazdu.

— Moje złocist… — zakrzyknął pan Michał.

Ale zaraz się pomiarkował i rzekł:

— Mój przyjacielu kochany! Małom co ci powiedział, bom głowę stracił!

Rozdział IX

Począł się tedy zbierać z wolna pan Michał do wyjazdu, nie przestając jednak Basi, którą coraz więcej lubił, lekcyj dawać ani też przechadzać się sam na sam z Krzysią Drohojowską i pociechy u niej szukać. Zdawało się też, że ją znajduje, bo i humor mu się poprawiał z każdym dniem, a wieczorami brał nawet czasem udział w zabawach Basi z panem Nowowiejskim.

Młody ów kawaler stał się wdzięcznym w Ketlingowym dworze gościem. Przyjeżdżał od rana albo zaraz po południu i przesiadywał do wieczora, a że lubili go wszyscy, więc i radzi widzieli, tak że bardzo prędko poczęto go uważać jako należącego do rodziny.

On niewiasty do Warszawy woził, sprawunki dla nich u bławatników czynił, a wieczorami w ślepą babkę z pasją grywał powtarzając, że musi koniecznie przed wyjazdem niedoścignioną Basię złowić.

Ale ona wywijała się zawsze, chociaż pan Zagłoba mówił jej:

— Złapie cię w końcu nie ten, to który inny!

Lecz stawało się rzeczą coraz bardziej jasną, że właśnie ten ją chciał złapać. Nawet i „hajduczkowi" musiało to przychodzić do głowy, bo się chwilami zamyślał, aż mu czupryna całkiem na oczy spadała.

Pan Zagłoba miał jednak swoje powody, dla których nie było mu to na rękę, pewnego więc wieczora, gdy się już wszyscy rozeszli, zapukał do stancji małego rycerza.

— Tak mi żal, że się musimy rozstać — rzekł — iż tu przychodzę, aby się jeszcze na cię napatrzyć. Bóg wie, kiedy się zobaczymy!

— Na elekcję z wszelką pewnością powrócę — odpowiedział ściskając go pan Michał — i powiem waści czemu: hetman chce mieć tu w tym czasie jak najwięcej ludzi, w których się szlachta kocha, aby ci ją dla jego elekta kaptowali. A że, dziękować Bogu, imię moje ma dość miru u współbraci, więc mnie tu pewnie ściągnie. Liczy on i na waćpana.

— Ba! Wielkim niewodem mnie łowi, ale tak mi się coś widzi, że chociażem dość gruby, jednakże się przez jakie oko tej sieci prześliznę. Nie będę ja za Francuzem głosował.

— Czemu tak?

— Bo to byłoby absolutum dominium.

— Kondeusz pacta musiałby poprzysiąc jak i każden inny, a wódz to ma być wielki, akcjami wojennymi wsławiony.

— Za łaską Bożą nie potrzebujemy wodzów we Francji szukać. I sam pan Sobieski pewnie od Kondeusza nie gorszy. Uważ, Michale, że Francuzi tak samo w pończochach chodzą jak Szwedzi, więc pewnie i tak samo przysiąg nie dotrzymują. Carolus Gustavus gotów ci był co godzina przysięgać. U nich to jak orzech zgryźć. Co tam pakta, jeśli kto poczciwości nie ma!

— Ale Rzeczpospolita obrony potrzebuje! Ot, żeby taki książę Jeremi Wiśniowiecki żył! Unanimitate byśmy go królem obrali!

— Żywie syn jego, ta sama krew!

— Ale nie ta sama fantazja! Żal się Boże na niego patrzeć, bo on do pachołka niż do księcia z tak zacnej krwie podobniejszy. Żeby to jeszcze inne czasy były! Ale dziś

pierwsza rzecz wzgląd na dobro ojczyzny. To samo ci i Skrzetuski powie. Cokolwiek pan hetman uczyni, to i ja uczynię, bo w jego szczerość dla ojczyzny jak w ewangelię wierzę.

— I! Czas o tym myśleć. Gorzej to, że teraz jedziesz.

— A waćpan co uczynisz?

— Wrócę do Skrzetuskich. Basałyki mnie tam czasem oprymują, ale jednak, gdy ich długo nie widzę, to mi za nimi tęskno.

— Jeśli po elekcji będzie wojna, to i Skrzetuski ruszy. Ba! Kto wie, czy i waćpan w pole jeszcze nie wyciągniesz. Może razem na Rusi będziem wojować. Tyleśmy w tamtych stronach zaznali złego i dobrego!

— Prawda! Jak mi Bóg miły! Tam nam najlepsze lata spłynęły. Chciałoby się czasem zobaczyć wszystkie owe miejsca, które świadkami naszej chwały były.

— To jedź waść teraz ze mną. Będzie nam wesoło, a za pięć miesięcy wrócim tu znowu do Ketlinga. Będzie i on wówczas, i Skrzetuscy…

— Nie, Michale, teraz mi nie pora, ale za to przyrzekam ci, że jeśli się z jaką panną majętność na Rusi mającą ożenisz, tedy cię tam odprowadzę i na instalacji waszej będę…

Wołodyjowski zmieszał się nieco, ale zaraz odparł:

— Gdzie mnie tam żeniaczka w głowie. Najlepszy masz waść dowód w tym, że do wojska ruszam.

— Toż to mnie i trapi, bo ja myślałem: nie jedna, to druga. Michale, miej Boga w sercu, zastanów się, gdzie i kiedy znajdziesz lepszą sposobność, jako właśnie masz w tej chwili. Pomnij, że przyjdą później lata, w których powiesz sobie: każden ma żonę, dzieci, a ja sam niby maćkowa grusza w polu sterczę. I żal cię chwyci, i tęskność okrutna. Bo żebyś był onę niebogę poślubił, żeby ci była dzieci zostawiła, no! dałbym spokój; już miałbyś dla afektów upust jakowyś i gotową pociechy nadzieję, ale tak, jak jest, może przyjść godzina, że próżno bliskiego ducha będziesz koło siebie szukał i że sam siebie spytasz: zali ja w cudzoziemskim kraju mieszkam?

Wołodyjowski milczał, rozważał, więc pan Zagłoba znów mówić począł, bystro patrząc w twarz małego rycerza:

— W imaginacji i w sercu owego różowego hajduczka w pierwszym rzędzie ci wyznaczyłem, bo primo: to złoto, nie dziewka, a secundo: tak jadowitych żołnierzy, jakich wy byście na świat wydali, jeszcze chyba na ziemi nie bywało…

— To wicher; zresztą już tam Nowowiejski chce z niej ognia wykrzesać.

— Otóż to, otóż to! Dziś by ona pewnie jeszcze ciebie wolała, gdyż się w sławie twojej kocha; ale gdy pojedziesz, a on zostanie, wiem zaś, że szelma zostanie, bo to nie żadna wojna, to kto wie, co będzie.

— Baśka wicher! Niech ją Nowowiejski bierze. Szczerze mu życzę, bo to setny chłop.

— Michale! — rzekł składając ręce Zagłoba — pomyśl, co by to było za potomstwo!

Na to mały rycerz odpowiedział bardzo naiwnie:

— Znałem dwóch Balów, którzy z Drohojowskiej byli urodzeni, a też byli żołnierze wyborni.

— Ha! Tum cię czekał! W tę stronę skręcasz? — krzyknął Zagłoba.

Wołodyjowski zmieszał się nadzwyczajnie. Przez chwilę wąsikami tylko ruszał chcąc owym ruchem konfuzję pokryć; nareszcie rzekł:

— Co waćpan mówisz! W żadną ja stronę nie skręcam, jeno gdyś fantazję Basi, istotnie kawalerską, wspomniał, zaraz mi po prostu przyszła na myśl Krzysia, w której bardziej białogłowska natura obrała sobie rezydencję. Gdy się o jednej mówi, to druga przychodzi do głowy, bo są razem.

— Dobrze, dobrze! Boże ci i z Krzysia błogosław, chociaż, jak mi Bóg miły, gdybym był chłopem, to bym się w Basi na zabój kochał. Mając taką żonę, nie potrzebujesz w razie wojny w domu jej ostawiać, ale możesz ją w pole wziąć i przy boku mieć. Taka ci się i pod namiotem przygodzi; a przyjdzie na nią termin, choćby w czasie bitwy, to ci jeszcze będzie bodaj z jednej ręki z rusznicy grzmieć. A zacneż to, a poczciwe! Ej, mój hajduczku kochany, nie poznali się tu na tobie i niewdzięcznością nakarmili, ale żebym miał tak o kopę lat mniej, wiedziałbym, kto ma być z domu Zagłobina!

— Ja Basi nie ujmuję!

— Nie o to chodzi, żebyś jej cnót nie ujmował, jeno żebyś jej męża dodał. Ale ty Krzysię wolisz!

— Krzysia jest mi przyjacielem.

— Przyjacielem, nie przyjaciółką? To chyba dlatego, że ma wąsy! Przyjacielem jestem ci ja, przyjacielem Skrzetuski i Ketling. Tobie nie przyjaciela potrzeba, ale przyjaciółki. Powiedz to sobie jasno i klimkiem w oczy nie rzucaj. Strzeż się, Michale, przyjaciela płci białogłowskiej, chociażby miał wąsiki, bo albo ty jego zdradzisz, albo on ciebie zdradzi. Diabeł nie śpi i rad między takimi przyjaciółmi siada, a egzemplum Adam i Ewa, którzy jak się zaczęli przyjaźnić, tak aż Adamowi kością w gardle owa amicycja stanęła.

— Waćpan Krzysi nie ubliżaj, bo tego żadną miarą nie zniosę!

— A niech tam Bóg jej cnotę sekunduje! Nie masz nad mojego hajduczka, ale i to dobra dziewka! Nie ubliżam ja jej wcale, jeno to ci powiem, że gdy przy niej siedzisz, tak ci policzki płomienieją, jakoby kto wyszczypał, i wąsikami ruszasz, i czub ci się jeży, i sapiesz, i drepczesz, i wydeptujesz jak grzywacz, a to są wszystko signa żądz. Gadaj komu innemu o amicycji, bo ja za stary wróbel!

— Tak stary, że widzisz waćpan i to, czego nie ma.

— Bodajbym się mylił! Bodaj o mojego hajduczka chodziło! Michał, dobranoc ci! Bierz hajduczka! Hajduczek jeszcze gładszy! Bierz hajduczka, bierz hajduczka!...

To rzekłszy pan Zagłoba wstał i wyszedł z izby.

Pan Michał rzucał się całą noc i nie mógł spać, bo mu niespokojne myśli przez całą noc po głowie chodziły. Przed oczyma widział twarz Drohojowskiej, jej oczy z długimi rzęsami i usta puszkiem okryte. Chwilami brała go drzemota, ale wizje nie ustępowały. Budząc się myślał o słowach Zagłoby i przypominał sobie, jak rzadko dowcip tego męża w czymkolwiek zawodził. Czasem mignęło przed nim w półśnie, w półjawie różowe oblicze Basi i widok ten uspokajał go; ale znowu wnet Basię zastępowała Krzysia. Obróci się biedny rycerz do ściany, widzi jej oczy; obróci się ku ciemności w izbie, widzi jej oczy, a w nich jakąś omdlałość, jakąś zachętę. Chwilami te oczy przymykały się jakby chcąc mówić: „Dziej się wola twoja!” Pan Michał aż siadał na łożu i żegnał się.

Nad ranem sen uleciał od niego zupełnie. Natomiast stało mu się ciężko, przykro. Ogarnął go wstyd i gorzkie począł sobie czynić wyrzuty, że nie tamtą kochaną, umarłą, przed sobą widział, nie tamtej miał pełne oczy, serce, duszę, ale tej, żyjącej. Zdało mu się, iż grzeszył przeciw pamięci Anusi, więc wstrząsnął się raz, drugi i wyskoczywszy z łoża, chociaż jeszcze było ciemno, począł odmawiać pacierze poranne.

A gdy je skończył, przyłożył sobie palec do czoła i rzekł:

— Trzeba co prędzej jechać, a onę amicycję zaraz pohamować, bo pan Zagłoba może mieć słuszność...

Po czym już weselszy i spokojniejszy zeszedł na śniadanie. Po śniadaniu fechtował się z Basią i zauważył, zapewne po raz pierwszy, że aż oczy rwała, tak była ładna ze swymi rozdętymi chrapkami i zdyszaną piersią.

Krzysi zdawał się unikać, która spostrzegłszy to, wodziła za nim rozszerzonymi ze zdziwienia oczyma. Lecz on unikał nawet jej wzroku. Serce mu się krajało, ale wytrzymał.

Po obiedzie chodził z Basią do lamusa, gdzie Ketling miał drugi skład oręża. Pokazywał jej różne bronie, tłumaczył ich użytek. Potem strzelali do celu z astrachańskich łuków.

Dziewczyna była uszczęśliwiona z zabawy i roztrzepotała się jak nigdy, aż pani stolnikowa musiała ją hamować.

Tak upłynął dzień drugi. Na trzeci pojechali obaj z Zagłobą do Warszawy, do Daniłowiczowskiego pałacu, aby się czegoś o terminie wyjazdu dowiedzieć, wieczorem zaś oświadczył pan Michał białogłowom, że za tydzień z pewnością rusza.

Mówiąc to starał się mówić niedbale i wesoło. Na Krzysię ani spojrzał.

Zaniepokojona panna próbowała go pytać o różne rzeczy; odpowiadał grzecznie, przyjaźnie, ale więcej z Basią przestawał.

Zagłoba sądząc, że to skutek jego rad poprzednich, zacierał z radością ręce. Że jednak przed okiem jego nic ukryć się nie mogło, więc dostrzegł smutek Krzysi.

„Zalterowała się! Zalterowała się widocznie — myślał sobie. — No! Nic to! Zwyczajnie białogłowska natura. Ależ Michał! Z miejsca nawrócił, prędzej, niżem się spodziewał. Setny to chłop, wszelako wicher w afektach był i wicher będzie!”

Ale pan Zagłoba miał naprawdę dobre serce, więc zaraz mu się żal Krzysi uczyniło.

— Directe nic jej nie powiem — rzekł sobie — ale jakowąś pociechę muszę jej obmyślić.

Za czym korzystając z przywileju, jaki mu dawał wiek i biała głowa, podszedł ku niej po wieczerzy i począł ją gładzić po jedwabistych czarnych włosach. A ona siedziała cicho, podnosząc ku niemu swoje łagodne oczy, nieco zdziwiona taką czułością, ale wdzięczna.

Wieczorem, przy drzwiach izby, w której sypiał Wołodyjowski, Zagłoba trącił go w bok.

— A co? — rzekł — nie masz nad hajduczka!

— Miła koza! — odparł Wołodyjowski. — Sama jedna za czterech żołnierzy naczyni warchołu po komnatach. Dobosz z niej prawdziwy.

— Dobosz? Dajże jej Boże, by co rychlej z twoim bębnem chodziła!

— Dobranoc waćpanu!

— Dobranoc! Dziwne stworzenia te białogłowy! Żeś to się do Baśki trocha przysunął, uważałeś Krzysiną alterację?...

— Nie... uważałem! — odparł mały rycerz.

— Jakoby ją kto z nóg ściął!

— Dobranoc waćpanu! — powtórzył Wołodyjowski i wszedł prędko do swojej izby.

Pan Zagłoba licząc na wichrowatość małego rycerza przeliczył się jednak nieco i w ogóle postąpił niezręcznie mówiąc mu o Krzysinej alteracji, bo pan Michał tak się tym wzruszył od razu, że go aż coś za gardło chwyciło.

— A to jej się wypłacam za jej przychylność, za to, że mnie jako siostra w smutku pocieszała — mówił sobie. — Ba! Cóżem to jej złego uczynił?— pomyślał po chwili zastanowienia. — Com uczynił? Postponowałem ją przez trzy dni, co było nawet i niepolitycznie! Postponowałem słodką dziewkę, kochane stworzenie! Za to, że mi chciała vulnera goić, niewdzięcznością ją nakarmiłem... Żebym to umiał — mówił dalej — miarę zachować i hamując nieprzezpieczną amicycję, potrafił jej nie postponować; ale widać dowcip mam na taką politykę za tępy...

I zły był pan Michał na siebie, a zarazem wielka litość ozwała mu się w piersiach.

Mimo woli począł myśleć o Krzysi jak o kochanym a pokrzywdzonym stworzeniu. Zawziętość przeciw sobie samemu rosła w nim z każdą chwilą.

— Barbarus jestem, barbarus! — powtarzał.

I Krzysia całkiem pogrążyła Basię w jego myśli.

— Niech kto chce bierze tę kozę, ten młyn, tę kołatkę! — mówił do siebie. — Nowowiejski czy diabeł, wszystko mi jedno!

Gniew wzbierał w nim na Bogu ducha winną Basię, ale ani razu nie przyszło mu do głowy, że ją tym gniewem więcej może pokrzywdzić niż Krzysię udaną obojętnością.

Krzysia instynktem niewieścim odgadła natychmiast, że w panu Michale dokonywa się jakaś przemiana. Jednocześnie było jej i przykro, i smutno, że mały rycerz zdawał się jej unikać, a zarazem rozumiała, że coś się między nimi musi przeważyć i że już nie będą się po staremu przyjaźnili, tylko albo daleko więcej niż dotąd, albo wcale.

Więc ogarniał ją niepokój, który powiększał się na myśl o prędkim wyjeździe pana Michała. W sercu Krzysi nie było jeszcze miłości. Jeszcze jej sobie dziewczyna nie zeznała. Natomiast i w jej sercu, i we krwi była wielka gotowość do kochania.

Być może także, że czuła już lekki zawrót głowy. Wołodyjowskiego otaczała przecie sława pierwszego żołnierza Rzeczypospolitej. Wszystkie usta rycerskie powtarzały ze czcią jego imię. Siostra wynosiła pod niebo jego zacność; okrywał go urok nieszczęścia, i w dodatku panienka, żyjąc z nim pod jednym dachem, przyzwyczaiła się do jego urody.

Krzysia miała to w swej naturze, że lubiła być kochaną; więc gdy w tych ostatnich dniach pan Michał począł obchodzić się z nią obojętnie, miłość własna ucierpiała w niej

wielce; ale mając z natury dobre serce, postanowiła panienka nie okazywać mu ni gniewnej twarzy, ni zniecierpliwienia i przejednać go sobie dobrocią.

Przyszło jej zaś to tym łatwiej, że na drugi dzień pan Michał miał minę skruszoną i nie tylko nie unikał Krzysinego wzroku, ale w oczy jej patrzył, jakby chciał mówić: „Wczoraj cię postponowałem, a dziś przepraszam”.

I tyle jej mówił oczyma, że pod wpływem tych spojrzeń krew napływała pannie do twarzy, a niepokój jej zwiększał się jeszcze, jakby w przeczuciu, że bardzo prędko coś ważnego się zdarzy. Jakoż i zdarzyło się. Po południu pani stolnikowa pojechała z Basią do Basinej krewnej, pani podkomorzyny lwowskiej, która bawiła w Warszawie, Krzysia zaś umyślnie udała, że jej ból głowy dolega, bo ją ciekawość chwyciła, co też sobie powiedzą z panem Michałem, gdy zostaną sam na sam.

Pan Zagłoba nie pojechał wprawdzie także do pani podkomorzyny, ale natomiast miewał zwyczaj sypiać po obiedzie, czasem i przez parę godzin, bo mówił, że go to od ociężałości broni i dowcip daje mu wieczorem pogodny; więc istotnie, pobaraszkowawszy jeszcze z godzinkę, począł się zbierać do swojej stancji. Krzysi serce zabiło zaraz niespokojniej.

Ale jakież czekało ją rozczarowanie! Oto pan Michał zerwał się i wyszedł z nim razem.

„Nadejdzie niebawem” — pomyślała Krzysia.

I wziąwszy bębenek poczęła na nim wyszywać złocisty wierzch do czapki, który chciała panu Michałowi na drogę podarować.

Oczy jej podnosiły się jednak co chwila i biegły aż do gdańskiego zegara, który stojąc w kącie Ketlingowej bawialni tykał poważnie.

Ale upłynęła jedna godzina i druga, pana Michała nie było widać.

Panna położyła bębenek na kolanach i skrzyżowawszy na nim dłonie rzekła półgłosem:

— Boi się, ale nim się odważy, mogą przyjechać i nic sobie nie powiemy. Albo pan Zagłoba się obudzi…

Zdawało jej się w tej chwili, że mają naprawdę o jakiejś ważnej mówić sprawie, która może pójść w odwłokę z winy Wołodyjowskiego.

Na koniec jednak kroki jego dały się słyszeć w przyległej izbie.

— Krąży — rzekła panna i poczęła znów pilnie wyszywać.

Wołodyjowski rzeczywiście krążył; chodził po komnacie i wejść nie śmiał; a tymczasem słońce stawało się czerwone i zbliżało się ku zachodowi.

— Panie Michale! — zawołała nagle Krzysia.

Wszedł i zastał ją szyjącą.

— Waćpanna mnie wołała?

— Chciałam wiedzieć, czy to nie kto obcy chodzi… Sama tu jestem od dwóch godzin…

Wołodyjowski przysunął krzesło i przysiadł się na brzeżku.

Upłynęła długa chwila; milczał, nogami nieco szurgał zasuwając je coraz głębiej pod stołek i wąsikami ruszał. Krzysia przestała szyć i podniosła na niego wzrok; spojrzenia ich spotkały się, a potem nagle spuścili oboje oczy…

Gdy Wołodyjowski podniósł je znowu, na twarz Krzysi padały ostatnie blaski słońca, a była w nich śliczna. Włosy jej błyszczały na zagięciach jak złote.

— Za parę dni waćpan wyjedzie? — rzekła tak cicho, iż pan Michał ledwie mógł dosłyszeć.

— Nie może inaczej być!

I znów nastała chwila milczenia, po której Krzysia zaczęła mówić:

— Myślałam w ostatnich dniach, że waćpan zagniewał się na mnie…

— Jako żywo! — zawołał Wołodyjowski — byłbym niegodzien spojrzenia waćpanny, gdybym był to uczynił, ale nie to było.

— A co było? — pytała Krzysia podnosząc nań znów oczy.

— Wolę szczerze mówić, bo tak myślę, że zawsze szczerość od symulowania więcej warta… Ale… ale tego nie potrafię wypowiedzieć, ile mnie waćpanna wlewałaś pociechy do serca i jaką ja wdzięczność dla niej żywiłem!

— Bodajby tak zawsze było! — odpowiedziała Krzysia splatając na bębenku ręce.

A na to pan Michał ze smutkiem wielkim:

— Bodajby! bodajby było… Ale mnie pan Zagłoba powiedział… (tak mówię przed waćpanną, jako przed księdzem) pan Zagłoba powiedział, że amicycja z białogłowami nieprzezpieczna rzecz, bo snadnie, jako żar pod popiołem, gorętszy afekt pod nią skrywać się może. Ja zaś pomyślałem, że pan Zagłoba może mieć rację, i — przebacz, waćpanna, prostakowi żołnierzowi — inny by to misterniej wywiódł, a mnie… jeno się serce krwawi, żem waćpannę przez te ostatnie dni postponował… i żyć mi niemiło…

To rzekłszy pan Michał począł ruszać wąsikami tak szybko, jak żaden żuk nie rusza.

Krzysia spuściła głowę i po chwili dwie łezki poczęły jej płynąć po policzkach.

— Jeśli tak waćpanu będzie spokojniej, jeśli mój siostrzyński afekt nicpotem, to ja go ukryję…

I drugie dwie łezki, potem trzecie ukazały się jej na jagodach.

Ale na ten widok rozdarło się w panu Michale serce do reszty; skoczył do Krzysi i porwał jej ręce. Bębenek potoczył się z jej kolan aż na środek pokoju, rycerz jednak na nic nie zważał, tylko do ust przyciskał te ciepłe, miękkie, aksamitne dłonie powtarzając:

— Nie płacz waćpanna! Dla Boga! nie płacz!

Nie przestał zaś całować tych dłoni nawet i wówczas, gdy Krzysia, jak zwykle czynią ludzie we frasunku, założyła je na głowę; owszem całował je tym goręcej, aż ciepło bijące od jej włosów i czoła upoiło go jak wino i pomieszało mu zmysły.

Wówczas, sam nie wiedział jak i kiedy, usta jego obsunęły się jej na czoło i całowały je jeszcze goręcej; potem zasię obsunęły się na jej spłakane oczy i świat zakręcił się z nim zupełnie; potem uczuł ów puszek delikatniuchny nad jej ustami; potem usta ich połączyły się i przycisnęły do siebie długo i z całej mocy. Cicho uczyniło się w komnacie, tylko zegar tykał poważnie.

Nagle w sieni rozległo się tupotanie Basi i jej półdziecinny głos powtarzający:

— Mróz! Mróz! Mróz!

Wołodyjowski odskoczył od Krzysi jak spłoszony ryś od ofiary, a w tej chwili wleciała z hałasem Baśka powtarzając ciągle:

— Mróz! Mróz! Mróz!

Nagle potknęła się o bębenek leżący na środku pokoju. Wówczas stanęła i spoglądając ze zdziwieniem to na bębenek, to na Krzysię, to na pana małego rzekła:

— Cóż to? Godziliście w siebie wzajem jako pociskiem?...

— A gdzie ciotula? — spytała Drohojowska starając się wydobyć ze swej falującej piersi spokojny i naturalny głos.

— Ciotula z sanek powoli wyłazi — odrzekła również zmienionym głosem Basia.

I ruchliwe jej nozdrza poruszyły się kilkakrotnie. Spojrzała jeszcze po razu na Krzysię i na pana Wołodyjowskiego, który przez ten czas podniósł bębenek, po czym nagle wyszła z pokoju.

Ale w tej chwili wtoczyła się pani stolnikowa, zeszedł i pan Zagłoba z góry i poczęła się rozmowa o pani podkomorzynie lwowskiej.

— Nie wiedziałam, że to chrzestna matka pana Nowowiejskiego — rzekła pani stolnikowa — któren też musiał jej jakoweś konfidencje poczynić, bo okrutnie nim Basię prześladowała.

— A Basia co na to? — spytał Zagłoba.

— I, co tam Basia! Na psa łyko! Powiedziała pani podkomorzynie tak: „On nie ma wąsów, a ja rozumu — i nie wiadomo, kto się pierwej swego doczeka”.

— Wiedziałem, że ona języka nie zgubi, ale kto ją tam wie, co naprawdę myśli. Chytrość białogłowska!

— U Basi co w sercu, to w gębie. Zresztą mówiłam już waćpanu, że ona jeszcze woli bożej nie czuje: Krzysia więcej!

— Ciotula! — ozwała się nagle Krzysia.

Dalszą rozmowę przerwał sługa, który oznajmił, że wieczerza podana. Poszli więc wszyscy do jadalnej izby, tylko Basi nie było.

— Gdzie panienka? — spytała pani stolnikowa pachołka.

— Panienka w stajni. Mówiłem panience, że wieczerza idzie, a panienka powiedziała: „dobrze”, i poszła do stajni.

— Zaliby się jej co niemiłego przygodziło? Taka była wesoła! — rzekła zwracając się do Zagłoby pani Makowiecka.

Wtem mały rycerz, który miał sumienie niespokojne, rzekł:

— Skoczę po nią!

I skoczył. Znalazł ją rzeczywiście zaraz za stajennymi drzwiami siedzącą na wiązce siana. Była tak zamyślona, że wcale go nie spostrzegła, gdy wchodził.

— Panno Barbaro! — rzekł mały rycerz schylając się nad nią.

Basia drgnęła jakby ze snu zbudzona i podniosła nań oczy, w których Wołodyjowski dostrzegł z największym zdziwieniem dwie łzy wielkie jak perły.

— Dla Boga! Co waćpannie jest? Płaczesz?

— Ani mi się śni! — zawołała zrywając się Basia. — Ani mi się śni! To z mrozu!

I rozśmiała się wesoło, ale śmiech to był nieco przymuszony.

Następnie, chcąc odwrócić od siebie uwagę, wskazała na klatkę, w której stał dzianet podarowany panu Wołodyjowskiemu przez hetmana, i rzekła żywo:

— Waćpan mówiłeś, że do tego konia wchodzić nie można? Otóż zobaczymy!

I nim pan Michał zdążył ją zatrzymać, skoczyła do klatki. Dziki rumak począł zaraz przysiadać na zadzie, tupać i tulić uszy.

— Dla Boga! On waćpannę gotów zabić! — krzyknął Wołodyjowski wskakując za nią.

Ale Basia poczęła już klepać całą dłonią po karku dzianeta, powtarzając:

— Niech zabije! Niech zabije! Niech zabije!...

A koń zwrócił ku niej dymiące nozdrza i rżał z cicha, jakby rad z pieszczoty.

Rozdział X

Niczym były wszystkie noce Wołodyjowskiego w porównaniu z tą, jaką spędził po owym zajściu z Krzysią. Bo oto zdradził pamięć swojej zmarłej, której wspomnienie kochał przecie; zawiódł ufność tej żyjącej, nadużył przyjaźni, zaciągnął jakoweś zobowiązania, postąpił jak człek bez sumienia. Inny żołnierz byłby sobie nic nie robił z jednego takiego pocałunku i co najwięcej, na wspomnienie o nim wąsa pokręcił; ale pan Wołodyjowski, zwłaszcza od czasu śmierci Anusinej, był skrupulatem jak każdy człowiek mający duszę zbolałą i serce rozdarte. Co mu zatem teraz pozostawało do roboty? Jak miał postąpić?

Brakło już tylko kilku dni do jego odjazdu, któren odjazd mógł wszystko przeciąć i zakończyć. Ale czy godziło się odjeżdżać i słowa Krzysi nie rzec, i zostawić ją tak, jak się pierwszą lepszą dziewkę pokojową zostawia, której się całusa ukradnie? Wzdrygało się na tę myśl waleczne serce małego rycerza. Nawet w takiej rozterce, w jakiej był w tej chwili, myśl o Krzysi napełniała go słodyczą, a wspomnienie owego pocałunku przejmowało go dreszczem rozkosznym.

Wściekłość go brała z tego powodu na samego siebie, a jednak obronić się uczuciu słodyczy i rozkoszy nie mógł. Zresztą całą winę brał na siebie.

— Jam do tego Krzysię przywiódł — powtarzał sobie z goryczą i boleścią — jam ją przywiódł, za czym nie godzi mi się i odjeżdżać bez słowa.

Więc co? Oświadczyć się i odjechać Krzysinym narzeczonym?

Tu ubrana biało i sama bielusieńka, jakby woskowa, postać Anusi Borzobohatej stawała przed oczyma rycerza taka, jaką ją w trumnie złożył.

— Tyle mi się należy — mówiła owa postać — byś mnie żałował i za mną tęsknił. Mnichem z początku chciałeś zostać, całe życie mnie płakać, a teraz inną bierzesz, nim moja duszyczka zdołała do bram niebieskich dolecieć. Ach! poczekaj! niech pierwej do niebios trafię, niech na tę ziemię patrzeć przestanę...

I zdawało się rycerzowi, że jest jakimś krzywoprzysięzcą względem tej duszki jasnej, której pamięć winien był czcić i przechowywać jak świętość. Brał go żal i wstyd niezmierny, i pogarda dla samego siebie. Śmierci pragnął.

— Anulu! — powtarzał na klęczkach — jać cię do śmierci płakać nie przestanę, ale co mam teraz uczynić?

Bieluchna postać nie odpowiadała na to nic, rozpraszając się jak mgła lekka, a natomiast zjawiały się w wyobraźni rycerza oczy Krzysi i jej usta puszkiem pokryte, a wraz z nimi pokusy, z których otrząsał się biedny żołnierz jako ze strzał tatarskich. I

ponętom samym byłby się obronił, lecz jednocześnie sumienie mówiło mu: źle postąpisz, jeśli jej odjedziesz i zacną pannę, którą do winy przywiodłeś, we wstydzie zostawisz.

Tak wahało się serce rycerza na obie strony w niepewności, zmartwieniu, męce. Chwilami przychodziło mu do głowy, żeby pójść, wszystko wyznać panu Zagłobie i poradzić się tego męża, którego rozum umiał każdej trudności sprostać. Przecie on wszystko przewidział, przecie on z góry przepowiedział: co to jest z białogłowami w „amicycję" wchodzić...

Ale właśnie ten wzgląd wstrzymywał małego rycerza. Przypomniał sobie, jak ostro zakrzyknął na pana Zagłobę: „Waćpan Krzysi nie ubliżaj!" I ot, kto ubliżył Krzysi? Kto teraz namyślał się, czy nie lepiej ją jako pokojową zostawić, a samemu odjechać?

— Żeby nie tamta nieboga, to ja bym się i minuty nie namyślał — rzekł do siebie mały rycerz — za czym bym i zgoła się nie martwił, owszem radowaćby mi się w duszy, żem takiego specjału zakosztował!

Po chwili zaś mruknął:

— Zakosztowałbym ja go chętnie i sto razy!

Widząc jednak, że na nowo pokusy go opadają, otrząsnął się z nich mocno i tak począł rozumować:

„Stało się! Skorom raz postąpił jak ten, któren nie amicycji pragnie, ale od Kupidyna kontentacji wygląda, to już muszę tą drogą iść i powiedzieć jutro Krzysi, że ją chcę pojąć".

Tu zastanowił się chwilę, po czym tak dalej rozmyślał:

„...Przez którą deklarację i owa dzisiejsza konfidencja zgoła jakowejś poczciwości nabierze, i jutro nowych będę mógł zaraz sobie pozwol..."

Lecz w tym miejscu uderzył się dłonią po ustach.

— Tfu! — rzekł — chyba cały czambuł diabłów za kołnierzem mi siedzi!

Ale już myśli o oświadczynach nie zaniechał rozumując sobie po prostu, że jeśli przez to kochanej zmarłej uchybi, to mszami może ją przebłagać i pobożnością, czym zarazem jej okaże, że wciąż pamięta i świadczyć jej nie przestaje.

Zresztą, jeśli i będą się ludzie dziwić a naśmiewać, że parę niedziel temu mnichem z żałości chciał zostać, a teraz już się drugiej z afektem oświadczył, to wstyd będzie tylko po jego stronie, gdy w przeciwnym razie musiałaby się niewinna Krzysia i wstydem, i winą z nim dzielić.

— Tedy będę jutro deklarował, nie może inaczej być! — rzekł w końcu.

Po czym uspokoił się znacznie i odmówiwszy pacierze, i pomodliwszy się żarliwie za Anusię zasnął.

A nazajutrz zbudziwszy się powtórzył:

— Dziś będę deklarował!...

Jednakże nie było to tak łatwym, bo nie chciał pan Michał wszystkim o tym oznajmiać, jeno z Krzysią naprzód pomówić, a potem postąpić, jak wypadnie. Tymczasem od rana przyjechał pan Nowowiejski i wszędy go było pełno.

Krzysia chodziła jak struta przez cały dzień: była blada, zmęczona i co chwila spuszczała oczy; czasem rumieniła się tak, że kolory biły jej aż na szyję; czasem usta jej drgały jakby do płaczu; to znów była jakaś senna i omdlała.

Trudno było rycerzowi się do niej zbliżyć, a zwłaszcza pozostać dłużej sam na sam. Mógł ją wprawdzie wyprowadzić po prostu za dom na przechadzkę, bo pogoda była cudna, i dawniej byłby to bez żadnego skrupułu uczynił; ale teraz nie śmiał, bo mu się zdało, że wszyscy zaraz domyślą się, o co mu chodzi — wszyscy deklarację odgadną.

Na szczęście wyręczył go Nowowiejski. Ten odwiódłszy na bok panią stolnikową rozmawiał z nią o czymś dość długo; potem wrócili oboje do izby, w której siedział mały rycerz z dwoma pannami oraz panem Zagłobą — i pani stolnikowa rzekła:

— Ot, przejechalibyście się, młodzi, saniami we dwie pary, bo od śniegu aż skry idą.

Na to Wołodyjowski pochylił się prędko do ucha Krzysi i rzekł:

— Zaklinam waćpannę, byś siadła ze mną... Siła mam do mówienia.

— Dobrze — odpowiedziała Drohojowska.

Po czym obaj z Nowowiejskim skoczyli do stajni, a Basia z nimi trzecia, i w kilka pacierzy dwoje sanek zajechało przed dom. Wołodyjowski z Krzysia siedli w jedne, Nowowiejski z hajduczkiem w drugie i ruszyli bez woźniców.

Zaś pani Makowiecka zwróciła się do Zagłoby i rzekła:

— Pan Nowowiejski o Basię deklarował.

— Jakże to? — spytał niespokojnie Zagłoba.

— Pani podkomorzyna lwowska, jego chrzestna matka, ma tu jutro przyjechać ze mną się rozmówić, zaś pan Nowowiejski prosił mnie, by mógł choć z daleka Basię wyrozumieć, bo sam pojmuje, że jeśli Basia nie jest mu przyjacielem, to próżne będą fatygi i zachody.

— I dlatego waćpani dobrodziejka wyprawiłaś ich do sani?...

— Dlatego. Mąż mój wielki skrupulat. Nieraz on mi mówił: „Majętnościami ja się opiekuję, ale męża niech sobie każda sama wybiera; byle był uczciwy, to ja się nie

sprzeciwię, choćby i w fortunie była różnica”. Zresztą, obie z Krzysią mają lata i mogą sobą rządzić.

— A co waćpani zamierzasz pani podkomorzynie lwowskiej odpowiedzieć?

— Mój mąż przyjeżdża w maju; na niego to zdam; ale tak myślę, że jak Basia zechce, tak będzie.

— Nowowiejski młodzik!

— Ale sam Michał powiadał, że żołnierz znamienity, wojennymi akcjami już wsławiony. Fortunę grzeczną ma, a koligacje wszystkie pani podkomorzyna mi wyłuszczyła. Widzi waćpan, to było tak: jego pradziad, urodzony z kniaziówny Sieniutówny, primo voto był żonaty…

— A co mnie do jego koligacyj! — przerwał Zagłoba nie tając złego humoru — ni on mi brat, ni swat, a ja powiadam waćpani, że hajduczka dla Michała przeznaczałem, bo jeśli między dziewkami, które na dwóch nogach chodzą po świecie, jest od niej lepsza i poczciwsza, to niech ja od tej chwili zacznę chodzić na czterech jako ursus!

— Michał jeszcze o niczym nie myśli, a choćby i myślał, to jemu więcej Krzysia w oko wpadła… Ha! Bóg to zdecyduje, którego wyroki są niezbadane!

— Ale żeby ten gołowąs z harbuzem wyjechał, upiłbym się z radości! — dodał Zagłoba.

Tymczasem w obu saniach ważyły się losy rycerzy. Pan Wołodyjowski długo nie mógł się zdobyć na słowo, nareszcie tak ozwał się do Krzysi:

— Waćpanna nie myśl, żebym ja był człek lekki albo jakowyś mydłek, bo mi i lata nie po temu.

Krzysia nic nie odrzekła.

— Waćpanna mi przebacz to, com wczoraj uczynił, bo to było z tak ekstraordynaryjnej dla waćpanny życzliwości, żem jej zgoła pohamować nie umiał… Moja mościa panno, moja Krzysiu kochana! Zważ, ktom jest, żem prosty żołnierz, któremu wiek życia na wojnach zeszedł… Inny byłby naprzód z oracją się popisał, a potem do konfidencji przystąpił, ja zaś od konfidencji zacząłem… Pomnij też na to, że jeśli koń, chociaż i wyjeżdżony, człowieka czasem na kieł wziąwszy uniesie — jakże afekt nie ma unosić, którego pęd jest większy? Tako i mnie afekt uniósł, dlatego właśnie, żeś mi miła… Moja Krzysiu kochana! Kasztelanów i senatorów tyś godna; ale jeśli nie pogardzisz żołnierzem, który choć i w prostym stanie służył ojczyźnie nie bez jakowejś sławy, tedy ja ci do nóg padam, nogi twoje całuję i pytam: chceszże mnie? możeszli bez abominacji o mnie pomyśleć?

— Panie Michale!... — odpowiedziała Krzysia.

I ręka jej wysunąwszy się z zarękawka ukryła się w dłoni rycerza.

— Zgadzasz się? — pytał Wołodyjowski.

— Tak! — odrzekła Krzysia — i wiem, że zacniejszego w całej Polsce nie mogłabym znaleźć!

— Bóg waćpannie zapłać! Bóg ci zapłać, Krzychna! — mówił rycerz pokrywając pocałunkami tę rękę. — Już też nie mogła mnie większa potkać szczęśliwość! Powiedz mi jeno, że się nie gniewasz za wczorajszą konfidencję, abym i na sumieniu miał ulgę?

Krzysia zamrużyła oczy.

— Nie gniewam się! — rzekła.

— Że to w tych saniach nie ma jak po nogach całować! — zakrzyknął Wołodyjowski.

Czas jakiś sunęli w milczeniu, tylko płozy świszczały po śniegu i spod kopyt końskich padał grad grudek śniegowych.

Po czym Wołodyjowski znów ozwał się:

— Aż mi to dziwno, że mnie nawidzisz?

— Więcej to dziwno — odrzekła Krzysia — żeś waćpan mnie tak prędko pokochał...

Na to twarz Wołodyjowskiego spoważniała bardzo i tak mówić począł:

— Krzysiu, może i tobie się to źle wydaje, że nimem się z boleści otrząsnął po jednej, jużem drugą pokochał. Wyznaję ci też jako na spowiedzi, że swego czasu bywałem płochy. Ale teraz to inna rzecz. Nie zapomniałem ja tamtej niebogi i nie zapomnę jej nigdy; miłuję ją dotąd i gdybyś wiedziała, ile jest po niej płaczu we mnie, sama byś nade mną zapłakała...

Tu zbrakło głosu małemu rycerzowi, bo się wzruszył bardzo i może dlatego nie spostrzegł, że te słowa jego nie zdawały się czynić na Krzysi zbyt mocnego wrażenia.

Więc znów zapadła cisza chwilowa, ale tym razem przerwała ją Krzysia:

— Będę się starała waćpana pocieszać, ile sił starczy.

Na to mały rycerz:

— Właśniem dlatego cię tak prędko pokochał, żeś ty od pierwszego dnia poczęła mi rany opatrować. Czym ci byłem? Niczym! A dlatego zaraz się do tego zabrałaś mając w sercu miłosierdzie nad nieszczęśnikiem. Ach! Siła ja ci, siła zawdzięczam! Kto tego nie wie, będzie mi może przyganiał, żem to w nowembrze chciał mnichem zostawać, a w decembrze do stanu małżeńskiego się zabieram. Pierwszy pan Zagłoba gotów podrwiwać, bo on rad dworuje, gdy mu się okazja zdarzy, ale niech drwi zdrów! Nie dbam ja o to, zwłaszcza że nie na ciebie przygana spadnie, jeno na mnie...

Tu Krzysia poczęła patrzeć w niebo, namyślać się, wreszcie odrzekła:

— Zali koniecznie mamy oznajmiać ludziom o naszym przymierzu?

— Jakże to?

— Waćpan przecie za parę dni wyjeżdżasz?

— Choćbym i nierad, muszę.

— Ja też żałobne szatki po ojcu noszę. Po co się na podziw ludzki wystawiać? Niechże układ stoi między nami, a ludzie niech o nim nie wiedzą, póki pan Michał z Rusi nie wróci. Dobrze?

— To i siostrze nie mam nic gadać?

— Sama ja jej powiem, ale po pana Michałowym odjeździe.

— A panu Zagłobie?

— Pan Zagłoba na mnie, niebodze, by swój dowcip ostrzył. Ej, lepiej nic nie mówić! Basia by mi także dogadywała, a ona się i tak czegoś w ostatnich czasach dziwaczy i humor ma tak zmienny jak nigdy. Ej, lepiej nie mówić!

Tu Krzysia znów podniosła swe ciemnoniebieskie oczy do góry:

— Bóg nad nami świadek, a ludzie niech w niewiadomości zostają.

— Widzę, że rozum w waćpannie gładkości wyrównywa. Zgoda! Tedy Bóg nam świadek — amen! Oprzyj że się o mnie ramionkiem, bo skoro układ stoi, to się już modestii nie przeciwi. Nie bój się! Wczorajszego uczynku choćbym chciał się dopuścić, nie mogę, bo muszę na konie uważać.

Krzysia uczyniła zadość żądaniu rycerza, a ten znów rzekł:

— Ilekroć będziemy sam na sam, mów mi po imieniu.

— Jakoś mi nieskładno — odrzekła z uśmiechem. — Nigdy się nie odważę!

— A ja się odważyłem!

— Bo pan Michał rycerz, pan Michał odważny, pan Michał żołnierz…

— Krzychna! Moja ty kochana!

— Mich…

Lecz nie odważyła się Krzysia dokończyć i zakryła twarz zarękawkiem.

Po niejakim czasie nawrócił pan Michał do domu i niewiele już mówili przez drogę, tylko w samym kołowrocie spytał jeszcze mały rycerz:

— A po wczorajszym… wiesz!… bardzo ci było smutno?

— Było i wstyd, i smutno, ale…ale dziwnie! — dodała ciszej.

I zaraz uczynili twarze obojętne, aby nikt nie poznał, co między nimi zaszło.

Ale niepotrzebna to była ostrożność, bo nikt na nich nie zważał.

Wprawdzie Zagłoba z panią stolnikową wybiegli aż do sieni na spotkanie obu par, jednak oczy ich były zwrócone tylko na Basię i Nowowiejskiego.

Basia zaś była czerwona, nie wiadomo, z mrozu czy ze wzruszenia, a Nowowiejski jak struty. Zaraz też w sieni począł się żegnać z panią stolnikową. Próżno go zatrzymywała, próżno i sam Wołodyjowski, który był w humorze wybornym, namawiał go do pozostania na wieczerzę; wymówił się służbą i odjechał. Wówczas pani stolnikowa, nie mówiąc nic, pocałowała Basię w czoło — ona zaś poleciała zaraz do swojej izby i nie wróciła, aż na wieczerzę.

Na drugi dzień dopiero pan Zagłoba przydybawszy ją samą spytał:

— A co, hajduczku, w Nowowiejskiego jakoby piorun trzasł?

— Aha! — odrzekła potakując głową i mrugając oczyma.

— Powiedzże, coś mu powiedziała?

— Prędkie było pytanie, bo to rezolut, ale prędka odpowiedź, bo i ja rezolutka: nie!

— Wybornieś postąpiła! Niech cię uściskam! Cóż on? Dał się krótko zbyć?

— Pytał, czyli z czasem nie będzie mógł czego uzyskać! Żal mi go było, ale nie, nie; nie może z tego nic być!...

Tu Basia rozdęła chrapki i poczęła trząść czupryną trochę smutno i jakoby w zamyśleniu.

— Powiedzże mi swoje racje? — rzekł Zagłoba.

— Tego samego i on chciał, ale na próżno; jemu nie powiedziałam i nikomu nie powiem.

— A może — rzekł Zagłoba patrząc jej bystro w oczy — a może ty w sercu jakowyś ukryty afekt nosisz, hę?

— Figę, nie afekt! — zawołała Basia.

I porwawszy się z miejsca poczęła powtarzać prędko, jakby chcąc pokryć pomieszanie:

— Nie chcę pana Nowowiejskiego! Nie chcę pana Nowowiejskiego! Nie chcę nikogo! Czemu mi waćpan dokuczasz? Czemu mi wszyscy dokuczają?...

I rozpłakała się nagle.

Pan Zagłoba pocieszał ją, jak umiał, ale przez cały dzień była smutna i zła.

— Panie Michale — rzekł przy obiedzie Zagłoba — ty odjeżdżasz, a tymczasem Ketling powróci, a gładysz to nad gładysze! Nie wiem, jak tam panniątka dadzą sobie rady, ale tak myślę, że po przyjeździe zastaniesz je obie rozamorowane.

— Dobra nasza! — odrzekł Wołodyjowski. — Pannę Basię mu zaraz zaswatamy!

Basia utkwiła w nim wzrok rysi i odrzekła:

— A czemu to waćpan o Krzysię mniej troskliwy?

Zmieszał się na te słowa mały rycerz niezmiernie i odrzekł:

— Waćpanna jeszcze nie znasz Ketlingowej mocy, ale jej doznasz!

— A czemu Krzysia nie ma doznać? Toć przecie nie ja śpiewam:

Mdła białogłowa
Jakże się schowa
I gdzie się biedna schroni?

Tu znów Krzysia zmieszała się z kolei, a mała gadzina mówiła dalej:

— W ostatku pana Nowowiejskiego poproszę, żeby mi tarczy swojej pożyczył, ale jak waćpan wyjedzie, nie wiem, czym się Krzysia będzie bronić, jeśli na nią termin przyjdzie?...

Ale Wołodyjowski już ochłonął, więc odrzekł nieco surowo:

— Może też i znajdzie czym się bronić lepiej od waćpanny.

— A to jakim sposobem?

— Bo mniej płocha, a statku i rozwagi ma więcej...

Pan Zagłoba i pani stolnikowa myśleli, że czupurny hajduczek zaraz stanie do walki, ale ku wielkiemu ich zdziwieniu hajduczek spuścił głowę ku talerzowi i po chwili dopiero rzekł cichym głosem:

— Jeśli się waćpan gniewa, to przepraszam i waćpana, i Krzysię...

Rozdział XI

Pan Michał mając pozwolenie jechania, którędy by chciał, jechał na Częstochowę i na Anusin grób. Wypłakawszy przy nim resztę łez ruszył dalej, a pod wpływem świeżych wspomnień przychodziło mu do głowy, że jednak te tajemnicze zrękowiny z Krzysia były za wczesne. Czuł, że żal i żałoba mają w sobie coś świętego i nietykalnego, co winno być zostawione w spokoju, dopóki samo nie wzniesie się jako mgła ku niebu i nie rozejdzie po niezmiernych przestworzach.

Inni wprawdzie, owdowiawszy, żenili się w miesiąc lub dwa później — ale tacy nie poczynali od kamedułów ani też klęska nie spotykała ich w progu szczęścia, po całych latach oczekiwania. Wreszcie, jeśli prostacy nie szanowali świętości żalu, zali godziło się iść ich przykładem?

Jechał więc pan Wołodyjowski na Ruś, a wyrzuty towarzyszyły mu w drodze. Był jednak na tyle sprawiedliwym, że sam całą winę brał na siebie, a na Krzysię jej nie składał. Owszem, do licznych niepokojów, które go ogarnęły, dołączył się i ten, czy i Krzysia także nie poczytuje mu w głębi duszy za złe tego pośpiechu.

— Sama pewnie by tak nie postąpiła — mówił sobie pan Michał — a mając duszę wielką, niechybnie i w innych tej wielkości desiderat.

Otóż strach go brał, czy się jej nie wydał małym.

Jednakże był to próżny strach. Krzysi nic było do żałoby pana Michała i gdy jej o niej za dużo mówił, nie tylko to nie budziło w pannie współczucia, ale drażniło jej miłość własną. Zali to ona, żyjąca, nie była warta tej zmarłej? Albo czy w ogólności była tak mało warta, że zmarła Anusia mogła być jej rywalką? Pan Zagłoba, gdyby do tajemnicy należał, pewnie uspokoiłby pana Michała, że niewiasty nie mają jedna dla drugiej zbyt wiele miłosierdzia.

Niemniej jednak po wyjeździe Wołodyjowskiego panna Krzysia była zdumiona tym, co zaszło, i że już klamka zapadła.

Jadąc do Warszawy, w której nigdy przedtem nie była, wyobrażała sobie, że będzie wcale inaczej. Oto na konwokację i elekcję zjadą dwory biskupie i dygnitarskie, świetne rycerstwo podąży ze wszystkich stron Rzeczypospolitej. Ileż tam będzie zabaw, gwaru, popisów, a wśród tego wiru, wśród tłumów rycerstwa zjawi się jakowyś „on” nieznany, jakowyś rycerz taki, jakich tylko w snach dziewczyny widują; ten dopiero afektem zapłonie, pod oknami z cytrą będzie stawał, kawalkady wyprawiał, długo musi kochać i wzdychać, długo wstęgę kochanej na zbroi nosić, nim po licznych cierpieniach i przezwyciężonych przeszkodach do nóg upadnie i miłość wzajemną uzyska.

Owóż nic się z tego nie stało. Mgły barwiste i mieniące się jak tęcza zrzedły i rycerz ukazał się wprawdzie, rycerz nawet wcale niepospolity, za pierwszego żołnierza Rzeczypospolitej głoszony, kawaler wielki, ale do „onego” niezbyt, a nawet wcale niepodobny. Nie było też kawalkad i na lutni grania ni turniejów, ni popisów, ni wstęg na zbroi, ni gwaru rycerstwa, ni zabaw, ni tego wszystkiego, co jako sen majaczy, jako cudowna bajka na wieczornicy ciekawi, jako zapach kwiatów upaja, jak ptasia ponęta nęci; od czego płonie twarz, bije serce, drży ciało... Był tylko dworek za miastem, w dworku pan Michał, po czym zdarzyła się konfidencja — i już! — reszta przepadła, znikła, jak znika miesiąc na niebie, gdy chmury go zakryją... Gdyby to jeszcze ten pan Wołodyjowski był przyszedł na końcu bajki, przecie byłby pożądany. Nieraz Krzysia rozmyślając o jego sławie, o jego zacności, o jego męstwie, które go chlubą

Rzeczypospolitej, a postrachem jej nieprzyjaciół uczyniło, czuła, że jednak miłuje go wielce, zdało jej się tylko, że ją coś ominęło, że ją spotkała pewna krzywda — trochę przez niego — a raczej przez pośpiech...

Tak więc ów pośpiech zapadł obojgu ziarnkiem piasku na serce, a że byli coraz dalej od siebie, więc ziarnko owe zaczęło im nieco dolegać. Nieraz w uczuciach ludzkich coś się tak nieznacznie, jakoby maluchny cierń kłuje i z czasem albo się goi, albo też jątrzy coraz bardziej i choćby największą miłość, bólem i goryczą zaprawia. Ale między nimi było jeszcze do bólu i goryczy daleko. Szczególniej dla pana Michała słodkim i uspokajającym była Krzysia wspomnieniem i pamięć jej tak szła za nim, jako cień idzie za człowiekiem.

Myślał też, że im bardziej się oddali, tym ona stanie mu się droższą, tym bardziej za nią wzdychał i do niej tęsknił będzie. Jej ciężej czas upływał, bo Ketlingowego dworu od czasu wyjazdu małego rycerza nikt nie odwiedzał i dzień za dniem przechodził w jednostajności i nudzie.

Pani stolnikowa wyczekiwała męża licząc dnie do elekcji i o nim tylko mówiła; Basia osowiała bardzo. Sprzeciwiał się jej pan Zagłoba, że odpaliwszy Nowowiejskiego, teraz za nim tęskni. Jakoż wolałaby była, żeby choć on przyjeżdżał, ale on sobie rzekł: „Nic tu po mnie" — i wkrótce za Wołodyjowskim wyruszył.

Pan Zagłoba także się z powrotem do Skrzetuskich wybierał mówiąc, że mu za basałykami tęskno; wszelako ciężkim będąc, z dnia na dzień wyjazd odkładał, Basi zaś tłumaczył, że ona powodem mitręgi, bo się w niej kocha i o jej rękę starać się zamierza.

Tymczasem dotrzymywał towarzystwa Krzysi, gdy pani Makowiecka wyjeżdżała z Basią do pani podkomorzyny lwowskiej. Krzysia nigdy im nie towarzyszyła w tych odwiedzinach, bo pani podkomorzyna mimo całej swej zacności znosić Krzysi nie mogła. Atoli często gęsto i pan Zagłoba wyruszał do Warszawy, gdzie w grzecznej kompanii czas trawiąc, wracał nieraz pijany dopiero drugiego dnia — i wówczas Krzysia zostawała zupełnie sama, trawiąc samotne chwile na rozmyślaniach trochę o panu Wołodyjowskim, trochę i o tym, co by się mogło zdarzyć, gdyby owa klamka nie była zapadła raz na zawsze, a częstokroć: jakby wyglądał ów nieznany rywal pana Michała, królewicz z bajki...

Raz więc siedziała pod oknem i patrzyła w zamyśleniu na drzwi komnaty, na które padał okrutny blask zachodzącego słońca, gdy nagle dzwonek od sani dał się słyszeć z drugiej strony domu. Krzysi przebiegło przez głowę, że pani Makowiecka musiała z Basią powrócić, ale nie wywiodło to ją z zamyślenia i oczu nawet nie odwróciła ode

drzwi; tymczasem drzwi otworzyły się i na tle ciemnej głębi ukazał się oczom dziewczyny jakiś nieznany mężczyzna.

W pierwszej chwili wydało się Krzysi, że widzi obraz albo że zasnęła i śni: tak cudne stanęło przed nią zjawisko... Nieznajomy był to młody człowiek, przybrany w czarny strój cudzoziemski z białym koronkowym kołnierzem spadającym aż na ramiona. Krzysia w dzieciństwie jeszcze widziała raz pana Arciszewskiego, generała artylerii koronnej, przybranego podobnie, któren też z powodu takiego stroju, jak również dla nadzwyczajnej swej piękności długo jej został w pamięci. Owóż tak był ubrany ów młodzian, tylko że pięknością gasił bez miary i pana Arciszewskiego, i wszystkich mężów chodzących po ziemi. Włosy jego, ucięte równo nad czołem, wiły się w jasnych pierścieniach po obu stronach twarzy, po prostu cudnej. Brwi miał ciemne, wyraźnie rysujące się na białym jak marmur czole; oczy słodkie i smutne; płowy wąs i płową spiczastą brodę. Była to głowa niezrównana, w której szlachetność łączyła się z męstwem; głowa zarazem anielska i rycerska. Krzysi dech zaparło w piersiach, bo patrząc oczom własnym nie wierzyła ani też mogła zmiarkować, czy ma przed sobą ułudę, czy rzeczywistego człowieka. On stał przez chwilę nieruchomo, zdumiony lub udający przez grzeczność zdumienie nad Krzysiną pięknością; wreszcie ruszył ode drzwi i spuściwszy kapelusz ku ziemi począł piórami zamiatać podłogę. Krzysia podniosła się, ale nogi pod nią drżały i to płonąc, to blednąc zamknęła oczy.

Wtem zabrzmiał jego głos niski a miękki jak aksamit:

— Jestem Ketling of Elgin. Panam Wołodyjowskiego przyjaciel i towarzysz broni. Służba powiedziała mi już, że mam niewypowiedziane szczęście i honor ugaszczać pod swym dachem siostrę i krewne mego Pallada, ale przebacz, dostojna panno, mojej konfuzji, bo służba nie powiedziała mi tego, co oczy widzą, a i oczy same twego blasku znieść nie mogą...

Takim komplementem powitał rycerski Ketling Krzysię, ale ona nie wypłaciła mu podobnym, bo się na żadne słowo zdobyć nie mogła. Domyśliła się tylko, że skończywszy, zapewne jej powtórny pokłon oddaje, bo w ciszy usłyszała znów szelest piór o podłogę. Czuła także, że trzeba, że trzeba koniecznie coś odpowiedzieć i komplementem za komplement się wywdzięczyć, że inaczej za prostaczkę poczytaną być może, a tu tymczasem tchu jej brak, pulsa w skroniach i w ręku biją, pierś podnosi się i opada, jakby się zmęczyła bardzo. Otwiera powieki — on stoi przed nią z pochyloną nieco głową, z admiracją i uszanowaniem w swej cudnej twarzy. Drżącymi rękoma chwyciła Krzysia za suknię, aby choć dygnąć przed kawalerem, na szczęście w tejże

chwili wołania: „Ketling! Ketling!”, rozległy się za drzwiami i do komnaty wpadł z otwartymi ramiony zasapany pan Zagłoba.

Wzięli się tedy w objęcia, a przez ten czas panna starała się ochłonąć i zarazem spojrzeć dwa lub trzy razy na młodego rycerza. On zaś obejmował pana Zagłobę serdecznie, ale z tą nadzwyczajną szlachetnością w każdym ruchu, którą bądź po przodkach odziedziczył, bądź nabył takowej na wykwintnych królewskich i magnackich dworach.

— Jak się masz? — wołał pan Zagłoba. — Radem ci w twoim domu jakoby w moim własnym. Niech że ci się przypatrzę! Ha! Pomizerniałeś! Czy nie jakowe amory? Dalibóg, pomizerniałeś! Wiesz, Michał do chorągwi wyjechał. O! Toś wybornie uczynił przyjechawszy! Michał o klasztorze już nie myśli. Bawi tu jego siostra z dwiema pannami. Dziewki jak rzepy! Jedna Jeziorkowska, druga Drohojowska. Dla Boga! Panna Krzysia tu jest! Przepraszam waćpannę, ale niech temu oczy wylezą, kto wam gładkości zaprzeczy, a na waćpaninej już się ten kawaler poznać musiał.

Ketling skłonił po raz trzeci głową i rzekł z uśmiechem:

— Zostawiłem dom cekhauzem, a zastałem go Olimpem, bom boginię ujrzał na wstępie.

— Ketling! Jak się masz! — zawołał po raz wtóry Zagłoba, któremu mało było jednego powitania i znów chwycił go w objęcia.

— Nic to! — mówił — hajduczkaś jeszcze nie widział! Jedna gładka, ale i druga miód, miód! Jak się masz, Ketling! Daj ci Boże zdrowie! Będę ci mówił: ty! Dobrze? Staremu poręczniej... Radeś z gości, co?... Pani Makowiecka tu zajechała, bo o gospodę było czasu konwokacji trudno, ale teraz już łatwiej i pewnie sie wyniesie, bo z pannami w kawalerskim domu mieszkać nie wypada, żeby ludzie krzywo nie patrzyli i żeby jakowego gadania nie było...

— Na Boga! Nigdy na to nie pozwolę! Jam Wołodyjowskiemu nie przyjaciel, ale brat, zatem panią Makowiecką jako siostrę przyjąć pod dachem mogę. Do waćpanny pierwszej o instancję się udaję, a jeśli trzeba, to na kolanach będę o nią błagał!

To rzekłszy klęknął przed Krzysią i chwyciwszy jej rękę do ust przycisnął, a patrzył w jej oczy błagalnie, wesoło i smutno zarazem; ona zaś poczęła płonić się, zwłaszcza że Zagłoba zaraz wykrzyknął:

— Ledwie przyjechał, już przed nią na kolanach. Dla Boga! Powiem pani Makowieckiej, żem was tak zastał!... Ostro, Ketling!... Krzysiu! Poznaj waćpanna dworski obyczaj!...

— Jam dworskich obyczajów nieświadoma! — szepnęła w największym zmieszaniu panna.

— Mogęż liczyć na instancję? — pytał Ketling.

— Wstań waćpan!...

— Mogęż liczyć na instancję? Jam brat pana Michałowy! Jemu się krzywda stanie, gdy ten dom opustoszeje!...

— Na nic tu moja chęć! — odrzekła przytomniej Krzysia — chociaż za waćpanową wdzięczną być muszę.

— Dziękuję! — odparł Ketling przyciskając do ust jej rękę.

— Ha! Mróz na dworze, a Kupido golec: wszelako tak myślę, że byle się tu dostał, to w tym domu nie zmarznie! — zakrzyknął Zagłoba.

— Daj waćpan spokój! — rzekła Krzysia.

— A widzę już: od samych wzdychań odliga będzie! Nic! tylko od wzdychań!...

— Dziękuję Bogu, żeś waćpan jowialnego humoru nie utracił — rzekł Ketling — bo wesołość znak zdrowia.

— I czystego sumienia, i czystego sumienia! — odparł Zagłoba. — Mędrzec pański powiada: „Ten się drapie, kogo swędzi” , a mnie nic nie swędzi, przetom wesół! Jak się masz Ketling! O! do stu bisurmanów! Co to ja widzę? Wszakżem to ciebie po polsku widział, w rysim kołpaczku i przy szabli, a teraześ się znowu na jakowegoś Angielczyka przemienił i na cienkich nogach niby żuraw chodzisz?

— Bom w Kurlandii długi czas siedział, gdzie polskiego stroju nie zażywają, a teraz dwa dni spędziłem u angielskiego rezydenta w Warszawie.

— To z Kurlandii wracasz?

— Tak jest. Przybrany rodzic mój zmarł i tamże mi majętność drugą zostawił.

— Wieczny mu spokój! Katolikże on był?

— Tak jest.

— To przynajmniej masz pociechę. A nie porzuciszże ty nas dla owej kurlandzkiej substancji?

— Tu mi żyć i umierać! — odrzekł spojrzawszy na Krzysię Ketling.

A ona spuściła zaraz swe długie rzęsy na oczy.

Pani Makowiecka nadjechała o zupełnym już mroku, a Ketling wyszedł aż przed bramę na jej spotkanie i prowadził ją do domu z takim uszanowaniem, jakby księżnę udzielną. Chciała, było, zaraz na drugi dzień szukać sobie innej gospody w samym mieście, ale na nic się nie przydał jej opór. Młody rycerz póty błagał, póty się na swoje

braterstwo z Wołodyjowskim powoływał, póty klękał, aż zgodziła się i nadal u niego zamieszkać. Ułożono tylko, że i pan Zagłoba czas jakiś jeszcze zostanie, aby swą powagą i wiekiem niewiasty od złych języków zasłonić. On zgodził się chętnie, bo do „hajduczka” niezmiernie się przywiązał, a przy tym zaczął sobie pewne plany w głowie układać, które koniecznie jego obecności wymagały. Dziewczyny obie były rade, a Basia od razu otwarcie po stronie Ketlinga wystąpiła.

— Dziś i tak się nie wyniesiem — rzekła do wahającej się pani stolnikowej — a później czy jedna doba, czy dwadzieścia, to już wszystko jedno!

Ketling podobał się jej, zarówno jak Krzysi, bo on się wszystkim niewiastom podobał; Basia przy tym nigdy dotąd nie widziała zagranicznego kawalera prócz oficerów cudzoziemskiej piechoty, ludzi mniejszej szarży i dość prostych; więc obchodziła go wkoło, potrząsając czupryną, rozdymając chrapki i przypatrując mu się z dziecinną ciekawością tak natarczywą, że aż usłyszała cichą naganę od pani Makowieckiej. Ale mimo nagany nie przestała go badać oczyma, jakby chcąc jego wartość żołnierską ocenić, a wreszcie poczęła wypytywać o niego pana Zagłobę.

— Wielkiż to żołnierz? — spytała po cichu starego szlachcica.

— Że i znamienitszy być nie może. Widzisz, eksperiencję ma niezmierną, bo od czternastego roku życia przeciw Angielczykom rokoszanom służył, przy prawdziwej wierze stając. Szlachcic też to jest wysokiego rodu, co i po jego obyczajności snadnie poznać możesz.

— Waćpan go widział w ogniu?

— Tysiąc razy! Będzie ci stał ani się zmarszczy; konia czasem po karku poklepie i o afektach gotów gadać.

— Zali moda o afektach wtedy rozmawiać? Co?

— Moda wszystko czynić, przez co się kontempt dla kul okazuje.

— No, a wręcz, w pojedynkę, równie on wielki?

— Ba, ba! szerszeń jest, nie ma co gadać!

— A panu Michałowi by wytrzymał?

— A! Michałowi by nie wytrzymał!

— Ha! — zawołała z radosną dumą Basia — wiedziałam, że nie wytrzyma! Zaraz pomyślałam, że nie wytrzyma!

I poczęła w ręce klaskać.

— Także to przy Michale się oponujesz? — spytał Zagłoba.

Basia potrząsnęła czupryną i umilkła; po chwili dopiero ciche westchnienie podniosło jej pierś.

— E! co tam! Radam, bo nasz!

— Ale to sobie zauważ i zakonotuj, hajduczku — rzekł Zagłoba — iż jeśli na polu bitwy trudno o lepszego niż Ketling, tedy dla niewiast jeszcze on bardziej periculosus, które się w nim dla jego urody zapamiętale kochają! Praktyk też to i w amorach znakomity!

— Powiedz to waćpan Krzysi, bo mnie amory nie w głowie — rzekła Basia i zwróciwszy się ku Drohojowskiej, poczęła wołać: — Krzysiu! Krzysiu! Chodź jeno na słowo!

— Jestem — rzekła panna Drohojowska.

— Pan Zagłoba powiada, że żadna panna nie spojrzy na Ketlinga, żeby się zaraz w nim nie rozkochała. — Ja już go obejrzałam na wszystkie strony i jakoś mi nic, a ty zali już co czujesz?

— Baśka! Baśka! — rzekła tonem perswazji Krzysia.

— Spodobał ci się, co?

— Daj spokój! Statkuj! Moja Basiu, nie powiadaj byle czego, bo właśnie pan Ketling się przybliża.

Jakoż Krzysia nie zdołała jeszcze usiąść, gdy Ketling zbliżył się i spytał:

— Wolno się do kompanii przyłączyć?

— Wdzięcznie prosim! — odpowiedziała Jeziorkowska.

— Więc śmielej już spytam, o czym była rozmowa?

— O amorach! — wykrzyknęła bez namysłu Basia.

Ketling usiadł przy Krzysi. Przez chwilę milczeli, bo Krzysia, zwykle przytomna i władnąca sobą, dziwnie jakoś stawała się nieśmiałą wobec tego kawalera, więc on pierwszy spytał:

— Zali w istocie o tak wdzięcznym obiekcie była narada?...

— Tak! — odrzekła półgłosem panna Drohojowska.

— Rad bym nad wszystko usłyszeć waćpanny mniemanie.

— Wybacz waćpan, bo i śmiałości brak mi, i dowcipu, tak też myślę, że ja bym to raczej od waćpana coś nowego usłyszeć mogła.

— Krzysia ma rację! — wtrącił Zagłoba. — Słuchamy!...

— Pytaj pani! — odpowiedział Ketling.

I podniósłszy oczy nieco w górę, zamyślił się, następnie zaś, choć i nie pytany, począł mówić jakoby do siebie:

— Kochanie to niedola ciężka, bo przez nie człek wolny niewolnikiem się staje. Równie jak ptak, z łuku ustrzelon, spada pod nogi myśliwca, tak i człek, miłością porażon, nie ma już mocy odlecieć od nóg kochanych…

Kochanie to kalectwo, bo człek, jak ślepy, świata za swoim kochaniem nie widzi…

Kochanie to smutek, bo kiedyż więcej łez płynie, kiedyż więcej wzdychań boki wydają? Kto pokocha, temu już nie w głowie ni stroje, ni tańce, ni kości, ni łowy; siedzieć on gotów, kolana własne dłońmi objąwszy, tak tęskniąc rzewliwie, jako ów, który kogoś bliskiego postradał…

Kochanie to choroba, gdyż w nim, jako w chorobie, twarz bieleje, oczy wpadają, ręce się trzęsą i palce chudną, a człowiek o śmierci rozmyśla albo w obłąkaniu ze zjeżoną głową chodzi, z miesiącem gada, rad miłe imię na piasku pisze, a gdy mu je wiatr zwieje, tedy powiada: „nieszczęście!”… i szlochać gotów…

Tu Ketling umilkł na chwilę: rzekłby kto, że się w rozpamiętywaniu pogrążył. Krzysia słuchała słów jego jakoby pieśni, duszą całą. Rozchyliły się jej ocienione usta, a oczy nie schodziły ze ślicznej twarzy rycerza. Baśce czupryna spadła całkiem na oczy, więc nie było można poznać, co myśli, ale siedziała także cicho.

Wtem ziewnął pan Zagłoba głośno, odsapnął, wyciągnął nogi i rzekł:

— Każże z takiego kochania psom buty uszyć!

— A jednak — zaczął znów rycerz — jeśli miłować ciężko, to nie miłować ciężej jeszcze, bo kogóż bez kochania nasyci rozkosz, sława, bogactwa, wonności lub klejnoty? Kto kochanej nie powie: „Wolę cię niźli królestwo, niźli sceptr, niźli zdrowie, niźli długi wiek?…” A ponieważ każdy chętnie by oddał życie za kochanie, tedy kochanie więcej jest warte od życia…

Ketling skończył.

Panny siedziały przytulone jedna do drugiej, podziwiając i czułość jego mowy, i owe wywody misterne, obce polskim kawalerom; aż pan Zagłoba, któren się był zdrzemnął pod koniec, zbudził się i począł, mrugając oczyma, spoglądać to na jedno, to na drugie, to na trzecie, wreszcie zebrawszy przytomność spytał wielkim głosem:

— Co powiadacie?

— Powiadamy waćpanu: dobranoc! — rzekła Basia.

— Aha! już wiem: mówiliśmy o amorach. Jakiż był koniec?

— Podszewka była lepsza od płaszcza.

— Nie ma co mówić! Zmorzyło mnie. Ale bo to: kochanie, płakanie, wzdychanie! A ja jeszcze jeden rym wynalazłem, a mianowicie: „drzemanie...”, i ponoć najlepszy, bo godzina późna. Dobranoc całej kompanii i dajcie mi już z amorami spokój... Boże, Boże! póty kot miauczy, póki sperki nie zje, a potem się oblizuje... I ja byłem w swoim czasie kubek w kubek do Ketlinga podobny, a kochałem się tak zapamiętale, że mógł mnie baran przez godzinę z tyłu trykać, nimem się spostrzegł. Wszelako pod starość wolę się wywczasować dobrze, zwłaszcza gdy polityczny gospodarz nie tylko odprowadzi, ale przepija do poduszki.

— Służę waszmości! — rzekł Ketling.

— Chodźmy, chodźmy. Patrzcie jak to już miesiąc wysoko. Pogoda na jutro, wyiskrzyło się, a widno jak w dzień. Ketling o afektach gotów wam całą noc prawić, ale pamiętajcie, kozy, że on zdrożony.

— Nie zdrożonym, bom w mieście dwa dni wypoczywał. Boję się tylko, że waćpanny nienawykłe do czuwania.

— Prędko by noc zeszła na słuchaniu waćpana —rzekła Krzysia.

— Nie masz tam nocy, gdzie słońce świeci! — odpowiedział Ketling.

Po czym rozeszli się, bo istotnie było już późno. Panny sypiały razem i gawędziły zwykle przed snem długo, ale tego wieczora nie mogła Basia Krzysi rozgadać, o ile bowiem pierwsza miała ochotę do rozmowy, o tyle druga była milcząca i odpowiadała półsłówkami. Kilkakroć też, gdy Basia mówiąc o Ketlingu poczęła wymyślać koncepta, trochę się z niego naśmiewać, trochę go naśladować, Krzysia obejmowała ją z niezwykłą tkliwością za szyję, prosząc, by zaniechała tej pustoty.

— On tu gospodarz, Basiu — mówiła — my pod jego dachem mieszkamy... i to widziałam, że cię polubił od razu.

— Skąd wiesz? — pytała Basia.

— Bo kto by cię nie polubił? Ciebie wszyscy kochają... i ja... bardzo.

Tak mówiąc zbliżyła swą cudną twarz do twarzy Basi i tuliła się do niej, i całowała jej oczy.

Poszły na koniec do łóżek, ale Krzysia długi czas zasnąć nie mogła. Ogarnął ją niepokój. Chwilami serce biło jej tak mocno, że obie ręce przykładała do swej atłasowej piersi, aby jego bicie potłumić. Chwilami również, zwłaszcza gdy próbowała przymknąć oczy, zdawało się jej, że jakaś piękna jak sen głowa pochyla się nad nią, a cichy głos szepcze jej do ucha:

— Wolę cię niźli królestwo, niźli sceptr, niźli zdrowie, niźli długi wiek i życie!

Rozdział XII

W kilka dni później pan Zagłoba pisał do Skrzetuskiego list z następującym zakończeniem:

„A jeśli przed elekcją do domu nie ściągnę, to się nie dziwujcie. Nie stanie się to z małej dla was życzliwości, ale że diabeł nie śpi, ja zasię nie chcę, aby mi zamiast ptaka coś nierzetelnego w garści zostało. Źle wypadnie, jeśli Michałowi, gdy wróci, nie będę mógł od razu powiedzieć: tamta zaswatana, a hajduczek vacat! Wszystko w mocy bożej, ale tak myślę, że wonczas nie trzeba będzie Michała popychać ni długich praeparationes czynić i że już na gotową deklarację przyjedziecie. Tymczasem na Ulissesa wspomniawszy, fortelów zażyć wypadnie i nieraz koloryzować, co mi i niełatwo, bom przez całe życie prawdę nad wszelkie specjały przekładał i rad się nią pasłem. Wszelako dla Michała i dla hajduczka i to na sobie przeniosę, bo oboje czyste złoto. Przy czym obejmuję was oboje i wraz z basałykami do serca przyciskam, Bogu najwyższemu was polecając”.

Skończywszy pisanie zasypał pan Zagłoba list piaskiem, następnie uderzył weń dłonią, odczytał raz jeszcze, z dala od oczu trzymając, po czym złożył, zdjął sygnet z palca, poślinił i do pieczętowania się zabierał, przy której czynności zastał go Ketling.

— Dzień dobry waszmości!

— Dzień dobry, dzień dobry! — odrzekł pan Zagłoba. — Pogoda, dzięki Bogu, przednia, a właśnie posłańca wysłać do Skrzetuskich zamierzam.

— Pokłoń się waszmość ode mnie.

— Jużem to uczynił. Zaraz sobie powiedziałem: trzeba się i od Ketlinga pokłonić. Oboje się tam ucieszą, wieści dobre otrzymawszy. Oczywiście, żem się im od ciebie pokłonił, ile że o tobie i o pannach całą epistołę napisałem.

— Jakże to? — spytał Ketling.

Zagłoba położył dłonie na kolanach i począł palcami przebierać, sam zaś pochylił głowę i patrząc spod brwi na Ketlinga rzekł:

— Mój Ketling! Jużci na to nie potrzeba być prorokiem, żeby przewidzieć, że gdzie jest krzemień a krzesiwo, tam się prędzej, później, iskry posypią. Tyś gładysz nad gładysze, a dziewkom chyba i sam nie przyganisz.

Ketling zmieszał się mocno.

— Bielmo na oczach nosić bym musiał albo zgoła być barbarzyńcą dzikim — odrzekł — gdybym piękności ich nie dojrzał i nie uwielbił!

— A widzisz! — rzekł na to Zagłoba patrząc z uśmiechem na zapłonione Ketlingowe oblicze. — Tylko jeśliś nie barbarus, tedy nie godzi ci się w obiedwie mierzyć, bo tak tylko Turcy czynią.

— Jak waćpan możesz suponować?

— Ja też nie suponuję, jeno tak sobie powiadam... Ha! Zdrajco! Takżeś to im o amorach kwilił, że Krzysia trzeci dzień blada na gębie chodzi jakoby po lekarstwie. Ha! Nie dziwota! Sam młodym będąc z lutnią na mrozie pod oknem pewnej czarnuszki stawałem (do Drohojowskiej była podobna) i pamiętam, jakom śpiewał:

Tam waćpanna śpisz po trudzie,
A ja tu brząkam na dudzie.
Hoc! Hoc!

Chcesz, to ci tej pieśni pożyczę albo zgoła nową skomponuję, gdyż jeniuszu mi nie brak. Uważałeśli, że Drohojowska cośkolwiek dawną Billewiczównę przypomina, tylko że tamta ma włosy jak konopie i nie ma onego puchu nad gębą; ale są, którzy w tym większą urodę widzą i za rarytas to poczytują. Bardzo ona wdzięcznie na ciebie patrzy. Napisałem to właśnie do Skrzetuskich. Czy nieprawda, że ona do Billewiczówny podobna?

— W pierwszym momencie owego podobieństwa nie dostrzegłem, ale być może. Wzrostem ją i postawą przypomina.

— A teraz posłuchaj, coć powiem: arcana familijne po prostu wyjawię, ale żeś i ty przyjaciel, więc powinieneś wiedzieć: pilnuj się oto, abyś Wołodyjowskiego niewdzięcznością nie nakarmił, bo my oboje z panią Makowiecką jedną z tych dziewek dla niego przeznaczamy.

Tu pan Zagłoba począł patrzeć bystrze i natarczywie w oczy Ketlinga, a ów przybladł i spytał:

— Którą?

— Dro-ho-jow-ską — odrzekł powolnie Zagłoba.

I wysunąwszy naprzód dolną wargę począł mrugać spod namarszczonej brwi zdrowym okiem.

Ketling milczał i milczał tak długo, że aż w końcu Zagłoba spytał:

— Cóż ty na to, hę?

A ów odrzekł zmienionym głosem, ale z mocą:

— Możesz waćpan być pewien, że nie pofolguję sercu na Michałową szkodę.

— Pewien jesteś?

— Siłam w życiu przecierpiał — odparł rycerz — kawalerski parol: nie pofolguję!

Dopieroż pan Zagłoba otworzył mu ramiona.

— Ketling! Pofolguj sobie, folguj, niebożę, ile chcesz, bom cię chciał jeno doświadczyć. Nie Drohojowską, ale hajduczka Michałowi przeznaczamy.

Ketlinga twarz rozjaśniła się szczerą i głęboką radością, więc uchwyciwszy Zagłobę w objęcia trzymał go długo, następnie spytał:

— Zali to już pewne, że oni się kochają?

— A kto by mojego hajduczka nie kochał, kto? — odpowiedział Zagłoba.

— To i zrękowiny już były?

— Zrękowin nie było, bo Michał ledwie się z żalu otrząsnął; wszelako będą... zdaj to na moją głowę! Dziewczyna — chociaż to się wykręca jak łasica — wielce mu życzliwa, bo u niej szabla grunt...

— Uważałem to, jak mi Bóg miły! — przerwał rozpromieniony Ketling.

— Ha! Uważałeś! Michał po tamtej jeszcze płacze, atoli jeśli mu która do duszy przypadnie, to pewnie hajduczek, bo ona do tamtej podobniejsza, jeno mniej oczyma strzyże, jako młodsza. Dobrze się wszystko składa, co? Ja w tym, że te dwa wesela na elekcję będą!

Ketling nie mówiąc nic objął znów pana Zagłobę i począł przykładać swą piękną twarz do jego czerwonych policzków, aż stary szlachcic odsapnął i spytał:

— Także ci to już Drohojowska za skórę się zaszyła?

— Nie wiem, nie wiem — odrzekł Ketling — wiem jedno to, że ledwie jej niebiański widok ucieszył moje oczy, wnet rzekłem sobie, i że ją jedną strapione serce moje mogłoby jeszcze pokochać, i tej samej nocy wzdychaniami sen płosząc, lubej zaraz oddałem się tęsknocie. Odtąd ona z pamięci mi nie schodzi ni z myśli, gdyż tak właśnie zawładnęła moim jestestwem, jako monarchini włada krajem poddanym i wiernym. Jestli to miłość czy też co innego, nie wiem!

— Ale wiesz, że to nie czapka ani trzy łokcie sukna na pludry, ani popręg, ani podogonie, ani kiełbasa z jajecznicą, ani manierka z gorzałką. Jeśliś tego pewien, to o resztę spytaj Krzysi, a chcesz, to ja spytam?

— Nie czyń tego waćpan — odrzekł uśmiechając się Ketling. — Jeśli mam utonąć, niech choć przez parę dni zdaje mi się jeszcze, że płynę.

— Widzę, że Szkoci do bitwy dobre pachołki, ale w amorach nic po nich. Na niewiastę jako na nieprzyjaciela impet potrzebny. Veni, vidi, vici! — to była moja maksyma...

— Z czasem, gdyby się moje najgorętsze pragnienia spełnić miały — rzekł Ketling — może waćpana o przyjacielskie auxilium poproszę. Chociażem indygenat otrzymał i krew szlachetna płynie w moich żyłach, jednak nazwisko moje tu nie znane i nie wiem, czyby pani stolnikowa...

— Pani stolnikowa? — przerwał Zagłoba. — Już też się o to nie bój. Pani stolnikowa istna tabakierka grająca. Jak nakręcę, tak i zagra. Zaraz do niej idę. Trzeba ją nawet uprzedzić, aby na twój proceder z panną krzywo nie patrzyła, ile że wasz szkocki proceder inny, a nasz inny. Jużci nie będę zaraz deklarował w twoim imieniu, jeno tak sobie wspomnę, że ci dziewka w oko wpadła i że dobrze by było, żeby z tej mąki chleba rozczynić. Jak mi Bóg miły, że zaraz idę, a ty się nie strachaj, bo przecie wolno mi powiedzieć, co mi się spodoba.

I mimo iż Ketling wstrzymywał jeszcze, pan Zagłoba wstał i poszedł.

Po drodze spotkał rozpędzoną, jak zwykle, Basię, której rzekł:

— Wiesz, Krzysia ze szczętem pogrążyła Ketlinga!

— Nie jego pierwszego! — odrzekła Basia.

— A tyś o to nie krzywa?

— Ketling kukła! Grzeczny kawaler, ale kukła! Stłukłam sobie oto kolano o dyszel i cała rzecz!

Tu Basia schyliwszy się poczęła sobie rozcierać kolano, patrząc jednocześnie na pana Zagłobę, a on rzekł:

— Dla Boga! Bądźże ostrożna! Gdzie teraz lecisz?

— Do Krzysi.

— A co ona porabia?

— Ona? Od niejakiego czasu ciągle mnie całuje i tak się o mnie ociera jak kot.

— Nie mówże jej, że Ketlinga pogrążyła.

— Acha! Niby to wytrzymam!

Pan Zagłoba wiedział dobrze, że Basia nie wytrzyma, i tylko dlatego jej zakazywał.

Więc poszedł dalej, bardzo rad ze swej chytrości, a Basia wpadła jak bomba do panny Drohojowskiej.

— Stłukłam sobie kolano, a Ketling w tobie na umór rozkochany! — zawołała zaraz w progu. — Nie uważałam, że z wozowni dyszel wygląda... i łup! Świeczki mi w oczach

stanęły, ale nic to! Pan Zagłoba prosił, żeby ci tego nie mówić. Nie powiedziałam ci, że tak będzie? Zaraz powiedziałam, a tyś go chciała we mnie wmówić! Nie bój się, znają cię! Trochę jeszcze boli! Ja pana Nowowiejskiego w ciebie nie wmawiałam, ale Ketlinga, oho! Chodzi teraz po całym domu i za głowę się trzyma, i do samego siebie gada. Ładnie, Krzysiu, ładnie! Szkot, Szkot, kot, kot!

Tu Basia poczęła przysuwać palec do oczu towarzyszki.

— Basiu! — zawołała Drohojowska.

— Szkot, Szkot, kot, kot!

— Jaka ja nieszczęśliwa, jaka ja nieszczęśliwa! — wykrzyknęła nagle Krzysia i zalała się łzami.

Po chwili Baśka zaczęła ją pocieszać, ale to nic nie pomogło i dziewczyna rozślochała się jak nigdy przedtem w życiu.

Rzeczywiście w całym tym domu nie wiedział nikt, jak dalece była nieszczęśliwa. Od kilku dni była w gorączce, twarz jej zbladła, oczy zapadły, pierś poruszała się krótkim i przerywanym oddechem, stało się z nią coś dziwnego; zapadła jakby w gwałtowną niemoc, a nie przyszło to z wolna, stopniowo, ale od razu; porwało ją to jak wicher, jak burza; rozżarzyło jej krew jak płomień; olśniło jej wyobraźnię jak błyskawica. Ani chwili nie mogła stawić oporu tej sile, tak nielitościwie nagłej. Spokojność opuściła ją. Wola jej była jako ptak ze złamanymi skrzydłami...

Sama nie wiedziała, czy kocha Ketlinga, czy go nienawidzi, i strach niezmierny ogarniał ją przed tym pytaniem; ale to czuła, że serce jej bije tak szybko tylko przez niego; że głowa myśli tak bezładnie tylko o nim; że pełno go w niej, koło niej, nad nią. I ani sposób od tego się obronić! Łatwiej by go nie kochać, niż o nim nie myśleć, bo upoiły się jego widokiem oczy, zasłuchały się w jego głos uszy, nasiąknęła nim dusza cała... Sen nie uwalniał jej od tego natrętnika, bo ledwie zamknęła oczy, natychmiast twarz jego pochylała się nad nią szepcąc: „Wolę cię niż królestwo, niż sceptr, niż sławę, niż bogactwa..." I głowa ta była blisko, tak blisko, że nawet w ciemności krwawe rumieńce oblewały czoło dziewczyny. Była to Rusinka o krwi gorącej, więc jakieś ognie nieznane wstawały w jej piersi, ognie, o których nie wiedziała dotąd, że istnieć mogą, a pod żarem których ogarniał ją zarazem i strach, i wstyd, i wielka niemoc, i jakaś omdlałość, zarazem bolesna i luba. Noc nie przynosiła jej spoczynku. Opanowywało ją coraz większe zmęczenie, jakoby po pracy ciężkiej.

— Krzysiu! Krzysiu! Co się z tobą dzieje! — wołała sama na siebie. Lecz była jakoby w odurzeniu i w zapamiętaniu nieustającym.

Nic się jeszcze nie stało, nic nie zaszło, z Ketlingiem nie zamienili dotychczas dwóch słów na osobności, a choć myśl o nim ogarnęły ją całkowicie, przecie jakiś instynkt szeptał jej ustawicznie: „Strzeż się! Unikaj go!...” I unikała...

O tym, że była zmówiona z Wołodyjowskim, nie myślała dotąd, i to było jej szczęście; nie myślała zaś dlatego właśnie, że dotąd nic się nie stało i że nie myślała o nikim; ni o sobie, ni o innych, tylko o Ketlingu!

Ukrywała też to w duszy najgłębiej, a myśl, że nikt się tego nie domyśla, co się w niej dzieje, że nikt się nią i Ketlingiem razem nie zajmuje, przynosiła jej ulgę niemałą. Nagle słowa Basi przekonały ją, że jest inaczej, że już się ludzie na nich patrzą, że ich już łączą w myśli, że odgadują. Więc frasunek, wstyd i ból, razem wzięte, przezwyciężyły jej wolę i rozpłakała się jak małe dziecko.

Słowa Basi były jednakże dopiero początkiem tych rozlicznych przytyków, tych znaczących spojrzeń, mrugań oczyma, potrząsań głową, tych wreszcie słów obosiecznych, które musiała przenieść. Rozpoczęło się to zaraz przy obiedzie. Pani stolnikowa jęła przenosić wzrok z niej na Ketlinga i z Ketlinga na nią, czego nie czyniła dawniej. Pan Zagłoba chrząkał znacząco. Chwilami rozmowa przerywała się nie wiadomo dlaczego i nastawało milczenie, a raz w czasie takiej przerwy roztrzepana Basia zawołała na cały stół:

— Wiem coś, ale nie powiem!

Krzysia spłonęła natychmiast, a potem zaraz zbladła, jakby jakieś groźne niebezpieczeństwo przeleciało koło niej; Ketling schylił także głowę. Oboje czuli doskonale, że się to do nich stosuje, i chociaż unikali ze sobą rozmowy, choć ona strzegła się, żeby na niego nie spojrzeć, przecie jasnym było dla obojga, że między nimi coś się staje, że wytwarza się jakowaś nieokreślona wspólność konfuzji, która ich łączy, a zarazem i oddala, bo przez nią tracą całkiem swobodę i nie mogą być już sobie zwykłymi przyjaciółmi. Szczęściem dla nich nikt nie zwrócił uwagi na słowa Basi, bo pan Zagłoba wybierał się do miasta i miał wrócić z liczną rycerską kompanią, tym więc wszyscy byli zajęci.

Jakoż wieczorem dworek Ketlinga zajaśniał światłem; przybyło kilkunastu wojskowych i muzyka, którą uprzejmy gospodarz dla rozrywki pań sprowadził. Tańców nie można wprawdzie było wyprawić, bo wielki post i żałoba Ketlinga stały na przeszkodzie, ale słuchano kapeli i zabawiano się rozmową. Panie przybrały się odświętnie; pani stolnikowa wystąpiła we wschodnich jedwabiach, „hajduczek” wystroił się pstro i rwał oczy żołnierskie swoją różową buzią i jasną czupryną, która

spadała co chwila na oczy; budził śmiech rezolutnością mowy i dziwił manierami, w których kozacza śmiałość mieszała się z wdziękiem niewymownym.

Krzysia, której żałoba po ojcu była już przy końcu, miała na sobie suknię białą, przetykaną srebrem. Rycerze porównywali ją: jedni do Junony, drudzy do Diany, ale nikt nie przysuwał się do niej zbyt blisko, nikt nie kręcił wąsa, nie szurgał nogami i nie zarzucał wylotów; żaden nie spoglądał na nią iskrzącymi oczyma i o afektach nie zaczynał rozmowy. Natomiast zaraz zauważyła, że ci, którzy spoglądają z podziwem i uwielbieniem na nią, spoglądają potem na Ketlinga; że niektórzy zbliżywszy się do niego ściskają mu rękę, jakby czegoś winszując i życząc; że on podnosi ramiona i rozkłada dłonie, jakby się czegoś wypierał.

Krzysia, która z natury była czujną i przenikliwą, była prawie pewną, że to o niej do niego mówią, że ją niemal za jego narzeczoną uważają. A ponieważ nie mogła przewidzieć, że pan Zagłoba szepnął już każdemu z ichmościów coś do ucha, więc zachodziła w głowę, skąd się owe ludzkie przypuszczenia biorą.

„Czy ja mam co na czole napisanego?" — myślała z niepokojem, zawstydzona i stroskana.

A wtem i słowa zaczęły ją dolatywać przez powietrze, niby nie do niej mówione, ale głośne: „Szczęśliwy Ketling!..." „W czepku się rodził..." „Nie dziw, bo i on gładysz!..." i tym podobne.

Inni, grzeczni kawalerowie, chcąc ją zabawić i coś miłego jej rzec, rozmawiali z nią o Ketlingu chwaląc go niezmiernie, wynosząc jego męstwo, uczynność i dworskie obyczaje, i ród starożytny. A Krzysia, rada nierada, musiała słuchać i oczy jej mimo woli szukały tego, o którym była mowa, a czasem spotykały się z jego oczyma. Wówczas czar ogarniał ją z nową siłą i sama o tym nie wiedząc, upajała się jego widokiem. Bo jakże różnił się Ketling od tych wszystkich szorstkich postaci żołnierskich! „Królewicz między swymi dworzany" — myślała Krzysia patrząc na tę szlachetną, arystokratyczną głowę i na te anielskie oczy, pełne jakowejś przyrodzonej melancholii, i na to czoło ocienione płowym, bujnym włosem. Serce poczynało w niej mdleć i zamierać, jakby to była dla niej najdroższa w świecie głowa. On to widział i nie chcąc powiększać jej zmieszania, nie zbliżał się, chyba że kto inny siedział obok. Gdyby też była królową, nie mógłby otaczać ją większą czcią i większymi atencjami, niż to czynił. Mówiąc do niej schylał głowę i zasuwał za siebie jedną nogę, jakby na znak, że przyklęknąć w każdej chwili gotów; mówił zaś z powagą, nigdy żartobliwie, chociaż na przykład z Baśką rad żartował. W obchodzeniu się jego z nią obok czci największej był raczej pewien odcień

pełnego słodyczy smutku. Dzięki tej powadze nikt inny nie pozwolił sobie również ni na słowa zbyt wyraźne, ni na żart zbyt śmiały, jak gdyby wszystkim udzieliło się przekonanie, że to jest panna godnością i urodzeniem od wszystkich wyższa, z którą nigdy nie dość polityki.

Krzysia była mu za to serdecznie wdzięczna. W ogóle wieczór ten upłynął dla niej kłopotliwie, ale słodko. Gdy się zbliżyła północ, kapela ustała grać, panie pożegnały towarzystwo, a między rycerstwem poczęły krążyć gęsto kielichy i rozpoczęła się szumniejsza zabawa, w której godność hetmańską objął pan Zagłoba.

Baśka poszła na górę wesoła jak ptak, bo wybawiła się okrutnie, więc zanim klęknęła do pacierza, poczęła szaleć, terkotać, naśladować różnych gości, wreszcie rzekła do Krzysi klaszcząc w ręce:

— Doskonale, że ten twój Ketling przyjechał! Przynajmniej na żołnierzach nie zbraknie! Oho! Niech się jeno post skończy, zatańcuję się na umor. To będziem używały! A na twoich zrękowinach z Ketlingiem, a na twoim weselu! No, jeśli domu nie przewrócę, to niech mnie Tatarzy w jasyr wezmą! Co by to było, żeby nas tak wzięli? To by dopiero było! Ha! Dobry Ketling! Dla ciebie to on muzykantów sprowadza, ale przy tobie i ja używam. Będzie on dla ciebie coraz nowe dziwy wyprawiał, póki nie zrobi tak!...

To rzekłszy Baśka rzuciła się nagle na kolana przed Krzysią i objąwszy ją wpół rękoma, poczęła mówić udając niski głos Ketlinga:

— Waćpanno! Tak waćpannę miłuję, że dychać nie mogę... Miłuję waćpannę i piechotą, i na koniu, i na czczo, i po jedzeniu, i na wieki, i po szkocku... Chceszli być moją?...

— Baśka! Będę się gniewać! — wołała Krzysia.

Ale zamiast się gniewać, chwyciła ją w ramiona i niby usiłując ją podnieść poczęła całować jej oczy.

Rozdział XIII

Pan Zagłoba wiedział doskonale, że mały rycerz miał się więcej ku Krzysi niż ku Baśce, ale właśnie dlatego postanowił Krzysię usunąć. Znając na wskroś Wołodyjowskiego był przekonany, że ten, byle nie miał wyboru, zwróci się niechybnie ku Basi, w której sam stary szlachcic tak się zaślepił, iż w głowie nie chciało mu się pomieścić, jak ktokolwiek mógł inną nad nią przekładać. Rozumował też sobie, że nie może oddać

Wołodyjowskiemu większej przysługi nad zaswatanie mu swego hajduczka, i rozpływał się na myśl o tym stadle. Na Wołodyjowskiego był zły, na Krzysię także; wolałby wprawdzie, żeby pan Michał ożenił się z Krzysia niż z nikim, ale postanowił uczynić wszystko, żeby się ożenił z hajduczkiem.

I właśnie dlatego, że wiadomy mu był pociąg małego rycerza do Drohojowskiej, postanowił co prędzej Ketlingową z niej uczynić.

Jednakże odpowiedź, jaką w kilkanaście dni później odebrał od Skrzetuskiego, zachwiała go nieco w postanowieniu.

Skrzetuski radził mu w nic się nie wdawać, obawiał się bowiem, że w przeciwnym razie snadnie wielkie niesnaski między przyjaciółmi wyniknąć mogą. Tego i pan Zagłoba sobie nie życzył, więc oto ozwały się w nim pewne wyrzuty, które uspokajał następującym rozumowaniem:

— Gdyby to już sobie Michał z Krzysia obiecali i gdybym wówczas Ketlinga między nich jako klin wbijał, to nie mówię! Salomon powiada: „Nie wścibiaj nosa do cudzego trzosa" — i ma rację. Ale życzyć każdemu wolno. Zresztą właściwie biorąc, cóż to ja takiego uczyniłem? Niech mi kto powie, co?

To rzekłszy pan Zagłoba wziął się w boki i wysunąwszy wargę począł spoglądać wyzywająco na ściany swojej izby, jakby od nich spodziewał się zarzutów, ale że ściany nie odrzekły nic, więc sam mówił dalej:

— Powiedziałem Ketlingowi, że hajduczka przeznaczam dla Michała. Albo to mi nie wolno? Może nie prawda? Jeśli Michałowi kogo innego życzę, to niech mnie pedogra ukąsi!...

Ściany przyznały zupełnym milczeniem słuszność panu Zagłobie.

On zaś ciągnął:

— Powiedziałem hajduczkowi, że Ketling przez Drohojowską ustrzelon, może nieprawda? Zali sam się nie przyznał, zali nie wzdychał siedząc przy piecu, aż popiół wylatywał na izbę? A com widział, tom i innym powiedział. Skrzetuski jest realista, ale też i moim dowcipem za psami nikt nie ciskał. Sam wiem, co można powiedzieć, a o czym lepiej zamilczeć... Hm! Pisze, żeby się w nic nie wdawać! Może i to być. Tak dalece nie będę się w nic wdawał, że jak kiedy zostaniem samotrzeć z Krzysia i Ketlingiem w izbie, to sobie pójdę, a ich samych ostawię. Niech sobie radzą beze mnie. Ba, myślę, że i poradzą. Nie trzeba im żadnej pomocy, bo już i tak prze ich jedno ku drugiemu, że im oczy bieleją. A w dodatku idzie wiosna, w której to porze nie tylko słońce, ale i żądze

zaczynają mocniej przypiekać... Dobrze! Zaniecham, jeno obaczym, co z tego wyniknie...

Jakoż wynik miał wkrótce nastąpić. Na czas Wielkiego Tygodnia całe towarzystwo z Ketlingowego dworu przeniosło się do Warszawy i stanęło w gospodzie przy ulicy Długiej, aby być w pobliżu kościołów i nabożeństwa zażyć do woli, a zarazem nasycić oczy świątecznym gwarem miejskim.

Ketling i tu czynił honory gospodarskie, bo choć cudzoziemiec z pochodzenia, najlepiej znał stolicę i wszędy miał pełno znajomych, przez których wszystko mógł ułatwić. Przesadzał się w uprzejmościach i prawie myśli towarzyszek zgadywał, a zwłaszcza Krzysine. Wszystkie też pokochały go szczerze; pani Makowiecka zaś, uprzedzona już poprzednio przez pana Zagłobę, spoglądała na niego i na Krzysię coraz przychylniejszym okiem i jeśli nic dotąd nie mówiła z dziewczyną, to tylko dlatego, że i on dotąd milczał. Ale zdawało się zacnej „ciotuli" rzeczą i naturalną, i przystojną, że kawaler wysługuje się panience, zwłaszcza że to był kawaler prawdziwie świetny, którego na każdym kroku spotykały oznaki szacunku i przyjaźni nie tylko od niższych, ale od wyższych, tak wszystkich umiał sobie zjednać swoją istotnie cudną urodą, obyczajami, powagą, hojnością, słodyczą w czasie pokoju, męstwem w czasie wojny.

„Będzie, co Bóg da i mój mąż postanowi — myślała sobie pani stolnikowa — ale nie będę im przeszkadzała".

Dzięki temu postanowieniu Ketling częściej teraz przestawał z Krzysią i dłużej z nią przebywał niż we własnym domu. Zresztą całe towarzystwo chodziło ciągle razem. Zagłoba podawał zwykle ramię samej stolnikowej, Ketling Krzysi, a Basia, jako najmłodsza, biegła luzem, to zapędzając się nadto naprzód, to zatrzymując się przed bazarami dla pogapienia się na towary i różne zamorskie dziwa, których nigdy dotąd nie widziała. Krzysia oswoiła się z wolna z Ketlingiem i gdy teraz wspierała się na jego ramieniu, gdy słuchała jego rozmowy lub patrzyła w jego szlachetną twarz, serce nie tłukło się już z dawnym niepokojem w jej piersi, nie odchodziła od niej przytomność, nie ogarniała jej konfuzja, ale niezmierna i upajająca słodycz. Byli ciągle ze sobą: klękali obok siebie w kościołach, głosy ich mieszały się w modlitwie i śpiewach pobożnych.

Ketling znał dobrze stan swego serca; Krzysia bądź z braku odwagi, bądź dlatego, że sama siebie chciała oszukać, nie powiedziała sobie: „kocham go" — ale pokochali się bardzo mocno. Że zaś obok tego zawiązała się między nimi wielka przyjaźń, że poza miłością jeszcze się lubili niezmiernie, a o samej miłości nic dotąd sobie nie rzekli, przeto czas im schodził jak sen i pogoda była nad nimi.

Wkrótce miały ją dla Krzysi przesłonić chmury wyrzutów, ale obecnie była pora spoczynku. Właśnie przez zbliżenie się do Ketlinga, przez oswojenie się z nim, przez ową przyjaźń, jaka razem z miłością między nimi zakwitła, skończyły się Krzysine niepokoje, wrażenia nie były tak gwałtowne, uciszyły się rozterki krwi i wyobraźni. Oto byli siebie blisko, było im przy sobie dobrze i Krzysia, oddawszy się całą duszą tej wdzięcznej obecności, nie chciała myśleć o tym, że ona skończy się kiedykolwiek i że do rozproszenia ułudy potrzeba tylko jednego słowa Ketlinga: „Kocham!"

Słowo to zostało wkrótce wymówione. Raz, gdy stolnikowa z Basią były u chorej krewnej, namówił Ketling Krzysię i pana Zagłobę do zwiedzenia zamku królewskiego, którego Krzysia nie znała dotąd, a o którego osobliwościach dziwy opowiadano w całym kraju. Udali się więc we troje. Hojność Ketlingowa otworzyła im wszystkie wejścia i Krzysię witały tak uniżone ukłony odźwiernych, jak gdyby była królową i do własnej wstępowała rezydencji. Ketling, znający doskonale zamek, oprowadzał ją po wspaniałych salach i komnatach. Oglądali teatrum, łaźnie królewskie; zatrzymywali się przed obrazami przedstawiającymi bitwy i zwycięstwa Zygmunta i Władysława, odniesione nad wschodnią dziczą; przeszli na tarasy, z których wzrok ogarniał niezmierną przestrzeń kraju. Krzysia nie mogła wyjść z podziwu, on zaś tłumaczył jej każdą rzecz i przedstawiał, a od czasu do czasu milknął i spoglądając w jej ciemnoniebieskie oczy zdawał się mówić wzrokiem:

„Co znaczą te wszystkie cuda wobec ciebie, cudzie! Co znaczą te skarby wobec ciebie, skarbie!"

Panna zaś rozumiała tę cichą mowę. Za czym wwiódł ją do jednej z komnat królewskich i stanąwszy przed ukrytymi drzwiami w ścianie, rzekł:

— Tędy aż do katedry dojść można. Jest tu długi korytarz, który się kończy ganeczkiem niedaleko wielkiego ołtarza. Z onego ganeczku królestwo mszy zwykle słuchają.

— Znam dobrze tę drogę — odpowiedział Zagłoba — bo żem to był z Janem Kazimierzem konfident i Maria Ludowika pasjami mnie kochała, więc często mnie oboje na mszę ze sobą zapraszali, a to żeby się moją kompanią cieszyć i pobożnością budować.

— Chcesz waćpanna wstąpić? — pytał Ketling dając znak odźwiernemu, by drzwi otworzył.

— Wejdźmy — rzekła Krzysia.

— Idźcie sami — ozwał się pan Zagłoba — młodziście i macie dobre nogi, a jam się już dosyć nadreptał. Idźcie, idźcie, ja tu z odźwiernym zostanę. Choćbyście też i po parę pacierzy zmówili, nie będę gniewny na mitręgę, bo sobie przez ten czas wypocznę.

Więc weszli.

On wziął jej rękę i prowadził długim korytarzem. Ręki tej nie przyciskał do serca; szedł spokojny i skupiony. Boczne okienka rozświecały raz w raz ich postaci, po czym znowu pogrążali się w mroku. Jej nieco serce biło, bo oto pozostali pierwszy raz sam na sam, ale jego spokój i słodycz uspokajały i ją także. Weszli na koniec na ganeczek, umieszczony w prawej ścianie kościelnej, już za stallami, nieopodal wielkiego ołtarza.

Więc naprzód klękli i poczęli się modlić. Kościół był cichy i pusty. Dwie świece paliły się przed wielkim ołtarzem, jednak cała ta głębsza część nawy pogrążona była w uroczystym półcieniu. Tylko od szyb tęczowych wchodziły blaski rozmaite i padały na te dwie przecudne twarze pogrążone w modlitwie, spokojne, podobne do twarzy cherubinów.

Ketling podniósł się pierwszy i począł szeptać, bo w kościele nie śmiał podnosić głosu:

— Patrz pani na one aksamitne oparcia: są na nich ślady, gdzie wspierały się głowy obojga królestwa. Królowa siadała z tej strony, bliżej ołtarza. Odpocznij pani na jej miejscu...

— Zali prawda, że ona całe życie była nieszczęśliwa? — szepnęła siadając Krzysia.

— Historię jej słyszałem jeszcze dzieckiem, bo opowiadano ją po wszystkich rycerskich zamkach. Być może, że była nieszczęśliwa, gdyż nie mogła zaślubić tego, którego pokochało jej serce.

Krzysia oparła głowę o to samo miejsce, na którym było wgłębienie wytłoczone przez głowę Marii Ludwiki, i przymknęła oczy; jakieś bolesne uczucie ścisnęło jej pierś; jakiś chłód wionął nagle z pustej nawy i zmroził ten spokój, który przed chwilą jeszcze przepełniał całą jej istotę. Ketling patrzył na nią w milczeniu; zrobiła się cisza prawdziwie kościelna.

Po czym obsunął się z wolna do nóg Krzysinych i tak mówić począł głosem wzruszonym, lecz spokojnym:

— Nie grzech to, że w świętym miejscu przed tobą klękam, bo gdzież, jeśli nie do kościoła, czysta miłość po błogosławieństwo przychodzi. Miłuję cię więcej niż zdrowie, miłuję cię nad wszelkie dobro ziemskie, miłuję cię duszą, miłuję cię sercem i tu, wobec tego ołtarza, miłość ci moją wyznawam!...

Twarz Krzysi pobielała jak płótno. Wsparta głową na aksamicie poręczy nie uczyniła nieszczęsna panna żadnego ruchu, on zaś mówił dalej:

— Więc nogi twoje obejmuję i o wyrok cię błagam: mamli odejść z radością niebiańską czy też z żalem nieznośnym, którego zgoła przeżyć nie zdołam?...

Tu chwilę czekał odpowiedzi, lecz gdy jej nie było, skłonił głowę tak, że prawie dotykała stóp Krzysinych, i wzruszenie widocznie opanowywało go coraz większe, bo głos mu drgał, jak gdyby piersiom jego brakło oddechu.

— W ręce twoje oddaję szczęście i życie moje. Zmiłowania wyglądam, bo mi ciężko okrutnie...

— Módlmy się o boskie miłosierdzie! — zawołała nagle Krzysia obsuwając się na kolana.

Ketling nie zrozumiał, ale nie śmiał się tej intencji sprzeciwić, więc pełen oczekiwania, niepokoju, klęknął przy niej i znów się poczęli modlić.

W pustym kościele słychać było chwilami podnoszące się głosy, którym echo nadawało dźwięki dziwne i żałobne.

— Boże, bądź miłościw! — ozwała się Krzysia.

— Boże, bądź miłościw! — powtórzył Ketling.

— Zmiłuj się nad nami!

— Zmiłuj się nad nami!

Dalej modliła się już cicho, ale widział Ketling, że płacz wstrząsa całą jej postacią. Długo nie mogła się uspokoić, potem uspokoiwszy się, długo jeszcze klęczała bez ruchu, wreszcie podniosła się i rzekła:

— Pójdźmy...

Wyszli znów na ów długi korytarzyk. Ketling spodziewał się, że w drodze otrzyma od niej jakowąś odpowiedź, i patrzył w jej oczy, ale na próżno.

Szła spiesznie, jakby pragnąc co prędzej znaleźć się w komnacie, w której czekał na nich pan Zagłoba.

Więc gdy już drzwi były o kilkanaście kroków, rycerz uchwycił za kraj jej sukni.

— Panno Krystyno! — rzekł — na wszystko, coć święte...

Wówczas Krzysia odwróciła się i chwyciwszy tak szybko jego dłoń, że nie miał czasu postawić najmniejszego oporu, przycisnęła ją w mgnieniu oka do ust.

— Miłuję cię z całej duszy, ale nigdy nie będę twoją! — rzekła.

I nim zdumiony Ketling zdołał wymówić słowo, dodała jeszcze:

— Zapomnij o wszystkim, co było!...

Po chwili znaleźli się oboje w komnacie.

Odźwierny spał w jednym krześle, a pan Zagłoba w drugim. Jednak wejście młodych zbudziło ich. Zagłoba otworzył oko i począł nim mrugać na wpół przytomnie.

Z wolna jednak wróciła mu pamięć czasu i osób.

— Ha! To wy! — rzekł obciągając pas ku dołowi. — Śniło mi się, że nowy elekt stanął, ale to był Piast. Byliście na ganeczku?

— Tak jest.

— A dusza Marii Ludowiki nie ukazała się wam przypadkiem?

— Owszem! — odrzekła głucho Krzysia.

Rozdział XIV

Po wyjściu z zamku Ketling potrzebując zebrać myśli i otrząsnąć się ze zdumienia, w które wprawiło go postępowanie Krzysi, pożegnał ją i Zagłobę zaraz przed bramą, oni zaś oboje udali się z powrotem do gospody. Basia z panią stolnikową już były od chorej wróciły także i pani stolnikową przywitała pana Zagłobę następującymi słowy:

— Miałam pismo od męża, któren przy Michale w stanicy dotąd bawi. Zdrowi są obaj i niedługo się tu obiecują. Jest list od Michała do waćpana, a do mnie tylko podskryptum w mężowskim. Pisze też mąż, że dyferencję, która była z Żubrami o jedną Basiną majętność, szczęśliwie ukończył. Teraz już tam sejmiki z bliska... Powiada, że tam imię pana Sobieskiego okrutnie znaczy, więc i sejmik po jego myśli wypadnie. Kto żyw, na elekcję się wybiera, ale nasze strony będą z panem marszałkiem koronnym. Ciepło już tam i dżdże chodzą... W Werchutce u nas spaliły się zabudowania... Czeladnik ogień zapuścił, a że wiatr był...

— Gdzie list Michałowy do mnie? — spytał pan Zagłoba przerywając potok nowin wypowiadanych jednym tchem przez zacną panią stolnikową.

— Ot, jest! — odrzekła podając mu pismo pani stolnikowa. — Że wiatr był, a ludzie na jarmarku...

— Jakże się te listy tu dostały? — spytał znów Zagłoba.

— Przyszły do pana Ketlingowego dworca, a stamtąd czeladnik odniósł... Że zaś, powiadam, wiatr był...

— Chcesz waćpani dobrodziejka posłuchać?

— Owszem, bardzo proszę.

Pan Zagłoba złamał pieczęcie i począł czytać, naprzód półgłosem dla samego siebie, potem głośno dla wszystkich:

„Pierwsze to pismo do was posyłam, ale bogdaj drugiego nie będzie, bo tu i poczty niepewne, i sam personaliter niedługo się między wami stawię. Dobrze tu w polu, ale przecie do was serce okrutnie mnie ciągnie i rozmyślaniom a wspominkom końca nie masz, kwoli którym solitudo milsza mi od kompanii. Robota obiecana minęła, bo ordy cicho siedzą, jeno mniejsze kupy w łąkach buszują, które też dwukrotnie podeszliśmy tak fortunnie, że ni świadek klęski nie ostał".

— O, to ich przygrzali! — zawołała z radością Basia. — Nie masz nad stan żołnierski!

„Ci z Doroszeńkowej hassy (czytał dalej Zagłoba) radzi by z nami pohałasować, ale im bez ordy nijak. Jeńcy zeznają, że znikąd się żaden większy czambuł nie ruszy, zaś i ja tak myślę, bo miałobyli co z tego być, to by już było, gdyż trawy od tygodnia zielenieją i jest czym konie popaść. W jarach tu i owdzie jeszcze się coś śniegu przytaiło, ale wysoki step zielony i wiatr ciepły wieje, od którego konie poczynają lenieć, a to najpewniejsze wiosny signum. Po permisję już posłałem, która lada dzień nadejdzie, i zaraz ruszę... Pan Nowowiejski zastąpi mnie w stróżowaniu, przy którym tak mało roboty, żeśmy z Makowieckim liszki po całych dniach szczwali dla samej uciechy, boć futro ku wiośnie nicpotem. Jest też siła dropiów, a czeladnik mój ustrzelił pelikana z guldynki. Ściskam waćpana z całego serca, pani siostrze ręce całuję, a także pannie Krzysi, której przychylności fortissime się polecam, o to głównie Boga prosząc, abym ją niezmienioną zastał i tej samej pociechy mógł zażywać. Pokłoń się waćpan ode mnie pannie Basi. Nowowiejski złość za mokotowską rekuzę kilkakrotnie na karkach hultajskich wywierał, ale jeszcze się zapamiętywa; znać nie ze wszystkim mu ulżyło. Bogu i Jego przenajświętszej łasce was polecam.

P. scriptum: Kupiłem od przejezdnych Ormianów błam gronostajów bardzo zacny; ten gościńcem pannie Krzysi przywiozę, a i dla naszego hajduczka znajdą się bakalijki tureckie".

— Niech sobie je pan Michał sam zje, bom ja nie dziecko! — ozwała się Basia, której policzki zapłonęły jakoby od nagłej przykrości.

— To nierada go zobaczysz? Gniewasz się na niego? — spytał Zagłoba.

Lecz ona mruknęła coś tylko z cicha i naprawdę pogrążyła się w gniewie, rozmyślając trochę o tym, jak pan Michał lekko ją traktuje, a trochę o dropiach i o owym pelikanie, który szczególnie podniecił jej ciekawość.

Krzysia podczas czytania siedziała z zamkniętymi oczyma, odwrócona od światła, było zaś to prawdziwe szczęście, że obecni nie mogli widzieć jej twarzy, gdyż zaraz poznaliby, że się dzieje z nią coś nadzwyczajnego. To, co zaszło w kościele, a następnie list pana Wołodyjowskiego to były dla niej jakoby dwa uderzenia obucha. Sen cudny pierzchnął i od tej chwili stanęła dziewczyna twarzą w twarz rzeczywistości ciężkiej jak nieszczęście. Na poczekaniu nie mogła zebrać myśli i tylko niewyraźne, mgliste uczucia wichrzyły w jej sercu. Wołodyjowski razem ze swoim listem, razem z zapowiedzią przyjazdu i z błamem gronostajów wydał jej się tak płaskim, że prawie wstrętnym. Natomiast nigdy Ketling nie był jej droższym. Drogą jej była sama myśl o nim, drogie jego słowa, kochana jego twarz, drogim jego smutek. I oto trzeba będzie odejść od kochania, od uwielbienia, od tego, do którego rwie się serce, wyciągają ramiona; zostawić umiłowanego człowieka w desperacji, w wiecznym smutku, w zmartwieniu, a oddać duszę i ciało innemu, któren dla tego samego, że jest innym, staje się niemal nienawistnym.

„Nie zmogę się, nie zmogę się!” — wołała w duszy Krzysia.

I czuła to, co czuje branka, której wiążą ręce, a jednak sama się ona związała, bo przecie mogła powiedzieć swego czasu Wołodyjowskiemu, że mu będzie siostrą, niczym więcej.

Tu przyszedł jej na pamięć ów pocałunek przyjęty i oddany, więc ogarnął ją wstyd i pogarda dla samej siebie. Zali kochała już wówczas Wołodyjowskiego?

Nie! W sercu jej nie było miłości, tylko prócz współczucia ciekawość i bałamuctwo, pozorami siostrzeńskiego afektu pokryte. Teraz dopiero poznała, że między pocałowaniem z wielkiej miłości a pocałowaniem z popędu krwi jest taka różnica, jak między aniołem i diabłem. Obok pogardy wezbrał gniew w Krzysi, atoli poczęła się w niej dusza burzyć i przeciw Wołodyjowskiemu. On także był winien, czemuż cała pokuta i zgryzota, i zawód ma spadać na nią? Czemu by i on nie miał zakosztować tego gorzkiego chleba? Zali ona nie ma prawa powiedzieć mu, gdy powróci:

— Zmyliłam się… litość nad waćpanem wzięłam za afekt; zmyliłeś się i ty; teraz poniechaj mnie, jako ja ciebie poniechałam!…

Nagle strach ją porwał za włosy przed zemstą groźnego męża, strach nie o siebie, ale o głowę ukochaną, na którą ta zemsta spadłaby niechybnie. W wyobraźni ujrzała Ketlinga stawającego do walki z tym złowrogim szermierzem nad szermierze i następnie padającego, jak pada kwiat podcięty kosą; ujrzała jego krew, jego wybladłą twarz, jego zamknięte na wieki oczy i cierpienia jej przeszły miarę wszelką.

Wstała czym prędzej i wyszła do swojej izby, by zejść ludziom z oczu, by nie słuchać rozmowy o Wołodyjowskim i o jego bliskim powrocie. W sercu jej wzbierała coraz większa przeciw małemu rycerzowi zawziętość.

Ale zgryzota i żal poszły w trop za nią; nie opuściły ją w czasie pacierzy; siadły na jej łóżku, gdy położyła się w nie zmożona słabością, i poczęły przemawiać do niej:

— Gdzie on? — pytał żal. — Patrz, nie wrócił dotąd do gospody; chodzi po nocy i ręce łamie. Chciałabyś mu nieba przychylić, oddałabyś za niego krew serdeczną, a napoiłaś go trucizną, nóż wepchnęłaś mu w serce.

— Gdyby nie twoja płochość, gdyby nie chęć wabienia każdego, którego spotkasz! — mówiła zgryzota — inaczej by wszystko być mogło, a teraz jeno desperacja ci zostaje. Twoja wina! Twoja wielka wina! Nie ma już rady, nie ma już dla cię ratunku, jeno wstyd a ból, a płakanie...

— Jak to on w kościele klęczał przed tobą — mówił znów żal. — Dziw, że ci serce nie pękło, kiedy ci w oczy patrzył i zmiłowania prosił. Słuszna było nad obcym się zlitować, a cóż dopiero nad nim, nad kochanym, nad najmilszym! Boże mu błogosław, Boże go pociesz!

— Gdyby nie twoja płochość, mógł w radości odejść ten najmilszy — powtarzała zgryzota — i tyś mu mogła w ramiona pójść jako wybrana, jako żona...

— I wiecznie z nim być! — dodawał żal.

A zgryzota:

— Twoja wina!

A żal:

— Krzysiu, płacz!

Więc znów zgryzota:

— Tym winy nie zmażesz!

Więc znów żal:

— Uczyń, co chcesz, a pociesz go.

— Wołodyjowski go zabije! — odpowiedziała natychmiast zgryzota.

Zimny pot oblał Krzysię i siadła na łóżku. Mocne światło księżyca wpadało do izby, która w tych białych blaskach wydawała się jakoś dziwnie i straszno.

„Co to jest? — myślała Krzysia — oto tam Basia śpi, widzę ją, bo miesiąc jej w twarz świeci, a ani wiem, kiedy przyszła, kiedy się rozebrała i położyła. Nie spałam przecież ani chwili, ale widać, że moja biedna głowa już na nic...”

Tak rozmyślając położyła się znowu, lecz wnet żal i zgryzota zasiadły także na krawędzi jej łóżka, zupełnie jakby jakieś dwie boginki, które wedle woli zanurzały się w blasku księżycowym lub też wypływały z tej srebrnej topieli na powrót.

— Nie będę dziś wcale spała! — rzekła sobie Krzysia.

I poczęła rozmyślać o Ketlingu, a przy tym cierpieć coraz bardziej.

Nagle, wśród ciszy nocnej, ozwał się żałosny głos Basi:

— Krzysiu!

— Nie śpisz?

— Bo mi się przyśniło, że jakowyś Turczyn pana Michała strzałą przeszył. Jezu Chryste! Sen mara! Ale aż mnie febra trzęsie. Zmówmy litanię, by Bóg nieszczęście odwrócił!

Krzysi przeleciała przez głowę błyskawicą myśl: „Bogdaj go kto ustrzelił!" Ale natychmiast przeraziła się własną złością, więc choć trzeba się jej było zdobyć na nadludzką siłę, aby w tej właśnie chwili modlić się o szczęśliwy powrót Wołodyjowskiego, jednak odrzekła:

— Dobrze, Basiu!

Za czym podniosły się obie z łóżek i klęknąwszy nagimi kolankami na zalanej księżycowym światłem podłodze, poczęły odmawiać litanię. Głosy ich odpowiadały sobie wzajemnie, to podnosząc się, to zniżając; rzekłbyś: izba zmieniła się w celę klasztorną, w której dwie białe mniszeczki odprawiają nocne modlitwy.

Rozdział XV

Nazajutrz dzień była już Krzysia spokojniejsza, albowiem wśród poplątanych ścieżek i manowców wybrała sobie drogę ciężką niezmiernie, ale nie błędną. Wstępując na nią wiedziała przynajmniej, dokąd dojdzie. Przede wszystkim jednak postanowiła widzieć się z Ketlingiem i rozmówić się z nim po raz ostatni, aby go od wszelakiej przygody zasłonić. Przyszło jej to niełatwo, bo Ketling nie pokazał się przez kilka następnych dni i na noc nie wracał.

Krzysia poczęła wstawać do dnia i chodzić do pobliskiego kościoła dominikanów w tej nadziei, że któregokolwiek ranka spotka go i rozmówi się z nim bez świadków.

Jakoż w kilka dni później spotkała go w samej bramie. On spostrzegłszy ją zdjął kapelusz i schyliwszy w milczeniu głowę stał bez ruchu; twarz miał zmęczoną bezsennością i cierpieniem, oczy zapadłe, na skroniach złotawe piętna; delikatna cera

jego stała się woskową i wyglądał po prostu jak cudny kwiat, który więdnie. Krzysi na jego widok rozdarło się na dwoje serce, więc choć każdy krok stanowczy kosztował ją bardzo wiele, bo z natury była nieśmiałą, jednak pierwsza wyciągnęła doń rękę i rzekła:

— Niech waćpana Bóg pocieszy i ześle mu zapomnienie.

Ketling wziął jej rękę, przyłożył ją sobie do rozpalonego czoła, potem do ust, do których przyciskał ją długo i z całej mocy, wreszcie ozwał się głosem pełnym śmiertelnego smutku i rezygnacji:

— Nie masz dla mnie pociechy ni zapomnienia!...

Była chwila, że Krzysia potrzebowała całej mocy nad sobą, by nie zarzucić mu z żalu rąk na szyję i nie zakrzyknąć: „Kocham cię nad wszystko! Bierz mnie!" Czuła, że jeśli porwie ją płacz, to ona tak uczyni; więc długi czas stała przed nim w milczeniu, pasując się ze łzami. Jednak się wreszcie zmogła i poczęła mówić spokojnie, chociaż bardzo prędko, bo tchu jej brakło:

— Możeć to przyniesie jakowąś ulgę, gdy powiem, że nie będę niczyją... Idę za kratę... Waćpan mnie nigdy nie sądź źle, bom i tak już nieszczęśliwa! Waćpan mi przyrzeknij, daj mi parol, że się z afektu dla mnie nie spuścisz nikomu... że się nie przyznasz... że tego, co było, nie odkryjesz ni przyjacielowi, ni krewnemu. To moja ostatnia prośba. Przyjdzie ten czas, że waćpan będziesz wiedział, dlaczego to czynię... Ale i wtedy miej wyrozumienie. Dziś nie powiem więcej, bo od żalu zgoła nie mogę. Waćpan mi to przyrzeknij, to mnie pocieszysz, a inaczej chyba zamrę!

— Przyrzekam i parol daję! — odpowiedział Ketling.

— Bóg waćpanu zapłać, a ja z całego serca dziękuję! Ale i przy ludziach spokojną twarz pokazuj, by się zaś kto czego nie domyślił. Czas mi odejść. Waćpan jesteś taki dobry, że słów brak. Odtąd się już osobno nie będziem widzieli, jeno przy ludziach. Powiedzże mi jeszcze, że do mnie urazy nie chowasz... Bo męka co innego, a uraza co innego... Bogu mię ustępujesz, nie komu innemu... pamiętaj!

Ketling chciał coś przemówić, ale że cierpiał nad miarę, więc tylko jakieś niewyraźne dźwięki podobne do jęczenia wyszły z jego ust; następnie dotknął palcami Krzysinych skroni i trzymał je tak czas jakiś na znak, że jej przebacza i że ją błogosławi.

Po czym się rozstali; ona poszła do kościoła, a on znów w ulicę, by nie spotkać się z kim ze znajomych w gospodzie.

Krzysia wróciła dopiero w południe, a wróciwszy znalazła znamienitego gościa: był to ksiądz podkanclerzy Olszowski. Przyjechał on niespodzianie w odwiedziny do pana Zagłoby pragnąc, jak sam powiadał, poznać tak wielkiego kawalera, „którego przewagi

wojenne są wzorem, a rozum przewodnikiem dla całego rycerstwa w tej wspaniałej Rzeczypospolitej".

Pan Zagłoba był po prawdzie wielce zdumiony, lecz nie mniej kontent, iż go tak wielki honor wobec niewiast spotyka; puszył się więc niezmiernie, czerwienił, pocił, a jednocześnie starał się okazać pani stolnikowej, iż przywykł do podobnych odwiedzin ze strony największych dostojników w kraju i że nic sobie z nich nie robi.

Krzysia, przedstawiona prałatowi i ucałowawszy pobożnie jego ręce, usiadła przy Basi, rada, iż nikt na jej twarzy śladu niedawnych wzruszeń nie wyczyta.

Tymczasem ksiądz podkanclerzy obsypywał pochwałami pana Zagłobę tak obficie i tak łatwo, iż zdawało się, że coraz nowe ich zapasy wydobywał ze swych fioletowych, poobszywanych koronkami rękawów.

— Waszmość nie myśl — mówił — iż mnie tu sama ciekawość poznania pierwszego między rycerstwem męża przygnała, bo jakkolwiek podziw słusznym jest dla bohaterów hołdem, jednakże gdzie obok męstwa eksperiencja i bystry rozum sedes sobie obrały, tam ludzie i dla własnej korzyści odprawować zwykli pielgrzymki.

— Eksperiencja — rzekł skromnie pan Zagłoba — szczególniej w wojennym rzemiośle, z samym wiekiem przyjść musiała i może dlatego jeszcze nieboszczyk pan Koniecpolski, ojciec chorążego, czasem o radę mnie pytał, potem zaś: i pan Mikołaj Potocki, i książę Jeremi Wiśniowiecki, i pan Sapieha, i pan Czarniecki, ale co do przezwiska Ulisses, temu się zawsze przez modestię oponowałem.

— A jednak tak ono z waścią związane, że czasem i prawdziwego nazwiska ktoś nie powie, jeno rzeknie: „nasz Ulisses", i wszyscy wraz odgadną, kogo orator chciał wyrazić. Więc też w dzisiejszych trudnych a przewrotnych czasach, gdy niejeden waha się w umyśle i nie wie, gdzie ma się obrócić, przy kim stanąć, rzekłem sobie: „Pójdę! zdania wysłucham, wątpliwości się pozbędę, światłą radą się oświecę". Zgadujesz waszmość, iż o bliskiej elekcji chcę mówić, wobec której każda censura candidatorum ku czemuś dobremu przywieść może, a cóż dopiero taka, która z ust waszmościowych wypłynie. Słyszałem już między rycerstwem z największym aplauzem powtarzane, że waść nierad owych cudzoziemców widzisz, którzy się na nasz tron wspaniały cisną. W żyłach Wazów (miałeś waszmość powiedzieć) płynęła krew Jagiellońska, przeto za obcych nie mogli być uważani, ale ci cudzoziemcy (miałeś waszmość powiedzieć) ani naszych staropolskich obyczajów nie znają, ani naszych wolności uszanować nie potrafią i łatwo absolutum dominium wyniknąć stąd może. Przyznaję waszmości, iż głębokie to słowa,

ale wybacz, jeżeli spytam: zali istotnie je wypowiedziałeś, czyli też opinio publica wszystkie głębsze sentencje tobie w pierwszym rzędzie ze zwyczaju już przypisuje?

— Świadkiem te białogłowy — odpowiedział Zagłoba — a choć niestosowna to dla nich materia, niechaj mówią, skoro Opatrzność w niezbadanych swych wyrokach dar mowy na równi z nami im przyznała!

Ksiądz podkanclerzy mimo woli spojrzał na panią Makowiecką, a następnie na dwie przytulone do siebie panienki.

Nastała chwila ciszy.

Nagle rozległ się srebrzysty głos Basi:

— Ja nie słyszałam!

Za czym Basia zmieszała się okrutnie i zaczerwieniła się po same uszy, zwłaszcza że pan Zagłoba zaraz rzekł:

— Wybacz wasza dostojność! Młode to, więc płoche! Ale quod attinet kandydatów, nieraz mówiłem, że na tych cudzoziemców będzie płakała wolność polska.

— Boję się i ja tego — odparł ksiądz Olszowski — lecz choćbyśmy chcieli jakowegoś Piasta, krew z krwi, kość z kości naszych, obrać, powiedz waszmość, w którą stronę serca nasze zwrócić się mają? Sama waszmościna myśl o Piaście jest wielka i jako płomień szerzy się po kraju, bo słyszę, że wszędy na sejmikach, gdzie jeno korupcji nie pobrano, jeden głos słychać: Piast! Piast!...

— Słusznie! Słusznie! — przerwał Zagłoba.

— Wszelako — ciągnął dalej podkanclerzy — łatwiej jest obwoływać Piasta niż tak pożądanego znaleźć, więc nie dziwuj się waszmość, że cię spytam: kogo miałeś na myśli?

— Kogo miałem na myśli? — powtórzył nieco zakłopotany Zagłoba.

I wysunąwszy wargę zmarszczył brwi. Ciężko mu było zdobyć się na prędką odpowiedź, bo dotychczas nie tylko nikogo nie miał na myśli, ale w ogóle nie miał wcale i tych myśli, które zręczny ksiądz podkanclerzy już mu był wmówił. Zresztą sam wiedział o tym i rozumiał, że podkanclerzy ciągnie go w jakowąś stronę, ale umyślnie ciągnąć się pozwolił, bo mu to pochlebiało wielce.

— Twierdziłem tylko in principio, że nam potrzeba Piasta — odrzekł wreszcie — ale co prawda, tom nikogo dotąd nie wymienił.

— Słyszałem o ambitnych zamiarach księcia Bogusława Radziwiłła! — mruknął jakby sam do siebie ksiądz Olszowski.

— Póki tchu w nozdrzech moich, póki ostatnia kropla krwi w piersi — zawołał z siłą głębokiego przekonania Zagłoba — nic z tego! Żyć bym w tak pohańbionym narodzie nie chciał, który by zdrajcę i judasza swego królem w nagrodę kreował!

— Głos to nie tylko rozumu, ale i obywatelskiej cnoty! — mruknął znów podkanclerzy.

„Ha! — pomyślał Zagłoba — chcesz ty mnie pociągnąć, pociągnę ja ciebie".

Na to znów Olszowski:

— Kędyż tedy zapłyniesz, skołatana nawo ojczyzny mojej! Jakież cię burze, jakież cię skały czekają? Zaprawdę, źle będzie, gdy cudzoziemiec sternikiem twoim zostanie, ale widać tak musi być, gdy nie masz między twymi synami godniejszego!

Tu rozłożył białe ręce zdobne błyszczącymi pierścieniami i schyliwszy głowę rzekł z rezygnacją:

— Zatem Kondeusz, Lotaryńczyk lub książę Neyburski?... Nie masz innej rady!

— Nie może być! Piast! — odpowiedział Zagłoba.

— Kto? — spytał ksiądz.

I nastało milczenie.

Za czym znów zabrał głos podkanclerzy:

— Czy jest aby jeden, na którego zgodziliby się wszyscy? Gdzie jest taki, który by od razu tak przypadł rycerstwu do serca, by nikt nie śmiał przeciw wyborowi jego szemrać?... Był jeden taki, największy, najzasłużeńszy, twój, zacny rycerzu, przyjaciel, ten, który w sławie jak w słońcu chodził... Był taki...

— Książę Jeremi Wiśniowiecki! — przerwał Zagłoba.

— Tak jest! Ale on w grobie...

— Żyje syn jego! — odpowiedział Zagłoba.

Podkanclerzy zamrużył oczy i siedział czas jakiś w milczeniu; nagle podniósł głowę, spojrzał na pana Zagłobę i począł mówić z wolna:

— Dziękuję Bogu, że mnie natchnął myślą poznania waszmości. Tak jest! Żywie syn wielkiego Jeremiego, młode i pełne nadziei książę, względem którego ma Rzeczpospolita nie uiszczony dotąd dług do spłacenia. Ale z olbrzymiej fortuny nic mu nie zostało, jeno sława jako jedyna spuścizna. Więc w dzisiejszych zepsutych czasach, gdy każdy oczy tam tylko kieruje, gdzie je złoto przyciąga, kto wymówi jego imię, kto będzie miał odwagę jego kandydaturę postawić? Waćpan? — tak! Zali jednak znajdzie się takich wielu? Nie dziwno, że ten, komu wiek życia w bohaterskich zapasach na

wszystkich polach przeminął, nie ulęknie się i na elekcyjnym polu hołd głośno słuszności oddać... Ale czy inni pójdą za nim?...

Tu podkanclerzy zamyślił się, po czym wzniósł oczy i dalej mówił:

— Bóg nad wszystkich mocniejszy. Kto wie, jakie są jego wyroki? Kto wie? Skoro pomyślę, jak całe rycerstwo wierzy i ufa waćpanu, zaprawdę spostrzegam ze zdumieniem, że jakowaś nadzieja wstępuje mi w serce. Powiedz mi waćpan szczerze, zali niepodobieństwa istniały dla cię kiedykolwiek?

— Nigdy! — odrzekł z przekonaniem Zagłoba.

— Zbyt ostro jednak tej kandydatury stawiać od razu nie należy. Niech się to imię o uszy ludzkie odbija, ale niech nie wydaje się przeciwnikom zbyt groźne; niech lepiej śmieją się i szydzą, by zbyt silnych nie stawiali impedimentów... Może też Bóg da, że nagle wypłynie, gdy tamte partie wzajem zniweczą swoje zabiegi... Toruj mu waszmość z wolna drogę i nie ustawaj w pracy, bo to kandydat twój, godny twego rozumu i doświadczenia... Boże cię błogosław w tych zamiarach...

— Mamże suponować — spytał Zagłoba — że wasza dostojność także o księciu Michale zamyślał?

Ksiądz podkanclerzy wydobył zza rękawa małą książeczkę, na której czerniał grubymi literami wybity tytuł Censura candidatorum, i rzekł:

— Czytaj waszmość, niech to pismo za mnie odpowie!

To rzekłszy ksiądz podkanclerzy począł się zbierać, lecz pan Zagłoba zatrzymał go i rzekł:

— Pozwolisz wasza dostojność, że ja jeszcze coś odpowiem. Więc naprzód dziękuję Bogu, że mniejsza pieczęć w takich znajduje się rękach, które umieją na wosk ludzi ugniatać.

— Jak to? — spytał zdziwiony podkanclerzy.

— Po drugie, z góry powiadam waszej dostojności, że kandydatura księcia Michała bardzo do serca mi przypada, bom jego ojca znał i miłował, i biłem się pod nim wraz z mymi przyjaciółmi, którzy także dusznie się uradują na myśl, że synowi będą mogli okazać tę miłość, jaką dla wielkiego ojca mieli. Przeto chwytam się tej kandydatury oburącz i dziś jeszcze pomówię z panem podkomorzym Krzyckim, familiantem wielkim i moim znajomkiem, który ma niepośledni mir u szlachty, bo trudno go nie kochać. Obaj tedy będziem czynić, co w mocy naszej, i Bóg da, że coś wskóramy.

— Niech was aniołowie prowadzą — odrzekł ksiądz — jeśli tak, to o nic więcej nie chodzi.

— Za pozwoleniem waszej dostojności. Mnie chodzi jeszcze o jedną rzecz: mianowicie, żeby wasza dostojność nie pomyślała sobie tak: „Swoje własne desiderata w gębę mu włożyłem, wmówiłem w niego, że to on z własnego rozumu invenit księcia Michałową kandydaturę, krótko mówiąc: ugniotłem kpa w ręku, jakby był z wosku...” Wasza dostojność! Będę promował księcia Michała dlatego, że mi do serca przypadł — ot, co!... że waszej dostojności także, jako widzę, przypada — ot, co!... Będę promował dla księżnej wdowy, dla moich przyjaciół, dla ufności, jaką mam w rozumie (tu pan Zagłoba skłonił się), z którego ta Minerwa wyskoczyła, ale nie dlatego, żem sobie dał wmówić jako małe dziecko, że to moja inwencja; nie dlatego wreszcie, żem kiep, ale dlatego, że jak mi ktoś mądry co mądrego mówi, to stary Zagłoba powiada: Zgoda!

Tu skłonił się szlachcic raz jeszcze i umilkł. Ksiądz podkanclerzy zmieszał się, było, z początku znacznie, ale widząc i dobry humor szlachcica, i to, że sprawa tak pożądany obrót bierze, rozśmiał się z całej duszy, za czym chwyciwszy się za głowę, jął powtarzać:

— Ulisses, jak mi Bóg miły, czysty Ulisses. Panie bracie, kto chce co dobrego sprawić, różnie ludzi obchodzić musi, ale z wami, widzę, trzeba prosto w sedno. Okrutnieście mi do serca przypadli!

— Jako mnie książę Michał!

Niechże wam Bóg da zdrowie! Ha! Pobitym, alem rad! Siła musieliście szpaków zjeść za młodu... A ten sygnecik, gdyby się na pamiątkę naszego colloquium przygodził...

Na to Zagłoba:

— A ten sygnecik niech na miejscu ostanie...

— Już to dla mnie uczyńcie...

— Żadnym sposobem nie może być! Chyba innym razem... kiedy później... po elekcji...

Zrozumiał ksiądz podkanclerzy i nie nalegał dłużej, wyszedł jednak z promieniejącą twarzą.

Pan Zagłoba odprowadził go aż za bramę i wracając mruczał:

— Ha! Dałem mu naukę! Trafił frant na franta... Ale honor jest! Będą się tu dygnitarze na wyprzodki przed tę bramę zjeżdżali... Ciekawym, co tam białogłowy sobie myślą?

Białogłowy pełne były istotnie podziwu i pan Zagłoba urósł, zwłaszcza w oczach pani Makowieckiej, do pułapu, toteż zaledwie się pokazał, zaraz zakrzyknęła z wielkim zapałem:

— Waćpan Salomona rozumem przeszedł!

A on rad był bardzo:

— Kogo, mówisz waćpani, przeszedłem? Poczekaj waćpani: obaczysz tu i hetmanów, i biskupów, i senatorów; nieledwie trzeba się będzie od nich opędzać; chyba się za kotarkę chować przyjdzie…

Dalszą rozmowę przerwało wejście Ketlinga.

— Ketling, chcesz promocji? — zawołał pan Zagłoba, upojony jeszcze własnym znaczeniem.

— Nie! — odparł ze smutkiem rycerz — bo mi znów na długo wyjechać przyjdzie.

Zagłoba spojrzał na niego uważniej.

— Coś ty taki z nóg ścięty?

— Właśnie dlatego, że wyjeżdżam.

— Dokąd?

— Odebrałem listy ze Szkocji, od dawnych przyjaciół ojca i moich. Sprawy moje wymagają, abym się tam udał koniecznie, może na długo… Żal mi się z waćpaństwem rozstawać, ale — muszę!

Zagłoba, wyszedłszy na środek izby, spojrzał na panią Makowiecką, kolejno na panny i spytał:

— Słyszałyście? W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, amen!

Rozdział XVI

Jakkolwiek pan Zagłoba przyjął ze zdumieniem wieść o wyjeździe Ketlinga, jednakże nie przyszły mu do głowy żadne podejrzenia, łatwo bowiem było przypuścić, że Karol II przypomniał sobie usługi, jakie rodzina Ketlingów w czasach burzy tronowi oddała, i że zapragnął okazać wdzięczność ostatniemu tej rodziny potomkowi. Dziwniejszym nawet mogłoby się zdawać, gdyby miało być inaczej. Ketling w dodatku pokazał panu Zagłobie jakieś „zamorskie listy” i przekonał go ostatecznie.

Swoją drogą wyjazd ów zagroził wszystkim planom starego szlachcica, toteż z niepokojem myślał, co będzie dalej. Wołodyjowski, miarkując z jego listu, mógł wrócić lada godzina — a wiatry mu tam w stepie resztki żalu wywiały (myślał pan Zagłoba). Wróci rezolutem większym, niż wyjechał, że zaś do Krzysi mocniej go jakoś licho ciągnęło, zaraz deklarować gotów… — A potem?… — Potem Krzysia odpowie zgodą, bo

jakżeby takiemu kawalerowi i przy tym bratu pani Makowieckiej odpowiedzieć mogła, i biedny, najmilszy hajduczek ostanie na lodzie.

Pan Zagłoba zaś z zawziętością właściwą starym ludziom uparł się koniecznie połączyć Basię z małym rycerzem.

Nie pomogły ostatecznie ani perswazje Skrzetuskiego, ani te, które sam sobie od czasu do czasu czynił. Chwilami obiecywał sobie wprawdzie nie mieszać się już więcej do niczego, następnie zaś wracał mimo woli do myśli skojarzenia tej pary z tym większym uporem. Rozważał po całych dniach, jak ręki do tego przyłożyć; tworzył plany, układał fortele. I przejmował się tym tak dalece, że gdy mu się wydało, iż wynalazł sposób, wówczas wykrzykiwał głośno, jakby po dokonanej już sprawie:

— Niechże was Bóg błogosławi!

Ale obecnie ujrzał przed sobą niemal ruinę swoich życzeń. Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko zaniechać wszelkich usiłowań i przyszłość zdać na wolę bożą, bo ów cień nadziei, że Ketling uczyni przed wyjazdem jakiś krok stanowczy względem Krzysi, nie mógł się długo w głowie pana Zagłoby ostać. Więc z żalu już tylko i ciekawości postanowił wybadać bliżej młodego rycerza tak o sam termin wyjazdu, jak również o to, co przed opuszczeniem Rzeczypospolitej uczynić zamierza.

Zawezwawszy go więc na rozmowę rzekł mu ze zmartwioną wielce twarzą:

— Trudno! Każdy sam najlepiej rozumie, co mu czynić przystoi, nie będę ja cię przeto namawiał, abyś został, ale chciałbym się przynajmniej czegoś o powrocie twoim dowiedzieć...

— Zali ja mogę odgadnąć, co mnie tam czeka, gdzie jadę — odrzekł Ketling — jakie sprawy i jakie przygody?... Wrócę kiedyś, jeśli będę mógł; zostanę tam na zawsze, jeśli będę musiał.

— Obaczysz, że cię i serce będzie do nas ciągnęło.

— Bogdaj grób mój był nie gdzie indziej, ale na tej ziemi, która wszystko mi dała, co dać mogła.

— A widzisz! W innych stronach cudzoziemiec do śmierci pasierzbem zostaje, a nasza matka to ci zaraz wyciągnie ramiona i jak swego przytuli.

— Prawda, wielka prawda! Ej, żebym tylko mógł... Bo wszystko może mi się w starej ojczyźnie przygodzić, jeno szczęście się nie przygodzi.

— Ha! Mówiłem ci: ustal się, ożeń, nie chciałeś słuchać. A żonatym będąc, choćbyś wyjechał, to byś wrócić musiał, chybabyś i żonę przez rozbujałe flukta chciał przewozić, a tego nie suponuję. Raiłem ci, cóż, nie chciałeś słuchać!

Tu pan Zagłoba począł uważnie wpatrywać się w twarz Ketlinga, chcąc wyraźnie jakowychś od niego objaśnień, ale Ketling milczał, głowę tylko spuścił i oczy wbił w podłogę.

— Cóż ty na to, hę? — rzekł po chwili Zagłoba.

— Nie było do tego nijakiego podobieństwa — odparł z wolna młody rycerz.

Zagłoba począł chodzić po izbie, potem stanął przed Ketlingiem, założył ręce w tył i rzekł:

— A ja ci powiadam, że było! Jeśli nie było, to niech od dziś dnia nigdy tego oto brzucha tym oto pasem nie obwiążę. Krzysia jest ci przyjacielem!

— Da Bóg, że i zostanie, chociaż nas morza przedzielą!

— Więc co?

— Nic więcej! Nic więcej!

— Pytałeś się jej?

— Daj waćpan spokój! Już mi i tak smutno, że odjeżdżam!

— Ketling! Chcesz, żebym ja jeszcze, póki czas, spytał?

Ketling pomyślał, że jeśli Krzysia tak bardzo życzyła sobie, aby ich uczucia pozostały w ukryciu, to może będzie rada, gdy się trafi sposobność zaprzeczenia ich otwarcie, więc odrzekł:

— Ja waści upewniam, że to się na nic nie zdało, i sam jestem pewien tak dalece, żem uczynił wszystko, żeby sobie ten afekt z głowy wybić, ale jeśli waćpan cudu się spodziewasz, to pytaj!

— Ha! Jeśliś ty ją sobie z głowy wybił — rzekł z pewną goryczą pan Zagłoba — w takim razie istotnie nie ma co robić. Tylko pozwól sobie powiedzieć, żem cię za stateczniejszego uważał kawalera.

Ketling wstał i wyciągnąwszy gorączkowo obie ręce ku górze, odrzekł z niezwykłą sobie gwałtownością:

— Co mi pomoże której z tych tam gwiazd pożądać? Ni ja do niej wzlecieć mogę, ni ona do mnie nie zejdzie! Gorze takim, którzy do srebrnej luny wzdychają!

Lecz pan Zagłoba rozgniewał się także i sapać począł. Przez chwilę nie mógł nawet mówić i dopiero opanowawszy złość tak odparł przerywanym głosem:

— Mój kochany, nie czyńże mnie kpem i masz mi racje dawać, to dawaj jak człowiekowi, co się żywi chlebem i mięsem, nie zaś szalejem... Bo żebym ja teraz sfiksował i powiedział sobie, że moja ta czapka jest luna, której ręką nie dosięgnę, to bym z gołym łysem po mieście chodził i mróz by mnie w uszy kąsał jak pies. Ja takimi

racjami nie wojuję, jeno to wiem, że ta dziewka stąd o trzy izby siedzi, że je, pije, że jak chodzi, to nogami przebierać musi; że na mróz nos jej czerwienieje, a w upał jej gorąco; że jak ją komar utnie, to ją swędzi, i że do luny w tym chyba podobna, iż brody nie ma. Ale w taki sposób, w jaki ty mówisz, można także powiedzieć, że rzepa to astrolog. Co się zaś Krzysi tyczy, jeśliś nie próbował, jeśliś nie pytał, to twoja sprawa, ale jeśliś dziewkę rozkochał, a teraz odjeżdżasz powiedziawszy sobie „luna", to uczciwość swoją, równie jak rozum, lada strawą nakarmić możesz. Ot, w czym rzecz!

Na to Ketling:

— Nie słodko mi, ale gorzko w gębie od tej strawy, którą się karmię. Jadę, bo muszę; nie spytam, bo nie mam o co. Ale waść mnie krzywo sądzisz... Bóg widzi, jak krzywo!

— Ketling! Ja przecie wiem, żeś ty porządny człowiek, tylko tych waszych manier wyrozumieć nie mogę. Za moich czasów szło się do dziewki i mówiło się jej w oczy tym rytmem: „Chcesz, to będziem żyli w kupie, a nie, to ja cię nie kupię!" I każdy wiedział, czego się trzymać... Kto zaś był ciemięga i sam nie śmiał gadać, to mówniejszego od siebie posyłał. Ofiarowałem ci się i jeszcze ofiaruję. Pójdę, przemówię, respons ci odniosę, a ty wedle tego pojedziesz albo zostaniesz...

— Pojadę! Nie może inaczej być i nie będzie!

— To wrócisz.

— Nie! Uczyńże mi waćpan łaskę i nie mówmy o tym więcej. Chcesz waćpan rozpytać dla własnej ciekawości, dobrze, ale nie w moim imieniu...

— Dla Boga! Chyba żeś już pytał?

— Nie mówmy o tym! Uczyń mi waćpan tę łaskę!

— Dobrze, mówmy o aurze... Niechże was piorun zatrzaśnie razem z waszymi manierami! Tak, ty musisz jechać, a ja kląć!

— Żegnam waćpana.

— Czekaj, czekaj! Zaraz mnie cholera minie! Mój Ketling! czekaj, bo miałem z tobą pomówić. Kiedy jedziesz?...

— Jak tylko sprawy załatwię. Chciałbym się z Kurlandii ćwierci dzierżawnej doczekać, a dworek ten, w którym mieszkaliśmy, sprzedałbym chętnie, gdyby się kto ochotny do kupna trafił.

— Niech Makowiecki kupuje albo Michał! Na Boga! Przecie bez pożegnania się z Michałem nie wyjedziesz?

— Rad bym go z duszy pożegnał!

— Lada moment będzie! Lada moment! Może on cię do Krzysi namówi...

Tu urwał pan Zagłoba, bo go nagle ogarnął jakiś niepokój.

„Przysługiwałem się Michałowi w dobrej chęci — pomyślał — ale diablo wbrew jego chęci; miałaby zaś discordia z tego pomiędzy nim a Ketlingiem wyniknąć, to niech sobie Ketling lepiej jedzie...”

Tu pan Zagłoba począł pocierać ręką łysinę, wreszcie rzekł:

— Mówi się to i owo ze szczerej życzliwości ku tobie. Takem cię pokochał, że rad bym cię wszelkimi sposobami zatrzymał, więc ci Krzysię jako słoninkę nastawiłem... Ale to jeno z życzliwości... Cóż mnie staremu do tego!... Naprawdę to jeno życzliwość... nic więcej. Jać przecie swatami się nie trudnię, bo gdybym chciał swatać, to bym był siebie wyswatał... Daj, Ketling, pyska... a nie gniewaj się...

Ketling wziął w objęcia pana Zagłobę, który rozczulił się istotnie i zaraz gąsiorek kazał podać mówiąc:

— Już też z okazji tego odjazdu co dzień taki jeden wypijem.

I wypili, po czym Ketling pożegnał się i odszedł. Wino tymczasem podniosło fantazję w panu Zagłobie; począł bardzo tęgo rozmyślać o Basi, o Krzysi, o Wołodyjowskim i o Ketlingu; począł łączyć ich w pary, błogosławić, wreszcie zatęsknił do dziewczyn i rzekł sobie:

— Ano, pójdę zobaczyć te kozy...

Panny siedziały w izbie po drugiej stronie sieni i szyły. Pan Zagłoba powitawszy je jął chodzić po izbie wlokąc za sobą nieco nogi, bo mu już, zwłaszcza po winie, nie służyły jak dawniej. Chodząc spoglądał na dziewczyny, które siedziały bliziutko jedna drugiej, tak że jasna główka Basi prawie wspierała się o ciemną Krzysiną. Basia wodziła za nim oczyma, a Krzysia wyszywała tak pilnie, że ledwie można było uchwycić okiem migotanie jej igły.

— Hum! — ozwał się Zagłoba.

— Hum! — powtórzyła Basia.

— Nie przedrzeźniaj mnie, bom gniewny!

— Pewnie szyję utnie! — zawołała udając przestrach Basia.

— Kołat! Kołat! Kołatko! Język ci uciąć! Ot, co!

To rzekłszy pan Zagłoba zbliżył się tuż do panienek i wziąwszy się nagle w boki, spytał bez żadnego wstępu:

— Chcesz Ketlinga za męża?

— I takich pięciu! — ozwała się zaraz Basia.

— Cicho bądź, mucho, nie do ciebie mówię! Krzysiu, do ciebie mowa. Chcesz Ketlinga za męża?

Krzysia przybladła nieco, chociaż z początku sądziła, że pan Zagłoba Basię, nie ją zapytuje; za czym podniosła na starego szlachcica swoje śliczne ciemnoniebieskie oczy.

— Nie! —odrzekła spokojnie.

— Ano, proszę! Nie! Przynajmniej krótko! Proszę, proszę! I czemuż to waćpanna jego z łaski swojej nie chcesz?

— Bo ja nikogo nie chcę.

— Krzychna! Powiedz to komu innemu! — wtrąciła Basia.

— Cóż to stan małżeński w taką abominację podało? — pytał dalej pan Zagłoba.

— To nie abominacja, jeno mam do zakonu wolę — odrzekła Krzysia.

Była w jej głosie taka powaga i taki smutek, że i Basia, i pan Zagłoba na chwilę nawet nie przypuścili, że to żarty. Zdumienie tylko ogarnęło oboje tak wielkie, że poczęli spoglądać to na siebie, to na Krzysię, jak błędni.

— Hę? — rzekł pierwszy Zagłoba.

— Mam wolę do zakonu! — powtórzyła ze słodyczą Krzysia.

Basia spojrzała na nią raz i drugi, nagle zarzuciwszy jej ręce na szyję przytuliła swoje różane usta do jej policzka i poczęła mówić prędko:

— Krzysiu, bo beknę! Powiedz zaraz, że jeno na wiatr tak mówisz, bo beknę, jak Bóg na niebie, beknę!

Rozdział XVII

Po widzeniu się z Zagłobą Ketling był jeszcze u pani Makowieckiej, której oświadczył, że dla pilnych spraw musi pozostać w mieście, a może i wyjechać jeszcze przed główną podróżą na kilka tygodni do Kurlandii, że zatem nie będzie mógł podejmować pani stolnikowej nadal osobiście w swym wiejskim dworku. Jednakże błagał ją, by ów dworek chciała, jak i dotąd, uważać za swoją rezydencję i wraz z mężem i panem Michałem w nim w czasie bliskiej już elekcji zamieszkać. Pani Makowiecka zgodziła się, ponieważ w przeciwnym razie dworek stałby pustką i nikomu by pożytku nie przyniósł.

Po owej rozmowie Ketling zniknął i nie pokazywał się więcej ani w gospodzie, ani później w okolicach Mokotowa, gdy pani Makowiecka wraz z pannami na wieś wróciła. Lecz jedna tylko Krzysia odczuwała tę nieobecność, pan Zagłoba bowiem cały zajęty był

zbliżającą się elekcją, zaś Basia i stolnikowa tak dalece wzięły do serca nagłe postanowienie Krzysine, że nie mogły o niczym innym myśleć.

Jednakże pani Makowiecka nie próbowała nawet odmawiać Krzysi od tego kroku i wątpiła, czy mąż będzie odmawiał; w owych czasach bowiem sprzeciwianie się podobnym przedsięwzięciom wydawało się ludziom krzywdą i obrazą bożą.

Jeden pan Zagłoba, przy całej swej pobożności, miałby był odwagę protestować, gdyby mu cokolwiek na tym zależało, ale że mu nic nie zależało, więc cicho siedział; owszem, kontent był w duszy, że rzeczy układały się w ten sposób, iż Krzysia usuwała się spomiędzy Wołodyjowskiego a hajduczka. Teraz pan Zagłoba był przekonany o pomyślnym spełnieniu się swych najtajniejszych życzeń i z całą swobodą oddał się pracom elekcyjnym; objeżdżał szlachtę przybyłą do stolicy lub spędzał czas na rozmowach z księdzem Olszowskim, którego w końcu polubił bardzo i stał się poufałym wspólnikiem.

Po każdej też takiej rozmowie wracał do domu coraz gorliwszym partyzantem „Piasta", a coraz zaciętszym wrogiem cudzoziemców. Stosując się do instrukcji księdza podkanclerzego, cicho z tym jeszcze siedział, ale nie upłynął dzień, by kogoś dla tej kryjącej się kandydatury nie skaptował — i stało się to, co zwykle w takich razach się dzieje: oto zacietrzewił się sam tak dalece, że ta kandydatura stała się — obok połączenia Basi z Wołodyjowskim — drugim w życiu jego celem.

Tymczasem do elekcji było coraz bliżej.

Już wiosna rozpętała wody z lodów; już poczęły wiać wiatry ciepłe, duże, pod których oddechem drzewa obsypują się pąkami, a łańcuchy jaskółek rozczepiają się, wedle wiary prostactwa, by lada chwila wychynąć z zimnej topieli na jasny świat słoneczny. Więc razem z jaskółkami i innym wędrownym ptactwem poczęli ściągać goście na elekcję.

Naprzód kupcy, którym znaczyło się obfite żniwo zysku tam, gdzie miało się zgromadzić przeszło pół miliona ludu licząc panów, ich poczty, szlachtę, sługi, wojsko. Ciągnęli tedy Anglicy, Holendrzy, Niemcy, Moskale, ciągnęli Tatarzy, Turcy, Ormianie, Persowie nawet, przywożąc sukna, płótna, adamaszki i złotogłowy, futra, klejnoty, wonności, bakalie. Poustawiano budy na ulicach i za miastem, a w nich wszelaki towar. Niektóre „bazary" poustawiały się nawet we wsiach podmiejskich, wiadomo bowiem było, że gospody stołeczne nie obejmą dziesiątej części elektorów, ale że ogromna ich większość stanie obozem za obrębem murów, jak zresztą zawsze czyniono podczas elekcji.

Poczęła wreszcie ściągać i szlachta tak rojnie, tak tłumno, że gdyby podobnie u zagrożonych granic Rzeczypospolitej stawała, nigdy by ich noga nieprzyjacielska nie mogła przekroczyć.

Chodziły słuchy, że elekcja będzie burzliwą, bo cały kraj był rozdarty między trzech głównych kandydatów: Kondeusza, księcia Neyburskiego i Lotaryńskiego. Mówiono, że każda partia będzie się starała choćby siłą przeprowadzić swego kandydata.

Niepokój ogarniał serca, dusze rozpaliły się stronniczą zawziętością. Niektórzy przepowiadali wojnę domową, a wieści te znajdowały wiarę wobec olbrzymich drużyn wojennych, jakimi otaczali się magnaci. Ciągnęli i oni na wczesny termin, by mieć czas do praktyk wszelakich.

Gdy Rzeczpospolita bywała w potrzebie, gdy nieprzyjaciel ostrze do gardła jej przykładał, nie mógł król, nie mogli hetmani więcej jak lichą garść wojska przeciw niemu wyprowadzić; teraz zaś sami Radziwiłłowie przyciągnęli — wbrew prawu i postanowieniom — z armią kilkanaście tysięcy ludzi liczącą. Pacowie równą niemal wiedli ze sobą siłę; z nie mniejszą gotowali się potężni Potoccy; z niewiele mniejszą inne „królewięta" polskie, litewskie i ruskie. „Kędyż zapłyniesz, skołatana ojczyzny nawo?" — powtarzał coraz częściej ksiądz Olszowski, ale on sam prywatę miał w sercu; o sobie i potędze domów własnych myślało tylko zepsute, z małymi wyjątkami, do szpiku kości możnowładztwo, gotowe w każdej chwili wzniecić wichurę wojny domowej.

Tłumy szlachty rosły z każdym dniem i znać już było, że gdy po sejmie sama elekcja się pocznie, przerosną choćby największą moc magnacką. Ale i te tłumy niezdolne były szczęśliwie nawą Rzeczypospolitej na ciche wody pokierować, bo głowy ich pograżonę były w mroku i ciemności, a serca przeważnie popsute.

Więc elekcja zapowiadała się potwornie i nikt nie przewidywał, że wypadnie tylko nędznie, bo prócz pana Zagłoby ci nawet, którzy pracowali dla „Piasta", nie mogąc odgadnąć, o ile im bezmyślność szlachecka i praktyki magnackie pomogą, niewiele mieli nadziei, by mogli przeprowadzić takiego, jak książę Michał, kandydata. Lecz pan Zagłoba pływał w tym morzu jak ryba. Z chwilą rozpoczęcia sejmu zamieszkał stale w mieście i w dworku Ketlingowym bywał tylko o tyle, o ile zatęsknił czasem za swoim hajduczkiem, lecz że i Basia wielce z powodu Krzysinego postanowienia straciła na wesołości, zabierał ją czasem pan Zagłoba do miasta, aby się mogła rozerwać i oczy widokiem bazarów rozweselić.

Wyjeżdżali zwykle z rana, a odwoził ją pan Zagłoba nieraz późnym dopiero wieczorem. Po drodze i w samym mieście cieszyło się serce dziewczynine widokiem rzeczy i ludów nieznanych, tłumów różnobarwnych, wojsk pysznych.

Wówczas oczy jej poczynały świecić jak dwa węgielki, głowa obracała się jak na śrubkach; nie mogła się napatrzeć, naoglądać i zasypywała pana Zagłobę tysiącami pytań, on zaś rad odpowiadał, bo mógł przez to swe doświadczenie i uczoność okazać. Nieraz też i grzeczna kompania wojskowych otaczała skarbniczek, w którym jeździli; podziwiało wielce rycerstwo Basiną urodę, bystrość dowcipu i rezolutność, a pan Zagłoba jeszcze im zawsze historię Tatara ustrzelonego kaczym śrutem opowiadał, by ich do reszty w osłupieniu i zachwycie pogrążyć.

Pewnego razu wracali bardzo późno, bo im cały dzień oglądanie pocztów pana Feliksa Potockiego zajęło. Noc była widna i ciepła; nad łąkami porozwieszały się białe tumany. Pan Zagłoba, lubo zawsze ostrzegał, że przy takim zbiorowisku ludzi służebnych i żołnierstwa pilną trzeba zwracać uwagę, by na hultajów nie trafić, zasnął był mocno; drzemał i woźnica, sama tylko Basia nie spała, bo przez głowę przesuwało się jej tysiące obrazów i myśli.

Nagle do uszu jej doszedł tupot kilku koni.

Więc pociągnąwszy pana Zagłobę za rękaw rzekła:

— Jeźdźcy jakowiś sadzą za nami!

— Co? Jak? Kto? — spytał zaspany pan Zagłoba.

— Jeźdźcy jakowiś sadzą!

Pan Zagłoba zbudził się zupełnie.

— O! Zaraz „sadzą”! Słychać tętent, może kto jedzie tą samą drogą…

— Pewna jestem, że zbóje!

Basia dlatego tak była pewna, że w duszy bardzo sobie przygody, zbójów i sposobności do okazania swej odwagi życzyła, toteż gdy pan Zagłoba sapiąc i mrucząc począł wyciągać z siedzenia krócice, które zawsze „od trafunku” ze sobą woził, ona zaraz jęła się napierać, by jej jedną oddał.

— Już ja pierwszego, który się zbliży, nie chybię. Ciotka okrutnie z bandoleciku strzela, ale ona w nocy nie widzi. Przysięgłabym, że to zbóje! Aj, Boże, żeby choć nas zaczepili! Dawaj waćpan prędzej krócice!

— Dobrze — odrzekł Zagłoba — ale mi przyrzekniesz, że przede mną i póki nie powiem: „pal!”, nie strzelisz. Dać tobie broń, toś gotowa wygarnąć do pierwszego lepszego szlachcica, nie spytawszy się pierwej: „werdo”, a później sprawa!

— To naprzód spytam: „werdo?”

— Ba, a jak pijacy będą przejeżdżać i poznawszy niewieści głos, coś niepolitycznego ci odpowiedzą?

— Gruchnę wtedy z krócicy! Dobrze?

— No! Bierzże tu człeku taką paliwodę do miasta! Powiadam ci, że nie masz strzelać bez komendy!

— Spytam: „werdo”, ale tak grubo, że nie poznają.

— Niechże i tak będzie! Ha! Słyszę już ich z bliska. Bądź pewna, że to jacyś stateczni ludzie, bo łotrzykowie wypadliby znienacka z rowu.

Że jednak hultajstwo włóczyło się istotnie po drogach i nieraz słychać było o wypadkach, kazał pan Zagłoba powożącemu czeladnikowi nie wjeżdżać między drzewa czerniące się tuż na zakręcie, ale stanąć na dobrze oświeconym miejscu.

Tymczasem czterech jeźdźców zbliżyło się na kilkanaście kroków. Wówczas Basia zdobywszy się na bas, który jej samej wydał się godnym dragona, spytała groźnie:

— Werdo?

— A czego to stoicie na drodze? — odrzekł jeden z jeźdźców, któremu widocznie przyszło do głowy, że podróżnym musiało się coś popsuć w zaprzęgu lub wozie.

Lecz na ten głos Basia opuściła zaraz krócicę i rzekła pospiesznie do pana Zagłoby:

— Doprawdy, że to wujko!... O dla Boga!...

— Jaki wujko?

— Makowiecki...

— Hej tam! — krzyknął Zagłoba — a czy to nie pan Makowiecki z panem Wołodyjowskim?

— Pan Zagłoba? — ozwał się mały rycerz.

— Michale!

Tu pan Zagłoba począł z wielkim pośpiechem przekładać nogi przez poręcz skarbniczka, lecz nim przełożył jedną, Wołodyjowski zeskoczył z konia i już był przy wasągu. Poznawszy przy świetle księżyca Basię, chwycił ją za obie ręce i zawołał:

— Witam waćpannę całym sercem! A gdzie panna Krzysia? Siostra? Zdrowiż wszyscy?

— Zdrowi, dziękować Bogu! Że to na koniec waćpan przyjechał! — odrzekła z bijącym sercem Basia. — Wujko jest także? Wujku!

To rzekłszy chwyciła za szyję pana Makowieckiego, który właśnie nadszedł do skarbniczka, a pan Zagłoba otworzył tymczasem Wołodyjowskiemu ramiona. Po

długich powitaniach nastąpiła prezentacja pana stolnika Zagłobie, następnie zaś obaj przyjezdni panowie oddawszy konie czeladnikom siedli do wasągu; Makowiecki z Zagłobą zajęli poczesne siedzenie, zaś Basia z Wołodyjowskim usadowili się na przodku.

Nastąpiły krótkie zapytania i krótkie odpowiedzi, jako zwyczajnie bywa, gdy się ludzie po długim niewidzeniu spotykają.

Wypytywał więc pan Makowiecki o żonę, a Wołodyjowski raz jeszcze o zdrowie panny Krzysi; za czym zdumiał się nad Ketlingowym bliskim wyjazdem, ale nie miał czasu nad nim się zastanawiać, bo zaraz musiał opowiadać, co tam w kresowej stanicy porabiał, jako ordzińskich grasantów podchodził, jak mu było tęskno, ale zdrowo starego życia zakosztować.

— Ot! Zdawało mi się — mówił — że łubniańskie czasy nie minęły, żeśmy to jeszcze razem ze Skrzetuskim i Kuszlem, i Wierszułłem... Dopiero jak mi rankiem wiadro wody do umywania przynosili, a siwe włosy na skroniach w nim ujrzałem, dopieroż człek się opamiętywał, że już nie ten, co był dawniej, chociaż z drugiej strony przychodziło znów do głowy, że póki ochota taż sama, to i człek ten sam.

— O! Toś w sedno utrafił! — odrzekł Zagłoba — widać, że ci się tam na świeżych trawach i dowcip odpasł, bo dawniej nie był taki rączy. Ochota to grunt! I nie masz lepszej na melankolię driakwi.

— Że prawda, to prawda — dodał pan Makowiecki. — Siła tam w Michałowej stanicy żurawi studziennych, bo żywej wody w pobliżu brakuje. To powiadam waćpanu, że kiedy świtaniem żołnierze poczną owymi żurawiami skrzypieć, budzisz się waszmość z taką ochotą, że ci się chce zaraz Bogu dziękować za to tylko, że żyjesz.

— Ha! Żebym choć na dzień mogła tam być! — zawołała Basia.

— Jeden na to sposób — odrzekł Zagłoba — wyjdź za rotmistrza strażowego.

— Pan Nowowiejski prędzej, później rotmistrzem zostanie — wtrącił mały rycerz.

— Już! — zawołała gniewnie Basia. — Nie prosiłam waćpana, byś mi pan Nowowiejskiego zamiast gościńca przywoził!

— Ja też co innego przywiozłem, bo bakalijki zacne. Będzie pannie Basi słodko, a onemu biedakowi tam gorzko.

— To trzeba mu było bakalijki oddać, niechby je zjadł, póki mu wąsy nie urosną.

— Imainuj sobie waćpan — rzekł do Makowieckiego pan Zagłoba — to tak oni ze sobą zawsze! Szczęściem, że proverbium powiada: „Kto się czubi, ten się lubi”.

Basia nic nie odrzekła, pan Wołodyjowski zaś, jakby oczekując odpowiedzi, spojrzał wesoło na jej maluchną, oświeconą jasnym światłem twarzyczkę, która wydała mu się tak ładną, że mimo woli pomyślał:

„Ależ i to licho tak gładkie, że można by oczy zgubić!...”

Lecz widocznie zaraz co innego musiało mu przyjść na myśl, bo odwrócił się do woźnicy.

— A porachuj no tam biczem konie — rzekł — i jedź żywiej.

Wartko potoczył się skarbniczek po tych słowach, tak wartko, że jadący czas jakiś siedzieli w milczeniu i dopiero gdy wjechali na piaski, Wołodyjowski ozwał się znowu:

— Ale mi ten wyjazd Ketlingowy po głowie chodzi! Że też mu wypadło pod sam mój przyjazd i pod elekcję...

— Tyle Angielczykowie na naszą elekcję zważają, ile na twój przyjazd — odparł Zagłoba. — Ketling sam z nóg ścięty, że musi wyjeżdżać i nas zostawić...

Basia już miała na języku: „Szczególniej Krzysię”, ale coś nagle tknęło ją, żeby o tym, również jak i o niedawnym postanowieniu Krzysi nie wspominać. Instynktem niewieścim odgadła, że tak jedno, jak drugie może zaraz na wstępie pana Michała dotknąć, zaboleć, i samą ją coś zaraz zabolało, więc mimo całej swej porywczości zamilkła.

„O intencjach Krzysinych i tak on się dowie — pomyślała sobie — ale widać lepiej o tym teraz nie mówić, skoro i pan Zagłoba żadnym słówkiem nie wspomniał”.

Tymczasem Wołodyjowski znów zwrócił się do woźnicy.

— Jedź no żywiej! — rzekł.

— Konie i rzeczy zostawiliśmy na Pradze — mówił pan Makowiecki do Zagłoby — a jeno samoczwart ruszyliśmy, choć i pod noc, bo i mnie, i Michałowi okrutnie było pilno.

— Wierzę — odrzekł Zagłoba — widziałeś waszmość, jakie to tłumy zjechały się do stolicy? Za rogatkami obozy i bazary stoją, że i przejechać trudno. Dziwne też rzeczy opowiadają ludzie o tej przyszłej elekcji, które waćpanu w domu sposobnym czasem powtórzę...

Tu poczęli rozmowę o polityce. Pan Zagłoba starał się z lekka wyrozumieć opinie stolnika, w końcu zaś zwrócił się do Wołodyjowskiego i spytał bez ogródki:

— A ty, Michale, komu dasz kreskę?

Lecz Wołodyjowski zamiast odpowiedzi drgnął jakby rozbudzony i rzekł:

— Ciekawym, czy też śpią i czy je dzisiaj jeszcze ujrzymy?

— Pewnie śpią — odrzekła słodkim i jakby sennym głosem Basia — ale się rozbudzą i niechybnie przyjdą waszmościów powitać.

— Tak waćpanna myślisz? — spytał z radością mały rycerz.

I znów spojrzał na Basię, i znów mimo woli pomyślał: „Ależ to licho wdzięczne w tym świetle miesiąca!”

Blisko już było do Ketlingowego dworu i po chwili zajechali.

Pani stolnikowa i Krzysia spały już, czuwała tylko służba, czekano bowiem na Basię i na pana Zagłobę z wieczerzą. Wnet uczynił się w domu ruch niemały: Zagłoba rozkazał zbudzić więcej ludzi, by ciepła strawa i dla gości była podana.

Pan stolnik chciał zaraz iść do żony, ale ona dosłyszała już niezwykły skrzęt i domyśliwszy się, kto przyjechał, w chwilę później zbiegła na dół w zarzuconej naprędce sukni, zdyszana, ze łzami radości w oczach i pełnymi uśmiechów ustami; poczęły się powitania, uściski i bezładna rozmowa, przerywana okrzykami.

Pan Wołodyjowski spoglądał ustawicznie na drzwi, w których znikła Basia, a w których lada chwila spodziewał się ujrzeć ukochaną Krzysię, promienną od cichej radości, jasną, z błyszczącymi oczyma i rozwiązaną z pośpiechu kosą; ale tymczasem gdański zegar stojący w jadalnej izbie gdakał i gdakał, czas upływał, podano wieczerzę, a ukochana i droga dla pana Michała dziewczyna nie ukazywała się w komnacie.

Weszła wreszcie Basia, ale sama, poważna jakaś i zasępiona, zbliżyła się do stołu i ogarniając rączką świecę zwróciła się do pana Makowieckiego.

— Wujku! — rzekła — Krzysia trochę niezdrowa i nie przyjdzie, ale prosi, aby wujko choć pode drzwi podszedł, żeby go mogła powitać.

Pan Makowiecki wstał zaraz i wyszedł, a Basia za nim.

Sposępniał mały rycerz okrutnie i rzekł:

— Tegom się nie spodziewał, żebym panny Krzysi nie miał dziś ujrzeć. Zali naprawdę chora?

— E! Zdrowa — odrzekła pani Makowiecka — ale ona teraz nie do ludzi.

— Czemu to?

— To jegomość pan Zagłoba nie wspominał ci o jej intencji?

— O jakiej intencji, na rany boskie?!

— Ona do zakonu idzie…

Pan Michał począł mrugać oczyma jak człowiek, który nie dosłyszał, co do niego mówią, potem zmienił się na twarzy, wstał, usiadł znowu; pot w jednej chwili okrył mu perłami czoło, więc począł je dłońmi obcierać. W izbie nastało głuche milczenie.

— Michale — ozwała się pani stolnikowa.

A on patrząc błędnie to na nią, to na Zagłobę rzekł wreszcie strasznym głosem: — Czy klątwa ciąży nade mną?!

— Miej Boga w sercu! — zakrzyknął Zagłoba.

Rozdział XVIII

Odgadli po owym wykrzyku Zagłoba z panią Makowiecką tajemnicę serca małego rycerza i gdy on, zerwawszy się nagle, opuścił izbę, spoglądali czas jakiś na się w osłupieniu i niepokoju, aż na koniec pani Makowiecka rzekła:

— Dla Boga! Idź waćpan za nim, perswaduj, pociesz, a nie, to ja pójdę.

— Nie czyń tego waćpani — odrzekł Zagłoba. — Nie żadnego z nas, ale Krzysi tam by potrzeba, co gdy nie może być, lepiej go w samotności ostawić, bo pociecha nie w porę do większej jeszcze desperacji doprowadza.

— To już widzę jako na dłoni, że on do Krzysi chciał. Patrzże waćpan! Wiedziałam, że lubił ją bardzo i kompanii jej rad szukał, ale żeby się tak w niej zapamiętał, to mi nie przyszło do głowy.

— Musiał tu z gotowym przedsięwzięciem przyjechać, w którym szczęśliwość swoją upatrywał, a tymczasem jakoby piorun w to strzelił.

— To czemuż o tym nikomu nie wspomniał, ni mnie, ni waćpanu, ani Krzysi samej? Byłaby może dziewczyna nie uczyniła ślubu…

— Dziwna to jest rzecz — odrzekł Zagłoba — ze mną on przecie konfident i ufa mojej głowie więcej jak swojej, a nie tylko mi nic o owym afekcie nie wyznał, ale rzekł mi nawet kiedyś, że to jest amicycja, nic więcej.

— Zawsze on był skryty!

— To waćpani, chociażeś siostra, chyba go nie znasz. Serce u niego, jak oczy u karasia, na samym wierzchu. Nie spotkałem człeka szczerszego. Ale przyznaję, że teraz postąpił inaczej. Jeno czy waćpani jesteś pewna, że on i z Krzysia nic nie mówił?

— Mocny Boże! Krzysia panią swej woli, bo mój mąż, jako opiekun, tak jej powiedział: „Byle człek był godny i krwi zacnej, możesz i na substancję nie zważać”. Gdyby Michał był z nią przed wyjazdem mówił, to by mu odpowiedziała: tak! albo: nie! — i wiedziałby, czego się spodziewać.

— Prawda, że to niespodzianie w niego uderzyło. Waćpani dajesz swoje białogłowskie racje wcale do rzeczy.

— Co tam racje! Tu radzić trzeba!

— Niech bierze Basię!

— Kiedy tamtą widać woli… Ha! żeby mi to choć do głowy przyszło!

— Szkoda, że waćpani nie przyszło.

— Jakże mnie miało przyjść, gdy i takiemu Salomonowi jak waćpan nie przyszło?

— A skąd waćpani wiesz?

— Boś Ketlinga raił.

— Ja? Bóg mi świadek, nikogom nie raił. Mówiłem, że się ma ku niej, bo była prawda; mówiłem, że Ketling godny kawaler, bo była i jest prawda; ale swaty białogłowom zostawuję. Moja pani! Toż na mojej głowie pół Rzeczypospolitej spoczywa! Zali ja mam nawet czas myśleć o czym innym jak de publicis. Łyżki strawy nie mam oto często czasu do gęby wziąć…

— Radź waćpan teraz, na miłosierdzie boże! Wszak naokoło słyszę, że nie masz głowy nad waćpanową.

— Bez przestanku o tej mojej głowie gadają. Mogliby dać spokój. Co do rady, są dwie: albo niech Michał Basię bierze, albo niech Krzysia intencję odmieni. Intencja to nie ślub!

Tu nadszedł pan Makowiecki, któremu żona powiedziała zaraz wszystko. Stropił się bardzo szlachcic, bo pana Michała nadzwyczaj lubił i cenił, ale na razie nic wymyślić nie mógł.

— Jeśli Krzysia się zatnie — mówił trąc czoło — to jak tu nawet taką rzecz perswadować?…

— Krzysia się zatnie! — odrzekła pani stolnikowa. — Krzysia zawsze była taka!

Na to stolnik:

— Co Michałowi było w głowie, że się przed wyjazdem nie upewnił? Toż mogło się jeszcze gorzej zdarzyć: mógł kto inny przez ten czas serce dziewki pozyskać…

— To by do klasztoru wtenczas nie szła — odrzekła pani stolnikowa. — Przecie wolna jest.

— Prawda! — odrzekł stolnik.

Ale Zagłobie poczęło już w głowie świtać. Gdyby sekret Krzysi i Wołodyjowskiego był mu znany, wszystko byłoby mu od razu jasne, ale bez tej znajomości istotnie trudno było cośkolwiek zrozumieć.

Jednakże bystry dowcip pana Zagłoby począł przebijać mgłę i odgadywać istotne powody i intencji Krzysi, i rozpaczy Wołodyjowskiego.

Po chwili był już pewien, że Ketling tkwi w tym, co się stało. Przypuszczeniom jego brakło tylko pewności, postanowił więc pójść do Michała i zbadać go bliżej.

Po drodze ogarnął go niepokój, bo tak sobie pomyślał:

„Mojej w tym dużo roboty. Chciałem zasycić miodu na Basine i Michała wesele, ale nie wiem, jeślim — zamiast miodu — kwaśnego piwa nie nawarzył, bo nuż Michał do dawnego postanowienia wróci i idąc śladem Krzysi, habit wdzieje…”

Tu aż zimno uczyniło się panu Zagłobie, więc przyspieszył kroku i po chwili był w izbie pana Michała.

Mały rycerz chodził po komnacie jak zwierz dziki po klatce. Czoło miał groźnie namarszczone, oczy szklane — cierpiał niezmiernie. Ujrzawszy pana Zagłobę stanął nagle przed nim i założywszy ręce na piersiach, zakrzyknął:

— Powiedz mi waćpan, co to wszystko znaczy?

— Michale! — odrzekł Zagłoba — pomyśl, ile to dziewek co rok do klasztorów wchodzi. Zwyczajna rzecz. Są takie, które wbrew woli rodzicielskiej idą dufając, że Pan Jezus będzie po ich stronie, a cóż dopiero taka, która jest wolna…

— Nie masz już dłużej tajemnicy! — zawołał pan Michał. — Ona nie jest wolna, bo mi afekt i rękę przed odjazdem przyrzekła!

— Ha! — rzekł Zagłoba — tegom nie wiedział. — Tak jest! — powtórzył mały rycerz.

— Może tedy perswazji usłucha?

— Nie dba już o mnie! Nie chciała mnie widzieć! — zawołał z głębokim żalem Wołodyjowski. — Jam tu dzień i noc dążył, a ona już mnie i widzieć nie chce! Com ja takiego uczynił! Jakie grzechy na mnie ciążą, że mnie gniew boży ściga, że mną wiatr jakoby liściem zeschłym żenie? Jedna umarła, druga do klasztoru idzie, obie Bóg mi sam odjął, bom widać przeklęty, bo dla każdego jest zmiłowanie, dla każdego łaska, jeno nie dla mnie!…

Pan Zagłoba zadrżał w duszy, by mały rycerz, żalem uniesion, znów bluźnić nie zaczął jako niegdyś po śmierci Anusi Borzobohatej, więc by myśl jego w inną stronę odwrócić, ozwał się:

— Michale, nie wątp, że i nad tobą jest miłosierdzie, bo to grzech, a przecie nie możesz tego wiedzieć, co cię jutro czeka? Może ta sama Krzysia, wspomniawszy na twoje sieroctwo, jeszcze intencję odmieni i słowo ci zdzierży? Po wtóre, słuchaj mnie, Michale, zali i to nie pociecha, że ci one gołębie sam Bóg, nasz Ojciec miłosierny, zabiera, nie zaś mąż po ziemi chodzący? Sam powiedz, czyliby tak było lepiej?

Na to mały rycerz począł straszliwie wąsikami ruszać, zgrzyt dobył się z jego zębów i zakrzyknął przyduszonym i urywanym głosem:

— Gdyby to był człek żywy? — ha!... Niechby się taki znalazł! Wolałbym!... Zostałaby pomsta...

— A tak zostaje modlitwa! — rzekł Zagłoba. — Słuchaj mnie, stary przyjacielu, bo lepszej rady nikt ci nie da... Może też Bóg zmieni jeszcze wszystko na dobre. Ja sam... wiesz... innej ci życzyłem, ale widząc twoją boleść, boleję razem z tobą i razem z tobą będę Boga prosił, by cię pocieszył i serce tej nieużytej panny ku tobie znowu nakłonił.

To rzekłszy pan Zagłoba począł ocierać łzy; były to zaś łzy szczerej przyjaźni i politowania. Gdyby to było w mocy pana Zagłoby, byłby w tej chwili odrobił wszystko, co dla usunięcia Krzysi uczynił, i pierwszy rzucił ją w ramiona Wołodyjowskiemu.

— Słuchaj! — rzekł po chwili — rozmów się jeszcze z Krzysią, przedstaw jej swój lament, swoją boleść nieznośną i niech cię Bóg błogosławi. Chybaby w niej było serce z kamienia, gdyby nie miała się nad tobą ulitować. Ale dufam, że tego nie uczyni. Chwalebna to rzecz habit, ale nie z krzywdy ludzkiej uszyty. Powiedz jej to. Obaczysz... Ej, Michale! Dziś płaczem, a jutro może będziem na zrękowinach pili. Pewien jestem, że tak będzie! Pannisko się stęskniło i dlatego jej habit do głowy przyszedł. Pójdzie ona do klasztoru, ale do takiego, w którym ty będziesz na chrzciny dzwonił... Może też istotnie trocha słabuje, a nam o habicie gadała dlatego jeno, żeby nam oczy zamydlić. Przecie z jej gęby tego nie słyszałeś, a da Bóg, i nie usłyszysz! Ha! Umówiliście tajemnicę, a ona nie chciała jej zdradzić i klimkiem w oczy! Klimkiem w oczy! Jako żywo, nic to innego, jeno niewieścia chytrość!

Słowa pana Zagłoby podziałały jak balsam na stroskane serce małego rycerza; nadzieja wstąpiła weń na nowo, oczy wezbrały łzami, i długi czas nic mówić nie mógł; dopiero gdy łzy pohamował, rzucił się w ramiona pana Zagłoby i rzekł:

— Bodaj się tacy przyjaciele na kamieniu rodzili! Czy aby tak będzie, jak waćpan mówisz?

— Nieba bym ci przychylił! Będzie tak! Zali pamiętasz, żebym kiedy fałszywie prorokował, zali nie ufasz mojej eksperiencji i dowcipowi?...

— Bo waćpan nie imainujesz sobie nawet, jak ja tę pannę miłuję. Nie, żebym o tamtej kochanej niebodze zapomniał, co dzień się za nią modlę! Ale i do tej tak serce przywarło jako huba do drzewa. Mojeż to kochanie! Co ja się o tej niebodze tam w trawach namyślałem, i rankiem, i wieczorem, i w południe! W końcu tom już do siebie gadać

począł, ile że konfidenta żadnego nie miałem. Jak mi Bóg miły, że gdy się ordyńca gonić w burzanach przygodziło, tom już w pędzie jeszcze o niej myślał.

— Wierzę. Mnie z płaczu za jedną dziewką oko w młodości wypłynęło, a jeśli nie wypłynęło całkiem, to bielmem zaszło.

— Nie dziwuj się waćpan; przyjeżdżam, ledwie tchu mi staje, aż tu pierwsze słowo: klasztor. Ale przecie w perswazję ufam i w jej serce, i słowo. Jak to waćpan powiedziałeś? „Dobry habit…” ale z czego?

— Ale nie z krzywdy ludzkiej…

— Wybornie powiedziane! Że to ja nigdy żadnej maksymy nie mogłem ułożyć. W stanicy byłaby rozrywka gotowa. Niepokój siedzi wciąż we mnie, ale przecie otuchę mi waćpan wlałeś. Ułożyliśmy z nią istotnie, żeby rzecz w tajemnicy została, więc to słuszne, że dziewka mogła jeno dla pozoru o habicie mówić… Jeszcze jakoweś walne argumentum waćpan przytoczyłeś, ale nie mogę sobie przypomnieć… Znacznie mi ulżyło.

— To chodź do mnie albo tu każę gąsiorek przynieść. Po drodze się przygodzi!…

Poszli i pili znacznie do późna.

Nazajutrz przybrał pan Wołodyjowski ciało w piękne suknie, a twarz w powagę, uzbroił się we wszystkie argumenta, które mu do głowy samemu przyszły, i w te, które mu pan Zagłoba poddał, i tak uzbrojony zeszedł do jadalnej izby, gdzie wszyscy zwykle zgromadzali się na śniadanie. Z całej kompanii brakło też tylko Krzysi, lecz i ona nie dała na się długo czekać, zaledwie bowiem mały rycerz zdołał przełknąć dwie łyżki polewki, gdy przez otwarte drzwi dał się słyszeć szelest sukni i dziewczyna weszła do pokoju.

Weszła bardzo prędko, raczej wpadła. Policzki jej płonęły, powieki miała spuszczone, w twarzy pomieszanie, przymus i bojaźń.

Zbliżywszy się do Wołodyjowskiego, podała mu obie ręce, ale nie podniosła nań wcale oczu, i gdy on począł całować z zapałem te ręce, zbladła zaraz bardzo, przy tym nie zdobyła się ani na jedno słowo powitania.

A jego serce przepełniła wnet miłość, niepokój i zachwycenie na widok tej twarzy delikatnej a mieniącej się jak cudowny obraz; na widok tej postaci wysmukłej a lubej, od której biło jeszcze ciepło niedawnego snu; wzruszyło go nawet jej pomieszanie i owa bojaźń malująca się w obliczu. „Kwiatuszku najdroższy! — pomyślał sobie w duszy — Czego się boisz? Toż ja bym życie i krew oddał za ciebie…”

Ale nie powiedział tego głośno, tylko swoje spiczaste wąsiki przyciskał tak długo i silnie do jej rąk atłasowych, że aż ślady czerwone na nich zostawił.

Basia, patrząc na to wszystko, umyślnie nagarnęła sobie płową czuprynę na oczy, by nikt wzruszenia jej nie dostrzegł, ale nikt na nią nie zwracał w tej chwili uwagi; wszyscy spoglądali na tamtą parę i nastało kłopotliwe milczenie.

Przerwał je pierwszy pan Michał.

— Noc mi w smutku i niepokoju zeszła — rzekł — bom wszystkich wczoraj widział prócz waćpanny i takie mi okrutne wieści o niej powiedziano, że mi do płakania więcej niż do snu było.

Krzysia słysząc tak otwartą mowę przybladła jeszcze mocniej, tak że Wołodyjowski przez chwilę pomyślał, iż ją omdlenie chwyci, więc rzekł pośpiesznie:

— Musimy się w tej materii rozmówić, ale teraz o nic nie będę więcej pytał, żebyś się waćpanna uspokoić i ochłonąć mogła. Toć ja nie żaden barbarus ani wilk jestem, a Bóg widzi, ile mam życzliwości dla waćpanny.

— Dziękuję! — szepnęła Krzysia.

Pan Zagłoba, stolnik i jego żona poczęli bezprzestannie zamieniać ze sobą spojrzenia, jakby zachęcając się wzajemnie do poczęcia zwykłej rozmowy, ale długo żadne nie mogło się jakoś na to odważyć, dopiero pierwszy pan Zagłoba zaczął.

— Trzeba — rzekł zwracając się do przybyłych — żebyśmy pojechali dziś do miasta. Wre już tam przed elekcją jak w ukropie, bo każdy swego kandydata zaleca. Po drodze powiem waszmościom, komu, moim zdaniem, powinniśmy dać kreskę.

Nikt się nie ozwał, więc pan Zagłoba potoczył osowiałym okiem naokoło, wreszcie zwrócił się do Basi:

— A ty, chrząszczu, pojedziesz z nami?

— Pojadę choćby na Ruś! — odrzekła szorstko Basia.

I znów nastało milczenie. Na takich próbach klejenia rozmów, które nie chciały się kleić, przeszło całe śniadanie.

Na koniec uczestnicy wstali.

Wówczas Wołodyjowski zbliżył się natychmiast do Krzysi i rzekł:

— Muszę z waćpanną sam na sam pomówić.

Po czym podał jej ramię i wyprowadził ją do przyległej izby, do tej samej, która była świadkiem pierwszego ich pocałunku.

Posadziwszy Krzysię na sofie, sam siadł przy niej i począł głaskać ją dłonią po włosach, jakoby głaskał małe dziecko.

— Krzysiu! — ozwał się wreszcie łagodnym głosem. — Zali ci konfuzja przeszła? Możeszże mi spokojnie i przytomnie odpowiadać?

Jej konfuzja przeszła, a prócz tego wzruszyła ją jego dobroć, więc po raz pierwszy podniosła na niego na chwilę oczy:

— Mogę — odrzekła cicho.

— Zali prawda, żeś ty się ofiarowała do zakonu?

Na to Krzysia złożyła ręce i poczęła szeptać błagalnie:

— Nie bierz mi tego waćpan za złe, nie przeklinaj mnie, ale tak!

— Krzysiu! — rzekł Wołodyjowski — Godziż to się deptać po szczęśliwości ludzkiej, jako ty po mojej depcesz? Gdzie twoje słowo, gdzie nasza umowa? Jać z Bogiem wojny prowadzić nie mogę, ale to ci naprzód powiem, co pan Zagłoba wczoraj do mnie powiedział, że habit nie powinien być z krzywdy ludzkiej zszywany. Krzywdą moją chwały bożej nie pomnożysz, bo Pan Bóg nad całym światem króluje; jego są narody wszelkie, jego lądy i morza, i rzeki, i ptactwo powietrzne, i zwierz leśny, i słońca, i gwiazdy; on ma wszystko, co ci tylko na myśl przyjść może, i jeszcze więcej, a ja jeno ciebie jedną, kochaną i drogą; tyś moje szczęście, tyś moje mienie całe. I czyli ty możesz przypuścić, że Pan Bóg potrzebuje, on, taki bogacz, jedyny skarb ubogiemu żołnierzowi wydzierać?... Że on w dobroci swojej się na to zgodzi, że się uraduje, nie obrazi?... Patrzże, co mu dajesz — siebie? Aleś ty moja, boś mi sama przyrzekła, więc cudze mu dajesz, nie własne; dajesz mu moje płakanie, moją boleść, może śmierć moją. Maszże do tego prawo? Rozważ to w sercu i w umyśle, w końcu spytaj sumienia własnego... Bo żebym cię był obraził, żebym się w kochaniu sprzeniewierzył, żebym cię zapomniał, żebym się win jakowychś i zbrodni dopuścił — ha! Nie mówię, nie mówię! Alem ja pojechał do ordy nasłuchiwać, grasantów podchodzić, ojczyźnie krwią, zdrowiem i wczasem służyć, a ciebiem kochał, o tobiem po dniach całych i nocach przemyśliwał i jako jeleń do wód, jako ptak do powietrza, jako dziecko do matki i jak rodzic do dziecka, takem do ciebie tęsknił!... I za to wszystko takież mi powitanie, taką mi nagrodę zgotowałaś?... Krzysiu najmilsza, mój przyjacielu, moje kochanie wybrane, powiedz mi, skąd się to wzięło? Wymień mi swoje racje równie szczerze, równie otwarcie, jak ja ci swoje racje i swoje prawa przytaczam; dochowaj mi wiary, nie ostawiaj mnie samego jeno z nieszczęściem. Samaś mi dała prawo — nie czyń mnie banitem!...

Nie wiedział nieszczęsny pan Michał, że jest prawo większe i starsze od wszelkich ludzkich, na mocy którego serce za miłością tylko iść musi i idzie, a które kochać

przestaje, to już tym samym najgłębszego wiarołomstwa się dopuszcza, choć często tak niewinnie, jak niewinnie gaśnie lampa, w której się olej wypalił.

Więc nie wiedząc o tym Wołodyjowski za kolana Krzysię objął i prosił, i błagał, a ona odpowiadała mu tylko potokami łez, bo właśnie już sercem odpowiedzieć nie mogła.

— Krzysiu — rzekł wreszcie, wstając, rycerz — we łzach twoich szczęśliwość moja utonąć może, a ja cię nie o to, jeno o ratunek proszę!

— Nie pytaj mnie waćpan o racje! — odrzekła łkając Krzysia — nie pytaj o przyczyny, bo to już tak być musi i inaczej być nie może. Nie wartam takiego, jak waćpan, człowieka i nigdy nie byłam warta... Wiem, jaką waćpanu krzywdę czynię, i to mnie boli tak okrutnie, że ot! Rady dać sobie nie mogę!... Ja wiem, że to krzywda... O Boże wielki, serce się kraje! Wybacz waćpan, nie opuszczaj mnie w gniewie, odpuść, nie przeklinaj!

To rzekłszy Krzysia rzuciła się przed Wołodyjowskim na kolana.

— Wiem, że cię krzywdzę, ale łaski waćpanowej i zmiłowania proszę!

Tu ciemna główka Krzysi schyliła się aż do podłogi. Wołodyjowski podniósł w jednej chwili przemocą biedną płaczkę i posadził ją na powrót na sofie, sam zaś począł chodzić jak błędny po komnacie. Czasami stawał nagle i pięści do skroni przykładał, to znów chodził, na koniec stanął przed Krzysią.

— Zostawże sobie czas, a mnie jakowąś nadzieję — rzekł. — Pomyśl, że i ja nie z kamienia. Czemu mi rozpalone żelazo bez żadnej litości przykładasz? Toż choćbym nie wiem jak był cierpliwy, przecie gdy skóra zasyczy, to i mnie boleść przejmie... Jać nie umiem nawet powiedzieć, jak mi boleśno... Dalibóg, nie umiem!... Prostak, widzisz, jestem i lata w wojnie zeszły... O dla Boga! O Jezu miły! W tej samej izbie my się kochali! Krzychna! Krzychna! Myślałem, że po wiek będziesz moja, a teraz nic, nic! Co się z tobą stało? Kto ci serce odmienił? Krzysiu, toćże ja ten sam!... I tego nie wiesz, że dla mnie to gorszy cios niż dla innego, bom ja już jedno kochanie stracił. Jezu, co ja jej powiem, żeby jej serce poruszyć?... Człek się tylko męczy, i tyle. Ostawże mi choć nadzieję! Nie odbieraj wszystkiego od razu!...

Krzysia nie odrzekła nic, tylko łkanie wstrząsało nią coraz większe, mały rycerz zaś stał przed nią hamując z początku żal, a potem gniew straszny i dopiero gdy go w sobie złamał, powtórzył:

— Ostawże mi choć nadzieję! Słyszysz?

— Nie mogę, nie mogę! — odpowiedziała Krzysia.

Na to pan Wołodyjowski poszedł do okna i głowę do zimnej szyby przyłożył. Długi czas stał tak bez ruchu, na koniec odwrócił się i postąpiwszy parę kroków ku Krzysi rzekł bardzo cicho:

— Bądź waćpanna zdrowa! Nic tu po mnie. Oby ci było dobrze, jako mnie będzie źle! Wiedz o tym, że ci usty zaraz odpuszczam, a jak Bóg da, to ci i sercem odpuszczę... Miej jeno więcej miłosierdzia nad męką ludzką i drugi raz nie przyrzekaj. Nie ma co gadać, nie wynoszę szczęścia z tych progów!... Bądź zdrowa!

To rzekłszy ruszył wąsikami, skłonił się i wyszedł. W przyległej komnacie zastał oboje stolnikostwo i Zagłobę, którzy porwali się zaraz, jakby chcąc wypytywać, ale on tylko ręką machnął.

— Na nic wszystko! — rzekł. — Ostawcie mnie w spokoju!...

Z tej komnaty wąski korytarzyk prowadził do jego izby; w korytarzyku owym, przy schodach do panieńskiej kwatery, Basia zastąpiła małemu rycerzowi drogę.

— Niech waćpana Bóg pocieszy i odmieni Krzysine serce! — zawołała drgającym od łez głosem.

On przeszedł mimo, nawet nie spojrzawszy na nią, nie powiedziawszy ni słowa. Nagle porwał go gniew szalony, gorycz wezbrała w piersi, więc zawrócił się i stanął przed niewinną Basią ze zmienioną i pełną szyderstwa twarzą.

— Przyrzecz waćpanna Ketlingowi rękę — rzekł chrapliwie — rozkochaj go, a potem podepcz, rozedrzyj mu serce i idź do klasztoru!

— Panie Michale! — zawołała ze zdumieniem Basia.

— Wygódź sobie, zakosztuj pocałowań, a potem idź pokutować!... Bodaj was zabito!...

Tego było już Basi zanadto. Bóg jeden wiedział, ile było zaparcia się siebie w tym życzeniu, jakie Wołodyjowskiemu wypowiedziała, by Bóg odmienił Krzysine serce — i za to spotykało ją niesłuszne posądzenie, szyderstwo, obelga w chwili właśnie, w której byłaby oddała krew, by pocieszyć niewdzięcznika.

Więc wzburzyła się w niej natychmiast prędka jak płomień duszka, policzki zapałały, rozdęły się różowe nozdrza i bez chwili namysłu zawołała potrząsając płową czupryną:

— Wiedz waćpan, że dla Ketlinga nie ja idę do klasztoru!

To rzekłszy skoczyła na schody i znikła sprzed oczu rycerza.

A on stanął jak słup kamienny, potem zaczął wodzić rękoma po twarzy i przecierać sobie oczy na kształt człowieka, który się budzi ze snu.

Wtem zabiegł krwią, chwycił się za szablę i zakrzyknął strasznym głosem:

— Gorze zdrajcy!

I w kwadrans później pędził do Warszawy, aż wiatr wył mu w uszach, aż grudki ziemi leciały stadem spod kopyt jego konia.

Rozdział XIX

Ujrzeli go odjeżdżającego stolnikostwo, a także pan Zagłoba, i niepokój ogarnął wszystkie serca, więc pytali się wzajemnie oczyma, co się stało i dokąd jedzie?

— Boże wielki! — zawołała pani stolnikowa — jeszcze gdzie na Dzikie Pola ruszy i nie ujrzę go więcej w życiu!

— Albo w klasztorze za przykładem tamtej błaźnicy się zamknie! — rzekł zdesperowany pan Zagłoba.

— Tu trzeba radzić! — dodał stolnik.

Wtem otworzyły się drzwi i do pokoju wpadła jak wicher Basia, wzburzona, blada i zatkawszy oczy palcami, tupiąc zarazem na środku izby jak małe dziecko zaczęła piszczeć:

— Rety! Ratujcie! Pan Michał pojechał zabić Ketlinga! Kto w Boga wierzy, niech leci za nim hamować! Rety! Rety!...

— Co ci jest, dziewczyno? — zawołał chwytając jej ręce Zagłoba.

— Rety! Pan Michał zabije Ketlinga! Przeze mnie krew się poleje, a Krzysia umrze, wszystko przeze mnie!

— Gadaj! — krzyknął potrząsając nią Zagłoba. — Skąd wiesz? Dlaczego przez ciebie?

— Bom mu w złości powiedziała, że oni się miłują, że Krzysia dla Ketlinga idzie za kratę. Kto w Boga wierzy, niech leci, hamuje! Jedź waćpan co prędzej, jedźcie wszyscy, jedźmy wszyscy!

Pan Zagłoba, nieprzywykły czasu w takich wypadkach tracić, wypadł na podwórzec i natychmiast kazał zaprzęgać do karabona.

Pani stolnikowa chciała wypytywać Basię o zdumiewającą nowinę, ani się bowiem dotychczas domyślała jakichkolwiek między Krzysią i Ketlingiem afektów, lecz Basia wypadła za panem Zagłobą, aby nad zaprzęganiem czuwać, pomagała wyprowadzać konie, zakładać je do dyszla, na koniec zajechała na koźle z gołą głową przed ganek, na którym dwaj mężowie, już przybrani, czekali.

— Wyłaź — rzekł do niej Zagłoba.

— Nie wylazę!

— Wyłaź! Mówię ci!

— Nie wylazę! Siadajcie, macie siadać, a nie, to sama pojadę!

To mówiąc zebrała lejce, a oni widząc, że upór dziewczyny znaczną mógłby spowodować mitręgę, przestali ją wzywać, by zlazła.

Tymczasem nadbiegł z biczem czeladnik, a pani stolnikowa zdołała jeszcze wynieść Basi szubkę i kołpaczek, bo dzień był chłodny.

Po czym ruszyli.

Basia pozostała na koźle; pan Zagłoba pragnąc się z nią rozmówić, wzywał ją, by się przesiadła na przednie siedzenie, ale i tego nie chciała uczynić, może ze strachu, by jej nie łajano; więc musiał wypytywać z daleka, a ona odpowiadała mu nie odwracając głowy.

— Skąd ty wiesz — rzekł — o tym, coś o tamtych dwojgu Michałowi powiedziała?

— Ja wszystko wiem!

— Czy Krzysia powiedziała ci cośkolwiek?

— Krzysia nic mi nie mówiła.

— To może Szkot?

— Nie, ale ja wiem, że on dlatego do Anglii wyjeżdża. Wszystkich wywiódł w pole prócz mnie.

— Zadziwiająca rzecz! — rzekł Zagłoba.

A Basia:

— Waćpana to robota; nie trzeba ich było ku sobie popychać.

— Cicho tam siedź i nie wtrącaj się w nie swoje rzeczy! — odparł Zagłoba, którego ubodło to najwięcej, że przy stolniku latyczowskim spotkała go ta wymówka.

Więc po chwili jeszcze dodał:

— Ja popychałem kogo! Ja raiłem? Ot, to! Lubię takie supozycje!

— Aha? Może nie? — odrzekła dziewczyna.

I dalej jechali w milczeniu.

Pan Zagłoba nie mógł jednak opędzić się myśli, że Basia ma słuszność i że wszystkiemu, co zaszło, on winien jest w znacznej części. Myśl ta gryzła go niepomału, a że i karabon trząsł przy tym okrutnie, więc stary szlachcic wpadł w jak najgorszy humor i nie szczędził sam sobie wyrzutów.

„Słuszna by była rzecz — myślał — gdyby Wołodyjowski z Ketlingiem uszy obcięli mi na współkę. Żenić kogoś wbrew woli to toż samo, co by mu kazać na koniu twarzą do ogona jeździć. Ma rację ta mucha! Jeśli się tamci pobiją, krew Ketlingowa spadnie na

mnie. O, tom się na starość w praktyki wdał! Tfu, do licha! Jeszcze mnie w ostatku mało w pole nie wywiedli, bom się ledwie domyślał, czemu Ketling chce za morze, a tamta kawka do klasztoru, tymczasem hajduczek wszystko, jak się pokazuje, od dawna spenetrował…”

Tu zamyślił się pan Zagłoba, po chwili zaś mruknął:

— Szelma, nie dziewczyna! Michał od raka oczu pożyczył, żeby taką dla tamtej kukły spostponować!

Tymczasem dojechali do miasta, ale tu dopiero zaczęły się trudności, bo żadne z nich nie wiedziało, ani gdzie mieszka obecnie Ketling, ani też dokąd mógł udać się Wołodyjowski, szukać zaś w takim tłumie ludzi było to szukać ziarna w korcu maku.

Naprzód więc udali się na dwór hetmana wielkiego. Tam powiedziano im, że Ketling właśnie tego ranka ma wyjechać w zamorską podróż. Wołodyjowski zaś był rozpytując się o niego, ale gdzie się udał, nikt nie wiedział. Przypuszczano, że może do chorągwi stojących w polu za miastem.

Pan Zagłoba kazał nawrócić ku obozowi, ale i tam nie można było złapać języka. Objechali jeszcze wszystkie gospody przy ulicy Długiej, byli na Pradze, wszystko na próżno.

Tymczasem zapadła noc, a że o gospodzie nie było co i myśleć, musieli wracać do domu.

Wracali w strapieniu, Basia popłakiwała trochę, pobożny stolnik odmawiał pacierze, Zagłoba naprawdę był niespokojny. Próbował jednak pocieszyć siebie i kompanię.

— Ha! Kłopoczemy się — rzekł — a tam Michał może już w domu?

— Albo usieczon! — rzekła Basia.

I poczęła wić się na bryce powtarzając ze łzami:

— Uciąć mi język! Moja wina! Moja wina! O Jezu! Ja chyba zwariuję!

A Zagłoba:

— Cichaj, dziewczyno! Nie twoja wina! I to wiedz, że jeśli kto usieczon, to nie Michał!

— Mnie i tamtego żal! Pięknieśmy mu zapłacili za gościnność, nie ma co mówić. Boże! Boże!

— Prawda by była! — dorzucił pan Makowiecki.

— Dajcie, do licha, spokój! Ketling pewnie już tam bliżej Prus niż Warszawy. Przecieżeście słyszeli, że wyjechał. Mam też w Bogu nadzieję, że choćby się i spotkali z Wołodyjowskim, wspomną na starą przyjaźń, na odbywane razem służby. Toż oni strzemię w strzemię jeździli, sypiali na jednej kulbace, razem chodzili na podjazdy, w

jednej krwi maczali ręce. W całym wojsku amicycja ich tak była sławna, że Ketlinga z uwagi na jego gładkość nazywali żoną Wołodyjowskiego. Niepodobieństwo, żeby im to na myśl nie przyszło, gdy się ujrzą!

— Czasem to jednak i tak bywa — rzekł roztropny stolnik — że właśnie największa przyjaźń w największą zawziętość się przeradza. Tak w moich stronach pan Deyma usiekł pana Ubysza, z którym dwadzieścia lat w największej żył konkordii. Mogę waszmości szczegółowie ten nieszczęśliwy przypadek opowiedzieć.

— Żeby myśl była swobodniejsza, chętnie bym posłuchał, tak samo jak rad słucham jejmości dobrodziejki, waszmościnej małżonki, która także ma zwyczaj dokumentnie opowiadać, nie odkładając genealogii na stronę; ale mi to w głowie utkwiło, co waść o przyjaźni i zawziętości rzekł. Niech Bóg broni, niech Bóg broni, by i teraz tak być miało!

Stolnik na to:

— Jeden zwał się pan Deyma, drugi pan Ubysz! Obaj godni ludzie i komilitoni…

— Oj, oj, oj! — rzekł ponuro pan Zagłoba. — Ufajmy w miłosierdziu bożym, że teraz tak nie będzie, ale jeśli się zdarzy, to w takim razie Ketling trup!

— Nieszczęście! — rzekł po chwili milczenia stolnik. — Tak! Tak! Deyma i Ubysz! Jak dziś pamiętam! A szło także o białogłowę.

— Wiecznie te białogłowy! Pierwsza lepsza kawka takiego ci piwa nawarzy, że kto wypije, temu po nim będzie niestrawno — mruknął Zagłoba.

— Waćpan na Krzysię nie napadaj! — zawołała nagle Basia.

Na to Zagłoba:

— Bogdaj się był Michał w tobie zakochał, nie byłoby tego wszystkiego…

Tak rozmawiając dojechali do domu. Serca zabiły im na widok światła w oknach, bo pomyśleli, że może Wołodyjowski już wrócił.

Tymczasem przyjęła ich sama pani stolnikowa niespokojna bardzo i stroskana. Dowiedziawszy się, że wszelkie poszukiwania na nic się nie przydały, zalała się rzewnymi łzami i poczęła wyrzekać, że brata już więcej nie obaczy; Basia zawtórowała jej zaraz w lamentach, również Zagłoba nie mógł sobie dać rady ze strapienia.

— Pojadę jeszcze jutro do dnia, ale sam — rzekł — może się czegoś o nich dowiem.

— Będziem szukać lepiej we dwóch — wtrącił stolnik.

— Nie! Waszmość zostań przy niewiastach. Jeśli Ketling żyw, dam wam znać.

— Dla Boga! Toż my w domu tego człowieka mieszkamy! — rzekł znów stolnik. — Jutro trzeba będzie jakąkolwiek gospodę znaleźć, a niechby i namioty w polu rozbić, byle tu dłużej nie mieszkać!

— Czekajcie wieści ode mnie, bo się znów pogubimy! — rzekł Zagłoba. — Jeśli Ketling usieczon…

— Ciszej waść mów, na rany boskie! — zawołała stolnikowa — bo służba co usłyszy i jeszcze Krzysi doniesie, a ona i tak ledwie żywa.

— Pójdę do niej — rzekła Basia.

I skoczyła na górę. Tamci zostali w trosce i bojaźni. Nikt nie spał w całym domu. Myśl, że Ketling może już jest trupem, strachem napełniała ich serca. W dodatku noc uczyniła się duszna, ciemna, grzmoty poczęły huczeć i przewalać się po niebie, a później jaskrawe błyskawice rozdzierały co chwila ciemność. O północy pierwsza tej wiosny burza rozszalała się nad ziemią. Pobudziła się nawet służba.

Krzysia i Basia zeszły z panieńskiej izby do jadalnej komnaty. Tam całe towarzystwo poczęło odprawiać modlitwy i potem siedziało w milczeniu, powtarzając chórem, wedle zwyczaju, za każdym uderzeniem pioruna: „A słowo stało się ciałem!”

W poświstach wichru słychać było czasami coś jakby tętent, a wówczas zgroza i przestrach podnosiły włosy na głowie Basi, stolnikowej i obu starszych mężów, bo im się zdawało, że lada chwila drzwi się otworzą i wejdzie Wołodyjowski umazany w krwi Ketlingowej.

Łagodny zwykle i zacny pan Michał pierwszy raz w życiu zaciężył jak kamień na sercach ludzkich tak, że sama myśl o nim napełniała je przerażeniem.

Noc jednak zeszła bez wieści o małym rycerzu. Świtaniem, gdy burza uspokoiła się nieco, pan Zagłoba ruszył po raz drugi do miasta.

Cały ten dzień był dniem cięższego jeszcze niepokoju. Basia aż do wieczora przesiadywała w oknie lub przed bramą, spoglądając na drogę, którą pan Zagłoba mógł nadjechać.

Tymczasem czeladź z rozkazu pana stolnika pakowała z wolna łuby do drogi.

Krzysia zajęta była pilnowaniem owej roboty, gdyż tym sposobem mogła się trzymać opodal obojga państwa Makowieckich i pana Zagłoby.

Jakkolwiek bowiem pani stolnikowa nie wspomniała przy niej dotąd ani jednym słowem o bracie, jednakże samo to milczenie przekonywało Krzysię, że i miłość pana Michała dla niej, i dawniejsze tajemne ich układy, i świeża jej odmowa na jaw wyszły. A wobec tego trudno było przypuszczać, aby ci ludzie, Wołodyjowskiemu najbliżsi, nie mieli do niej żalu i urazy. Biedna Krzysia czuła, że tak być musi, że tak jest, że odsunęły się od niej te kochające dotychczas serca, więc i sama wolała cierpieć na uboczu.

Pod wieczór łuby były gotowe, tak że od biedy można było tegoż samego dnia wyruszyć. Ale pan Makowiecki czekał jeszcze wieści od Zagłoby. Podano wreszcie wieczerzę, której nikt jeść nie chciał, i wieczór począł się wlec ciężko, nieznośnie, a tak głucho, jak gdyby wszyscy nasłuchiwali, co zegar szepce.

— Przejdźmy do bawialni — rzekł wreszcie stolnik. — Niepodobna już tu wytrzymać. Przeszli i siedli, ale nim zdołał ktokolwiek pierwsze słowo przemówić, za oknem poczęły się odzywać psy.

— Jedzie ktoś! — zawołała Basia.

— Psy naszczekują jak na swego! — zauważyła pani stolnikowa.

— Cicho no! — rzekł stolnik. — Słychać turkot!...

— Cicho! — powtórzyła Basia. — Tak, słychać coraz lepiej... to pan Zagłoba.

Basia i stolnik porwali się na równe nogi i wybiegli; stolnikowej poczęło bić serce, ale została z Krzysią, aby zbytnim pośpiechem nie zdradzić, że pan Zagłoba jakieś zbyt ważne nowiny przywozi.

Tymczasem turkot rozległ się tuż pod oknami, a potem ustał nagle.

Jakieś głosy dały się słyszeć w sieni i po chwili do komnaty wpadła jak huragan Basia z tak zmienioną twarzą, jak gdyby ujrzała widmo.

— Basiu, co to? Kto to? — spytała z przerażeniem pani Makowiecka.

Lecz nim Basia zdążyła złapać oddech i odpowiedzieć, drzwi otwarły się i weszli przez nie naprzód stolnik, potem Wołodyjowski, na koniec Ketling.

Rozdział XX

Ketling był tak zmieszany, że ledwie zdołał skłonić się nisko paniom, po czym stanął nieruchomie, z kapeluszem przy piersiach, z przymkniętymi oczyma, podobny do cudownego obrazu; Wołodyjowski zaś uścisnął po drodze siostrę i zbliżył się do Krzysi.

Twarz dziewczyny była biała jak płótno, aż lekki meszek nad jej ustami wydał się ciemniejszy niż zwykle; pierś jej wznosiła się i opadała gwałtownie, lecz Wołodyjowski wziął łagodnie jej rękę i do ust przycisnął; po czym ruszał czas jakiś wąsikami, jakby zbierając myśli, na koniec ozwał się z wielkim smutkiem, ale i z wielkim spokojem:

— Moja mościa panno albo lepiej: moja Krzysiu kochana! Wysłuchaj mnie bez trwogi, bom też nie jakowyś Scyta ani Tatarzyn, ani dzik, jeno przyjaciel, który chociaż sam nie bardzo szczęśliwy, przecie twojego szczęścia pragnie. Już się wszystko wydało, że wy się z Ketlingiem miłujecie. Panna Basia mi to w gniewie słusznym w oczy rzuciła,

ja się zaś nie wypieram, żem wypadł z tego domu w furii i leciałem szukać pomsty nad Ketlingiem... Kto wszystko utraci, tym łatwie zemsta targnie, a ja, jak mi Bóg miły, tak cię okrutnie kochałem i nie tylko jako kawaler pannę... Bo gdybym już był żonaty i gdyby mnie Pan Bóg chłopyszka jedynego dał albo dziewczynę, a potem zabrał, to bym też ich tak może nie żałował, jakom ciebie żałował...

Tu zbrakło na chwilę głosu panu Michałowi, ale wnet się pohamował i ruszywszy kilkakroć wąsikami, tak dalej mówił:

— No, żal żalem, a rady nie ma. Że cię Ketling pokochał, nie dziwota! Kto by cię nie pokochał?! A żeś ty jego pokochała, to taki już mój los, ale dziwić się także nie ma czemu, bo gdzie mnie tam do Ketlinga! W polu, niech on sam powie, przeciem nie gorszy; wszelako to co innego, a to co innego!... Pan Bóg jednego ozdobił, drugiemu ujął, ale zastanowieniem nagrodził. Tak i mnie, jak tylko wiatr w drodze obwiał, a pierwsza furia minęła, zaraz sumienie rzekło: za co ich będziesz karał? Za co rozlejesz tę krew przyjacielską? Pokochali się, to wola boska. Najstarsi ludzie mówią, że przeciw sercu i hetmański rozkaz na nic. Wola boska, że się pokochali, ale że nie zdradzili, to ich poczciwość... Żeby choć Ketling był wiedział, żeś mi przyrzekła, może bym mu zakrzyknął: „gas!" — ale on i tego nie wiedział. Co winien? — Nic! A ty coś winna? — Nic! On chciał wyjechać, tyś chciała do Boga... Dola moja winna, nikt więcej, bo to już widać palec boży w tym, bym ja w sieroctwie pozostał... No, zmogłem się! Zmogłem!...

Pan Michał znów urwał i począł oddychać szybko jak człek, co po długim nurkowaniu z wody na powietrze wychynął, po czym wziął Krzysi rękę.

— Tak miłować — rzekł — żeby dla siebie wszystkiego chcieć, nie sztuka. Trojgu nam się serce rozdziera — pomyślałem — niechże lepiej jedno przycierpi, a tamtym pociechę sprawi. Daj ci Boże, Krzysiu, szczęście z Ketlingiem... Amen... daj ci Boże, Krzysiu, szczęście z Ketlingiem!... Mnie trocha boli, ale to nic... Daj ci Boże... Dalibóg, to nic!... Zmogłem się!...

Mówił żołnierzysko: „nic!", a przecie aż zęby ścisnął i syczeć począł, a z drugiego końca izby ozwało się wycie Basi.

— Ketling, bywaj bracie! — krzyknął Wołodyjowski.

Ketling zbliżył się, klęknął, otworzył ręce i w milczeniu, w największej czci i miłości objął kolana Krzysi.

A Wołodyjowski począł mówić przerywanym głosem:

— Ściśnij mu głowę! Nacierpiało się chłopisko też... Boże wam błogosław!... Nie pójdziesz do klasztoru... Wolę, że mnie będziecie błogosławić, niż żebyście mieli przeklinać... Pan Bóg nade mną, choć mi teraz ciężko...

Basia, nie mogąc wytrzymać dłużej, wypadła z izby, co spostrzegłszy pan Wołodyjowski zwrócił się do stolnika i siostry:

— Idźcie do drugiej izby — rzekł — a ich ostawcie... Ja sobie też pójdę gdzie indziej, bo trocha sobie przyklęknę i panu Jezusowi się polecę...

I wyszedł.

W pół korytarzyka spotkał przy schodach Basię, w tym samym miejscu, w którym uniesiona gniewem, zdradziła tajemnicę Krzysi i Ketlinga. Ale teraz Basia stała oparta o mur zanosząc się od płaczu.

Rozczulił się na ten widok pan Michał nad własnym losem; wstrzymywał się dotąd, jak mógł, ale w tej chwili pękły tamy żalu i łzy potokiem popłynęły mu z oczu.

— Czego waćpanna płaczesz? — zawołał żałośnie.

Basia podniosła główkę i wtykając jak dziecko to jedną, to drugą piąstkę w oczy, zanosząc się i chwytając w otwarte usta powietrze odpowiedziała mu ze łkaniem:

— Tak mi żal!... O, dla Boga! O Jezu!... Pan Michał taki zacny, taki poczciwy!... O, dla Boga!...

Wówczas on schwycił jej ręce i począł całować z wdzięczności i rozrzewnienia.

— Bóg ci zapłać! Bóg ci zapłać za serce! — rzekł. — Cicho, nie płacz!

Lecz Basia tym bardziej poczęła łkać i zanosić się. Każda żyłka trzęsła się w niej z żalu, ustami poczęła chwytać coraz spieszniej powietrze, na koniec, tupiąc nóżkami z uniesienia, jęła wołać tak głośno, aż rozlegało się po całym korytarzu:

— Głupia Krzysia! Ja bym wolała jednego pana Michała niż dziesięciu Ketlingów! Ja pana Michała kocham z całej siły... lepiej niż ciotkę, lepiej... niż wujka... lepiej niż Krzysię!...

— Dla Boga! Basiu! — zawołał mały rycerz.

I chcąc pohamować jej uniesienie chwycił ją w objęcia, a ona przytuliła się z całej siły do jego piersi, tak że uczuł jej serce bijące jak w zmęczonym ptaku, więc objął ją jeszcze krzepciej i tak trwali.

Nastało długie milczenie.

— Basiu! Zechceszże ty mnie? — ozwał się mały rycerz.

— Tak! Tak! Tak! — odpowiedziała Basia.

Na tę odpowiedź i jego z kolei chwyciło uniesienie, przycisnął usta do jej różanych dziewiczych ustek i znów tak trwali.

Tymczasem zaturkotała bryczka i pan Zagłoba wpadł do sieni, następnie do jadalnej izby, w której siedzieli stolnik z żoną.

— Nie ma Michała! — krzyknął jednym tchem. — Szukałem wszędzie! Pan Krzycki mówił, że widział ich z Ketlingiem! Pewno się bili!

— Michał jest — odpowiedziała pani stolnikowa — przywiózł Ketlinga i oddał mu Krzysię!

Słup soli, w który żona Lota została zamieniona, pewnie mniej osłupiałą miał minę niż w tej chwili pan Zagłoba. Czas jakiś trwało zupełne milczenie, po czym stary szlachcic przetarł oczy i spytał:

— Hę?

— Krzysia z Ketlingiem tu obok siedzą, a Michał poszedł się modlić — odrzekł stolnik.

Pan Zagłoba wszedł bez chwili wahania się do izby i choć już wiedział o wszystkim, zdumiał się powtórnie, widząc Ketlinga i Krzysię siedzących czołem w czoło. Oni zerwali się, zmieszani bardzo i nie umiejący słowa przemówić, zwłaszcza że za panem Zagłobą weszli i stolnikostwo.

— Życia nie starczy na wdzięczność Michałowi! — rzekł wreszcie Ketling. — Jego to dzieło szczęście nasze!

— Szczęść wam Boże! —— rzekł stolnik. — Michałowi nie będziem się przeciwić!

Krzysia osunęła się w objęcia pani stolnikowej i poczęły płakać obie. Pan Zagłoba był jakby ogłuszony. Ketling pochylił się do kolan stolnikowych jak syn do ojcowskich, ów zaś podniósł go i — widać z nawału myśli albo z konfuzji — rzekł:

— A pana Ubysza pan Deyma usiekł! Michałowi dziękuj, nie mnie!

Po chwili zaś spytał:

— Żono, jak to było owej białogłowie na przezwisko?

Lecz pani stolnikowa nie miała czasu na odpowiedź, bo w tej chwili wbiegła Basia, bardziej zadyszana niż zwykle, bardziej różowa niż zwykle, z czupryną opadniętą na oczy bardziej niż zwykle, przyskoczyła do Ketlinga i Krzysi i podsuwając palec to jednemu, to drugiemu do oczu, poczęła wołać:

— Aha! Dobrze! Wzdychajcie, kochajcie się! Żeńcie! Myślicie, że pan Michał sam zostanie na świecie?! Otóż nie, bo ja się za niego machnę, bo go kocham i sama mu to powiedziałam. Pierwsza mu to powiedziałam, a on spytał, czy go chcę, a ja mu

powiedziałam, że go wolę od dziesięciu innych, bo go kocham i będę najlepszą żoną, i nie odstąpię go nigdy, i będziem razem wojowali. Ja go z dawna kochałam, chociażem nie mówiła nic, bo on najzacniejszy i najlepszy, i kochany... A teraz się sobie żeńcie, a ja się za pana Michała machnę choćby jutro... bo...

Tu zbrakło tchu Basi.

Spoglądali na nią wszyscy nie rozumiejąc, czy oszalała, czy też prawdę mówi; następnie zaczęli spoglądać na siebie, a wtem we drzwiach ukazał się za Basią Wołodyjowski.

— Michale! — spytał stolnik, gdy przytomność głos mu wróciła — Zali to prawda, co my słyszym?

Na to mały rycerz z powagą wielką:

— Bóg cud uczynił i to jest moja pociecha, moje kochanie, mój skarb największy!

Po tych słowach skoczyła znów Basia ku niemu jak sarna.

Tymczasem maska zdumienia opadła z twarzy pana Zagłoby, a natomiast biała broda poczęła mu się trząść, otworzył szeroko ramiona i rzekł:

— Dalibóg, ryknę!... Hajduczku, Michale, pójdźcie tu!...

Rozdział XXI

On ją kochał okrutnie, a ona jego, i dobrze im było razem, tylko chociaż czwarty rok już żyli ze sobą — dzieci nie mieli. Natomiast gospodarowali zawzięcie. Wołodyjowski zakupił za swoje i Basine sumy kilka wiosek w pobliżu Kamieńca, za które tanio zapłacił, bo już się byli płochliwsi ludzie pod strachem nawały tureckiej radzi w tamtych stronach wyprzedawali. W tych majętnościach ład i rygor żołnierski wprowadzał, niespokojną ludność w kluby brał, popalone chaty wznosił, „fortalicje", to jest dwory obronne, fundował, w których tymczasową załogą żołnierstwo stawało, słowem: jak dawniej dzielnie kraju bronił, tak teraz dzielnie gospodarzyć począł, szabli zresztą z ręki nie wypuszczając.

Sława jego imienia najlepszą była jego majętności ochroną. Z niektórymi murzami wodę na szablę lał i pobratymstwo zawarł. Innych bijał. Kupy swawolne kozackie, luźne watahy ordyńskie, rozbójnicy ze stepów i opryszkowie z odajów besarabskich drżeli na wspomnienie „Małego Sokoła" — więc stada jego koni i owiec, jego bawoły i wielbłądy chodziły bezpiecznie po stepie. Nawet sąsiadów jego szanowano. Mienie jego przy pomocy dzielnej niewiasty rosło. Otoczyła go cześć i miłość ludzka. Ziemia rodzinna

przyozdobiła go urzędem, hetman go kochał, basza chocimski ustami nad nim cmokał, w dalekim Krymie, w Bachczysaraju, powtarzano ze czcią jego imię.

Gospodarka, wojna i miłość — oto były trzy prządki jego żywota.

Znojne lato roku 1671 zastało państwa Wołodyjowskich w dziedzicznej Basinej wsi Sokole. Sokół ów był perłą między ich majętnościami. Podejmowali tam oni huczno i dworno pana Zagłobę, któren na trudy podróży ni na wiek swój niezwykły nie bacząc, przybył do nich w odwiedziny, spełniając solenne przyrzeczenie na ślubie państwa Wołodyjowskich dane.

Wszelako szumne gody i radość z drogiego gościa gospodarzy wkrótce zostały zerwane rozkazem hetmańskim nakazującym Wołodyjowskiemu objąć komendę w Chreptiowie, tamże nad granicą mołdawską czuwać, głosów od strony pustyni nasłuchiwać, stróżować, luźnym czambułom zabiegać i okolicę z hajdamaków oczyścić.

Mały rycerz, jako żołnierz do posług Rzeczypospolitej zawsze chętny, wnet nakazał, aby czeladź ściągnęła stada z ługów, wywiuczyła wielbłądy i sama w zbrojnym pogotowiu stanęła.

Rozdzierało się wszelako jego serce na myśl rozstania się z żoną, bo ją tak kochał, i miłością męża, i ojca, że prawie dychać bez niej nie mógł, a brać ją w dzikie i głuche puszcze uszyckie i na niebezpieczeństwa przeróżne narażać — nie chciał.

Lecz ona upierała się z nim jechać.

— Pomyśl — mówiła — jeżeli bezpieczniej będzie mi tu pozostać niźli tam, pod osłoną wojska, przy tobie zamieszkać? Nie chcę ja innego dachu, jako twój namiot, bom po to za ciebie poszła, by się z tobą i niewczasem, i trudem, i niebezpieczeństwy podzielić. Tu by mnie niepokój zgryzł, a tam, przy takim żołnierzu, będę się czuła bezpieczniejsza niżeli królowa w Warszawie; trzeba zaś będzie z tobą w pole wyruszyć, to wyruszę. Snu tu nie zaznam bez ciebie, jadła do gęby nie wezmę, a w końcu nie wytrzymam, lecz i tak do Chreptiowa polecę, a nie każesz mnie puszczać, to będę u bram nocować i póty cię prosić, póty płakać, aż się zlitujesz.

Widząc Wołodyjowski taki afekt, chwycił żonę w ramiona i chciwie pocałunkami różową twarz jej okładać począł, ona zaś oddawała mu wet za wet.

— Jaż bym się nie wzdragał — rzekł wreszcie — gdyby o proste stróżowanie i podchody przeciw ordyńcom chodziło. Ludzi istotnie będzie dość, bo pójdzie ze mną chorągiew generała podolskiego, a druga pana podkomorzyńska, prócz tego zaś Motowidło z semenami i dragani Linkhauzowi. Będzie ze sześćset żołnierzy, a z ciurami do tysiąca. Tego się wszelako obawiam, czemu gębacze sejmowi w Warszawie wierzyć

nie chcą, a czego my, kresowi, lada godzina się spodziewamy: oto wielkiej wojny z całą potencją turecką. To i pan Myśliszewski potwierdził, i basza chocimski co dzień powtarza, i hetman w to wierzy, że sułtan Doroszeńki bez pomocy nie ostawi, jeno wielką wojnę Rzeczypospolitej wypowie, a wtedy co ja z tobą zrobię, mój kwiatuszku najmilejszy, moje praemium z ręki boskiej dane?

— Co się stanie z tobą, to się stanie i ze mną. Nie chcę innego losu, jeno takiego, który tobie przypadnie...

Tu pan Zagłoba przerwał milczenie i zwróciwszy się do Basi rzekł:

— Jeśli was Turczyni pojmają, to czy chcesz, czy nie chcesz, twój los będzie zgoła inszy jak Michałowy. Ha! Po Kozakach, Szwedach, septentrionach i brandeburskiej psiarni — Turczyn! Mówiłem księdzu Olszowskiemu: „Doroszeńki do desperacji nie przywódźcie, bo on jeno z musu do Turczyna się nakłonił". No, i co? — nie posłuchali! Haneńkę przeciw Doroszowi wystawili, a teraz Dorosz, chce czy nie chce, musi w gardło Turczynowi leźć i na nas w dodatku go prowadzić. Pamiętasz, Michale, że przy tobie księdza Olszowskiego ostrzegałem?

— Musiałeś go waćpan ostrzegać kiedy indziej, bo sobie nie przypominam, żeby to było przy mnie — odrzekł mały rycerz. — Ale co mówisz o Doroszeńce, to święta prawda, gdyż i pan hetman tegoż samego jest mniemania, a nawet powiadają, że ma listy od Dorosza w tymże właśnie sensie pisane. Jak tam zresztą jest, tak jest — dość, że teraz już za późno na układy. Wszelako waćpan masz tak bystry rozum, że chętnie jego zdania zasięgnę: mamli brać Baśkę do Chreptiowa czy też lepiej ją tu zostawić? Muszę jeno to dodać, że pustynia to okrutna. Wioszczyna zawsze była licha, a od dwudziestu lat tyle razy przeszły przez nią watahy kozackie i czambuły, że nie wiem, czy dwie belki zbite do kupy znajdę. Siła tam jarów puszczą porosłych, schowek, pieczar głębokich i różnych ukrytych miejsc, w których zbójcy setkami się chowają, nie mówiąc o tych, którzy z Wołoszy przychodzą.

— Zbójcy przy takiej sile to furda — odrzekł Zagłoba — czambuły także furda, bo jeśli nadciągną potężne, to będzie o nich głośno, a jeśli mniejsze, to wygnieciesz.

— A co! — zawołała Basia — a czy nie furda! Zbójcy furda! Czambuły furda! Z taką siłą Michał mnie przed całą potęgą krymską obroni!

— Nie przeszkadzaj mi w deliberacji — odrzekł pan Zagłoba — bo przeciw tobie rozsądzę.

Basia położyła prędko obie dłonie na usta i główkę wtuliła w ramionka udając, że się okrutnie pana Zagłoby boi — a on, choć widział, że kobiecinka żartuje, przecie mu to pochlebiło, więc położył zgrzybiałą rękę na jasnej głowie Basinej i rzekł:

— No, nie bój się, pociechę ci sprawię!

Basia zaraz ucałowała go w rękę, bo naprawdę dużo od jego rad zależało, które były tak niemylne, że nikt się na nich nigdy nie zawiódł; on zaś założył obie ręce za pas i spoglądając bystrze zdrowym okiem to na jedno, to na drugie, rzekł nagle:

— A potomstwa jak nie ma, tak nie ma! — Co?

Tu wysunął naprzód dolną wargę.

— Boża wola, nic więcej! — odrzekł wznosząc oczy Wołodyjowski.

— Boża wola, nic więcej! — odrzekła spuszczając oczy Basia.

— A chcielibyście mieć? — spytał Zagłoba.

Na to mały rycerz:

— Powiem waści szczerze: nie wiem, co bym za to dał, ale czasem myślę, że to próżne wzdychanie. I tak zesłał mi Pan Jezus taką szczęśliwość dając mi tego oto kociaka, czyli, jak ją waćpan zwałeś: hajduczka, że gdy przy tym jeszcze i na sławie, i na substancji pobłogosławił, nie śmiem go o nic więcej molestować. Bo widzisz waść, nieraz przychodziło mi to do głowy, że gdyby wszystkie ludzkie życzenia spełniać się miały, nie byłoby żadnej różnicy między tą ziemską Rzecząpospolitą a niebieską, która sama jedna zupełną szczęśliwość dać może. Tak sobie tedy tuszę, że jeśli się tu jednego albo dwóch chłopaków nie doczekam, tedy mnie tam nie miną i po staremu pod niebieskim hetmanem, świętym Michałem archaniołem, będą służyli, i sławą się na wyprawach przeciw paskudztwu piekielnemu okryją, i do szarży zacnych dojdą.

Tu rozczulił się własnymi słowy i tą myślą pobożny chrześcijański rycerz i znowu oczy wzniósł do nieba, ale pan Zagłoba słuchał obojętnie i nie przestał mrugać surowo, wreszcie odrzekł:

— Bacz, żebyś nie pobluźnił. Bo że ty sobie pochlebiasz, iż tak dobrze zamiary Opatrzności odgadujesz, to może być grzech, za który poprażyć się jakowyś czas musisz, jako groch na gorącym trzonie. Pan Bóg szersze ma rękawy niż ksiądz biskup krakowski, ale nie lubi, żeby mu w nie zaglądano, co tam dla ludzisków nagotował, i uczyni, co zechce, a ty patrz tego, co do ciebie należy; jeżeli tedy chcecie mieć potomstwo, to zamiast się rozłączać powinniście się kupy trzymać.

Usłyszawszy to Basia wyskoczyła z radości na środek pokoju i skacząc jak pauper, a klaszcząc w ręce, poczęła powtarzać:

— A co! Kupy się trzymajmy! Wraz odgadłam, że jegomość stanie po mojej stronie! wraz odgadłam! Jedziemy do Chreptiowa, Michale! Choć raz mię weźmiesz na Tatary! Jedyny razik! Mój drogi! Mój złoty!

— Maszże ją waćpan! Już jej się na podchody zachciewa! — zawołał mały rycerz.

— Bo przy tobie nie ulękłabym się choćby całej ordy!...

— Silentium! — rzekł Zagłoba wodząc rozmiłowanymi oczyma, a raczej rozmiłowanym okiem za Basią, którą lubił niezmiernie.

— Dufam, że przecie Chreptiów, do którego wreszcie nie tak daleko, nie będzie ostatnią stanicą od Dzikich Pól.

— Nie! Komendy będą dalej stały, w Mohilowie, Jampolu, a ostatnia ma być w Raszkowie — odrzekł mały rycerz.

— W Raszkowie? Toż my Raszków znamy. Stamtąd my Halszkę Skrzetuską wywozili, z onego waładynieckiego jaru, pamiętasz, Michale? Pamiętasz, jakom owo monstrum zaciukał, Czeremisa czy diabła, który jej pilnował. Ale skoro ostatnie praesidium stanie aż w Raszkowie, tedy jeśli się Krym ruszy albo cała potencja turecka, to oni tam wprędce wiedzieć będą i wcześnie do Chreptiowa znać dadzą, zatem i nieprzezpieczeństwa wielkiego nie ma, bo Chreptiów nie może być nagle ubieżon. Dalibóg, nie wiem, dlaczego by Baśka nie miała tam z tobą zamieszkać? Szczerze to mówię, a przecie wiesz, że wolałbym sam starym łbem nałożyć, niźli ją na jakowyś szwank wystawić. Bierz ją! Będzie wam obojgu na zdrowie. Baśka jeno musi przyrzec, że w razie wielkiej wojny pozwoli się bez oporu choćby do Warszawy odesłać, bo wówczas nastaną pochody okrutne, bitwy zawzięte, oblężenia taborów, może i głody, jako pod Zbarażem, a w takich potrzebach mężowi trudno głowę ochronić, a cóż dopiero niewieście.

— Rada bym ja choćby polec przy Michałowym boku — odparła Basia — ale przecie rozum mam i wiem, że jak nie można, to nie można. Zresztą Michałowa wola, nie moja. Przecie on w tym już roku pod panem Sobieskim na wyprawę chodził, a napierałam się z nim jechać? Nie. Dobrze! Byle mi teraz nie było wzbronno do Chreptiowa z Michałem iść, to w razie wielkiej wojny odeślecie mnie waćpanowie, gdzie wam się podoba.

— Jegomość pan Zagłoba cię odprowadzi aż na Podlasie do Skrzetuskich — rzekł mały rycerz — tam przecie Turczyn nie dojdzie!

— Pan Zagłoba! Pan Zagłoba! — odparł przedrzeźniając stary szlachcic. — Czy to ja wojski? Nie powierzajcie no tak żon panu Zagłobie, dufając, że stary, bo się może zgoła co innego pokazać. Po wtóre: czy to myślisz, że w razie wojny z Turczynem będę się już

za podlaski piec chował i na pieczywo spoglądał, żeby się zaś nie przepaliło? Jeszczem nie kosztur i mogę się do czego innego przydać. Po stołku na konia już siadam — assentior! Ale gdy raz siądę, tak dobrze na nieprzyjaciela skoczę jak każdy młodzik! Jeszczeć się ni piasek, ni trociny, chwalić Boga, ze mnie nie sypią. Na proceder z Tatary już nie wyjdę, w Dzikich Polach wietrzył nie będę, bom też i nie gończy, natomiast w generalnym ataku trzymaj się przy mnie, jeśli potrafisz, a pięknych rzeczy się napatrzysz.

— Chciałżebyś waść jeszcze w pole wyruszyć?

— Zali myślisz, że nie zechcę sławną śmiercią sławnego żywota zapieczętować po tylu latach służby? A co mi się godniejszego zdarzyć może? Znałeś pana Dziewiątkiewicza? Ten, prawda, że nie wyglądał więcej jak na sto czterdzieści lat, ale miał sto czterdzieści dwa i jeszcze służył.

— Tyle nie miał.

— Miał! Żebym się z tego zydla nie ruszył! Na wielką wojnę idę, i kwita! A teraz do Chreptiowa z wami jadę, bo się w Baśce kocham!

Baśka skoczyła rozpromieniona i poczęła ściskać pana Zagłobę, on zaś coraz to podnosił w górę głowę powtarzając:

— Mocniej! Mocniej!

Wszelako Wołodyjowski rozważał jeszcze wszystko czas jakiś i wreszcie rzekł:

— Niepodobieństwo to jest, abyśmy mieli zaraz wszyscy jechać, boć tam szczera pustynia i dachu kawałka nad głową nie znajdziem. Pojadę ja naprzód, miejsce na majdan opatrzę, fortalicję grzeczną zbuduję i domy dla żołnierzy, a też szopy dla koni towarzystwa, które, jako zacniejsze, od zmienności aury zmarnieć by mogły; też studnie pokopię, drogę przetrę, jary z hultajstwa rozbójniczego jako tako oczyszczę; dopieroż wam tu eskortę przystojną przyślę i przyjedziecie. Choć ze trzy niedziele musicie tu poczekać.

Basia chciała protestować, ale pan Zagłoba uznawszy słuszność słów Wołodyjowskiego rzekł:

— Co mądrze, to mądrze! Baśka, my sobie tu w kupie na gospodarstwie ostaniem i nie będzie się nam źle działo. Trzeba też i zapasik jaki taki przygotować, bo i tego pewnie nie wiecie, że miody a wina nigdzie się tak dobrze jako w pieczarach nie konserwują...

Rozdział XXII

Wołodyjowski słowa dotrzymał; we trzy tygodnie z budynkami się uładził i eskortę znamienitą przysłał: stu Lipków z chorągwi pana Lanckorońskiego i stu Linkhauzowych draganów, których przyprowadził pan Snitko, herbu Miesiąc Zatajony. Lipkom przewodził setnik Azja Mellechowicz, który się z Tatarów litewskich wyprowadzał, człek bardzo młody, bo ledwie dwadzieścia kilka lat wieku liczący. Ten przywiózł list od małego rycerza, który pisał do żony, co następuje:

„Sercem ukochana Baśko! Jużże przyjeżdżaj, bo bez ciebie jako bez chleba i jeśli do tego czasu nie uschnę, to ci on różany pysio ze szczętem zacałuję. Ludzi przysyłam nieskąpo i oficyjerów doświadczonych, ale prym we wszystkim oddawajcie panu Snitce i do kompanii go przypuszczajcie, bo to jest bene natus i posesjonat, i towarzysz; a Mellechowicz dobry żołnierz, ale Bóg wie kto. Który by też w żadnej innej chorągwi, jak u Lipków, oficyjerem nie mógł zostać, bo łatwie by każdemu przyszło imparitatem mu zadać. Ściskam cię z całej mocy, rączuchny i nożyny ci całuję. Fortalicję wzniosłem z okrąglaków setną; kominy okrutne. Dla nas kilka izb w osobnym domie. Żywicą wszędy pachnie i świerszczów siła nalazło, które jak wieczorem poczną grać, to aż psi się ze snu zrywają. Żeby trochę grochowin, prędko by się ich można pozbyć, ale chyba ty każesz nimi wozy wymościć. Szyb znikąd; mecherami okna zasłaniamy; natomiast pan Białogłowski ma w swojej komendzie, między draganami, szklarza. Szkła możesz w Kamieńcu u Ormian dostać, jeno, na Boga, ostrożnie wieźć, żeby się nie potłukło. Komnatkę twoją kazałem kilimkami obić i zacnie się prezentuje. Zbójów, cośmy ich w jarach uszyckich przyłapili, kazałem już dziewiętnastu powiesić, a nim przyjedziesz, do pół kopy dociągnę. Pan Snitko opowie ci, jak tu żyjemy. Bogu i Najświętszej Pannie cię polecam, duszo ty moja myłeńkaja”.

Basia po przeczytaniu listu oddała go panu Zagłobie, który przejrzawszy pismo, zaraz począł panu Snitce większe honory czynić, nie tak wielkie jednak, aby ów nie miał się spostrzec, iż ze znamienitszym wojownikiem i większym personatem rozmawia, który przez łaskawość tylko do poufałości go przypuszcza. Zresztą pan Snitko był to żołnierz dobroduszny, wesół, a służbista wielki, bo mu wiek życia w szeregach upłynął. Dla Wołodyjowskiego miał cześć wielką, a wobec sławy pana Zagłoby czuł się małym i nie myślał się nadstawiać.

Mellechowicza przy czytaniu listu nie było, gdyż oddawszy go wyszedł zaraz niby na ludzi spojrzeć, a w gruncie rzeczy z obawy, by mu do czeladnej odejść nie kazano.

Zagłoba miał jednak czas przypatrzyć mu się i mając świeżo w głowie słowa Wołodyjowskiego, rzekł do Snitki:

— Radziśmy waćpanu! Proszę!... Pan Snitko... znałem!... Znałem!... Herbu Miesiąc Zatajony! Proszę! Godny klejnot... Ale ten Tatar, jakże mu tam na przezwisko?

— Mellechowicz.

— Ale ten Mellechowicz wilkiem jakoś patrzy. Pisze Michał, że to człek niepewnego pochodzenia, co i dziwna, bo wszyscy nasi Tatarzy szlachta, choć bisurmanie. Na Litwie widziałem całe wsie przez nich zamieszkałe. Tam ich zowią Lipkami, a tutejsi Czeremisów noszą miano. Długi czas wiernie służyli Rzeczypospolitej, za chleb się jej wywdzięczając, ale już za czasów inkursji chłopskiej wielu ich do Chmielnickiego poszło, a teraz, słyszę, poczynają się z ordą obwąchiwać... Ten Mellechowicz wilkiem patrzy... Dawnoż pan Wołodyjowski jego zna?

— Z czasów ostatniej wyprawy — odrzekł pan Snitko zasuwając nogi pod stołek — gdyśmy z panem Sobieskim, przeciw Doroszeńce i ordzie czyniąc, Ukrainę przejechali.

— Z czasów ostatniej wyprawy! Nie mogłem w niej udziału brać, bo mi pan Sobieski inną funkcją powierzył, choć później tęskno mu beze mnie było... A waszmości klejnot Miesiąc Zatajony? Proszę!... Skądże on jest, ten Mellechowicz?

— Powiada się Tatarem litewskim, ale to dziw, że go żaden z Tatarów litewskich poprzednio nie znał, choć właśnie w ich chorągwi służy. Ex quo wieści o jego niepewnym pochodzeniu, którym jego dość górne maniery przeszkodzić nie zdołały. Żołnierz zresztą wielki, choć małomówny. Pod Bracławiem i pod Kalnikiem siła posług oddał, dla których go pan hetman setnikiem mianował, mimo że był w całej chorągwi wiekiem najmłodszy. Lipkowie wielce go miłują, ale między nami miru nie ma — a czemu? Bo człek ponury, i jak słusznie wasza mość zauważył, wilkiem patrzy.

— Jeśli to żołnierz wielki i krew przelewał — ozwała się Basia — godzi się go do kompanii przypuścić, czego też mi pan mój małżonek w liście nie broni.

Tu zwróciła się do pana Snitki:

— Waszmość pozwolisz?

— Sługa pani pułkownikowej dobrodziejki! — zawołał pan Snitko.

Basia znikła za drzwiami, a pan Zagłoba odsapnął i spytał pana Snitkę:

— No, a jakże się waści pani pułkownikowa udała?

Stary żołnierz, zamiast odpowiedzieć, wsadził pięści w oczy i przechyliwszy się w krześle, jął powtarzać:

— Aj, aj, aj!

Po czym wytrzeszczył oczy, zatknął szeroką dłonią usta i zamilkł, jakby zawstydzon własnym zachwytem.

— Marcypan, co? — rzekł Zagłoba.

Tymczasem „marcypan” ukazał się znów we drzwiach, wiodąc za sobą Mellechowicza, nastroszonego jak dziki ptak, i mówiąc:

— I z listu męża, i od pana Snitki tyle nasłuchaliśmy się o waścinych mężnych uczynkach, że radziśmy go bliżej poznać. Prosim do kompanii, a i do stołu zaraz podadzą.

— Prosim, chodź acan bliżej! — ozwał się pan Zagłoba.

Posępna, acz urodziwa twarz młodego Tatara nie rozchmurzyła się zupełnie, widać jednak było, że wdzięczny jest za dobre przyjęcie i za to, że mu nie kazano zostać w czeladnej.

Basia zaś umyślnie starała się być dla niego dobrą, łacno bowiem sercem kobiecym odgadła, że jest podejrzliwy, dumny i że upokorzenia, jakie zapewne często z racji swego niepewnego pochodzenia znosić musiał, bolą go mocno. Nie czyniąc tedy między nim a Snitką innej różnicy, jak tylko taką, jaką dojrzalszy wiek Snitki czynić nakazywał, wypytywała młodego setnika o owe usługi, gwoli którym pod Kalnikiem wyższą szarżę otrzymał.

Pan Zagłoba odgadując życzenia Basi odzywał się do niego również dość często, a on, chociaż zrazu nieco się dziczył, dawał jednakże odpowiedzi dorzeczne, a maniery jego nie tylko nie zdradzały prostaka, ale dziwiły nawet pewną dwornością.

„Nie może to być chłopska krew, bo fantazja byłaby nie taka” — pomyślał sobie Zagłoba.

Po czym spytał głośno:

— Rodzic waćpana w których stronach żywie?

— Na Litwie — odparł czerwieniąc się Mellechowicz.

— Litwa szeroki kraj. To tak samo jak gdybyś mi acan odpowiedział, „w Rzeczypospolitej”.

— Teraz już nie w Rzeczypospolitej, bo tamte strony odpadły. Mój rodzic wedle Smoleńska ma majętność.

— Miałem i ja tam znaczne posiadłości, które mi po bezdzietnym krewnym przypadły, alem je wolał opuścić i przy Rzeczypospolitej się oponować.

— Tak też i ja czynię — odrzekł Mellechowicz.

— Godnie waść czynisz! — wtrąciła Basia.

Lecz Snitko słuchając rozmowy wzruszał nieznacznie ramionami, jakby chciał mówić: „Bóg tam raczy wiedzieć, coś ty za jeden i skąd jesteś!”

Pan Zagłoba zaś spostrzegłszy to zwrócił się znów do Mellechowicza:

— A waćpan — spytał — Chrystusa wyznajesz czyli też, bez urazy mówiąc, w sprośności żyjesz?

— Przyjąłem chrześcijańską wiarę, dla którego powodu musiałem ojca opuścić.

— Jeśliś go dlatego opuścił, to za to cię Pan Bóg nie opuści, a pierwszy dowód łaski jego, że wino pić możesz, którego, w błędach trwając, byłbyś nie zaznał.

Snitko rozśmiał się, ale Mellechowiczowi nie w smak były widocznie pytania tyczące jego osoby i pochodzenia, bo się nastroszył znowu.

Pan Zagłoba mało jednak na to zważał, tym bardziej że młody Tatar nie bardzo mu się podobał, chwilami bowiem, nie twarzą wprawdzie, ale ruchami i spojrzeniem, przypominał słynnego wodza Kozaków, Bohuna.

Tymczasem podano obiad.

Resztę dnia zajęły ostatnie przygotowania do drogi, ruszono zaś nazajutrz skoro świt, a nawet w nocy jeszcze, aby jednym dniem stanąć w Chreptiowie.

Wozów zebrało się kilkanaście, postanowiła bowiem Basia suto chreptiowskie komory zaopatrzyć; szły więc także za wozami mocno wywiuczone i wielbłądy, i konie, uginając się pod ciężarem krup i wędlin; szło na końcu karawany kilkadziesiąt wołów stepowych i czambulik owiec. Pochód otwierał Mellechowicz ze swoimi Lipkami, dragoni zaś jechali tuż przy krytym karabonie, w którym siedzieli Basia z panem Zagłobą. Jej chciało się bardzo powodnego dzianecika dosiąść, ale stary szlachcic prosił jej, żeby tego przynajmniej z początku i na końcu podróży nie czyniła.

— Żebyś to spokojnie usiedziała — mówił — nie przeciwiłbym się, ale wnet poczniesz buszować i koniem czwanić, a to powadze pani komendantowej nie przystoi.

Basia była szczęśliwa i jak ptak wesoła. Od czasu swego zamążpójścia miała ona w życiu dwa największe pragnienia: jedno, dać Michałowi syna; drugie, zamieszkać z małym rycerzem choćby na rok w jakiej stanicy przyległej do Dzikich Pól i tam na krańcu pustyni żyć życiem żołnierskim, wojny i przygód zażyć, w podchodach udział brać, własnymi oczyma ujrzeć te stepy, doświadczyć tych niebezpieczeństw, o których tyle się nasłuchała od najmłodszych lat. Marzyła o tym będąc jeszcze dziewczyną i oto marzenia miały się teraz urzeczywistnić, a w dodatku przy boku kochanego człowieka i najsławniejszego w Rzeczypospolitej zagończyka, o którym mówiono, że umie nieprzyjaciela choćby spod ziemi wykopać.

Czuła też młoda pułkownikowa skrzydła u ramion i tak wielką radość w piersi, że chwilami brała ją ochota krzyczeć i skakać, ale powstrzymywała ją myśl o powadze. Bo obiecywała sobie być stateczną i zyskać okrutną miłość żołnierzy.

Zwierzała się z tych myśli panu Zagłobie, a on uśmiechał się pobłażliwie i mówił:

— Już że tam będziesz oczkiem w głowie i osobliwością wielką, to pewna! Niewiasta w stanicy — toż to rarytet!...

— A w potrzebie i przykład im dam.

— Czego?

— A męstwa! O jedno się tylko boję, że za Chreptiowem staną jeszcze komendy w Mohilowie i Raszkowie, aż hen, ku Jahorlikowi, i że Tatarów na lekarstwo nawet nie ujrzymy.

— A ja się jeno tego boję, oczywiście nie dla siebie, ale dla cię, że ich za często będziem widywać. Cóż to, myślisz, że czambuły mają obowiązek koniecznie na Raszków i Mohilów iść? Mogą przyjść wprost od wschodu, ze stepów, alboli też mołdawską stroną Dniestru ciągnąć i wychylić się w granice Rzeczypospolitej, gdzie zechcą, choćby i w górze za Chreptiowem. Chybaby się bardzo rozgłosiło, że ja w Chreptiowie zamieszkałem, to go będą omijali, bo mię z dawna znają.

— A Michała to niby nie znają? A Michała to niby nie będą omijali?

— I jego będą omijali, chyba że w wielkiej potędze nadciągną, co się może przygodzić. Wreszcie sam on ich poszuka.

— Otóż to, tego byłam pewna! Szczerali tam już w Chreptiowie pustynia? Bo to tak niedaleko!

— Że i szczersza być nie może. Niegdyś, za czasów jeszcze mojej młodości, była to strona ludna. Jechało się z chutoru do chutoru, z wsi do wsi, z miasteczka do miasteczka. Znałem, bywałem! Pamiętam, gdy Uszyca była walnym grodem co się zowie! Pan Koniecpolski ojciec na starostwo mnie tu promował. Ale potem nastała inkursja hultajska i wszystko poszło w ruinę. Kiedyśmy oto po Halszkę Skrzetuską tędy jechali, to już była pustynia, a potem jeszcze ze dwadzieścia razy przeszły tędy czambuły... Teraz pan Sobieski kozactwu i tatarstwu znów te strony wydarł jako psu z gardła... Ale ludzi tu jeszcze mało, jeno zbóje w jarach siedzą...

Tu począł się pan Zagłoba rozglądać po okolicy i kiwać głową, dawne czasy wspominając.

— Mój Boże — mówił — wówczas gdyśmy po Halszkę jechali, widziało mi się, że starość za pasem, a teraz myślę, żem był młody, bo to przecie temu blisko dwadzieścia

cztery lat. Michał był jeszcze młokos i niewiele więcej miał włosów na gębie niż u mnie na pięści. A tak mi ta okolica w pamięci stoi, jakby to było wczora! Chaszcze tylko i bory większe porosły, odkąd agricolae się wynieśli...

Jakoż za Kitajgrodem wjechali zaraz w duże bory, którymi wówczas tamta strona po większej części była pokryta. Gdzieniegdzie jednak, zwłaszcza w okolicach Studzienicy, zdarzały się i pola odkryte, a wówczas widzieli brzeg Dniestrowy i kraj ciągnący się hen, z tamtej strony rzeki, aż do wyżyn zamykających po mołdawskiej stronie widnokrąg.

Głębokie jary, siedziby dzikiego zwierza i dzikszych jeszcze ludzi, przecinały im drogę, czasem wąskie i urwiste, czasem otwartsze, o bokach lekko pochyłych i porośniętych głuchą puszczą. Mellechowiczowi Lipkowie zagłębiali się w nie ostrożnie i gdy koniec konwoju był jeszcze na wysokim skraju, początek jego zstępował jakby pod ziemię. Często przychodziło Basi i panu Zagłobie wysiadać z karabonu, bo chociaż Wołodyjowski przetarł jako tako drogę, przejazdy jednak bywały niebezpieczne. Na dnie jarów biły krynice lub płynęły szeleszcząc po kamieniach bystre strumienie, wzbierające wiosną wodą ze stepowych śniegów. Chociaż słońce dogrzewało jeszcze borom i stepom mocno, surowy chłód taił się w tych kamiennych gardzielach i chwytał niespodzianie przejeżdżających. Bór wyściełał skaliste boki i piętrzył się jeszcze na brzegach, posępny i czarny, jakby chciał owe zapadłe wnętrza przed złotymi promieńmi słońca zasłonić. Miejscami jednak całe jego szmaty były połamane, zwalone, pnie ponarzucane jedne na drugie w dzikim bezładzie, gałęzie zwichrzone i zbite w kupy, zeschłe zupełnie lub też pokryte zrudziałym liściem i iglicami.

— Co się z tym borem stało? — pytała pana Zagłoby Basia.

— Miejscami mogą to być stare zasieki, czynione albo przez dawnych mieszkańców przeciw ordzie, albo też przez hultajstwo przeciw naszym wojskom; miejscami znów to wichry mołdawskie tratują tak po lesie, w których wichrach, jako starzy ludzie powiadają, upiory albo zgoła diabli harce wyprawują.

— A waszmość widziałeś kiedy diabelskie harce?

— Widzieć nie widziałem, alem słyszał, jako diabli pokrzykiwali sobie z uciechy: „u-ha! u-ha!” Spytaj się Michała, bo i on słyszał.

Basia, lubo odważna, bała się jednak trochę złych duchów, więc zaraz poczęła się żegnać.

— Straszne to strony! — rzekła.

I rzeczywiście w niektórych jarach było straszno, bo nie tylko mroczno, ale i głucho. Wiatr nie wiał, liście i gałęzie drzew nie czyniły szelestu: słychać było jeno tupot i

parskanie koni, skrzyp wozów i okrzyki, które wydawali woźnice w niebezpieczniejszych miejscach. Czasem też zaśpiewali Tatarzy lub dragoni, ale sama puszcza nie odzywała się żadnym ludzkim ni zwierzęcym głosem.

Jeśli jednak jary posępne czyniły wrażenie, natomiast górny kraj, nawet tam gdzie ciągnęły się bory, wesoło otwierał się przed oczyma karawany. Pogoda była jesienna, cicha. Słońce chodziło po niebieskim stepie nie splamionym żadną chmurką, lejąc blask obfity na skały, pola i lasy. W tym blasku sosny wydawały się czerwone i złote, a nitki pajęcze, pouczepiane do gałązek drzew, do burzanów i traw, świeciły tak mocno, jak gdyby były same ze słonecznych promieni utkane. Październik dobiegał do połowy dni swoich, więc wiele ptactwa, zwłaszcza co czulszego na chłody, poczęło już z Rzeczypospolitej ku Czarnemu Morzu wędrować: na niebie widać było i klucze żurawiane z donośnym okrzykiem lecące, i gęsi, i stada cyranek.

Tu i owdzie, wysoko, wysoko, tkwiły w błękicie na rozpostartych skrzydłach groźne dla powietrznych mieszkańców orły; gdzieniegdzie chciwe połowu jastrzębie zataczały powolne koła. Atoli zwłaszcza w gołych polach nie brakło i tego ptactwa, które ziemi się trzyma i w trawach wyniosłych rade się kryje. Co chwila spod kopyt lipkowskich bachmatów zrywały się z szumem stada rdzawych kuropatw; kilkakroć też ujrzała Basia, lubo z daleka, stojące na straży dropie, na których widok płonęły jej policzki, a oczy poczynały świecić.

— Będziem je z Michałem chartami szczwali! — wołała klaszcząc w dłonie.

— Żeby to twój mąż był jakowyś domator — mówił Zagłoba — prędko by mu z taką żoną broda posiwiała, ale ja wiedziałem, komu mam cię oddać. Inna byłaby choć wdzięczna, hę?

Basia ucałowała zaraz oba policzki pana Zagłoby, aż rozczulił się i rzekł:

— Na starość kochające serca tak człeku miłe jako ciepły przypiecek.

Po czym zamyślił się i dodał:

— To dziw, jakem ja całe życie tę białogłowską płeć lubił, a żeby tak powiedzieć za co, to sam nie wiem, boć to licho bywa i zdradliwe, i płoche... Jeno że to mdłe jako dzieci, więc niechże którą krzywda jakowaś spotka, to aż ci serce z mizerykordii piszczy. Uściskajże mnie jeszcze czy co!

Basia rada by była cały świat uściskać, więc natychmiast uczyniła zadość życzeniu pana Zagłoby i jechali dalej w wybornych humorach. Jechali bardzo wolno, bo woły idące z tyłu nie mogły prędzej nadążyć, a niebezpiecznie je było z małą liczbą ludzi wśród tych lasów zostawiać.

W miarę jak zbliżali się do Uszycy, kraj stawał się nierówniejszy, puszcza głuchsza, a jary głębsze. Coraz coś psuło się w wozach, to znów narowiły się konie, przez co znaczne zdarzały się mitręgi. Stary gościniec, idący niegdyś do Mohilowa, od dwudziestu lat zarósł lasem tak, że ledwie gdzieniegdzie widać było jego ślady, więc musieli się trzymać szlaków, które przetarły dawniejsze i ostatnie przechody wojskowe, więc często błędnych, a zawsze bardzo trudnych. Nie obyło się też i bez wypadku.

Pod Mellechowiczem, jadącym na czele Lipków, związał się koń na pochyłości jaru i zwalił się na dno kamieniste nie bez szwanku dla jeźdźca, który tak silnie rozciął sobie sam wierzch głowy, że aż przytomność na czas pewien go odbiegła. Basia z Zagłobą przesiedli się zaraz na podwodne dzianety, Tatara zaś kazała młoda pani komendantowa ułożyć na karabonie i wieźć ostrożnie. Odtąd przy każdej krynicy zatrzymywała pochód i własnymi rękoma obwiązywała mu głowę szmatami zmaczanymi w zimnej, źródlanej wodzie. On leżał czas jakiś z zamkniętymi oczyma, w końcu jednak otworzył je, a gdy pochylona nad nim Basia poczęła wypytywać, jak mu jest, zamiast odpowiedzi chwycił jej rękę i przycisnął do swych zbielałych warg.

Po chwili dopiero, jakby zebrawszy myśli i przytomność, odrzekł po małorusku:

— Oj, dobre, jako dawno nie buwało!

W takim pochodzie zeszedł im cały dzień. Słońce poczerwieniało wreszcie i przetoczyło się ogromne na multańską stronę; Dniestr począł świecić jak ognista wstęga, a ze wschodu, od Dzikich Pól, nadciągała z wolna pomroka.

Chreptiów nie był już zbyt daleko, ale trzeba było dać wypocznienie koniom, więc zatrzymali się na dłuższy postój.

Ten i ów dragon począł śpiewać godzinki. Lipkowie pozsiadali z koni i rozciągnąwszy na ziemi runa owcze, jęli modlić się na klęczkach, z twarzami zwróconymi ku wschodowi. Głosy ich to podnosiły się, to zniżały; chwilami: „Ałła! Ałła!” brzmiało przez całe szeregi, to znów cichli, wstawali i trzymając dłonie odwrócone do góry tuż przy twarzach, trwali w skupionej modlitwie, powtarzając tylko od czasu do czasu sennie i jakby z westchnieniem: „Łochiczmen, ach łochiczmen!” Promienie słońca padały na nich coraz czerwieńsze, wstał powiew od zachodu, a z nim razem szum wielki w drzewach, jakby i one chciały uczcić przed nocą tego, który na ciemne niebo wytacza tysiące migotliwych gwiazd.

Basia przypatrywała się z ciekawością wielką modlitwie Lipków, ale serce ściskało się jej na myśl, że tylu oto dobrych pachołków po życiu pełnym mozołów dostanie się

wraz ze śmiercią w ogień piekielny, a to tym bardziej, że stykając się codziennie z ludźmi prawdziwą wiarę wyznającymi trwają jednak dobrowolnie w zatwardziałości.

Pan Zagłoba, więcej z tymi rzeczami obyty, wzruszał tylko ramionami na pobożne Basine uwagi, mówiąc:

— I tak by tych kozich synów do nieba nie puszczono, aby insektów plugawych ze sobą nie naprowadzili.

Potem wdział na się przy pomocy pachołka tuzłuczek wyporkami podbity, na chłody wieczorne wyborny, i ruszać kazał, lecz ledwie pochód się rozpoczął, na przeciwległym wzgórzu ukazało się pięciu jeźdźców.

Lipkowie rozstąpili się im zaraz.

— Michał! — krzyknęła Basia widząc pędzącego na czele.

I rzeczywiście był to Wołodyjowski, który w kilka koni na spotkanie żony wyjechał.

Skoczywszy do siebie, poczęli się witać z wielką radością, a następnie opowiadać sobie, co się im wzajemnie przez czas rozłąki przygodziło.

Opowiadała więc Basia, jak im droga poszła i jako pan Mellechowicz „rozum sobie o kamienie nadwerężył" — a mały rycerz zdawał sprawę z czynności swych w Chreptiowie, w którym, jak zapewniał, wszystko już stoi i na przyjęcie czeka, bo pięćset siekier przez trzy tygodnie nad budynkami pracowało.

Podczas tej rozmowy rozkochany pan Michał przechylał się co chwila z kulbaki i brał młodą żonę w ramiona, która widać nie bardzo gniewała się o to, bo jechała tuż przy nim, tak że ich konie niemal ocierały się bokami.

Koniec podróży był już niedaleki, ale tymczasem zapadła noc pogodna, której przyświecał miesiąc wielki i złoty. Bladł on jednak coraz bardziej, w miarę jak od stepu ku niebu się podnosił, a w końcu blask jego przyćmiła łuna, która jaskrawym światłem zapłonęła przed karawaną.

— Co to jest? — pytała Basia.

— Obaczysz — rzekł poruszając wąsikami Wołodyjowski — jak ów tylko borek przejedziem, który od Chreptiowa nas dzieli.

— To już Chreptiów?

— Widziałabyś go jako na dłoni, jeno drzewa zasłaniają.

Wjechali w lasek, lecz nim dojechali do połowy, na drugim jego końcu ukazał się rój świateł niby rój czerwi świętojańskich albo gwiazd migotliwych! Gwiazdy owe poczęły się zbliżać z wielką szybkością i nagle cały borek zatrząsł się od gromkich okrzyków:

— Vivat, nasza pani! Vivat, wielmożna komendantowa! Vivat, vivat!

Byli to żołnierze, którzy biegli Baśkę powitać. Setki ich pomieszały się w jednej chwili z Lipkami. Każdy trzymał na długim drążku płonące łuczywo osadzone w rozszczypanym tego drążka końcu. Niektórzy nieśli na tykach żelazne kagańce, z których płonąca żywica spadała na ziemię w postaci długich łez ognistych.

Wnet otoczyły Basię tłumy twarzy wąsatych, groźnych, nieco dzikich, ale rozpromienionych radością. Większa ich część nie widziała Basi nigdy w życiu, wielu wyobrażało sobie, iż stateczną ujrzą już niewiastę, więc radość ich stała się tym większa na widok tego prawie dziecka, które jadąc na białym dzianeciku schylało w podzięce na wszystkie strony swoją cudną twarz różową, drobniuchną, radosną, a zarazem zmieszaną bardzo tak niespodzianym przyjęciem.

— Dziękuję waszmościom — ozwała się Basia — wiem, że to nie dla mnie...

Ale srebrzysty jej głosik zginął w wiwatach, a od okrzyków drżał bór.

Towarzystwo spod chorągwi pana generała podolskiego i pana podkomorzego przemyskiego, Kozacy Motowidły, Lipkowie i Czeremisi pomieszali się ze sobą. Każdy chciał widzieć młodą pułkownikową, zbliżyć się do niej; niektórzy, co gorętsi, całowali kraj jej jubki lub nogę w strzemieniu. Bo też dla tych półdzikich zagończyków, przywykłych do podchodów, łowów na ludzi, przelewu krwi i rzezi, było to zjawisko tak nadzwyczajne, tak nowe, że na jego widok poruszyły się ich twarde serca, a jakieś nowe, nieznane uczucia zbudziły się w ich piersiach. Wyszli ją witać z miłości dla Wołodyjowskiego, chcąc mu sprawić radość, a może i pochlebić, a owoż nagle rozrzewnienie chwyciło ich samych. Ta uśmiechnięta, słodka i niewinna twarz z błyszczącymi oczyma i rozdętymi chrapkami stała im się drogą w jednej chwili. „Detyna to nasza!”. — wołali starzy Kozacy, prawdziwi wilcy stepowi. „Cheruwym każe, pane regimentar!” „Zorza poranna! kwiatuszek on kochany! — wrzeszczeli towarzysze — jeden na drugim za nią polegniem!...” A Czeremisy cmokali ustami przykładając dłonie do szerokich piersi: „Ałła! Ałła!...”

Wołodyjowski wzruszon był bardzo, ale rad, wziął się w boki i pysznił się ze swojej Baśki.

Okrzyki rozlegały się ciągle. Karawana wytoczyła się wreszcie z lasku i wnet oczom nowo przybyłych ukazały się potężne drewniane budowle, kręgiem na wzgórzu powznoszone. Była to stannica chreptiowska, widna jak we dnie, bo na zewnątrz częstokołu paliły się olbrzymie stosy, na które powrzucano całe pnie. Lecz i majdan pełny był ognisk, tylko że mniejszych, aby pożaru nie uczynić.

Żołnierze pogasili teraz łuczywo, natomiast każdy ściągnął z ramienia to muszkiet, to piszczel, to guldynkę i nuż grzmieć na powitanie pani.

Wyszły przed częstokół i kapele: więc towarzyska z krzywuł złożona, kozacka z litaurów, bębnów i różnych wielostrunnych instrumentów, a wreszcie lipkowska, w której, modą tatarską, przeraźliwe piszczałki prym trzymały. Szczekanie psów żołnierskich i ryk przestraszonego bydła powiększały jeszcze harmider.

Konwój pozostał teraz w tyle, a na przodku jechała Basia mając z jednej strony męża, a z drugiej pana Zagłobę.

Nad bramą, pięknie jedlinowymi gałązkami przyozdobioną, czerniał na pęcherzowych, łojem wysmarowanych i oświeconych od wewnątrz, błonach napis:

Niech Kupido chwil szczęsnych hojnie wam przyczyni,

Crescite, mili goście — multiplicamini!

— Vivant! Floreant! — krzyczeli żołnierze, gdy mały rycerz z Basią zatrzymali się dla odczytania napisu.

— Dla Boga! — rzekł pan Zagłoba — przecie ja także gość, ale jeżeli to życzenie multyplikacji i do mnie się stosuje, tedy niech mnie krucy zdziobią, jeżeli wiem, co mam z nim robić.

Pan Zagłoba znalazł jednak osobny transparent dla siebie przeznaczony i z niemałym zadowoleniem przeczytał na nim:

Niech nam żyje wielmożny Onufry Zagłoba,

Wszystkiego kawalerstwa największa ozdoba!

Wołodyjowski rozochocił się bardzo i oficerów tudzież towarzystwo zaprosił na wieczerzę do siebie, a dla żołnierzy rozkazał wytoczyć jedną i drugą beczułkę palanki. Padło też kilka wołów, które wnet piec przy ogniskach poczęto. Starczyło dla wszystkich obficie; długo w noc stanica brzmiała okrzykami i wystrzałami z muszkietów, aż strach zdjął kupy opryszków ukryte w jarach uszyckich.

Rozdział XXIII

Pan Wołodyjowski nie próżnował w swojej stanicy, a i ludzie jego żyli w ustawicznej pracy. Sto, czasem mniej ludzi zostawało na załodze w Chreptiowie, reszta była w ustawicznych rozjazdach. Najznaczniejsze oddziały komenderowane były do przetrząsania jarów uszyckich i te żyły jakoby w wojnie ustawicznej, kupy bowiem zbójeckie, częstokroć liczne bardzo silny dawały opór i nieraz trzeba było z nimi staczać

formalne bitwy. Wyprawy takie trwały po kilka i kilkanaście dni; mniejsze poczty wyprawiał pan Michał hen, aż ku Bracławiu, po nowiny od ordy i Doroszeńki. Pocztów tych zadaniem było sprowadzanie języków, a zatem łowienie ich w stepach; inne chodziły w dół Dniestru do Mohilowa i Jampola, aby utrzymać związek z komendami w tych miejscach stojącymi; inne nasłuchiwały od wołoskiej strony, inne wznosiły mosty, naprawiały dawny gościniec.

Kraj, w którym panował ruch tak znaczny, uspokajał się z wolna; mieszkańcy, co spokojniejsi, mniej rozmiłowani w rozboju, wracali z wolna do opuszczonych siedzib, z początku chyłkiem, później coraz śmielej. Do samego Chreptiowa przyciągnęło trochę Żydków rzemieślników; czasem zajrzał i znaczniejszy kupiec Ormianin, coraz częściej zaglądali kramnicy; miał więc pan Wołodyjowski niepłonną nadzieję, że jeśli mu Bóg i hetman dłuższy czas na komendzie zostać pozwolą, owe zdziczałe strony zgoła inną z czasem przybiorą postać. Obecnie były to dopiero początki, siła jeszcze pozostawało do roboty; drogi nie były jeszcze bezpieczne; rozwydrzony lud chętniej ze zbójcami niż z wojskiem w komitywę wchodził i za lada przyczyną znów krył się w gardziele skaliste; przez Dniestrowe brody często przekradały się watahy złożone z Wołochów, Kozaków, Węgrzynów, Tatarów i Bóg wie nie kogo; te zapuszczały zagony po kraju, napadając po tatarsku wsie, miasteczka i zgarniając wszystko, co się zgarnąć dało; chwili jeszcze nie można było w tych stronach szabli z ręki popuścić ani muszkietu na gwoździu zawiesić, jednakże początek już był uczyniony i przyszłość zapowiadała się pomyślnie.

Najczujniej trzeba było nadstawiać ucha od wschodniej strony. Z Doroszeńkowej bowiem hassy i pomocniczych czambułów odrywały się co chwila większe lub mniejsze zagony i podchodząc pod komendy polskie, roznosiły razem spustoszenie i pożogę w okolicy. Ale ponieważ były to watahy, pozornie przynajmniej, na swoją tylko rękę działające, więc mały komendant gromił je bez obawy ściągnięcia na kraj większej burzy, a nie poprzestając na oporze, sam szukał ich w stepie tak skutecznie, że z czasem zbrzydził najzuchwalszym wyprawy.

Tymczasem Basia rozgospodarowywała się w Chreptiowie.

Cieszyło ją niezmiernie owo życie żołnierskie, któremu nigdy nie przypatrywała się dotąd tak blisko: ruch, pochody, powroty z wypraw, widok jeńców. Zapowiadała też Wołodyjowskiemu, że w jednej przynajmniej musi wziąść udział; ale tymczasem musiała poprzestawać na tym, że czasem siadłszy na bachmacika zwiedzała w towarzystwie męża i pana Zagłoby okolice Chreptiowa; szczwali na takich wycieczkach liszki i dropie; niekiedy basior wychynął z traw i mknął rozłogami — to go goniono, a

Basia, o ile mogła, na przedzie, tuż za chartami, aby pierwsza dopaść zmęczonego zwierza i z bandoleciku mu między czerwone ślepie huknąć.

Pan Zagłoba najbardziej rad polował z sokoły, których kilka par, bardzo doskonałych, mieli ze sobą oficerowie.

Basia towarzyszyła mu także, a za Basią posyłał pan Michał ukradkiem kilkunastu ludzi, aby była pomoc w nagłym razie, bo choć w Chreptiowie wiadomo było zawsze, co się na dwadzieścia mil wkoło w pustyni dzieje, jednak wolał pan Michał być ostrożnym.

Żołnierze z każdym dniem kochali Basię więcej, bo też się troszczyła o ich jadło i napitek, doglądała chorych i rannych. Nawet ponury Mellechowicz, który na głowę ciągle chorzał, a który serce twardsze i dziksze miał od innych, rozjaśniał się na jej widok. Starzy żołnierze rozpływali się nad jej kawalerską fantazją i wielką znajomością rzeczy żołnierskich.

— Gdyby Małego Sokoła zbrakło — mówili — ona mogłaby komendę objąć i nie żal by było pod takim regimentarzem zginąć.

Czasem też bywało, że gdy pod niebytność Wołodyjowskiego jakiś nieporządek w służbie się zdarzył, burczała Basia żołnierzy i posłuch przed nią był wielki, a przyganę z jej ust więcej starzy zagończykowie do serca brali niż kary, których służbisty pan Michał za uchybienia przeciw dyscyplinie nie szczędził.

Wielka karność panowała zawsze w komendzie, bo Wołodyjowski, w szkole księcia Jeremiego wychowan, umiał trzymać żelazną ręką żołnierzy, ale przecie obecność Basi złagodziła jeszcze nieco dzikie obyczaje. Każdy starał się jej przypodobać, każdy dbał o jej wczas i spokój, więc wystrzegano się wzajem wszystkiego, co by je mogło zamącić.

W chorągwi lekkiej pana Mikołaja Potockiego było wielu towarzyszów, ludzi bywałych i dwornych, którzy chociaż zdziczeli wśród ciągłych wojen i przygód, grzeczną stanowili jednak kompanię. Ci wraz z oficerami spod innych chorągwi często spędzali wieczory u pułkownika, opowiadając o dawnych dziejach i wojnach, w których sami brali udział. Prym między nimi trzymał pan Zagłoba. On był najstarszy, najwięcej widział i siła dokazał, lecz gdy po jednym i drugim kielichu zdrzemnął się w wygodnym, obitym safianem zydlu, który umyślnie dla niego stawiano, wówczas zabierali głos i inni. A mieli co opowiadać, byli bowiem między nimi tacy, którzy odwiedzili Szwecję i Moskwę; byli tacy, którzy młode lata na Siczy jeszcze przed chmielnicczyzną spędzili; byli, którzy swego czasu w Krymie owiec jako niewolnicy strzegli; którzy w Bachczysaraju studnie, w niewoli będąc, kopali; którzy zwiedzili Azję Mniejszą; którzy po Archipelagu na galerach tureckich wiosłowali; którzy w Jerozolimie czołem o grób

Chrystusa bili; którzy doświadczyli wszelkich przygód i wszelkich niedoli, a przecie jeszcze pod chorągwie wrócili bronić do końca życia, do ostatniego tchu tych krain pobrzeżnych, krwią zlanych.

Gdy w listopadzie wieczory uczyniły się dłuższe, a od szerokiego stepu był spokój, bo trawy zwiędły, w domu pułkownika zbierano się codziennie. Przychodził pan Motowidło, dowódca semenów, rodem Rusin, mąż chudy jak szczypka, a długi jak kopia, niemłody już, od dwudziestu przeszło lat z pola nie schodzący; przychodził pan Deyma, brat owego, który pana Ubysza usiekł; z nimi pan Muszalski, człek niegdyś możny, ale któren w rannych latach w jasyr wzięty, na galerach tureckich wiosłował, a wyrwawszy się z niewoli, majętności poniechał i z szablą w ręku krzywd swych mścił się na Mahometowym plemieniu. Był to łucznik niezrównany, który czaplę w wysokim locie na żądanie strzałą przeszywał. Przychodzili również dwaj zagończykowie, pan Wilga z panem Nienaszyńcem, żołnierze wielcy, i pan Hromyka, i pan Bawdynowicz, i wielu innych. Ci gdy zaczynali opowiadać, a gęsto słowami rzucać, widziało się w ich opowiadaniach cały ów świat wschodni: Bachczysaraj i Stambuł, i minarety, i świątynie fałszywego proroka, i błękitne wody Bosforu, i fontanny, i dwór sułtański, i mrowia ludzkie w kamiennym grodzie, i wojska, i janczarów, i derwiszów, i tę całą szarańczę straszną, a jak tęcza świecącą, przed którą ruskie krainy, a za nimi wszystkie krzyże i kościoły w całej Europie osłaniała skrwawionymi piersiami Rzeczpospolita.

Kręgiem zasiadali w obszernej izbie starzy żołnierze, na kształt stada bocianów, które, zmęczone lotem, siądą na jakiej stepowej mogile i wielkim odzywają się klekotem.

Na kominie paliły się kłody smolne rzucając rzęsiste blaski na całą izbę. Mołdawskie wino grzało się z rozkazu Basi przy żarze, a pachołkowie czerpali je cynowymi kusztyczkami i podawali rycerzom. Zza ścian dochodziło nawoływanie straży; świerszcze, na które skarżył się pan Wołodyjowski, grały w izbie, a czasem poświstywał w szparach mchem tkanych wiatr listopadowy, który dmuchając z północy, stawał się coraz zimniejszy. W takie to zimna najmilej było siedzieć w zacisznej a widnej izbie i słuchać przygód rycerskich.

W taki też wieczór opowiadał raz pan Muszalski, co następuje:

— Niech Najwyższy ma w opiece swojej świętej całą Rzeczpospolitę, nas wszystkich, a między nami szczególnie jejmość panią tu obecną, godną naszego komendanta małżonkę, na której splendory ślepia nasze spoglądać niemal niegodne. Nie chcę ja w paragon wchodzić z panem Zagłobą, którego przygody Dydonę samą i jej wdzięczny

fraucymer w największy podziw wprawić by mogły, ale gdy sami waćpaństwo żądacie casus cognoscere meos, nie będę się ociągał, aby zacnej kompanii nie ubliżyć.

W młodości odziedziczyłem na Ukrainie, koło Taraszczy, substancję znaczną. Miałem i dwie wioski po matce w spokojnym kraju, wedle Jasła, alem w ojcowiźnie rezydować wolał, że to od ordy bliżej i o przygodę łatwiej. Fantazja kawalerska ciągnęła mnie na Sicz, ale nic tam już było po nas; jednakże w Dzikie Pola w kompanii niespokojnych duchów chodziłem i rozkoszy zaznałem. Dobrze mi było na majętności, to tylko dolegało mi srodze, iż miałem lichego sąsiada. Był to prosty chłop spod Białocerkwi, któren z młodu na Siczy był, tam się do szarży atamana kurzeniowego dosłużył i do Warszawy od kosza posłował, gdzie też i uszlachcon został. Zwał on się Dydiuk. A trzeba waćpaństwu wiedzieć, że my się od pewnego wodza Samnitów wyprowadzamy, zwanego Musca, co po naszemu „mucha" znaczy, ów Musca po nieszczęśliwych przeciw Rzymianom imprezach na dwór Ziemowita, syna Piastowego, przybył, któren przezwał go dla większej wygody Muscalskim, co potem potomność na Muszalskiego przerobiła. Poczuwając ja się tedy do krwi tak zacnej, z wielką abominacją patrzyłem na owego Dydiuka. Bo żeby szelma umiał ten honor, któren go spotkał, szanować i większą doskonałość stanu szlacheckiego nad wszelkie inne uznał, może bym nic nie mówił. Ale on, ziemię jako szlachcic trzymając, z samej godności jeszcze się naigrawał i często to mówił: „Zali mój cień teraz większy? Kozak ja był i Kozakiem ostanę, a szlachectwo i wszystkie wraże Lachy — ot mnie..." Nie mogę waćpaństwu tego powiedzieć, jakie w tym miejscu gesta plugawe czynił, bo obecność jejmość pani zgoła mi na to nie pozwala. Ale pasja trawiła mię dzika i począłem go gnębić. Nie zląkł się, człek był śmiały, z nawiązką płacił. Na szable byłby wyszedł, alem ja tego nie chciał mając nikczemność krwi jego na uwadze. Znienawidziłem go jak zarazę i on mnie nienawiścią ścigał. Raz w Taraszczy na rynku strzelił do mnie, o włos nie zabił, ja zasię rozszczepiłem mu głowę obuszkiem. Dwakroć zajeżdżałem go z dworskimi ludźmi, dwakroć on mnie z hultajstwem. Nie zmógł mnie, ale i ja przecie nie mogłem mu dać rady. Chciałem prawem przeciw niemu czynić — ba! Co tam za prawa na Ukrainie, w której jeszcze gruzy z miast dymią. Kto tam hultajów skrzyknie, może o całą Rzeczpospolitą nie dbać. Tak on czynił bluźniąc w dodatku przeciw wspólnej matce i wcale na to niepamiętny, że ona to do stanu szlacheckiego go podnosząc, do piersi tym samym go przycisnęła, przywileje mu dała, z mocy których dzierżył ziemię i tę wolność, aż zbytnią, której by pod żadnym innym władaniem nie zażył. Gdybyśmy się to mogli po sąsiedzku spotykać, pewnie by mi argumentów nie zbrakło, ale my się nie widywali

inaczej, jak z rusznicą w jednym, a głownią w drugim ręku. Odium rosło we mnie z każdym dniem, ażem pożółkł. Ciągle o tym jeno myślałem, jako by go schwytać. Czułem przecie, że nienawiść — to grzech, więc chciałem mu tylko naprzód za to wyrzekanie się szlachectwa batogami skórę zorać, a potem odpuściwszy mu wszystkie grzechy, jak na prawego chrześcijanina przystało, kazać go po prostu zastrzelić.

Ale pan Bóg zrządził inaczej.

Miałem za wsią pasiekę zacną i raz poszedłem ją oglądać. Było to pod wieczór. Zabawiłem tam ledwie z dziesięć pacierzy, aż tu clamor jakowyś o uszy moje uderza. Obejrzę się: dym jako obłok nade wsią. Po chwili lecą ludzie: „Orda! Orda!" A tuż za ludźmi — ćma, powiem acaństwu! Strzały lecą, jakoby deszcz zacinał, i gdzie nie spojrzę, baranie kożuchy i diabelskie mordy ordyńskie. Ja do konia! Nimem nogą strzemienia dotknął, już mnie z pięć albo sześć arkanów chwyciło. Rwałem je przecież, silny byłem... Nec Hercules!... W trzy miesiące potem znalazłem się z innym jasyrem za Bachczysarajem, we wiosce tatarskiej Suhajdzig zwanej.

Panu memu było na przezwisko Sałma-bej. Bogaty był Tatarzyn, ale nieludzki i dla niewolników ciężki. Musieliśmy pod batogami studnie kopać i w polu pracować. Chciałem się wykupić, miałem za co. Przez pewnego Ormianina pisałem listy do moich majętności pod Jasłem. Nie wiem, czyli listy nie doszły, czy okup w drodze przejęto, dość, że nic nie przyszło... Powieźli mnie do Carogrodu i na galery sprzedali.

Siła by o tym mieście opowiadać, od którego nie wiem, jeżeli jest większe i ozdobniejsze na świecie. Ludzi tam jako traw w stepie albo kamieni w Dniestrze... Mury na Jedykule srogie. Wieża przy wieży. W grodzie razem z ludźmi psi się błąkają, którym Turcy krzywdy nie czynią, dlatego, widać, że się do pokrewieństwa poczuwają, sami psubratami będąc... Nie masz między nimi innych stanów, jeno panowie a niewolnicy, zaś nad pogańską nie masz cięższej niewoli. Bóg wie, czy to prawda, ale tak na galerach słyszałem, że wody tamtejsze, jako jest Bosfor i Złoty Róg, któren w głąb miasta zachodzi, z łez niewolników powstały. Niemało tam i moich się polało...

Straszna jest potencja turecka i żadnemu z potentatów tak wielu królów, jako sułtanowi, nie podlega. Sami zaś Turcy powiadają, że gdyby nie Lechistan (tak oni matkę naszą nazywają), tedyby już orbis terrarum dawno panami byli. „Za plecami Lacha (powiadają) reszta świata w nieprawdzie żyje, bo ów (prawią) jako pies przed krzyżem leży, a nas po rękach kąsa..." I mają słuszność, bo przecie tak było i tak jest... A my tu w Chreptiowie i dalsze komendy w Mohilowie, w Jampolu, w Raszkowie, cóż

innego czynimy? Siła jest złego w naszej Rzeczypospolitej, ale przecie tak myślę, że nam ową funkcję i Bóg kiedyś policzy, i ludzie może policzą.

Ale owo wracam do tego, co mi się przygodziło. Ci niewolnicy, którzy na lądzie, w miastach i po wsiach żyją, w mniejszej jęczą opresji od tych, którzy na galerach wiosłować muszą. Bo onych galerników raz na brzegu nawy wedle wiosła przykuwszy, nie odkuwają już nigdy, ani na noc, ani na dzień, ani na święta — i do śmierci w łańcuchach żyć tam trzeba; a tonie li okręt in pugna navali, to owi z nim razem tonąć muszą. Nadzy są wszyscy, zimno ich mrozi, deszcz moczy, głód gniecie, a na to nie masz innej rady, jeno łzy i praca okrutna, bo wiosła są tak wielkie i ciężkie, że dwóch ludzi do jednego trzeba...

A mnie przywieźli w nocy i zakuli posadziwszy naprzeciw jakiegoś towarzysza niedoli, którego in tenebris poznać nie mogłem. Kiedym to usłyszał ów stukot młota i dzwonienie kajdanków — miły Boże! zdawało mi się, że ćwieki w moją trumnę zabijają, chociaż i to bym wolał. Modliłem się, ale nadzieja w sercu jakoby ją wiatr zwiał... Jęki moje kawadżi batogami potłumił, więc przesiedziałem cicho całą noc, póki nie zaczęło świtać... Spojrzę ja wtedy na tego, kto ma ze mną wiosłem robić — Jezu Chryste miły! — zgadnijcie acaństwo, kto był naprzeciw mnie? — Dydiuk!

Poznałem go zaraz, chociaż był goły, wychudł i broda urosła mu w pas, bo już dawniej był na galery zaprzedan... Począłem się na niego patrzeć, on na mnie; poznał mnie także... Nie mówiliśmy do siebie nic... Ot, na co nam obum przyszło! Ale przecie taka jeszcze była w nas zawziętość, że nie tylko nie powitaliśmy się po bożemu, ale uraza buchnęła w nas jak płomień i aż radość chwyciła za serce każdego, że i jego wróg tak samo cierpieć musi... Tegoż samego dnia nawa ruszyła w drogę. Dziwno było z największym nieprzyjacielem za jedno wiosło imać, z jednej misy ochłapy jeść, których by psi u nas jeść nie chcieli, jedno tyraństwo znosić, jednym powietrzem dychać, razem cierpieć, razem płakać... Płynęliśmy po Hellesponcie, a potem po Archipelagu... Insula tam przy insuli, a wszystko w mocy tureckiej... Oba brzegi takoż... świat cały!... Ciężko było. W dzień znój niewypowiedziany. Słońce tak pali, że aż woda zda się od niego płonąć, a kiedy owe blaski poczną drgać i skakać na fluktach, rzekłbyś: deszcz ognisty pada. Pot się z nas lał, a język przysychał nam do podniebienia... W nocy zimno kąsało jak pies... Pociechy znikąd — nic, jeno strapienie, żal za utraconym szczęściem, strapienie i mordęga. Słowa tego nie wypowiedzą... W jednej ostoi, już na ziemi greckiej, widzieliśmy z pokładu one sławne ruinas świątyń, które jeszcze Graeci starożytni wznieśli... Kolumna stoi tam przy kolumnie, jakoby ze złota, a to marmur tak

pożółkł od starości. Widać zaś dobrze, bo to na wzgórzu nagim i niebo tam jako turkus... Potem pożeglowaliśmy naokół Peloponezu. Dzień szedł za dniem, tydzień za tygodniem, myśmy z Dydiukiem słowa do siebie nie rzekli, bo jeszcze hardość i zawziętość mieszkała w naszych sercach... Ale poczęliśmy z wolna kruszeć pod ręką bożą. Z trudu i zmienności aury grzeszne cielsko jęło nam prawie odpadać od kości; rany surowcem zadane gnoiły się na słońcu. W nocy modliliśmy się o śmierć. Co się zdrzemnę, to słyszę, jako Dydiuk mówi: „Chryste pomyłuj! Swiataja Preczystaja, pomyłuj! Daj umerty!" On też słyszał i widział, jakom ja do Bogarodzicielki i jej Dzieciątka ręce wyciągał... A tu jakoby wiatr morski urazę z serca zwiewał... Coraz mniej, coraz mniej... W końcu, jakem nad sobą płakał, tom i nad nim płakał. Jużeśmy też oba spoglądali na siebie inaczej... Ba! poczęliśmy sobie świadczyć. Jak na mnie przyszły poty i śmiertelne znużenie, to on sam wiosłował; jak na niego, to ja... Przyniosą misę, każdy uważa, żeby i drugi miał. Ale patrzcie acaństwo, co to natura ludzka! Po prostu mówiąc, miłowaliśmy się już, ale żaden nie chciał tego pierwszy powiedzieć... Szelma w nim była, ukraińska dusza!... Dopieroż kiedyś okrutnie nam było źle i ciężko, a mówili w dzień, że nazajutrz spotkamy się z wenecjańską flotą. Żywności też było skąpo i wszystkiego nam żałowali prócz bicza. Przyszła noc: jęczymy z cicha i — on po swojemu, ja po swojemu — modlimy się jeszcze żarliwiej; patrzę ja przy świetle miesiąca, aż jemu łzy ciurkiem na brodę lecą. Wezbrało mi serce, więc mówię: „Dydiuk, toć my z jednych stron, odpuśćmy sobie winy". Jak to usłyszał — miły Boże! — kiedy chłopisko nie ryknie, kiedy się nie zerwie, aż łańcuchy zabrzękły. Przez wiosło padliśmy sobie w ramiona, całując się i płacząc... Nie umiem rzec, jakośmy się długo trzymali, bo tam już i pamięć nas odeszła, jenośmy się trzęśli ode łkania.

Tu przerwał pan Muszalski i coś koło oczu palcami przebierać począł. Nastała chwila ciszy, jeno zimny wiatr północny poświstywał między bierwionami, a w izbie ogień syczał i świerszcze grały. Za czym pan Muszalski odsapnął i tak dalej prawił:

— Pan Bóg, jako się okaże, pobłogosławił nas i łaskę swoją okazał, ale na razie gorzko przypłaciliśmy ów braterski sentyment. Oto trzymając się w objęciach poplątaliśmy tak łańcuchy, żeśmy ich odczepić nie mogli. Przyszli dozorcy i dopiero nas rozczepili, ale kańczug więcej godziny świstał nad nami. Bito nas nie patrząc gdzie. Popłynęła krew ze mnie, popłynęła z Dydiuka, pomieszała się i poszła jednym strumieniem w morze. No! Nic to! Stare dzieje... na chwałę Bożą!...

Od tej pory nie przyszło mi do głowy, że ja od Samnitów pochodzę, a on chłop białocerkiewski, niedawno uszlachcon. I brata rodzonego nie mógłbym więcej miłować,

jakom jego miłował. Choćby też i nie był uszlachcon, jedno by mi było — choć wolałem, że był. A on, po staremu, jako niegdyś nienawiść, tak teraz miłość oddawał z nawiązką. Taką już miał naturę.

Nazajutrz była bitwa. Wenecjanie rozegnali naszą flotę na cztery wiatry. Nasza galera, potrzaskana srodze z kolubryn, zataiła się przy jakowejś pustej wysepce, po prostu skale z morza sterczącej. Trzeba ją było reperować, a że żołnierze poginęli i rąk brakło, musieli nas rozkuć i siekiery nam dać. Jakośmy tylko na ląd wysiedli, spojrzę na Dydiuka, a u niego już to samo w głowie, co u mnie. „Zaraz?" — pyta mnie. „Zaraz!" — mówię i nie myśląc dłużej, w łeb Czubaczego; wtem on samego kapitana. Za nami inni jako płomień! W godzinę skończyliśmy z Turkami, potem zładziliśmy jako tako galerę i siedli na nią bez łańcuchów, a Bóg miłosierny kazał wiatrom przywiać nas do Wenecji.

O żebranym chlebie dostaliśmy się do Rzeczypospolitej. Podzieliłem się z Dydiukiem podjasielską substancją i oba zaciągnęliśmy się znowu, żeby za nasze łzy i naszą krew zapłacić. Podczas podhajeckiej Dydiuk poszedł na Sicz do Sirki, a z nim razem do Krymu. Co tam wyrabiali i jak znaczną uczynili dywersję, o tym acaństwo wiecie.

W czasie powrotu Dydiuk, syt zemsty, od strzały poległ. Ja ostałem i teraz oto, ilekroć łuk naciągam, czynię to na jego intencję, a żem tym sposobem nieraz już duszę jego uradował, na to świadków w tej zacnej kompanii nie braknie.

Tu znowu umilkł pan Muszalski i znów słychać było tylko poświst północnego wiatru i trzaskanie ognia. Stary wojownik utkwił wzrok w płonące kłody i po długim milczeniu tak skończył:

— Był Nalewajko i Łoboda, była chmielnicczyzna, a teraz jest Dorosz; ziemia z krwi nie osycha, kłócim się i bijem, a przecie Bóg posiał w serca nasze jakoweś semina miłości, jeno że one jakoby w płonnej glebie leżą i dopiero gdy je łzy a krew podleje, dopiero pod uciskiem i pod kańczugiem pogańskim, dopiero w tatarskiej niewoli niespodziane wydają frukta.

— Cham chamem! — rzekł nagle budząc się pan Zagłoba.

Rozdział XXIV

Mellechowicz z wolna przychodził do zdrowia, ale że w podjazdach jeszcze udziału nie brał i siedział zamknięty w izbie, przeto nikt sobie nim głowy nie zaprzątał, gdy nagle zaszedł wypadek, który zwrócił nań powszechną uwagę.

Oto Kozacy pana Motowidły chwycili Tatara, dziwnie jakoś koło stanicy myszkującego, i przyprowadzili go do Chreptiowa.

Po doraźnym zbadaniu jeńca pokazało się, iż był to Lipek, ale z tych, którzy niedawno służby i siedziby w Rzeczypospolitej porzuciwszy, pod władzę sułtańską się udali. Przybywał on z tamtej strony Dniestru i miał ze sobą listy od Kryczyńskiego do Mellechowicza.

Pan Wołodyjowski zaniepokoił się tym bardzo i zaraz zwołał starszyznę na naradę.

— Mości panowie — rzekł — wiecie dobrze, jako wielu Lipków, nawet z takich, którzy od niepamiętnych lat na Litwie i tu na Rusi siedzieli, teraz do ordy przeszło, zdradą się za dobrodziejstwa Rzeczypospolitej wywdzięczając. Owóż słuszna jest: wszystkim nie nazbyt ufać i bacznym okiem na uczynki ich poglądać. Mamy i tu chorągiewkę lipkowską, sto pięćdziesiąt koni dobrych liczącą, której Mellechowicz przywodzi. Tego Mellechowicza ja nie od dawna znam; wiem jeno to, że go hetman za znamienite usługi setnikiem uczynił i tu mi go z ludźmi przysłał. Dziwno mi też było, że go nikt z waszmościów dawniej, przed jego do służby wstąpieniem, nie znał i o nim nie słyszał... Że go Lipkowie nasi nad miarę miłują i ślepo słuchają, to sobie męstwem jego i sławnymi akcjami tłumaczyłem, ale i oni pono nie wiedzą, skąd on jest i co za jeden. Nie podejrzewałem go dotąd o nic anim też wypytywał na poleceniu hetmańskim poprzestając, chociaż on jakowąś tajemnicą się osłaniał. Różne ludzie miewają humory, a mnie do niczyjego nic, byle każden służbę pełnił. Oto jednak ludzie pana Motowidły złowili Tatarzyna, który list od Kryczyńskiego do Mellechowicza przywiózł, a nie wiem, czy waściom wiadomo, kto jest Kryczyński?

— Jakże! — rzekł pan Nienaszyniec. — Kryczyńskiego znałem osobiście, a teraz go wszyscy ze złej sławy znają.

— Razemeśmy do szkół... — zaczął pan Zagłoba, ale uciął nagle, pomiarkowawszy, że w takim razie Kryczyński musiałby mieć dziewięćdziesiąt lat, a w takim wieku ludzie zwykle już nie wojują.

— Krótko mówiąc — rzekł mały rycerz — Kryczyński Tatar polski. Był on pułkownikiem jednej z naszych lipkowskich chorągwi, za czym ojczyznę zdradził i do

dobrudzkiej ordy przeszedł, gdzie, jako słyszałem, wielkie ma znaczenie, bo tam się widać spodziewają, że on i resztę Lipków na pogańską stronę przeciągnie. Z takim to człowiekiem Mellechowicz w praktyki wchodzi, a najlepszym dowodem ten list, którego tenor jest następujący.

Tu mały pułkownik rozwinął karty listu, uderzył po nich wierzchem dłoni i czytać począł:

„Wielce miły duszy mojej bracie! Posłaniec twój dostał się do nas i pismo oddał…”

— Po polsku pisze? — przerwał pan Zagłoba.

— Kryczyński, jako wszyscy nasi Tatarzy, jeno po rusińsku i po polsku umiał — odrzekł mały rycerz — a Mellechowicz też pewnie po tatarsku nie ugryzie. Słuchajcie waszmościowie nie przerywając:

„…i pismo oddał, Bóg sprawi, że wszystko będzie dobrze i że dokażesz, czego zechcesz. My się tu z Morawskim, Aleksandrowiczem, Tarasowskim i Grocholskim często naradzamy, a do innych braci pisujemy, rady ich także zasięgając nad sposobem, jakoby to, czego ty, miły, chcesz, jak najprędzej stać się mogło. Żeś zaś na zdrowiu, jako nas wieść doszła, szwank poniósł, przeto człowieka posyłam, aby cię, miły, oczyma ujrzał i pociechę nam przyniósł. Tajemnicy pilno przestrzegaj, bo broń Bóg, aby za wcześnie się wydało. Niech Bóg rozmnoży pokolenie twoje jako gwiazdy na niebie.

Kryczyński”

Pan Wołodyjowski skończył i począł oczyma wodzić po obecnych, a gdy milczeli ciągle, pilnie widać treść pisma rozważając, rzekł:

— Tarasowski, Morawski, Grocholski i Aleksandrowicz, wszystko to dawni rotmistrze tatarscy i zdrajcy.

— To samo Poturzyński, Tworowski i Adurowicz — dodał pan Snitko.

— Co acaństwo o tym liście mówicie?

— Zdrada jawna; tu nie ma nad czym deliberować — rzekł pan Muszalski. — Po prostu wąchają się z Mellechowiczem, aby i naszych Lipków na ich stronę przeprowadził, a on się zgadza.

— Dla Boga! Co za periculum dla całej komendy — zawołało kilka głosów. — Toż Lipkowie duszę za Mellechowicza by oddali i jak on im rozkaże, to w nocy nas napadną.

— Najczarniejsza zdrada pod słońcem! — wołał pan Deyma.

— I sam hetman tego Mellechowicza setnikiem uczynił! — rzekł pan Muszalski.

— Panie Snitko — ozwał się Zagłoba — com mówił, kiedym Mellechowicza obaczył? Czym waćpanu nie powiedział, że renegat i zdrajca oczyma tego człowieka patrzy? Ha!

Dość mi na niego było spojrzeć! Wszystkich mógł oszukać, ale nie mnie! Powtórz waść moje słowa, panie Snitko, nic nie zmieniaj. Nie powiedziałżem, iż to jest zdrajca?

Pan Snitko wsunął nogi pod ławę i skłonił głowę.

— Podziwiać istotnie należy przenikliwość waszmość pana, chociaż, co prawda, to nie pamiętam, żeby go waszmość pan zdrajcą nazwał. Powiedziałeś tylko waszmość pan, iż mu wilkiem z oczu patrzy.

— Ha! Więc acan utrzymujesz, że pies zdrajca, a wilk nie zdrajca, że wilk nie ukąsi ręki, która go gładzi i jeść mu daje? Więc to pies zdrajca? Może waćpan jeszcze i Mellechowicza będziesz bronił, a nas wszystkich zdrajcami uczynisz?...

Skonfundowany w ten sposób pan Snitko otworzył szeroko oczy i usta i tak zdumiał, że słowa przez czas jakiś przemówić nie mógł.

Tymczasem pan Muszalski, który prędkie miał zdanie, zaraz rzekł:

— Naprzód należy nam Panu Bogu podziękować, iż tak niecne praktyki się odkryły, a potem sześciu draganów wykomenderować z Mellechowiczem i kulą w łeb!

— Potem tylko innego setnika mianować — dodał pan Nienaszyniec.

— Zdrada tak jawna, że i pomyłki być nie może.

Na to Wołodyjowski:

— Naprzód należy Mellechowicza wybadać, a potem panu hetmanowi o tych praktykach dam znać, bo jako mnie pan Bogusz z Ziębic powiadał, wielce Lipkowie panu marszałkowi koronnemu na sercu leżą.

— Ale waszej mości — rzekł zwracając się do małego rycerza pan Motowidło — całkowita względem Mellechowicza przysługuje inkwizycja, gdyż on nigdy towarzyszem nie był.

— Moje prawo znam — odparł Wołodyjowski — i nie potrzebujesz mi go waćpan przypominać.

Wtem inni poczęli wołać:

— Niechże nam stanie do oczu ów taki syn, ów przedawczyk i zdrajca!

Gromkie wołania zbudziły pana Zagłobę, któren był się nieco zdrzemnął, co mu się już ustawicznie przytrafiało; więc przypomniał sobie prędko, o czym była mowa, i rzekł:

— Nie, panie Snitko, miesiąc się w klejnociku zataił, ale dowcip waćpanowy jeszcze się lepiej zataił, bo i ze świecą nikt go nie znajdzie. Mówić, że pies, canis fidelis, zdrajca, a wilk nie zdrajca! Pozwól asindziej! waćpan już zupełnie w piętkę gonisz!

Pan Snitko podniósł oczy do nieba na znak, jak niewinnie cierpi, ale nie chciał sprzeczką drażnić staruszka, a wtem też Wołodyjowski kazał mu iść po Mellechowicza, więc wyszedł spiesznie, kontent, że tym sposobem wymknąć się może.

Po chwili wrócił prowadząc młodego Tatara, któren widocznie nic o złowieniu Lipka jeszcze nie wiedział, bo wszedł śmiało. Smagła i piękna jego twarz wybladła wielce, ale zdrów już był i głowy nawet nie obwiązywał chustami, tylko ją przykrywał krymką z czerwonego aksamitu.

Oczy wszystkich wpatrzone były w niego jak w tęczę, on zaś skłonił się małemu rycerzowi dość nisko, reszcie kompanii dość hardo.

— Mellechowicz! — rzekł Wołodyjowski utkwiwszy w Tatara bystre swe źrenice — czy znasz pułkownika Kryczyńskiego?

Przez twarz Mellechowicza przeleciał cień nagły i groźny.

— Znam! — odrzekł.

— Czytaj! — rzekł mały rycerz podając mu list znaleziony przy Lipku.

Mellechowicz począł czytać i nim skończył, spokój wrócił mu na lica.

— Czekam rozkazu — rzekł zwracając list.

— Jak dawno zdradę zamierzyłeś i jakich masz tu w Chreptiowie wspólników?

— Tom o zdradę oskarżon?

— Odpowiadaj, nie pytaj! — rzekł groźnie mały rycerz.

— Za czym taki dam respons: zdrady nie zamierzyłem, wspólników nie miałem; a jeślim miał, to takich, których waćpanowie sądzić nie będziecie.

Usłyszawszy to żołnierze poczęli zgrzytać i zaraz kilka groźnych głosów ozwało się:

— Pokorniej, psi synu, pokorniej! Przed godniejszymi od siebie stoisz!

Na to Mellechowicz począł spoglądać na nich wzrokiem, w którym błyszczała chłodna nienawiść.

— Wiem, com panu komendantowi powinien, jako zwierzchności mojej — odrzekł kłaniając się powtórnie Wołodyjowskiemu — wiem i to, żem od waćpanów tańszy, dlatego ich kompanii nie szukam; wasza miłość — tu zwrócił się znów do małego rycerza — pytała mnie o wspólników; mam ich w mojej robocie dwóch: jeden jest pan podstoli nowogrodzki, Bogusz, a drugi pan hetman wielki koronny.

Usłyszawszy te słowa zdumieli się wszyscy bardzo i przez chwilę panowało milczenie, na koniec pan Wołodyjowski wąsikami ruszył i spytał:

— Jakże to?

— Takim sposobem — odrzekł Mellechowicz — że wprawdzie Kryczyński, Morawski, Tworowski, Aleksandrowicz i wszyscy inni do ordy przeszli i siła już złego ojczyźnie uczynili, ale szczęścia w nowej służbie nie znaleźli. Może też i sumienie ich ruszyło, dość, że im się i służba, i miano zdrajców przykrzy. Pan hetman dobrze o tym wie i panu Boguszowi, a także i panu Myśliszewskiemu polecił na powrót ich pod chorągwie Rzeczypospolitej spraktykować, pan Bogusz zaś mnie do tego użył i porozumiewać mi się z Kryczyńskim rozkazał. Mam w kwaterze listy od pana Bogusza, które okazać mogę, a którym lepiej od moich słów wasza miłość uwierzysz.

— Idź z panem Snitką po owe listy i przynieś je natychmiast.

Mellechowicz wyszedł.

— Mości panowie — rzekł prędko mały rycerz — wielceśmy pono tego żołnierza zbyt rychłym posądzeniem pokrzywdzili, bo jeśli on te listy ma i prawdę mówi — a poczynam myśleć, że tak jest — tedy to nie tylko kawaler akcjami wojennymi wsławiony, ale człowiek na dobro ojczyzny czuły, i nagroda, nie krzywe sądy, powinna go za to spotkać. Dla Boga! Trzeba to będzie prędko naprawić!

Inni pogrążeni byli w milczeniu, nie wiedząc, co rzec, pan Zagłoba zaś przymknął oczy i tym razem udawał, że drzemie.

Tymczasem wrócił Mellechowicz i podał Wołodyjowskiemu list Bogusza.

Mały rycerz począł czytać, co następuje:

„Ze wszystkich stron słyszę, że nikogo nad cię przydatniejszego do takiej posługi nie ma, a to dla dziwnej miłości, którą oni k”tobie płoną. Pan hetman gotów im przebaczyć i przebaczenie Rzeczypospolitej na się bierze. Z Kryczyńskim się znoś jako najczęściej przez ludzi pewnych i praemium mu obiecuj. Tajemnicę pilnie obserwuj, bo dla Boga, zgubiłbyś ich wszystkich. Panu Wołodyjowskiemu jednemu „arcana” dywulgować możesz, bo to twój zwierzchnik i siła ułatwić ci potrafi. Trudu i starania nie żałuj bacząc, że finis coronat opus, i bądź pewien, że za ową życzliwość matka nasza równą ci miłością nagrodzi.”

— Ot mi nagroda! — mruknął ponuro młody Tatar.

— Na miły Bóg! Czemużeś nikomu słowem nie wspomniał? — zakrzyknął Wołodyjowski.

— Waszej miłości chciałem wszystko powiedzieć, alem nie miał jeszcze kiedy, bom po owym szwanku chorował; przed ichmościami — tu Mellechowicz zwrócił się ku oficerom — miałem tajemnicę nakazaną, któren nakaz milczenia zechcesz pewnikiem wasza miłość teraz znów ichmościom wydać, aby tamtych nie zgubić.

— Dowody twojej cnoty są tak oczywiste, że i ślepy by im zaprzeczyć nie mógł — rzekł mały rycerz. — Prowadź dalej dzieło z Kryczyńskim. Żadnej przeszkody mieć w tym nie będziesz, chyba pomoc, na co ci moją rękę, jako zacnemu kawalerowi, daję. Przyjdźże dziś do mnie na wieczerzę.

Mellechowicz uścisnął podaną mu rękę i skłonił się po raz trzeci. Z kątów ruszyli się ku niemu i inni oficerowie mówiąc:

— Tośmy się na tobie nie poznali, ale nie umknie ci dziś ręki, kto cnotę kocha.

Lecz młody Lipek wyprostował się nagle i przechylił w tył głowę jak ptak drapieżny dziobać gotowy.

— Przed godniejszymi stoję — rzekł.

Po czym wyszedł z izby.

Uczyniło się gwarno po jego wyjściu. „Nic dziwnego — mówili między sobą oficerowie — burzy mu się jeszcze serce o to posądzenie, ale to minie. Trzeba nam inaczej go traktować. Fantazją ma on prawdziwie kawalerską! Wiedział hetman, co robił! Dziwy się dzieją, no, no!...”

Pan Snitko triumfował po cichu i w końcu nie mógł wytrzymać, lecz zbliżywszy się do pana Zagłoby, skłonił mu się i rzekł:

— Pozwól waszmość pan, a tak i ów wilk nie zdrajca...

— Nie zdrajca? — odparł Zagłoba — Zdrajca, jeno cnotliwy zdrajca, bo nie nas, ale ordę zdradza... Nie trać waćpan nadziei, panie Snitko, będę się co dzień modlił za waści dowcip, może się Duch Święty zlituje!

Basia cieszyła się wielce, gdy jej pan Zagłoba o całej sprawie opowiedział, bo miała dla Mellechowicza życzliwość i litość.

Ale mały rycerz począł gładzić po różowej twarzy Baśkę i odrzekł:

— O, mucho utrapiona, znają cię! Nie o Mellechowicza ani o ufność ci chodzi, jeno by ci się chciało w step lecieć i bitwy zażyć! Nic z tego...

To rzekłszy począł ją raz po razu całować w usta.

— Mulier insidiosa est! — rzekł z powagą Zagłoba.

Tymczasem Mellechowicz siedział z owym przysłanym Lipkiem w swojej kwaterze i rozmawiali po cichu. Siedzieli tak blisko siebie, że prawie czołem w czoło. Kaganek z baraniego łoju płonął na stole, rzucając żółte blaski na twarz Mellechowicza, która była mimo całej swej piękności po prostu straszna, taka malowała się w niej zawziętość, okrucieństwo i dzika radość.

— Halim, słuchaj! — szeptał Mellechowicz.

— Effendi — odrzekł posłaniec.

— Powiedz Kryczyńskiemu, że mądry, bo w piśmie nie było nic, co by mnie mogło zgubić. Powiedz mu, że mądry. Niech nigdy wyraźniej nie pisuje... Oni mi teraz będą jeszcze bardziej ufali... wszyscy! Sam hetman, Bogusz, Myśliszewski, tutejsza komenda — wszyscy! Słyszysz? Niech ich mór wydusi!

— Słyszę, effendi.

— Ale naprzód w Raszkowie muszę być, a potem tu wrócić.

— Effendi, młody Nowowiejski cię pozna.

— Nie pozna. Widział mnie już pod Kalnikiem, pod Bracławiem i nie poznał. Patrzy we mnie, brwi marszczy, ale nie poznaje. On miał piętnaście lat, jak z domu uciekł. Ośm razy zima od tego czasu stepy pokryła. Zmieniłem się. Stary by mnie poznał, ale młody nie pozna... Z Raszkowa dam ci znać. Niech Kryczyński będzie gotów i blisko się trzyma. Z perkułabami musicie porozumienie mieć. W Jampolu także nasza chorągiew jest. Boguszowi wmówię, żeby u hetmana ordynans dla mnie do Raszkowa wyrobił, że stamtąd łatwiej mi będzie Kryczyńskiego praktykować. Ale tu muszę wrócić... muszę!... Nie wiem, co się zdarzy, jako się ułoży... Ogień mię pali, w nocy sen ode mnie ucieka... Gdyby nie ona, byłbym zmarł...

— Błogosławione jej ręce.

Wargi Mellechowicza poczęły się trząść i pochyliwszy się jeszcze bliżej ku Lipkowi, jął szeptać jakoby w gorączce:

— Halim! Błogosławione jej ręce, błogosławiona głowa, błogosławiona ziemia, po której chodzi, słyszysz, Halim! Powiedz tam im, żem już zdrów — przez nią...

Rozdział XXV

Ksiądz Kamiński, za młodych lat żołnierz i kawaler wielkiej fantazji, siedział pod starość w Uszycy i parafię restaurował. Ale że kościół był w zgliszczach, a parafian brakło, zajeżdżał ów proboszcz bez owieczek do Chreptiowa i po całych tygodniach tam przesiadując, rycerstwo pobożnymi naukami budował.

Wysłuchawszy więc z uwagą opowieści pana Muszalskiego, w kilka wieczorów później tak ozwał się do zgromadzonych:

— Lubiłem ja zawsze słuchać takowych opowiadań, w których żałosne przygody szczęśliwy swój koniec mają, gdyż widoczna z nich, że kogo boża ręka piastuje, tego z

łowczych obieży wyzuć każdego czasu potrafi i choćby z Krymu pod spokojny dach zaprowadzi.

Dlatego niech każdy z waściów raz na zawsze to sobie zakonotuje, iż dla Pana Boga nie masz nic niepodobnego, i niechże w najcięższych nawet terminach ufności w jego miłosierdzie nie traci.

Ot, co jest!

Chwali się to panu Muszalskiemu, że prostego człeka braterską miłością pokochał. Przykład tego dał nam sam Zbawiciel, który z królewskiej krwi pochodząc, przecie prostaków kochał, wielu z nich apostołami mianował i do promocji im dopomógł, tak że owi teraz w senacie niebieskim zasiadają.

Lecz co inszego jest miłość prywatna, a co inszego generalna jednej nacji ku drugiej, którą to generalną pan nasz Zbawiciel nie mniej pilnie obserwować nakazał. A gdzie ona? Kiedy, człeku, rozglądniesz się po świecie, to taka wszędy zawziętość w sercach, jakoby ludzie diabelskich, nie boskich przykazań słuchali.

— Mój jegomość — odrzekł pan Zagłoba — trudno nas przekonasz, abyśmy Turczyna, Tatara lub innych barbarów miłować mieli, którymi i sam Pan Bóg zgoła brzydzić się musi.

— Do tego ja waści nie namawiam, jeno to utrzymuję, że dzieci eiusdem matris kochać się powinny, a owóż zamiast tego od chmielnicczyzny, czyli od trzydziestu lat, wszystkie te kraje z krwi nie osychają.

— A z czyjej winy?

— Kto się pierwszy do niej przyzna, temu pierwszemu Bóg ją odpuści.

— Jegomość dziś szatki duchowne nosisz, a za młodu bijałeś rebelizantów, jakośmy słyszeli, wcale nie zgorzej…

— Bijałem, bom był powinien, jako żołnierz, i nie to mój grzech, ale to, żem ich przy tym jako zarazy nienawidził. Miałem swoje prywatne racje, o których nie będę wspominał, bo to dawne czasy i rany owe zaschły. W tym się kajam, żem nad powinność czynił. Miałem pod swoją komendą sto ludzi z chorągwi pana Niewodowskiego i często luzem chodząc, z nimim palił, ścinał, wieszał… Waszmościowie wiecie, jakie to były czasy. Palili i ścinali Tatarzy przez Chmiela na pomoc wezwani, paliliśmy i ścinali my. Kozactwo też wodę a ziemię tylko wszędy zostawiało, gorszych jeszcze dopuszczając się od nas i od Tatarów okrucieństw. Nie masz nic straszniejszego nad wojnę domową… Co to były za czasy, tego nikt nie wypowie, dość, że my i oni byliśmy do psów wściekłych niż do ludzi podobniejsi… Raz dano znać do naszej komendy, że hultajstwo pana

Rusieckiego w jego fortalicji oblega. Posłano mnie z moimi ludźmi na ratunek. Przyszedłem za późno. Fortalicja była już z ziemią zrównana. Napadłem jednak na chłopstwo pijane i znacznie wyciąłem, część się tylko w zbożu zataiła; tych kazałem żywcem brać, by ich dla przykładu obwiesić. Ale gdzie? Łatwiej było zamierzyć niż dokonać: w całej wsi nie zostało ani jednego budynku, ani jednego drzewa, nawet hryćkowe grusze na miedzach samotnie stojące były pościnane. Nie miałem czasu szubienicy stawiać; lasu też, jako to w kraju stepowym, nigdzie w pobliżu. Co robić? Biorę ja moich jeńców i idę. Już też przecie znajdę gdzie jaki dębczak rosochaty. Idę milę, idę dwie — step i step, choć kulą potoczyć. Trafiamy wreszcie na ślady jakiejś wioski, było to pod wieczór; patrzę, oglądam się: tu i owdzie kupa węgli, a zresztą siwy popiół; znowu nic! Na wzgórku maluchnym krzyż przecie został, duży, dębowy, niedawno widać uczyniony, bo drzewo nic jeszcze nie sczerniało i świeciło się przy zorzy, jakoby z ognia. Chrystus był na nim z blachy wycięty i tak właśnie pomalowany, że dopiero z boku zaszedłszy i cienkość blachy widząc poznałeś, iż nieprawdziwe ciało wisi; ale z przodu twarz miał jakoby żywą, od boleści jeno nieco przybladłą, i cierniową koronę, i oczy do góry podniesione z okrutnym smutkiem i żałością. Gdym tedy ujrzał ów krzyż, mignęła mi przez głowę myśl: „Ot drzewo, inszego nie masz" — alem się zaraz zląkł. W imię Ojca i Syna! Na krzyżu ich nie będę wieszał! Ale zrozumiałem, że ucieszę oczy Chrystusowe, gdy w jego oblicznośći każę tych, którzy tyle krwi niewinnej przelali, pościnać, i mówię tak: „Panie miły, niechże ci się zdaje, że to owi Żydowinowie, którzy ciebie na krzyż przybili, bo ci od nich nie lepsi". Wtem kazałem ich po jednemu porywać, na mogiłkę pod krzyż podprowadzać i ścinać. Byli między nimi starzy, siwi chłopi i pacholęta! Pierwszy tedy, którego przyprowadzono, mówi: „Przez mękę Pańską, przez tegoż Chrysta, pomiłuj panie!" A ja na to: „Po szyi go!" Dragon ciął i ściął... Przyprowadzono drugiego, ten to samo: „Przez tego Chrystusa miłosiernego pomiłuj!" A ja znów: „Po szyi go!" To samo z trzecim, czwartym, piątym; było ich czternastu, a każdy mię przez Chrysta zaklinał... Już i zorze zgasły, gdyśmy skończyli. Kazałem ich położyć kręgiem koło stóp krzyża... Głupi! Myślałem, że tym widokiem Syna Jedynego udelektuję, oni zaś ruchali czas jakiś to rękami, to nogami, czasem rzucił się który jako ryba z wody wyjęta, ale krótko tego było; niebawem wigor opuścił ich ciała i leżeli wianuszkiem cicho.

Że to już ciemność uczyniła się zupełna, postanowiłem zostać na nocleg, chociaż ognisk nie było z czego rozpalić. Noc Bóg dał ciepłą, więc moi ludzie radzi pokładli się na derach, ja zaś poszedłem sobie jeszcze pod krzyż, u nóżek Chrystusowych zwyczajne

pacierze odmówić i miłosierdziu jego się polecić. A myślałem, że modlitwa moja tym wdzięczniej zostanie przyjęta, że mi dzień zeszedł w pracy i w takich uczynkach, które za zasługę sobie poczytywałem.

Często się utrudzonemu żołnierzowi przytrafia, że począwszy wieczorne pacierze, uśnie. Trafiło się to i mnie. Dragoni widząc, jakom klęczał z głową opartą o krzyż, rozumieli, żem się w pobożnych rozmyślaniach zatopił, i żaden mi ich przerywać nie chciał; moje oczy zaś zaraz się przymknęły i sen dziwny zeszedł na mnie od tego krzyża. Nie powiem, że miałem widzenie, bom go i był, i jestem niegodzien, ale śpiąc twardo, widziałem jakoby na jawie całą mękę Pańską... Na widok tedy opresji Baranka niewinnego skruszało we mnie serce, śluzy puściły mi się z oczu i żałość zdjęła mnie niezmierna: „Panie — mówię — mam oto garść dobrych pachołków: chceszli widzieć, co nasza jazda, skiń jeno głową, a ja tych takich synów, twoich katów, w mig na szablach rozniosę." Ledwiem to rzekł, znikło mi wszystko z oczu, został tylko sam krzyż, a na nim Chrystus krwawymi łzami płaczący... Obejmuję ja więc podnóżek drzewa świętego i też ślocham. Jak to długo trwało, nie wiem, ale po owym czasie, uspokoiwszy się nieco, znów rzeknę: „Panie, Panie! Przecz żeś wśród zatwardziałych Żydowinów naukę twoją świętą opowiadał? Żebyś był z Palestyny do naszej Rzeczypospolitej przyszedł, pewnie nie bylibyśmy cię na krzyż przybijali, ale wdzięcznie przyjęli, wszelakim dobrem obdarzyli i indygenat ci dali dla tym większego twojej boskiej chwały pomnożenia. Czemuś tak nie uczynił, o Panie?"

Rzekłszy podniosłem oczy ku górze (we śnie to zawsze było, pamiętajcie acaństwo) i cóż widzę? Oto Pan nasz spogląda na mnie surowie, brwi marszczy i nagle wielkim głosem tak odrzecze: „Tanie teraz wasze szlachectwo, bo je czasów wojny szwedzkiej każdy łyk mógł kupić; ale mniejsza z tym! Warciście siebie wzajem i wy, i hultajstwo, a jedni i drudzy gorsiście od Żydowinów, bo wy mię tu co dzień na krzyż przybijacie... Zalim to nie nakazał miłości nawet dla nieprzyjaciół i przebaczania win, a wy, jakoby wściekłe zwierza, wnętrzności targacie sobie wzajem. Na co ja patrząc mękę nieznośną cierpię. Ty zaś sam, któryś mnie chciał odbijać, a potem do Rzeczypospolitej zapraszał, cóżeś uczynił? Oto trupy tu naokół krzyża mego leżą i krew obryzgała mu podnóże, a przecie byli między nimi niewinni, pacholęta młode, albo ludzie zaślepieni, którzy rozgarnięcia nijakiego nie mając za innymi jako głupie owce poszli. Miałżeś nad nimi miłosierdzie, sądziłżeś ich przed śmiercią? Nie! Kazałeś ich wszystkich pościnać i jeszcześ myślał, że mnie tym ucieszysz. Zaprawdę, co inszego jest karcić i karać, tak jako ojciec syna karze, tak jako starszy brat młodszego karci, a co inszego mścić się,

sądu nie dawać, miary w karaniu i okrucieństwie nie znać. Do tego już doszło, że na tej ziemi wilcy miłosierniejsi od ludzi, że tu trawy krwawą rosą się pocą, wichry nie wieją, ale wyją, rzeki łzami płyną i ludzie do śmierci ręce wyciągają mówiąc: „Ucieczko nasza!...”

— Panie! — zawołałem — Zali oni lepsi od nas? Kto największe okrucieństwa czynił? Kto pogan sprowadzał?...

— Miłujcie ich nawet karząc — odrzekł Pan — a wówczas bielmo spadnie z ich oczu, zatwardziałość ustąpi z serc i miłosierdzie moje będzie nad wami. Inaczej przyjdzie nawała tatarska i łyka nałoży wam i im — i nieprzyjacielowi będziecie musieli służyć w umartwieniu, w pogardzie, we łzach, aż do dnia, w którym pokochacie się wspólnie. Jeśli zaś miarę w zawziętości przebierzecie, tedy nie będzie ani dla jednych, ani dla drugich zmiłowania i poganin posiędzie tę ziemię na wieki wieków!

Struchlałem słuchając takowych zapowiedzi i długi czas słowa nie mogłem przemówić, dopiero rzuciwszy się na twarz pytałem:

— Panie, co ja mam czynić, aby grzechy moje zmazać?

Na to Pan rzekł:

— Idź, powtarzaj słowa moje, głoś miłość!

Po tej odpowiedzi sny moje znikły. Że to noc latem krótka, obudziłem się już o brzasku i cały rosą okryty. Spojrzę: głowy wiankiem około krzyża leżą, jeno już posiniałe. Dziwna rzecz, wczoraj radował mnie ten widok, dziś zgroza mię chwyciła, zwłaszcza na widok głowy jednego pacholęcia lat może siedmnastu, które nad miarę było piękne. Kazałem żołnierzom pogrześć przystojnie ciała pod tym samym krzyżem i odtąd — byłem już nie ten.

Z początku, bywało, myślałem sobie: sen mara! Ale przecie tkwił on mi w pamięci i jakoby jestestwo całe coraz bardziej ogarniał. Nie śmiałem suponować, żeby sam Pan ze mną gadał, bo jakom już rzekł: nie czułem się godnym, ale mogło być to, że sumienie, które się było czasu wojny przytaiło w duszy jako Tatar w trawach, teraz ozwało się nagle wolę mi boską oznajmując. Poszedłem do spowiedzi: ksiądz potwierdził to mniemanie. „Jawna (powiada) wola i przestroga Boża, słuchaj ich, bo będzie z tobą źle.”

Odtąd począłem głosić miłość.

Ale towarzystwo i oficyjerowie śmieli mi się w oczy. „A coś to (prawią) ksiądz, żebyś nam nauki dawał? Małoż to owi psubratowie dyzgustów Bogu naczynili, mało napalili kościołów, mało nahańbili krzyżów? Mamy się za to w nich kochać?” Słowem, nikt mnie nie słuchał.

Więc po beresteckiej wdziałem te oto szatki duchowne, aby z większą powagą słowo i wolę bożą ogłaszać.

Od dwudziestu przeszło lat czynię to bez spoczynku. Już mi i włosy pobielały... Bóg miłościw nie ukarze mnie za to, że głos mój był dotychczas głosem wołającego na puszczy.

Mości panowie, miłujcie nieprzyjaciół waszych, karzcie ich, jako ojciec karze, karzcie jako brat starszy karci, inaczej gorze im, ale gorze i wam, gorze całej Rzeczypospolitej.

Patrzcie, co za skutek owej wojny i zawziętości brata przeciw bratu? Oto pustynią stała się ta ziemia, mogiły mam w Uszycy za parafian; w zgliszczach kościoły, miasta, wsie, a pogańska potęga wzbiera i rośnie nad nami na kształt morza, które i ciebie, kamieniecka opoko, połknąć gotowe...

Pan Nienaszyniec słuchał z wielkim wzruszeniem mowy księdza Kamińskiego, aż mu pot wystąpił na czoło, potem tak ozwał się wśród powszechnego milczenia:

— Że są między kozactwem godni kawalerowie, przykładem tu obecny pan Motowidło, którego wszyscy kochamy i szanujem. Ale co do miłości generalnej, o której tak wymownie mówił ksiądz Kamiński, przyznaję, że w ciężkim grzechu dotąd żyłem, bo jej we mnie nie było i nie starałem się, żeby ją mieć. Teraz ksiądz jegomość nieco mi oczy otworzył. Bez szczególnej jednak łaski boskiej ja tej miłości w sercu nie znajdę, bo pamięć okrutnej krzywdy w nim noszę, którą krzywdę pokrótce tu opowiem.

— Napijmy się czego ciepłego — przerwał Zagłoba.

— Dorzućcie ognia do gruby — rzekła do pacholików Basia.

I wkrótce potem obszerna izba zajaśniała na nowo światłem, a przed każdym z rycerzy postawił pachoł kwartę z piwem grzanym. Wszyscy zaraz chętnie umoczyli w nim wąsy, a gdy pociągnęli raz i drugi, pan Nienaszyniec zabrał znów głos i tak mówił, jak gdyby wóz turkotał:

— Matka umierając poleciła mej opiece siostrę. Halszka jej było na imię. Nie miałem żony, dzieci, więc miłowałem oną dziewczynę jak źrenicę oka. Była dwadzieścia lat młodsza ode mnie i na rękum ją nosił. Po prostu: za dzieckom własne ją uważał. Potem poszedłem na wyprawę, a ją ogarnęła orda. Gdym wrócił, tłukłem łbem o ściany. Majętność w czasie inkursji przepadła, alem sprzedał, com miał: ostatni rząd na konia! I pojechałem z Ormiany, by ją wykupić. Znalazłem ją w Bachczysaraju. Była przy haremie, nie w haremie, bo miała dopiero dwanaście lat. Nie zapomnę nigdy, Halszko, tej chwili, kiedym cię odnalazł, jakoś mię za szyję objęła, jakoś mnie w oczy całowała!

Ale cóż! Pokazało się, że mało było tego, com przywiózł. Dziewka była piękna. Jehuaga, któren ją porwał, trzy razy tyle żądał! Chciałem siebie oddać w dodatku. Nie pomogło i to. W moich oczach kupił ją na targu wielki Tuhaj-bej, ów wróg nasz przesławny, któren chciał ją ze trzy lata przy haremie potrzymać, a później żonę swą z niej uczynić. Wracałem do kraju włosy rwąc. Po drodze dowiedziałem się, że w jednym ałusie przymorskim przemieszkuje jedna z żon Tuhaj-beja z jego ulubionym synalkiem, Azją... Tuhaj-bej po wszystkich miastach i wielu wsiach trzymał żony, aby wszędy miał swój wczas pod własnym dachem. Dowiedziawszy się ja o owym synaczku, pomyślałem, że Bóg ukazuje mi ostatni sposób ratunku dla Halszki, i zaraz postanowiłem małego Azję porwać, a potem za moją dziewczyninę go wymienić. Ale sam tego uczynić nie mogłem. Trzeba było na Ukrainie albo w Dzikich Polach watahę skrzyknąć, co nie było łatwe, bo raz, że imię Tuhaj-beja straszne było na wszystkiej Rusi, a po wtóre, onże kozactwu przeciw nam pomagał. Jednak niemało po stepach włóczy się mołojców, którzy tylko własnej korzyści patrzą i dla łupu wszędy iść gotowi. Tych zebrałem kupę znaczną. Cośmy przeszli, póki czajki nie wypłynęły na morze, tego język nie wysłowi, bo i przed starszyzną kozacką kryć nam się było trzeba. Ale Bóg pobłogosławił. Azję porwałem, z nim łupy znamienite. Pościg nas nie dognał i dostaliśmy się szczęśliwie na Dzikie Pola, skąd chciałem do Kamieńca zdążyć, by zaraz rozpocząć przez kupców tamecznych układy.

Rozdzieliłem wszystkie łupy między mołojców, sobie tylko Tuhajowe szczenię zostawując. A żem tak szczerze i hojnie z tymi ludźmi postąpił, żem poprzednio tylu przygód z nimi doznał, żem razem z nimi przymierał głodem i łba za nich nadstawiał, rozumiałem, że każdy z nich w ogień by za mną skoczył, żem sobie ich serca na wieki zjednał.

Gorzkom wkrótce miał za to odpokutować!

Nie przyszło mi do głowy, że oni własnych atamanów w sztuki rozdzierają, by się łupem po nich podzielić; zapomniałem, że nie masz między tymi ludźmi wiary, cnoty, wdzięczności ni sumienia... Blisko już Kamieńca skusiła ich nadzieja bogatego za Azję okupu. W nocy napadli na mnie jak wilcy, sznurem dusili za szyję, nożami popruli ciało, wreszcie, mając mnie za zdechłego, porzucili w pustyni, a sami z dzieckiem uszli.

Bóg mi zesłał ratunek i wrócił zdrowie; ale moja Halszka przepadła na wieki. Może tam żyje gdzie jeszcze, może po śmierci Tuhajowej inny ją pojął pohaniec, może Mahometa przyjęła, może o bracie zgoła zapomniała, może jej syn krew moją kiedyś wytoczy... Ot, moja historia!

Tu umilkł pan Nienaszyniec i począł ponuro w ziemię patrzyć.

— Ile naszej krwi i łez za te krainy wyciekło! — ozwał się pan Muszalski.

— Będziesz miłował nieprzyjacioły twoje — wtrącił ksiądz Kamiński.

— A przyszedłszy do zdrowia nie szukałeś waćpan owego szczeniaka? — spytał pan Zagłoba.

— Jakem się później dowiedział — odrzekł pan Nienaszyniec — na moich zbójów inna kupa zbójów napadła, która ich w pień wycięła. Ci wraz z łupami i dziecko porwać musieli. Szukałem wszędzie, ale jakoby kamień w wodę wpadło.

— Możeś je waćpan później gdzie i spotkał, ale go poznać nie mogłeś? — rzekła pani Basia.

— Dzieciak, nie wiem, czy miał trzy lata. Ledwie wiedział, że Azja było mu imię. Ale bym go był poznał, bo miał nad każdą piersią rybę wykłutą i siną barwą napuszczoną.

Nagle Mellechowicz, który dotąd siedział spokojnie, ozwał się dziwnym głosem z kąta izby:

— Po rybie byś go waszmość nie poznał, bo wielu Tatarów może takowy znak nosić, zwłaszcza z tych, którzy przy brzegach mieszkają.

— Nieprawda — odparł sędziwy pan Hromyka — po beresteckiej oglądaliśmy ścierwo Tuhaj-bejowe, bo na placu zostało, i wiem, że miał ryby na piersiach, a wszyscy inni polegli insze nosili znaki.

— A ja waćpanu mówię, że rybę nosi wielu.

— Tak, ale z wrażego Tuhaja pokolenia.

Dalszą rozmowę przerwało wejście pana Lelczyca, któren rankiem na podjazd przez Wołodyjowskiego wysłany, teraz właśnie z niego powracał.

— Panie komendancie — rzekł zaraz we drzwiach — u Sierocego Brodu, po multańskiej stronie, kupa jakowaś leży i ku nam zamyśla.

— Co za ludzie? — spytał pan Michał.

— Łotrzykowie. Jest trochę Wołoszy, trocha Węgrzynów, a najwięcej luźnej ordy, razem ze dwieście ludzi.

— To ci sami, o których miałem wiadomość, że po wołoskiej stronie plądrowali — rzekł Wołodyjowski. — Perkułab musiał ich tam nacisnąć, więc się do nas wymykają; ale tam samej ordy będzie ze dwieście. W nocy się przeprawią, a świtaniem im zastąpim. Pan Motowidło i Mellechowicz będą od północka gotowi. Stadko wołów na przynętę podegnać, a teraz do kwater.

Żołnierze poczęli się rozchodzić, ale nie wszyscy jeszcze opuścili izbę, gdy Basia podbiegłszy do męża zarzuciła mu ręce na szyję i poczęła coś szeptać w ucho. On uśmiechał się i trząsł odmownie głową, ona zaś widocznie nalegała, coraz mocniej zaciskając ręce koło jego szyi.

Widząc to pan Zagłoba rzekł:

— Uczyńże jej raz tę satysfakcję, to i ja stary z wami poczłapię.

Rozdział XXVI

Luźne watahy, które trudniły się rozbojem po obu stronach Dniestru, składały się z ludzi wszelkich narodowości okoliczne kraje zamieszkujących. Przeważali w nich zawsze tatarscy zbiegowie z ordy dobrudzkiej i białogrodzkiej, dziksi jeszcze i mężniejsi od swych krymskich pobratymców, ale nie brakło też i Wołochów, i kozactwa, i Węgrzynów, i czeladzi polskiej, zbiegłej ze stanic nad brzegiem Dniestru leżących. Buszowali oni to po polskiej, to po wołoskiej stronie, przechodząc raz w raz graniczną rzekę, w miarę jak przyciskali ich perkułabowie lub komendanci Rzeczypospolitej. W jarach i lasach, w jaskiniach mieli oni swe kryjówki niedostępne.

Głównym celem ich napadów były stanicze stada wołów i koni, które nawet w zimie nie schodziły ze stepów, same sobie pożywienia pod śniegami szukając. Ale prócz tego napadali na wsie, miasteczka, osady, na pomniejsze komendy, na kupców polskich, a nawet tureckich, na pośredników z okupem do Krymu jadących. Miały owe kupy swój ład i swych wodzów, ale łączyły się rzadko. Częstokroć zdarzało się nawet, że mniej liczne były wycinane przez liczniejsze. Namnożyło się ich wszędy w krajach ruskich bardzo wiele, zwłaszcza od czasu wojen kozacko-polskich, gdy wszelkie bezpieczeństwo w owych stronach znikło. Naddniestrzańskie watahy podsycane przez zbiegów ordzińskich szczególniej były groźne. Widywano niektóre do pięciuset głów liczące. Przywódcy ich przybierali tytuł bejów. Pustoszyli oni kraj sposobem zupełnie tatarskim i nieraz istotnie sami komendanci nie wiedzieli, czy mają robotę ze zbójami, czy też z przodowymi czambułami całej ordy. Komputowym wojskom, zwłaszcza jeździe Rzeczypospolitej, kupy owe nie były zdolne w polu dostać, ale zapędzone w matnię, biły się po desperacku, wiedząc dobrze, że wziętych w niewolę czeka powróz. Broń ich była rozmaita. Łuków i strzelb im brakło, które zresztą do nocnych napadów mało byłyby im przydatne. Większa część zbrojna była w handżary i jatagany tureckie, w kiścienie, w szable tatarskie i w półszczęki końskie wpuszczane w młode dębczaki i umocnione

powrózkiem. Owa ostatnia broń w silnym ręku straszliwe oddawała posługi, bo kruszyła każdą szablę. Niektórzy mieli widły, bardzo długie, ostro żelazem okute; niektórzy wreszcie rohatyny. Te w nagłych razach przeciw jeździe nadstawiali.

Wataha, która zatrzymała się u Sierocego Brodu, musiała być bardzo liczną albo w ostatnich znaleźć się na multańskiej stronie terminach, skoro odważyła się podejść pod chreptiowską komendę mimo postrachu, jaki samo imię pana Wołodyjowskiego we wszystkich obubrzeżnych rabusiach obudzało. Jakoż drugi podjazd przywiózł wiadomość, że składała się ona z czterystu przeszło głów pod wodzą Azba-beja, słynnego grasanta, który od kilku lat napełniał postrachem i polską, i multańską stronę.

Ucieszył się pan Wołodyjowski, gdy dowiedział się, z kim będzie miał do czynienia, i zaraz stosowne wydał rozkazy. Prócz Mellechowicza i pana Motowidły poszła chorągiew pana generała podolskiego i pana podstolego przemyskiego. Poszły one jeszcze w nocy i rzekomo w różne strony, ale jako rybacy szeroko założą niewodem, aby następnie zejść się przy jednej przerębli, tak i owe chorągwie, rozległym idąc koliskiem, miały się zejść o brzasku przy Sierocym Brodzie.

Basia asystowała z bijącym sercem wyjściu wojsk, jako że miała to być jej pierwsza większa wyprawa, i rosło jej owo serce na widok sprawności tych starych wilków stepowych. Wychodzili tak cicho, że w samej fortalicji można ich było nie dosłyszeć. Nie zabrzęczały munsztuki, strzemię nie szczęknęło o strzemię, szabla o szablę, koń nie zarżał. Noc była pogodna i nadzwyczaj widna, bo czas pełni. Księżyc oświecał dobrze wzgórze stannicze i step lekko ze wszystkich stron pochyły; a jednak ledwie co która chorągiew wyszła za częstokół, ledwie zamigotała srebrnymi iskrami, które księżyc z szabel wykrzesywał, już nikła z oczu, jakby stado kuropatw w fali traw nurkujące. Było coś tajemniczego w tym pochodzie.

Basi zdawało się, że to myśliwi wyjeżdżają na jakoweś łowy mające się o świtaniu rozpocząć i dlatego tak idą cicho i ostrożnie, aby zwierza przedwcześnie nie spłoszyć... Więc wielka ochota wstąpiła w jej serce, aby w tych łowach wziąść udział.

Pan Wołodyjowski nie sprzeciwił się temu, bo go Zagłoba do zgody skłonił. Wiedział wreszcie, że kiedyś i tak trzeba będzie chęci Basinej zadośćuczynić, wolał więc zaraz, zwłaszcza że grasanci łuków i samopałów nie mieli zwyczaju używać.

Ruszyli jednak dopiero we trzy godziny po wyjściu pierwszych chorągwi, bo tak był całe dzieło pan Michał ułożył. Poszedł z nimi pan Zagłoba, pan Muszalski i dwudziestu Linkhauzowych dragonów z wachmistrzem, samych Mazurów, ludzi na schwał, za

których szabliskami była wdzięczna komendantowa równie jak w małżeńskiej komnacie bezpieczna.

Sama ona, mając jechać na męskiej kulbace, przybrana była odpowiednio: miała więc szarawarki perłowego koloru, aksamitne, bardzo obszerne, podobieństwo spódnicy czyniące, a wpuszczone w safianowe żółte buciki: toż kubraczek równie szarej barwy, białym krymskim barankiem podbity i na szwach ozdobnie bramowany; toż ładowniczkę srebrną roboty wybornej; lekką szabelkę turecką na jedwabnych rapciach i pistolety w olstrach. Głowę jej przybierał kołpaczek z wierzchem z weneckiego aksamitu, piórkiem czaplim ozdobion, a żbiczym futrem naokół obszyty; spod kołpaczka wyglądała jasna, różowa twarz, prawie dziecinna, i dwoje oczu ciekawych, a świecących jak węgielki.

Tak przybrana i siedząc na cisawym bachmaciku, chybkim jak sarna i jak sarna łagodnym, zdawała się być hetmańskim dzieckiem, które pod opieką starych wojenników na pierwszą naukę jedzie. Oni też się dziwili jej postaci; pan Zagłoba z panem Muszalskim szturchali się łokciami, całując od czasu do czasu każdy swoją pięść na znak nadzwyczajnego dla Basi uwielbienia, obaj zaś wraz z Wołodyjowskim uspokajali jej obawy co do spóźnionego wyjazdu.

— Na wojnie się nie rozumiesz — mówił mały rycerz — i dlatego nas posądzasz, że cię dopiero po wszystkim chcemy na miejsce przyprowadzić. Jedne chorągwie idą jako sierpem rzucił, inne zaś muszą okładać, aby szlaki poprzecinać — i dopieroż się będą cichaczem do kupy ściągały, w matnię nieprzyjaciela biorąc. A my przyjedziemy na czas i bez nas nic się nie rozpocznie, bo tam każda godzina obrachowana.

— A jak się nieprzyjaciel spostrzeże i między chorągwiami się przemknie?

— Chytry on jest i czujny, ale i nam taka wojna nie nowina.

— Michałowi wierz — zawołał Zagłoba — bo nie masz nad niego większego praktyka. Zły los przygnał tu tych skurczybyków.

— W Lubniach byłem młodzik — odrzekł pan Michał — a już mi podobne funkcje powierzano. Teraz zaś, żem ci to widowisko chciał wyprawić, jeszczem staranniej wszystko rozdysponował. Chorągwie razem się nieprzyjacielowi ukażą, razem się okrzykną i razem skoczą, jakoby kto z bicza trzasnął.

— I! I! — pisnęła z radości Basia i stanąwszy w strzemionach, chwyciła małego rycerza za szyję. — A mnie wolno będzie skoczyć, co? Michałku, co? — pytała z iskrzącymi oczyma.

— W tłok ci nie pozwolę, bo w tłoku o przygodę łatwo, nie mówiąc, że koń może szwankować, ale dałem instrukcję, by po rozbiciu kupę jaką na nas nagnano, wówczas rozpuścim konie i możesz dwu albo trzech sobie ściąć, a zajeżdżaj zawsze z lewej, bo tym sposobem ściganemu niezręcznie cię przez konia sięgać, a ty go masz na odlew.

Basia na to:

— Ho, ho! Nie boję się! Sam mówiłeś, że już szablą robię daleko lepiej od wujcia Makowieckiego; nie da mi żaden rady!

— Uważaj, żeby cugle mocno trzymać — wtrącił pan Zagłoba. — Oni mają swoje sposoby i może być tak: ty go gonisz, aż on nagle konia zwróci i osadzi, wtedy go miniesz z rozpędu, ale nim miniesz, już on cię sięgnie. Stary praktyk nigdy nadto konia nie rozpuszcza, jeno wedle potrzeby go miarkuje.

— I szabli nigdy bardzo nie podnosić, aby do sztychu przejść łatwo — rzekł pan Muszalski.

— Będę ja przy niej od wypadku — odpowiedział mały rycerz. — Widzisz, w bitwie cała trudność w tym, że trzeba o wszystkim pamiętać: o koniu swoim i nieprzyjacielu, o cuglach, o szabli, o cięciu i sztychu — wszystko naraz! Kto się wprawi, to mu to samo przez się przychodzi, ale z początku znamienici nawet szermierze często bywają niezgrabni i lada chmyz, byle był praktyk, bieglejszego od się nowicjusza z konia zsadzi... Dlatego to będę ci przy boku.

— Jeno mnie nie wyręczaj i ludziom przykaż, aby mnie nikt nie wyręczał bez potrzeby.

— No, no! Obaczym jeszcze, czy ci animuszu stanie, jak przyjdzie co do czego! — odparł uśmiechając się mały rycerz.

— Albo jeżeli się którego z nas za połę nie ułapisz! — skończył Zagłoba.

— Obaczym! — rzekła z oburzeniem Basia.

Tak rozmawiając wjechali w okolicę tu i ówdzie chaszczami pokrytą. Do brzasku było już niedaleko, ale tymczasem uczyniło się ciemniej, bo księżyc zaszedł. Od ziemi poczynał też wstawać lekki opar i przesłaniać dalsze przedmioty. W owej leciuchnej mgle i mroku majaczące opodal zarośla przybierały w podnieconej wyobraźni Basi kształty żywych istot. Nieraz zdawało się jej, że widzi wyraźnie ludzi i konie.

— Michale, co to jest? — pytała szepcąc i ukazując palcem na majak.

— Nic, krze.

— Myślałam, że jeźdźcy. Prędko zajedziem?

— Za jakie półtorej godziny to się i rozpocznie.

— Ha!

— Boisz się?

— Nie, jeno mi serce bije z wielkiej ochoty! Miałabym się bać! Nic a nic! Patrz, jaki tu szron leży... Widać, choć ciemno.

Rzeczywiście wjechali na szmat stepu, na którym długie i wyschłe łodygi burzanów szronem siwym były pokryte. Pan Wołodyjowski spojrzał i rzekł:

— Tędy Motowidło przechodził. Nie dalej jak o pół mili musi leżeć przytajony. Świta już!

Jakoż robił się pierwszy brzask. Pomroka rzedła. Niebo i ziemia stawały się szare, powietrze bladło, czuby drzew i zarośli powłóczyły się jakby srebrem. Dalsze kępy poczęły się odsłaniać, jakoby kto zasłonę kolejno podnosił.

Wtem z bliższej kępy wychylił się nagle jeździec na koniu.

— Pana Motowidły? — spytał Wołodyjowski, gdy semen osadził konia tuż przy nim.

— Tak jest, wasza miłość!

— Co słychać?

— Przeszli Sierocy Bród; potem kierując się na ryk wołów poszli ku Kałusikowi. Woły pobrali i stoją na Jurkowym polu.

— A gdzie pan Motowidło?

— Założył od wzgórza, a pan Mellechowicz od Kałusika. Inne chorągwie nie wiem.

— Dobrze — rzekł Wołodyjowski — ja wiem; ruszaj do pana Motowidły i każ zamykać. A pojedynczych ludzi niech rozsypie na pół drogi od pana Mellechowicza. Ruszaj!

Semen położył się na kulbace, ruszył, aż śledziona w koniu z miejsca zagrała, i wkrótce zniknął. Oni zaś pojechali dalej, jeszcze ciszej, jeszcze ostrożniej... Rozwidniło się tymczasem zupełnie. Mgła, która o brzasku wstała była od ziemi, opadła całkiem na dół, a na wschodniej stronie nieba ukazała się długa wstęga świetlista i różowa, której światło i różowość poczęły zabarwiać powietrze, wzgórza, zręby odległych jarów i szczyty.

Wtem do uszu jeźdźców doszły od strony Dniestru liczne zmieszane krakania i wysoko przed nimi ukazało się lecące ku zorzy ogromne stado kruków. Pojedyncze ptaki odrywały się co chwila od stada i zamiast lecieć wprost przed się poczynały zataczać nad stepem koła, jak czynią upatrując zdobyczy kanie i jastrzębie.

Pan Zagłoba podniósł szablę do góry, ukazał ostrzem na kruki i rzekł do Basi:

— Dziwuj się zmyślności tych ptaków. Niech jeno gdziekolwiek ma przyjść do bitwy, zaraz ze wszystkich stron nadlatują, jakoby je kto z worka wysypał. Gdy samo jedno wojsko ciągnie albo przyjacielskie mają się spotkać, nie masz tego, tak to bestie umieją odgadnąć intencje ludzkie, choć się im nikt nie oznajmia. Sama sagacitas narium tego nie wytłumaczy, dlatego słusznie dziwić się możesz.

Tymczasem ptaki, kracząc coraz mocniej, zbliżyły się znacznie, więc pan Muszalski zwrócił się do małego rycerza i rzekł uderzając dłonią po łuku:

— Panie komendancie, a nie wzbronno będzie ściągnąć jednego na uciechę dla pani komendantowej? Hałasu to przecie nie uczyni?

— Ściągnij waść choćby dwa — rzekł Wołodyjowski wiedząc, jaką stary żołnierz ma słabość popisywania się celnością swych grotów.

Na to niezrównany łucznik sięgnął ręką za plecy i wydobył strzałę pierzastą, za czym nałożył ją na cięciwę i podniósłszy w górę łuk i głowę, czekał.

Stado było coraz bliżej. Wszyscy wstrzymali konie i patrzyli ciekawie ku niebu. Nagle rozległ się żałosny jęk cięciwy, niby świegot jaskółki, i strzała wybiegłszy znikła pod stadem.

Przez chwilę można było pomyśleć, że pan Muszalski chybił, lecz oto jeden ptak zwinął kozła i zniżył się wprost nad głowami ku ziemi, następnie, koziołkując ciągle, zniżał się coraz bardziej, wreszcie począł spadać z rozpostartymi skrzydłami, zupełnie jak liść dający opór powietrzu.

Po chwili spadł na kilka kroków przed koniem Basi. Strzała przeszyła go na wylot tak, że grot świecił powyżej grzbietu.

— Na szczęśliwą wróżbę! — rzekł kłaniając się Basi pan Muszalski. — Będę ja miał z daleka na panią komendantową, a wielką moją dobrodzikę, oko i w nagłym razie znowu, daj Boże szczęśliwie, strzałeczkę wypuszczę. Choć tam i bzyknie blisko, upewniam, że nie zrani.

— Nie chciałabym ja być tym Tatarem, którego waszmość na cel weźmiesz! — odrzekła Basia.

Lecz dalszą rozmowę przerwał pan Wołodyjowski, który ukazawszy na dość znaczne wzniesienie odległe na kilka stai rzekł:

— Tam staniem...

Po tych słowach ruszyli rysią. W pół wzniesienia mały rycerz kazał zwolnić kroku, a wreszcie niedaleko wierzchołka zatrzymać konie.

— Nie będziem do samego szczytu dojeżdżać — rzekł — bo przy tak jasnym ranku z daleka można by nas wziąć na oko, ale zsiadłszy z koni przybliżym się tak do zrębu, by głowy niewiele wystawały.

To rzekłszy zeskoczył z konia, a za nim Basia, pan Muszalski i kilku innych. Dragoni pozostali pod szczytem, trzymając rumaki, oni zaś posunęli się aż do miejsca, w którym wzniesienie zapadało się ścianą prawie prostopadłą ku dołowi.

U stóp tej ściany, wysokiej na kilkadziesiąt łokci, rosły dość gęsto wąskim pasem chaszcze, dalej zaś ciągnął się step niski, równy, którego z tej wysokości ogromną przestrzeń mogli objąć oczyma.

Równina owa, przecięta niewielkim strumieniem biegnącym w stronę Kałusiku, była również, jak i spód skały, pokryta kępami zarośli. Z największej kępy cienkie smugi dymu unosiły się ku niebu.

— Widzisz — rzekł do Basi Wołodyjowski — to nieprzyjaciel się tam przytaił.

— Widzę dymy, ale nie widzę ni ludzi, ni koni — odrzekła z bijącym sercem Basia.

— Bo ich zarośla skrywają, chociaż wprawne oko ich dojrzy. Ot tam, patrz: dwa, trzy, cztery, całą kupę koni widać; jeden srokaty, jeden całkiem biały, a stąd wydaje się jak niebieski.

— Prędko do nich zjedziem?

— Nam ich tu przygnają, ale mamy czas, bo do owej kępy będzie z ćwierć mili.

— A gdzie nasi?

— Widzisz, tam ot, hen, skrawek boru? Pana podkomorska chorągiew powinna teraz właśnie sięgać już brzegu. Mellechowicz wynurzy się z ówtej strony bodaj za chwilę. Druga towarzyska chorągiew weźmie ich od tego kamienia. Dostrzegłszy ludzi oni sami ruszą ku nam, bo tędy można dobrze ku rzece pod wiszarem przejechać, a zaś z tamtego boku jest jar okrutnie przepaścisty, przez który nikt nie przejedzie.

— To są w matni?

— Jako widzisz.

— Dla Boga! Ledwo już stoję! — zakrzyknęła Basia.

Lecz po chwili:

— Michałku, żeby byli mądrzy, to by co zrobili?

— To by poszli jak w dym na podkomorską i przejechali im po brzuchach. Wtedy byliby wolni, ale tego nie uczynią, bo naprzód nie lubią oni jeździe regularnej w oczy leźć, po wtóre, będą się bali, że więcej wojska w lesie czyha, więc pomkną ku nam.

— Ba! Ale my ich nie zatrzymamy: mamy jeno dwudziestu ludzi.

— A Motowidło?

— Prawda! Ha! Gdzie on jest?

Wołodyjowski zamiast odpowiedzieć, zakwilił nagle, jak kwili jastrząb albo sokół.

Wnet liczne kwilenia odpowiedziały mu od stóp wzgórza. Byli to semenowie Motowidły, którzy tak dobrze przyczaili się w chaszczach, że Basia, stojąc tuż nad nimi, wcale ich nie ujrzała.

Więc przez chwilę spoglądała ze zdumieniem to w dół, to na małego rycerza, nagle policzki jej zapałały ogniście i za szyję chwyciła męża.

— Michałku! Tyś największy wódz w świecie.

— Jeno że wprawy trochę mam — odrzekł uśmiechając się Wołodyjowski. — Ale ty nie trzepotaj mi się tu z radości i pomnij, że grzeczny żołnierz powinien być spokojny.

Ale nic nie pomogła przestroga. Basia była jakby w gorączce. Chciało się jej zaraz na koń siadać i ze wzgórza zjeżdżać, by się z oddziałem Motowidły połączyć. Ale Wołodyjowski zatrzymał ją jeszcze, bo chciał, żeby początek dobrze widziała.

Tymczasem słońce poranne wstało nad step i powlokło chłodnym, bladozłotym światłem całą równinę. Pobliskie kępy rozjaśniły się wesoło, dalsze i mniej wyraźne zarysowały się wyraźniej; szron miejscami w dołach leżący począł się skrzyć migotliwie, powietrze stało się bardzo przezrocze i wzrok mógł lecieć w dal prawie bez granic.

— Podkomorska z borku wychodzi — ozwał się pan Wołodyjowski — widzę ludzi i konie!

Rzeczywiście, jeźdźcy poczęli się wynurzać ze skraju lasu i czernieć długą linią na pokrytej mocno szronem podleśnej łące. Biała przestrzeń między nimi a lasem poczęła się z wolna powiększać. Widać nie spieszyli się zbytnio, chcąc dać czas innym chorągwiom.

Wołodyjowski zwrócił się teraz w lewą stronę.

— Jest i Mellechowicz! — rzekł.

A po chwili znowu:

— I pana łowczego przemyskiego ludzie nadjeżdżają. Nikt dwóch pacierzy nie uchybił.

Tu wąsiki jego poruszyły się żywo.

— Noga nie powinna ujść! Na koń teraz!

Szybko zwrócili się ku dragonom i skoczywszy na kulbaki, zjechali bokiem wzniesienia między rosnące w dole chaszcze, gdzie znaleźli się wśród semenów pana Motowidły.

Zatem całą masą już zbliżyli się do skraju zarośli i stanęli w miejscu, poglądając przed siebie.

Nieprzyjaciel dojrzał widocznie zbliżającą się podkomorską chorągiew, bo w tejże chwili sypnęły się z gęstwiny rosnącej w środku równiny kupy jezdnych, tak jakoby kto stado sarn ruszył. Z każdą chwilą wysypywało się ich coraz więcej. Zwarłszy się w łańcuch szli oni z początku stępem brzegiem gęstwiny; jeźdźcy pokładli się na karkach końskich, tak iż z daleka można było mniemać, że to sam tabun ciągnie długą linią wzdłuż kępy. Widocznie nie mieli jeszcze pewności, czy owa chorągiew na nich idzie i widzi ich już, czy też to jest oddział przeglądający tylko okolicę. W tym ostatnim wypadku mogli spodziewać się, że zarośla skryją ich jeszcze przed oczyma nadjeżdżających.

Z miejsca, gdzie stał Wołodyjowski na czele ludzi Motowidły, widać było doskonale ruchy niepewne i wahające się owego czambułu, podobne zupełnie do ruchów dzikich zwierząt, które już zwietrzyły niebezpieczeństwo. Dojechawszy do półkępy, poczęli iść prędzej lekkim cwałem. Naraz, gdy pierwsze szeregi sięgnęły otwartego stepu, wstrzymały nagle konie, a z nimi zatrzymała się cała wataha.

Oto dojrzeli ciągnący z tej strony oddział Mellechowicza.

Wówczas zatoczyli półkolem w bok od kępy i oczom ich przedstawiła się w całej pełni przemyska chorągiew idąca już rysią.

Teraz stało się dla nich jasnym, że wszystkie chorągwie wiedzą o nich i jadą na nich. Dzikie krzyki ozwały się wśród kupy i wszczęło się zamieszanie. Chorągwie, okrzyknąwszy się także, przeszły w cwał, aż równina zagrzmiała od tętentu. Widząc to czambuł wyciągnął się w mgnieniu oka w ławę i gnał ile tchu w piersiach końskich ku wzgórzu, pod którym stał mały rycerz z panem Motowidłą i jego ludźmi.

Przestrzeń dzieląca jednych od drugich poczęła się zmniejszać z przerażającą szybkością.

Basia przybladła nieco zrazu ze wzruszenia i serce tłukło się w jej piersiach coraz silniej, widząc jednak, że patrzą na nią i nie dojrzawszy na żadnej twarzy najmniejszego niepokoju, opanowała się prędko. Za czym zbliżająca się jak wicher hurma zajęła całą jej uwagę. Przykróciła cugle, ścisnęła mocniej szabelkę i krew od serca napłynęła znów wielkim pędem do jej twarzy.

— Dobrze! — rzekł mały rycerz.

Ona spojrzała tylko na niego i poruszyła chrapkami, szepnąwszy jednocześnie:

— Prędko skoczym?

— Jeszcze czas! — odrzekł pan Michał.

A tamci gnali, gnali, jak szarak, który czuje psy za sobą. Już nie więcej jak pół staja dzieli ich od chaszczów, już widać wyciągnięte łby końskie z potulonymi uszami, a nad nimi twarze tatarskie jakby przyrosłe do grzywy. Są bliżej i bliżej... Słychać chrapanie bachmatów, których wyszczerzone zęby i wytrzeszczone oczy świadczą, że idą takim pędem, aż im dech zapiera... Wołodyjowski daje znak i płot piszczeli semeńskich pochyla się ku nadbiegającym.

— Ognia!

Huk, dym i jakoby wicher uderzył w kupę plewy.

W jednym mgnieniu oka wataha rozlatuje się na wszystkie strony, wyjąc i wrzeszcząc.

Wtem mały rycerz wysuwa się z gęstwiny, a jednocześnie podkomorska, przemyska i lipkowska, zamykając krąg koła, zganiają rozproszonych ku środkowi znów w jedną kupę. Próżno ordyńcy szukają na pojedynkę wyjścia, próżno się kręcą, zabiegają w prawo, lewo, naprzód, w tył, koło już zwarte, więc i wataha zbija się mimo woli coraz ciaśniej, a wtem nadbiegają chorągwie i rozpoczyna się straszliwe łomotanie.

Zrozumieli grasanci, że ten tylko wyjdzie żyw z owego skrzętu, kto się przebije, więc choć bez ładu i każdy na swoją rękę, jęli się bronić z rozpaczą i wściekłością. Zaraz też z początku gęsto usłali pole, tak wielka była furia uderzenia.

Żołnierze, naciskając ich i mimo ciasnoty prąc konie naprzód, siedli i bodli z tą nieubłaganą a straszliwą wprawą, jaką tylko żołnierz z rzemiosła mieć może. Odgłos tuzania rozlegał się nad tym ludzkim koliskiem, podobien do odgłosu cepów bijących gromadnie a szybko w klepisko. Bito ordyńców i cięto przez łby, przez karki, przez plecy, przez ręce, którymi okrywali głowy, bito ze wszystkich stron, bez odpoczynku, bez pardonu, bez miary i zmiłowania. Oni też poczęli razić, czym kto mógł: handżarami, szablami, ów kiścieniem, ów szczęką końską. Konie ich, spychane do środka, osiadały na zadach lub waliły się na wznak. Inne gryząc się i kwicząc wierzgały w tłoku, powodując nieopisany zamęt. Po krótkiej walce w milczeniu wycie wyrwało się ze wszystkich piersi tatarskich; gniotła je większa liczba, lepsza broń, większa biegłość. Zrozumieli, że nie ma dla nich ratunku, że nie ujdzie nikt nie tylko z łupami, lecz nawet z życiem. Żołnierz, rozgrzewając się stopniowo, grzmocił coraz potężniej. Niektórzy z rabusiów pozeskakiwali z kulbak pragnąc przemknąć się między nogami rumaków. Tych tratowały kopyta, a czasem żołnierz odwrócił się i sztychem z góry zbiega

przeszywał; niektórzy padali na ziemię w tej nadziei, że gdy chorągwie posuną się ku środkowi, wówczas zostawszy na zewnątrz koła będą mogli ratować się ucieczką.

Jakoż kupa zmniejszała się coraz bardziej, bo z każdą chwilą ubywało ludzi i koni. Widząc to Azba-bej zbił, o ile mógł, ludzi w klin i rzucił się całą siłą na semenów Motowidły pragnąc koniecznie rozerwać pierścień.

Lecz ci osadzili go na miejscu i wówczas rozpoczęła się rzeźba straszliwa. W tym samym czasie Mellechowicz, szalejąc jak płomień, rozerwał kupę i zostawiwszy jej połowę dwom towarzyskim chorągwiom, sam siadł na karki tym, którzy ścinali się z semenami.

Część wprawdzie rabusiów wymknęła się przez ów ruch w pole i rozleciała się po równinie jak stado liści, ale żołnierze z tylnych szeregów, którzy przystępu do bitwy dla zbyt małego miejsca znaleźć nie mogli, puścili się za nimi natychmiast, po dwóch, po trzech lub pojedynczo. Natomiast ci, którzy nie zdołali się wymknąć, szli pod miecz mimo zapalczywej obrony i kładli się pokotem jak łan zboża, który żniwiarze z dwóch stron żąć napoczną.

Basia ruszyła wraz z semenami, piszcząc cienkim głosem dla dodania sobie fantazji, bo w pierwszej chwili pociemniało jej nieco w oczach zarówno od pędu, jak z wielkiego wzruszenia. Dopadłszy też już nieprzyjaciela, widziała przed sobą z początku tylko ciemną masę, ruchliwą, rozkołysaną. Porwała ją nieprzezwyciężona chęć, by zupełnie zamknąć oczy. Oparła się wprawdzie tej chęci, lecz i tak machała szabelką trochę na oślep. Ale krótko to trwało. Odwaga jej wzięła wreszcie górę nad konfuzją i zaraz przejrzała jaśniej. Naprzód dostrzegła łby końskie, za nimi rozpalone a dzikie twarze; jedna z nich błysnęła przed nią tuż, tuż; Basia cięła zamaszyście i twarz znikła nagle, jakby była widziadłem.

Wówczas do uszu Basinych doszedł spokojny głos męża:

— Dobrze!

Głos ów nadzwyczajnej dodał jej otuchy, pisnęła jeszcze cieniej i poczęła klęski szerzyć z zupełną już umysłu przytomnością. Oto znowu szczerzy przed nią zęby jakaś straszliwa głowa o płaskim nosie i wystających policzkach: Basia mach! Po niej!... Tam znowu ręka kiścień podnosi: Basia mach! Po niej; widzi jakieś plecy w tołubie: sztychem w nie; za czym tnie w prawo, w lewo, wprost, a co tnie, to człek leci na ziemię zdzierając uździenicą konia. Basi aż dziw, że to tak łatwo. Ale łatwo dlatego, że z jednej strony jedzie strzemieniem w strzemię mały rycerz, z drugiej — pan Motowidło. Pierwszy pilnie baczy na swoje kochanie — i to zgasi tak człeka jak świecę, to płytkim sztychem

odwali ramię wraz z bronią, to czasem wetknie ostrze między Basię a nieprzyjaciela i wraża szabla wyleci nagle tak w górę, jakby była ptakiem skrzydlatym.

Pan Motowidło, żołnierz flegmatyk, pilnował drugiego boku mężnej pani. I jako pracowity sadownik idąc wśród drzew raz w raz odetnie lub pokruszy suchą gałęź, tak on raz w raz strącał ludzi na skrwawioną ziemię, walcząc z taką flegmą i spokojem, jak gdyby o czym innym myślał. Obaj wiedzieli, kiedy Basi samej pozwolić na natarcie, a kiedy ją uprzedzić lub zastąpić.

Czuwał nad nią z daleka i ktoś trzeci, łucznik niezrównany, któren stojąc umyślnie opodal, co chwila bełt strzały do cięciwy przykładał i puszczał niechybnego posłańca śmierci w tłok największy.

Lecz tłok uczynił się tak srogi, że Wołodyjowski nakazał Basi cofnąć się wraz z kilkoma ludźmi z zamętu, zwłaszcza że półdzikie konie ordyńców jęły gryźć i wierzgać. Basia zaś usłuchała niezwłocznie, bo jakkolwiek zapał ją unosił i mężne serce do dalszej zachęcało walki, przecie jej niewieścia natura poczęła brać górę nad uniesieniem i wzdragać się wśród tej rzezi, na widok krwi, wśród wycia, jęków, chrapania konających, w powietrzu przesiąkłym zapachem surowicy i potu.

Cofając więc z wolna konia, wkrótce znalazła się za kołem walczących, zaś pan Michał i pan Motowidło, uwolnieni od pilnowania, mogli wreszcie dać zupełną swej ochocie żołnierskiej folgę.

Tymczasem pan Muszalski, stojący dotychczas opodal, zbliżył się do Basi.

— Waćpani dobrodzika prawdziwie po kawalersku stawałaś — rzekł jej. — Ktoś nie wiedzący myślałby, że archanioł Michał zstąpił z niebios między semenów i psubratów gromi... Co za honor dla nich ginąć z takiej oto rączki, którą przy okazji niech mi ucałować będzie niewzbronno.

To rzekłszy pan Muszalski chwycił rękę Basi i przycisnął do niej wąsiska.

— Waćpan widziałeś? Istotnie dobrze stawałam? — spytała Basia chwytając w otwarte nozdrza i usta powietrze.

— Że i kot lepiej przeciw szczurom nie staje. Serce mi tu rosło, jak Pana Boga kocham! Aleś waćpani słusznie uczyniła cofając się z bitwy, bo pod koniec zwykle o przygodę najłatwiej.

— Mąż mi kazał, a ja na wyjezdnym przyrzekłam mu, że go wraz usłucham.

— Może łuk swój zostawić? Nie! Na nic mi on teraz, bo też z szablą skoczę. Widzę trzech ludzi nadjeżdżających, których pewnie pan pułkownik dla pilnowania jej

dostojnej osoby przysyła. Inaczej ja bym przysłał; ale ścielę się do stóp, bo tam już koniec niedługo będzie, i trzeba mi się spieszyć.

Trzech dragonów istotnie nadjechało dla pilnowania Basi, co widząc pan Muszalski rozpuścił konia i skoczył. Basia wahała się przez chwilę, czy zostać na miejscu, czy objechawszy urwistą ścianę wspiąć się na wzgórze, z którego przed bitwą spoglądali na równinę. Lecz czując zmęczenie wielkie postanowiła zostać.

Niewieścia natura odzywała się w niej coraz silniej. O jakie dwieście kroków docinano bez litości reszty grasantów i czarna kupa walczących wichrzyła się coraz gwałtowniej na krwawym pobojowisku. Krzyki rozpaczliwe wstrząsały powietrzem, a Basi, niedawno jeszcze tak pełnej zapału, uczyniło się jakoś mdło i słabo. Zdjął ją strach wielki, by nie omdlała całkiem, i tylko wstyd przed dragonami podtrzymywał ją na kulbace; odwracała jednak starannie od nich twarz, by nie dojrzeli na niej bladości. Świeże powietrze wracało jej z wolna siły i animusz, nie do tego jednak stopnia, by miała ochotę skoczyć znów między walczących. Byłaby to uczyniła chyba dlatego, by prosić o zmiłowanie nad ostatkami ordyńców. Wiedząc zresztą, że na nic by się to nie zdało, wyglądała z upragnieniem końca bitwy.

A tam bito i bito. Odgłos rąbaniny i krzyki nie ustawały ani na chwilę. Upłynęło może pół godziny: chorągwie stłaczały się coraz mocniej. Nagle kupka grasantów licząca może dwudziestu jeźdźców wyrwała się z morderczego koliska i poczęła biec jak wicher ku wzgórzu.

Pomykając wzdłuż urwiska mogli istotnie dobrać się do miejsca, gdzie wzgórze łagodnie zlewało się z równiną, i znaleźć na wysokim stepie ocalenie. Ale na ich drodze stała z trzema dragonami Basia. Widok niebezpieczeństwa wlał w tej chwili moc do jej serca i przytomność do jej umysłu. Zrozumiała, że zostać jest zgubą, bo kupa owa samym pędem obali ich i roztratuje, nie mówiąc o tym, że na szablach zostaną rozniesieni.

Stary wachmistrz dragoński widocznie tego samego był zdania, bo chwycił ręką za cugiel Basinego dzianecika, zawrócił go ku ucieczce i krzyknął desperackim niemal głosem:

— W konie, jasna pani!

Basia pomknęła jak wicher, ale sama; wierni trzej żołnierze stanęli murem na miejscu, by choć przez chwilę powstrzymać nieprzyjaciela i dać ukochanej pani czas odsadzenia się na większą odległość.

Tymczasem za ową kupą skoczyli natychmiast w pościgu żołnierze, ale pierścień otaczający dotąd szczelnie grasantów tym samym przerwał się, więc poczęli się wymykać po dwóch, po trzech, potem coraz liczniej. Ogromna większość ich leżała już pokotem, ale kilkudziesięciu, wraz z Azba-bejem, zdołało zbiec. Wszystkie te kupy pędziły co koń wyskoczy ku wzgórzu.

Trzej dragoni nie zdołali zatrzymać wszystkich uciekających, zresztą po krótkiej walce spadli z kulbak, hurma zaś biegąc śladem Basi zawróciła na skłonie wzgórza i wydostała się na step wysoki. Polskie chorągwie, a w przodzie najbliższa lipkowska, pędziły co koń wyskoczy o kilkadziesiąt kroków za nimi.

Na wysokim stepie poprzecinanym gęsto zdradliwymi rozpadlinami i jarami utworzył się z jeźdźców jakoby wąż olbrzymi: głowę jego stanowiła Basia, szyję grasanci, a dalszy ciąg cielska Mellechowicz z Lipkami i dragoni, na których czele pędził Wołodyjowski z ostrogami wbitymi w boki konia i przerażeniem w duszy.

W chwili kiedy owa garść zbójów wyrwała się z koła, był on zajęty z drugiej jego strony, dlatego Mellechowicz uprzedził go w pościgu. Teraz więc włos stawał dębem na głowie małego rycerza na myśl, że Basia może być przez zbiegów ogarnięta, że może utracić przytomność i umykać wprost w stronę Dniestru, że którykolwiek ze zbójów może przy wymijaniu dosięgnąć ją szablą, handżarem lub kiścieniem. I serce zamierało w nim z obawy o życie ukochanego stworzenia. Leżąc prawie na karku końskim, wybladły, ze ściśniętymi zębami, z wichrem okropnych myśli w głowie, bódł rumaka zbrojnymi piętami, okładał go płazem i leciał jak drop, nim zerwie się do lotu. Przed nim migały baranie kapuzy Lipków.

— Boże daj, by Mellechowicz nadążył. On na dobrym koniu, Boże daj! — powtarzał z rozpaczą w duszy.

Lecz obawy jego były płonne, a niebezpieczeństwo nie tak wielkie, jak się rozkochanemu rycerzowi zdawało. Tatarom nadto chodziło o własną skórę; nadto blisko czuli za plecami Lipków, by mieli ścigać pojedynczego jeźdźca, choćby ten jeździec był najpiękniejszą hurysą z Mahometowego raju i umykał w płaszczu całkiem klejnotami wyszytym. Basia potrzebowała tylko zatoczyć kołem w stronę Chreptiowa, by się pozbyć pogoni, tamci bowiem z pewnością nie zawracaliby za nią w paszczę lwu, mając wprost przed sobą rzekę wraz z jej komyszami, w których się ukryć mogli. Lipkowie, mając konie lepsze, i tak zbliżali się do nich coraz więcej. Basia zaś siedziała na dzianecie nieporównanie ściglejszym od zwykłych, kudłatych bachmacików ordyńskich, bardzo wytrwałych w biegu, ale nie tak rączych jak konie wysokiej krwi. Na

koniec, nie tylko nie straciła przytomności, ale zuchowata natura ozwała się w niej z całą siłą i krew rycerska zagrała na nowo w jej żyłach.

Dzianet jej wyciągnął się jak sarna, wiatr świszczał jej w uszach i zamiast strachu ogarnęło ją pewne uczucie upojenia.

„Rok cały mogą mnie gonić i nie zgonią — pomyślała sobie. — Popędzę jeszcze, a potem zawrócę i albo ich puszczę przed siebie, albo — gdyby mnie ścigać nie przestali — pod szable ich podprowadzę".

Przyszło jej na myśl, iż jeśli jadący za nią grasanci rozproszyli się zbyt po stepie, to może przy zawrocie przyjdzie jej natknąć się na którego i pojedynczą walkę stoczyć.

— Ba! To i cóż! — rzekła na ową myśl do swej walecznej duszy. — Michał tak mnie już wyuczył, że śmiało mogę się ważyć, a inaczej pomyślą jeszcze, że ze strachu uciekam, i na drugą ekspedycję nie wezmą, a przy tym pan Zagłoba będzie ze mnie dworował...

To sobie rzekłszy obejrzała się za łotrzykami, ale ci uciekali kupą. Do walki pojedynczej nie było żadnego podobieństwa, lecz Basi zachciało się koniecznie złożyć na oczach całego wojska dowód, że nie ucieka na oślep i w zapamiętaniu.

W tym celu wspomniawszy, iż ma w olstrach dwa pistoleciki wyborne, a przed odjazdem przez samego Michała starannie nabite, poczęła wstrzymywać dzianeta, a raczej zawracać go, hamując, w stronę Chreptiowa.

Lecz o cudo, na ten widok cała kupa grasantów zmieniła nieco kierunek ucieczki, biorąc się więcej w lewo, ku brzegowi wzgórza. Basia, podpuściwszy ich na kilkadziesiąt kroków, wypaliła po dwakroć do najbliższych koni, następnie zatoczywszy koło skoczyła całym pędem w stronę Chreptiowa.

Lecz zaledwie dzianet przebiegł z szybkością jaskółki kilkanaście kroków, gdy nagle zaczerniała przed nim szeroka rozpadlina stepowa. Basia wspięła go ostrogami bez namysłu i szlachetny zwierz nie odmówił skoku. Ale przednie tylko jego kopyta zachwyciły nieco przeciwległego brzegu, więc przez chwilę szukał gwałtownie tylnymi podparcia na stromej ścianie, za czym nie dość zmarznięta jeszcze ziemia obsunęła mu się spod nóg i runął w szczelinę wraz z Basią.

Na szczęście nie przygniótł jej, bo pierwej jeszcze zdołała wyrzucić nogi ze strzemion i przechylić się w bok z całej mocy. Padła też na gruby pokład mchu wyściełającego niby futrem dno szczeliny, ale wstrząśnienie było tak silne, że zemdlała.

Wołodyjowski nie dojrzał wypadku, bo mu horyzont przesłaniali Lipkowie, natomiast Mellechowicz wrzasnął okropnym głosem na ludzi, by nie zatrzymując się ścigali dalej grasantów, sam zaś dobiegłszy do jaru stoczył się na łeb w dół.

W mgnieniu oka zeskoczył z kulbaki i porwał Basię w ramiona. Sokole oczy jego objęły ją całą w jednej chwili, bacząc, czy nie dojrzą gdzie krwi, potem błyskawicą padły na mchy. Zrozumiał, że one to uchroniły od śmierci i ją, i dzianeta.

Przygłuszony okrzyk radości wyrwał się z ust młodego Tatara.

Basia jednak ciążyła mu na rękach, więc przycisnął ją z całej mocy do piersi, potem zbladłymi wargami począł całować raz po raz jej oczy, potem przywarł ustami do jej ust, jakby duszę z niej wypić pragnął, wreszcie świat cały zakręcił się z nim szalonym wirem, zatajona na dnie piersi, jak smok w jaskini, namiętność porwała go jak burza.

W tej chwili jednak tętent licznych koni rozległ się echem z wysokiego stepu i zbliżał się coraz bardziej. Liczne głosy poczęły wołać: „Tu! W tym jarze! Tu!”

Mellechowicz złożył Basię na mchach i ozwał się nadjeżdżającym:

— Bywaj! Tu! Bywaj!

W minutę później Wołodyjowski skoczył na dno jaru, za nim pan Zagłoba, Muszalski, Nienaszyniec i kilku innych oficerów.

— Nic jej! — zakrzyknął Tatar. — Mchy ją ocaliły.

Wołodyjowski porwał omdlałą żonę na ręce, inni skoczyli po wodę, której w pobliżu nie było. Zagłoba chwyciwszy skronie omdlałej począł wołać:

— Basiu! Baśka najmilsza! Baśka!

— Nic jej! — powtórzył blady jak trup Mellechowicz.

Tymczasem Zagłoba uderzył się po boku, chwycił manierkę, nalał gorzałki na dłoń i począł Basine skronie nią wycierać, następnie przechylił manierkę do jej ust, co widocznie poskutkowało, bo nim inni nadbieżeli z wodą, ona otworzyła oczy i poczęła chwytać powietrze ustami, pokasłując przy tym, bo jej gorzałka paliła podniebienie i gardło. W kilka minut przyszła zupełnie do siebie.

Wołodyjowski, nie zważając na obecność oficerów i żołnierzy, to przyciskał ją do piersi, to okrywał pocałunkami jej ręce mówiąc:

— A mojeż ty kochanie. Mało dusza ze mnie nie wyszła. Nicże ci? Nic cię nie boli?

— Nic mi! — odrzekła Basia. — Aha! Widzę teraz, że mnie zamroczyło, bo koń się ze mną opsnął... Zali to już po bitwie?

— Już. Azba-bej usieczon. Wracajmy teraz prędko, bo się boję, abyś mi nie zachorzała od fatygi.

— Wcale żadnej fatygi nie czuję! — rzekła Basia.

Po czym spojrzawszy bystro po obecnych rozdęła chrapki.

— Tylko nie myślcie waćpanowie, żem uciekała ze strachu. Oho! Ani mi się śniło. Jak Michała miłuję, tak sobie dla uciechy gnałam przed nimi, a potem z pistoletów wypaliłam.

— Koń od owych wystrzałów jeden postrzelon i zbója wzięliśmy żywcem — wtrącił Mellechowicz.

— A co? — odrzekła Basia. — Taki szwank przy skoku każdemu może się przytrafić, prawda? Żadna eksperiencja od tego nie obroni, że się koń czasem opsnie. Ha! Dobrze, żeście mnie waćpanowie postrzegli, bo mogłabym tu długo poleżeć.

— Pierwszy dostrzegł cię pan Mellechowicz i pierwszy ratował, bo myśmy za nim pędzili — odrzekł Wołodyjowski.

Basia usłyszawszy to zwróciła się do młodego Lipka i wyciągnęła do niego rękę.

— Dziękuję waćpanu za życzliwość.

On nic nie odrzekł, tylko przycisnął do ust jej rękę, a potem pochylił się i objął z pokorą jej stopy, jak chłop.

Tymczasem coraz więcej chorągwi ściągało nad brzeg szczeliny; bitwa była skończona, więc pan Wołodyjowski wydał tylko rozkazy Mellechowiczowi, aby urządził obławę na tych kilkunastu ordyńców, którzy zdołali ukryć się przed pościgiem, i zaraz wszyscy ruszyli do Chreptiowa. Po drodze widziała Basia raz jeszcze ze wzniesienia pobojowisko.

Trupy ludzkie i końskie leżały miejscami w kupach, miejscami pojedynczo. Po błękicie niebieskim płynęły ku nim coraz liczniej, z wielkim krakaniem stada kruków i siadały opodal, czekając, by pocztowi kręcący się jeszcze po równinie odjechali.

— Ot, żołnierscy grabarzowie! — rzekł wskazując ptactwo krzywcem szabli Zagłoba — a niech jeno odjedziem, przyjadą tu wilcy z kapelą i zębami będą tym nieboszczykom dzwonić. Znaczna to jest wiktoria, choć nad tak nikczemnym nieprzyjacielem odniesiona, bo ów Azba od kilku lat to tu, to tam grasował. Polowali na niego komendanci jak na wilka, zawsze na próżno, aż wreszcie na Michała trafił i przyszła nań czarna godzina.

— Azba-bej usieczon?

— Mellechowicz go pierwszy dojechał i powiadam ci, kiedy go nie wyciął nad uchem, to aż mu szabla do zębów doszła.

— Mellechowicz dobry żołnierz! — rzekła Basia.

Tu zwróciła się do pana Zagłoby:

— A waćpan siła dokazywałeś?

— Nie piszczałem jako świerszcz, nie skakałem jako pchła ani jako cyga, bo takową uciechę insektom zostawuję, ale też za to nie szukano mnie między mchami jako grzyba, za nos mnie nikt nie ciągnął ani też w gębę mi nikt nie dmuchał…

— Waćpana nie kocham! — odrzekła Basia wysuwając naprzód usta i sięgając mimo woli do swego różowego noska.

A on patrzył na nią, uśmiechał się i mruczał nie przestając dworować:

— Biłaś się walecznie — rzekł — umykałaś walecznie, przewróciłaś kozła walecznie, a teraz będziesz się od bólu w kościach kaszą okładała także walecznie; my zaś musimy cię pilnować, aby cię razem z twoją walecznością wróble nie zdziobały, gdyż one na kaszę wielce łakome.

— Waćpan już w to godzisz, żeby mnie Michał na drugą ekspedycję nie zabrał. Wiem doskonale!

— Owszem, owszem, będę go prosił, żeby cię zawsze na orzechy brał, boś misterna i gałęź się pod tobą nie złamie. Mój Boże, to mi wdzięczność! A któż Michała namawiał, byś z nami jechała? Ja! Srodze sobie to teraz wyrzucam, zwłaszcza że mi tak moją życzliwość płacisz. Czekaj! Będziesz teraz drewnianą szabelką badyle na chreptiowskim majdanie ścinać! Ot, dla ciebie ekspedycja! Inna by starego uściskała, a to licho kąśliwe naprzód mi strachu narobiło, a ninie jeszcze na mnie nastaje!

Basia niewiele myśląc uściskała zaraz pana Zagłobę, któren uradował się z tego wielce i rzekł:

— No, no! Przyznać muszę, żeś się cokolwiek do dzisiejszej wiktorii przyczyniła, bo żołnierze, że to każden chciał się popisać, z okrutną furią się bili.

— Jako żywo! — zawołał pan Muszalski. — Nie żal człeku i zginąć, gdy takie oczy na niego patrzą!

— Vivat nasza pani! — zakrzyknął pan Nienaszyniec.

— Vivat! — powtórzyło sto głosów.

— Daj jej Boże zdrowie!

A pan Zagłoba pochylił się ku Basi i mruknął:

— Po słabości!

I jechali wesoło dalej, pokrzykując, pewni uczty wieczorem. Pogoda uczyniła się cudna. Trębacze zagrali po chorągwiach, dobosze uderzyli w kotły i z wielkim gwarem wjechali wszyscy do Chreptiowa.

Rozdział XXVII

W Chreptiowie nad wszelkie spodziewanie zastali państwo Wołodyjowscy gości. Przybył pan Bogusz, który na kilka miesięcy tu sobie rezydencję wybrać postanowił dla traktowania przez Mellechowicza z rotmistrzami tatarskimi: Aleksandrowiczem, Morawskim, Tworowskim, Kryczyńskim i innymi, bądź z Lipków, bądź z Czeremisów, którzy w sułtańską służbę przeszli. Do pana Bogusza przyłączył się stary pan Nowowiejski z córką Ewą, wreszcie pani Boska, osoba stateczna, również z córką, młodziuchną jeszcze i bardzo urodziwą panną Zosią.

Widok białogłów w pustynnym i dzikim Chreptiowie uradował, ale jeszcze więcej zdziwił żołnierzy.

One także były zdziwione i widokiem pana komendanta, i pani komendantowej. Pierwszego bowiem, sądząc z rozgłośnej a straszliwej sławy, wyobrażały sobie jako jakiegoś wielkoluda, który samym spojrzeniem ludzi przeraża, drugą — jako olbrzymkę o wiecznie zmarszczonej brwi i grubym głosie. Tymczasem ujrzały przed sobą drobnego żołnierzyka z twarzą uprzejmą, pogodną — i również drobną a różową jak kukłeczka kobiecinkę, która w swych szerokich szarawarach i przy szabelce wyglądała raczej na urodziwe nad miarę pacholę niż na dorosłą osobę. Niemniej oboje gospodarstwo przyjęli gości z otwartymi ramionami; Basia ucałowała serdecznie jeszcze przed prezentacją wszystkie trzy niewiasty, potem zaś gdy powiedziały jej, kto są i skąd jadą, rzekła:

— Rada bym nieba przychylić waćpani i waćpannom! Okrutniem wam rada! Dobrze, że jakowa przygoda nie spotkała was w drodze, bo o to w naszej pustyni nietrudno, ale właśnie dziś do szczętuśmy grasantów wygnietli.

Widząc zaś, że pani Boska spogląda na nią ze wzrastającym zdumieniem, uderzyła się po szabelce i dodała z wielką chełpliwością:

— I ja byłam w bitwie! A jakże! Tak to u nas! Dla Boga, pozwólże mi waćpani odejść, szatki przystojniejsze dla mojej płci wdziać i trochę ręce ze krwi obmyć, bo z okrutnej bitwy wracamy. Oho! Żeby Azba nie był zniesion, może byś waćpani nie dotarła szczęśliwie do Chreptiowa. W mig wracam, a Michał będzie przez ten czas służył waćpani.

To rzekłszy znikła za drzwiami, a mały rycerz, który już był powitał pana Bogusza i pana Nowowiejskiego, przysunął się do pani Boskiej.

— Bóg mi takową niewiastę dał — rzekł jej — która nie tylko w domu słodką towarzyszką, ale i w polu mężnym towarzyszem być umie. Teraz zaś z jej rozkazu służby moje waćpani dobrodziejce polecam.

Na to pani Boska:

— Niechże jej Bóg błogosławi we wszystkim, jako na urodzie jej pobłogosławił. Jestem Antoniowa Boska; nie po to ja tu przyjechałam, żeby służb od waszej mości wymagać, jeno żeby go o pomoc i ratunek w nieszczęściu moim na kolanach prosić. Zośka! Klęknij i ty przed tym rycerzem, bo jeśli on nie poradzi, nikt nie poradzi!

To rzekłszy pani Boska rzuciła się istotnie na kolana, a urodziwa Zosia poszła za jej przykładem i obie zalawszy się rzewnymi łzami, poczęły wołać:

— Ratuj, rycerzu! Miej litość nad sierotami!

Hurma oficerów zbliżyła się zaciekawiona, widząc klęczące niewiasty, a zwłaszcza że ich widok urodziwej Zosi pociągnął, mały rycerz zaś, zmieszany wielce, począł panią Boską podnosić i usadzać na ławie.

— Na Boga — mówił — co waćpani czynisz? Jam to prędzej klęknąć powinien, jako przed białogłową stateczną. Mówże waćpani, w czym mogę pomoc swoją okazać, a jako Bóg na niebie, nie omieszkam!

— Uczyni on to; i ja się z mojej strony dołożę! Zagłoba sum! Dość waćpani wiedzieć! — zawołał, wzruszony łzami niewiast, stary wojownik.

Wówczas pani Boska skinęła na Zosię, ta zaś wydobyła prędko zza stanika list i podała go małemu rycerzowi.

Ów spojrzał na pismo i rzekł:

— Od pana hetmana!

Po czym rozerwał pieczęć i czytać począł:

„Mnie wielcy miły i kochany Wołodyjowski! Przez pana Bogusza z drogi posyłam ci mój szczery afekt i instrukcje, które pan Bogusz personaliter ci oznajmi. Teraz, ledwo po fatygach w Jaworowie stanąłem, zaraz się druga sprawa nadarza. Wielce mi zaś ona na sercu leży, a to z życzliwości, jaką mam dla żołnierzów, o których gdybym zapominał, to by Pan Bóg o mnie zapomniał. Pana Boskiego, kawalera wielkiej zacności i najmilszego towarzysza, orda ogarnęła temu kilka lat pod Kamieńcem. Żonę jego i córkę w Jaworowie przytuliłem, ale im serca płaczą, tej za mężem, a tej za ojcem. Pisałem przez Piotrowicza do pana Złotnickiego, naszego rezydenta w Krymie, aby tam Boskiego wszędy szukali. Podobno, że i znaleźli, ale go schowano, więc wydany z innymi jeńcami być nie mógł i pewnie dotychczas na galerach wiosłuje. Niewiasty w desperacji

całkiem utraciwszy nadzieję już mnie i molestować przestały, ale ja, świeżo wróciwszy i widząc ten ich żal nieutulony, przenieść tego na sobie nie mogę, aby przecie jakowegoś ratunku nie przedsięwziąć. Ty tam blisko jesteś i z wieloma murzami, jako wiem, pobratymstwo zawarłeś. Posyłam ci tedy niewiasty, a ty pomoc im daj. Piotrowicz będzie wkrótce jechał. Dajże mu listy do pobratymców. Jać do wezyra ni do chana pisać nie mogę, bo mi nieżyczliwi, a przy tym boję się o to, żeby z uwagi na moje listy za jakąś zbyt znamienitą osobę Boskiego nie poczytali i wykupu nad miarę nie podnieśli. Piotrowiczowi pilno tę sprawę poleć i przykaż, żeby bez Boskiego nie wracał, a pobratymców wszystkich porusz. Zawsze oni, choć poganie, wiary poprzysiężonej dotrzymują, a dla ciebie respekt wielki mieć muszą. Czyń wreszcie, co chcesz; jedź choćby do Raszkowa, obiecnij trzech znaczniejszych na wymianę, byle Boski koniecznie, jeśli żyw, wrócił. Nikt lepiej nad ciebie wszystkich sposobów nie zna, bo jako słyszę, krewnych jużeś wykupywał. Bóg cię pobłogosławi, a jać jeszcze lepiej pokocham, bo mi się serce krajać przestanie. O twoim gospodarstwie chreptiowskim słyszałem, że tam już spokojnie. Tegom się spodziewał. Na Azbę jeno baczenie dawaj. De publicis pan Bogusz wszystko ci opowie. Na Boga, od Wołoszy pilno nasłuchujcie, bo ponoś wielka nawała nas nie minie. Polecając twojemu sercu i usilności panią Boską, piszę się etc.”

Pani Boska płakała ciągle w czasie czytania listu, a Zosia wtórowała jej wznosząc swoje modre oczka ku niebu.

Tymczasem, nim pan Michał skończył, wbiegła Basia, już przybrana w szatki niewieście, i widząc łzy w oczach kobiet, poczęła troskliwie dopytywać, o co chodzi. Więc pan Michał przeczytał jej raz jeszcze list hetmański, ona zaś, wysłuchawszy go uważnie, z zapałem natychmiast poparła hetmańskie i pani Boskiej prośby.

— Złote serce pana hetmana! — zawołała ściskając męża. — Ale i my nie okażem gorszego, Michałku! Pani Boska zabawi tu u nas do czasu powrotu męża, a ty onego we trzy miesiące z Krymu sprowadzisz. We trzy albo we dwa, co, prawda?

— Albo jutro, albo za godzinę! — odrzekł przekomarzając się pan Michał.

Tu zwrócił się do pani Boskiej:

— Prędka, jako waćpani widzisz, u mojej żony rezolucja.

— Niechże ją za to Bóg błogosławi! — powtórzyła pani Boska. — Zosiu, ucałuj ręce pani komendantowej.

Ale pani komendantowa ani myślała dawać rąk do całowania, natomiast uściskały się z Zosią raz jeszcze, bo jakoś od razu przypadły sobie do serca.

Po czym Basia zwróciła się do męża, do pana Zagłoby i innych oficerów.

— Do rady, mości panowie! Do rady, do rady, a żywo!

— Żywo, bo głowa gore! — mruknął pan Zagłoba.

A Basia potrząsnęła płową czupryną:

— Nie mnie głowa, ale tym paniom serca z żalu gorą!

— Nikt się twojej poczciwej intencji nie przeciwi — rzekł Wołodyjowski — trzeba tylko naprzód szczegółowie relacji pani Boskiej wysłuchać.

— Zosiu, powiadaj wszystko, jak było, bo ja od łez nie mogę — rzekła matrona.

Zosia spuściła oczy w ziemię, zakrywszy je całkiem powiekami, po czym zarumieniła się jak wiśnia, nie wiedząc, od czego począć, i zawstydzona bardzo, że jej w tak licznym gronie przychodzi głos zabrać.

Lecz pani Wołodyjowska przyszła jej z pomocą.

— Zośka, a kiedy pana Boskiego w jasyr wzięto?

— Pięć lat temu, w sześćdziesiątym siódmym — odrzekła cienkim głosikiem Zosia nie podnosząc swych długich rzęs z oczu.

I następnie zaczęła już jednym tchem recytować:

— Nie było wtedy słychu o zagonach, a chorągiew tatusiowa stała pod Paniowcami. Tatuś z panem Bułajowskim mieli nadzór nad czeladzią, co w łąkach stad pilnowała, a tymczasem przyszli Tatarzy z wołoskiego szlaku i ogarnęli tatusia razem z panem Bułajowskim, ale pan Bułajowski już dwa lata temu powrócił, a tatuś nie powrócił.

Tu dwie drobniutkie łezki poczęły płynąć po Zosinych jagodach, aż rozczulił się tym widokiem pan Zagłoba i rzekł:

— Biedna trusia... Nie bój się, dziecko, wróci tatuś i jeszcze będzie na twoim weselu tańcował.

— A hetman pisał do pana Złotnickiego przez Piotrowicza? — spytał pan Wołodyjowski.

— Pan hetman pisał o tatusia do pana miecznika poznańskiego przez pana Piotrowicza — recytowała dalej Zosia — i pan miecznik z panem Piotrowiczem znaleźli tatusia u agi Murzy-beja.

— Dla Boga! Ja tego Murzę-beja znam! Z bratem jego byłem pobratymcem — zawołał Wołodyjowski. — Nie chciałże on pana Boskiego wydać?

— Było rozkazanie chanowe, żeby tatusia wydał, ale Murza-bej srogi, okrutny, tatusia ukrył, a panu Piotrowiczowi powiedział, że go już dawno do Azji przedał. Ale inni brańcy mówili panu Piotrowiczowi, że to nieprawda i że Murza umyślnie jeno tak

mówi, żeby się mógł dłużej nad tatusiem znęcać, bo on ze wszystkich Tatarów dla jeńców najokrutniejszy. Może być, że tatusia wtedy nie było w Krymie, bo Murza ma swoje galery i do wioseł ludzi potrzebuje, ale sprzedany tatuś nie był; wszyscy to mówili, że Murza woli zabić jeńca niżeli go sprzedawać.

— Święta prawda — rzekł pan Muszalski. — Tego Murzę Agę-beja w całym Krymie znają. Wielce bogaty to Tatarzyn, ale dziwnie przeciw narodowi naszemu zawzięty, bo czterech jego braci na wyprawach przeciw nam poległo.

— A nie ma on czasem między naszymi pobratymca? — spytał Wołodyjowski.

— Wątpliwa jest rzecz! — odpowiedziano ze wszystkich stron.

— Wytłumaczcie mi raz, co to jest one pobratymstwo! — rzekła Basia.

— To widzisz — odrzekł Zagłoba — kiedy po wojnie zaczynają się jakoweś traktaty, tedy się wojska wzajem nawiedzają i w komitywę ze sobą wchodzą. Trafia się wówczas, że towarzysz jaki upodoba sobie murzę, a murza jego, to sobie amicycję dozgonną ślubują, która się pobratymstwem zowie. Im zaś kto sławniejszy, jako na przykład Michał, ja albo pan Ruszczyc teraz w Raszkowie komendę mający, tym bardziej jego pobratymstwo pożądane. Oczywista, że taki nie będzie ci go zawierał z lada chmyzem, tylko też między najsławniejszymi murzami poszuka. Obyczaj jest ten, że wodę na szable leją i wzajem sobie przyjaźń zaprzysięgają, rozumiesz?

— A jak do wojny potem przyjdzie?

— W generalnej wojnie mogą się bić, ale jeśli się sam na sam zjadą albo jako harcownicy na się nastąpią, tedy się powitają i w zgodzie rozjadą. Toż gdy jeden dostanie się do niewoli, drugi powinien mu ją słodzić, a w najgorszym razie i okup za niego zapłacić. Ha! Bywali tacy, którzy się i majętnością dzielili. Gdy chodzi o przyjaciół albo znajomków, czy to kogo wyszukać, czy komuś pomóc, to się też pobratymcy do pobratymców udają i justycja nakazuje przyznać, że żaden naród lepiej od Tatarów podobnych juramentów nie zachowuje. Słowo u nich grunt! I na takiego przyjaciela pewnikiem liczyć możesz.

— A Michał siła ma takich?

— Mam trzech murzów możnych — odrzekł Wołodyjowski — a jednego jeszcze z łubniańskich czasów. Raz go u księcia Jeremiego wyprosiłem. Aga-bej mu na przezwisko, który teraz, choćby głową za mnie nałożyć przyszło, nałoży. Inni dwaj również pewni.

— Ha! — rzekła Basia. — Chciałabym zawrzeć pobratymstwo z samym chanem i wszystkich jeńców uwolnić.

— On by też był nie od tego — rzekł pan Zagłoba. — Nie wiadomo tylko, jakiego by praemium wzajem od ciebie zażądał?

— Pozwólcie waćpaństwo — rzekł Wołodyjowski — radźmy, co nam czynić przystoi. Owóż słuchajcie: mam wiadomość z Kamieńca, że za dwie niedziele najdalej przyjedzie tu Piotrowicz z licznym pocztem. Jedzie on do Krymu za wykupnem kilku kupców ormiańskich z Kamieńca, którzy przy zmianie chana zostali złupieni i w jasyr wzięci. Ot! Przygodziło się to i Seferowiczowi, bratu Pretora. Wszystko to ludzie wielce możni; pieniędzy nie pożałują i Piotrowicz pojedzie dobrze opatrzon. Przygoda nie grozi mu żadna, bo naprzód, zima blisko i nie pora na czambuły, a po wtóre, jedzie z nim Nawiragh, delegat patriarchy uzmiadzińskiego, i dwóch Anardratów z Kaffy, którzy glejty od młodego chana mają. Dam tedy Piotrowiczowi listy i do rezydentów Rzeczypospolitej, i do moich pobratymców. Prócz tego wiadomo waćpaństwu, że pan Ruszczyc, komendant raszkowski, ma rodzonych w ordzie, którzy dziećmi ogarnięci, całkiem potatarzeli i do dostojeństw doszli. Ci wszyscy ziemię i niebo poruszą, układów spróbują, w razie uporu Murzy samego chana przeciw niemu nastawią albo może i Murzie gdzie tam po cichu łeb ukręcą. Mam przeto nadzieję, że jeśli, co daj Boże, pan Boski żyw, to za parę miesięcy niechybnie go wydostanę, jako mi to pan hetman i moja tu obecna bliższa komenda — tu Wołodyjowski skłonił się żonie — przykazuje…

„Bliższa komenda” skoczyła znowu ściskać małego rycerza. Pani i panna Boska ręce tylko składały dziękując Bogu, że im do takich serdecznych ludzi trafić pozwolił. Poweselały też obie znacznie.

— Żeby to stary chan żył — rzekł pan Nienaszyniec — łatwiej by jeszcze wszystko poszło, gdyż pan to był wielce nam życzliwy, a o młodym przeciwnie powiadają. Jakoż i tych kupców ormiańskich, po których pan Zachariasz Piotrowicz ma jechać, już za panowania młodego w samym Bakczysaraju uwięziono, co podobno stało się za jego mości chanowym rozkazaniem.

— Zmieni się młody, jako się zmienił i stary, który nim się o naszej poczciwości przekonał, najzawziętszym był imienia polskiego wrogiem — rzekł Zagłoba — ja to najlepiej wiem, bom u niego siedm lat w niewoli siedział.

To rzekłszy przysiadł się do pani Boskiej.

— Niech mój widok doda waćpani otuchy. Siedm lat! Nie żart, a dlategom wrócił i tylem się tych psubratów natłukł, że za każden dzień mojej niewoli co najmniej dwóch do piekła posłałem, a na niedziele i święta, kto wie, czy trzech albo czterech nie wypadnie, ha!

— Siedm lat! — powtórzyła z westchnieniem pani Boska.

— Niech skonam, jeślim dzień dodał. Siedm lat w samym pałacu chańskim — potwierdził pan Zagłoba mrugając tajemniczo oczyma. — I trzeba waćpani wiedzieć, że ten młody chan to mój...

Tu poszepnął coś do ucha pani Boskiej, nagle wybuchnął głośnym „cha, cha, cha!" i począł dłońmi po kolanach się trzepać, wreszcie w zapale poklepał i kolana pani Boskiej mówiąc:

— Dobre były czasy, co? W młodości, co na placu, to nieprzyjaciel, a co dzień, to nowy figiel, ha!

Stateczna matrona zmieszała się bardzo i odsunęła się nieco od wesołego rycerza; młode niewiasty pospuszczały oczy domyśliwszy się łacno, że figle, o których mówił pan Zagłoba, czymś przeciwnym przyrodzonej ich skromności być muszą, zwłaszcza że żołnierze wybuchnęli wielkim śmiechem.

— Trzeba będzie prędko do pana Ruszczyca posłać — rzekła Basia — żeby pan Piotrowicz zastał już listy gotowe w Raszkowie.

Na to pan Bogusz:

— Śpieszcie się waćpaństwo z całą tą sprawą, póki zima, bo raz, że wtedy żadne czambuły nie wychodzą i drogi bezpieczne, a po wtóre, a po wtóre, wiosną Bóg wie co się może przygodzić.

— Miałżeby pan hetman jakie wiadomości z Carogrodu? — spytał Wołodyjowski.

— Miał, i o takowych z osobna musimy pogadać. To pewna, że i z owymi rotmistrzami trzeba pilno kończyć. Kiedy Mellechowicz wróci, bo od niego siła zależy?

— Ma on tam tylko resztę grasantów wyciąć, a później ciała pogrześć. Powinien wrócić jeszcze dziś albo jutro rano. Kazałem mu tylko naszych pogrześć, a Azbowych niekoniecznie, że to zima idzie i przed zarazą nie ma strachu. Wreszcie wilcy ich uprzątną.

— Prosi pan hetman — rzekł pan Bogusz — aby Mellechowicz żadnej tu przeszkody w swojej robocie nie miał; ile razy zechce do Raszkowa pojechać, tyle razy niech jedzie. Prosi też pan hetman, żeby onemu we wszystkim ufać, gdyż pewien jest jego dla nas miłości. Wielki to żołnierz i wiele dobrego może sprawić.

— Niech sobie jeździ do Raszkowa i dokąd chce — odrzekł mały rycerz. — Od chwili jakeśmy Azbę znieśli, niezbyt on mi nawet potrzebny. Żadne już większe kupy teraz się nie pojawią aż do pierwszej trawy.

— Także to Azba zniesion? — spytał pan Nowowiejski.

— Tak zniesion, że nie wiem, czy dwudziestu piąciu ludzi uszło, a i tych się po jednemu wyłowi, jeśli już ich Mellechowicz nie wyłowił.

— Okrutnie się z tego cieszę — odrzekł pan Nowowiejski — bo teraz pewnie można będzie bezpiecznie do Raszkowa jechać.

Tu zwrócił się do Basi:

— Możemy listy do pana Ruszczyca zabrać, o których jejmość pani dobrodziejka wspominała.

— Dziękujem — odrzekła Basia — ciągle są tu okazje, bo umyślnych się posyła.

— Wszystkie komendy ciągły związek między sobą utrzymywać muszą — objaśnił pan Michał. — Ale, proszę, to waszmość do Raszkowa z tą oto piękną panną jedziesz?

— Muc to sobie zwyczajny, nie żadna piękność, mości dobrodzieju — odrzekł pan Nowowiejski — a do Raszkowa jedziem, bo tam syn mój niecnota pod chorągwią pana Ruszczycową służy. Lat blisko dziesięć, jak z domu uciekł i listami jeno do mojej ojcowskiej klemencji pukał.

Wołodyjowski aż w ręce klasnął:

— Zarazem się domyślił, że waszmość pana Nowowiejskiego młodego rodzic, i właśnie pytać miałem, tylko żeśmy to byli żałością jejmości pani Boskiej zajęci. Zarazem się domyślił, bo i rysów jest podobieństwo! Proszę, to on waszmości syn!...

— Tak mnie nieboszczka jego matka zapewniała, a że niewiasta była cnotliwa, więc nie mam przyczyny wątpić.

— Podwójniem z takiego gościa rad! Dla Boga! Tylko nie nazywaj że mi waść syna niecnotą, bo to znamienity żołnierz i godny kawaler, któren zaszczyt największy waszmości przynosi. Po panu Ruszczycu pierwszy to w całej chorągwi zagończyk; chyba waszmość nie wiesz, że to oczko w głowie hetmana! Całe komendy już mu powierzano i z każdej funkcji z niepomierną sławą się wywiązywał.

Pan Nowowiejski pokraśniał z zadowolenia.

— Mości pułkowniku — rzekł — nieraz po to jeno ojciec dziecko przygani, by ktoś jego słowom zaprzeczył, i tak mniemam, że nie można rodzicielskiego serca bardziej udelektować, jak przyganie negując. Już mnie też słuchy o chwalebnych Adaszkowych służbach dochodziły, ale teraz dopiero prawdziwie mi pocieszno, gdy potwierdzenie tej famy z tak sławnych ust słyszę. Powiadają, że nie tylko ma być mężny żołnierz, ale i stateczny, co mi nawet dziw, bo zawsze był wicher. Ochotę do wojny od małego, szelma, miał, a najlepszy dowód, że pacholęciem uciekł z domu. Przyznaję, że gdybym go był

wówczas złapał, byłbym mu był pro memoria nie żałował, ale teraz trzeba będzie, widzę, zaniechać, bo mi się znowu na jakie dziesięć lat pochowa, a staremu tęskno.

— Że to jednak przez tyle lat do domu nie zajrzał?...

— Bom mu wzbronił. Atoli dość mi tego i teraz pierwszy przyjeżdżam, gdyż on, na służbie będąc, nie może. Chciałem imć państwa łaskawców moich o gościnność dla dziewki prosić, a sam do Raszkowa jechać, skoro jednak powiadacie, że wszędy bezpieczno, to wezmę i ją ze sobą. Ciekawa świata sroka, niech mu się napatrzy.

— I ludzie niech jej się napatrzą! — wtrącił Zagłoba.

— Nie mieliby na co! — odrzekła panna, której śmiałe czarne oczy i złożone jakby do całusa usta mówiły zresztą co innego.

— Muc to zwyczajny, nic więcej jak muc! — rzekł pan Nowowiejski. — Ba, ale jak gładkiego oficera zobaczy, to aż ją podrzuca. Z tej przyczyny wolałem ją ze sobą zabrać niż zostawić, zwłaszcza że samej dziewce w domu niebezpieczno. Ale jeśli mi przyjdzie bez niej do Raszkowa jechać, niechże ją jejmość pani na sznurku każe przywiązać, inaczej bryknąć gotowa.

— Ja sama nie byłam lepsza — odrzekła Basia.

— Dawali jej kądziel prząść — ozwał się Zagłoba — a ona z nią tańcowała, jak nie miała z kim lepszym! Ale waćpan wesoły człowiek, panie Nowowiejski. Baśka! Chciałbym się z panem Nowowiejskim stuknąć, bo i ja też lubię czasem krotochwile...

Tymczasem, nim podano wieczerzę, otworzyły się drzwi i wszedł Mellechowicz. Pan Nowowiejski nie spostrzegł go od razu, bo zagadał się z panem Zagłobą, natomiast spostrzegła go Ewka i płomienie uderzyły jej na twarz, a potem zbladła nagle.

— Panie komendancie! — rzekł do Wołodyjowskiego Mellechowicz. — Wedle rozkazu, tamci wyłapani.

— Dobrze! Gdzie są?

— Podług rozkazu: kazałem ich powiesić.

— Dobrze! A twoi ludzie wrócili?

— Część ostała dla grzebania ciał, reszta jest ze mną.

W tej chwili pan Nowowiejski podniósł głowę i nadzwyczajne zdumienie odbiło się na jego obliczu.

— Dla Boga! Co ja widzę! — rzekł.

Po czym wstał, poszedł wprost przed Mellechowicza i zakrzyknął:

— Azja! A ty tu co robisz, hultaju?!

I podniósł rękę chcąc chwycić za kołnierz Lipka, lecz ów wzburzył się w jednej chwili, jak gdyby kto garścią prochu w płomień cisnął, pobladł jak trup i chwyciwszy żelazną dłonią rękę Nowowiejskiego, rzekł:

— Nie znam waści! Coś za jeden?!

I odepchnął go silnie, aż pan Nowowiejski potoczył się na środek izby.

Przez czas jakiś z wściekłości słowa nie mógł przemówić, lecz chwyciwszy dech począł krzyczeć:

— Mości komendancie! To mój człowiek, i do tego zbieg! W moim domu od małego!... Hultaj! Zapiera się! To mój człowiek! Ewa! Kto to jest? Gadaj!

— Azja! — rzekła, drżąc cała, panna Ewa.

Mellechowicz ani na nią spojrzał. Oczy wpił w pana Nowowiejskiego i łopocąc nozdrzami, patrzył w starego szlachcica z nieopisaną nienawiścią, ściskając ręką głownię noża. Przy czym od ruchu nozdrzy wąsy jego poczęły drgać, a spod tych wąsów przebłyskiwały białe kły, zupełnie jak u rozwścieczonego zwierza.

Oficerowie stanęli kołem. Basia wyskoczyła na środek między Mellechowicza a Nowowiejskiego.

— Co to znaczy? — spytała marszcząc brwi.

Widok jej uspokoił nieco przeciwników.

—Panie komendancie — rzekł Nowowiejski — to znaczy, com rzekł: to jest mój człowiek imieniem Azja — i zbieg. Służąc z młodych lat wojskowo na Ukrainie, znalazłem go półżywego w stepie i przygarnąłem. To Tatarczuk. Chował się przez dwadzieścia lat w domu moim i uczył się razem z synem. Gdy syn uciekł, ów wyręczał mnie w gospodarstwie, póki mu się amorów z Ewuchą nie zachciało, co ja spostrzegłszy kazałem go wychłostać; on zasię potem zbiegł. Jak on się tu zwie?

— Mellechowicz!

— To sobie przybrał przezwisko. On zwie się Azja, nic więcej! Powiada, że mnie nie zna, ale ja go znam i Ewucha także.

— Dla Boga! — rzekła Basia — toż syn waszmościów wielekroć go u nas widział. Jakże go nie poznał?

— Syn mógł go nie poznać, bo gdy uciekł z domu, obaj mieli po piętnaście lat, a ten sześć jeszcze u mnie siedział, przez który czas odmienił się znacznie i dorósł, i wąsy mu wyrosły. Ale Ewucha wraz go poznała. Mości państwo, już też prędzej obywatelowi dacie wiarę niźli temu przybłędzie z Krymu!

— Pan Mellechowicz jest hetmańskim oficerem — rzekła Basia — nic nam do niego!

— Pozwól waść, że go wypytam. Audiatur et altera pars! — ozwał się mały rycerz.

Lecz pan Nowowiejski wpadł w złość.

— Pan Mellechowicz! Jaki on pan! Mój pachoł, który się pod cudze nazwisko podszył. Jutro tego pana psiarkiem moim uczynię, pojutrze baty temu panu każę dać, i w tym sam hetman mi nie przeszkodzi, bom szlachcic i swoje prawa znam!

Na to pan Michał ruszył wąsikami i rzekł już ostrzej:

— A jam nie tylko szlachcic, ale i pułkownik, i moje prawa także znam. Człeka swojego prawem możesz waść dochodzić i do inkwizycji hetmańskiej się udać, ale rozkazuję tutaj ja, nikt inny!

Pan Nowowiejski pomiarkował się zaraz, wspomniawszy, że mówi nie tylko do komendanta, ale i do zwierzchnika własnego syna, a przy tym najsławniejszego w Rzeczypospolitej rycerza.

— Panie pułkowniku — rzekł łagodniejszym już tonem. — Jać go wbrew woli waszmościowej nie wezmę, jeno prawa swoje wywodzę, którym proszę, aby była wiara dana.

— Mellechowicz, co ty na to? — spytał Wołodyjowski.

Tatar wbił oczy w ziemię i milczał.

— Bo imię ci Azja, to wszyscy wiemy! — dodał Wołodyjowski.

— Co tu innych dowodów szukać! — rzekł Nowowiejski. — Jeśli to mój człowiek, to ryby ma siną farbą na piersiach wykłute!

Usłyszawszy to pan Nienaszyniec otworzył szeroko oczy i usta, następnie porwał się za głowę i zakrzyknął:

— Azja Tuhaj-bejowicz!

Wszystkie oczy zwróciły się na niego, ten zaś aż trząsł się cały, jakby wszystkie rany otworzyły mu się na nowo, i powtarzał:

— To mój jasyr! To Tuhaj-bejowicz! Na Boga! To on!

A młody Lipek podniósł dumnie głowę, powiódł swym żbiczym wzrokiem po zgromadzeniu i nagle rozerwawszy żupan na swej szerokiej piersi rzekł:

— Ot, ryby siną barwą wykłute!... Jam jest syn Tuhaj-beja!...

Rozdział XXVIII

Umilkli wszyscy, tak wielkie imię strasznego wojownika uczyniło wrażenie. Onże to przecie wespół z groźnym Chmielnickim całą Rzecząpospolitą potrząsał; on wylał morze krwi polskiej; on Ukrainę, Wołyń, Podole i ziemie halickie kopytami końskimi stratował, zamki i grody poburzył, wsie ogniem nawiedził, dziesiątki tysięcy ludzi w jasyr wziął. Syn takiego człowieka stał oto teraz przed zgromadzeniem w chreptiowskiej stanicy i mówił ludziom do oczu: „Ja mam sine ryby na piersiach, jam jest Azja, kość z kości Tuhaj-bejowej". Lecz taka była w ówczesnych ludziach cześć dla krwi znamienitej, iż mimo zgrozy, jaką imię przesławnego murzy musiało w duszy każdego żołnierza wywołać, Mellechowicz wyrósł w ich oczach, jakby całą wielkość ojcowską wziął w siebie.

Patrzyli więc na niego ze zdumieniem, a głównie niewiasty, dla których wszelka tajemnica największą stanowi ponętę; ów zaś, jakby i we własnych oczach przez wyznanie wyrósł, stał hardo, głowy nie spuszczał, i wreszcie rzekł:

— Ów szlachcic — tu wskazał na Nowowiejskiego — prawi, żem ja jego człek, a ja mu na to rzeknę, iż rodzic mój po lepszych grzbiecie na koń siadał. Prawdę zresztą mówi, żem u niego był, bom był, i pod jego puhą grzbiet mi krwią spłynął, czego nie zapomnę, tak mi dopomóż Bóg!... Mellechowiczem nazwałem się, żeby jego pościgu uniknąć. Ale teraz, choć mogłem do Krymu zbiec, tej ojczyźnie krwią i zdrowiem służę, więc niczyj ja, jeno hetmański. Mój ojciec chanom pokrewny i w Krymie bogactwa a rozkosze mię czekały; ja zaś tu zostałem we wzgardzie, bo tę ojczyznę miłuję i pana hetmana miłuję, i tych miłuję, którzy mi nigdy kontemptu nie okazali.

To rzekłszy skłonił się Wołodyjowskiemu, schylił się przed Basią tak nisko, iż głową dotknął niemal jej kolan, zresztą nie spojrzawszy na nikogo więcej wziął szablę pod pachę i wyszedł.

Przez chwilę trwało jeszcze milczenie; pierwszy pan Zagłoba ozwał się:

— Ha! Gdzie to pan Snitko! Mówiłem, że temu Azji wilkiem z oczu patrzy, a to i wilczy syn!

— Lwi syn! — odrzekł Wołodyjowski — I kto wie, czy w ojca nie poszedł!

— Dla Boga! Uważaliście waćpaństwo, jak to mu zęby błyskały, zupełnie jak staremu Tuhaj-bejowi, gdy był w gniewie! — rzekł pan Muszalski. — Po tym jednym bym go poznał, bom też starego Tuhaj-beja często widywał.

— Nie tak często jak ja! — odpowiedział pan Zagłoba.

— Teraz rozumiem — wtrącił pan Bogusz — dlaczego on ma taki mir między Lipkami i Czeremisami. Oni to przecie Tuhaj-bejowe imię jako święte wspominają. Przez Bóg żywy! Gdyby ten człowiek chciał, mógłby ich co do jednego w sułtańską służbę zaprowadzić i siła klęsk nam przyczynić.

— Tego on nie uczyni — odparł Wołodyjowski — bo to, co rzekł, że tę ojczyznę i hetmana miłuje, to prawda: inaczej by nie służył między nami, mogąc do Krymu iść i tam we wszystko opływać. Już też rozkoszy u nas nie zaznał!

— Nie uczyni — powtórzył pan Bogusz — bo gdyby chciał, to by już uczynił. Żadnej do tego nie miał przeszkody.

— Przeciwnie — dodał Nienaszyniec — wierzę teraz, że on owych zdrajców rotmistrzów na powrót do Rzeczypospolitej skaptuje.

— Panie Nowowiejski — rzekł nagle Zagłoba — żebyś tak waćpan był wiedział, że to Tuhaj-bejowicz, może byś tego... może byś tak... co?

— Kazałbym mu zamiast trzysta — tysiąc trzysta puh dać. Niech mnie piorun trzaśnie, jeślibym tego nie zrobił! Moi mości panowie! Dziwno mi to, że on, będąc Tuhaj-bejowym szczenięciem, do Krymu nie zbiegł. Chyba że się niedawno o tym dowiedział, bo u mnie nic nie wiedział. Dziwno mi to, powiadam, ale dla Boga, nie ufajcieże mu! Toć ja go dawniej od ichmościów znam i powiem tylko tyle: diabeł nie jest tak przewrotny, wściekły pies nie tak zapalczywy, wilk mniej zawzięty i okrutny od tego człowieka. Jeszcze on nam tu wszystkim sadła za skórę zaleje!

— Co waść mówisz! — rzekł Muszalski. — My jego przy robocie pod Kalnikiem, Humaniem, Bracławiem i w stu innych potrzebach widzieli.

— Nie daruje on swego! Zemści się!

— A dziś Azbowych grasantów jak golił! Co waść prawisz!

Tymczasem Basia cała była w ogniach, tak ją ta Mellechowiczowska historia zajęła; ale chciało się Basi, żeby i koniec był godny początku, więc potrząsając Ewą Nowowiejską szeptała jej do ucha:

— Ewka, a ty jego miłowała? Przyznaj się, nie zapieraj! Miłowałaś, ha? Jeszcze miłujesz, co? Jestem pewna! Bądź ze mną szczera. Komu się zwierzysz, jeśli nie mnie, niewieście? Widzisz! Prawie królewska krew w nim! Pan hetman mu dziesięć indygenatów, nie jeden, wyrobi. Pan Nowowiejski się nie sprzeciwi. Niechybnie i Azja cię jeszcze miłuje! Już ja wiem, już wiem. Nie bój się! On we mnie ufność ma. Zaraz go wezmę na pytki. Bez przypiekania powie. Miłowałażeś go okrutnie? Miłujeszże go jeszcze?

Ewka była jakby odurzona. Gdy Azja po raz pierwszy skłonność ku niej okazał, była jeszcze niemal dzieckiem, potem nie widziała go przez lat wiele i przestała o nim myśleć. Zostało jej po nim wspomnienie zapalczywego wyrostka, który był na wpół towarzyszem jej brata, a na wpół człowiekiem służebnym. Ale teraz, gdy po długiej rozłące ujrzała go znowu, stanął przed nią junak piękny i groźny jak sokół, oficer i słynny zagończyk, a do tego syn, wprawdzie obcego, lecz książęcego rodu. Więc i jej młody Azja przedstawił się zupełnie inaczej, więc widok jego oszołomił ją, a zarazem olśnił i upoił. Wspomnienia ocknęły się ze snu. Serce jej nie mogło pokochać junaka w jednej chwili, ale w jednej chwili poczuła w nim lubą do tego gotowość.

Basia nie mogąc dopytać się zabrała ją wraz z Zosią Boską do alkierza i na nowo zaczęła nalegać:

— Ewka! Gadaj prędko, ogromnie prędko! Miłujesz go?

Pannie Ewie łuna biła na twarz. Była to czarnowłosa i czarnooka panna o krwi gorącej, która krew na każdą wzmiankę o kochaniu falą uderzała jej na jagody.

— Ewka! — powtórzyła po raz dziesiąty Basia — miłujesz go?

— Nie wiem — odrzekła po chwili wahania panna Nowowiejska.

— Ale nie przeczysz? Oho! To już wiem! Jeno się nie wzdragaj! Jam pierwsza powiedziała Michałowi, że go kocham — i nic! I dobrze! Musieliście się dawniej okrutnie kochać! Ha! Teraz rozumiem! To on z tęskności za tobą taki zawsze ponury jak wilk chodził. Żołnierzysko mało nie uschło! Co między wami było, powiadaj!

— W lamusie mi powiedział, że mnie miłuje — szepnęła panna Nowowiejska.

— W lamusie!... to dopiero!... A potem co?

— Potem mnie ułapił i począł całować — ciągnęła jeszcze ciszej panna.

— Niech go nie znam, tego Mellechowicza! A ty co?

— A ja bałam się krzyczeć.

— Bała się krzyczeć! Zośka, słyszysz!... Kiedy się wasze kochanie wykryło?

— Ojciec nadszedł i zaraz go obuszkiem uderzył, potem mnie bił i jego kazał tak bić, tak bić, że dwie niedziele leżał!

Tu panna Nowowiejska rozpłakała się po części z żalu, a po części z konfuzji. Na ten widok załzawiły się zaraz i modre oczka czułej Zosi Boskiej, atoli Basia poczęła Ewę pocieszać:

— Wszystko to się skończy dobrze, moja w tym głowa! I Michała do roboty zaprzęgnę, i pana Zagłobę. Już ja ich namówię, nie bój się! Przed pana Zagłoby dowcipem nic się nie ostoi. Ty jego nie znasz! Nie płacz, Ewka, bo czas na wieczerzę...

Mellechowicza na wieczerzy nie było. Siedział w swojej izbie i grzał sobie na ogniu gorzałkę z miodem, którą następnie przelewał do mniejszej blaszanki i popijał przegryzając sucharem.

Pan Bogusz przyszedł do niego późną już nocą, aby się z nim o nowinach rozmówić.

Tatar posadził go zaraz na zydlu obitym owczą skórą i postawiwszy przed nim pełny kusztyczek gorącego napoju, spytał:

— A pan Nowowiejski zawszeli chce chłopa swego ze mnie uczynić?

— Już o tym mowy nie ma — odparł pan podstoli nowogrodzki. — Prędzej by pan Nienaszyniec mógł się do ciebie przyznać, ale i jemu nic po tobie, bo tam już siostra jego albo zmarła, albo zgoła nie życzy sobie w losie odmiany. Pan Nowowiejski nie wiedział, ktoś był, gdy cię za konfidencję z córką karał. A teraz i on jako ogłuszony chodzi, bo choć ojciec twój siła złego ojczyźnie naszej wyrządził, przecie wojownik był znakomity, i zawsze co krew, to krew. Dla Boga! Nikt tu palca na cię nie zakrzywi, póki tej ojczyźnie wiernie służysz, zwłaszcza że wszędy masz przyjaciół.

— Dlaczego bym jej nie miał wiernie służyć? — odparł Azja. — Mój ojciec was bił, ale on był poganin, ja zaś Chrystusa wyznaję.

— Otóż to jest! Oto jest! Nie możesz ty już do Krymu wracać, chyba z utratą wiary, że zaś musiałaby iść za tym i utrata zbawienia, więc żadne dobra ziemskie ani godności wynagrodzić by ci tego nie mogły. Po prawdzie, toś ty wdzięczność winien i panu Nienaszyńcowi, i panu Nowowiejskiemu, bo pierwszy z nich spomiędzy pogan cię wydobył, a wtóry w prawdziwej wierze wyhodował.

Na to Azja:

— Ja wiem, że ja im wdzięczność winien, i postaram się wypłacić. Słusznieś waszmość zauważył, że siła tu dobrodziejów znalazłem!

— Tak to mówisz, jakby ci gorzko w gębie było, a przecie policz sam życzliwych.

— Jegomość pan hetman i waszmość w pierwszym rzędzie: to do śmierci będę powtarzał. Kto więcej, to nie wiem…

— A komendant tutejszy? Czy ty myślisz, żeby on cię w czyjekolwiek ręce wydał, choćbyś nie był Tuhaj-bejowym synem? A ona! A pani Wołodyjowska! Słyszałem przecie, co o tobie przy wieczerzy mówiła… Ba! A jeszcze przedtem, gdy Nowowiejski cię poznał, zaraz za tobą poczęła się oponować! Pan Wołodyjowski wszystko by dla niej uczynił, bo on świata za nią nie widzi, siostra zaś brata nie może więcej miłować jako ona ciebie. Przez całą wieczerzę z gęby jej nie schodziło twoje imię…

Młody Tatar pochylił nagle głowę i począł dmuchać w półkwaterek gorącego napoju; przy czym gdy do odmuchania wydął sinawe nieco wargi, twarz uczyniła mu się tak dzika i tak tatarska, że aż pan Bogusz rzekł:

— Dalibóg, jakiś ty wszelako w tej chwili do starego Tuhaj-beja podobny, to przechodzi imaginację. Znałem go przecie doskonale, widywałem go i na chańskim dworze, i w polu; jeździłem do jego siehenia mało dwadzieścia razy.

— Niech Bóg błogosławi sprawiedliwym, a zaraza niech wydusi krzywdzicieli! — odrzekł Azja. — Zdrowie hetmańskie!

Pan Bogusz wypił i rzekł:

— Zdrowie i długie lata! Garść nas wprawdzie tych, którzy przy nim stoimy, ale prawdziwych żołnierzy. Da Bóg, nie damy się tym łuszczybochenkom, co sejmikować tylko umieją i panu hetmanowi zdradę przeciw królowi zadawać. Szelmy! To my w stepie dzień i noc czołem do nieprzyjaciela stoim, a oni dzieżki pełne bigosu i jagieł wożą, a łyżkami w nie bębnią! Ot, ich robota! Pan hetman posła za posłem śle, o pomoc dla Kamieńca prosi, jako Kasandra upadek Ilium i narodu Priama przepowiada, a ci o niczym nie myślą, jeno ciągle dochodzą, kto przeciw królowi zawinił.

— O czym waszmość mówisz?

— Et, nic! Uczyniłem comparationem naszego Kamieńca z Troją, aleś ty pewnie o Troi nie słyszał. Niech się jeno uspokoi trochę, a pan hetman indygenat ci wyrobi, szyję daję! Czasy idą takie, że okazji ci nie zbraknie, jeśli szczerze chcesz się sławą okryć.

— Albo ja się sławą pokryję, albo mnie ziemia pokryje. Usłyszysz waść o mnie, jako Bóg na niebie!

— A cóż tamci? Co Kryczyński? Wrócą? Nie wrócą? Co teraz czynią?

— Po sieheniach stoją: jedni w Udrzyjskim Stepie, inni dalej. Ciężko im się ze sobą porozumieć, bo daleko. Mają rozkaz na wiosnę do Adrianopola wszyscy ruszać i żywności co najwięcej ze sobą brać.

— Na Boga! To jest ważne, bo jeśli w Adrianopolu będzie wielki wojskowy congressus, to wojna z nami pewna. Trzeba pana hetmana zaraz o tym uwiadomić. On też myśli, że wojna nastąpi, ale to byłby już niechybny znak.

— Halim mówił mi, iż tam między nimi mówią, jakoby i sam sułtan do Adrianopola miał zjechać.

— Pochwalone imię Pańskie! A tu u nas wojska ledwie garść. Cała nadzieja w opoce kamienieckiej. Zali Kryczyński stawia jakie nowe kondycje?

— Więcej oni wypisują skarg, niźli stawiają kondycyj: powszechna amnestia, przywrócenie do praw i przywilejów szlacheckich, jakie za dawnych czasów mieli, zatrzymanie szarży dla rotmistrzów — oto, czego chcą. Ale że sułtan więcej im już przyznał, więc się wahają.

— Co prawisz! Jakże sułtan więcej im może przyznać niźli Rzeczpospolita? W Turczech jest absolutum dominium i wszystkie prawa od jednej sułtańskiej fantazji zależą. Choćby i ten, który obecnie żywie i panuje, wszystkich obietnic dotrzymał, to następca złamie je albo podepce, kiedy zechce. Tymczasem u nas przywilej święta rzecz — i kto szlachcicem zostanie, temu sam król nie może nic odjąć.

— Oni powiadają, że szlachtą byli, a dlatego ich na równi z dragonami traktowano, a starostowie kazali im nieraz rozmaite powinności odbywać, od których nie tylko szlachta jest wolna, ale nawet i bojarzynkowie putni.

— Skoro im hetman przyrzeka…

— Żaden z nich o wspaniałomyślności hetmańskiej nie wątpi i wszyscy go po cichu w sercu kochają, ale myślą sobie tak: hetmana samego zdrajcą hassa szlachecka okrzykuje; na dworze u króla go nienawidzą; sądem mu konfederacja grozi — jakże on potrafi co wskórać?

Pan Bogusz począł trzeć czuprynę.

— Więc co?

— Więc sami nie wiedzą, co mają czynić.

— I u sułtana zostaną?

— Nie.

— Ba! Kto im rozkaże wrócić do Rzeczypospolitej?

— Ja!

— Jakże to!

— Tuhaj-bejowym jestem synem!

— Mój Azja! — rzekł po chwili pan Bogusz — Nie neguję, że oni mogą się w twojej krwi i sławie Tuhaj-bejowej kochać, chociaż oni są nasi Tatarzy, a Tuhaj-bej był naszym wrogiem. Takie rzeczy ja rozumiem, bo i u nas jest szlachta, która z pewną chlubą opowiada, że Chmielnicki był szlachcicem i nie z kozackiego, ale z naszego narodu pochodził, z Mazurów… No! Przecie taki szelma był, że w piekle gorszego nie znaleźć, ale że znamienity wojennik, więc radzi się do niego przyznają. Taka już natura ludzka! Żeby jednak twoja Tuhaj-bejowa krew dawała ci prawo rozkazywać wszystkim Tatarom, do tego słusznych racji nie widzę.

Azja czas jakiś milczał, potem wsparł dłonie na udach i rzekł:

— To ja wam powiem, panie podstoli, dlaczego Kryczyński mnie słucha i inni mnie słuchają. Bo oprócz tego, że oni proste Tatarczuchy, a ja kniaź, jest jeszcze we mnie rada i moc... No! Ani wy nie wiecie, ani sam pan hetman nie wie...

— Jaka rada, jaka moc?

— Ja toho skazaty ne umiju — odrzekł po rusińsku Azja. — A czemu ja na takie rzeczy gotów, na które inny by się nie ważył? Czemu ja to pomyślał, czego by inny nie pomyślał?

— Co gadasz? O czymżeś pomyślał?

— Ja pomyślał o tym, że gdyby mi pan hetman wolę a prawo dał, tak ja by nie tylko tych rotmistrzów wrócił, ale pół ordy na usługi hetmańskie postawił. Mało to pustej ziemi na Ukrainie i w Dzikich Polach? Niech hetman jeno ogłosi, że który Tatar przyjdzie do Rzeczypospolitej, ten szlachcicem zostanie, w wierze ucisku nie będzie miał, a we własnych chorągwiach będzie służył, że wszyscy własnego hetmana będą mieć, jako Kozacy mają, a moja głowa, że wnet się cała Ukraina zamrowi. Przyjdą Lipkowie i Czeremisy, przyjdą od Dobrudży i Białogrodu, przyjdą z Krymu — i stada przypędzą, i żony z dziećmi na arbach przywiozą. Waszmość nie trzęś głową: przyjdą, jako dawniejsi przyszli, którzy przez wieki Rzeczypospolitej wiernie służyli. W Krymie i wszędy chan i murzowie ich gnębią, a tu szlachtą zostaną i szable będą mieć, i pod własnym hetmanem w pole chodzić. Przysięgnę waszmości, że przyjdą, bo tam głodem czasem przymierają. A gdy się między ałusami rozgłosi, że ja z mocy pana hetmana wołam, że Tuhaj-beja syn woła, tedy tysiące tu staną.

Pan Bogusz porwał się za głowę:

— Na rany boskie, Azja! Skąd tobie takie myśli przychodzą? Co by to było?!

— Byłby na Ukrainie naród tatarski, jako jest kozacki! Kozakom przyznaliście i przywileje, i hetmana, czemu byście nam nie mieli przyznać? Waszmosć pytasz, co by było? Chmielnickiego by drugiego nie było, bo byśmy nogą Kozakom na gardziel zaraz nastąpili, buntów chłopskich by nie było, rzezi ani spustoszenia, ani Doroszeńki by nie było, bo niechby się podniósł, pierwszy bym go na smyczy hetmanowi pod nogi przywiódł. A chciałaby potęga turecka na was iść, to byśmy sułtana bili; chciałby chan zagony puszczać, to chana. Nie także dawniej Lipkowie i Czeremisi czynili, chociaż w Mahometowej wierze trwali? Czemu byśmy mieli inaczej czynić, my, Tatarowie Rzeczypospolitej! My, szlachta!... Teraz waćpan licz: Ukraina spokojna, kozactwo w ryzie utrzymane, od Turka zasłona, kilkadziesiąt tysięcy wojska więcej — ot, com

pomyślał — ot, co mnie do głowy przyszło, ot, dlaczego mnie Kryczyński, Adurowicz, Morawski, Tworowski słuchają — ot, dlaczego, gdy krzyknę, pół Krymu na one stepy się zwali!

Pan Bogusz tak był zdumiony i przygnieciony słowami Azji, jak gdyby ściany tej izby, w której siedzieli, rozstąpiły się nagle i nowe, nieznane ukazały się oczom jego krainy.

Przez długi czas słowa nie mógł przemówić i tylko patrzył na młodego Tatara, a ów począł chodzić wielkimi krokami po izbie, wreszcie rzekł:

— Beze mnie by się ta rzecz stać nie mogła, bom ja syn Tuhaj-beja, a od Dniepru do Dunaju nie masz głośniejszego między Tatary imienia.

Po chwili zaś dodał:

— Co mi Kryczyński, Tworowski i inni! Nie o nich samych, nie o kilka tysięcy Lipków i Czeremisów, ale o całą Rzeczpospolitą chodzi. Mówią, że z wiosną wielka wojna z sułtańską potencją nastanie, ale pozwólcie mi jeno, a ja takiego waru między tatarstwem nagotuję, że sam sułtan ręce poparzy.

— Dla Boga! Ktoś ty jest, Azja? — wykrzyknął pan Bogusz.

A ów podniósł głowę:

— Przyszły hetman tatarski!

Blask płomienia padał w tej chwili na Azję oświecając jego twarz okrutną i piękną zarazem, a panu Boguszowi zdawało się, że jakiś inny człowiek przed nim stoi, taka wielkość i pycha biły od postaci młodego Tatara. Uczuł też pan Bogusz, że Azja prawdę mówi. Gdyby podobne wezwanie hetmańskie zostało opublikowane, Lipkowie i Czeremisi wróciliby niechybnie wszyscy, a i dzikich Tatarów pociągnęłoby za nimi bardzo wielu. Stary szlachcic znał wybornie Krym, w którym po dwakroć był niewolnikiem, a potem, wykupiony od hetmana, posłował; znał dwór bachczysarajski, znał ordy siedzące od Donu do Dobrudży; wiedział, że zimą liczne ałusy z głodu przymierają; wiedział, że murzom przykrzy się despotyzm i zdzierstwo chańskich baskaków, że w samym Krymie często przychodzi do buntów — więc zrozumiał od razu, że żyzne ziemie i przywileje znęciłyby niechybnie tych wszystkich, którym w starych siedzibach było źle, ciasno lub niebezpiecznie.

Znęciłyby tym bardziej, gdyby począł ich wołać syn Tuhaj-beja. On jeden mógł tego dokonać, nikt inny. On sławą swego ojca mógł wzburzyć ałusy, uzbroić jedną połowę Krymu przeciw drugiej połowie, pociągnąć dzikie ordy białogrodzkie i zatrząść całą potęgą chanową, ba, nawet sułtańską!

Gdyby hetman chciał korzystać z okazji, to Tuhaj-bejowego syna mógł uważać jako człowieka przez samą Opatrzność zesłanego.

Więc pan Bogusz począł innym na Azję patrzyć okiem i zdumiewać się coraz bardziej, jak takie myśli mogły się w głowie jego wylęgnąć? I aż pot uperlił rycerzowi czoło, tak mu się zdały ogromne. Jednakże dużo jeszcze wątpliwości zostało mu w duszy, więc tak ozwał się po chwili:

— A wiesz ty, że o taką rzecz musiałaby być wojna z Turkiem?

— Wojna i tak będzie! Czemu by kazali ordom pod Adrianopol iść? Wtedy chyba wojny nie będzie, jak niesnaski w sułtańskim państwie powstaną; jeżeli zaś i przyjdzie ruszyć w pole, połowa ordy będzie po naszej stronie.

„Na każdą rzecz ma szelma argument!" — pomyślał pan Bogusz. — W głowie się kręci! — rzekł po chwili. — Widzisz, Azja, w każdym razie to niełatwa rzecz. Co by to powiedział król, co kanclerz, a stany? A wszystka szlachta, po większej części panu hetmanowi teraz nieżyczliwa.

— Mnie jeno pozwolenia hetmańskiego na piśmie trzeba; a jak tu raz siądziem, niechże nas potem rugują! Kto będzie rugował i czym? Radzi byście Zaporożców z Siczy wyżenąć, ale wam nijak.

— Pan hetman zlęknie się odpowiedzialności.

— Za panem hetmanem pięćdziesiąt tysięcy szabel ordyńskich stanie prócz wojska, które ma w ręku.

— A Kozacy? O Kozakach zapominasz? Ci poczną się natychmiast oponować.

— Na to my tu i potrzebni, żeby był miecz nad szyją kozacką zawieszony. Czym Dorosz stoi? Tatarami! Niech Tatarów ja wezmę w ręce, wówczas Dorosz musi hetmanowi czołem uderzyć.

Tu Azja wyciągnął dłonie i palce w kształcie szponów orlich rozłożył, za czym chwycił za rękojeść szabli.

— Ot, my Kozakom prawo pokażem! W chłopy oni pójdą, a my będziem dzierżyć Ukrainę. Słysz, panie Bogusz, wy myśleli, że ja mały człek, a ja nie taki mały, jako się Nowowiejskiemu, tutejszemu komendantowi, oficyjerom i wam, panie Bogusz, wydało! Ot, ja nad tym dzień i noc myślał, aż wychudł, aż mi twarz wpadła — patrz waszmość! — i sczerniała. Ale com wymyślił, tom dobrze wymyślił, i dlatego rzekłem wam, że we mnie jest moc i rada. Waćpan sam widzisz, że to wielkie rzeczy; jedź do pana hetmana, a żywo! Przedstaw mu, niech mi da na piśmie, a ja o stany nie będę dbał. Hetman ma duszę wielką, hetman będzie wiedział, że to i moc, i rada! Powiedz hetmanowi, żem

Tuhaj-beja syn, że ja jeden to uczynić mogę; przedstaw, niech się zgodzi; jeno, na Boga! Byle na czas, byle póki śniegi w stepie, byle przed wiosną, bo na wiosnę wojna będzie! Jedź wraz i wraz wracaj, abym zaś prędko wiedział, co mi wypadnie uczynić.

Pan Bogusz nie spostrzegł się nawet, że Azja mówił tonem rozkazującym, jakby już był hetmanem i swemu oficerowi wydawał polecenia.

— Przez jutro wypocznę — rzekł — a pojutrze ruszę. Daj Bóg, abym hetmana w Jaworowie znalazł! Prędka u niego decyzja i wnet będziesz miał odpowiedź.

— Jak waszmość myślisz, czy pan hetman się zgodzi?

— Być może, że ci każe do siebie przyjechać, dlatego do Raszkowa teraz nie wyjeżdżaj, bo stąd prędzej staniesz w Jaworowie. Czy się zgodzi, nie wiem, ale weźmie on to pod pilną uwagę, bo potężne racje przytaczasz. Przez Bóg żywy, anim się tego po tobie spodziewał, ale teraz widzę, żeś niezwyczajny człek i że cię Pan Bóg do wielkości przeznaczył. No, Azja, Azja! Namiestnik w chorągwi lipkowskiej, nic więcej, a takie rzeczy w głowie mu siedzą, od których strach człeka bierze. Już teraz nie będę się dziwował, choćbym czaple pióro na twoim kołpaku, a nad tobą buńczuk zobaczył... Wierzę i w to, co powiadasz, że cię owe myśli po nocach żarły... Zaraz pojutrze ruszę, jeno wypocznę nieco, a teraz idę już, bo późno i w głowie mi szumi jak we młynie. Ostawaj z Bogiem, Azja... W skroniach mnie łupie, jakobym się upił... Ostawaj z Bogiem, Azja, synu Tuhaj-bejowy!

Tu pan Bogusz uścisnął wychudzoną dłoń Tatara i zawrócił się ku drzwiom, ale w progu jeszcze stanął i rzekł:

— Jakże to?... Nowe dla Rzeczypospolitej wojska... gotowy miecz nad szyją kozacką... Dorosz upokorzon... niesnaski w Krymie... potencja turecka osłabiona... koniec zagonom na Ruś... Dla Boga! Dla Boga!

To rzekłszy wyszedł, a Azja popatrzył jeszcze chwilę za nim i poszepnął:

— A dla mnie buńczuk, buława i... z wolą albo bez woli — ona! Inaczej gorze wam!

Po czym dopił gorzałki z blaszanki i rzucił się na pokryty skórami tapczan, stojący w kącie izby. Ogień na kominie przygasł, a natomiast przez okno weszły jasne blaski księżyca, który wysoko już wybił się na chłodne zimowe niebo.

Azja leżał czas jakiś spokojnie, lecz widocznie nie mógł zasnąć. Wreszcie wstał, zbliżył się ku oknu i wpatrzył się w miesiąc, płynący jak samotny korab po niezmiernych niebieskich samotniach.

Młody Tatar patrzył weń długo, na koniec złożył pięści tuż przy piersiach, podniósł oba wielkie palce ku górze i z ust jego, które zaledwie przed godziną Chrystusa wyznawały, wyszedł półśpiew, półprzeciągła mowa o smutnej nucie:

— Lacha i Lallach, Lacha i Lallach — Mahomet Rossullach!...

Rozdział XXIX

Atoli Basia od rana nazajutrz odbywała naradę z mężem i panem Zagłobą, jak by dwa serca kochające się i uciśnione połączyć. Oni obaj śmieli się z jej zapału i nie przestawali jej drażnić, jednakże ustępując jej ze zwyczaju we wszystkim jak rozpieszczonemu dziecku, obiecali jej w końcu pomagać.

— Najlepiej — mówił Zagłoba — namówić starego Nowowiejskiego, żeby dziewki ze sobą do Raszkowa nie brał, że to i chłody już idą, i droga nie całkiem bezpieczna; natenczas młodzi często się tu ze sobą będą widywać i rozamorują się w sobie do reszty.

— O, to jest wyborna myśl! — zawołała Basia.

— Wyborna, niewyborna — odrzekł Zagłoba — ale ty ich swoją drogą z oczu nie spuszczaj. Tyś jest baba — i tak myślę, że w końcu ich zlutujesz, bo baba zawsze zrobi swoje; pilnuj jeno, żeby i diabeł przy tym swego nie zrobił. Byłby ci wstyd, że to z twojej poręki.

Basia poczęła naprzód prychać na pana Zagłobę jak kotka, po czym rzekła:

— Waćpan się chwalisz, żeś był za młodu Turek, i myślisz, że każdy Turek!... Azja nie taki!

— Nie Turek, tylko Tatar. Ładna kukła! Ona będzie za tatarskie afekta ręczyć!

— Oni oboje o płakaniu najwięcej myślą, a to ze srogiej żałości... Ewa przy tym najzacniejsza dziewka!

— Jeno taką ma twarz, jakoby jej kto na czole napisał: „naści gęby!” Hu! Kawka to jest! Wczorajem to sobie zakonotował, że gdy przy stole naprzeciw gładkiego chłopa siedzi, to tak dycha, że aż raz w raz talerz odrzuca i musi go sobie przysuwać. Czysta kawka, mówię ci!

— Waćpan chcesz, żebym sobie poszła?

— Nie pójdziesz, jak o swaty chodzi. Znają cię, nie pójdziesz! A ponoś ci jeszcze za wcześnie ludzi swatać, bo to sędziwych niewiast rzemiosło. Pani Boska mówiła mi wczoraj, że gdy cię powracającą z wyprawy w hajdawerkach postrzegła, rozumiała, że synalka pani Wołodyjowskiej widzi, któren się na podjezdku koło płotów wprawia. Nie

kochasz ty powagi, ale i powaga ciebie nie kocha, co się zaraz z twojej misternej postaci okazuje. Czysty żak, jak, mi Bóg miły! Inne teraz niewiasty na świecie! Za moich czasów, gdy podwika na ławie siadła, to aż ława zaskrzypiała, jakby ktoś psu na ogon nastąpił, a ty byś mogła na kocie oklep jeździć, bez wielkiej dla onej bestii fatygi… Mówią też, że niewiasty, które zaczynają swatać, potomstwa mieć nie będą.

— Zali naprawdę tak mówią? — spytał zaniepokojony mały rycerz.

Lecz pan Zagłoba począł się śmiać, a Basia przyłożywszy swoją różową twarz do twarzy męża rzekła półgłosem:

— Et, Michałku! Sposobną porą ofiarujemy się do Częstochowy, to może Najświętsza Panna odmieni!

— Najlepszy to istotnie sposób — rzekł Zagłoba.

Na to tamci uściskali się zaraz, po czym Basia rzekła:

— A teraz mówmy o Azji i o Ewuni, jak by im pomóc. Nam dobrze, niech i im będzie dobrze!

— Jak Nowowiejski wyjedzie, będzie im lepiej — rzekł mały rycerz — bo przy nim nijak byłoby się im widywać, zwłaszcza że Azja starego nienawidzi. Ale gdyby mu stary Ewkę oddał, może by przepomniawszy dawnych uraz poczęli się wzajem miłować jako teść z zięciem. Według mojej głowy tedy nie w tym rzecz, żeby młodych zbliżać, bo oni i tak się kochają, ale w tym, by starego przejednać.

— Nieużyty to człowiek! — rzekła pani Wołodyjowska.

Na to Zagłoba:

— Baśka! Imainuj sobie, że masz córkę i że trzeba ci ją za jakowegoś Tatarzyna wydać?

— Azja kniaź — odrzekła Basia.

— Nie neguję, że Tuhaj-bej z wielkiej krwi pochodził, ale owo i Hassling był szlachcic, a przecie by Krzysia Drohojowska nie poszła za niego, gdyby był naszego indygenatu nie miał.

— To wystarajcie się dla Azji o indygenat!

— Łatwa to rzecz! Choćby go kto i do herbu przypuścił, sejm takową wolę musi potwierdzić, a do tego trzeba i czasu, i protekcji.

— Tego nie lubię, że czasu trzeba, bo protekcja by się znalazła. Pewnie by jej pan hetman Azji nie odmówił, bo on się w ludziach wojennych kocha. Michale! Pisz do hetmana! Chcesz inkaustu, piór, papieru? Zaraz pisz! Ot, ja ci wszystko przyniosę, i świecę, i pieczęć, a ty siądziesz i nie mieszkając napiszesz!

Wołodyjowski począł się śmiać.

— Boże Wszechmogący! — rzekł — Prosiłem cię o stateczną realistkę za żonę, a tyś mi wicher dał!

— Mów tak, mów, to ci zamrę!

— A niedoczekanie twoje! — krzyknął żywo mały rycerz. — Niedoczekanie twoje! Tfu! Tfu, na psa urok.

Tu zwrócił się do pana Zagłoby:

— Waćpan nie wiesz jakich słów od uroku?

— Wiem i jużem je powiedział! — odrzekł Zagłoba.

— Pisz! — zawołała Basia — Bo ze skóry wyskoczę!

— Ja bym i dwadzieścia listów napisał, byle ci dogodzić, chociaż nie wiem, na co się to przyda, bo tu i sam hetman nie poradzi, a z protekcją wtedy dopiero może wystąpić, jak będzie pora. Moja Basiu, panna Nowowiejska spuściła ci się z tajemnicy, dobrze! Aleś z Azją nic nie mówiła i tego nawet dotychczas nie wiesz, czy on wzajemnym afektem dla Nowowiejskiej płonie.

— Ale! Nie płonie! Jakże nie ma płonąć, kiedy ją w lamusie pocałował! Aha!

— Dusza złota! — rzekł śmiejąc sią Zagłoba. — Takie to jak nowo narodzone dziecko, jeno że tym językiem lepiej obraca. Moja kochana, żebyśmy się chcieli, ja i Michał, ze wszystkimi żenić, które całować się przygodziło, tedy trzeba by nam zaraz Mahometową wiarę przyjąć i mnie być padyszachem, a jemu chanem krymskim, co, Michale, co?

— Na Michała miałam raz podejrzenie, jeszcze wtedy, kiedy nie byłam jego! — rzekła Basia.

I przysunąwszy mu paluszek do oczu poczęła się przekomarzać:

— Ruszaj wąsikami, ruszaj! Nie zaprzesz się! Wiem, wiem! I ty wiesz!... U Ketlinga!...

Mały rycerz rzeczywiście ruszał wąsikami, ażeby sobie dodać fantazji, a zarazem zmieszanie pokryć, wreszcie chcąc zwrócić rozmowę na co innego rzekł:

— A tak i nie wiesz, czy Azja w Nowowiejskiej rozkochan?

— Czekajcie, wezmę ja go na cztery oczy i wypytam. Ale on rozkochany! Musi być rozkochany! Inaczej nie chcę go znać!

— Dalibóg, gotowa w niego wmówić! — rzekł Zagłoba.

— I wmówię, choćbym się miała co dzień z nim zamykać!

— Wpierw go wybadaj — rzekł mały rycerz. — Być może, że on się od razu nie przyzna, bo to dzikus. Nic to! Powoli w konfidencję z nim wejdziesz, poznasz go lepiej, wyrozumiesz i wówczas dopiero będziesz wiedziała, co czynić.

Tu mały rycerz zwrócił się do pana Zagłoby:

— Ona zdaje się płocha, a bystra jest!

— Kozy bywają bystre! — rzekł z powagą pan Zagłoba.

Dalszą rozmowę przerwał pan Bogusz, który wpadł jak bomba i zaledwie zdążywszy ucałować Basine ręce począł krzyczeć:

— A niech tego Azję kule biją! Całą noc nie mogłem oka zmrużyć, niech jego las ogarnie!

— Co pan Azja waszmości zawinił? — pytała Basia.

— Wiecie waćpaństwo, cośmy wczoraj robili?

I pan Bogusz wytrzeszczywszy oczy jął wodzić nimi po obecnych.

— Co?

— Historię! Jak mi Bóg miły, nie łżę, historię!

— Jaką historię?

— Historię Rzeczypospolitej. To po prostu wielki człowiek. Sam pan Sobieski się zdumieje, gdy mu Azjowe myśli przedłożę. Wielki człowiek, powtarzam acaństwu i żałuję, że więcej nie mogę powiedzieć, bo jestem pewien, że zdumielibyście się, jako ja się zdumiałem. Tyle mogę powiedzieć, że jeśli to się uda, co on zamierza, wówczas Bóg wie gdzie zajdzie!

— Na ten przykład! — rzekł Zagłoba. — Hetmanem zostanie?

A pan Bogusz wziął się w boki:

— Tak jest! Hetmanem zostanie! Żałuję, że nie mogę więcej powiedzieć... hetmanem zostanie, i kwita!

— A to może psim? Albo będzie za wołami chodził? Czabanowie mają też swoich hetmanów! Tfu! Co też waszmość prawisz, panie podstoli? Bo że on Tuhaj-bejowicz, dobrze! Ale jeśliby miał hetmanem zostać, to czymże ja ostanę, czym ostanie Michał i waszmość sam? Chyba Trzej Królami po Bożym Narodzeniu zostaniemy, poczekawszy na Kacpra, Melchiora i Baltazara abdykację. Mnie tam przynajmniej szlachta regimentarzem kreowała, tylko żem po przyjaźni panu Pawłowi godności ustąpił, ale waćpańskich wróżb, dalibóg, zgoła nie rozumiem!

— A ja waści powiadam, że Azja wielki człowiek!

— Mówiłam! — rzekła Basia zwracając się ku drzwiom, przez które poczęli wchodzić inni goście stanicowi.

Weszła więc naprzód pani Boska z modrooką Zosią i pan Nowowiejski z Ewką, która po źle przespanej nocy wyglądała jeszcze bardziej świeżo i ponętnie niż zwykle. Źle spała, bo niepokoiły ją sny dziwne: śnił jej się Azja, tylko piękniejszy i natarczywszy niż dawniej. Ewie krew biła na twarz na wspomnienie tego snu, bo jej się zdało, że każdy go z jej oczu odgadnie.

Lecz nikt na nią nie zważał, wszyscy bowiem poczęli mówić pani komendantowej „dzień dobry!", po czym zaraz pan Bogusz zaczął na nowo opowiadanie o wielkości i wielkich przeznaczeniach Azji, a Basia rada była, że tego i Ewa, i pan Nowowiejski słuchać muszą.

Jakoż stary szlachcic wyburzył się od chwili pierwszego spotkania z Tatarem i znacznie był spokojniejszy. Już się o niego nie upominał jako o swego człowieka. Prawdę rzekłszy, odkrycie, że Azja jest tatarskim kniaziem i synem Tuhaj-beja, zaimponowało i jemu niepomiernie. Z podziwem też słuchał o jego nadzwyczajnym męstwie i o tym, że sam hetman tak znakomitą powierzył mu funkcję, jak ściągnięcie na powrót do służby Rzeczypospolitej wszystkich Lipków i Czeremisów. Chwilami zdawało się nawet panu Nowowiejskiemu, że o kim innym mowa, tak wyrastał w jego oczach ów Azja na niepospolitego człeka.

A pan Bohusz coraz to powtarzał z miną wielce tajemniczą:

— Nic to jeszcze wobec tego, co go czeka, jeno że mi mówić o tym nie wolno!

Gdy zaś inni trzęśli z powątpiewaniem głowami, zakrzyknął:

— Dwóch jest największych ludzi w Rzeczypospolitej: pan Sobieski i ów Tuhaj-bejowicz!

— Na miły Bóg! — rzekł wreszcie zniecierpliwiony pan Nowowiejski — Kniaź on, nie kniaź, ale czymże może być w tej Rzeczypospolitej szlachcicem nie będąc; przecie dotychczas indygenatu nie ma?

— Pan hetman mu dziesięć wyrobi! — zawołała Basia.

Panna Ewa słuchała tych pochwał z przymkniętymi oczyma i z bijącym sercem. Trudno wiedzieć, czy biłoby ono równie gorąco dla biednego i nieznanego Azji, jak dla Azji rycerza i wielkiego w przyszłości człowieka. Lecz ów blask podbił je, a dawne wspomnienia pocałunków i świeże sny przejmowały teraz dreszczem rozkoszy panieńskie ciało.

„Tak wielki, tak znamienity! — myślała Ewa. — Cóż dziwnego, że porywczy jak ogień”.

Rozdział XXX

Basia tego samego dnia wzięła Tatara na pytki, idąc jednak za radą męża i przestrzeżona o Azjowej dzikości, postanowiła nie nacierać zbyt od razu.

Mimo tego, zaledwie przed nią stanął, rzekła zaraz prosto z mostu:

— Pan Bogusz powiada, że waćpan znamienity człowiek, ale ja tak myślę, że i najznamienitszy kochaniu się nie wybiega.

Azja przymknął oczy i skłonił głowę.

— Wasza miłość ma słuszność! — rzekł.

— Bo widzi waćpan, z sercem to tak: pęc! I już!

To rzekłszy Basia poczęła potrząsać swoją płową czupryną i mrugać oczyma, chcąc przez to okazać, że i sama zna się wybornie na tego rodzaju sprawach, i zarazem ma nadzieję, że do nieświadomego nie mówi. Azja zaś podniósł głowę i ogarnął wzrokiem jej wdzięczną postać. Nigdy nie wydawała mu się tak cudną jak teraz, gdy oto oczki błyszczały jej ciekawością i ożywieniem, a zarumieniona, dziecięca twarz podnosiła się ku niemu pełna uśmiechów.

Ale właśnie im więcej było w niej niewinności, tym więcej widział w niej Azja ponęty, tym więcej żądz wstawało w jego duszy, tym miłość ogarniała go silniej, i upajał się nią jak winem, i zbył wszystkich chęci prócz tej jednej: odebrać ją mężowi, porwać dla siebie, trzymać po wieki przy piersi, usta przycisnąć do jej ust, uczuć jej ręce splecione na swojej szyi — i kochać, i kochać, choćby zapamiętać się, choćby zginąć samemu, choćby zginąć obojgu.

Na myśl o tym świat cały kręcił się z nim; coraz nowe żądze wypełzały z jaskiń jego duszy jak węże z rozpadlin skalnych; ale był to człowiek posiadający zarazem straszną siłę nad samym sobą, więc rzekł sobie w duszy: „Nie lża jeszcze!”, i trzymał swe dzikie serce na woli jak rozhukanego konia na arkanie.

Stał przed nią pozornie chłodny, choć płomień miał w ustach i oczach, a przepaściste jego źrenice mówiły jej wszystko, czego nie wypowiadały zaciśnięte usta.

Lecz Baśka mając duszę po prostu tak czystą jak woda w źródle, a przy tym i umysł zupełnie czym innym zajęty, wcale nie rozumiała tej mowy; myślała oto w tej chwili, co dalej Tatarowi powiedzieć, i wreszcie, podniósłszy palec do góry, rzekła:

— Niejeden nosi w sercu ukryty afekt i nie śmie z nikim o nim mówić, a gdyby szczerze wyznał, może by się czego dobrego dowiedział.

Twarz Azji pociemniała; przez chwilę szalona nadzieja przeleciała mu na kształt błyskawicy przez głowę, ale się opamiętał i spytał:

— O czym wasza miłość chce mówić?

Basia zaś na to:

— Inna by do waćpana obcesem, jako że białogłowy bywają niecierpliwe i nierozważne, ale ja nie taka. Pomóc to bym pomogła chętnie, ale konfidencji od razu nie żądam; powiadam tylko waćpanu tak: nie chowajże się i przychodź do mnie choćby co dzień, bo ja już o tym z mężem mówiłam; powoli to się waćpan i oswoisz, i moją życzliwość poznasz, i będziesz wiedział, że ja nie przez płochą ciekawość wypytuję, jeno z komizeracji i dlatego, że jeśli mam pomagać, to muszę i waćpanowych afektów być pewną. Przecie zresztą waćpanu pierwszemu wypada je okazać; jak mnie waćpan wyznasz, to może i ja waćpanu wtedy coś powiem.

Tuhaj-bejowicz zrozumiał teraz od razu, jak płonną była ta nadzieja, która przez chwilę błysnęła mu w głowie, domyślił się nawet natychmiast, że chodzi o Ewę Nowowiejską, i wszystkie przekleństwa na całą rodzinę, jakie czas nagromadził w jego mściwej duszy, napłynęły mu do ust. Nienawiść buchnęła w nim jak płomień tym większa, im bardziej odmienne przed chwilą kołysały go uczucia. Lecz opamiętał się. Posiadał on nie tylko władzę nad sobą, ale i przebiegłość ludzi wschodnich. W jednej chwili pojął, iż jeśli bryzgnie jadem na Nowowiejskich, utraci łaskę Basi i możność widywania jej codziennie; lecz z drugiej strony uczuł, że się nie zmoże, przynajmniej teraz, aż do tego stopnia, iżby tej umiłowanej skłamać wbrew duszy własnej, że inną kocha.

Więc z istnej rozterki wewnętrznej i niekłamanej męki rzucił się nagle do nóg Basinych i całując jej stopy, tak mówić począł:

— W ręce waszej miłości oddaję duszę moją, w ręce waszej miłości oddaję los mój; nie chcę nic innego czynić, jeno to, co mi wasza miłość nakaże, nie chcę znać innej woli! Wasza miłość czyń ze mną, co chcesz! W męce żyję i strapieniu, ja nieszczęsny! Wasza miłość, zlituj się nade mną! Bodaj mi przepaść i zginąć!

To rzekłszy począł jęczeć, bo czuł ból niezmierny i niewyznane żądze paliły go żywym płomieniem. A Basia poczytała te jego słowa za wybuch długo i boleśnie tajonej miłości dla Ewki, więc litość zdjęła ją nad junakiem i dwie łezki zabłysły w jej oczach.

— Wstań, Azja! — rzekła do klęczącego Tatara. — Jam dla waćpana zawsze była życzliwa i chcę szczerze waćpanu dopomóc; waćpan z wielkiej krwi pochodzisz, a za twoje zasługi pewnie indygenatu ci nie odmówią, pan Nowowiejski da się ubłagać, bo on już innymi na waćpana patrzy oczyma, a Ewka...

Tu Basia powstała z ławy, podniosła swą różową, uśmiechniętą twarzyczkę i wspiąwszy się na palce szepnęła do ucha Azji:

— Ewka waćpana kocha!

Owemu zaś pomarszczyła się twarz jak gdyby wściekłością; obu rękoma chwycił się za osełedec i zapomniawszy o zdumieniu, jakie okrzyk jego mógł wywołać, powtórzył kilkakroć chrapliwym głosem:

— Ałła! Ałła! Ałła!

Po czym wypadł z izby.

Basia popatrzyła za nim przez chwilę; okrzyk nie zdziwił jej zbytnio, bo go często polscy nawet żołnierze używali, lecz widząc taką gwałtowność młodego Lipka rzekła sobie w duchu:

— Ogień to prawdziwy! Szaleje za nią!

Po czym pomknęła jak wicher, aby co prędzej mężowi, panu Zagłobie i Ewce zdać sprawę. Wołodyjowskiego zastała w kancelarii, zajętego regestrami chorągwi stojących w chreptiowskiej fortalicji. Siedział i pisał, lecz ona przypadłszy do niego zawołała:

— Wiesz! Mówiłam z nim! Do nóg mi upadł! Szaleje za nią!

Mały rycerz położył pióro i począł patrzeć na żonę. Tak była ożywiona i ładna, że oczy poczęły mu błyszczeć i śmiać się do niej, następnie wyciągnęły się ku niej ręce, ona zaś, broniąc się trochę, powtórzyła raz jeszcze:

— Azja szaleje za Ewką!

— Jak ja za tobą! — odrzekł mały rycerz obejmując ją mocniej.

Tego samego dnia i pan Zagłoba, i Ewka Nowowiejska wiedzieli jak najdokładniej o całej rozmowie z Azją. Panieńskie serce oddało się teraz zupełnie słodkiemu uczuciu i biło jak młotem na myśl o pierwszym spotkaniu, a jeszcze bardziej na myśl o tym, co będzie, gdy z czasem zdarzy się jakoweś sam na sam? I widziała już smagławą twarz Azji u swoich kolan, i czuła już jego pocałunki na swoich rękach i ową omdlałość, w czasie której głowa panieńska pochyla się na ukochane ramię, a usta szepcą:

— I ja kocham!

Tymczasem ze wzruszenia i niepokoju całowała sama gwałtownie ręce Basine i co chwila spoglądała ku drzwiom, czy nie ujrzy w nich mrocznej, lecz pięknej postaci Tuhaj-bejowicza.

Azja jednak nie pokazywał się w fortalicji, bo przybył do niego Halim, dawny sługa rodzicielski, a obecnie sam znaczny murza u Dobrudżan.

Halim przybył teraz zupełnie otwarcie, gdyż wiedziano już w Chreptiowie, że jest pośrednikiem między Azją a owymi rotmistrzami Lipków i Czeremisów, którzy przyjęli sułtańską służbę. Obaj zamknęli się zaraz z Azją w kwaterze, gdzie Halim, wybiwszy winne Tuhaj-bejowemu synowi pokłony, skrzyżował ręce na piersiach i z pochyloną głową czekał na zapytania.

— Listy jakowe masz? — pytał go Azja.

— Nie mam żadnych, effendi. Kazali mi słowami wszystko powiedzieć!

— Nuże, mów!

— Wojna pewna. Z wiosną wszyscy mamy iść pod Adrianopol. Siana i jęczmienie kazali już tam Bułgarom zwozić.

— A chan gdzie będzie?

— Chan przez Dzikie Pola pójdzie wprost na Ukrainę do Dorosza.

— Coś w koszach słyszał?

— Cieszą się na wojnę i do wiosny wzdychają, bo teraz bieda w koszach, choć zimy dopiero początek.

— Zali wielka bieda?

— Koni siła padło. W Białogrodzie już się niektórzy w niewolę sami zaprzedają, aby jeno wyżyć do wiosny. Koni siła padło, effendi, bo jesienią było skąpo traw w stepach... Słońce wypaliło...

— A o Tuhaj-bejowym synu słyszeli?

— Ileś pozwolił mówić, tylem mówił. Rozeszła się wieść od Lipków i Czeremisów, ale nikt prawdy dobrze nie wie. Mówią także i o tym, że im Rzeczpospolita wolę i ziemię chce dać i na służbę pod Tuhaj-bejowiczem wezwać. Na samą wieść wszystkie co uboższe ałusy się wzburzyły. Chcą, effendi, chcą! Jeno im inni tłumaczą, że to wszystko nieprawda, że w Rzeczypospolitej wojska na nich wyślą, a Tuhaj-bejowicza nie masz wcale. Byli od nas kupcy z Krymu, mówili, że tam także jedni powiadają: „Jest Tuhaj-bejowicz", i burzą się; drudzy mówią: „Nie ma", i onych wstrzymują. Ale gdyby się rozniosło, że wasza miłość na wolę, ziemię i służbę wzywa, mrowie by się ruszyło... Niech mi jeno będzie wolno mówić...

Twarz Azji pojaśniała z zadowolenia i począł chodzić wielkimi krokami po izbie, po czym rzekł:

— Bądź pozdrowion, Halim, pod moim dachem! Siadaj i jedz!

— Psem i sługą twoim jestem, effendi — odrzekł stary Tatar.

Tuhaj-bejowicz zaklaskał w dłonie, na który znak wszedł Lipek-ordynans i wysłuchawszy rozkazu, przyniósł po chwili posiłek: więc gorzałkę, wędzone mięso, chleb, nieco bakalii i kilka przygarści suszonych ziarnek od kawonów, wielce — obok ziarnek słonecznikowych — ulubionego przez wszystkich Tatarów przysmaku.

— Przyjacielem, nie sługą jesteś — rzekł po wyjściu ordynansa Azja — bądź pozdrowion, bo dobre nowiny przynosisz: siadaj i jedz!

Halim począł jeść i póki nie skończył, nie mówili do siebie nic, ale posilił się prędko i jął wodzić oczyma za Azją, czekając, aż ten przemówi.

— Już tu wiedzą, ktom jest — rzekł wreszcie Tuhaj-bejowicz.

— I co, effendi?

— I nic. Jeszcze mnie lepiej szanują. Jak by do roboty przyszło, i tak musiałbym powiedzieć. Zwłóczyłem tylko, bom czekał na wieści od ord i chciałem, żeby hetman pierwszy wiedział, ale przyjechał Nowowiejski i ten mnie poznał.

— Młody? — pytał z przestrachem Halim.

— Stary, nie młody. Ałła mi tu ich wszystkich zesłał, bo i dziewka jest. Bogdaj w nich zły duch wstąpił. Niech jeno hetmanem zostanę, poigram z nimi. Dziewkę mi tu swatają, dobrze! W haremie i niewolnice potrzebne!

— Stary swata?

— Nie!... Ona!.. Ona myśli, że ja nie ją, ale tamtą miłuję!

— Effendi! — rzekł oddając pokłon Halim — jam rab twego domu i nie mam prawa mówić w obliczności twojej; ale jam cię między Lipkami poznał, jam pod Bracławiem powiedział ci, ktoś jest, i od tej pory służę ci wiernie; jam innym powiedział, że cię za pana mają uważać, ale chociaż oni cię miłują, nikt cię nie miłuje tak jak ja; zali mi wolno mówić?

— Mów.

— Ty się małego rycerza strzeż. Straszny on, sławny w Krymie i na Dobrudży.

— A ty, Halim, słyszał o Chmielnickim?

— Słyszałem i służyłem u Tuhaj-beja, który z Chmielnickim wojną na Lachów chodził, zamki burzył, dobro brał...

— A wiesz ty, że Chmielnicki Czaplińską Czaplińskiemu wziął i sam ją pojął, i dzieci z nią miał? Cóż? Była wojna i wszystkie wojska hetmańskie a królewskie, a Rzeczypospolitej nie wydarły mu jej. On pobił i hetmanów, i króla, i Rzeczpospolitą, bo mu ojciec mój pomógł, a oprócz tego on był hetman kozacki. A ja będę kto? — hetman tatarski. Ziemi muszą mi dać bogato i gród jakowyś na stolicę, wkoło zaś grodu ałusy staną na ziemi, na bogatej, a w ałusach dobrzy ordyńcy z szablami — mnogo łuków i mnogo szabel! A jak ja ją naówczas porwę do grodu mego i za żonę ją, krasawicę, pojmę, i hetmanową uczynię, to przy kim będzie siła? Przy mnie! Kto się o nią upomni? Mały rycerz!... Jeśli będzie żyw... Choćby zasię był żyw i jako wilk wył, i samemu królowi ze skargą bił czołem, zali ty myślisz, że oni wojnę ze mną o jedną jasną kosę rozpoczną? Mieli już taką wojnę i pół Rzeczypospolitej ogniem spłonęło. Kto mi zdzierży? Hetman? To ja się z Kozaki połączę, z Doroszem pobratymstwo zawrę, a ziemię sułtanowi oddam. Ja drugi Chmielnicki, ja lepszy niż Chmielnicki, we mnie lew mieszka! Niech mi ją dadzą wziąć, to będę im służył, Kozaków bił, chana bił i sułtana bił, a nie, to cały Lechistan kopytami stratuję, hetmanów w łyka wezmę, wojska rozniosę, grody jak płomień popalę, ludzi wytracę, ja Tuhaj-beja syn, ja, lew!...

Tu oczy Azji zapłonęły czerwonym światłem, białe kły poczęły mu błyskać jak ongi Tuhaj-bejowi, rękę podniósł w górę i potrząsał groźnie dłonią w stronę północy, i wielki był, i straszliwy, i piękny, tak że Halim jął co prędzej bić mu pokłony i powtarzać cichym głosem:

— Allach kerim! Allach kerim!

Przez długi czas trwało milczenie; Tuhaj-bejowicz uspokajał się z wolna, wreszcie rzekł:

— Bogusz tu przyjeżdżał. Temu odkryłem moją moc i radę, aby na Ukrainie obok kozackiego narodu był naród tatarski, a obok kozackiego hetmana — hetman tatarski.

— Ów zaś zgodził się?

— Ów zaś za głowę się brał i czołem mi prawie bił, a na drugi dzień do hetmana ze szczęsną nowiną poskoczył.

— Effendi! — rzekł nieśmiało Halim — a jeśli Wielki Lew się nie zgodzi?

— Sobieski?

— Tak jest.

Czerwone światło poczęło znów błyskać w oczach Azji, ale trwało to tylko przez jedno mgnienie oka.

Twarz jego uspokoiła się natychmiast, za czym siadł na ławie i wsparłszy głowę na łokciach, zamyślił się głęboko.

— Rozważałem w rozumie swoim — rzekł wreszcie — co wielki hetman może powiedzieć, gdy mu Bogusz szczęsną nowinę oznajmi. Hetman mądry i zgodzi się. Hetman wie, że z sułtanem będzie na wiosnę wojna, na którą nie ma tu w Rzeczypospolitej ani pieniędzy, ani ludzi, a gdy i Doroszeńko z Kozaki po sułtańskiej stronie stoi, ostatnia zagłada może przyjść na cały Lechistan, tym bardziej że ni król, ni stany w wojnę nie wierzą i ku gotowości się nie kwapią. Ja tu na wszystko mam pilne ucho, wiem wszystko i Bogusz tajemnicy przede mną nie czyni, co się na hetmańskim dworze gada. Pan Sobieski wielki mąż, on się zgodzi, bo wie, że gdy Tatarzy tu na wolę i ziemię przyjdą, to i na Krymie, i na Dobrudzkich Stepach wojna domowa może się rozpocząć, potęga ord zesłabnie i sam sułtan najpierwej o uciszeniu onej zawieruchy musi myśleć... Tymczasem będzie miał hetman czas przygotować się lepiej; tymczasem Kozacy i Dorosz w wierności dla sułtana się zawahają. Jedyne to zbawienie dla Rzeczypospolitej, która jest tak słaba, że i powrót kilku tysięcy Lipków już dla niej siła znaczy. Hetman wie o tym, hetman mądry, hetman się zgodzi...

— Korzę się przed rozumem twoim, effendi — odrzekł Halim — lecz co będzie, jeśli Allach odejmie Wielkiemu Lwu światło lub jeśli szatan tak pychą go oślepi, że twoje zamysły odrzuci?

Azja przysunął swoją dziką twarz do ucha Halima i szeptać począł:

— Ty teraz zostań tu, póki odpowiedź od hetmana nie przyjdzie, a i ja się wcześniej do Raszkowa nie ruszę. Jeśli tam on zamysły moje odrzuci, tedy cię do Kryczyńskiego i innych wyślę. Ty im rozkaz dasz, by się tu tamtą stroną rzeki aż pod Chreptiów posunęli i w gotowości byli, a ja tu z mymi Lipkami pierwszej lepszej nocy na komendę uderzę i sprawię im, ot co!

Tu Azja przeciągnął palcem po szyi i po chwili dodał:

— Kęsim! Kęsim! Kęsim!

Halim wsunął głowę w ramiona i na jego zwierzęcej twarzy zajaśniał złowrogi uśmiech.

— Ałła! I Małemu Sokołowi... tak?

— Tak! Jemu pierwszemu!

— A potem w sułtańskie ziemie?

— Tak!... Z nią!...

Rozdział XXXI

Luta zima pokryła grubą okiścią lasy i wypełniła jary po brzegi zwałami śniegu, tak iż kraj cały zdawał się być jedną białą równiną. Przyszły nagle zawieje mocne, w czasie których giną ludzie i stada pod śnieżnym całunem, drogi stały się błędne i niebezpieczne, jednakże pan Bogusz zdążał wszystkimi siłami do Jaworowa, aby się co prędzej z hetmanem wielkimi zamysłami Azjowymi podzielić. Szlachcic z rubieży, wychowany w ciągłej grozie kozackiej i tatarskiej, przejęty myślą o niebezpieczeństwach, jakie ojczyźnie od buntów, od zagonów i od całej potęgi tureckiej groziły, widział w tych zamysłach niemal zbawienie ojczyzny, wierzył święcie, że uwielbiany przez niego, jak i przez wszystkich kresowców, hetman ani chwili się nie zawaha, gdy o pomnożenie potęgi Rzeczypospolitej chodzi, więc jechał z radością w sercu mimo zawiei, błędnych dróg i nawałności.

Spadł wreszcie którejś niedzieli razem ze śniegiem do Jaworowa i zastawszy szczęśliwie hetmana, kazał mu się zaraz oznajmić, choć go przestrzegano, że hetman dzień i noc zajęty ekspedycjami i pisaniem listów, prawie że na posiłek nawet nie ma czasu. Lecz hetman kazał go nadspodzianie wołać zaraz. Więc po małej jeno chwili czekania między dworskimi skłonił się stary żołnierz do kolan swemu wodzowi.

Znalazł pana Sobieskiego zmienionego bardzo i z obliczem pełnym troski, bo też to były prawie najcięższe lata jego żywota. Imię jego nie rozegrzmiało jeszcze po wszystkich krańcach świata chrześcijańskiego, ale w Rzeczypospolitej otaczała go już sława wielkiego wodza i groźnego bisurmaństwa pogromcy.

Gwoli tej sławie powierzono mu w swoim czasie wielką buławę i obronę granicy wschodniej, ale do godności hetmańskiej nie dodano ni wojsk, ni pieniędzy. Zwycięstwo jednak szło mimo tego aż dotąd tak wiernie w jego ślady, jak idzie cień za człowiekiem. Z garścią wojska zbił pod Podhajcami, z garścią wojska przeszedł jak płomień wzdłuż i wszerz Ukrainę, ścierając w proch wielotysięczne czambuły, zdobywając buntownicze grody, szerząc postrach i grozę polskiego imienia. Ale teraz zawisła nad nieszczęsną Rzecząpospolitą wojna z najstraszliwszą z ówczesnych potęg, bo wojna z całym światem muzułmańskim. Nie było już dla Sobieskiego tajemnicą, że gdy Doroszeńko poddał Ukrainę i Kozaków sułtanowi, ten obiecał poruszyć Turcję, Azję Mniejszą, Arabię, Egipt, aż do wnętrza Afryki, ogłosić wojnę świętą i iść własną osobą upomnieć się u Rzeczypospolitej o nowy „paszalik". Zagłada unosiła się jak ptak drapieżny nad całą Rusią, a tymczasem w Rzeczypospolitej był nieład, szlachta burzyła

się w obronie swego niedołężnego elekta i zebrana w zbrojne obozy, jeśli na jaką, to na domową chyba wojnę była gotowa. Wyczerpany niedawnymi wojnami i konfederacjami wojskowymi kraj zubożał; wichrzyła w nim zawiść, wzajemna nieufność jątrzyła serca. W wojnę z potęgą mahometańską nikt nie chciał wierzyć i posądzano wielkiego wodza, że umyślnie wieści o niej puszcza, by umysły od spraw domowych odwrócić; posądzano go okrutniej jeszcze, że sam Turków wezwać gotów, byle zwycięstwo swemu stronnictwu zapewnić; czyniono go zdrajcą po prostu i gdyby nie wojsko, nie wahano by się go przed sąd pociągnąć.

On zaś wobec przyszłej wojny, na którą od wschodu krocie tysięcy dzikiego ludu miały pociągnąć, stał bez wojska, z garścią tylko tak małą, że dwór sułtański więcej sług liczył; bez pieniędzy, bez środków do opatrzenia zrujnowanych fortec, bez nadziei zwycięstwa, bez możności obrony, bez przekonania, że śmierć jego, jak ongi śmierć Żółkiewskiego, przebudzi zdrętwiały kraj i zrodzi mściciela. Toteż troska osiadła na jego czole, a wspaniała twarz, podobna do twarzy tryumfatorów rzymskich z czołem w wawrzynach, nosiła ślady tajonego bólu i nieprzespanych nocy.

Na widok jednak pana Bogusza dobrotliwy uśmiech rozjaśnił oblicze hetmana; kłaniającemu się do kolan położył ręce na ramionach i rzekł:

— Witaj, żołnierzu, witaj! Nie spodziewałem się ujrzeć cię tak prędko, ale tym milszyś mi w Jaworowie. Skąd jedziesz? Z Kamieńca?

— Nie, jaśnie wielmożny panie hetmanie. Nawet-em nie wstępował do Kamieńca, jadę prosto z Chreptiowa.

— Co tam mój mały żołnierzyk porabia? Zdrówli i czy uszyckie puszcze choć trocha oczyścił?

— Puszcze już tak spokojne, że dziecko może nimi iść bezpiecznie. Łotrzykowie wywieszani, a w ostatnich dniach Azba-bej z całą watahą tak zniesion, że i świadek klęski nie pozostał. Przyjechałem właśnie tego dnia, kiedy go zniesiono.

— Poznaję Wołodyjowskiego. Jeden Ruszczyc w Raszkowie może się z nim porównać. A co tam stepy gadają? Są jakie świeże wieści od Dunaju?

— Są, ale złe. W Adrianopolu ma być na ostatnie dni zimy wielki wojska congressus.

— To już wiem. Nie ma teraz innych wieści, jeno złe: złe z kraju, złe z Krymu i ze Stambułu.

— Wszelako nie ze wszystkim, jaśnie wielmożny panie hetmanie, bo ja sam taką szczęsną przywożę, że gdybym był Turkiem albo Tatarzynem, pewnie bym się o munsztułuk upomniał.

— A toś mi z nieba spadł! Nuże! Mów prędko, rozpędź frasunki!

— Kiedym tak zmarzł, wasza wielmożność, że aż mi rozum we łbie skostniał.

Hetman zaklaskał w dłonie i kazał pacholikowi przynieść miodu. Po chwili przyniesiono omszały gąsiorek, a z nim razem i świeczniki z jarzącymi świecami, bo chociaż było jeszcze wcześnie, śnieżyste chmury uczyniły dzień tak posępny, że i na dworze, i w komnatach panował jakoby zmierzch.

Hetman nalał i przepił do gościa, ów zaś, skłoniwszy się nisko, wychylił swoją szklenicę i rzekł:

— Pierwsza nowina, że ten Azja, któren to miał rotmistrzów lipkowskich i czeremiskich nazad do służby naszej przywieść, nie nazywa się Mellechowicz, ale jest synem Tuhaj-beja!

— Tuhaj-beja?... — spytał ze zdziwieniem pan Sobieski.

— Tak jest, wasza wielmożność. Wykryło się, że jego pan Nienaszyniec dzieckiem jeszcze z Krymu porwał, ale go w powrocie postradał, a Azja dostał się do panów Nowowiejskich i u nich się hodował, w nieświadomości, że od takiego ojca pochodzi.

— Dziwne mi to było, że on, tak młody, ma taki mir u Tatarów. Ale teraz rozumiem: przecie i Kozacy, ci nawet, którzy wierni Matce zostali, Chmielnickiego za jakowąś świętość uważają i nim się szczycą.

— A owo właśnie, a owo właśnie! To samo mówiłem Azji! — rzekł pan Bogusz.

— Dziwne sądy boże — odpowiedział po chwili hetman — stary Tuhaj rzeki krwi z ojczyzny naszej wytoczył, a młody jej służy, a przynajmniej dotąd wiernie służył, bo nie wiem, jeżeli teraz nie zechce mu się krymskiej wielkości zakosztować.

— Teraz? Teraz on jeszcze wierniejszy — i tu się druga moja nowina pocznie, w której być może, że i moc, i rada, i ratunek dla utrapionej Rzeczypospolitej się zawiera. Tak mi dopomóż Bóg, jakom dla tej właśnie nowiny na fatygi i nieprzezpieczeństwa nie zważał, by jako najprędzej z gęby ją wypuścić i stroskane serce waszej wielmożności pocieszyć.

— Słucham pilnie — rzekł pan Sobieski.

Bogusz począł przedstawiać zamysły Tuhaj-bejowicza, a przedstawiał z takim zapałem, że istotnie stał się wymowny. Od czasu do czasu drżącą ze wzruszenia ręką nalewał sobie szklanicę miodu, przelewając szlachetny napitek przez brzegi, i mówił, mówił...

Przed zdumionymi oczyma wielkiego hetmana przesuwały się jakoby jasne obrazy przyszłości: więc tysiące i dziesiątki tysięcy Tatarów ciągnęły wraz z żonami, z dziećmi

i ze stadami na ziemię i wolę; więc przerażeni Kozacy, widząc tę nową siłę Rzeczypospolitej, bili kornie czołem przed nią, przed królem i przed hetmanem; więc nie było już więcej buntów na Ukrainie, więc starymi szlakami nie szły niszczące jak płomień lub powódź zagony na Ruś, a natomiast obok wojsk polskich i kozackich buszowały po niezmiernych stepach, z graniem trąb i hukiem kotłów, czambuły ukraińskiej szlachty-Tatarów...

I przez lata całe ciągnęły arby za arbami, a na nich, wbrew rozkazom chana i sułtana, mnogi lud, który prawo i wolę nad uciemiężenie, czarnoziem ukrainny i chleb nad głodne dotychczasowe siedziby przełożył... I dawna wroga siła szła na usługi Rzeczypospolitej — Krym się wyludniał; chanowi i sułtanowi wymykała się z rąk dawna potęga i strach ich zdejmował, bo od stepów, od Ukrainy, patrzył im groźnie w oczy nowy hetman nowej tatarskiej szlachty, Rzeczypospolitej stróż i wierny obrońca, straszliwego ojca sławny syn — młody Tuhaj-bejowicz.

Rumieńce wybiły na twarz Boguszową; zdawało się, że upajały go własne słowa, więc w końcu obie ręce podniósł do góry i zakrzyknął:

— Oto, co przywożę! Oto, co owo smocze szczenię wylęgło w puszczach chreptiowskich. A teraz trzeba mu jeno pisma i pozwolenia waszej wielmożności, by puścił głos do Krymu i nad Dunaj! Wasza wielmożności choćby Tuhaj-bejowicz nic nie uczynił nad to, że war w Krymie i nad Dunajem uczyni, że niesnaski sprowadzi, hydrę wojny domowej rozbudzi, jedne ałusy przeciw drugim uzbroi, to i tak, w przededniu wojny, w przededniu wojny, powtarzam — wielką i nieśmiertelną Rzeczypospolitej odda przysługę!

Lecz pan Sobieski chodził wielkimi krokami po komnacie, milcząc. Wspaniała twarz jego była mroczna, prawie groźna; chodził i widać, w duszy rozmawiał — nie wiadomo, z sobą czy z Bogiem.

Nareszcie rozdarłeś w swej duszy jakowąś kartę, wielki hetmanie, boś się do mówcy w te oto ozwał słowa:

— Bogusz, ja takiego pisma i takiego pozwoleństwa, choćbym je miał prawo dać, pókim żyw, nie dam!

Słowa padły tak ciężko, jakby z roztopionego ołowiu albo żelaza były ulane, i przycisnęły tak Bogusza, że aż na chwilę oniemiał, głowę pochylił i po długiej dopiero chwili wyjąkał:

— Dlaczego to, wasza wielmożność, dlaczego?...

— Naprzód odpowiem ci jako statysta: imię Tuhaj-bejowicza mogłoby wprawdzie certum quantum Tatarów pociągnąć, gdyby się im przy tym ziemię, wolę i przywileje szlacheckie obiecało. Ale nie przyszłoby ich tylu, iluście sobie uroili. A krom tego, szalony to byłby uczynek: Tatarów na Ukrainę wołać, nowy naród tam osadzać, gdy i z samymi Kozakami rady sobie dać nie możemy. Mówisz, że między nimi zaraz by powstały zwady i wojny, że byłby gotowy miecz na szyję kozacką, a kto ci uręczy, czy by się ów miecz i w polskiej krwie nie ubroczył? Ja tego Azję dotąd nie znałem, teraz zaś widzę, że w jego piersi mieszka smok pychy i ambicji, więc powtórnie pytam: kto ci uręczy, że w nim drugi Chmielnicki nie siedzi? Będzie on bił Kozaków, lecz gdy Rzeczpospolita w czymkolwiek go nie ukontentuje lub za jakowyś gwałtowny uczynek prawem i karą mu zagrozi, to on się właśnie wówczas z Kozaki połączy, nowe mrowia ze Wschodu tak powoła, jak Chmielnicki Tuhaj-beja wołał; samemu sułtanowi się podda, jako Doroszeńko się poddał, i zamiast pomnożenia naszej potęgi nowy krwi przelew nastąpi, nowe klęski na nas spadną.

— Wasza wielmożność! Tatarzy, szlachtą zostawszy, wiernie się Rzeczypospolitej trzymać będą.

— Lipków i Czeremisów mało było? Od dawna szlachtą byli i dlatego na sułtańską stronę przeszli.

— Lipkom nie dotrzymano przywilejów.

— A co będzie, jeśli szlachta, jak to jest rzecz pewna, z góry się takowemu rozszerzeniu prerogatyw szlacheckich sprzeciwi? I jakim czołem, jakim sumieniem chcesz dzikim i drapieżnym tłumom, które dotąd ustawicznie tę ojczyznę naszą niszczyły, dawać moc i prawo, by o losie jej teraz stanowiły, królów obierały, deputatów słały na sejmy? Za co im dawać taką nagrodę? Co za szaleństwo przyszło temu Lipkowi do głowy i jaki zły duch ciebie, stary żołnierzu, opętał, żeś się dał tak pobałamucić i uwieść, żeś w taką niepoczciwość i w takie niepodobieństwo uwierzył.

Bogusz spuścił oczy i odrzekł niepewnym głosem:

— Wasza wielmożność! Wiedziałem ja o tym z góry, że stany się sprzeciwią, ale owóż Azja powiada, że gdy Tatarzy raz za pozwoleniem waszej wielmożności osiądą, tedy się rugować nie dadzą.

— Człowieku! Więc on już groził, już mieczem nad Rzecząpospolitą potrząsał, a tyś się na tym nie poznał?

— Wasza wielmożność! — odrzekł z desperacją Bogusz — można by wreszcie wszystkich Tatarów szlachtą nie czynić, chyba znaczniejszych, a resztę wolnymi ludźmi ogłosić. I tak oni na wezwanie Tuhaj-bejowicza przyciągną.

— To czemu lepiej Kozaków wszystkich wolnymi ludźmi nie ogłosić? Przeżegnaj się, stary żołnierzu, bo mówię ci, iż cię zły duch opętał.

— Wasza wielmożność...

— I to ci jeszcze dodam — tu pan Sobieski zmarszczył swoje lwie czoło i oczy mu zabłysły — że choćby wszystko miało być tak, jak mówisz, choćby potęga nasza miała przez to urosnąć, choćby wojna z Turczynem została przez to odwrócona, choćby szlachta sama o to wołała, jeszcze, póki ta oto ręka szablą władnie i znak krzyża uczynić może, przenigdy! Tak mi dopomóż Bóg! Tego nie dopuszczę!

— Dlaczego, wasza wielmożność? — powtórzył łamiąc ręce pan Bogusz.

— Bom ja jest hetman nie tylko polski, ale chrześcijański; bo na straży krzyża stoję! A choćby też Kozacy okrutniej jeszcze wnętrzności Rzeczypospolitej szarpali, ja karków zaślepionego, ale chrześcijańskiego ludu pogańskim mieczem nie będę ścinał. Bo czyniąc to, ojcom i dziadom naszym, dziadom moim własnym, popiołom ich, krwi, łzom, całej dawnej Rzeczypospolitej powiedziałbym: „rakka!" Na Boga! jeśli nas zguba czeka, jeśli imię nasze ma być imieniem zmarłych, nie żyjących, to niechże sława po nas ostanie i wspominek onej służby, którą nam Bóg wyznaczył; niechże potomni patrząc na one krzyże i mogiły powiedzą: „Tu chrześcijaństwa, tu krzyża przeciw mahometańskiej sprosności, póki tchu w piersi, póki krwie w żyłach bronili i za inne narody polegli". To służba nasza, Bogusz! Otośmy forteca, w której Chrystus mękę swoją zatknął na murze, a ty mnie prawisz, abym ja, żołnierz boży, ba, komendant, pierwszy bramę otwierał i pogan jako wilków do owczarni puszczał, i Jezusowe owieczki na rzeź wydawał?! Wolej nam od czambułów cierpieć, wolej nam bunty znosić, wolej na ową straszną wojnę pociągnąć, wolej polec mnie i tobie, wolej całej Rzeczypospolitej zginąć niźli imię pohańbić, sławy zbyć i owo stróżowanie, ową służbę bożą zdradzić!

To rzekłszy wyprostował się pan Sobieski w całej swej wielkości i na twarzy miał zorze taką, jaką musiał mieć Godfryd de Bouillon, gdy na mury Jerozolimy z okrzykiem: „Bóg tak chce!", wpadał; a pan Bogusz wydał się sam sobie wobec tych słów prochem i Azja wydał mu się wobec pana Sobieskiego prochem, a płomienne młodego Tatara zamysły sczerniały i stały się nagle w Boguszowych oczach czymś nieuczciwym i zgoła bezecnym.

Cóż bo mógł rzec po oświadczeniu hetmańskim, że lepiej polec niźli służbę bożą zdradzić? Jaki jeszcze przytoczyć argument? Więc sam nie wiedział biedny szlachcic, czy do kolan hetmańskich przypaść, czy w piersi się bić powtarzając: „Mea culpa, mea maxima culpa!”

A wtem w pobliskiej dominikańskiej kolegiacie rozległ się odgłos dzwonów.

Dosłyszawszy go pan Sobieski rzekł:

— Dzwonią na nieszpór! Bogusz, pójdźmy się Bogu polecić.

Rozdział XXXII

O ile pan Bogusz spieszył się jadąc z Chreptiowa do hetmana, o tyle jechał z wolna z powrotem. W każdym większym mieście popasał tydzień lub dwa, święta spędził we Lwowie i tamże go zastał Nowy Rok.

Wiózł on wprawdzie instrukcje hetmańskie dla Tuhaj-bejowicza, ale że zawierały one tylko polecenie prędkiego kończenia sprawy z lipkowskimi rotmistrzami i suchy, a nawet groźny rozkaz poniechania wielkich zamysłów, nie miał więc powodu z nimi się kwapić, bo i tak Azja nie mógł nic poczynać między Tatarami nie posiadając w ręku hetmańskiego dokumentu.

Wlókł się więc pan Bogusz nawiedzając często po drodze kościoły i pokutę czyniąc za swoje do Azjowych zamysłów przystąpienie. A tymczasem Chreptiów zaraz po Nowym Roku zaroił się od gości. Przyjechał z Kamieńca Nawiragh, delegat patriarchy uzmiadzińskiego, z nim dwóch Anardratów, biegłych teologów z Kaffy, i służba liczna. Dziwili się wielce żołnierze ich strojom cudacznym, fioletowym i czerwonym krymkom, długim szalom z aksamitu i atłasu, czarniawym obliczom i powadze wielkiej, z którą chodzilii jakoby dropie albo żurawie po chreptiowskiej stanicy. Przybył pan Zachariasz Piotrowicz, słynny ze swoich ustawicznych do Krymu, ba, do samego Carogrodu, podróży, a słynniejszy jeszcze z gorliwości, z jaką odszukiwał i wykupywał jeńców na rynkach wschodnich; ten towarzyszył jako przewodnik Nawiraghowi i Anardratom. Pan Wołodyjowski wyliczył mu zaraz kwotę potrzebną na pana Boskiego wykupienie; że zaś wdowa nie miała dość pieniędzy, więc ze swego dołożył, a Basia po cichu swoje zauszniczki z perłami przydała, aby strapionej wdowie i miłej Zosi tym skuteczniej dopomóc. Przyjechał także pan Seferowicz, pretor kamieniecki, bogaty Ormianin, którego brat jęczał w tatarskich łykach, i dwie niewiasty, młode jeszcze i urody dość

niepośledniej, choć czarniawe: Neresewiczowa i Kieremowiczowa. Obydwom o zabranych małżonków chodziło.

Byli to wszystko goście po większej części strapieni, ale i wesołych nie brakło, bo ksiądz Kamiński przysłał na zapusty do Chreptiowa — pod Basiną opiekę — swoją synowicę, pannę Kamińską, łowczego zwinigrodzkiego córkę, a oprócz tego pewnego dnia spadł jak piorun młody pan Nowowiejski, który, dowiedziawszy się o pobycie ojca w Chreptiowie, natychmiast wziął od pana Ruszczyca permisję i na spotkanie pospieszył.

Młody pan Nowowiejski zmienił się wielce przez ostatnich lat kilka, bo naprzód, wierzchnia jego warga już zacieniła się mocno wąsem, krótkim, białych, wilczych zębów nie przysłaniającym, ale pięknym i kręconym. Po wtóre, zawsze chłop był duży, ale teraz rozrósł się prawie w olbrzyma. Zdawało się, że tak gęsta i zwichrzona czupryna tylko na tak ogromnej głowie rosnąć może, a tak ogromna głowa tylko w tak bajecznych barach należytą znajduje podporę. Twarz miał zawsze czarną, wichrami spaloną, oczy jarzące jak węgle; zawadiactwo jakby wypisane na twarzy. Gdy chwycił spore jabłko, ukrywał je tak łatwo w swojej potężnej dłoni, że mógł się w „zgaduj zgadula" bawić, a gdy garść orzechów położył sobie na udzie i ręką przycisnął, to potem tabakę wydobywał.

Wszystko poszło w nim w siłę, bo zresztą chudy był i brzuch miał wpadnięty, jedno piersi nad nim jak kaplicę. Podkowy łamał z łatwością, nie bardzo się natężając; toż pręty żelazne żołnierzom na szyi zawiązywał, a wydawał się jeszcze większy, niż był w istocie; gdy stąpił, trzeszczały pod nim deski, a gdy przypadkiem o ławę zawadził, to szczapę z ławy odłupywał.

Słowem, był to chłop setny, w którym życie, zdrowie, odwaga i siła kipiały, jak kipi war w saganie, nie mogąc się w tak nawet ogromnym ciele pomieścić. Zdawało się, że płomień ma w piersi i w głowie, i mimo woli patrzyłeś, czy mu się już z czupryny nie dymi. Jakoż dymiło się często, bo i do wypitki był dobry. Do bitwy szedł ze śmiechem przypominającym rżenie końskie i walił tak, że żołnierze po każdym spotkaniu umyślnie trupy jego oglądali, aby nadzwyczajne cięcia podziwiać.

Zresztą, od dziecka do stepu, stróżowania i wojny nawykły, mimo całej zapalczywości czujny był i przezorny: znał wszystkie tatarskie fortele, a po panu Wołodyjowskim i Ruszczycu uchodził za najlepszego zagończyka.

Stary Nowowiejski, wbrew pogróżkom i zapowiedziom, nie przyjął syna zbyt surowo, bo bał się, że ów, zrażony, znów sobie pójdzie i nie pokaże się przez drugich lat jedenaście.

A w gruncie rzeczy szlachcic-samolub kontent był z tego syna, który pieniędzy z domu nie brał, sam dawał sobie doskonale rady na świecie, pozyskał sławę między towarzyszami, łaskę hetmańską i szarżę oficerską, której niejeden mimo protekcji nie mógł się dochrapać. Wyrachował też sobie ojciec, że zdziczały w stepach i w wojnie młodzian może nie ugiąć się przed powagą ojcowską, a w takim razie lepiej jej na próbę nie wystawiać.

Syn, lubo padł mu do nóg jak przystało, przecie w oczy śmiele patrzył i bez ogródki na pierwsze przygany odrzekł:

— Ojciec przyganę masz w gębie, w sercu radość ze minie, i słusznie, bom zakały nie przyniósł, a żem do chorągwi uciekł, po tom szlachcic.

— Ale może bisurmanin — odrzekł stary — skoroś przez jedenaście lat w domu się nie pokazał?

— Nie pokazałem się z bojaźni kary, która by mojej oficerskiej szarży i powadze była przeciwną. Czekałem listu z darowaniem win. Nie było listu, nie było i mnie.

— A teraz to się nie boisz?

Młody pokazał swe białe zęby w uśmiechu:

— Tu wojskowa władza rządzi, przed którą choćby i rodzicielska ustąpić musi. Wiecie co, dobrodzieju, ot, lepiej uściskajcie mnie, bo duszną do tego macie ochotę!

To rzekłszy ramiona otworzył, a pan Nowowiejski ojciec sam nie wiedział, co ma czynić. Jakoś nie mógł się połapać z tym synem, który pacholęciem z domu wyszedł, a teraz wracał dojrzałym mężem i oficerem otoczonym sławą bojową. I to, i owo pochlebiało wielce ojcowskiej dumie pana Nowowiejskiego, więc istotnie rad by był syna przycisnąć do piersi, tylko się jeszcze ze względu na powagę wahał.

Lecz ów go porwał. Zatrzeszczały w tym niedźwiedzim uścisku kości szlachcica, i to rozczuliło go do reszty.

— Co robić — zawołał sapiąc — czuje szelma, że na swoim własnym koniu siedzi, i ani dba! Proszę! Żeby to było w domu u mnie, pewnie bym tak nie zmiękł, ale tu, co robić? A pójdź no jeszcze!

I uściskali się po raz drugi, za czym młody jął spiesznie wypytywać o siostrę.

— Przykazałem jej na uboczu się trzymać, póki nie zawołam — odrzekł ojciec — dziewka tam ledwie ze skóry nie wyskoczy.

— Dla Boga! Gdzie ona jest? — zakrzyknął syn.

I otworzywszy drzwi począł wołać tak gromko, aż echo odpowiadało mu ze ścian:

— Ewka! Ewka!

Ewka, która czekała z bijącym sercem w przyległej izbie, wpadła natychmiast, lecz zaledwie zdołała zakrzyknąć: „Adam!” — już potężne ramiona porwały ją i podniosły od ziemi. Brat kochał ją zawsze bardzo; częstokroć, za dawnych jeszcze czasów, chroniąc ją od tyranii ojca, nieraz brał na się jej winy i należną jej chłostę.

W ogóle pan Nowowiejski był w domu despotą, prawie okrutnym, więc teraz dziewka witała w tym potężnym bracie nie tylko brata, ale przyszłą swoją ucieczkę i ochronę. On zaś całował ją po głowie, po oczach i po rękach, chwilami zaś odsuwał ją od siebie, patrzył w twarz i wykrzykiwał ochoczo:

— Harna dziewka, jak mi Bóg miły!

Po czym znów:

— Oto wyrosła! Piec, nie dziewka!

Jej zaś oczy śmiały się do niego. Poczęli następnie rozmawiać bardzo prędko o długiej rozłące, o domu i o wojnach. Stary pan Nowowiejski chodził koło nich i pomrukiwał. Syn imponował mu wielce, ale chwilami chwytał go jakby niepokój o przyszłe panowanie. Były to już czasy wielkiej władzy rodzicielskiej, która w przyszłości urosła aż do bezgranicznej przewagi, lecz ten syn był to zagończyk, żołnierz z dzikich stanic, który, jak to pan Nowowiejski od razu zrozumiał, na swoim własnym koniu jeździł. Pan Nowowiejski zazdrosny był o swe panowanie. Miał przecie pewność, że syn uszanuje go zawsze, odda mu, co powinien, ale czy się będzie giął jak wosk, czy zniesie wszystko, jak znosił, gdy był wyrostkiem?

„Ba — myślał stary szlachcic — czy ja sam odważę się traktować go jak wyrostka? Jucha, porucznik imponuje mi, jak Pana Boga kocham!”

Na dobitkę czuł przy tym pan Nowowiejski, że mu afekt ojcowski z każdą minutą w sercu rośnie i że będzie miał słabość do tego olbrzymiego synala.

Tymczasem Ewka szczebiotała jak ptak, zarzucając brata pytaniami: a kiedy wróci, a czy się nie osiedli, a czy się nie ożeni? Ona bo wprawdzie nie wie dobrze i nie jest pewna, ale jak tatkę kocha, tak słyszała, że żołnierze bywają kochliwi. Ba, nawet przypomina sobie, że to jej pani Wołodyjowska mówiła. Jaka ona śliczna i dobra ta pani Wołodyjowska! Gładszej i lepszej ze świecą w całej Polsce nie znaleźć! Chyba jedna Zosia Boska może się z nią porównać.

— Co za Zosia Boska? — pytał Adam.

— Ta, która tu z matką bawi, co to jej ojca orda ogarnęła. Obaczysz ją sam i polubisz!

— Dawajcie tę Zosię Boską! — począł wołać młody oficer.

Ojciec i Ewka śmieli się z takiej gotowości, syn zaś rzekł im:

— Jakże! Kochanie jak i śmierć nikogo nie minie. Gołowąsem jeszcze byłem, a pani Wołodyjowska panną, gdym się w niej okrutnie rozkochał! Ej, miły Boże! Jakżem ja tę Baśkę kochał! Ale cóż! Powiadam jej to kiedyś, a tu jakby mi kto w pysk dał: Zasię kocie od mleka! Pokazało się, że ona już pana Wołodyjowskiego miłowała — i — co tu gadać, miała słuszność!

— Czemu to? — spytał stary pan Nowowiejski.

— Czemu? Oto dlatego, że ja bym — nie chwaląc się — każdemu na szable wytrzymał, a on jeden i dwóch pacierzy by się ze mną nie zabawił. A przy tym zagończyk to jest incomparabilis, przed którym sam pan Ruszczyc czapkę zdejmuje. Co pan Ruszczyc! Tatarowie nawet się w nim kochają. Największy to żołnierz w Rzeczypospolitej!

— A jak oni się z żoną kochają! Aj, aj! Aż oczy bolą patrzyć! — wtrąciła Ewka.

— Oskoma cię bierze! Ha! Oskoma cię bierze! Bo ci też już i czas! — zawołał Adam.

I wziąwszy się w boki, począł nad siostrą rzucać głową jak koń i śmiać się, ona zaś odrzekła skromnie:

— Mnie tam to nie w myśli.

— A tu przecie oficerów i towarzystwa grzecznego nie brak!

— Ale! — rzekła Ewka. — Nie wiem, czy ci ojciec wspominał, że Azja tu jest.

— Azja Mellechowicz, Lipek? Znam go, to dobry żołnierz!

— Nie wiesz jeno — rzekł stary pan Nowowiejski — że on nie Mellechowicz, tylko ów nasz Azja, który się z tobą chował.

— Dla Boga! Co słyszę! Patrzcie się! Mnie to czasem po głowie chodziło, ale powiedzieli mi, że ten się zwie Mellechowicz, więc myślę sobie: no, to nie tamten, a że Azja, to u nich imię powszechne. Tyle lat go nie widziałem, nie dziw, żem nie był pewien! Nasz był dość szpetny i przysadzisty, a ów jest chłop gładysz!

— Nasz to, nasz! — rzekł stary Nowowiejski — a raczej nie nasz już, bo wiesz, co się pokazało? Czyj to syn?

— Skąd mam wiedzieć?

— Wielkiego Tuhaj-beja!

Młody uderzył się potężnymi dłońmi po kolanach, aż się rozległo.

— Uszom nie wierzę! Wielkiego Tuhaj-beja? A to on kniaź i chanom pokrewny! Nie masz przedniejszej krwi w Krymie nad Tuhaj-bejową!

— Wraża to krew!

— Wraża była w ojcu, ale syn nam służy! Sam go mało dwadzieścia razy w potrzebach widziałem! Ha! Teraz rozumiem, skąd w nim ta diabelska odwaga się

bierze! Pan Sobieski — że jego wobec całego wojska wysławiał i setnikiem go mianował. Rad z duszy go powitam! Tęgi żołnierz! Z całego serca go powitam!

— Jeno się z nim nie spoufalaj zbytecznie!

— A to czemu? Czy on mój sługa albo nasz? Ja żołnierz, on żołnierz, ja oficer, on oficer. Ba, żeby to jaki łyk od piechoty, co trzciną regiment sprawuje, nie mówię; ale jeśli on Tuhaj-bejowicz, to przecie nie lada jaka krew w nim płynie. Kniaź, i kwita, a o szlachectwie sam hetman dla niego pomyśli. Jakże mnie nosa nad nim zadzierać, gdy ja z Kułak-murzą pobratym, z Bakczy-agą pobratym, z Sukymanem pobratym, a ci wszyscy nie wstydziliby się owiec u Tuhaj-bejowicza pasać!

Ewka uczuła nagle ochotę ucałowania na nowo brata, po czym siadłszy tuż blisko, poczęła go gładzić piękną ręką po wichrowatej czuprynie.

Wejście pana Wołodyjowskiego przerwało te pieszczoty.

Młody Nowowiejski zerwał się na równe nogi witać starszego oficera i zaraz tłumaczyć się począł, dlaczego najpierw komendantowi powinnych służb nie złożył; mianowicie, że właśnie nie po służbie, ale jako prywatny przyjechał.

Wołodyjowski zaś uściskał go łaskawie i odrzekł:

— A kto by ci miał za złe, miły towarzyszu, żeś po tylu leciech rozłąki najpierw do kolan rodzicielskich przypadł! Co innego, gdyby o służbę chodziło, ale pewnie polecenia żadnego od Ruszczyca nie masz?

— Jeno ukłony. Pan Ruszczyc też hen, ku Jahorlikowi ruszył, bo mu dali znać, że na śniegu siła śladów końskich. Pisanie waszej mości mój komendant odebrał i zaraz do ordy posłał, do swoich rodzonych i pobratymców, żeby tam szukali i pytali, ale sam nie odpisuje, bo powiada, że ma rękę za ciężką i eksperiencji w tej sztuce żadnej.

— Nie lubi on tego, wiem — rzekł uśmiechając się pan Wołodyjowski. — Szabla dla niego zawsze grunt!

Tu ruszył wąsikami i po chwili dodał nie bez pewnej chełpliwości:

— A przecie za Azbą-bejem ganialiście się ze dwa miesiące na próżno.

— Ale wasza mość go połknął jak szczuka klenia — zawołał z zapałem pan Nowowiejski. — No! Bóg mu chyba rozum pomieszał, że on, panu Ruszczycowi się wymknąwszy, pod waszą mość poszedł. To trafił, ha!

Mile połechtały małego rycerza te słowa i chcąc polityką za politykę odpłacić, zwrócił się do pana Nowowiejskiego i rzekł:

— Mnie Pan Jezus nie dał dotąd syna, ale gdyby kiedykolwiek użyczył, to bym chciał, żeby był do tego oto kawalera podobny!

— Nic tam takiego! Nic tam takiego! — odparł stary szlachcic — Nequam, i kwita.

I pomimo tych słów, aż sapać począł z zadowolenia.

— Wielki mi znów rarytet!...

Tymczasem mały rycerz jął gładzić po twarzy Ewkę i rzekł do niej:

— Widzi waćpanna, ja nie jestem żaden młodzik, ale Baśka moja nieledwie w waćpanny leciech, dlatego poczuwam się w tym, aby zaś miała czasem jakowąś uciechę grzeczną, a młodemu wiekowi przystojną... Prawda, że ją tu wszyscy nad podziw miłują, ale spodziewam się, iż waćpanna przyznasz, że jest za co?

— Boże kochany! — zawołała Ewka. — Nie ma na świecie takiej drugiej! Dopiero co tom powiedziała!

Mały rycerz uradował się niezmiernie, aż mu twarz pojaśniała, i odrzekł:

— Powiedziałażeś to istotnie waćpanna? Aha! Co?

— Jako żywo powiedziała! — zawołali razem ojciec i syn.

— No, to przystrójże się waćpanna jako najozdobniej, bom w tajemnicy przed Baśką kapelę dziś z Kamieńca sprowadził. Kazałem im instrumenta w słomę pochować, a jej powiedziałem, że to Cygany do koni kucia przyjechali. Dziś wieczór tańce okrutne wyprawuję. Lubi to ona, lubi, chociaż poważną matronę rada udaje.

To rzekłszy pan Michał począł zacierać ręce i bardzo był z siebie zadowolony.

Rozdział XXXIII

Śnieg sypał tak gęsty, że wypełnił całkiem rów staniczny i wałem osiadł na częstokole. Na dworze była noc i zawieja, a główna izba chreptiowskiej fortalicji gorzała od świateł. Było dwóch skrzypków, trzeci basetlista, dwóch czekanistów i jeden z waltornią. Skrzypkowie cięli od ucha, aż chwilami ich zawracało, owym zaś grającym na czekanach i waltorni nabrzmiewały policzki i oczy krwią zachodziły. Najstarsi z oficerów i towarzystwa poobsiadali ławy pod ścianami jeden przy drugim, jako siwe gołębie obsiadają zręby dachu, i popijając miód a wino spoglądali na tańcujących.

W pierwszą parę szedł pan Muszalski, mimo podeszłych lat tancerz tak zawołany, jak i łucznik, z Basią. Ona, przybrana w suknię ze srebrnej lamy obszytą gronostajowym szlakiem, wyglądała tak, jakoby kto świeżą różę w świeży śnieg zatknął. Dziwili się jej urodzie starzy i młodzi, a okrzyk — „rety!”, wyrywał się mimo woli z wielu piersi, bo chociaż Nowowiejska i Boska były od niej nieco młodsze i nad zwykłą miarę urodziwe, przecie ona była między nimi najpiękniejszą. W oczkach paliła jej się radość i ochota;

przesuwając się obok małego rycerza, dziękowała mu za uciechę uśmiechem, a przez rozchylone różowe usta błyskały białe jej jak perły ząbki i lśniąc się cała w swej srebrnej lamie, migocąc jak promień lub gwiazdka, olśniewała zarazem oczy i serca urodą dziecka, niewiasty i kwiatu.

Goniły za nią rozcięte rękawy kontusika, podobne do skrzydeł dużego motyla, a gdy podnosząc rękoma poły jubki czyniła dyg przed tancerzem, to myślałeś, że w ziemię spływa jako zjawisko jakieś lub jak owe poniki, co w letnie jasne noce nad brzegami jarów skaczą.

Zewnątrz pocztowi przyciskali do szyb oświeconych srogie, wąsate twarze i płaszcząc sobie o nie nosy, zaglądali do środka. Wielce to pochlebiało im, że uwielbiana pani gasi wszystkie inne urodą, bo wszyscy trzymali zapamiętale za Basią, więc nie szczędząc przytyków ni Nowowiejskiej, ni Boskiej gromkim krzykiem witali każde jej zbliżenie się do okna.

Wołodyjowski rósł jak na drożdżach i głową w takt Basinym ruchom kiwał; pan Zagłoba, stojąc z kuflem obok niego, przytupywał i ronił płyn na podłogę, a chwilami zwracali się z małym rycerzem ku sobie i patrzyli na się milcząc z nadzwyczajnego zachwytu i sapiąc.

A Baśka migała i migała po całej izbie, coraz weselsza, coraz wdzięczniejsza. To jej dopiero była pustynia! Raz bitwa, to znów łowy, to uciecha i tańce, i kapela, i żołnierzy moc — i mąż największy między nimi, a kochający i kochany; czuła Basia, że ją lubią wszyscy, że ją podziwiają, wielbią, że mały rycerz coraz przez to szczęśliwszy, więc i sama czuła się tak szczęśliwa jak ptaki, gdy za nadejściem wiosny bujają w majowym powietrzu krzycząc mocno a radośnie.

W drugą parę za Basią tańczyła przybrana w karmazymowy kubraczek Nowowiejska z Azją. Młody Tatar nic do niej nie mówił, upojony zupełnie białym zjawiskiem błyszczącym w pierwszej parze, lecz ona myślała, że to wzruszenie tak tamuje mu głos w piersiach, i lekkimi z początku, a potem coraz mocniejszymi uściśnieniami dłoni starała się dodać mu odwagi.

Azja też czasem oddawał jej owe uściski tak silnie, że ledwie okrzyk bólu mogła stłumić, lecz czynił to mimo woli, bo o niczym nie myślał, tylko o Basi, niczego nie widział poza Basią, a w duszy powtarzał sobie straszną obietnicę, że choćby mu przyszło pół Rusi spalić, to ona musi być jego.

Chwilami zaś, gdy wracało mu nieco przytomności, miał ochotę porwać Ewkę za gardło i dusić, i pastwić się nad nią za jej uściśnienia dłoni i za to, że stawała między

jego miłością i Basią. Wówczas przeszywał biedną pannę swym sokolim, okrutnym wzrokiem, a jej serce poczynało bić mocniej, bo myślała, że on z miłości patrzy na nią tak drapieżnie.

W trzecią zaś parę tańcował młody pan Nowowiejski z Zosią Boską. Ta, podobna do niezapominajki, dreptała ze spuszczonymi oczyma obok niego, a on wyglądał jak rozhukany tabuńczyk i skakał jak rozhukany tabuńczyk. Spod okutych pięt jego leciały drzazgi, czupryna wichrem podniosła się do góry, lice ubarwiło się rumieńcami, rozdął szerokie chrapy jak turecki bachmat i zakręcał Zosią, jak wieja kręci liściem, i unosił ją w powietrzu. Rozochociła się w nim dusza bez miary, a że siedząc na krańcu Dzikich Pól, po całych miesiącach niewiast nie widywał, więc mu Zośka tak od razu przypadła do serca, że w jednej chwili na umór się w niej rozkochał.

Od czasu do czasu spoglądał na jej spuszczone oczka, to na rumiane policzki, to na krągły gorsik, i aż parskał na ów luby widok, i tym mocniej skry podkówkami krzesał, i tym mocniej na zwrotach przygarniał ją do swej szerokiej piersi, i śmiechem ogromnym z nadmiaru ochoty wybuchał, i kipiał, i coraz mocniej kochał.

A Zosia aż zalękła się w lubym serduszku, jeno że nie był to przykry strach, bo spodobał się jej także ten wicher, który ją oto porwał i nosił. Czysty smok! Widywała ona różnych kawalerów w Jaworowie, ale tak ognistego nie widziała dotychczas, i żaden tak nie tańcował, i żaden tak nie przygarniał. Naprawdę, czysty smok!... Co z takim robić, kiedy niepodobna mu się oprzeć...

W następnej parze tańcowała z grzecznym towarzyszem panna Kamińska, a dalej panie Kieremowiczowa i Neresewiczowa, które, choć mieszczki, zaproszono jednak do kompanii, bo obie były niewiasty dość dwornych manier i wielce zamożne.

Poważny Nawiragh i dwaj Anardraci patrzyli ze wzrastającym zdziwieniem na polskie pląsy; starzy przy miodzie czynili gwar coraz mocniejszy, podobny do gwaru, jaki czynią koniki polne na ściernisku. Kapela jednak głuszyła wszystkie głosy — w środku zaś izby ochota w sercach rosła i rosła.

Wtem Baśka opuściła swego tancerza i przybiegłszy zdyszana do męża złożyła przed nim ręce.

— Michałku! — rzekła — Żołnierzom tam zimno za oknami, każ im dać beczkę!

Ów zaś, rozweselony nadzwyczajnie, począł ją całować po piąstkach i zakrzyknął:

— Ja bym i krwi nie żałował, byle cię ucieszyć!

Po czym sam skoczył na dwór, by powiedzieć żołnierzom, za czyją instancją będą mieć beczkę, bo chciał, żeby Basi byli wdzięczni i tym bardziej ją kochali.

Więc gdy w odpowiedzi uczynili krzyk tak okrutny, że aż śnieg począł się sypać z dachu, mały rycerz zawołał jeszcze:

— A huknąć tam z muszkietów! Pani na wiwat!

Wróciwszy do izby zastał Basię tańczącą z Azją. Lipkowi, gdy objął ramionami tę słodką postać, gdy uczuł bijące ciepło od niej i tchnienie jej na swojej twarzy, źrenice uciekły prawie całkiem pod czaszkę i świat cały zakręcił mu się w oczach; w duszy wyrzekał się raju, wieczności i za wszystkie rozkosze, za wszystkie hurysy chciał tej jednej.

Wtem Basia ujrzawszy w przelocie karmazynowy kubrak Nowowiejskiej i zaciekawiona, czy Azja nie wyznał już miłości dziewczynie, spytała:

— Nie deklarowałeś waćpan?

— Nie!

— Czemu?

— Jeszcze nie czas! — odrzekł z dziwnym wyrazem twarzy Tatar.

— A bardzo się waść kochasz?

— Na śmierć, na śmierć! — zawołał Tuhaj-bejowicz cichym, ale chrapliwym, podobnym do krakania kruka głosem.

I tańczyli dalej, zaraz za Nowowiejskim, któren wysunął się w pierwszą parę. Inni pozmieniali już tanecznice, lecz on dotąd Zosi nie puścił, chwilami tylko sadzał ją na ławie, by wypocząć i oddech złapać mogła, a potem znów hulał.

Na koniec stanął przed kapelą i objąwszy jedną ręką Zosię, drugą wsparłszy się w bok, krzyknął na muzykantów:

— Krakowskiego, grajki! Nuże!

Ci zaś, baczni na komendę, od razu ucięli krakowskiego. Wówczas pan Nowowiejski przytupywać począł i zaśpiewał ogromnym głosem:

Płyną jasne zdroje,
Potem w Dniestrze giną.
Tak w tobie, dziewczyno,
Ginie serce moje!
U-ha!

I owo: „U-ha!”, wrzasnął tak po kozacku, że aż Zosieńka, nieboga, przysiadła ze strachu. Uląkł się także stojący w pobliżu poważny Nawiragh, zlękli się dwaj uczeni Anardraci, a pan Nowowiejski powiódł taniec dalej, dwakroć zatoczył wokół izby i stanąwszy przed muzyką, znów tak o sercu zaśpiewał:

Ginie, lecz nie zginie
Na przekór Dniestrowi,
I jeszcze w głębinie
Pierścionek wyłowi!
U-ha!

— Bardzo grzeczne rytmy! — zawołał pan Zagłoba. — Jać się najlepiej znam na tym, bom też ich niemało ułożył! Doławiaj, kawalerze, doławiaj! A jak się pierścienia dołowisz, to ja ci wówczas zaśpiewam w takim sensie:

Każda dziewka hubka,
Każdy chłop krzesiwo,
Będzie iskier kupka,
Jeno krzeście żywo!
U-ha!

— Vivat! Vivat pan Zagłoba! — krzyknęli tak ogromnym głosem oficerowie i towarzysze, że aż zląkł się poważny Nawiragh, zlękli się dwaj uczeni Anardraci i z nadzwyczajnym zdumieniem poczęli na się spoglądać.

A pan Nowowiejski zatoczył jeszcze dwa koła i posadził wreszcie na ławie zarówno zdyszaną, jak i przestraszoną śmiałością kawalera Zosię. Miły on jej był bardzo, taki dzielny i szczery, istny płomień, ale właśnie dlatego, że takich nie spotykała dotąd, ogarnęło ją wielkie zmieszanie, więc spuściwszy jeszcze niżej oczki, siedziała cichutko jak trusia.

— Czego waćpanna milczysz? Czegoś smutna, co? — spytał pan Nowowiejski.

— Bo tatuś w niewoli! — odpowiedziała cienkim głosikiem Zosia.

— Nic to! — odrzekł junak. — Godzi się potańcować! Spójrz waćpanna po tej izbie: jest nas tu kilkadziesiąt kawalerstwa i bodaj żaden swoją śmiercią nie umrze, jeno od strzał pogańskich albo w łykach. Temu dziś, temu jutro! Każden też tu na tych kresach kogoś ze swoich utracił, a dlatego się weselim, żeby Pan Bóg nie mniemał, że się na służbę skarżym! Ot, co! Godzi się potańcować! Uśmiechnij się waćpanna, pokaż oczka, bo pomyślę, że mnie nienawidzisz!

Zosia nie podniosła wprawdzie oczek, ale za to poczęły się podnosić kąciki jej ust i dwa dołeczki ukazały się na jej rumianych policzkach.

— Lubiszże mnie waćpanna choć trocha? — spytał znów kawaler.

A Zosia na to jeszcze cieńszym głosikiem:

— I... owszem.

Usłyszawszy to pan Nowowiejski podskoczył na ławie, a porwawszy ręce Zosi, począł okrywać je pocałunkami i mówić:

— Przepadło! Nie ma co! Rozkochałem się w waćpannie na śmierć! Nie chcę nikogo, jeno waćpanny! Moje śliczności najmilejsze! Rety! Jak ja waćpannę kocham! Jutro matce padnę do nóg! Co to jutro! Dziś padnę, byłem miał pewność, żeś mi przyjacielem!

Huk straszliwy wystrzałów za oknem zgłuszył odpowiedź Zosi. To uradowani żołnierze palili tak Baśce na wiwat; zadrżały szyby, zatrzęsły się ściany. Zląkł się po raz trzeci poważny Nawiragh, zlękli się dwaj uczeni Anardraci, lecz stojący obok Zagłoba począł ich po łacinie uspokajać.

— Apud Polonos – rzekł im — nunquam sine clamore et strepitu gaudia fiunt.

Jakoż zdawało się, że wszyscy czekali tylko na ów huk rusznic, aby rozweselić się do najwyższego stopnia. Zwykła szlachecka dworność poczęła teraz ustępować stepowej dzikości. Kapela zagrzmiała; tańce zerwały się znów jak burza, oczy stały się rozpalone i ogniste, opar unosił się z czupryn. Najstarsi nawet puścili się w taniec, gromkie okrzyki rozlegały się co chwila i pito, hulano, spełniano zdrowie z trzewika Basi, palono z pistoletów do korków Ewki i huczał tak, i brzmiał, i śpiewał Chreptiów do samego rana, aż zwierz w przyległych puszczach ukrył się ze strachu w najgłębsze gąszcze.

A że było to niemal w wigilię straszliwej wojny z potęgą turecką, że nad tymi wszystkimi ludźmi wisiała groza i zagłada, więc dziwił się niezmiernie tym polskim żołnierzom poważny Nawiragh, a nie mniej dziwili się dwaj uczeni Anardraci.

Rozdział XXXIV

Spali wszyscy nazajutrz do późna prócz żołnierzy strażowych i małego rycerza, który nigdy dla żadnej uciechy służby nie zaniedbał.

Młody pan Nowowiejski zerwał się także dość wcześnie, bo mu Zosia Boska od wywczasu milszą była. Przybrawszy się więc od rana pięknie, poszedł do owej izby, w której wczoraj tańczono, nasłuchiwać, czy w przyległych niewieścich komorach nie ma jeszcze ruchu i krzątaniny.

W izbie zajętej przez panią Boską słychać już było ruch, ale niecierpliwemu młodzianowi tak pilno było Zosię zobaczyć, że chwyciwszy za kindżał, począł nim mech i glinę między belkami wyłupywać, aby bodaj przez szparutkę jednym okiem na Zosię spojrzeć.

Zastał go przy tej robocie pan Zagłoba, który właśnie z różańcem nadszedł, i poznawszy zaraz, co się święci, zbliżył się na palcach i począł okładać sandałowymi paciorkami plecy rycerza.

Ów uciekał, wykręcał się, niby się śmiejąc, ale zmieszany bardzo, stary zaś gonił i bił powtarzając:

— A Turku jakiś, a Tatarzynie, a naści! A naści! Exorciso te! A gdzie mores? To niewiasty będziesz podglądał? A naści, a naści!

— Dobrodzieju! — wołał pan Nowowiejski — Nie godzi się ze świętych paciorków kańczuga czynić! Zaniechajcie mnie, bom grzesznej intencji nie miał!

— Nie godzi się, mówisz, świętymi paciorkami bić? Nieprawda! Palma w kwietnia niedzielę też święta, a przecie nią biją! Ha! To był dawniej pogański różaniec i do Supankazego należał, alem mu go pod Zbarażem wydarł, a potem nuncjusz apostolski go poświęcił. Patrz, sandał prawdziwy!

— Jeśli prawdziwy sandał, to pachnie.

— Mnie pachnie różaniec, a tobie dziewczyna. Muszę ci jeszcze dobrze plecy przetrzepać, bo właśnie do wypędzenia diabła z ciała nie masz nad święte paciorki!

— Nie miałem grzesznej intencji, żebym tak zdrów był!...

— Jeno przez pobożność dziurkę dłubałeś, co?

— Nie przez pobożność, ale przez miłość tak ekstraordynaryjną, że nie wiem, jeżeli mnie nie rozsadzi jako granat! Co tu klimkiem rzucać, kiedy prawda! Bąki tak konia latem nie ćwiczą, jako mnie afekty ćwiczą!

— Patrz, żeby to nie były grzeszne żądze, bo kiedym tu wszedł, toś ustać nie mógł, jeno tak piętą o piętę tłukłeś, jakobyś na głowniach stał.

— Nie widziałem nic, jak Boga najszczerzej kocham, bom przecie dopiero szparutkę dłubał!

— Ha! Młodość!... Krew nie woda!... Ja się też czasem dotąd hamować muszę, bo jeszcze we mnie leo mieszka, qui querit quem devoret! Jeśli masz czyste intencje, to o ożenku myślisz?

— Czy o ożenku myślę? Mocny Boże! A o czymże bym myślał? Nie tylko myślę, ale tak mi jest, jakby mnie kto szydłem ekscytował! To wasza mość chyba nie wiesz, że ja już wczoraj pani Boskiej deklarowałem i od ojca konsens mam?

— Z siarki i prochu chłop! Daj cię katu! Kiedy tak, to co innego, ale powiadaj, jak to było?

— Pani Boska poszła wczoraj do komory chustę dla Zosieńki przynieść, ja za nią! Obróci się: „Kto tam?” — A ja buch do nóg! „Bijcie, matko, ale Zośkę dajcie, moją szczęśliwość, moje kochanie!” Pani Boska zaś ochłonąwszy tak rzecze: „Wszyscy waści chwalą i za godnego kawalera go mają: mój mąż w niewoli, a Zośka bez opieki na tym świecie; wszelako ja dziś responsu nie dam ani też jutro, jeno później — waszmość zaś też pozwoleństwa rodzicielskiego potrzebujesz”. To powiedziawszy poszła myśląc, że może po pijanemu to czynię. Jakoż miałem w głowie…

— Nic to! Wszyscy mieli w głowie! Uważałeś, jako owemu Nawiraghowi i Anardratom spiczaste czapki w końcu na bakier zjechały?

— Nie uważałem, bom sobie już w duszy układał, jak by najłatwiej od ojca konsens uzyskać.

— A ciężko przyszło?

— Nad ranem poszliśmy oba do kwatery, a że to żelazo póty dobrze kuć, póki gorące, pomyślałem sobie wraz, że trzeba choć z daleka wymacać, jak też ojciec imprezę przyjmie. Więc mówię mu: „Słuchaj, ojciec, chcę Zośki na gwałt i konsensu mi trzeba, a nie da ojciec, to bogdaj do Wenecjanów pójdę służyć i tyle mnie będziecie widzieli”. Kiedy to nie wpadnie na mnie z wielką furią: „O taki synu! — powiada — umiesz ty się bez pozwoleństwa obchodzić! Idź do Wenecjanów albo bierz dziewkę, to jeno ci zapowiadam, że grosza nie dam nie tylko z mego, ale i z macierzystego, bo to wszystko moje!”

Pan Zagłoba wysunął naprzód dolną wargę:

— O, źle!

— Czekaj waść. Jakem to usłyszał, tak zaraz mówię: „A czy to ja proszę albo potrzebuję? Błogosławieństwa mi trzeba, niczego więcej, bo tego dobra pogańskiego, co na moją szablę wypadło, na dobrą dzierżawę, ba, na chudopacholską wieś wstrzyma! Co jest macierzystego, to niech będzie dla Ewki na wiano, jeszcze przygarstkę jedną i drugą turkusów dołożę i hatłasów, i lamy sztuczynę, a przyjdzie zły rok, to i ojca gotówką poratuję”.

Dopieroż ojciec rozciekawił się okrutnie:

— Takiżeś bogaty? — pyta. — Dla Boga! Skąd? Z łupów? Boś wyjechał jak święty turecki!

— Bój się ojciec Boga! — odpowiem — toż jedenaście lat tą pięścią macham i jako powiadają, niezgorzej — i nie miało się zebrać? Byłem przy szturmie zrebelizowanych grodów, w których hultajstwo i tatarstwo kupy łupów co najprzedniejszych

nagromadziło; biło się murzów i watahy zbójeckie, a zdobycz szła i szła. Brałem jeno to, co mi przyznano — bez niczyjej krzywdy — ale rosło, i gdyby człek nie hulał, byłoby na dwie takie substancje, jako jest wasza rodzicielska.

— Cóż stary na to? — pytał rozweselony Zagłoba.

— Ojciec zdumiał, bo się tego nie spodziewał, i zaraz na moje marnotrawstwo narzekać począł: „Byłaby (prawi) krescytywa, ale taki pędziwiatr, taki odmigęba, co tylko puszyć lubi a za magnata się wydawać, wszystko zmarnuje, niczego nie utrzyma." Potem ciekawość go przemogła i począł wypytywać szczegółowie, co mam, a ja widząc, że tą smołą smarując prędko zajadę, nie tylkom nic nie utaił, alem jeszcze dołgał trochę, choć zwykle nierad koloryzuję, bo tak sobie myślę, że prawda to owies, a łgarstwo sieczka. Ojciec za głowę się brał i nuż w zamysły: „To a to by się dokupiło (prawi), ten a ten procesik poparło; mieszkalibyśmy o miedzę, a pod niebytność twoją ja bym wszystkiego doglądał". I zapłakało poczciwe ojczysko: „Adam! — powiada — Ta dziewka okrutnie mi się dla ciebie spodobała, ile że ona pod pana hetmanową opieką, z czego także może być korzyść; Adam! — powiada — Jeno ty mi tę moją drugą córkę szanuj i nie zmarnuj mi jej, bobym ci w godzinę śmierci nie przebaczył". A ja, mości dobrodzieju, na samą supozycję Zosinej krzywdy, jak ryknę! Padliśmy sobie z ojczyskiem w ramiona i płakaliśmy acurate do pierwszych kurów!

— Szelma stary! — mruknął Zagłoba.

Po czym głośno dodał:

— Ha! Wprędce może być weselisko i nowa w Chreptiowie uciecha, zwłaszcza że to mięsopust!

— Jutro by było, żeby ode mnie zależało — zawołał porywczo Nowowiejski — ale ot co, dobrodzieju! Mnie się permisja niedługo kończy, a służba służbą i wracać do Raszkowa muszę. No! Pan Ruszczyc da mi drugą permisję, wiem! Alem niepewien, czy ze strony niewiast zwłoki nie będzie. Bo co do matki sunę, ta mówi: „Mąż w niewoli" — co do córki, ta prawi: „Tatuś w niewoli". A cóż to? Ja tego tatusia w łykach trzymam czy co? Okrutnie się takich impedymentów boję, bo żeby nie to, to bym księdza Kamińskiego za sutannę złapał i póty nie puszczał, póki by nas z Zośką nie związał. Ale jak sobie co baby wbiją w głowę, obcęgami nie wyciągniesz. Ostatni grosz bym oddał, poszedłbym sam po tatusia, ale nie ma jak! Nikt przecie nie wie, gdzie on jest, może zmarł, i masz robotę! Jak mi każą na niego czekać, to do ostatniego sądu będę czekał!

— Piotrowicze z Nawiraghem i Anardratami jutro w drogę ruszają; prędka będzie wiadomość.

— Jezu, ratuj! Ja mam dopiero na wiadomości czekać! Przed wiosną nie może nic być, a tymczasem uschnę, jak mi Bóg miły! Dobrodzieju! Wszyscy w wasz rozum i eksperiencję wierzą, wybijcie wy babom z głowy to czekanie! Dobrodzieju, na wiosnę wojna! Bóg wie, co się stanie; przecie ja się z Zośką chcę żenić, nie z tatusiem, za cóż mam do niego wzdychać?

— Namów niewiasty, by do Raszkowa pojechały i tam osiadły. Tam i o wiadomość łatwiej, a jeśli Piotrowicz znajdzie Boskiego, to mu będzie do was blisko. Po wtóre: ja uczynię, co zdołam, ale ty proś i pani Baśki, żeby się za tobą wstawiła.

— Nie zaniecham, nie zaniecham, bo mnie diabl...

Wtem drzwi skrzypnęły i weszła pani Boska. Lecz zanim pan Zagłoba zdołał się obejrzeć, młody Nowowiejski już grzmotnął się do jej nóg jak długi i zająwszy ogromną przestrzeń podłogi swym olbrzymim ciałem, począł wołać:

— Jest konsens rodzicielski! Dawajcie, matko, Zośkę! Dawajcie, matko, Zośkę! Dawajcie, matko, Zośkę!

— Dawajcie, matko, Zośkę! — zawtórował basem Zagłoba.

Hałasy owe wywabiły ludzi z przyległych komór; weszła Baśka, wyszedł z kancelarii pan Michał, a wkrótce po nich ukazała się i Zosia. Dziewczynie nie wypadało się niby domyślać, o co chodzi, ale oblała się natychmiast pąsem i złożywszy co prędzej ręce w małdrzyk, a buzię w długi ciup, stanęła ze spuszczonymi oczyma pod ścianą. Zaś Basia poparła z miejsca prośbę junaka, pan Michał skoczył po starszego pana Nowowiejskiego. Ten przybywszy zgorszył się bardzo, że syn nie powierzył mu funkcji i nie zostawił sprawy jego wymowie, jednakże przyłączył się do prośby.

Pani Boska, której istotnie brakło jakiejkolwiek bliższej na świecie opieki, rozpłakała się wreszcie i zgodziła zarówno na prośbę pana Adama, jak i na to, że do Raszkowa z Piotrowiczami wyjedzie i tam na męża czekać będzie. Dopieroż, zalana łzami, zwróciła się do córki.

— Zośka — rzekła — a tobie po sercu li panów Nowowiejskich zamysły?

Wszystkie oczy zwróciły się na Zosię, a ona, stojąc przy ścianie, oczy trzymała, wedle zwyczaju, wbite w podłogę i dopiero po chwili milczenia cała spłoniona do szczętu, wyrzekła ledwie dosłyszalnym głosikiem:

— Chcę do Raszkowa!...

— Moje śliczności! — huknął pan Adam i skoczywszy do niej porwał dziewczynę w ramiona.

Potem zaś krzyczeć począł, aż ściany drgały:

— Moja już Zośka, moja! Moja!...

Rozdział XXXV

Młody pan Nowowiejski wyjechał zaraz po oświadczynach do Raszkowa, aby tam kwaterę jakowąś dla pani i panny Boskiej wynaleźć i opatrzyć; w dwa tygodnie zaś po jego wyjeździe ruszyła cała karawana dotychczasowych gości chreptiowskich. Składali ją Nawiragh, dwaj Anardraci, Kieremowiczowa, Neresewiczowa, Seferowicz, panie Boskie, dwóch panów Piotrowiczów i stary pan Nowowiejski, nie licząc kilku Ormian kamienieckich i licznych sług oraz zbrojnych pachołków do pilnowania wozów i pociągowego, a także jucznego bydła. Piotrowicze i duchowni delegaci patriarchy uzmiadzińskiego mieli tylko wypocząć w Raszkowie, zasięgnąć tam wieści o drodze i dalej do Krymu ruszać. Reszta kompanii postanowiła osiąść na czas w Raszkowie i czekać przynajmniej do pierwszych roztopów na powrót jeńców, mianowicie Boskiego, młodszego Seferowicza i dwóch kupców, których stroskane małżonki w tęsknocie od dawna oczekiwały.

Droga to była trudna, bo szła przez głuche puszcze i przepaściste jary. Szczęściem, obfite a suche śniegi usłały sannę wyborną, obecność zaś komend wojskowych w Mohilowie, Jampolu i Raszkowie zapewniała bezpieczeństwo. Azba-bej był zniesion, zbójcy wywieszani lub rozproszeni, a Tatarzy zimową porą dla braku traw nie zapuszczali się na zwykłe szlaki.

Wreszcie pan Nowowiejski obiecał, jeśli tylko pozwolenie od pana Ruszczyca otrzyma, wyskoczyć w kilkadziesiąt koni na spotkanie. Jechano zatem raźno i ochotnie. Zosia gotowa była za panem Adamem na koniec świata jechać. Pani Boska i dwie niewiasty ormiańskie spodziewały się wkrótce mężów odzyskać. W strasznych puszczach na krańcu chrześcijaństwa leżał wprawdzie ów Raszków, ale przecie nie jechano tam na całe życie ani nie na długi pobyt. Z wiosną miała być wojna; mówiono o niej na rubieżach powszechnie, więc trzeba było, odzyskawszy kochanych, z pierwszym cieplejszym powiewem wracać, by głowy od zagłady uchronić.

Ewka została w Chreptiowie zatrzymana przez panią Wołodyjowską.

Ojciec nie napierał też bardzo, by ją wziąć ze sobą, zwłaszcza zostawiając ją w domu ludzi tak zacnych.

— Już ja ją przezpiecznie odeślę albo i sama odwiozę — mówiła mu Baśka — prędzej zaś sama odwiozę, bo raz w życiu chciałabym widzieć całe owo straszne pogranicze, o

którym się tyle od małości nasłuchałam. Na wiosnę, gdy się szlaki zaczernią od czambułów, mąż mi nie pozwoli, ale teraz, jeśli Ewka tu zostanie, będę miała dobry pozór. Za jakie dwie niedziele zacznę się napierać, a za trzy pewnikiem pozwoleństwo otrzymam.

— Mąż też, spero, bez zacnej eskorty waćpani i w zimie nie puści.

— Jeśli będzie mógł, to sam ze mną pojedzie, a jeśli nie, to nas odprowadzi Azja w jakie dwieście albo więcej koni, bo słyszałam i tak, że on ma być do Raszkowa komenderowany.

Na tym skończyła się rozmowa i Ewka została. Basia jednak prócz istotnych powodów, które panu Nowowiejskiemu wyłuszczyła, miała i inne wyrachowanie.

Oto chciała ułatwić Azji zbliżenie się do Ewy, bo młody Tatar poczynał ją niepokoić. Ilekroć był z nią, na jej pytania odpowiadał wprawdzie, że Ewkę kocha, że dawny afekt w nim nie wygasł, ale ilekroć znalazł się z Ewką — milczał. Tymczasem dziewczyna rozkochała się w nim na tym chreptiowskim odludziu bez pamięci. Jego dzika, ale przepyszna uroda, jego dzieciństwo pod twardą ręką pana Nowowiejskiego spędzone, jego książęce pochodzenie, ta długa tajemnica, która nad nim ciążyła, a wreszcie sława wojenna oczarowały ją zupełnie. I czekała tylko chwili, by mu otworzyć serce gorące jak płomień, by mu powiedzieć: „Azja! jam cię od dziecka kochała!” — by paść w jego ramiona i przysiąc mu miłość do zgonu. Tymczasem on zaciskał zęby i milczał.

Ewka myślała z początku, że obecność jej ojca i brata wstrzymuje Azję od wyznania. Później jednak ogarnął i ją niepokój, bo jeśli ze strony ojca i brata trafiłyby się niezawodnie przeszkody, zwłaszcza dopóki Azja indygenatu nie posiadał, to przecie mógł chociaż przed nią samą serce otworzyć i powinien był otworzyć tym spieszniej, tym szczerzej, im więcej przeszkód jeżyło się na ich drodze.

A on milczał.

Wątpliwości wkradły się wreszcie w duszę dziewczyny i poczęła skarżyć się na swoją niedolę przed Basią, ta zaś uspokajała ją mówiąc:

— Nie neguję ci, że to jest człowiek dziwny i okrutnie skryty, ale jestem pewna, że cię miłuje, bo naprzód, mnie to wielekroć razy powtórzył, a po wtóre, inaczej na cię patrzy niż na innych.

A na to Ewka potrząsając smutnie głową:

— Inaczej, to pewno, ale nie wiem, czy to jest kochanie, czy też nienawiść w tym patrzeniu.

— Miła Ewko, oto nie pleć, za cóż by cię miał nienawidzić?

— A za co ma mnie kochać?

Tu Basia poczęła ją głaskać drobną rączką po twarzy.

— A za co mnie Michał kocha? A za co twój brat, ledwie obaczył Zośkę, już ją pokochał?

— Adam zawsze był prędki.

— Azja zasię jest pyszny i odmowy się boi, zwłaszcza ze strony twojego ojca, bo brat, sam pokochawszy, snadniej by mękę afektów wyrozumiał. Oto co jest! Nie bądź głupia, Ewka, i nie bój się. Zburczę ja dobrze Azję i obaczysz, jaki będzie rezolut.

Jakoż tego samego dnia Baśka widziała się z Azją, po którym widzeniu wbiegła wielkim pędem do Ewki.

— Już! — zawołała w progu.

— Co? — pytała płonąc Ewka.

— Powiedziałam mu tak: „Co to waćpan sobie myślisz? Niewdzięcznością mnie nakarmić czy co? Umyślnie zatrzymałam Ewkę, abyś mógł korzystać z okazji, ale jeśli nie skorzystasz, to wiedz, że za dwie, najdalej trzy niedziele odeślę ją do Raszkowa i może sama z nią pojadę, a waćpan na koszu zostaniesz”. Jemu twarz się zmieniła, gdy usłyszał o tym wyjeździe do Raszkowa, i aż mi czołem zaczął bić do nóg. Pytam go tedy, co myśli, a on na to: „W drodze (powiada) wyznam, co mam w piersi. W drodze (powiada) będzie najlepsza okazja, w drodze się stanie, co się ma stać, co przeznaczono. Wszystko (powiada) wyznam, wszystko odkryję, bo mi nie żyć dłużej z tą męką!” I aż mu się wargi poczęły trząść, ile że poprzednio był strapiony, bo jakoweś listy niepomyślne dziś rano z Kamieńca odebrał. Mówił mi, że do Raszkowa i tak by musiał iść, że jest na to dawny u mego męża hetmański rozkaz, jeno pory w rozkazie nie ma wskazanej, bo to zależy od układów, które on tam z rotmistrzami lipkowskimi prowadzi. „A właśnie (powiada) pora się zbliża i ja muszę aż za Raszków ku nim podejść, więc za jedną drogą i waszą miłość, i pannę Ewę odprowadzę”. Powiedziałam mu na to, że nie wiadomo, czyli i ja pojadę, bo to będzie zależało od Michałowego pozwoleństwa. Usłyszawszy to zląkł się bardzo. Ha! Oj, głupia ty, Ewka! Mówisz, że on cię nie kocha, a on mi do nóg padł i jak mnie zaczął prosić, żebym także jechała, to powiadam ci, skomlał po prostu, aż mi się płakać nad nim chciało. A wiesz, dlaczego to uczynił? Zaraz mi powiedział: „Ja (mówi) wyznam, co w sercu, ale bez instancji waszej miłości nic u panów Nowowiejskich nie wskóram, jeno gniew i nienawiść i w nich, i w sobie rozbudzę. W ręku waszej miłości mój los, moja męka, moje zbawienie, bo jeśli wasza miłość nie pojedzie, to wolej by mnie ziemia pożarła albo żywy ogień spalił!” Tak

to on ciebie miłuje. Strach po prostu myśleć! A żebyś go widziała, jak wtedy wyglądał, zlękłabyś się!

— Nie, ja się go nie boję! — odrzekła Ewka.

I poczęła całować po ręku Basię.

— Jedź z nami, jedź z nami! — powtarzała w uniesieniu. — Jedź z nami! Ty jedna możesz nas poratować, ty jedna nie będziesz się bała powiedzieć ojcu, ty jedna coś wskórać możesz! Jedź z nami! Do nóg panu Wołodyjowskiemu upadnę, żeby ci dał pozwoleństwo. Bez ciebie ojciec z Azją z nożami do siebie skoczą! Jedź z nami, jedź z nami!

I to mówiąc obsunęła się do kolan Basinych i poczęła je z płaczem obejmować.

— Da Bóg, pojadę! — odrzekła Basia. — Michałowi wszystko przedstawię i molestować go nie przestanę. Bezpiecznie teraz choć samej jechać, a cóż dopiero z taką strażą liczną. Może i Michał pojedzie, a nie, to on ma serce, zgodzi się. Zrazu zakrzyknie, ale niech się jeno zasmucę, zaraz zacznie koło mnie chodzić, a w oczy mi zaglądać i zgodzi się. Wolałabym, żeby i sam mógł jechać, bo mi okrutnie będzie bez niego tęskno, ale cóż robić i tak pojadę, by wam jakowąś ulgę przynieść... Toć tu już nie o zachcenie moje chodzi, ale o dolę was obojga. Michał ciebie lubi i Azję lubi — zgodzi się.

Azja zaś po owym widzeniu się z Basią poleciał do swojej izby tak pełen radości i otuchy, jakoby po ciężkiej chorobie nagle do zdrowia przyszedł i odżył. Przed chwilą bowiem wściekła rozpacz targała jego duszą. Oto właśnie tego ranka odebrał suchy i krótki list od pana Bogusza następującej treści:

„Mój kochany Azja! Zatrzymałem się w Kamieńcu i do Chreptiowa teraz nie przyjeżdżam, raz dlatego, że mnie fatygi zmogły, a po wtóre, że nie mam po co. W Jaworowie byłem. Pan hetman nie tylko że ci pozwolenia na piśmie nie daje i swoją powagą osłaniać twoich szalonych zamysłów nie myśli, ale surowie i pod utratą łaski przykazuje ci, abyś ich natychmiast poniechał. Ja się też zreflektowałem, że to wszystko, coś mi mówił, nic po tym, bo chrześcijańskiemu, politycznemu narodowi wdawać się w takie praktyki z pogaństwem grzech, a byłoby i wstydliwie wobec całego świata szlacheckie przywileje złodziejom, drapieżnikom i przelewcom niewinnej krwie nadawać. W czym się sam zmiarkuj i o hetmaństwie nie myśl, bo ci nie do tego, chociażeś Tuhaj-beja syn. A chceszli rychło łaskę hetmańską restaurować, to się swoją szarżą kontentuj, a szczególniej tamtę robotę z Kryczyńskim, Tworowskim, Adurowiczem i innymi przyspiesz, bo tym się najlepiej zasłużysz.

Konotatkę hetmańską, co masz czynić, posyłam ci z tym pismem, a panu Wołodyjowskiemu rozkazanie od buławy, aby ci wyjeżdżać i przyjeżdżać wraz z twoimi ludźmi nie było nigdy wzbronno. Na spotkanie owych rotmistrzów pewnie wyskoczyć musisz — a spiesz się — i donoś mi do Kamieńca pilnie, co tam na drugiej stronie słychać. Przy czym polecając cię opiece boskiej, pozostaję z nieodmienną życzliwością Marcin Bogusz z Zięblic, podstoli nowogrodzki".

Młody Tatar, gdy odebrał ten list, wpadł w furię straszliwą: naprzód pismo starł w ręku na proch, potem kindżałem stół raz przy razie dziobał, wreszcie groził własnemu życiu i wiernemu Halimowi, który go na klęczkach błagał, aby nie przedsiębrał nic, zanim nie ochłonie z gniewu i desperacji. Bo też ów list był dla niego istotnie ciosem okrutnym. Gmachy, jakie wznosiła jego pycha i ambicja, zostały jakoby prochem wysadzone, zamysły zniszczone. Oto mógł zostać trzecim w Rzeczypospolitej hetmanem i poniekąd dzierżyć jej losy w ręku, a teraz ujrzał, że musi pozostać nieznanym oficerem, dla którego szczytem ambicji będzie indygenat. Oto w ognistej swej wyobraźni widywał co dzień tłumy bijące mu czołem, a teraz jemu wypadnie czołem bić przed innymi.

I na nic mu się to nie zdało, że był Tuhaj-bejowiczem, że krew władnych wojowników płynęła w jego żyłach, że wielkie myśli zrodził w duszy — na nic! — wszystko na nic! Będzie żył zapoznany i umrze w jakiejś odległej fortalicji zapomniany. Jedno słowo pokruszyło mu skrzydła, jedno „nie!" sprawiło, że odtąd nie będzie mu wolno szybować jako orłom pod niebem, jeno musi pełzać jako robak po ziemi.

Lecz to wszystko jeszcze jest niczym w porównaniu do szczęścia, jakie utracił. Ta, za której posiadanie oddałby krew i wieczność, ta, dla której płonął jak ogień, którą umiłował oczyma, sercem, duszą, krwią — nie będzie już nigdy jego. Ten list odbierał mu ją tak samo jak i hetmańską buławę. Bo mógł Chmielnicki porwać Czaplińską, mógł równie potężny Azja, Azja-hetman, porwać cudzą żonę i obronić, choćby nawet przeciw całej Rzeczypospolitej, ale jakim sposobem wydrze ją Azja, porucznik lipkowski pod komendą jej męża służący?...

Gdy o tym myślał, świat czerniał mu w oczach, stawał się pusty, posępny. I nie wiedział Tuhaj-bejowicz, zali nie lepiej będzie mu umrzeć niż żyć bez racji do życia, bez szczęścia, bez nadziei, bez ukochanej niewiasty? Przygniotło go to tym straszniej, że się takiego ciosu nie spodziewał, owszem, biorąc poprzednio pod uwagę stan Rzeczypospolitej, groźbę przyszłej wojny, słabość wojsk hetmańskich i korzyści, jakie by z jego zamysłów mogła odnieść Rzeczpospolita, z każdym dniem utwierdzał się w

przekonaniu, że hetman na te zamysły się zgodzi. Tymczasem rozwiały się nadzieje jak mgła pod wichrem. Co mu zostawało? Wyrzec się sławy, wielkości, szczęścia. Ale on nie był do tego zdolny. W pierwszej chwili porwał go szał gniewu i rozpaczy. Ogień począł mu chodzić po kościach i palić go boleśnie, więc wył i zgrzytał, a równie ogniste i mściwe myśli przelatywały mu przez głowę. Chciał zemsty nad Rzecząpospolitą, hetmanem, Wołodyjowskim, nad Basią nawet. Chciał podnieść swych Lipków, wyciąć w pień załogę, wszystkich oficerów, cały Chreptiów, zabić Wołodyjowskiego, a Baśkę porwać i ujść z nią za multański brzeg, a potem hen, na Dobrudzę i dalej, choćby do samego Carogrodu, choćby w azjatyckie pustynie.

Lecz wierny Halim czuwał nad nim, a i on sam ochłonąwszy z pierwszej furii i rozpaczy uznał całe niepodobieństwo tych zamysłów.

Azja i w tym jeszcze podobny był do Chmielnickiego, że jak w Chmielnickim tak i w nim mieszkał zarazem lew i wąż. Uderzy z wiernymi Lipkami na Chreptiów — i cóż stąd? Zali czujny jak żuraw Wołodyjowski da się zejść niespodzianie, a choćby i tak, zali da się pokonać ten przesławny zagończyk, mając zwłaszcza większą liczbę i lepszych żołnierzy pod ręką? Wreszcie, gdyby go Azja nawet pokonał, co potem uczyni? Pójdzie w dół rzeki, hen ku Jahorlikowi, to po drodze musi zetrzeć komendy w Mohilowie, Jampolu i Raszkowie. Przejdzie na multański brzeg, tam perkułaby, przyjaciele Wołodyjowskiego i sam Habareskul, pasza chocimski, jego druh zaklęty. Pójdzie ku Doroszowi, tam pod Bracławiem komendy polskie, a w stepie zimą nawet pełno podjazdów. Wobec tego wszystkiego uczuł Tuhaj-bejowicz swoją bezsilność i złowroga dusza jego, wyrzuciwszy naprzód płomienie, pogrążyła się w głuchej rozpaczy, jak ranny dziki zwierz pogrąża się w ciemnej pieczarze skalnej — i pozostała cichą.

I jako ból nadmierny sam siebie zabija i w odrętwieniu znika, tak i on zdrętwiał wreszcie. Wtedy to właśnie dano mu znać, że pani komendantowa życzy sobie z nim mówić.

Halim nie poznał Azji, gdy ów wrócił z tej rozmowy. Odrętwiałość znikła z twarzy Tatara, oczy grały mu jak u dzikiego zdebia, twarz była blasków pełna, a białe kły połyskiwały mu spod wąsa — i w dzikiej swej urodzie zupełnie był podobny do strasznego Tuhaj-beja.

— Panie mój — spytał Halim — jakim sposobem Bóg pocieszył duszę twoją?

A Azja na to:

— Halim! Po ciemnej nocy Bóg dzień na ziemi czyni i słońcu z morza wstawać każe. Halim! — tu chwycił starego Tatara za ramiona — za miesiąc ona będzie moja na wieki!

I taki blask szedł od jego czarniawej twarzy, że stał się piękny, a Halim począł mu pokłony wybijać.

— Synu Tuhaj-beja, tyś wielki, potężny i złość niewiernych nie zmoże cię!

— Słuchaj! — rzekł Azja.

— Słucham, synu Tuhaj-beja!

— Pojedziem nad morze sine, gdzie śniegi jeno na górach leżą, a jeśli wrócim kiedy w te strony, to na czele czambułów, jako piasek nadmorski, jako liście w tych puszczach nieprzeliczonych — miecz a ogień niosąc. Ty, Halim, synu Kurdłukowy, dziś jeszcze ruszysz w drogę. Znajdziesz Kryczyńskiego i powiesz mu, aby pod Raszków z tamtej strony ze swoim ściahem podemknął. A Adurowicz, Morawski, Aleksandrowicz, Grocholski, Tworowski i który żyw z Lipków i Czeremisów niech mi także ze ścianami pod wojska podejdą. A czambułom, co przy Doroszu na zimownikach są, niech dadzą znać, aby od strony Humania wielki niepokój nagle uczyniły, by wyszły lackie komendy z Mohilowa, Jampola i Raszkowa i poszły w step daleki. Niech na tej drodze, którą ja ruszę, wojsk nie będzie, to wówczas, gdy z Raszkowa wyjadę, jeno popioły i zgliszcza po mnie zostaną!

— Boże ci dopomóż, panie! — odrzekł Halim.

I począł bić pokłony, a Tuhaj-bejowicz pochylił się nad nim i powtórzył jeszcze kilkakroć:

— Gońców rozsyłaj, gońców rozsyłaj, bo miesiąc czasu tylko zostaje.

Po czym odprawił Halima i pozostawszy sam, modlić się począł, bo miał piersi przepełnione szczęściem i wdzięcznością dla Boga.

A modląc się spoglądał mimo woli przez okno na swych Lipków, którzy właśnie wyprowadzali konie, by je napoić przy studniach. Majdan zaczernił się od tego tłumu. Lipkowie, śpiewając z cicha monotonne swe pieśni, poczęli ciągnąć skrzypiące żurawie i wychlustywać wodę w koryta. Para wychodziła dwoma słupami z nozdrzy każdego konia i przesłaniała nieco obraz.

Nagle z głównego budynku wyszedł pan Wołodyjowski przybrany w kożuch i jałowicze buty, a zbliżywszy się do Lipków począł coś mówić. Oni zaś słuchali go prostując się i zdejmując, przeciw wschodniemu obyczajowi, z głów kapuzy. Na jego widok Azja przestał się modlić i pomruknął:

— Sokół ty jesteś, ale nie dolecisz tam, gdzie ja dolecę, i pozostaniesz sam w Chreptiowie, w żałości i zgryzocie!

Pan Wołodyjowski, rozmówiwszy się z żołnierzami, zawrócił do izby i na majdanie na nowo rozległy się śpiewy Lipków, parskanie koni i skrzyp żałosny a przeraźliwy studziennych żurawi.

Rozdział XXXVI

Mały rycerz, zgodnie z przewidywaniem Basi, zakrzyknął zrazu, gdy się o jej zamiarach dowiedział, że nigdy się na nie nie zgodzi, bo sam jechać nie może, a bez siebie jej nie puści, lecz wówczas zaczęły się ze wszystkich stron prośby i nalegania, które wkrótce zachwiać miały jego postanowieniem.

Basia nalegała wprawdzie mniej, niż się spodziewał, bo jej się bardzo chciało z mężem jechać, a bez niego wyprawa straciła dla niej część powabu, lecz Ewka klękała przed nim i całując go po rękach, zaklinała na jego afekt dla Basi, by pozwolił.

— Nikt inny do mego ojca nie odważy się przystąpić — mówiła mu — i takową rzecz oznajmić: ni ja, ni Azja, ni nawet mój brat; jedna pani Basia może to uczynić, bo on jej niczego nie odmówi!

Na to Wołodyjowski:

— Baśce się w swaty nie bawić! A oprócz tego, przecie wracać musicie tędy, niechże to za waszym powrotem uczyni.

Ewka odpowiedziała płaczem. Bóg wie, co się do powrotu stanie, i jest nawet pewna, że zamrze ze strapienia; ale dla takiej sieroty, nad którą nikt nie ma miłosierdzia, tak będzie najlepiej.

Mały rycerz posiadał niezmiernie czułe serce, więc poczynał wąsikami ruszać i po izbie chodzić. Żywnie nie chciało mu się ze swoją Baśką rozłączać choćby na jeden dzień, a cóż dopiero na parę tygodni.

Jednakże widocznie bardzo go owe prośby poruszały, bo w parę dni po tych szturmach ozwał się któregoś wieczora:

— Żebym mógł razem jechać, nie mówię! Ale nie może to być, bo mnie tu służba trzyma!

Basia skoczyła do niego i przyłożywszy różane swe usta do jego policzka, poczęła powtarzać:

— Jedź, Michałku, jedź, jedź!

— Żadną miarą nie może być! — odrzekł stanowczo Wołodyjowski.

I znów upłynęło dni parę. Przez ten czas radził się mały rycerz pana Zagłoby, co mu czynić przystoi? Lecz ów rady odmówił.

— Jeśli nie ma innych przeszkód, jeno twój sentyment — rzekł — to co ja mam gadać? Sam postanów. Jużci pustka tu będzie po hajduczku. Żeby nie mój wiek i trudna droga, to i ja bym pojechał, bo bez niej nijak.

— A widzisz, wasze! Przeszkód istotnie nie ma: pora trochę mroźna, ot i wszystko; zresztą spokojnie i komendy wszędzie po drodze, tylko bez niej nijak.

— Tedy ci właśnie mówię: sam postanów!

Po tej rozmowie na nowo począł się pan Michał wahać i na dwoje rzecz rozważać. Ewki było mu żal. Zastanawiał się także nad tym, czy wypada samą dziewczynę wysyłać z Azją w tak długą drogę, a jeszcze więcej nad tym, czy godzi się życzliwym ludziom nie dopomóc, skoro zdarza się sposobność tak łatwa? O cóż bowiem chodziło? O wyjazd Basi na dwa lub trzy tygodnie. A choćby szło tylko o dogodzenie Basi, by mogła widzieć Mohilów, Jampol i Raszków, to i czemu by jej nie dogodzić? Azja czy tak, czy owak musi iść ze swoją chorągwią do Raszkowa, będzie więc ochrona wszelka, a nawet zbyteczna wobec zupełnego wyniszczenia zbójów i zimowego spokoju od ordy.

Chwiał się więc coraz bardziej mały rycerz, co spostrzegłszy niewiasty ponowiły nalegania: jedna przedstawiając tę wyprawę jako dobry uczynek i swój obowiązek, druga płacząc i lamentując. Pokłonił się wreszcie komendantowi i Tuhaj-bejowicz. Mówił, iż wie, że niegodzien takiej łaski, ale tyle przecie okazał i wierności, i przywiązania do obojga państwa Wołodyjowskich, że śmie o nią prosić. Wielkie on ma długi wdzięczności dla obojga, bo nie pozwolili nim poniewierać i wówczas, gdy jeszcze nie wiadomo było, że jest Tuhaj-bejowym synem. Nie zapomni nigdy, że pani komendantowa opatrywała jego rany i była mu nie tylko panią łaskawą, ale i jakoby matką. Dowody swej wdzięczności złożył on już w bitwie z Azbą-bejem, więc i w przyszłości, nie daj Bóg okazji, w potrzebie z radością nałoży za swą panią głową i ostatnią kroplę krwi wyleje.

Potem jął opowiadać o swej dawnej, nieszczęsnej, dla Ewki miłości. Nie żyć mu bez tej dziewki! Miłował ją przez całe lata rozłąki, chociaż bez jakiejkolwiek nadziei, i miłować jej nigdy nie przestanie. Ale między nim a starym panem Nowowiejskim jest dawna nienawiść i dawny stosunek sługi i pana rozdziela ich jakoby jarem szerokim. „Pani” jedna mogłaby ich zładzić, a jeśli i tego uczynić nie zdoła, zasłoni przynajmniej drogą dziewkę przed ojcowskim tyraństwem, przed zamknięciem i kańczugiem.

Wołodyjowski wolałby był może, żeby Baśka nie wdawała się w tę sprawę, ale że sam lubił ludziom dobrze czynić, więc się i sercu żony nie dziwił. Wszelako nie odpowiedział jeszcze Azji zgodą, oparł się nawet nowym łzom Ewki, tylko w kancelarii się zamykał i rozmyślał.

Aż wreszcie pewnego dnia wyszedł na wieczerzę z pogodną twarzą i po wieczerzy spytał nagle Tuhaj-bejowicza:

— Azja, a kiedy ci termin ruszać?—

— Za tydzień, wasza wielmożność! — odrzekł niespokojnie Tatar. — Halim musiał już tam pokończyć układy z Kryczyńskim.

— Każże i wielkie sanie wymościć, bo dwie białogłowy powieziesz do Raszkowa.

Usłyszawszy to Basia poczęła w ręce klaskać i obces do męża. Za nią skoczyła Ewka; za nią schylił się do jego kolan z szalonym wybuchem radości i Azja, aż mały rycerz musiał im się opędzać.

— Dajcie spokój! — mówił. — Cóż znowu! Jak można ludziom pomóc, to i ciężko nie pomóc, chyba by kto całkiem był zatwardziały; ja zaś przecie nie żaden tirannus. Ty oto, Baśka, wracaj, kochanie, prędko, a ty, Azja, opiekuj się nią szczerze, tym mi najlepiej podziękujecie. No, no! Dajcie spokój!

Tu począł wąsikami mocno ruszać, po czym rzekł już weselej dla dodania sobie fantazji:

— Najgorsze te babskie śluzy. Jak jeno śluzy obaczę, zaraz nic po mnie! A ty, Azja, masz dziękować nie tylko mnie i mojej żonie, ale i tej oto panience, która tu za mną jako cień chodziła, żałość swoją ciągle przed moje oczy wystawując. Musisz jej za takowy afekt zapłacić!

— Zapłacę, zapłacę! — odrzekł dziwnym głosem Tuhaj-bejowicz i porwawszy ręce Ewki, począł je całować tak gwałtownie, iż można by myśleć, że je chciał raczej pokąsać.

— Michale! — zawołał nagle Zagłoba ukazując na Basię. — Co my tu będziem robić bez tego kociaka?

— Ano, ciężko będzie! — odrzekł mały rycerz. — Dalibóg, ciężko!

Po czym dodał ciszej:

— Ale może Pan Bóg dobry uczynek później pobłogosławi... rozumiesz waść?...

Tymczasem „kociak” wsunął między nich swą ciekawą, jasną główkę.

— Co powiadacie?...

— I... nic! — odrzekł Zagłoba. — Mówimy, że na wiosnę bociany pewnie przylecą...

Baśka poczęła się ocierać twarzyczką o twarz męża, jak kot prawdziwy.

— Michałku! Ja tam nie będę długo siedziała — rzekła z cicha.

I po tej rozmowie zaczęły się znów narady kilka dni trwające, ale już nad podróżą.

Pan Michał sam wszystkiego doglądał, sanie kazał ładzić przy sobie i wymościć je skórami uszczwanych jesienią liszek. Pan Zagłoba tuzłuczki własne znosił, by było czym w drodze nogi przykryć. Miały pójść wozy z pościelą i żywnością; miał pójść i dzianecik Basi, aby w miejscach zatoczystych i niebezpiecznych mogła się na niego z sani przesiąść, bo szczególniej bał się pan Michał zjazdu do Mohilowa, do którego się istotnie na złamanie karku zjeżdżało.

Jakkolwiek nie było najmniejszego prawdopodobieństwa jakiegoś napadu, przykazał mały rycerz Azji wszelkie ostrożności zachować, kilkunastu ludzi na parę stai naprzód zawsze wysyłać i na noclegi nie stawać nigdzie po drodze, jeno tam, gdzie są komendy; wyjeżdżać skoro świt, stawać przed nocą, a w drodze nie marudzić. Tak dalece o wszystkim myślał mały rycerz, że własną ręką nabił króciczki do olster przy Basinej kulbace.

Nadeszła na koniec chwila wyjazdu. Jeszcze ciemno było, gdy dwieście koni Lipków stanęło w pogotowiu na majdanie. W głównej izbie komendanckiego domu panował już także ruch. Na kominach buzowały się jasnym płomieniem smolne szczapy. Wszyscy oficerowie: więc mały rycerz i pan Zagłoba, i pan Muszalski, i pan Nienaszyniec, i pan Hromyka, i pan Motowidło, a z nimi towarzysze spod górnych chorągwi zebrali się na pożegnanie. Baśka i Ewka, ciepłe jeszcze i zarumienione od snu, piły winną polewkę na drogę.

Wołodyjowski siedział obok żony obejmując ją wpół; Zagłoba sam nalewał polewkę powtarzając za każdym dolaniem: „Jeszcze, bo mrozik!”, i Basia, i Ewka ubrane były po męsku, bo tak zwykle podróżowały na kresach niewiasty; Basia była przy szabelce; szubkę na sobie miała żbiczą, łasicami bramowaną; gronostajowy z uszami kołpaczek; hajdawerki bardzo obszerne, kształt spódnicy czyniące, i buty do kolan, miękkie, podszyte wyporkami. Na to wszystko miały pójść jeszcze ciepłe delijki i szuby z kapturami do osłonięcia twarzy. Tymczasem jednak twarz ta była jeszcze odsłonięta i dziwili się, jako zwykle, jej urodzie żołnierze; inni zaś spoglądali łakomie na Ewkę, która miała usta wilgotne, jakby do pocałunku złożone; inni wreszcie nie wiedzieli, na którą patrzeć, i tych aż ciągoty brały po końcach izby, tak im obie były ponętne, a szeptali zaś jeden drugiemu w ucho:

— Ciężko człeku żyć na takim odludziu. Szczęsny komendant! szczęsny Azja... Uch!...

Ogień na kominach trzaskał wesoło, a po zapłociach poczęło się pianie kurów. Z wolna wstawał dzień, dość mroźny i pogodny. Pokryte grubym śniegiem dachy szop i kwater żołnierskich stały się jasnoróżowe.

Z majdanu dochodziło parskanie koni i skrzyp chodzących pieszo żołnierzy z chorągwi towarzyskich, a również dragońskich, którzy zebrali się z szop i karczem, by pożegnać Basię i Lipków.

Na koniec Wołodyjowski rzekł:

— Czas!

Usłyszawszy to Baśka porwała się z miejsca i padła w ramiona mężowskie. On przycisnął usta swoje do jej ust, potem tuląc ją ze wszystkich sił do piersi, całował jej oczy i czoło, i znów usta. Długa była ta chwila, bo kochali się oboje niezmiernie.

Po małym rycerzu przyszła kolej na pana Zagłobę, następnie inni oficerowie przystępowali do całowania Basinej ręki, a ona powtarzała co chwila swoim dźwięcznym jak srebro, dziecinnym głosikiem:

— Ostawajcie, waćpanowie, w zdrowiu! Ostawajcie w zdrowiu!...

I obie z Ewką poszły przywdziać delijki z otworami na ręce zamiast rękawów, na to kapturzaste szuby, aż całkiem znikły w tych ubiorach. Otworzono im szeroko drzwi, przez które wpadła zaraz para mroźna — i całe zgromadzenie znalazło się na majdanie.

Na świecie czyniło się coraz widniej od śniegu i zorzy. Szadź obfita osiadła na szerści lipkowskich bachmatów i na kożuchach żołnierzy, tak iż zdało się, że cała chorągiew biało jest przybrana i na białych koniach siedzi.

Baśka z Ewką wsiadły do wymoszczonych skórami sani. Dragoni i pocztowi z towarzyskich chorągwi zakrzyknęli na szczęsną drogę odjeżdżającym.

Na ów odgłos liczne stada wron i kruków, które sroga zima przygnała w pobliże zabudowań ludzkich, zerwały się z dachów i z wielkim krakaniem poczęły krążyć w różanym powietrzu.

Mały rycerz pochylił się nad saniami i pogrążył twarz w kapturek okrywający głowę żony.

Długa była ta chwila — wreszcie oderwał się od Basi i czyniąc znak krzyża ręką, zawołał:

— W imię boże!

Wówczas Azja podniósł się w strzemionach. Dzika twarz jego promieniała od radości i zorzy. Machnął buzdyganem, aż burka podniosła mu się w kształcie skrzydeł drapieżnego ptaka, i krzyknął przeraźliwym głosem:

— Rusza-a-a-aj!

Zaskrzypiały w śniegu kopyta. Par obficiej wyszedł z nozdrzy końskich. Pierwsze szeregi Lipków ruszyły z wolna; za nimi drugie, trzecie, czwarte — za nimi sanie, za nimi następne szeregi — i cały oddział począł oddalać się po pochyłym majdanie ku wrotom.

Mały rycerz żegnał ich krzyżem świętym, wreszcie, gdy sanie minęły już bramę, złożył ręce przy ustach i zawołał:

— Bywaj zdrowa, Baśka!

Ale odpowiedziały mu tylko głosy piszczałek i wielkie krakanie czarnego ptactwa.

Rozdział XXXVII

Oddział Czeremisów kilkanaście koni liczący szedł w mili naprzód, by drogę opatrywać i komendantów o przejeździe pani Wołodyjowskiej uprzedzać, aby kwatery wszędy mieli gotowe. Za owym oddziałem postępowała główna siła Lipków, za nią sanie z Basią i Ewką, drugie z usługą niewieścią i znów pomniejszy oddział zamykający pochód. Droga była dość ciężka z powodu zasp śnieżnych. Bory sosnowe, nie tracąc na zimę swego iglastego poszycia, mniej przepuszczają śniegów na podłoże, lecz puszcza ciągnąca się wzdłuż Dniestrowego brzegu, złożona po największej części z dębów i innych drzew liściastych, obnażona teraz ze swego przyrodzonego sklepienia, zasypana była do pół pni. Śnieg zapełnił również co węższe jary; miejscami wznosił się na kształt fal morskich, których spiętrzone czuby zwieszały się tak, jakby miały runąć za chwilę i spłynąć się z ogólną białą powierzchnią. W czasie przejazdu trudnych jarów i na pochyłościach Lipkowie podtrzymywali sanie powrozami; tylko na wysokich równinach, na których wiatry wygładziły skorupę śnieżną, jechali szybko śladem tej karawany, która wraz z Nawiraghem i dwoma uczonymi Anardratami wyruszyła przedtem z Chreptiowa.

Droga była ciężka, nie tak jednakże, jak czasem bywała w tych puszczańskich, pełnych rozpadlin, rzek, strumieni i jarów krainach, więc się cieszyli, że nim zapadnie noc głęboka, potrafią zdążyć do przepaścistego jaru, na dnie którego leżał Mohilów. Przy tym zanosiło się na długą pogodę. Po rumianej zorzy wstało słońce i wnet w jego promieniach rozbłysły jary, równie i puszcza. Gałęzie drzew zdawały się skrami oblepione; skry lśniły na śniegu, aż oczy bolały od blasków. Z wysokich miejsc przez

polany, jakby przez okna puszczy, wzrok leciał aż hen! ku Multanom, i gubił się na białym i sinawym a zalanym słońcem widnokręgu.

Powietrze było suche, raźne. W taką pogodę ludzie, zarówno jak i zwierzęta, czują krzepkość i zdrowie; toteż konie parskały okrutnie po szeregach, wyrzucając z nozdrzy kłęby pary, a Lipkowie, choć mróz szczypał ich po nogach tak, że podkurczali je ustawicznie pod chałaty, śpiewali wesoło pieśni.

Słońce weszło wreszcie na sam szczyt niebieskiego namiotu i jęło nieco przygrzewać. Basi i Ewce aż zbyt ciepło było pod skórami w saniach, więc rozluźniwszy wiązania na głowach i odsunąwszy kaptury, ukazały na świat swoje różowe twarze i poczęły się rozglądać: Baśka po okolicy, a Ewka za Azją, którego przy saniach nie było. Jechał on w przodzie z tym oddziałkiem Czeremisów, któren rozpatrywał drogę, a w potrzebie rozgarniał śniegi. Ewka zaczęła się nawet chmurzyć z tego powodu, lecz pani Wołodyjowska, znająca na wylot służbę wojskową, rzekła jej na pociechę:

— Tacy oni wszyscy. Kiedy służba, to służba! Michalisko moje też ani na mnie spojrzy, kiedy funkcja wojskowa przyjdzie. I źle, żeby było inaczej, bo jeśli żołnierza kochać, to dobrego.

— Ale na popasie on będzie z nami? — pytała Ewka.

— Patrz, żebyś go nie miała nadto. Zakonotowałaś, jaki był radosny, gdy wyjeżdżał. Aż od niego łuna biła.

— Widziałam! Bardzo był radosny!

— A co dopiero będzie, kiedy pozwoleństwo od pana Nowowiejskiego otrzyma!

— Oj! Co mnie jeszcze czeka! Dziej się wola boża! Chociaż serce zamiera we mnie, gdy o ojcu pomyślę. Nuż zakrzyknie, nuż się zatnie i pozwoleństwa odmówi? Będę się miała potem z pyszna, gdy do domu wrócim.

— Wiesz, Ewka, co ja myślę?

— A co?

— Bo to z Azją nie ma żartów! Brat twój mógłby się siłą sprzeciwić, ale ojciec twój komendy nie ma. Otóż ja myślę, że jeśli od razu się zatnie, to cię Azja i tak weźmie.

— Jakże to?

— Ot, po prostu, porwie cię. Mówią, że z nim nie ma żartów... Tuhaj-bejowa krew... Weźmiecie ślub u pierwszego księdza po drodze... Gdzie indziej to trzeba zapowiedzi, metryk, pozwoleństwa, ale tu dzikie strony, tu wszystko trocha po tatarsku...

Rozjaśniła się twarz Ewki.

— Tego się boję! Azja gotów na wszystko, tego się boję! — rzekła.

A Baśka, zwróciwszy głowę, popatrzyła na nią bystrzej i nagle wybuchła swym dźwięcznym, dziecinnym śmiechem.

— Tak ty się tego boisz jako właśnie mysz słoninki! O! Znają cię!

Ewka, zarumieniona od chłodnego powietrza, zarumieniła się jeszcze bardziej i odrzekła:

— Przekleństwa ojcowskiego bym się bała, a wiem, że Azja gotów na nic nie zważać.

— Bądź dobrej myśli — rzekła jej na to Basia. — Prócz mnie masz brata do pomocy. Prawdziwe amory zawsze postawią na swoim. Powiedział mi to pan Zagłoba wtedy jeszcze, kiedy Michałowi ani się śniło o mnie.

I rozgadawszy się poczęły na wyścigi mówić, jedna o Azji, druga o swoim Michale. Tak upłynęło parę godzin, póki karawana nie zatrzymała się na pierwszy krótki popas w Jaryszowie. Z miasteczka, zawsze dość nędznego, została po inkursji chłopskiej jedna tylko karczma, którą odrestaurowano od czasu, jak częste przechody żołnierskie zysk poczęły obiecywać pewny.

Basia i Ewka znalazły w niej przejezdnego kupca ormiańskiego, rodem z Mohilowa, któren wiózł safiany do Kamieńca.

Azja chciał go wyrzucić na dwór wraz z Wołochami i Tatarami, którzy mu towarzyszli, lecz niewiasty pozwoliły mu pozostać i tylko sama straż musiała się usunąć. Kupiec dowiedziawszy się, że podróżna pani jest panią Wołodyjowską, począł bić jej czołem i pod niebiosa męża jej wysławiać, czego słuchała z radością wielką.

Na koniec poszedł do wiuków i wróciwszy ofiarował jej czuhub osobliwszych bakalii i małe puzderko pełne wonnej driakwi tureckiej, wielce przeciw różnym chorobom pomocnej.

— To ja przez wdzięczność składam — mówił. — Już my tu wcale przedtem z Mohilowa nie śmieli głowy wychylić, tak Azba-bej grasował i tylu zbójów we wszystkich jarach i po tamtej stronie w odojach siedziało, a teraz droga bezpieczna i targ bezpieczny. Teraz my znowu jeździm. Niech Bóg pomnoży dni chreptiowskiego komendanta, a każdy dzień uczyni tak długim, aby wystarczył na drogę z Mohilowa do Kamieńca, a każdą godzinę dnia niech także tak przydłuży, by się dniem wydawała. Nasz komendant, pan pisarz polny, woli w Warszawie siedzieć, a pan komendant chreptiowski sam czuwał i zbójów wymiótł tak, iż teraz milsza im śmierć od Dniestru.

— To pana Rzewuskiego nie ma w Mohilowie? — pytała Basia.

— On tylko wojsko przyprowadził i nie wiem, czyli trzy dni sam bawił. Niech wasza wielmożność pozwoli, tu jest suchy winograd w tym czuhubie, a z tego brzegu takowy

owoc, którego i w Turcji nie ma, jeno z Azji z daleka przychodzi, a tam na palmach rośnie... Pana pisarza nie ma, a teraz i jazdy wcale nie ma, bo ku Bracławiu wczoraj nagle poszła... I tu są daktyle, aby obum waszym wielmożnościom były na zdrowie... Został tylko pan Gorzeński z piechotą, a jazda wszystka wyszła...

— Dziwno mi to, że jazda wszystka wyszła — rzekła Basia spoglądając pytającym wzrokiem na Azję.

— Poszła, by się konie nie odstały — odpowiedział Tuhaj-bejowicz. — Teraz spokojnie!

— W mieście mówili, że Dorosz się ruszył niespodzianie — rzekł kupiec.

Azja roześmiał się.

— A czym będzie konie pasł, śniegiem? — rzekł do Basi.

— Pan Gorzeński najlepiej wasze wielmożności objaśni — dodał kupiec.

— Ja też myślę, że to nic — odrzekła po chwili namysłu Basia. — Bo żeby co było, to by mój mąż najpierwszy wiedział.

— Nieodmiennie w Chreptiowie najpierw byłaby wiadomość — rzekł Azja. — Niech się wasza miłość nie boi.

Basia podniosła swą jasną twarz ku Tatarowi i poruszyła nozdrzami.

— Ja się boję! To wyborne! Co waćpanu w głowie? Słyszysz, Ewka, ja mam się bać!

Ewka nie od razu mogła odpowiedzieć, bo będąc z natury dość łakomą i lubiąc nad miarę słodycze usta miała pełne daktylów, co zresztą nie przeszkadzało jej wpatrywać się chciwie w Azję, więc dopiero przełknąwszy je odrzekła:

— Przy takim oficyjerze i ja się nic nie boję!

Po czym spojrzała czule i znacząco w oczy Tuhaj-bejowicza, lecz od czasu, jak mu zaczęła być przeszkodą, miał tylko dla niej tajony wstręt i gniew, więc zachowując nieruchomą postawę odrzekł ze spuszczonymi oczyma:

— W Raszkowie się pokaże, czylim na ufność zasłużył!

I było w jego głosie coś niemal groźnego. Ale obie niewiasty tak już były przyzwyczajone do tego, że młody Lipek we wszystkim, co mówi i czyni, zupełnie odróżnia się od innych, że nie zwróciło to ich uwagi. Zresztą Azja począł zaraz nalegać, by jechano dalej, bo przed Mohilowem były góry wielce strome i do przebycia trudne, które należało przebyć za dnia.

Niebawem ruszono dalej.

Jechali bardzo szybko aż do owych gór. Tam Basia chciała przesiadać się na koń, lecz z namowy Tuhaj-bejowicza została dla towarzystwa Ewki w saniach, które wzięto na arkany i z największymi ostrożnościami spuszczano z pochyłości.

Azja przez cały ten czas szedł pieszo przy saniach, lecz nie rozmawiał prawie wcale ni z Basią, ni z Ewką, cały zajęty ich bezpieczeństwem i w ogóle komendą. Słońce zaszło jednakże, nim zdołali przebyć góry, ale wówczas oddział Czeremisów, idący w przodku, począł rozniecać ognie wzdłuż przetartej drogi. Przy każdym ognisku zostawał jeden Czeremis, który ustawicznie dorzucał w płomień suchych gałęzi. Posuwali się tedy wśród czerwonych ogni i stojących przy nich dzikich postaci. Za tymi postaciami widać było w mroku nocnym i w półświetle płomienia groźne urwiska o niepewnych, strasznych zarysach.

Wszystko to było nowe, ciekawe, wszystko miało pozór jakowejś niebezpiecznej i tajemniczej ekspedycji, dlatego dusza Basina była w siódmym niebie, a serce wzbierało wdzięcznością i dla męża, że na wyprawę do nieznanych krain pozwolił, i dla Azji, że tę wyprawę tak wieść umiał. Teraz dopiero zrozumiała Basia, co to są pochody żołnierskie, o trudnościach których tyle się nasłuchała od wojskowych, co drogi przepaściste a zawrotne. Ogarnęła ją też szalona wesołość. Byłaby z pewnością przesiadła się na dzianeta, gdyby nie to, że siedząc koło Ewki, mogła z nią rozmawiać i straszyć ją. Więc gdy w zawrocistych wąwozach idące w przodzie oddziały nikły z oczu i poczynały się obwoływać dzikimi głosami, których przytłumione echo rozbrzmiewało wśród wiszarów, Baśka zwracała się do Ewki i chwytając jej ręce mówiła:

— Oho! Lewensy z odojów albo orda!

Lecz Ewka, co wspomniała na Azję, syna Tuhaj-bejowego, to uspokajała się natychmiast.

— Jego i lewensy, i ordy szanują i boją się go! — odpowiadała.

A później pochylając się do ucha Baśki:

— Choćby do Białogrodu, choćby do Krymu, byle z nim!...

Księżyc wypłynął już wysoko na niebo, gdy wyjeżdżali z gór. Wówczas ujrzeli hen, w dole, jakoby na dnie niezgłębionej przepaści, kupę światełek.

— Mohilów pod nogami — ozwał się jakiś głos za Basią i Ewką.

Obejrzały się: był to Azja stojący z tyłu sani.

— To tak na dnie jaru ów gród leży? — pytała Basia.

— Tak jest. Góry całkiem go od zimnych podmuchów zasłaniają — mówił wsunąwszy głowę między ich głowy — niech wasza miłość zauważy, że tu i aura inna: zaraz cieplej

i zaciszniej. Wiosna też tu o dziesięć dni wcześniej przychodzi niż z tamtej strony gór i drzewa prędzej liści dostają. To szare, co na pochyłościach widać, to winograd, jeno teraz jeszcze pod śniegiem.

Śnieg leżał wszędy, ale istotnie było tu i cieplej, i zaciszniej.

W miarę jak spuszczali się z wolna ku dołowi, jedne światła pokazywały się za drugimi i było ich coraz więcej.

— Zacne jakieś miasto i dosyć ogromne — rzekła Ewka.

— Bo go Tatarzy czasu inkursji chłopskiej nie spalili, gdyż tu wojska kozackie zimowały, a Lachów tu prawie nigdy nie było.

— Któż tu żywie?

— Żywią Tatarzy, którzy swój minarecik drewniany mają, bo w Rzeczypospolitej wolno każdemu swoją wiarę wyznawać. Żywią Wołosi, Ormianie i Grecy.

— Greków raz w Kamieńcu widziałam — rzekła Basia — bo chociaż daleko oni mieszkają, ale za handlem wszędy trafią.

— Miasto też inaczej niż wszystkie inne stawiane — rzekł Azja. — Siła tu ludu różnego za handlem przychodzi. Ta osada, cośmy ją z dala na uboczu po drodze widzieli, zowie się Serby.

— Już wjeżdżamy — rzekła Basia.

Jakoż wjeżdżali. Dziwny zapach skór i kwasu uderzył zaraz na wstępie ich nozdrza. Był to zapach safianu, którego wyrobem trudnili się po trochu wszyscy mieszkańcy Mohilowa, a w szczególności Ormianie. Jak zapowiadał Azja, było to miasto zupełnie od innych różne. Domy, budowane modą azjatycką, miały okna przysłonięte gęstą drewnianą kratą; w wielu brakło zupełnie okien wychodzących na ulicę i tylko z podwórców wzbijał się blask ognisk. Ulice nie były brukowane, choć przecie kamienia w okolicy nie brakło. Gdzieniegdzie wznosiły się budowle dziwnego kształtu, o ścianach kratowych, przezroczystych. Były to suszarnie, w których świeży winograd zmieniał się na rodzynki. Zapach safianu napełniał całe miasto.

Pan Gorzeński, dowódca piechoty, uprzedzony przez Czeremisów o przybyciu pani komendantowej chreptiowskiej, wyjechał konno na jej spotkanie. Był to człowiek niemłody i zająkliwy a szepleniący, bo twarz miał z janczarki przestrzeloną, dlatego też, gdy począł, zacinając się co chwila, prawić o gwieździe: „która weszła na mohilowskie niebiosy” — Basia omal nie parsknęła śmiechem. Ale on podejmował ją, jak umiał najgościnniej. W fortalicji czekała wieczerza i nocleg arcywygodny, w puchach świeżych i czystych, u najbogatszych Ormian w sekwestr wziętych. Przy tym pan Gorzeński jąkał

się wprawdzie, ale przed nocą opowiadał przy wieczerzy rzeczy tak ciekawe, że warto ich było posłuchać.

Według niego, jakiś niespokojny wiatr powiał naraz nagle a niespodziewanie od stepów. Przyszły posłuchy, że potężny czambuł ordy krymskiej stojący przy Doroszu ruszył nagle ku Hajsyniowi i w górę od tego miasta, z czambułem zaś poszło na kilka tysięcy kozackiej hassy. Prócz tego nadesłano ni stąd, ni zowąd wiele innych niepokojących wiadomości, pan Gorzeński nie przywiązywał jednak do nich wielkiej wiary.

— Bo zima jest — mówił — a od czasu jak Pan Bóg ten oto okrąg ziemski ufundował, Tatarzy ruszali się zawsze jeno na wiosnę, gdyż oni taborów nie mają i komunikiem chodzą, przeto spyży dla koni nigdy nie biorą i brać nie mogą. Wiemy to już wszyscy, że wojnę z potencją turecką mróz jeno na smyczy trzyma i że po pierwszych trawach będziem mieli gości, ale żeby teraz miało co być, nigdy temu nie uwierzę.

Basia czekała cierpliwie i długo, nim pan Gorzeński swoje wypowie, on zaś zacinał się poruszając co chwila ustami, jak gdyby coś jadł.

— Co wasza mość tedy o owym poruszeniu się ordy ku Hajsyniowi rozumiesz? — spytała wreszcie.

— Rozumiem, że tam, gdzie stali, musiały konie wszystką trawę spod śniegu wygrzebać, więc chcą w innym miejscu kosz założyć. Przy tym być może, że orda, stojąc w pobliżu Doroszowych, wadzi się z nimi: zawsze tak bywało. Niby to oni sprzymierzeńcy i wspólnie wojują, a niech tylko siehenie obok zatoczą, to się na pastwiskach i na bazarku zaraz biją.

— Pewnie tak jest — rzekł Azja.

— Bo i co jeszcze — mówił dalej pan Gorzeński — te wieści nie szły directe przez zagończyków, ale to chłopi je przywozili, to Tatarzy tutejsi poczynali gadać ni stąd, ni zowąd. Dopieroż trzy dni temu przywiózł pan Jakubowicz ze stepu języków, którzy je potwierdzili, i dlatego cała jazda zaraz wyszła.

— To wasza mość tylko z piechotą zostałeś? — pytał Azja.

— Pożal się Boże! Czterdziestu ludzi! Ledwie jest komu fortalicji ustrzec, i gdyby się ci tylko Tatarzy ruszyli, którzy tu w Mohilowie mieszkają, nie wiem, jako bym się obronił.

— Ale ci się przecie nie ruszą? — spytała Basia.

— Nie ruszą się, bo im nijak. Wielu z nich stale w Rzeczypospolitej zamieszkuje z żonami i dziećmi, i ci są nasi, a co jest obcych, to dla handlu tu siedzą, nie dla wojny. To dobry lud.

— Ja waszej mości pięćdziesiąt koni moich Lipków zostawię — rzekł Azja.

— Bóg zapłać! Wielce mi tym waszmość wygodzisz, bo będę miał kogo pod naszą jazdę po wiadomości wysyłać, ale możeszże zostawić?

— Mogę. Przyjdą do Raszkowa ściahy tych rotmistrzów, którzy swego czasu do sułtana przeszli, a teraz do posłuszeństwa Rzeczypospolitej chcą wrócić. Przyjdzie Kryczyński na pewno w trzysta koni, a może i Adurowicz, inni zaś później nadejdą. Nad wszystkimi ja mam z polecenia hetmańskiego objąć komendę i do wiosny cała dywizja się zbierze.

Pan Gorzeński skłonił się Azji. Znał on go z dawna, ale mniej cenił, jako człowieka niepewnego pochodzenia. Teraz jednak wiedział już, że to jest Tuhaj-bejowicz, bo wieść o tym pierwsza karawana przyniosła, ta, w której jechał Nawiragh; więc pan Gorzeński uczcił teraz w młodym Lipku krew wielkiego, choć nieprzyjaznego wojownika, a oprócz tego uczcił w nim i oficera, któremu hetman tak znaczne funkcje powierzał.

Azja zaś wyszedł, aby wydać rozkazy, i zawoławszy setnika Dawida rzekł mu:

— Dawidzie, synu Skanderowy, zostaniesz z pięćdziesięcią koni w Mohilowie i będziesz oczyma patrzył, a uszami słuchał, co się wedle ciebie dzieje. A jakby Mały Sokół jakoweś pisma z Chreptiowa za mną wysyłał, to posłańca zatrzymasz, pisma mu odejmiesz i przez swojego człowieka mi je przeszlesz. Zostaniesz zaś tu, póki ja rozkazu nie przyszlę, byś wracał; wówczas, jeśli posłaniec powie, że jest noc, to cicho wyjdziesz, a jeślić powie, że dzień blisko, to miasto podpalisz, a sam na multański brzeg przejdziesz i pójdziesz, gdzie ci nakażą...

— Rzekłeś, panie! — odpowiedział Dawid — oczyma będę patrzył, a uszami słuchał: posłańców od Małego Sokoła zatrzymam i pisma im odjąwszy, tobie je przez naszego człowieka przeszlę. Zostanę tu, póki rozkazu nie odbiorę, a wówczas, jeśli posłaniec twój powie mi, że noc — spokojnie wyjdę, powieli zaś, że dzień blisko — to miasto podpalę, sam na multański brzeg przejdę i pójdę, gdzie mi nakażą.

Nazajutrz świtaniem karawana, zmniejszona o pięćdziesiąt koni, ruszyła w dalszą drogę. Pan Gorzeński przeprowadzał Basię aż za mohilowski wądół. Tam wyjąkawszy pożegnalną orację, wrócił do Mohilowa, oni zaś jechali ku Jampolowi bardzo spiesznie.

Azja wesół był nadzwyczajnie i tak gnał ludzi, że aż to zdziwiło Basię.

— Czemu to waćpanu tak pilno? — spytała.

On zaś odrzekł:

— Każdemu do szczęśliwości pilno, moja zaś rozpocznie się w Raszkowie.

Ewka, biorąc te słowa do siebie, uśmiechnęła się czule i zebrawszy odwagę odrzekła:

— Jeno mój ojciec...

— Pan Nowowiejski w niczym mi nie przeszkodzi — odrzekł Tatar.

I ponura błyskawica przeleciała mu przez twarz.

W Jampolu nie zastano prawie wcale wojska — piechoty tam nie było nigdy, a jazda wyszła wszystka, ledwie kilkunastu ludzi zostało w zameczku, raczej w jego ruinach... Nocleg był przygotowany, ale Basia źle spała, bo ją te wieści poczęły niepokoić. Zwłaszcza rozmyślała o tym, jak niespokojny będzie mały rycerz, jeżeli się okaże, że czambuł Doroszeńkowy ruszył istotnie; krzepiła się tylko myślą, że to może nieprawda.

Przychodziło jej do głowy, czy by wziąwszy dla bezpieczeństwa część Azjowych żołnierzy, lepiej nie wrócić — różne jednak nastręczały się przeszkody. Naprzód Azja, mając rozkaz wzmocnić załogę raszkowską, mógłby niewielką tylko przydać jej straż, więc w razie rzeczywistego niebezpieczeństwa straż ta mogła się okazać niedostateczną; po wtóre, dwie trzecie drogi były już uczynione, w Raszkowie zaś był znajomy oficer i silna załoga, która wzmocniona oddziałem Tuhaj-bejowicza i ściahami owych rotmistrzów, do wcale poważnej mogła urosnąć siły. Biorąc to wszystko na uwagę postanowiła Basia jechać dalej.

Lecz spać nie mogła. Pierwszy raz w czasie tej drogi chwycił ją taki niepokój, jakby zawisło nad nią nieznane niebezpieczeństwo. Być może, że przyczyniał się także do owych niepokojów nocleg w Jampolu, było to bowiem miejsce straszne i krwawe. Basia znała je z opowiadań męża i pana Zagłoby. Tu czasów chmielnicczyzny stała główna siła podolskich rezunów pod Burłajem; tu sprowadzano jeńców i sprzedawano ich na targi wschodnie lub morzono okrutną śmiercią; tu wreszcie wiosną 1651 roku podczas tłumnego jarmarku wpadł pan Stanisław Lanckoroński, wojewoda bracławski, i uczynił rzeź straszną, której pamięć świeża była na całym Podniestrzu.

Więc wszędy, nad całą osadą, unosiły się krwawe wspominki, więc tu i owdzie czerniały jeszcze zgliszcza, więc ze ścian półzrujnowanego zameczku zdawały się spoglądać białe twarze porzniętych Kozaków i Polaków. Basia była odważna, ale bała się duchów, mówiono zaś, że w Jampolu samym, przy ujściu Szumiłówki i na pobliskich Dniestrowych porohach, co północ słychać płacz wielki i jęki, woda zaś przy księżycu mieni się na czerwono, jakoby krwią zabarwiona. Myśl o tym przepełniała przykrą trwogą Basine serce. Mimo woli nasłuchiwała, czy w ciszy nocnej nie usłyszy wśród

porożanego szumu płaczu i jęków. Słychać było tylko przeciągłe „czuwaj-aj” żołnierzy. Więc przyszła na myśl Basi cicha świetlica chreptiowska, mąż, pan Zagłoba, przyjacielskie twarze pana Nienaszyńca, Muszalskiego, Motowidły, Snitki i innych — i pierwszy raz poczuła, że jest od nich daleko, bardzo daleko, w obcej stronie, i wzięła ją taka tęsknica za Chreptiowem, że jej się płakać chciało.

Zasnęła nad ranem dopiero, ale miała dziwne sny. Burłaj, rezuny, Tatary, krwawe obrazy rzezi przesuwały się przez jej senną głowę, a w tych obrazach widziała ciągle twarz Azji, lecz nie był to ten sam Azja, tylko niby Kozak, niby dziki Tatar, niby sam Tuhaj-bej.

Wstała rano, rada, że się skończyła noc i przykre widziadła. Pozostałą drogę postanowiła odbywać na dzianecie, raz dlatego, żeby ruchu zażyć, po wtóre, żeby dać sposobność do swobodnej rozmowy Azji i Ewce, którzy ze względu na bliskość Raszkowa potrzebowali zapewne się naradzić, jakim sposobem oznajmić wszystko staremu panu Nowowiejskiemu i pozwolenie onego uzyskać. Azja, podawszy jej własną ręką strzemię, sam nie siadł jednak do sanek z Ewką, ale zrazu wyjechał na czoło oddziału, potem trzymał się w pobliżu Basi.

Ona zaś spostrzegłszy natychmiast, że jadą znów w szczuplejszej liczbie, niźli przyjechali do Jampola, zwróciła się do młodego Tatara i rzekła:

— Widzę, żeś waćpan i w Jampolu część swoich ludzi ostawił.

— Pięćdziesiąt koni, tak samo jak i w Mohilowie — odrzekł Azja.

— Na cóż to?

On uśmiechnął się osobliwie; wargi jego podniosły się tak jak u złego psa, który pokazuje zęby — i po chwili dopiero odpowiedział:

— Bo chcę te komendy mieć w mojej mocy i drogę powrotną waszej miłości zabezpieczyć.

— Jeśli wojska wrócą ze stepów, to i tak tam siła będzie.

— Wojska tak prędko nie wrócą.

— Skąd waćpan wiesz?

— Bo się pierwej muszą dobrze upewnić, co się u Dorosza dzieje, a to im ze trzy albo cztery niedziele zabierze.

— Jeśli tak, toś dobrze waćpan uczynił, ludzi owych zostawiając.

Jechali czas jakiś w milczeniu. Azja spoglądał co chwila na różową twarz Basi, na wpół zakrytą przez podniesiony kołnierz delijki i kołpaczek, a za każdym spojrzeniem przymykał oczy, jakby chciał lepiej sobie wrazić w pamięć wdzięczny jej wizerunek.

— Waćpan powinieneś się rozmówić z Ewką — rzekła wszczynając na nowo rozmowę Basia. — Waćpan zgoła za mało z nią rozmawiasz, aż jej dziwno to bywa. Niedługo przed obliczem pana Nowowiejskiego staniecie... Mnie samą niepokój chwyta... Powinniście się naradzić, jak sobie począć?

— Ja najpierw z waszą miłością chciałbym się rozmówić — odrzekł dziwnym głosem Azja.

— To czemuż waść nie zaczynasz?

— Bo czekam na posłańca z Raszkowa... Myślałem, że go już w Jampolu znajdę. Co chwila go wyglądam.

— A co się ma posłaniec do rozmowy?

— Myślę, że owo on jedzie! — odrzekł unikając odpowiedzi młody Tatar.

I skoczył naprzód, lecz po chwili wrócił.

— Nie! To nie on! — rzekł.

W całej jego postaci, w mowie, w spojrzeniu, w głosie było coś tak niespokojnego i gorączkowego, że ów niepokój udzielił się i Basi. Najmniejsze jednak podejrzenie nie postało dotąd w jej głowie. Niepokój Azji dał się doskonale wytłumaczyć bliskością Raszkowa i groźnego ojca Ewki, jednakże Basi było czegoś tak ciężko, jakby o jej własne losy chodziło.

Zbliżywszy się do sani przez kilka godzin jechała w pobliżu Ewki rozmawiając z nią o Raszkowie, o starym i młodym panu Nowowiejskim, o Zosi Boskiej, wreszcie o okolicy, która stawała się coraz dzikszą i straszniejszą pustynią. Była ona po prawdzie pustynią zaraz za Chreptiowem, ale tam przynajmniej od czasu do czasu podnosił się na widnokręgu słup dymu oznajmujący jakiś chutor, jakąś osadę ludzką. Tu nie było nigdzie śladów człowieka i gdyby Baśka nie wiedziała, że jedzie do Raszkowa, gdzie żyją ludzie i stoi załoga polska, mogłaby mniemać, że wiodą ją gdzieś w nieznane pustynie, do cudzych ziem, na kraniec świata.

Rozglądając się po okolicy wstrzymywała mimowolnie konia i wkrótce została w tyle za saniami i oddziałem. Azja przyłączył się do niej po chwili, a że okolicę znał dobrze, więc jął jej wskazywać rozmaite miejsca, wymieniając ich nazwy.

Nie trwało to jednak długo, bo ziemia poczęła dymić. Zima nie miała widocznie w tej południowej stronie tej samej, co w lesistym Chreptiowie, mocy.

Leżało wprawdzie nieco śniegu w wądołach, rozpadlinach, na krawędziach skał, a także i na obróconych ku północy upłazach wzgórz, ale w ogóle ziemia nie była nim pokryta i czerniała chaszczami lub połyskiwała wilgotną, zwiędłą trawą.

Z tych to traw podnosił się teraz lekki, białawy opar i rozciągał się tuż przy ziemi, czyniąc w dalekościach podobieństwo wielkich wód wypełniających doliny i szeroko rozlanych po równinach; następnie opar ów podnosił się coraz wyżej ku górze, zakrywając blask słoneczny i zmieniając pogodny dzień na mglisty i posępny.

— Jutro deszcz będzie — rzekł Azja.

— Byle nie dziś. Jak daleko jeszcze do Raszkowa?

Tuhaj-bejowicz popatrzył na najbliższą, zaledwie widną już wśród mgły okolicę i odrzekł:

— Stąd już bliżej do Raszkowa niż z powrotem do Jampola.

I odetchnął głęboko, jak gdyby wielki ciężar spadł mu z piersi.

W tej chwili tętent konia rozległ się od strony oddziału i jakiś jeździec zamajaczył w tumanie

— Halim! Poznaję go! — zawołał Azja.

Rzeczywiście był to Halim, który dopadłszy Azji i Basi zeskoczył z bachmata i począł bić czołem w strzemię młodego Tatara.

— Z Raszkowa? — spytał Azja.

— Z Raszkowa, panie mój! — odpowiedział Halim.

— Co tam słychać?

Stary podniósł szpetną, wychudzoną od niesłychanych trudów głowę ku Basi, jakby chciał spytać, czy może przy niej mówić, lecz Tuhaj-bejowicz rzeki zaraz:

— Mów śmiele! Wojska wyszły?

— Tak jest, panie. Garść została.

— Kto powiódł?

— Pan Nowowiejski.

— Piotrowicze zaś wyjechali do Krymu?

— Już dawno. Ostały tylko dwie niewiasty i stary pan Nowowiejski z nimi.

— Gdzie Kryczyński?

— Na drugiej stronie rzeki. Czeka!

— Kto z nim jest?

— Jest Adurowicz ze swoim ściahem. Obaj ci głową do strzemienia biją, synu Tuhaj-bejowy, i pod rękę twoją się oddają — oni — i wszyscy, którzy jeszcze nie nadążyli.

— Dobrze! — rzekł z ogniem w oczach Azja. — Leć do Kryczyńskiego natychmiast i każ im, by zajmowali Raszków.

— Wola twoja, panie!

Po chwili Halim skoczył na konia i zniknął jak widmo w tumanie…

Straszny i złowrogi blask bił od twarzy Azji. Chwila stanowcza, chwila oczekiwana, chwila największego dla niego szczęścia — nadeszła… Serce biło mu jednak tak, że tchu mu brakło… Czas jakiś jechał w milczeniu koło Basi i dopiero gdy poczuł, że głos go nie zawiedzie, zwrócił ku niej oczy niezgłębione a świetliste i rzekł:

— Teraz mi rozmówić się szczerze z waszą miłością…

— Słucham — odrzekła Basia patrząc na niego pilnie, jak gdyby chciała czytać w jego zmienionej twarzy.

Rozdział XXXVIII

Azja przysunął swego konia do dzianeta Basi tak blisko, że niemal strzemieniem dotknął jej strzemienia, i jeszcze kilkanaście kroków jechał w milczeniu. Przez ten czas starał się uspokoić do reszty i dziwił się, dlaczego ten spokój z takim wysiłkiem mu przychodzi, skoro Basię miał w ręku, skoro nie było już żadnej siły ludzkiej, która zdołałaby była mu ją odjąć. Ale on sam nie wiedział, że w duszy jego, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu i mimo przeciwnej oczywistości, tliła jakaś skra nadziei, że pożądana niewiasta odpowie mu wzajemnością. Jeśli zaś ta nadzieja była słaba, to natomiast pragnienie, aby to się stało, było tak silne, że potrząsało nim jak febra. Nie otworzy ta pożądana rąk, nie rzuci mu się w ramiona, nie powie tych słów, o których śnił po nocach całych: „Azja, jam twoja!” — nie zawiśnie ustami na jego ustach — o tym wiedział… Ale jak przyjmie jego słowa? Co powie? Czy straci czucie wszelkie, jak gołąb w pazurach drapieżnika, i pozwoli mu się tak chwycić, jak właśnie gołąb bezradny oddaje się jastrzębiowi? Czy będzie żebrać o miłosierdzie łzami, czy krzykiem przestrachu napełni tę pustynię? Czy stanie się od tego wszystkiego coś więcej, czy coś mniej?… Takie pytania wichrzyły się w głowie Tatara. A przecie przyszedł czas, w którym trzeba odrzucić udawanie, pozory i pokazać jej prawdziwą, straszną twarz… Ot, strach! Ot, niepokój! Ot, chwila jeszcze — i spełni się wszystko!

Wreszcie jednak ta duszna trwoga poczęła zmieniać się w Tatarze w to, w co zmienia się najczęściej trwoga dzikiego zwierzęcia, to jest we wściekłość… I począł się sam podniecać tą wściekłością.

„Cokolwiek się stanie — pomyślał — ona moja, moja cała jest i moja będzie dziś jeszcze, i moja będzie jutro, a potem już nie wrócić jej do męża, jeno iść za mną…”

Na tę myśl dzika radość porwała go za włosy i nagle ozwał się głosem, który jemu samemu wydał się obcy:

— Wasza miłość nie znała mnie dotąd!...

— W tej mgle tak się waści głos zmienił — odrzekła nieco niespokojnie Basia — iż istotnie zdaje mi się, że kto inny mówi.

— W Mohilowie wojsk nie ma, w Jampolu nie ma, w Raszkowie nie ma! Ja tu jeden pan!... Kryczyński, Adurowicz i owi inni — raby moje, bo ja kniazia, ja władyki syn — ja im wezyr, ja im murza najwyższy, ja im wódz, jako Tuhaj-bej był wódz — ja im chan, ja jeden mam siłę, wszystko tu w mocy mojej...

— Czemu zaś waćpan to mówisz?

— Wasza miłość nie znała mnie dotąd... Raszków już niedaleko... Ja chciał hetmanem tatarskim być i Rzeczypospolitej służyć, ale pan Sobieski nie dozwolił... Nie być mi dłużej Lipkiem, nie służyć pod niczyją komendą, jeno samemu wielkie czambuły wodzić, na Dorosza albo na Rzeczpospolitą, jak wasza miłość chcesz, jak wasza miłość rozkażesz!...

— Jak ja rozkażę?... Azja, co z tobą?

— To ze mną, że tu wszyscy moje raby, a jam twój rab! Co mnie hetman! Pozwolił czy nie pozwolił! Słowo, wasza miłość, rzeknij, a ja waszej miłości Akerman pod nogi położę i Dobrudżę położę — i te ordy, które tu ałusy mają — i te, które w Dzikich Polach koczują — i te, co wszędy tu w zimownikach leżą, będą raby twoje, jako ja twój rab!... Każesz — chana krymskiego nie usłucham i sułtana nie usłucham, i mieczem ich będę wojował, i pomoc Rzeczypospolitej dam, i nową ordę w tych stronach założę, a nad nią ja będę chanem, a nade mną ty będziesz jedna, tobie jednej będę pokłony bił, twojej łaski i zmiłowania prosił!

To rzekłszy przechylił się na kulbace i porwawszy wpół przerażoną i jakoby ogłuszoną słowami jego niewiastę, tak dalej mówił prędkim, chrapliwym głosem:

— Zaliś nie widziała, żem ja cię jedną miłował!... A nacierpiał się!... Ja cię i tak wezmę!... Ty moja już i będziesz moja!... Nikt cię tu nie wyrwie z moich rąk! Ty moja! ty moja! ty moja!

— Jezus, Maria! — zawołała Basia.

Lecz on ją cisnął tak w ramionach, jakby chciał zadławić... Krótki oddech wydobywał się z jego warg, oczy zachodziły mu mgłą, wreszcie wywlókł ją ze strzemion, z kulbaki i wziął przed siebie cisnąc jej piersi do swoich, i sinawe wargi jego, otwierając się łakomie jak usta ryby, poczęły szukać jej ust.

Ona nie wydała ani okrzyku, lecz poczęła się opierać z niespodziewaną siłą. Zaczęła się między nimi walka, w której słychać było tylko zdyszane ich oddechy. Gwałtowne ruchy i bliskość jego twarzy wróciły jej przytomność. Przyszła na nią chwila takiego jasnowidzenia, jaka przychodzi na tonących. Od razu z największą jasnością odczuła wszystko. Więc naprzód, że ziemia zarwała się pod jej nogami i otworzyła się w jar bezdenny, do którego on ją ciągnął koniecznie; ujrzała jego miłość, jego zdradę, swój straszny los, swoją niemoc i bezradność, odczuła trwogę, odczuła okropną boleść i żal — i jednocześnie buchnął w niej płomień niezmierzonego oburzenia i wściekłości, i zemsty.

Taka była dzielność tej duszy rycerskiego dziecka, tej wybranej żony najdzielniejszego w Rzeczypospolitej rycerza, że w tej oto straszliwej chwili pomyślała naprzód. „Pomścić się!", potem dopiero: „Ratować się!" Wszystkie władze jej umysłu naprężyły się tak, jak włos napręża się z przerażenia na głowie, i ta jasność widzenia tonących stała się w niej niemal cudowną. Ręce jej wśród szarpaniny poczęły szukać przy nim broni i trafiły wreszcie na kościany łeb wschodniego pistoletu; ale jednocześnie miała przytomność pomyśleć i o tym, że choćby pistolet był nabity, choćby zdołała odwieść skałkę, nim przegnie dłoń, nim skieruje lufę ku jego głowie, on chwyci niechybnie jej rękę i odbierze jej ostatni sposób ratunku — więc postanowiła uderzyć inaczej.

Trwało to wszystko jedno mgnienie oka. On istotnie przewidział zamach i wyciągnął dłoń tak szybko, jak szybko migoce błyskawica, ale nie zdołał obrachować jej ruchu, toteż ręce ich minęły się i Basia z całą rozpaczliwą siłą swej młodej i dzielnej pięści uderzyła go, jak gromem, kościaną głownią pistoletu między oczy.

Cios był tak straszny, że Azja nie zdołał nawet krzyknąć i padł na wznak, pociągając ją za sobą w upadku.

Basia podniosła się w jednej chwili i skoczywszy na swego dzianeta pomknęła jak wicher w przeciwną stronę od Dniestru, ku szerokim stepom.

Zasłona mgły zamknęła się za nią. Dzianet stuliwszy uszy biegł na oślep wśród skał, rozpadlin, jarów, wyrw. Lada chwila mógł runąć w jaką szczelinę, lada chwila mógł rozbić siebie i jeźdźca o skaliste rogi, lecz Basia nie zważała już na nic; najstraszliwszym niebezpieczeństwem byli dla niej Lipkowie i Azja... Dziwna rzecz! Teraz, gdy uwolniła się z rąk drapieżnika i gdy ów leżał prawdopodobnie martwy wśród skał, nad wszystkimi jej uczuciami zapanowała trwoga. Leżąc twarzą na grzywie dzianeta, mknąc w tumanie jak sarna ścigana przez wilki, teraz poczęła się bać Azji więcej niż w tej

chwili, gdy była w jego objęciach — i czuła strach, i czuła niemoc, i czuła to, co czuje dziecko słabe, zabłąkane, na woli bożej, samotne i opuszczone. Jakieś głosy płaczące wstały w jej sercu i poczęły z jękiem, z bojaźnią, ze skargą i żałością wzywać opieki:

— Michale, ratuj!... Michale, ratuj!...

A dzianet mknął i mknął; cudownym wiedzion instynktem, przeskakiwał wyrwy, omijał gibkim ruchem wyskakujące kanty skał, aż wreszcie kamienny pokład przestał dzwonić pod jego kopytami: widocznie wpadł na jeden z tych otwartych „ługów", które tu i owdzie ciągnęły się między jarami.

Pot go okrywał, nozdrza poczęły oddychać głośno, lecz biegł i biegł.

„Dokąd uciekać?" — pomyślała Basia.

I w tej chwili odpowiedziała sobie:

„Do Chreptiowa!"

Lecz nowa trwoga ścisnęła jej serce na myśl o tej dalekiej przez straszne pustynie wiodącej drodze. Natychmiast też przypomniało się jej, że Azja pozostawiał oddziały Lipków w Mohilowie i Jampolu. Niezawodnie, wszyscy Lipkowie byli zmówieni; wszyscy służyli Azji, a zatem schwytaliby ją niechybnie i odwiedli do Raszkowa, należało zatem zapuścić się głęboko w step i dopiero obrócić na północ, omijając naddniestrzańskie osady.

Należało postąpić tak tym bardziej, że jeśli będzie pościg, to pójdzie niezawodnie brzegiem, a tymczasem na szerokich stepach można będzie spotkać którą z polskich komend wracającą do fortalicji.

Bieg dzianeta wolniał stopniowo. Basia będąc doświadczonym jeźdźcem zrozumiała natychmiast, że trzeba dać mu czas wytchnienia, inaczej padnie. A czuła i to, że jeśli zostanie wśród tych pustyń bez konia, to jest zgubiona.

Wstrzymała więc bieg i czas jakiś jechała stępą. Mgła rzedła, ale z biednego dzianeta podnosiła się chmurą gorąca para.

Basia poczęła się modlić.

Nagle rżenie końskie ozwało się wśród mgły o kilkaset kroków za nią. Wówczas włosy zjeżyły się jej na głowie.

— Mój padnie, ale i tamte padną! — rzekła głośno.

I znów pomknęła.

Czas jakiś dzianet biegł lotem gołębia ściganego przez raroga i biegł znów długo, prawie do ostatka sił, lecz rżenie odzywało się ciągle za nim w oddali. Było w tym rżeniu dochodzącym z tumanu coś zarazem niezmiernie tęsknego i groźnego. Jednakże po

pierwszej chwili trwogi przyszło Basi na myśl, że gdyby na tym ścigającym ją koniu siedział ktokolwiek, to by ów koń nie rżał, bo jeździec nie chcąc zdradzać pościgu zahamowałby rżenie.

„Nie może być, tylko to bachmat Azji bieży za moim” — pomyślała Basia.

Dla ostrożności wyciągnęła obie krócice z olster, lecz była to zbytnia ostrożność. Po chwili zaczerniało coś w rzednącej mgle i bachmat Azjów nadbiegł z rozwianą grzywą i rozdętymi chrapami. Ujrzawszy dzianeta począł zbliżać się ku niemu w podskokach, wydając krótkie i urywane rżenie, a dzianet odpowiedział mu natychmiast.

— Łosz! Łosz! — zawołała Basia.

Zwierz, przyuczony do ręki ludzkiej, zbliżył się i pozwolił schwytać się za uzdę. Basia podniosła oczy ku niebu i rzekła:

— Opieka boska!

Rzeczywiście schwytanie Azjowego rumaka było dla niej okolicznością ze wszech miar pomyślną.

Naprzód, dwa najlepsze z całego oddziału rumaki były w jej ręku; po wtóre, miała konia do zmiany, po trzecie na koniec, obecność jego upewniała ją, że pościg nieprędko wyjdzie. Gdyby bachmat pobieżał był za całym oddziałem, Lipkowie, zaniepokojeni jego widokiem, niechybnie wróciliby natychmiast szukać swego wodza; obecnie zaś było do przewidzenia, że do głowy im nie przyjdzie, by cośkolwiek mogło się przygodzić Azji, i że wyruszą na poszukiwanie dopiero wtedy, gdy zaniepokoją się zbyt długą jego nieobecnością.

„A wówczas ja będę już daleko!” — dokończyła w myśli Basia.

Tu przypomniało się jej po raz wtóry, że oddziały Azjowe stoją w Jampolu i Mohilowie.

„Trzeba mijać szerokim stepem i nie zbliżać się do rzeki pierw, aż się w okolicy Chreptiowa znajdę. Chytrze ten straszny człek pozastawiał obieże, ale mnie Bóg z nich wyratuje!”

Tak pomyślawszy nabrała ducha i poczęła czynić przygotowania do dalszej drogi.

Przy terlicy Azjowej znalazła muszkiet, róg z prochem, worek z kulami i worek z siemieniem konopnym, które Tatar miał zwyczaj gryźć ustawicznie. Basia, przykrócając strzemiona bachmata na miarę swej nogi, pomyślała sobie, że przez całą drogę będzie się żywić jako ptak tym siemieniem, i zachowała je starannie przy sobie.

Postanowiła omijać ludzi, chutory, bo na tych pustyniach od każdego człeka złego raczej niż dobrego można się było spodziewać. Serce jej ściskała obawa, czym będzie

konie karmić. Same one będą wygrzebywać trawę spod śniegu i wyskubywać mchy ze szczelin skalistych, ale nuż padną od złej strawy i uciążliwych pochodów? Przecie nie mogła ich oszczędzać…

Druga obawa była, czy się nie zabłąka w pustyni. Łatwo było nie zbłądzić jadąc brzegiem Dniestrowym, ale tej drogi nie mogła obrać. Co będzie, gdy wjedzie w puszcze mroczne, ogromne a bezdrożne? Jak pozna, czy się kieruje na północ czy w inną stronę, jeśli przyjdą dnie mgliste, bezsłoneczne i noce bez gwiazd? Że puszcze roiły się od dzikiego zwierza, mniej o to dbała mając odwagę w dzielnym sercu — i broń. Wilki, chodzące gromadnie, mogły być wprawdzie niebezpieczne, ale w ogóle więcej się obawiała ludzi niż zwierząt, a najbardziej zbłąkania.

— Ha! Bóg mi drogę wskaże i do Michała wrócić pozwoli — rzekła głośno.

I przeżegnawszy się otarła rękawem twarz z wilgoci, która ziębiła jej pobladłe policzki, bystrymi oczyma rozejrzała się po okolicy i wypuściła konie w skok.

Rozdział XXXIX

Tuhaj-bejowicza nikt nie myślał szukać, więc leżał w pustkowiu, póki sam nie oprzytomniał.

Oprzytomniawszy siadł i pragnąc zrozumieć, co się z nim dzieje, począł oglądać się po okolicy.

Ale widział ją jakoby w mroku; następnie poznał, że widzi tylko jednym okiem, i to źle. Drugie było wybite albo zalane krwią.

Azja podniósł ręce do twarzy. Palce jego trafiły na sople krwi okrzepłej na wąsach; usta miał także pełne krwi, która go dławiła tak, że musiał charkać i odpluwać ją kilkakrotnie; straszliwy ból przeszył mu przy owym spluwaniu twarz; posunął palce ku górze od wąsów, ale odjął je natychmiast z jękiem boleści.

Uderzenie Basi zmiażdżyło mu górną część nosa i nadwerężyło kość w policzku.

Chwilę przesiedział bez ruchu; następnie tym okiem, w którym pozostało mu nieco światła, począł rozglądać się dokoła, a ujrzawszy w szczelinie pasmo śniegu, przyczołgał się do niego i chwyciwszy go pełną garść, przyłożył do swej rozbitej twarzy.

Przyniosło mu to natychmiast wielką ulgę, więc gdy śnieg topniejąc spływał różowymi strumieniami na jego wąsy, znów go nabierał w garść i znów przykładał. Prócz tego począł go jeść chciwie, i to również przynosiło mu ulgę. Po pewnym czasie ów ciężar niezmierny, który czuł na swej głowie, stał się o tyle lżejszy, że Azja

przypomniał sobie wszystko, co się stało. Ale w pierwszej chwili nie odczuł ni wściekłości, ni gniewu, ni rozpaczy. Ból cielesny zgłuszył wszystkie inne uczucia i pozostawił tylko jedną chęć — chęć prędkiego ratunku.

Azja zjadłszy jeszcze kilka przygarści śniegu począł oglądać się za koniem: konia nie było; wówczas zrozumiał, że jeśli nie zechce czekać, aż Lipkowie po niego przyjadą, to musi iść piechotą.

Więc oparłszy się rękoma o ziemię, próbował wstać, ale tylko zawył z bólu i znów usiadł.

Przesiedział może z godzinę i znów jął czynić usiłowania. Tym razem udało mu się o tyle, że wstał i oparty plecami o skałę, zdołał utrzymać się na nogach; ale gdy pomyślał, że trzeba opuścić podporę i dać krok, potem drugi i trzeci w pustą przestrzeń, poczucie niemocy i strachu owładło nim tak silnie, że omal nie siadł znowu.

Jednakże się przemógł i wydobywszy szablę wsparł się na niej i posunął się naprzód. Szło. Po kilku krokach uczuł, że nogi jego i całe ciało są silne, że włada nimi doskonale, tylko głowa jest jakoby nie jego i na kształt olbrzymiej wagi chwieje mu się to w prawo, to w lewo — to w tył, to naprzód. Miał takie poczucie, jakby tę głowę, zbyt ciężką i chwiejną, niósł z nadzwyczajną ostrożnością i nadzwyczajną obawą, aby jej nie uronić na kamienie i nie rozbić.

Czasem też ta głowa zawracała nim całym, jakby jej na tym zależało, by chodził w kółko. Chwilami czyniło mu się ciemno w jedynym władnym oku; wówczas podpierał się obu rękoma na szabli.

Lecz zawrót głowy przechodził z wolna — natomiast ból wzrastał ciągle — i wiercił tak w czole, w oczach, w całej głowie, aż skowytanie wydobywało się z piersi Azji.

Echa skał powtarzały jego jęki i szedł wśród tej pustyni krwawy, straszny, do upiora niż do człowieka podobniejszy.

Mroczyło się już, gdy usłyszał przed sobą tętent konia.

Był to dziesiętnik lipkowski, który przyjeżdżał po rozkazy.

Tego wieczora Azja znalazł jeszcze tyle siły, że pościg zarządził, ale zaraz potem legł na skóry i przez trzy dni następne nikogo widzieć nie mógł prócz Greka cyrulika, który mu rany opatrywał, i Halima, któren cyrulikowi pomagał. Dopiero czwartego dnia odzyskał mowę, a z nią i świadomość tego, co zaszło.

I zaraz gorączkowa myśl jego pobiegła za Basią. Widział ją biegnącą przez skały i pustynie; wydawała mu się ptakiem, który odlatywał raz na zawsze; widział ją

przybywającą do Chreptiowa; widział ją w objęciach męża, i na ów widok porywał go ból sroższy niż od rany, a razem z bólem żal, a z żalem srom poniesionej klęski.

— Uciekła, uciekła! — powtarzał ustawicznie i wściekłość dławiła go tak, że chwilami przytomność zdawała się go znów opuszczać.

— Gorze! — odpowiadał Halimowi, gdy ten starał się go uspokajać i zapewniał, że Basia przed pościgiem ujść nie może — i kopał nogami skóry, którymi stary Tatar go okrywał, i nożem groził jemu i Grekowi, i wył jak dziki zwierz, i zrywał się chcąc sam lecieć, dognać ją, schwytać, a potem z gniewu i dzikiej miłości zadusić własnymi rękoma.

Chwilami bredził w gorączce: więc wołał na Halima, by mu przynosił co prędzej głowę małego rycerza, a żonę jego, związaną, zamknął obok w komorze. Czasem rozmawiał z nią, prosił, groził; czasem wyciągał ramiona, by ją przygarnąć; wreszcie zapadł w głęboki sen i spał dobę całą. Natomiast gdy się rozbudził, gorączka opuściła go zupełnie i mógł widzieć się z Kryczyńskim i Adurowiczem.

Im zaś było pilno do tego, bo nie wiedzieli, co począć. Wojska, które wyszły pod młodym Nowowiejskim, nie miały wprawdzie wrócić przed dwoma tygodniami, ale jakiś niespodziewany wypadek mógł przyspieszyć ich powrót, a wówczas należało wiedzieć, jak się zachować. Wprawdzie Kryczyński i Adurowicz pozornie tylko chcieli wrócić w służbę Rzeczypospolitej, ale Azja prowadził całą sprawę; on jeden mógł im dać wskazówki, co mają na razie czynić; on jeden mógł objaśnić, po której stronie była większa korzyść: czy zaraz wrócić na sułtańską ziemię, czy też udawać, i jak długo jeszcze udawać, że służą Rzeczypospolitej? Obaj oni wiedzieli dobrze, że koniec końcem i Azja chce zdradzić Rzeczpospolitą, ale przypuszczali, że z ujawnieniem zdrady każe może im czekać aż do wojny, by zdradzić jak najskuteczniej. Wskazówki jego miały być przy tym dla nich rozkazem, bo im się narzucił na wodza, jako głowa całej sprawy, człowiek najchytrzejszy, najbardziej wpływowy, wreszcie jako Tuhaj-bejowicz, sławnego między wszystkimi ordami witezia syn.

Skwapliwie też stanęli przy jego łożu i bili mu pokłony, on zaś witał ich osłabiony jeszcze, z przewiązaną twarzą i jednym okiem, ale już zdrów zupełnie. I zaraz na wstępie rzekł im:

— Chory jestem. Niewiasta, którą chciałem porwać i sobie zachować, wyrwała się z rąk moich, głownią od pistoletu mnie zraniwszy. Komendanta Wołodyjowskiego to była żona... oby zaraza spadła na niego i cały jego ród!...

— Niech tak będzie, jak rzekłeś! — odpowiedzieli dwaj rotmistrze.

— Niech Bóg da wam, wiernym, szczęście i pomyślność!...

— I tobie, panie!

Po czym jęli zaraz rozmawiać o tym, co im czynić należy.

— Nie można zwłóczyć ani sułtańskiej służby aż do wojny odkładać — rzekł Azja — bo już po tym, co się z niewiastą ową zdarzyło, oni nam ufać nie będą i szablami na nas uderzą. Ale nim oni uderzą, my na miasto uderzmy i spalmy je na chwałę Bogu! A ową garść żołnierzy, która tu została, w jasyr weźmiem, a mieszkańców, którzy są Rzeczypospolitej poddani, także w jasyr weźmiem, a dobrem Wołochów, Ormian i Greków się podzielim i za Dniestr pójdziem, w sułtańskie ziemie.

Kryczyńskiemu i Adurowiczowi, którzy koczując już od dłuższego czasu wśród najdzikszej ordy i grabiąc razem z nią, zdziczeli zupełnie, oczy się zaświeciły.

— Dzięki tobie, panie — rzekł Kryczyński — puszczono nas do tego miasta, które Bóg nam teraz wydaje!...

— Nowowiejski nie czynił wam wstrętu? — pytał Azja.

— Nowowiejski wiedział, że do Rzeczypospolitej przechodzimy, i wiedział, że ty nadchodzisz, aby się z nami połączyć, więc nas uważał za swoich, jako ciebie za swego uważa.

— Myśmy stali po multańskiej stronie — wtrącił Adurowicz — ale obaj z Kryczyńskim jeździliśmy do niego w gości, a on nas jako szlachtę podejmował, bo mówił tak: teraźniejszym uczynkiem dawny grzech zagładzacie, a że hetman wam za Azjowym poręczeniem przebacza, przeto i mnie się na was boczyć nie godzi. Chciał nawet, abyśmy w mieście stanęli, aleśmy rzekli: „Nie uczynim tego, nim Azja Tuhaj-bejowicz pozwoleństwo hetmańskie nam przyniesie...” Wszelako, gdy odchodził, jeszcze nam ucztę wyprawił i prosił, byśmy nad miastem czuwali...

— Na owej uczcie — dodał Kryczyński — widzieliśmy ojca jego i staruchę, która męża z jasyru wygląda, i tę pannę, z którą się Nowowiejski żenić zamyśla.

— A! — rzekł Azja. — Jeszczem nie pomyślał, że oni tu są wszyscy... A pannę Nowowiejską ja przywiozłem!...

I zaklaskał w ręce, gdy zaś Halim ukazał się natychmiast, rzekł mu:

— Niech moi Lipkowie, skoro płomień w mieście zobaczą, zaraz na tych żołnierzy, którzy są tu w fortalicji, uderzą i gardła im popodrzynają; niewiasty zaś i starego szlachcica niech zwiążą i strzegą, póki rozkazu nie wydam.

To rzekłszy zwrócił się do Kryczyńskiego i Adurowicza:

— Sam nie pomogę, bom słaby, ale siądę na koń i choć popatrzę, a wy, towarzysze mili, poczynajcie, poczynajcie!

Kryczyński i Adurowicz rzucili się natychmiast we drzwi, on zaś wyszedł za nimi i kazawszy sobie konia podać, pojechał do częstokołów spoglądać z bramy wysokiej fortalicji na to, co się w mieście dziać będzie.

Wielu Lipków poczęło się także wdzierać na wał przez częstokoły, aby oczy swe widokiem rzezi nasycić. Ci żołnierze Nowowiejskiego, którzy w step nie wyszli, widząc gromadzących się Lipków i sądząc, że jest coś do widzenia w mieście, pomieszali się zaraz z nimi bez cienia trwogi lub podejrzenia. Zresztą było tych piechurów zaledwie dwudziestu, reszta była w mieście, w szynkach.

Tymczasem ściahy Adurowicza i Kryczyńskiego rozsypały się w mgnieniu oka po miasteczku. Byli w tych ściahach niemal wyłącznie Lipkowie i Czeremisy, zatem dawniejsi mieszkańcy Rzeczypospolitej, po większej części szlachta, ale że dawno już granice jej opuścili, więc przez ten czas tułaczki stali się wielce do dzikich Tatarów podobni. Dawniejsze żupany ich zdarły się, powszechnie więc byli przybrani w tołuby baranie wełną do góry nałożone na nagie, zawiędłe od wichrów stepowych i dymu ognisk ciała; broń ich była jednak lepsza od broni dzikich Tatarów; wszyscy mieli szable, wszyscy łuki w ogniu prażone, a wielu samopały. Twarze ich natomiast wyrażały toż samo okrucieństwo i żądzę krwi co twarze ich dobrudzkich, białogrodzkich lub krymskich współbraci.

Teraz rozsypawszy się po miasteczku poczęli je przebiegać w różnych kierunkach, krzycząc przeraźliwie i jak gdyby pragnąc się tymi okrzykami wzajemnie zachęcić i podniecić do mordów i grabieży. Ale mimo iż wielu powkładało już obyczajem tatarskim noże w usta, ludność miejscowa, złożona, jak i w Jampolu, z Wołochów, Ormian, Greków i częścią z Tatarów-kupców, patrzyła na nich bez żadnej nieufności. Sklepy były pootwierane; kupcy siedzieli przed sklepami po turecku na ławach, przesuwając paciorki różańców. Krzyki Lipków sprawiły tylko to, że patrzono na nich ciekawiej, w przypuszczeniu, iż igrzysko jakoweś sobie wyprawiają.

Nagle jednak na rogach rynku podniosły się dymy i z ust wszystkich Lipków zabrzmiało wycie tak okropne, że blady przestrach ogarnął Wołochów, Ormian i Greków, wszystkie ich niewiasty i dzieci.

Naraz zabłysły szable i ulewa strzał lunęła na spokojnych mieszkańców. Krzyki ich, huk zamykanych naprędce drzwi i okiennic pomieszały się z tętentem koni i wyciem grabieżników.

Wtem rynek zawlókł się dymami. Podniosły się głosy: „Gore! gore!” Jednocześnie poczęto odbijać sklepy, domy, wywłóczyć za włosy przerażone niewiasty, wyrzucać na ulicę statki, safiany, towary sklepowe, pościel, z której pióra podniosły się zaraz obłokiem ku górze — rozległy się jęki wyrzynanych mężów, lament, wycia psów, ryk bydła, które pożar ogarniał w tylnych zabudowaniach; czerwone języki ognia, widne nawet w dzień na tle czarnych kłębów dymu, strzelały coraz wyżej ku niebu.

W fortalicji zaś Azjowi jeźdźcy rzucili się zaraz z początku rzezi na bezbronnych po większej części piechurów. Nie było tam prawie walki; kilkanaście nożów pogrążyło się niespodzianie w każdej polskiej piersi; potem poobcinano głowy nieszczęsnym i zniesiono je do kopyt Azjowego konia.

Tuhaj-bejowicz pozwolił większej części Lipków iść połączyć się w krwawej robocie ze współbraćmi; sam zaś stał i patrzył.

Dym przesłaniał robotę Kryczyńskiego i Adurowicza; swąd spalenizny doleciał aż do fortalicji; miasto zapłonęło jak stos olbrzymi i dymy przesłaniały widok; czasem tylko w tych dymach rozlegał się wystrzał samopału, jakoby piorun w chmurze, czasem mignął uciekający człowiek lub oddział Lipków w pościgu.

Azja stał ciągle i patrzył mając w sercu radość; srogi uśmiech rozszerzał mu wargi, spod których błyskały białe zęby — uśmiech tym sroższy, że pomieszany z bólem przyschłej rany. Prócz radości i pycha wzbierała w sercu młodego Lipka. Zrzucił oto z piersi ów ciężar udawania i pierwszy raz dał folgę nienawiści ukrywanej przez długie lata; teraz czuł się sobą, czuł się prawdziwym Azją, synem Tuhaj-bejowym.

Lecz jednocześnie wstał w nim dziki żal, że Basia nie ogląda tego pożaru, tej rzezi, że go nie może widzieć w nowym jego zawodzie. Kochał ją, a jednocześnie rozpierało go dzikie pragnienie zemsty nad nią.

„Stałaby oto tu, przy koniu! — myślał sobie — i za włosy bym ją trzymał, i nóg by mi się czepiała, a potem bym ją wziął i usta bym jej wycałował, i byłaby moja, moja, moja... niewolnica!...”

Od desperacji wstrzymywała go tylko nadzieja, że może oddziały posłane w pościg albo te, które zostawił po drodze, sprowadzą ją na powrót. Nadziei tej uczepił się jak tonący deski, i to dodawało mu siły. Nie mógł myśleć wyłącznie o stracie jej, bo zbyt wiele myślał o chwili, w której ją odzyska i weźmie.

Stał wedle bramy, póki wyrzynane miasto nie ucichło, co wprędce się stało, bo ściahy Adurowicza i Kryczyńskiego tyle prawie liczyły głów, ile całe miasteczko — więc pożar tylko przetrwał jęki ludzkie i huczał jeszcze do wieczora. Azja zlazł z konia i poszedł

wolnym krokiem do obszernej izby; tam na środku nasłano mu skór baranich, na których zasiadł i czekał przybycia dwóch rotmistrzów.

Ci nadeszli niebawem, a z nimi setnicy. Wszystkich twarze były uradowane, bo łup przeszedł oczekiwania. Miasteczko podniosło się już wielce od czasów inkursji chłopskiej i było zamożne. Wzięto też około stu młodych niewiast i gromadę dzieci od lat dziesięciu, które można było pomyślnie sprzedać we wschodnich bazarach. Mężczyzn, stare niewiasty i zbyt małe, niezdolne do drogi dzieci wycięto. Ręce Lipków dymiły od krwi ludzkiej, a w swych tołubach wnieśli zapach spalenizny. Wszyscy zasiedli naokół Azji i Kryczyński przemówił:

— Kupa popiołów jeno po nas zostanie... Nim komendy wrócą, moglibyśmy jeszcze na Jampol ruszyć. Dobra tam wszelkiego tyle albo więcej niźli w Raszkowie.

— Nie! — odrzekł Tuhaj-beja syn — w Jampolu są moi ludzie, którzy miasto zażgną, a nam czas w chanowe i sułtańskie ziemie.

— Jak przykażesz! Wrócimy ze sławą i łupem! — ozwali się rotmistrze i dziesiętnicy.

— Tu, w fortalicji, są jeszcze niewiasty i ów szlachcic, który mnie hodował — rzekł Azja — słuszna należy mu się nagroda.

To rzekłszy zaklaskał w ręce i kazał sprowadzić jeńców.

Sprowadzono ich niebawem: panią Boską, zalaną łzami Zosię, bladą jak chusta Ewkę i starego pana Nowowiejskiego. Ten miał ręce i nogi łykami skrępowane. Wszyscy byli przerażeni, ale jeszcze więcej zdumieni tym, co się stało, a co było zupełnie dla nich niezrozumiałe. Ewka jedna, lubo gubiąc się w domysłach, co przygodziło się z panią Wołodyjowską, dlaczego Azja nie pokazywał się dotąd, dlaczego uczyniono rzeź w mieście, a ich jako niewolników wiązano, domyślała się jednak, że idzie o jej porwanie, że Azja wściekł się po prostu z miłości dla niej i nie chcąc w pysze swej prosić o jej rękę ojca, postanowił siłą ją porwać. Było to wszystko samo przez się straszne, ale Ewka przynajmniej nie drżała o życie własne.

Jeńcy wprowadzeni nie poznali Azji, bo twarz jego była niemal zupełnie zawiązana. Lecz przestrach tym bardziej schwytał za kolana niewiasty, w pierwszej chwili bowiem sądziły, że to dzicy Tatarzy jakimś niepojętym sposobem starli Lipków i zawładnęli Raszkowem. Dopiero widok Kryczyńskiego i Adurowicza przekonał je, że właśnie znajdują się w ręku Lipków.

Czas jakiś patrzyli w milczeniu jedni na drugich, wreszcie stary pan Nowowiejski ozwał się niepewnym, ale silnym głosem:

— W jakichże jesteśmy rękach?

Azja począł odkręcać z głowy nawiązki i wkrótce ukazała się spod nich twarz jego, niegdyś piękna, choć dzika, teraz oszpecona raz na zawsze, ze złamanym nosem i czarnosiną plamą zamiast jednego oka; twarz straszna, skupiona zimną zemstą i uśmiechem do konwulsyjnego wykrzywienia podobnym.

Przez chwilę jeszcze milczał, po czym utkwił swe jarzące oko w starym szlachcicu i odrzekł:

— W moim: w Tuhaj-bejowego syna!

Ale stary Nowowiejski poznał go, nim się wymienił, poznała i Ewka, choć serce ścisnęło się jej przerażeniem i wstrętem na widok tej potwornej głowy.

Dziewka zakryła oczy niezwiązanymi rękoma, a szlachcic otworzył usta, począł mrugać ze zdumienia oczyma i powtarzać:

— Azja! Azja!

— Któregoś waćpan hodował, któremuś był ojcem i któremu pod twą rodzicielską ręką grzbiet krwią opłynął...

Szlachcicowi krew napłynęła do głowy.

— Zdrajco! — rzekł — przed sądem odpowiesz za swe uczynki!... Żmijo!... Mam jeszcze syna...

— I masz córkę — odpowiedział Azja — za którąś mnie puhą na śmierć kazał ćwiczyć, a tę córkę ja teraz ostatniemu ordyńcowi daruję, aby zaś miał w niej sługę i rozkosz!

— Wodzu! Daruj ją mnie — ozwał się nagle Adurowicz.

— Azja! Azja! Jam ciebie zawsze... — krzyknęła Ewka rzucając się do jego nóg.

Lecz on ją kopnął nogą, a Adurowicz chwycił ją za ramiona i począł ciągnąć ku sobie po podłodze. Pan Nowowiejski stał się z czerwonego siny. Łyka skrzypiały na jego rękach, tak je naprężał, a z ust wydobywały się niezrozumiałe słowa.

Azja podniósł się ze skór i szedł ku niemu, z początku wolno, potem coraz prędzej, jak dzikie zwierzę pragnące rzucić się na zdobycz. Na koniec przyszedłszy blisko, schwytał go zakrzywionymi palcami swej chudej dłoni za wąsy, drugą zaś począł go bić bez miłosierdzia po twarzy i głowie.

Chrapliwy ryk wyrywał się z jego gardzieli, na koniec, gdy szlachcic padł na ziemię, Tuhaj-bejowicz klęknął mu na piersi i nagle jasny blask noża rozświecił mrok izby.

— Miłosierdzia! Ratunku! — wyła Ewka.

Lecz Adurowicz uderzył ją w głowę, a potem swą szeroką dłoń położył na jej usta; Azja tymczasem zarzynał pana Nowowiejskiego.

Widok był tak straszny, że nawet dziesiętnikom lipkowskim uczyniło się zimno w piersiach, Azja bowiem z wyrachowanym okrucieństwem z wolna wodził nożem po gardle nieszczęsnego szlachcica, a ów rzęził i chrapał okropnie. Z otwartych żył krew bluzgała coraz silniej na ręce rezuna i strumieniem ciekła na podłogę. Wreszcie rzężenie i chrapanie cichło stopniowo, tylko powietrze poczęło świstać w przeciętej gardzieli, a nogi umierającego, drgając konwulsyjnie, kopały ziemię.

Azja wstał.

Oko jego padło teraz na bladą i słodką twarzyczkę Zosi Boskiej, która zdawała się zmarłą, bo zemdlona, zwieszała się przez ramię podtrzymującego ją Lipka — i rzekł:

— Tę dziewkę zachowuję sobie, póki jej nie daruję lub nie przedam.

Po czym zwrócił się do Tatarów:

— A teraz, jeno pościg wróci, pójdziem na sułtańską ziemię.

Pościg wrócił w dwa dni później, ale z próżnymi rękoma.

Więc poszedł Tuhaj-bejowicz na sułtańską ziemię z rozpaczą i wściekłością w sercu, zostawując po sobie szarą i niebieskawą kupę popiołów.

Rozdział XL

Dziesięć do dwunastu mil ukraińskich oddzielało owe miasta, przez które przejeżdżała Basia z Chreptiowa do Raszkowa, czyli cała owa droga dniestrzańskim szlakiem wynosiła około trzydziestu. Prawda, że z noclegów wyruszano jeszcze po ciemku i nie zatrzymywano się aż późną nocą — jednakże cały pochód wraz z popasami, mimo trudnych przepraw i przejazdów, odbył się w trzy dni. Ówcześni ludzie ówczesne wojska nie czyniły zwykle pochodów tak i szybkich, ale kto chciał lub musiał — mógł je czynić. Biorąc to na uwagę Basia wyrachowywała sobie, że odwrotna droga, droga do Chreptiowa, powinna jej zabrać jeszcze mniej czasu, zwłaszcza że odbywała ją konno i że droga ta była ucieczką, w której ratunek od szybkości zależał.

Pierwszego jednak dnia pomiarkowała zaraz, że się łudzi, bo nie mogąc uciekać dniestrzańskim szlakiem, jeno kołując stepami, musiała nadkładać ogromnie drogi. W dodatku mogła zbłądzić i było prawdopodobnym, że zbłądzi; mogła trafić na odtajałe rzeki, na nieprzebyte gąszcze leśne, na błota zimą nawet niezamarzające, na przeszkody od ludzi lub zwierza, więc chociaż i nocami zamierzyła wciąż pędzić, mimo chęci utwierdzała się w przekonaniu, że nawet gdyby jej szło pomyślnie, Bóg wie kiedy stanie w Chreptiowie.

Udało jej się wyrwać z ramion Azji, lecz co dalej będzie? Niewątpliwie wszystko było lepsze od tych ohydnych ramion, jednakże na myśl, co ją czeka, krew ścinała jej się lodem w żyłach.

Oto przyszło jej zaraz do głowy, że jeśli będzie szczędzić konie, może zostać doścignięta. Lipkowie znali te stepy na wylot, i skryć się w nich przed ich okiem, przed pogonią, było prawie niepodobieństwem. Oni to przecież po całych dniach ścigali nawet wiosną i latem Tatarów, gdy kopyta końskie nie zostawiały śladów w śniegu, w rozmiękłej ziemi; oni czytali w stepie jak w otwartej księdze; oni przezierali te równie jak orły, umieli w nich wietrzyć jak psy gończe; im życie całe schodziło na pościgach. Próżno Tatarzy szli nieraz strumieniami, by nie zostawić śladów — Kozacy, Lipkowie i Czeremisy, zarówno jak i polscy stepowi zagończycy, umieli ich odnaleźć, „sposobami" na ich „sposoby" odpowiedzieć i wpaść tak nagle, jakby spod ziemi wyrośli. Jakże tu uciekać przed takim ludem? Chyba zostawić ich tak daleko za sobą, by sama odległość uczyniła pościg niemożliwym. Ale w takim razie popadają konie.

„Popadają niechybnie, jeśli ciągle będą tak iść jak dotąd" — myślała z przerażeniem Basia spoglądając na mokre, dymiące ich boki i na pianę, która płatami spadała na ziemię.

Więc chwilami zatrzymywała bieg i poczynała słuchać, ale wówczas w każdym powiewie wiatru, w szmerze liści obrastających jary, w suchym szeleście, z jakim uderzały o się wyschłe łodygi stepowych badylów, w szumie skrzydeł przelatującego ptaka, nawet w ciszy pustynnej dzwoniącej w uszach, słyszała odgłosy pogoni.

I przerażona, znów wypuszczała konie i biegła szalonym pędem, póki chrapanie ich nie oznajmiło, że nie mogą tak biec dalej.

Ciężar samotności i niemocy przygniatał ją coraz silniej. Ach! Jakąż czuła się sierotą, jakiż żal, równie ogromny jak niesłuszny, wzbierał w jej sercu do wszystkich ludzi, do najbliższych i najdroższych, że ją tak opuścili!

Potem pomyślała jeszcze, że to pewnie Bóg ją karze za jej żądzę przygód, za jej wyrywanie się na wszystkie łowy, na wyprawy wbrew nieraz chęciom męża, za płochość i brak statku. Pomyślawszy to rozpłakała się serdecznie i podniósłszy główkę do góry, jęła powtarzać chlipiąc:

— Ukarz, ale nie opuść! Michała nie karz, Michał niewinny!

Tymczasem zbliżała się noc, a z nią chłód, pomroka, niepewność drogi i niepokój. Przedmioty poczęły się zacierać, mącić, tracić określone kształty, a zarazem jakby się ożywiać tajemniczo i czaić. Nierówności na zrębach wysokich skał wyglądały jakby

głowy poprzybierane w czapki spiczaste i okrągłe, które wychylają się zza jakichś olbrzymich murów i spoglądają cicho a złożyczliwie, kto tam przejeżdża dołem. Gałęzie drzew, poruszane powiewem, miały jakieś ruchy ludzkie: jedne kiwały na Basię, niby chcąc ją przywołać i tajemnicę jakąś straszną jej powierzyć; drugie zdawały się mówić i ostrzegać: „Nie zbliżaj się!" Skarpy przewróconych drzew podobne były do jakichś potwornych istot skurczonych do skoku. Basia była odważna, bardzo odważna, ale jak wszyscy ówcześni ludzie — przesądna. Toteż gdy pomroka zapadła zupełnie, włos wyprężał się jej na głowie, a dreszcz przechodził przez ciało na myśl o nieczystych siłach, które mogą zamieszkiwać te strony. Bała się szczególniej upiorów. Wiara w nie była szczególniej rozpowszechniona po całym Naddniestrzu z powodu sąsiedztwa Multan i właśnie te strony, koło Jampola i Raszkowa, miały pod tym względem złą sławę. Tylu tu ludzi schodziło ustawicznie ze świata nagłą śmiercią, bez spowiedzi, rozgrzeszenia. Basia przypomniała sobie wszystkie opowieści, które wieczorami w Chreptiowie prawili przy ogniu rycerze: więc o dolinach przepaścistych, w których gdy wiatr powiał, zrywały się nagle jęki: „Jezu, Jezu!" — o płomieniach błędnych, w których coś chrapało — o śmiejących się skałach — o bladych dzieciach „sysunach" z zielonymi oczyma i potwornej głowie, które prosiły, by je zabrać na koń, a zabrane poczynały wysysać krew — wreszcie o głowach bez kadłubów chodzących na pajęczych nogach i o najstraszniejszych z tych wszystkich okropności, dorosłych upiorach, czyli tak zwanych z wołoska „brukołakach", które wprost rzucały się na ludzi.

Basia poczęła się żegnać znakiem krzyża i nie ustawała dopóty, dopóki nie zemdlała jej ręka, ale i wówczas odmawiała litanię, bo żadną inną bronią przeciw nieczystym siłom nie można było nic poradzić. Otuchy dodawały jej konie, które nie okazując żadnej trwogi, parskały raźno. Chwilami dłonią klepała kark swego dzianeta, jakby chcąc się tym sposobem przekonać, że się na rzeczywistym znajduje świecie.

Noc, z początku bardzo ciemna, stawała się z wolna jaśniejszą i wreszcie przez rzadką mgłę zamigotały gwiazdy. Dla Basi była to okoliczność nadzwyczaj pomyślna, bo naprzód, strach jej zmniejszył się, a po wtóre, patrząc na Wielki Wóz mogła się kierować ku północy, czyli w stronę Chreptiowa. Rozglądając się po okolicy, wyrachowała sobie, że oddaliła się już znacznie od Dniestru, bo mniej tu było skał, kraj rozłożysty, więcej obłych wzgórz porośniętych dębiną i częste obszerne równie.

Raz po raz jednak musiała przebywać jary i spuszczała się w nie zawsze z obawą w sercu, w głębiach ich bowiem było ciemno i chłód tam leżał surowy, przenikliwy.

Niektóre tak były strome, iż należało je objeżdżać, z czego wynikała wielka strata czasu i nadkładanie drogi.

Gorzej jednak było ze strumieniami i rzeczkami, których sieć cała płynęła od wschodu ku Dniestrowi. Wszystkie były już rozmarznięte i konie chrapały bojaźliwie wchodząc nocą w nieznane, o niewiadomej głębinie wody. Basia przeprawiała się tylko w tych miejscach, gdzie rozłożysty brzeg pozwalał przypuszczać, że rozlana szeroko woda jest płytka. Jakoż po większej części tak bywało; na niektórych jednak przeprawach woda dochodziła do połowy brzuchów końskich; Basia wówczas klękała obyczajem żołnierskim na kulbace i trzymając się rękoma za przednią kulę, starała się nie zamoczyć nóg. Jednakże nie ze wszystkim jej się to udało i wkrótce zimno dotkliwe chwyciło ją od stóp do kolan.

— Daj Boże dzień, pojadę raźniej! — powtarzała sobie co chwila.

Na koniec wyjechała na obszerną równię porosłą rzadkim lasem i widząc, że konie ledwie już nogi wloką, zatrzymała się na wypoczynek. Oba rumaki powyciągały w tej chwili szyje ku ziemi i wysuwając jedną z nóg przednich, poczęły skubać chciwie mchy i zwiędłą trawę. W lesie była zupełna cisza, którą przerywał tylko donośny oddech koni i chrupotanie traw w ich potężnych szczękach.

Zaspokoiwszy, a raczej oszukawszy pierwszy głód, oba rumaki miały widocznie ochotę się wytarzać, ale Basia nie mogła dogodzić tej ich chęci. Nie śmiała nawet popuścić popręgów i sama zleźć na ziemię, bo chciała być w każdej chwili do dalszej ucieczki gotową.

Przesiadła się jednak na Azjowego bachmata, bo dzianet niósł ją już od ostatniego południowego popasu, a lubo dzielny i szlachetną krew w żyłach mający, był jednak od bachmata delikatniejszy.

Urządziwszy to, po pragnieniu, które gasiła kilkakrotnie w czasie przepraw, poczuła głód, więc zaczęła jeść owo siemię, którego woreczek znalazła przy kulbace Tuhajbejowicza. Wydało się jej bardzo dobre, choć nieco zgorzkniałe, więc jadła dziękując Bogu za ten niespodziany posiłek.

Lecz jadła oszczędnie, by starczyło aż do Chreptiowa. Potem zaraz sen jął kleić z nieprzepartą siłą jej powieki, ale jednocześnie, gdy ruch koński przestał ją rozgrzewać, przejęło ją dotkliwe zimno. Nogi miała zupełnie skostniałe; czuła też niezmierne znużenie w całym ciele, szczególniej w krzyżu i w ramionach wysilonych pasowaniem się z Azją. Ogarnęła ją wielka słabość i oczy jej przymknęły się.

Lecz po chwili otworzyła je przemocą.

„Nie! W dzień, w czasie jazdy, spać będę — pomyślała — bo jeśli teraz zasnę, to zmarznę…”

Jednakże myśli jej mąciły się coraz bardziej lub zachodziły jedne na drugie, przedstawiając bezładne obrazy, w których puszcza, ucieczka, pogoń, Azja, mały rycerz, Ewka i ostatnie zdarzenia mieszały się ze sobą w półsen, w półjawę. Wszystko to gdzieś biegło naprzód, jak biegnie fala gnana wiatrem, a ona, Basia, biegła razem, bez strachu, bez radości, jakoby z umowy. Azja niby ją gonił, ale jednocześnie rozmawiał z nią i frasował się o konie; pan Zagłoba gniewał się, że wieczerza wystygnie, Michał pokazywał drogę, a Ewka jechała za nimi w saniach, jedząc daktyle.

Potem te osoby zacierały się coraz bardziej, jak gdyby je poczęła przesłaniać mglista zasłona lub pomroka — i stopniowo nikły; została tylko ciemność jakaś dziwna, bo lubo wzrok nie przebijał jej wcale, wydawała się jednak pustą i idącą niezmiernie daleko… Przenikała ona wszędy, przenikała następnie do głowy Basi i pogasiła w niej wszystkie widzenia, wszystkie myśli, jak powiew wiatru gasi palące się nocą na otwartym powietrzu pochodnie.

Basia usnęła, ale może na szczęście dla niej, zanim chłód zdołał zwarzyć krew w jej żyłach, obudził ją niezwykły hałas. Konie szarpnęły się nagle: widocznie działo się w puszczy coś nadzwyczajnego.

Basia odzyskawszy w jednej chwili przytomność, chwyciła Azjowy muszkiet i pochylona na koniu, ze skupioną uwagą i rozdętymi nozdrzami poczęła nasłuchiwać. Była to tego rodzaju natura, że każde niebezpieczeństwo w pierwszym mgnieniu oka budziło w niej czujność, odwagę i gotowość do obrony.

Lecz tym razem, przysłuchawszy się pilniej, uspokoiła się zaraz. Odgłosy, które ją zbudziły, były rechtaniem dzikich świń. Czy basiory podbierały się ku warchlakom, czy też odyńce poczęły się ciąć o samury, dość, że naraz rozebrzmiała cała puszcza. Ów warchoł odbywał się niezawodnie dość daleko, ale wśród ciszy nocnej i powszechnego uśpienia wydawał się tak bliskim, iż Basia słyszała nie tylko rechtanie i kwiki, ale świst głośny oddychających gwałtownie nozdrzy. Nagle rozległ się łomot, tętent, trzask łamanych chrustów i całe stado, lubo niewidzialne dla Basi, przeleciawszy w pobliżu, pogrążyło się w głębiach puszczy.

A w onej niepoprawnej Basi, mimo jej strasznego położenia, zbudziła się na mgnienie powieki żyłka myśliwska i zrobiło się jej żal, że nie widziała przelatującego stada.

„Człowiek by się trocha przypatrzył — rzekła sobie w duszy — ale nic to! Jadąc tak lasami, pewnie jeszcze co zobaczę...”

I dopiero po tej uwadze przypomniawszy sobie, że lepiej nic nie widzieć, a jak najprędzej uciekać, puściła się w dalszą drogę.

Nie można było stać dłużej jeszcze i dlatego, że chłód ogarniał ją coraz dotkliwszy, a ruch koni rozgrzewał ją znacznie, mało stosunkowo nużąc. Konie za to, które nieco tylko mchu i zmarzłych traw zdołały uszczknąć, ruszyły wielce niechętnie i z pospuszczanymi głowami. Szron w czasie postoju okrył im boki i zdawało się, że ledwie nogi wloką. Szły przecie od południowego popasu niemal bez wytchnienia.

Przejechawszy polanę, z oczyma utkwionymi w Wielki Wóz na niebie, Basia pogrążyła się w puszczę, niezbyt gęstą, ale pagórkowatą, poprzecinaną wąskimi jarami. Stało się też i ciemniej, nie tylko z powodu cienia, jakie rzucały rozłożyste drzewa, ale także i dlatego, że opary podniosły się z ziemi i skryły gwiazdy. Trzeba było jechać na oślep. Jedne tylko jary dawały Basi jakąkolwiek wskazówkę, że posuwa się w słusznym kierunku, bo to wiedziała, że wszystkie one ciągną się od wschodu ku Dniestrowi, że więc przebywając coraz nowe, zdąża wciąż ku północy. Pomyślała jednak, że mimo tej wskazówki grozi jej zawsze: albo zbytnie oddalenie się od Dniestru, albo zbytnie zbliżenie się ku niemu. I jedno, i drugie mogło być niebezpieczne, bo w pierwszym razie wypadłoby nałożyć ogromnie drogi, w przeciwnym — mogła wyjechać na Jampol i tam wpaść we wraże ręce.

Czy zaś była jeszcze przed Jampolem czy właśnie na jego wysokości, czy też zostawiła go już za sobą, o tym nie miała najmniejszego pojęcia.

„Prędzej będę wiedziała, kiedy ominę Mohilów — mówiła sobie — bo ten leży w jarze wielkim i ciągnącym się daleko, któren może poznam”.

Po czym spojrzawszy w niebo myślała dalej:

„Daj mi Boże przebrać się jeno za Mohilów, bo tam zaczyna się już Michałowe panowanie, tam mnie już nic nie ustraszy...”

Tymczasem noc stała się jeszcze ciemniejszą. Szczęściem, na podłożu leśnym leżał tu już śnieg, na którego białym tle można było odróżniać ciemne pnie drzew, niższe konary i omijać je. Natomiast musiała Basia jechać wolniej i skutkiem tego na duszę jej padły znów te strachy przed siłą nieczystą, które na początku nocy ścinały jej krew lodem.

„Jeśli zobaczę świecące ślepie nisko — rzekła do swej strwożonej duszy — nic to! To będzie wilk; ale jeśli na wysokości człowieka...”

I w tej samej chwili krzyknęła głośno:

— W imię Ojca i Syna!...

Bo czy to było złudzenie, czy może dziki zdeb siedział na gałęzi, dość, że Basia wyraźnie ujrzała parę błyszczących ślepiów na wysokości człowieka.

Z trwogi jej samej zaszły oczy pomroką, ale gdy przejrzała znowu, nie było już nic widać, tylko jakiś szelest dał się słyszeć między konarami, tylko jej serce tłukło się w piersiach tak głośno, jak gdyby chciało pierś rozsadzić.

I jechała dalej, długo, długo wzdychając do światła dziennego. Noc dłużyła się jednak niezmiernie. Wkrótce potem znów rzeka przegrodziła jej drogę. Basia była już dość daleko za Jampolem, nad brzegiem Rosawy, ale nic nie wiedziała, gdzie jest, odgadywała tylko, że jednak posuwa się wciąż na północ, skoro napotkała nową rzekę. Odgadywała także, że noc musi już być na schyłku, bo chłód powiększył się znacznie; widocznie brał mróz, tuman opadł i gwiazdy ukazały się znowu, jeno bledsze, niepewnym światłem świecące.

Na koniec ciemność poczęła blednąć stopniowo. Pnie, gałęzie i gałązki stawały się widoczniejsze. W lesie zapanowała zupełna cisza — dniało.

Po pewnym czasie Basia mogła już odróżnić maść koni. Na koniec na wschodzie między gałęziami drzew ukazała się taśma świetlista — czynił się dzień, i to dzień pogodny.

Wówczas Basia poczuła niezmierne znużenie. Usta jej otwierały się przeciągłym poziewaniem, a oczy kleiły się; niebawem zasnęła mocno, ale na krótko, bo zbudziła ją gałąź, o którą zawadziła głową. Szczęściem, konie szły niezmiernie wolno, poskubując po drodze mchy, więc uderzenie było tak lekkie, iż nie przyczyniło jej żadnej szkody. Słońce wstało już i blade, śliczne jego promienie przedzierały się przez bezlistne gałęzie. Na ów widok otucha wstąpiła w serce Basi; między sobą a pogonią zostawiła już przecie tyle stepu, tyle gór, jarów i całą noc.

„Byle mnie nie schwycili ci z Jampola lub z Mohilowa, to tamci już chyba nie zgonią” — rzekła sobie.

Liczyła i na to, że w początku ucieczki jechała skalistym podłożem, za czym kopyta nie mogły zostawiać śladów.

Lecz wkrótce znów ogarnęło ją zwątpienie.

„Lipkowie i na skałach, i na kamieniach śladów dopatrzą, a będą ścigać zawzięcie, chyba że im konie popadają”.

To ostatnie przypuszczenie było najprawdopodobniejsze. Dość Basi było spojrzeć na swoje konie. I dzianet, i bachmat miały boki wpadłe, głowy pospuszczane, wzrok zgasły. Idąc, raz w raz schylały łby ku ziemi, by zachwycić nieco mchu, lub skubały mimochodem rude liście więdnące tu i owdzie na niskich krzach dębowych. Musiała też trawić je gorączka, bo u wszystkich przepraw piły chciwie.

Mimo tego Basia, wydostawszy się na nieporośnięte pole między dwoma borami, puściła znowu w skok utrudzone rumaki i pędziła tak aż do drugiego boru.

Po przejechaniu onego trafiła na drugą polanę, jeszcze obszerniejszą i wzgórzystą. Za wzgórzami, w odległości mniej więcej ćwierci mili, widać było dym podnoszący się strzeliście jak sosna ku niebu. Było to pierwsze zamieszkałe miejsce, na jakie trafiła Basia, bo zresztą kraj ten z wyjątkiem samego pobrzeża był, a raczej zmieniony został na pustynię, nie tylko wskutek napadów tatarskich, ale wskutek ciągłych wojen polsko-kozackich. Po ostatniej wyprawie pana Czarnieckiego, której ofiarą padła Busza, miasteczka zeszły na liche osady, wsie pozarastały młodym lasem. A przecie po panu Czarnieckim tyle jeszcze było wypraw, tyle bitew, tyle rzezi, aż do ostatnich czasów, w których wielki Sobieski wydarł te kraje nieprzyjacielowi. Życie poczynało się w nich znów z wolna pienić, ten jednak szlak, którym jechała Basia, szczególniej był pusty; kryli się w nim tylko zbóje, lecz i tych wygniotły już prawie zupełnie komendy stojące w Raszkowie, Jampolu, Mohilowie i Chreptiowie.

Pierwszą myślą Basi na widok owego dymu było jechać ku niemu, odnaleźć chutor czy też szałas, czy wreszcie proste ognisko, ogrzać się przy nim i pożywić! Lecz wkrótce przyszło jej do głowy, że w tych stronach lepiej spotkać się ze stadem wilków niż z ludźmi; ludzie byli tu dziksi i okrutniejsi od zwierząt. Owszem, należało pognać konie i mijać czym prędzej to leśne ludzkie schronisko, bo tylko śmierć mogła w nim czekać.

Na samym skraju przeciwległego boru spostrzegła Basia mały stóg siana, więc nie zważając już na nic zatrzymała się przy nim, by konie pokarmić. Te jadły chciwie, zanurzając głowy razem z uszami w stóg i wyciągając spore wiechetki siana. Na nieszczęście przeszkadzały im wielce munsztuki; ale Basia nie chciała ich rozkiełznać, tak sobie słusznie rozumując:

„Tam, gdzie było dym widać, musi być jakiś chutor, że zaś tu stóg stoi, więc w chutorze mają konie, na których mogliby mnie ścigać, za czym trzeba być gotową”.

Spędziła jednak przy stogu z godzinę czasu, tak że konie podjadły nieźle, a i ona sama pożywiła się siemieniem. Ruszywszy dalej i przejechawszy kilka stajań spostrzegła nagle przed sobą dwóch ludzi niosących pęki chrustu na plecach.

Jeden był człowiek niestary, ale nie pierwszej już młodości, z twarzą poznaczoną ospą i z kosymi oczyma, szpetny, straszny, o okrutnym, zwierzęcym wyrazie oblicza; drugi, młody wyrostek, był obłąkany.

Można to było poznać na pierwszy rzut oka po jego głupkowatym uśmiechu i nieprzytomnym wzroku.

Obaj na widok jeźdźca i koni porzucili pęki chrustu na ziemię i widocznie zlękli się bardzo. Ale spotkanie było tak niespodziane i stali tak blisko, że nie mogli uciekać.

— Sława Bohu! — ozwała się Basia.

— Na wiki wików.

— A jako się zwie ów chutor?

— A po co on się ma nazywać. Ot, chata!

— Daleko zaś do Mohilowa?

— My ne znajem...

Tu starszy począł się pilnie przypatrywać twarzy Basi. Ponieważ miała na sobie męski ubiór, wziął ją za wyrostka, i zaraz na twarzy jego na miejscu dawnego strachu pojawiła się zuchwałość i okrucieństwo.

— A szczo wy takij mołodenkij, pane łycar?

— A tobi szczo?

— I sami jedziecie? — mówił chłop postępując krok naprzód.

— Wojsko za mną idzie.

Ów zatrzymał się, popatrzył na ogromną polanę i odparł:

— Nieprawda. Nikogo nie ma.

To rzekłszy postąpił jeszcze parę kroków; kose oczy zaświeciły mu ponuro, a jednocześnie, złożywszy usta, począł naśladować głos przepiórki, widocznie chcąc kogoś w ten sposób przywabić.

Wszystko to wydało się Basi nader złowrogim, więc bez wahania wymierzyła mu krócicę w piersi.

— Milcz, bo zginiesz!

Chłop zamilkł, a co więcej, rzucił się natychmiast plackiem na ziemię. To samo uczynił obłąkany wyrostek, ale ów począł przy tym wyć ze strachu jak wilk. Być może, że w swoim czasie umysł jego obłąkał się z jakiegoś postrachu, bo teraz wycie jego brzmiało okropnym przerażeniem.

Basia wypuściła konie i pomknęła jak strzała. Szczęściem las był niepodszyty, a drzewa stały rzadko. Wkrótce też zaświeciła nowa polana, wąska, ale bardzo długa. Konie, podjadłszy przy stogu, nabrały nowych sił i gnały wichrem.

„Dopędzą do domu, siędą na konie i będą mnie ścigali" — myślała Basia.

Pocieszało ją tylko to, że konie dobrze idą i że od miejsca, w którym spotkała owych ludzi, do chutoru było dość daleko.

„Nim dojdą do chaty, nim konie wyprowadzą, ja tak jadąc będę od nich w mili albo we dwóch".

Istotnie tak było. Ale gdy upłynęło kilka godzin i Basia przekonawszy się, że nie jest ściganą, zwolniła biegu, wielki przestrach, wielkie pognębienie opanowało jej serce, a do oczu cisnęły się przemocą łzy.

Spotkanie owo nauczyło ją, czym są ludzie w tych stronach i czego można się było od nich spodziewać. Wprawdzie nie było to dla niej niespodziane. I z własnego doświadczenia, i z opowiadań chreptiowskich wiedziała, że dawni spokojni osadnicy albo wynieśli się z tych pustyń, albo ich wojna pożarła, ci zaś, co pozostali, żyjąc w ustawicznych trwogach wojennych, wśród okropnej zawieruchy domowej i tatarskich napadów, w stosunkach, w których człowiek człowiekowi był wilkiem, bez kościołów, wiary, bez innych przykładów, jak przykłady mordu i pożogi, nie znając innego prawa nad pięść, wyzbyli się wszelkich uczuć ludzkich i zdziczeli na podobieństwo zwierza leśnego. Basia wiedziała o tym dobrze; jednakże człowiek samotny, w pustyniach zabłąkany, w ucisku od głodu i chłodu zostający, mimowiednie przede wszystkim od pokrewnych sobie istot pomocy wygląda. Tak i ona ujrzawszy ów dym, siedlisko ludzkie oznaczający, mimowiednie, idąc za pierwszym porywem serca, chciała tam biec, imieniem boskim mieszkańców przywitać i pod ich dachem zmęczoną głowę przytulić. Tymczasem okrutna rzeczywistość wyszczerzyła zaraz na nią zęby jak zły pies; dlatego serce jej wezbrało goryczą i łzy żalu a zawodu napłynęły do oczu.

„Znikąd pomocy, jedno od Boga — pomyślała — bogdaj mi już ludzi nie napotkać".

Po czym jęła rozważać, czemu ów chłop począł udawać przepiórkę; niechybnie w pobliżu byli jeszcze jacyś ludzie i ów przywołać ich pragnął. Przyszło jej do głowy, że jest na szlaku zbójów, którzy wyparci z jarów nadrzecznych, widocznie schronili się do puszcz, głębiej w kraju leżących, w których sąsiedztwo szerokich stepów zapewniało im większe bezpieczeństwo i łatwiejszą w potrzebie ucieczkę.

„Ale co będzie — pytała Basia — gdy ich spotkam kilku lub kilkunastu? Muszkiet — to jeden, dwie krócice — to dwóch, szabla — niechby dwóch jeszcze, jeśli jednak będzie ich więcej, zginę straszną śmiercią”.

I o ile poprzednio, wśród nocy i jej trwóg, życzyła sobie, by dzień uczynił się jak najprędzej, tak teraz z tęsknotą wyglądała pomroki, która mogła skryć ją łatwiej przed złymi oczyma.

Dwakroć jeszcze w czasie wytrwałej jazdy zdarzyło jej się przejeżdżać w pobliżu ludzi. Raz ujrzała na skraju wysokiej równi kilkanaście chat. Może nawet nie mieszkali w nich zbóje z rzemiosła, ale wolała je minąć skokiem, wiedząc, że i wieśniacy niewiele są lepsi od zbójów; drugi raz do uszu jej doszedł odgłos siekier rąbiących drzewo.

Upragniona noc okryła wreszcie ziemię. Basia tak już była znużona, że gdy dostała się na goły, nie obrośnięty lasem step, rzekła sobie:

„Tu nie rozbiję się o drzewa, za czym usnę teraz, choćbym miała i zmarznąć”.

Gdy przymykała już oczy, zdało jej się, że hen, w oddali, na białym śniegu widzi kilka czarnych punktów, które poruszają się w różnych kierunkach. Przez chwilę jeszcze przezwyciężyła sen. — To pewnie wilki! — mruknęła z cicha.

Nim jednak przejechała kilkadziesiąt kroków, owe punkta znikły, więc usnęła zaraz tak mocno, że zbudziła się dopiero, gdy bachmat Azjów, na którym siedziała, zarżał pod nią.

Basia obejrzała się wkoło: była na skraju lasu i zbudziła się w porę, inaczej bowiem mogłaby się rozbić o drzewo.

Nagle spostrzegła, że drugiego konia nie masz przy niej.

— Co się stało? — zawołała z trwogą wielką.

Stała się jednak rzecz bardzo prosta: oto Basia uwiązała wprawdzie lejce od uzdy dzianeta do kuli kulbaki, na której siedziała sama, ale skostniałe ręce źle jej posłużyły i nie zdołały zadzierzgnąć silnie węzła; następnie lejce rozwiązały się i znużony koń został, by szukać karmu pod śniegiem lub położyć się.

Na szczęście Basia miała krócicę nie w olstrach, ale za pasem; róg z prochem i woreczek z resztką siemienia także były przy niej. Ostatecznie nieszczęście nie było zbyt straszne, bo bachmat Azjów, jeśli nawet ustępował w szybkości dzianetowi, to natomiast niezawodnie przewyższał go wytrwałością na trud i zimno. Jednakże Baśce żal się zrobiło ulubionego rumaka i w pierwszej chwili postanowiła go odszukać.

Zdziwiło ją to jednak, gdy obejrzawszy się na step, nie ujrzała go wcale, choć noc była nadzwyczaj widna.

„Pozostać pozostał — pomyślała — nie popędził z pewnością naprzód, ale musiał się położyć w jakimś wgłębieniu i dlatego go nie widzę”.

Bachmat zarżał drugi raz, przy czym zatrząsł się jakoś i uszy położył na karku, lecz od strony stepu odpowiedziało mu milczenie.

„Pojadę, poszukam!” — rzekła Basia. I już zwróciła konia, gdy naraz niespodziewana trwoga schwyciła ją, zupełnie jakby głos ludzki zawołał :

„Basiu, nie wracaj!”

Jakoż w tej chwili ciszę zmąciły inne złowróżbne głosy, bliskie a wychodzące niby spod ziemi: były to wycia, charkotania, skomlenia, jęki, wreszcie kwik okropny, krótki, urwany... Było to wszystko tym straszniejsze, że na stepie nic nie było widać. Basię zimny pot oblał od stóp do głowy, a z jej zsiniałych warg wyrwał się okrzyk:

— Co to jest? Co się dzieje?

Odgadła wprawdzie od razu, że wilki zarzynają jej konia, lecz nie mogła zrozumieć, dlaczego tego nie widzi, kiedy — sądząc po odgłosach — działo się to nie dalej jak o jakie pięćset kroków od niej.

Nie czas jednak było lecieć na ratunek, bo koń musiał być już rozszarpany, a zresztą trzeba było myśleć o własnym ocaleniu; więc Basia, wypaliwszy na postrach z krócicy, ruszyła w dalszą drogę. Jadąc rozmyślała o tym, co się stało, i przez chwilę przemknęło jej przez głowę, że to może nie wilki porwały jej konia, skoro owe głosy słychać było spod ziemi. Na tę myśl mrówki poczęły zaraz chodzić jej po krzyżach, lecz zastanowiwszy się lepiej, przypomniała sobie, iż we śnie majaczyło się jej, że zjeżdża z góry, a potem znów wdziera się na górę.

Tak musiało być — rzekła sobie — musiałam śpiąc przejechać jakiś jar mało stromy, tam został mój dzianet i tam napadli go wilcy.

Reszta nocy zeszła bez przygody. Bachmat, podjadłszy nieco sianem zeszłego ranka, szedł bardzo wytrwale, tak iż sama Basia podziwiała jego siłę. Był to tatarski koń „wilczar”, wielkiej urody i wytrwałości prawie bez granic. W czasie krótkich postojów, które czyniła Basia, żarł wszystko nie przebierając: mchy, liście, obgryzał nawet korę drzewną i szedł a szedł. Na polanach puszczała go w skok. Wówczas stękał nieco i oddychał rozgłośnie; powstrzymywany — sapał, trząsł się i spuszczał nisko głowę ze znużenia, ale nie padał.

Dzianet, choćby nie zginął pod wilczymi zębami, i tak by nie wytrzymał takiej drogi.

Nazajutrz Basia, odmówiwszy ranne pacierze, poczęła czynić rachunek czasu:

„Azji wyrwałam się w czwartek z południa — mówiła sobie — i jechałam w skok do nocy; potem przeszła w drodze jedna noc, potem cały dzień, potem znów cała noc i teraz zaczął się trzeci dzień. Chyba pogoń, choćby i była, musiała już wrócić i Chreptiów powinien być niedaleko, bo przecie nie żałowałam koni".

Po chwili zaś dodała:

„Oj, czas, czas już! Boże, zmiłuj się nade mną!"

Chwilami brała ją chęć zbliżyć się ku rzece, bo przy brzegu prędzej by pomiarkowała, gdzie jest, ale bała się pomnąc, że pięćdziesięciu Azjowych Lipków zostało u pana Gorzeńskiego w Mohilowie. Przychodziło jej na myśl, że kołując tak bardzo, mogła jeszcze nie przejechać Mohilowa. W drodze, o ile sen nie zamykał jej oczu, starała się wprawdzie uważać pilnie, czy nie trafi na jar bardzo obszerny, podobny do tego, w którym leżał Mohilów, ale nie zauważyła nic takiego; jar zresztą mógł się zwężać i wyglądać zupełnie inaczej przy Mohilowie niż w głębi, mógł się i kończyć albo skręcać o kilkanaście stajań za miastem, słowem, Basia nie miała najmniejszego pojęcia, gdzie się znajduje.

Prosiła tylko nieustannie Boga, żeby to było już blisko, bo czuła, że niedługo już wytrzyma trudy, zimno, bezsenność i wreszcie głód; od trzech dni żywiła się tylko siemieniem, a chociaż oszczędzała go bardzo, jednak ostatnie ziarnko zjadła tego ranka i nic nie było już w woreczku.

Teraz mogła się tylko żywić i rozgrzewać nadzieją, że Chreptiów blisko. Prócz nadziei rozgrzewała ją zapewne i gorączka. Basia czuła doskonale, że ją ma, bo jakkolwiek na świecie było coraz zimniej, a nawet po prostu mroźno, ręce jej i nogi, o ile były na początku podróży skostniałe, o tyle teraz rozpalone, i pragnienie dokuczało jej wielkie.

„Byle przytomności nie utracić — mówiła sobie — byle choć na ostatnie tchnienie zdążyć do Chreptiowa, zobaczyć Michała, potem dziej się wola boża..."

Przyszło jej znowu przeprawiać się przez liczne strumienie i rzeki, ale albo były płytkie, albo zamarznięte; na niektórych wierzchem płynęła woda, a spodem był lód twardy i mocny. Jednakże najbardziej ze wszystkiego bała się tych przepraw dlatego, że i bachmat, jakkolwiek nieustraszony, bał się ich widocznie. Wchodząc w wodę lub na lód, chrapał, tulił uszy, częstokroć opierał się, a zmuszony, wchodził ostrożnie, stawiając z wolna nogę przed nogą i wietrząc rozdętymi nozdrzami.

Było już dobrze z południa, gdy Basia, jadąc gęstym borem, stanęła przed jakąś rzeką, większą od innych, a zwłaszcza znacznie szerszą. Wedle jej przypuszczenia mogła

być to Ladawa albo Kałusik. Na ten widok zabiło jej serce radością. W każdym razie Chreptiów musiał być niedaleko; choćby go zaś Basia i minęła, zawsze mogła się uważać za ocaloną, bo tam i kraj był więcej osiadły, i ludzi mniej się należało obawiać. Rzeka, jak Basia mogła sięgnąć okiem, miała brzegi strome, w jednym tylko miejscu widocznie był szczerk i spętana lodem woda zachodziła łagodnie na brzeg, jak gdyby rozlana w płytkim a rozłożystym naczyniu. Brzegi były zupełnie zmarznięte, środkiem tylko płynęła szeroka wstęga wody; lecz Basia spodziewała się, że znajdzie pod nią lód, jak zwykle.

Bachmat wszedł opierając się nieco, jak przy każdej przeprawie, ze zgiętym karkiem i obwąchując nozdrzami śnieg przed sobą. Przybywszy do bieżącej wierzchem wody Basia uklękła, wedle zwyczaju, na kulbace, dzierżąc się obu rękoma za przednią kulę.

Woda zachlupotała pod kopytami. Lód był istotnie pod nią twardy, obmoczony; kopyta uderzały weń jakby w kamień, lecz widocznie hacele podków stępiły się przez długą a miejscami skalistą drogę, bo wnet bachmat począł się ślizgać; nogi rozchodziły mu się, jak gdyby uciekały spod niego; nagle padł na przód, aż nozdrza zamoczyły mu się w wodzie, więc zerwał się, padł znów na zad, znów się zerwał, lecz przerażany, począł rzucać się i bić kopytami rozpaczliwie. Basia szarpnęła za uzdę, a wtem dał się słyszeć głuchy trzask i zadnie nogi konia aż do kłębów zapadły w głębinę.

— Jezus, Jezus! — krzyknęła Basia.

Rumak, stojąc jeszcze przednimi nogami na twardym gruncie, uczynił straszne wysilenie, lecz widocznie kawały lodu, na których się wspierał, jęły się teraz wysuwać spod jego nóg, bo zapadł głębiej i począł jęczeć chrapliwie.

Basia miała jeszcze tyle czasu i tyle przytomności, że chwyciwszy za grzywę rumaka, po jego karku wydostała się na lód niepołamany, leżący przed koniem. Tam upadła i zamoczyła się w wodzie. Lecz podniósłszy się i uczuwszy twardy grunt pod nogami, wiedziała, że jest ocaloną. Chciała nawet jeszcze ratować konia, więc przechyliwszy się chwyciła za lejce i cofając się ku drugiemu brzegowi poczęła je ciągnąć z całej mocy.

Ale bachmat zasuwał się w głębinę i nie mógł już wydostać z niej nawet przednich nóg, by je zaczepić o nie pokruszony dotąd zrąb lodu. I lejce wyprężały się coraz silniej, a on pogrążał się coraz bardziej. Wreszcie zanurzył się zupełnie, tylko szyja i łeb wystawały mu nad lodem. Począł na koniec stękać prawie ludzkim głosem, wyszczerzając przy tym zęby; oczy jego patrzyły w Basię z nieopisanym smutkiem, jakby jej chciał mówić: „Nie ma już dla mnie ratunku; puść lejce, bo i ciebie jeszcze wciągnę…”

Jakoż nie było dla niego ratunku, i Basia musiała puścić lejce.

Po czym gdy zupełnie skrył się pod lodem, poszła na drugi brzeg, tam siadła pod ogołoconym z liści krzem i poczęła szlochać jak dziecko.

Energia jej była chwilowo zupełnie złamana. A prócz tego ta gorycz i to rozżalenie, które po spotkaniu się z ludźmi napełniły jej serce, zalały je teraz jeszcze silniej. Oto wszystko było przeciw niej: błędność dróg, ciemność, żywioły, człowiek, zwierz, jedna tylko ręka boża zdawała się nad nią czuwać. W tej dobrej, słodkiej, ojcowskiej opiece złożyła całą swą ufność dziecinną, a obecnie i to ją zawiodło. Było to uczucie, którego Basia nie wypowiedziała sobie tak wyraźnie, ale natomiast tym silniej odczuwała sercem.

Cóż jej pozostawało? Skarga i łzy! A przecie zdobyła się na tyle dzielności, na tyle odwagi, na tyle wytrwania, na ile takie biedne, słabe stworzenie zdobyć się mogło. I oto koń jej się utopił, ostatnia nadzieja ratunku, ostatnia deska ocalenia — jedyne żywe stworzenie, które było przy niej. Bez tego konia nie tylko czuła się bezsilną wobec tej nieznanej przestrzeni, która ją oddzielała od Chreptiowa, wobec borów, jarów i stepów, nie tylko bezbronną wobec pościgu ludzi i zwierza, ale daleko więcej samotną, daleko bardziej opuszczoną.

Płakała, póki jej nie zbrakło łez. Potem przyszło wyczerpanie, zmęczenie i poczucie bezradności tak silne, że niemal podobne do spokoju. Więc westchnąwszy głęboko raz i drugi, rzekła sobie:

„Przeciw woli boskiej nie poradzę... tu już zamrę..."

I zmrużyła oczy, tak dawniej jasne i wesołe, a dziś zgoła zapadnięte, podkrojone.

Swoją drogą, lubo ciało jej stawało się z każdą chwilą coraz bardziej ociężałe, myśl biła się jednak w jej głowie jak trwożny ptak — i tak samo serce. Żeby to jej nikt nie kochał na świecie, mniejszy byłby żal umierać, ale przecie ją tak bardzo wszyscy kochali!

I wyobraziła sobie, co będzie, jak już zdrada Azji i jej ucieczka staną się głośne; jak będą jej szukali, jak znajdą wreszcie siniuchną, zmarzniętą, śpiącą snem wiecznym pod owym krzem nad rzeką. I nagle ozwała się głośno:

— O! To będzie Michalisko desperował! Aj! Aj!

Potem zaczęła go przepraszać, że to nie jej wina.

„Ja, Michałku — mówiła obejmując go w myśli rękoma za szyję — uczyniłam wszystko, co w mocy mojej, ale trudno, mój drogi, Pan Bóg nie chciał..."

I naraz owładnęła nią taka serdeczna miłość do ukochanego człowieka, taka chęć, by chociaż umrzeć w pobliżu tej drogiej głowy, że zebrawszy siły podniosła się znad brzegu i poszła.

Z początku szło jej niezmiernie trudno. Nogi jej odwykły podczas długiej jazdy od chodzenia, doznawała takiego uczucia, jakby szła na cudzych. Szczęściem, nie było jej zimno, było jej nawet dość ciepło, bo gorączka nie opuszczała jej ani na chwilę.

Pogrążywszy się w las, szła wytrwale naprzód, uważając, aby słońce mieć po lewej ręce. Przeszło ono już istotnie na multańską stronę, bo była to druga połowa dnia, godzina może czwarta. Basia mniej teraz zwracała uwagi na to, by nie zbliżyć się do Dniestru, bo ciągle zdawało jej się, że jest już za Mohilowem.

„Gdyby tak wiedzieć na pewno, gdyby tak wiedzieć! — powtarzała podnosząc swą zsiniałą, a jednocześnie rozpaloną twarzyczkę ku niebu. — Gdyby zwierz jaki lub jakie drzewo przemówiło i rzekło: do Chreptiowa mila, dwie — jeszcze bym może doszła…”

Ale drzewa milczały, owszem, zdawały się jej być nieprzyjazne i zagradzały korzeniami drogę. Basia potykała się co chwila o przyprószone śniegiem węzły i odskoki tych korzeni. Po pewnym czasie stało jej się nieznośnie ciężko, więc zrzuciła z ramion ciepłą delijkę i pozostała w samym kubraczku. Ulżywszy sobie w ten sposób, szła i szła jeszcze spieszniej, to potykając się, to chwilami upadając na głębszym śniegu. Buciki z cienkiego safianu podszytego futrem, bez osobnych podeszew, wyborne do sani lub konnej jazdy, nie chroniły dostatecznie jej stóp przed uderzeniami o kamienie i odziomki, a przy tym zmoczone wielokrotnie na przeprawach i utrzymywane w stanie wilgoci przez ciepło rozpalonych teraz gorączką nóg, prędko mogły się zedrzeć w lesie.

„Dojdę bosa albo do Chreptiowa, albo do śmierci” — myślała Basia.

I uśmiech żałosny rozświecał jej twarzyczkę, bo cieszyło ją jednak, że idzie tak wytrwale i że jeśli zamrze w drodze, to Michał nie będzie mógł jej pamięci nic a nic zarzucić.

I ponieważ teraz rozmawiała już ciągle z mężem, więc zaraz rzekła:

„Oj, Michałku, inna by i tyle nie dokazała, na przykład Ewka…”

O Ewce przychodziło jej nieraz myśleć w czasie tej ucieczki, nieraz też modliła się za nią, bo to było dla niej jasne, że jeśli Azja nie kochał tej dziewczyny, tedy los jej i wszystkich innych jeńców w Raszkowie pozostałych będzie straszny.

„Gorzej im niż mnie” — powtarzała sobie co chwila i na myśl o tym nabierała nowych sił.

Ale teraz, gdy upłynęła jedna godzina, druga i trzecia, sił tych ubywało za każdym krokiem. Powoli słońce zatoczyło się za Dniestr i oblawszy niebo zorzą czerwoną zgasło. Śnieg nabrał fioletowego odblasku. Potem owa złocista i purpurowa topiel zórz poczęła ciemnieć i zwężać się coraz bardziej; z morza rozlanego do wpół nieba zmieniła się w jezioro, z jeziora w rzekę, z rzeki w strumień, na koniec zabłyszczała jak świetlista nić rozciągnięta na zachodzie — i ustąpiła ciemności.

Nastała noc.

Upłynęła jeszcze godzina. Bór stał się czarny i tajemniczy, a nie poruszony żadnym powiewem, milczał, jakby się skupiał i rozważał, co ma uczynić z tym oto biednym, zabłąkanym stworzeniem. Nie było jednak nic dobrego w tej jego martwocie i ciszy, owszem, była nieczułość i zdrętwiałość.

Basia szła ciągle, chwytając coraz szybciej spieczonymi ustami powietrze, padała też coraz częściej i z powodu ciemności, i braku sił.

Główkę miała zadartą do góry, ale nie patrzyła już na przewodni Wielki Wóz, bo straciła zupełnie poczucie kierunku. Szła, żeby iść. Szła dlatego, że poczęły na nią nadlatywać przedśmiertne widzenia, bardzo jasne i słodkie.

Oto na przykład cztery strony boru poczynają się zbiegać szybko, łączą się w cztery ściany i tworzą świetlicę chreptiowską. Basia jest w niej i widzi wszystko wyraźnie. Na kominie pali się wielki ogień, a na ławach siedzą, jako zwykle, oficerowie; pan Zagłoba przekomarza się z panem Snitką; pan Motowidło siedzi milczący i patrzy w płomień, a gdy w płomieniu coś zapiszczy, to mówi swym przeciągłym głosem: „Duszo czyśćcowa, czego potrzebujesz?” Pan Muszalski i pan Hromyka grają w kości z Michałem. Basia przychodzi ku nim i mówi: „Michałku, siędę na ławie i trocha się przytulę, bo mi nieswojo”. Michał wnet ją obejmuje: „Co ci, kocie? A może?...” I pochyla się do jej ucha, i coś szepce, a ona odpowiada: „Oj, jak mi nieswojo!” Co to za jasna i spokojna świetlica, jaki kochany ten Michał — jeno Basi coś tak nieswojo, że aż ją trwoga bierze...

Basi jest tak dalece nieswojo, że gorączka opuszcza ją nagle, bo już zmogło ją przedśmiertne osłabienie. Widzenia znikają. Przytomność, a z nią pamięć wraca.

„Uciekam przed Azją — mówi sobie Basia — jestem w lesie, w nocy, nie mogę dojść do Chreptiowa i umieram”.

Po gorącu chłód obejmuje ją teraz szybko i przedostaje się przez ciało aż do kości. Nogi uginają się pod nią i klęka wreszcie w śniegu, przed drzewem.

Najmniejsza chmurka nie zaciemnia teraz jej umysłu. Żal jej życia okrutnie, ale wie doskonale, że umiera, i pragnąc polecić duszę Bogu, poczyna mówić przerywanym głosem:

— W imię Ojca i Syna...

Dalszą modlitwę przerywają jej naraz jakieś głosy dziwaczne, ostre, przeraźliwe i skrzypiące; rozlegają się one przykro i donośnie w ciszy nocnej.

Basia otwiera usta. Pytanie: „Co to jest?”, zamiera jej na wargach. Na chwilę przykłada drżące palce do twarzy, jakby się chciała rozbudzić, jakby uszom własnym nie chciała dać wiary, i z ust jej wyrywa się nagle krzyk:

— O Jezu, o Jezu! To żurawie studzienne, to Chreptiów! O Jezu!

Po czym ta konająca przed chwilą istota zrywa się i dysząc, drżąc, z oczyma wezbranymi łzami, z falującą piersią pędzi przez las, upada i podnosi się znowu, powtarzając:

— Tam konie poją! To Chreptiów! To nasze żurawie! Chociaż do bramy! Choć do bramy... O Jezu!... Chreptiów, Chreptiów!...

A tu las rzednie, odkrywa się śnieżne pole i wzgórze, z którego kilkanaście par błyszczących oczu spogląda na biegnącą Basię.

Lecz to nie oczy wilcze... Ach, to okna chreptiowskie migocą słodkim, jasnym i zbawczym światłem — to fortalicja, tam na wzgórzu, właśnie tą wschodnią stroną zwrócona do lasu.

Było jeszcze drogi na stajanie, ale Basia nie wiedziała już, kiedy ją przebiegła. Żołnierze stojący od strony wsi przy bramie nie poznali jej po ciemku, ale puścili sądząc, że to pachołek za czymś wysłany wraca do komendanta; więc ostatnim tchem wpadła do środka, przebiegła przez majdan obok żurawianych studni, przy których dragoni, wróciwszy przed chwilą z objazdu, poili na noc konie — i stanęła we drzwiach głównego domu.

Mały rycerz z panem Zagłobą siedzieli właśnie konno na ławie przed ogniem i popijając krupnik rozmawiali o Basi, mniemając, że ona tam hen, gdzieś, zagospodarowywa się w Raszkowie. Obaj byli markotni, bo im tęskno było za nią okrutnie, i obaj co dzień spierali się o termin jej powrotu.

— Broń Boże nagłych odwilży, dżdżów i roztopów, to Bóg wie, kiedy wróci — mówił posępnie pan Zagłoba.

— Zima jeszcze zdzierży — odrzekł mały rycerz — a za jakie ośm albo dziesięć dni będę już coraz to spoglądał ku Mohilowu.

— Wolałbym, żeby nie była wyjeżdżała. Nic tu po mnie bez niej w Chreptiowie.

— A czemuś waćpan radził?

— Nie zmyślaj, Michale! Twoją się to głową stało…

— Byle tylko zdrowo wróciła!

Tu westchnął mały rycerz i dodał:

— Zdrowo i jako najprędzej!…

Wtem skrzypnęły drzwi i jakieś małe, nędzne, obdarte, pokryte śniegiem stworzenie poczęło piszczeć żałośnie u proga:

— Michale, Michale!…

Mały rycerz zerwał się, ale w pierwszej chwili tak zdumiał, że stanął jak skamieniały na miejscu, ręce otworzył, oczyma jął mrugać — i stał.

Lecz ona zbliżyła się mówiąc z wysileniem, a raczej jęcząc:

— Michale!… Azja zdradził… mnie chciał porwać… alem uciekła i… ratuj!

To rzekłszy poczęła chwiać się i padła jak martwa na ziemię; wtedy on skoczył, porwał ją jak piórko na ręce, krzyknąwszy przeraźliwie:

— Chryste miłosierny!

Lecz jej biedna zsiniała główka zwisła bez życia na jego ramieniu, więc sądząc, że trupa już tylko trzyma w objęciu, począł ryczeć okropnym głosem:

— Baśka umarła!… Umarła!… Rety!…

Rozdział XLI

Wieści o przybyciu Basi piorunem rozleciały się po Chreptiowie, ale nikt prócz małego rycerza, pana Zagłoby i niewiast służebnych nie widział jej ni tego wieczora, ni następnych.

Po owym omdleniu przy progu izby odzyskała jeszcze do tyla przytomność, że mogła przynajmniej w kilku słowach powiedzieć, jak i co się zdarzyło, lecz wnet poczęły się nowe omdlenia, a w godzinę później, lubo ją cucono wszelkimi sposobami, ogrzewano, pojono winem, próbowano karmić, nie poznawała już nawet męża i nie było wątpliwości, że poczyna się dla niej długa i ciężka choroba.

Tymczasem jednak ruch uczynił się w całym Chreptiowie. Żołnierze dowiedziawszy się, że „pani” wróciła półżywa, wysypali się na majdan jak rój pszczół; oficerowie zebrali się wszyscy w świetlicy i szepcząc z cicha, wyglądali niecierpliwie nowin z alkierza, w którym złożono Basię. Przez długi czas jednak nie można się było niczego dowiedzieć.

Wprawdzie chwilami przemykały pędem przez świetlicę służebne niewiasty, to do kuchni po grzaną wodę, to do apteczki po plastry, maście i driakwie, ale te nie pozwalały się zatrzymywać. Niepewność zaciężyła ołowiem na wszystkich sercach. Coraz większe tłumy, nawet ze wsi, zbierały się na majdanie; pytania krążyły z ust do ust; rozeszła się wieść o zdradzie Azji i o tym, że „pani" ocaliła się ucieczką, ale że uciekała cały tydzień bez jadła i spania. Na ową wieść podnosiły się piersi wściekłością. Wreszcie ogarnęło gromady żołnierzy dziwne a straszne wrzenie, bo tłumione obawą, by głośnym wybuchem nie narazić zdrowia chorej.

Na koniec po długim oczekiwaniu wyszedł do oficerów pan Zagłoba z czerwonymi oczyma i zjeżonymi resztkami włosów na głowie, a oni skoczyli ku niemu hurmem i sypnęły się wnet ciche, gorączkowe pytania:

— Żyje? Żyje?

— Żyje — odparł staruszek — ale Bóg raczy wiedzieć, czy za godzinę...

Tu głos mu uwiązł w gardzieli, dolna warga poczęła mu się trząść i chwyciwszy się nagle rękoma za głowę, usiadł ciężko na ławie.

Po czym tłumione łkania poczęły poruszać jego pierś.

Na ów widok pan Muszalski chwycił w objęcia pana Nienaszyńca, choć go zwyczajnie mniej lubił, i zawył z cicha, a pan Nienaszyniec zawtórował mu zaraz. Pan Motowidło oczy wybałuszył, jakby chciał coś połknąć i nie mógł, pan Snitko począł drżącymi rękoma żupan rozpinać, a pan Hromyka ręce podniósł do góry i tak chodził po izbie.

Dojrzeli żołnierze przez okna te oznaki desperacji, więc sądząc, że pani już umarła, wszczęli gwar i lament. Pan Zagłoba, posłyszawszy ten hałas, wpadł nagle w furię i wyskoczył jak z procy na majdan.

— Cicho, szelmy! Żeby was pioruny potrzaskały! — zawołał przyduszonym głosem.

Oni zaś umilkli wraz, zrozumiawszy, że jeszcze nie czas na lament, ale nie schodzili z majdanu. Pan Zagłoba zaś wrócił do świetlicy uspokojony nieco i znów siadł na ławie.

W tej chwili niewiasta służebna pokazała się znowu we drzwiach alkierza.

Pan Zagłoba zerwał się ku niej.

— Co tam?

— Śpi.

— Śpi? Chwała Bogu!

— Może Bóg da...

— Co pan komendant robi?

— Pan komendant przy łożu.

— To dobrze! Ruszaj, po coć posłano!

Tu pan Zagłoba zwrócił się ku oficerom i rzekł powtarzając słowa niewiasty:

— Może Bóg Najwyższy się zmiłuje. Śpi! Jakowaś nadzieja we mnie wstępuje... Uf!...

I oni odetchnęli równie głęboko. Potem zbili się naokół pana Zagłoby w ciasne kółko i poczęli dopytywać:

— Dla Boga! Jakże się to stało? Co to było? Jakimże sposobem piechotą uciekła?

— Z początku nie piechotą uciekała — odszepnął pan Zagłoba — jeno na dwóch koniach, bo i tego psa, żeby go mór pobił, zrzuciła z kulbaki.

— Uszom nie wierzym!

— Głownią od pistoletu dała mu między oczy, a że się wonczas przyzostali, nikt nie widział i nikt nie gonił. Jednego konia wilcy jej zarżnęli, drugi się utopił pod lodem. O Chryste miłosierny! Szło niebożątko samo przez bory, nic nie jedząc, nic nie pijąc!...

Tu ryknął znowu pan Zagłoba i przerwał na czas jakiś opowiadanie, a oficerowie także, aż się pokładali na ławy i z podziwu, i ze zgrozy, i z żalu nad ukochaną przez wszystkich niewiastą.

— Przyszedłszy pod Chreptiów — ciągnął po chwili pan Zagłoba — nie poznała już miejsca i gotowała się zamrzeć, dopieroż usłyszawszy skrzypienie studni pomiarkowała, że blisko już, i dowlokła się ostatnim tchem...

— Bóg ją strzegł w takich terminach — rzekł pan Motowidło, obcierając mokre wąsy — ustrzeże jej i dalej.

— Tak będzie! W sednoś waćpan ugodził! — poszepnęło kilka głosów.

Wtem z majdanu doszedł znowu gwar głośniejszy, pan Zagłoba znów się zerwał ze wściekłością i wypadł przed drzwi.

Głowa tam stała przy głowie; żołnierze na widok pana Zagłoby i dwóch innych oficerów cofnęli się półkolem.

— Cicho mi, sobacze dusze! — zaczął pan Zagłoba. — Bo każę...

Lecz z półkola wystąpił Zydor Luśnia, wachmistrz dragoński, szczery Mazur, ulubiony żołnierz Wołodyjowskiego, i postąpiwszy parę kroków wyprostował się jak struna i rzekł stanowczym głosem:

— A to, proszę waszej miłości, inaczej nie ma być, jeno skoro ten taki syn panią naszą chciał ukrzywdzić, to my na niego chcemy ruszyć, by też mieć pomstę. Co ja gadam, tego wszyscy proszą. A jak pan pułkownik sam nie może, to my i pod inną komendą pójdziem, choćby do samego Krymu, byle onego dostać i za naszą panią nie darować!...

Zawzięta, zimna, chłopska groźba brzmiała w głosie wachmistrza; inni zaś dragoni i pocztowi z towarzyskich chorągwi poczęli zgrzytać zębami, i z cicha w szable trzaskać, i sapać, i mruczeć. Głuchy ten pomruk, jak pomruk niedźwiedzia w mroku nocnym, miał w sobie coś po prostu strasznego.

Wachmistrz stał wyprostowany i czekał odpowiedzi, za nim czekały całe szeregi i znać w nich było upór i zaciekłość tak wielką, że wobec niej nie ostała się nawet zwykła karność żołnierska.

Przez chwilę trwało milczenie. Nagle głos jakiś w dalszych szeregach ozwał się:

— Krew onego najlepsze dla „pani" lekarstwo!

Gniew pana Zagłoby opadł, bo rozczuliło go to przywiązanie żołnierstwa do Basi, a przy tym na wzmiankę o lekarstwie zaświtał mu w głowie inny zamiar, mianowicie sprowadzenia medyka do Basi. W pierwszej chwili w pustynnym Chreptiowie nikt o tym nie pomyślał, ale przecie w Kamieńcu mieszkało kilku medyków, między nimi zaś jeden Grek, człek sławny, bogaty, kamienic kilka mający, a tak uczony, że niemal za czarnoksiężnika powszechnie go uważano. Była tylko wątpliwość, czy — będąc bogatym — chciałby jechać za jaką bądź cenę w daleką pustynię, on, którego nawet magnaci „acanem" tytułowali.

Pan Zagłoba zadumał się przez małą chwilę, po czym rzekł:

— Słuszna pomsta tego arcypsa nie minie; ja wam to przyrzekam, a wolałby on pewnie, żeby mu król jegomość pomstę poprzysiągł niźli Zagłoba. Jeno nie wiadomo, czy żyw jeszcze, bo go pani, wyrywając mu się z rąk, głownią od pistoletu w sam rozum ugodziła. Teraz wszelako nie czas o tym myśleć, bo naprzód trzeba panią ratować.

— My by choćby własnym zdrowiem radzi! — odparł Luśnia.

A tłumy znów zamruczały na potwierdzenie słów wachmistrza.

— Słuchaj, Luśnia — rzekł Zagłoba. — W Kamieńcu mieszka medyk Rodopuł. Pojedziesz do niego; powiesz mu, że pan generał podolski zaraz pod miastem nogę wykręcił i ratunku czeka. A gdy ów jeno za murem będzie, chwycisz go za łeb, wsadzisz na koń albo do worka i przywieziesz jednym pędem do Chreptiowa. Konie każę co parę stajań porozstawiać i będziecie w skok jechać. Bacz tylko, byś go żywego dowiózł, bo nic nam po umarłym.

Pomruk zadowolenia dał się słyszeć ze wszystkich stron, Luśnia zaś ruszył srogimi wąsami i rzekł:

— Już ja jego dostanę i nie uronię, aż w Chreptiowie!

— Ruszaj!

— Proszę waszej miłości?

— Czego jeszcze?

— A jakby potem skapiał?

— Niech skapieje, byle dojechał żyw! Bierz sześciu ludzi i ruszaj!

Luśnia skoczył. Inni radzi, że mogą coś dla pani uczynić, rzucili się konie kulbaczyć i w kilka pacierzy sześciu ludzi ruszyło do Kamieńca, za nimi zaś inni prowadzili luźne konie, by je porozstawiać po drodze.

Pan Zagłoba, zadowolony ze siebie, wrócił do świetlicy.

Po chwili wyszedł z alkierza Wołodyjowski, zmieniony, półprzytomny, obojętny na słowa współczucia i pociechy. Oświadczywszy panu Zagłobie, że Basia śpi ciągle, siadł na ławie i patrzył jak błędny we drzwi, za którymi leżała. Zdawało się oficerom, że nasłuchuje, więc wszyscy dech wstrzymywali, i w izbie zapanowała cisza zupełna.

Po upływie pewnego czasu Zagłoba zbliżył się na palcach do małego rycerza.

— Michale — rzekł — posłałem po medyka do Kamieńca, ale... ale może by jeszcze po kogo posłać?...

Wołodyjowski patrzył, zbierał myśli i widocznie nie rozumiał.

— Po księdza — rzekł Zagłoba. — Ksiądz Kamiński na rano mógłby zdążyć?

Wówczas mały rycerz zamknął oczy, odwrócił pobladłą jak chusta twarz do komina i począł powtarzać prędkim szeptem:

— O Jezu, Jezu, Jezu!

Więc pan Zagłoba, nie pytając więcej, wyszedł i wydał rozporządzenia.

Gdy wrócił, Wołodyjowskiego nie było już w świetlicy. Oficerowie powiedzieli panu Zagłobie, że chora poczęła wołać męża, nie wiadomo: czy w gorączce, czy przytomnie.

Stary szlachcic przekonał się niebawem naocznie, że było to w gorączce.

Policzki Basi kwitły jasnymi rumieńcami; pozornie wydawała się zdrową, ale oczy jej, jakkolwiek błyszczące, były mętne, jak gdyby źrenice rozpuściły się w białku; biedne jej ręce szukały czegoś przed sobą jednostajnym ruchem na kołdrze. Wołodyjowski leżał u jej nóg półżywy.

Od czasu do czasu chora mruczała coś z cicha lub wymawiała głośniej niektóre wyrazy, między innymi zaś „Chreptiów" powtarzał się najczęściej. Widocznie chwilami zdawało się jej, że jest jeszcze w podróży. Pana Zagłobę szczególniej zaniepokoił ów ruch rąk na kołdrze, bo w jego bezświadomej jednostajności widział oznakę zbliżającej się śmierci. Człek był doświadczony i wielu ludzi umierało w jego oczach, lecz nigdy

serce nie krajało mu się takim żalem, jak na widok tego kwiatka więdnącego tak wcześnie.

Więc zrozumiawszy, że Bóg jeden może uratować to gasnące życie, klęknął przy łożu i począł modlić się żarliwie.

Tymczasem oddech Basi stawał się coraz cięższy, a stopniowo zmieniał się w rzężenie. Wołodyjowski zerwał się od jej nóg. Zagłoba wstał z klęczek; obaj nie rzekli do się ani słowa, tylko spojrzeli sobie w oczy, a w spojrzeniu tym było przerażenie. Zdawało się im, że już kona. Ale trwało to tylko chwilę. Wkrótce oddech jej uspokoił się i nawet zwolniał.

Odtąd byli ciągle między obawą a nadzieją. Noc wlokła się leniwie. Oficerowie nie poszli także na spoczynek, ale siedzieli w świetlicy, to spoglądając na drzwi alkierza, to szepcąc między sobą, to drzemiąc. Pachoł wchodził co pewien czas dorzucać drzewa na komin, a za każdym poruszeniem klamką oni zrywali się z ław sądząc, że to wchodzi Wołodyjowski lub Zagłoba i że usłyszą straszne słowa:

— Już nie żyje!

Tymczasem kury poczęły piać, a ona tam jeszcze zmagała się z gorączką. Nad ranem zerwał się wicher okrutny z deszczem i huczał w belkach, wył w dachu, chwilami chwiał płomieniem w kominie, wyrzucając na izbę kłęby dymu i skry. O pierwszym brzasku pan Motowidło wyszedł po cichu, bo miał jechać na objazd. Na koniec wstał dzień blady, chmurny i oświecił twarze zmęczone.

Na majdanie począł się zwykły ruch, słychać było wśród poświstów wichru tupot koński po stajennych dylach i ciągnienie żurawi, i głosy żołnierskie, lecz wkrótce ozwał się dzwonek: przyjechał ksiądz Kamiński.

Gdy wszedł, przybrany w białą komżę, oficerowie poklękali. Zdało się wszystkim, że nastała uroczysta chwila, po której niewątpliwie śmierć musi nadejść. Chora nie odzyskała przytomności, więc ksiądz nie mógł jej spowiadać. Dał jej tylko ostatnie namaszczenie, po czym zaczął małego rycerza pocieszać i namawiać, by poddał się woli bożej. Atoli temu nic było po tej pociesze, bo żadne słowa nie mogły przez jego boleść przeniknąć.

Przez cały dzień śmierć krążyła nad Basią. Jak pająk, ukryty gdzieś w mrocznym kącie pułapu, wypełznie czasem na światło i na niewidzialnej nici spuszcza się ku dołowi, tak ona zdawała się chwilami zstępować tuż nad głowę Basi. I nieraz widziało się obecnym, że już cień jej pada na Basine czoło, że ta duszka jasna już, już roztwiera skrzydła, aby ulecieć z Chreptiowa gdzieś w nieskończone przestrzenie, na drugą stronę

życia; po czym znów śmierć, jak pająk, kryła się pod pułapem i nadzieja napełniała serca.

Była to jednak niezupełna i czasowa tylko nadzieja, bo tego, żeby Basia miała przeżyć tę chorobę, nikt nie śmiał się spodziewać. Nie spodziewał się i Wołodyjowski, toteż boleść jego stała się tak wielka, że pan Zagłoba, acz sam srodze strapiony, począł się lękać i polecać go opiece oficerów.

— Dla Boga! Pilnujcie go — mówił — bo się nożem pchnie!

Wołodyjowskiemu wprawdzie nie przychodziło to do głowy, ale w tej targaninie żalu i bólu pytał się jednakże siebie ustawicznie:

„Jakże to ja mam zostawać, kiedy ona odchodzi? Jakże mi puszczać samo to kochanie najdroższe? Co ona powie, gdy obejrzawszy się tam za mną, nie znajdzie mnie koło siebie".

I tak rozmyślając pragnął umrzeć z nią razem ze wszystkich sił duszy, bo równie, jak sobie nie wyobrażał życia na ziemi bez niej, tak samo nie rozumiał, aby ona w tamtym życiu mogła być szczęśliwą bez niego i za nim nie tęsknić.

Po południu złowrogi pająk skrył się znowu pod pułapem, rumieńce Basi przygasły i gorączka zmniejszyła się do tyla, że chorej wróciło nieco przytomności.

Czas jakiś leżała z zamkniętymi oczyma, po czym otworzywszy je, popatrzyła uważnie w twarz małego rycerza i spytała:

— Michałku, czy ja w Chreptiowie?

— Tak jest, kochanie! — odrzekł zaciskając zęby Wołodyjowski.

— I ty naprawdę stoisz przy mnie?

— Tak jest! Jak się czujesz?

— Oj, dobrze!...

Widać sama nie była pewna, czy to nie gorączka stawia jej przed oczy złudne widzenia. Ale od tej chwili odzyskiwała coraz więcej przytomności.

Wieczorem nadjechał wraz z ludźmi wachmistrz Luśnia i wytrząsnął z worka przed fortalicją kamienieckiego medyka wraz z lekarstwami. Ów ledwie żył. Ale poznawszy, iż nie jest w zbójeckim, jak mniemał, ręku, ale że do chorej został w ten sposób zaproszony, wkrótce, po przemijających mdłościach, zabrał się żywo do ratunku, zwłaszcza że mu pan Zagłoba pokazał w jednej ręce mieszek pełen czątych, w drugiej nabity pistolet, mówiąc:

— To nagroda za życie, a to za śmierć!

I tej samej nocy jeszcze, prawie o samym świtaniu, złowrogi pająk skrył się gdzieś raz na zawsze; natomiast wyrok medyka: „Będzie długo chorować, ale ozdrowieje” — rozebrzmiał radosnym echem po całym Chreptiowie. Gdy go pierwszy raz Wołodyjowski usłyszał, padł na ziemię i rozszlochał się tak, iż zdawało się, że łkania piersi mu rozerwą; pan Zagłoba zesłabł całkiem z radości, aż twarz pokryła mu się potem i ledwie zdołał zawołać: „pić!” Oficerowie brali się wzajem w ramiona.

A na majdanie zebrali się znów dragoni, pocztowi i Kozacy pana Motowidły. Ledwie ich można było wstrzymać od okrzyków. Chcieli koniecznie czymkolwiek okazać swą radość i poczęli prosić o kilku uwięzionych w chreptiowskich piwnicach lewensów, aby ich na intencję „pani” powiesić.

Ale mały rycerz odmówił.

Rozdział XLII

Przez tydzień jeszcze Basia chorzała tak ciężko, że — gdyby nie zapewnienie medyka — i mały rycerz, i pan Zagłoba byliby przypuszczali, że płomyk jej życia zgaśnie lada chwila. Dopiero po upływie tego czasu uczyniło się jej znacznie lepiej; przytomność wróciła jej zupełnie i chociaż medyk przewidywał, że przyjdzie jej z miesiąc albo półtora leżeć, przecie było już rzeczą pewną, że do zupełnego zdrowia powróci i dawne siły odzyska.

Wołodyjowski, który w czasie choroby krokiem niemal nie odchodził od jej wezgłowia, pokochał ją po tych terminach — o ile to było możliwe — jeszcze ogniściej i świata za nią nie widział. Chwilami, gdy siedział przy niej, gdy patrzył w tę twarzyczkę, wychudłą jeszcze i mizerną, ale wesołą, w te oczy, którym z każdym dniem powracał dawny ogień, brała go ochota i śmiać się, i płakać, i krzyczeć z radości:

— Zdrowieje moja Baśka jedyna, zdrowieje!

I rzucał się do jej rąk, a czasem całował te biedne, małe stopki, które tak walecznie brnęły przez śniegi głębokie do Chreptiowa, słowem, kochał ją i czcił nadzwyczajnie. Czuł się też okrutnie dłużnym Opatrzności i pewnego razu rzekł wobec pana Zagłoby i oficerów:

— Chudym pachołek, ale choćbym miał ręce do łokci urobić, jużże się przecie na kościółek, bogdaj drewniany, zdobędę. Bo ile razy w nim dzwony zadzwonią, tyle razy wspomnę miłosierdzie boskie i dusza zgoła rozpłynie się we mnie z wdzięczności!

— Daj Boże wpierw szczęśliwie turecką wojnę przebyć — odrzekł mu na to pan Zagłoba.

Na to mały rycerz ruszył wąsikami i odpowiedział:

— Pan Bóg najlepiej wie, co go więcej udelektować może: zechceli kościółka, to mię uchroni, a jeśli będzie wolał krew moją, to mu jej też nie poskąpię, jak mi Bóg miły!

Basia wraz ze zdrowiem odzyskiwała i humor. W dwa tygodnie później kazała odchylić nieco wieczorem drzwi do alkierza i gdy oficerowie zebrali się w świetlicy, ozwała się do nich swym srebrzystym głosem:

— Dobry wieczór waćpanom! Już nie zamrę, aha!

— Bogu Najwyższemu dzięki! — odpowiedzieli chórem żołnierze.

— Sława Bohu, detyno myłenkaja! — zawołał osobno pan Motowidło, który szczególniej ojcowskim afektem Basię kochał, a który w chwilach wielkiego wzruszenia zawsze mówił po rusińsku.

— Patrzcie, waćpanowie — mówiła dalej Basia — co to się stało! Kto by się był tego spodziewał? Szczęście, że się jeszcze tak skończyło!

— Bóg czuwał nad niewinnością — ozwał się znów chór przeze drzwi.

— A pan Zagłoba nieraz mnie wyśmiewał, że to do szabli mam więcej ochoty niż do kądzieli. Dobrze! Siła by mi pomogła kądziel albo igła! A przecieżem się wcale po kawalersku spisała, nieprawdaż?

— Że i anioł by się lepiej nie spisał!

Dalszą rozmowę przerwał pan Zagłoba zamknięciem drzwi od alkierza, bo się obawiał zbytniego zmęczenia dla Basi. Lecz ona poczęła na niego prychać jak kotka, bo miała ochotę do dalszej gawędki, a zwłaszcza do słuchania dalszych pochwał swego męstwa i dzielności. Teraz, gdy niebezpieczeństwo przeszło i stało się tylko wspomnieniem, była bardzo dumna ze swego postępku z Azją i wymagała koniecznie pochwał. Niejednokrotnie też zwracała się do małego rycerza i dotykając palcem jego piersi mówiła z miną rozpieszczonego dziecka:

— Chwalić za męstwo!

A on, posłuszny, chwalił, a on pieścił, całował po oczach i po rękach, aż pan Zagłoba, lubo sam rozczulał się nad nią w duszy niepomiernie, udając zgorszenie poczynał mruczeć:

— Ha! Rozpuści się to do reszty jak dziadowski bicz!...

Radość ogólną w Chreptiowie z powodu ocalenia Basi mąciła tylko myśl o szkodzie, jaką zdrada Azji Tuhaj-bejowicza wyrządziła Rzeczypospolitej, i o strasznym losie

starego pana Nowowiejskiego, obydwóch pań Boskich i Ewki. Basia trapiła się tym niepomału, a z nią i wszyscy, bo już zdarzenia raszkowskie wiadome były dokładnie nie tylko w Chreptiowie, ale nawet w Kamieńcu i dalej. Przed kilku dniami zatrzymał się właśnie w Chreptiowie pan Myśliszewski, który pomimo zdrady Azji, Kryczyńskiego i Adurowicza, nie tracił nadziei, że mu się jeszcze uda przeciągnąć na polską stronę innych lipkowskich rotmistrzów. W też ślady za panem Myśliszewskim przyjechał pan Bogusz, a po nich przyszły wiadomości wprost z Mohilowa, z Jampola i z samego Raszkowa.

W Mohilowie pan Gorzeński, widocznie lepszy żołnierz niż mówca, nie dał się podejść. Przejąwszy rozkaz Azji do pozostałych załogą Lipków, sam napadł na nich z garścią mazurskiej piechoty i wyciął lub w niewolę zabrał; oprócz tego wysłał ostrzeżenie do Jampola, przez co i to drugie miasto ocalało. Potem wkrótce wróciły wojska. Tak więc jeden tylko Raszków padł ofiarą. Wołodyjowski odebrał stamtąd właśnie list od pana Białogłowskiego donoszący o tamtejszych zdarzeniach i innych sprawach dotyczących całej Rzeczypospolitej.

„Dobrze, żem przyjechał (pisał między innymi pan Białogłowski), gdyż Nowowiejski, który mnie zastępował, teraz nie byłby w stanie tej funkcji pełnić. Już on do kościeja podobniejszy niż do człowieka i pewnikiem wielkiego kawalera stracimy, bo go boleść nad miarę sił przycisnęła. Ojca mu zarżnięto, siostra w ostatnim pohańbieniu, przez Azję Adurowiczowi darowana, a pannę Boską Azja wziął sobie. Nic już po nich, choćby się i udało je z jasyru wydobyć. Wiemy o tym od jednego Lipka, który przy przeprawie przez rzekę karku sobie nadkręcił i uchwycon przez naszych, na węglach wszystko dywulgował. Azja Tuhaj-bejowicz, Kryczyński i Adurowicz poszli aż hen, pod Adrianopol. Nowowiejski wydziera mi się za nimi koniecznie, mówiąc, że Azję musi choćby ze środka sułtańskiego obozu wziąć i za swoje mu zapłacić. Zawsze on był zawzięty i rezolut, a teraz mu się nie dziwić, ile że o pannę Boską chodzi, której zły termin łzami rzewnymi wszyscy oblewamy, bo dziewka była słodka i nie wiem, którego by serca tu sobie nie zjednała. Ja przecie Nowowiejskiego hamuję i powiadam, że Azja sam do niego przyjdzie, bo wojna pewna, a równie i to pewne, że ordy przodem ruszą. Mam wiadomości z Multan od perkułabów, ba, i od kupców tureckich, że pod Adrianopolem wojska już poczynają się zbierać. Ordy moc. Ściąga też jazda turecka, jako to oni nazywają: „spahisy”, a sam sułtan ma nadciągnąć z janczarami. Dobrodzieju! mrowie będzie nieprzebrane, bo cały Wschód wyruszy, a u nas wojska garść. Cała nadzieja w opoce kamienieckiej, którą, daj Bóg, aby przystojnie opatrzono.

W Adrianopolu już wiosna, a u nas omal, bo dżdże idą okrutne i trawa się pokazuje. Ja idę do Jampola, bo Raszków jeno kupa popiołu, i nie masz gdzie głowy skłonić ani co w gębę włożyć. Przy tym tak myślę, że wkrótce nas ze wszystkich tych komend pościągają".

Mały rycerz miał swoje wiadomości, również pewne, a nawet jeszcze pewniejsze, bo z Chocimia pochodzące, że wojna nieunikniona. Niedawno nawet posłał je hetmanowi. Jednakże list Białogłowskiego, jako z ostatniej rubieży pochodzący, właśnie dlatego że te wiadomości potwierdzał, silne na nim uczynił wrażenie. Nie wojny jednak obawiał się mały rycerz, ale chodziło mu o Basię.

— Rozkaz hetmański, aby komendy ściągać — mówił do pana Zagłoby — może przyjść lada dzień i — służba służbą — trzeba będzie ruszać nie mieszkając, a tu Baśka leży i czas zły.

— Żeby i dziesięć rozkazów przyszło — odrzekł pan Zagłoba — Baśka grunt. Będziem siedzieć, póki całkiem nie ozdrowieje. Wojna przecie się nie zacznie nie tylko przed końcem zimy, ale i przed końcem roztopów, tym bardziej że armatę ciężką będą przeciw Kamieńcowi prowadzić.

— Kiedy w waćpanu to zawsze stary wolentariusz siedzi — odparł niecierpliwie mały rycerz — waćpan myślisz, że rozkaz można dla prywaty spostponować.

— Ha! Jeślić milszy rozkaz od Baśki, to ją pakuj na wóz i jedź. Wiem, wiem, tyś ją dla rozkazu gotów choćby widłami podsadzać, jeśli się pokaże, że o własnej mocy do bryki siąść nie zdoła. Niechże was kaduk porwie z taką dyscypliną! Po staremu człowiek robił, co mógł, a czego nie mógł, tego i nie uczynił. W gębie masz miłosierdzie, ale niech jeno krzykną: „Hajda na Turka!" — to je wypluniesz jak pestkę, a tę niebogę przy koniu na arkanie poprowadzisz!

— Ja nie mam miłosierdzia dla Basi?! Bójże się waćpan ran Ukrzyżowanego! — zakrzyknął mały rycerz.

Pan Zagłoba sapał czas jakiś gniewnie, dopieroż spojrzawszy na strapioną twarz Wołodyjowskiego tak przemówił:

— Michale, wiesz, że co mówię, to mówię z afektu iście rodzicielskiego dla Baśki. Inaczej, czybym ja tu jeszcze siedział pod obuchem tureckim, zamiast wczasu w bezpiecznej stronie zażywać, czego by mi w moich leciech i nikt za złe mieć nie mógł? A kto ci Baśkę zaswatał? Jeśli się pokaże, że nie ja, to mi rozkaż wypić kadź wody, niczego dla smaku do niej nie przylawszy.

— Życiem się waćpanu za to nie wypłacę! — odrzekł mały rycerz.

I wzięli się w ramiona, po czym zapanowała zaraz między nimi najlepsza zgoda.

— Już ja sobie tak ułożyłem — rzekł mały rycerz — że gdy przyjdzie wojna, waćpan zabierzesz Baśkę i pojedziesz z nią do Skrzetuskich, do ziemi łukowskiej. Tam przecie czambuły nie dojdą.

— Uczynię to dla ciebie, chociaż na Turka znalazłaby się ochotka, bo nie masz dla mnie nic bezecniejszego nad ten świński naród wina nie pijęcy!

— Jednego się tylko boję, oto, że Baśka naprze się do Kamieńca, żeby być przy mnie. Skóra mi cierpnie, gdy o tym pomyślę, a jak Bóg Bogiem, będzie się napierała.

— To nie pozwolisz. Mało to już złego z tego wynikło, że jej we wszystkim folgujesz i żeś na ową ekspedycję raszkowską pozwolił, chociażem od razu przeciw niej zakrzyknął!

— A nieprawda! Powiedziałeś waćpan, że nie chcesz radzić.

— Skoro ja mówię, że nie chcę radzić, to gorzej, niżbym odradzał.

— Powinna mieć Baśka naukę, ale co to z nią! Jak będzie widziała miecz nad moją głową, uprze się!

— To nie pozwolisz, powtarzam! Dla Boga! Co za słomiany mąż!

— Kiedy, confiteor, że jak ona piąstki w oczy wsadzi a pocznie płakać albo niechli tylko zacznie płacz symulować, oho, już we mnie serce jako masło na patelni. Nie może być inaczej, tylko musiała mi coś zadać. Odesłać ją, odeślę, bo mi jej przezpieczeństwo od własnego zdrowia milsze, ale gdy pomyślę, że przyjdzie ją tak zmartwić — dalibóg — dech mi z żałości zapiera.

— Michale, miej że Boga w sercu, nie daj się za nos wodzić!

— Ba, nie daj się! Któż i tak mówił, jeśli nie waćpan, że miłosierdzia żadnego nad nią nie mam?

— Hę? — rzekł Zagłoba.

— Waćpanu niby na przemyślności nie zbywa, a sam się teraz za ucho skrobiesz!

— Bo się namyślam, jakiej najlepiej perswazji zażyć.

— A jak od razu piąstki w oczy wsadzi?

— Wsadzi, jak mi Bóg miły! — rzekł z widoczną obawą pan Zagłoba.

I tak się kłopotali obaj, bo prawdę rzekłszy, Basia pozbadła zupełnie ich obydwóch. Rozpieścili ją do ostatka w chorobie i tak kochali, że konieczność postąpienia wbrew jej sercu i chęci napełniała ich przestrachem. Że Basia oporu nie stawi i podda się z pokorą wyrokowi, o tym wiedział dobrze jeden i drugi, ale nie mówiąc już o Wołodyjowskim,

nawet pan Zagłoba wolałby uderzyć samotrzeć na cały pułk janczarów niż widzieć ją wsadzającą piąstki do oczu.

Rozdział XLIII

Tymczasem tego samego dnia nadeszła im niezawodna, jak sądzili, pomoc w osobach niespodzianych a miłych nad wszystko gości. Oto pod wieczór przyjechali bez żadnego poprzednio oznajmienia oboje Ketlingowie. Radość i zdumienie na ich widok były w Chreptiowie nieopisane; oni zaś dowiedziawszy się od pierwszego pytania, że Basia przychodzi już do zdrowia, ucieszyli się również bardzo. Krzysia skoczyła zaraz do alkierza i w tejże chwili wychodzący stamtąd pisk i okrzyki oznajmiły rycerzom o uszczęśliwieniu Basi.

Ketling z Wołodyjowskim trzymali się długi czas w objęciach, to odsuwając się wzajem od siebie na długość ramienia, to znów łącząc się w uścisku.

— Dla Boga! — rzekł wreszcie mały rycerz — Ketling! Do buławy mniej bym się ucieszył niż do ciebie, ale co porabiasz w tych stronach?

— Pan hetman mnie przełożonym nad artylerią kamieniecką uczynił — odrzekł Ketling — więc przyjechaliśmy z żoną do Kamieńca. Tam dowiedziawszy się o terminach, które was spotkały, wybraliśmy się bez zwłoki do Chreptiowa. Chwała Bogu, mój Michale, że się wszystko szczęśliwie zakończyło. Jechaliśmy w strapieniu wielkim i w niepewności, bośmy jeszcze nic nie wiedzieli, czy tu na radość, czy na smutki przyjeżdżamy.

— Na uciechę, na uciechę! — wtrącił pan Zagłoba.

— Jakże to się stało? — pytał Ketling.

Mały rycerz i pan Zagłoba poczęli na wyprzodki opowiadać, a Ketling słuchał, oczy i ręce do góry wznosił i Basine męstwo podziwiał.

Nagadawszy się do syta, jął mały rycerz wypytywać Ketlinga, co się z nim działo, a ów szczegółowie zdawał sprawę. Po ślubie mieszkali na pograniczu Kurlandii. Było im ze sobą tak dobrze, że i w niebie nie mogło być lepiej. Ketling biorąc Krzysię wiedział doskonale, że „nadziemską istotę” bierze, i tego zdania dotychczas nie zmienił.

Panu Zagłobie i Wołodyjowskiemu przypomniał się po tym wyrażeniu dawny Ketling, zawsze wyrażający się dwornie a górno — i poczęli go na nowo ściskać, a gdy już tymi uściskami nasycili swą przyjaźń dostatecznie, stary szlachcic spytał:

— Zali tej nadziemskiej istocie nie przytrafił się jakowyś ziemski casus, który nogami wierzga i palcem w gębie zębów szuka?

— Bóg nam dał syna! — odrzekł Ketling — A teraz znowu…

— Zauważyłem — przerwał Zagłoba. — A tu u nas wszystko po staremu!

To rzekłszy utkwił swoje zdrowe oko w małym rycerzu, ów zaś począł raz po razu wąsikami ruszać.

Dalszą rozmowę przecięło wejście Krzysi, która ukazawszy się we drzwiach, rzekła:

— Baśka prosi.

Ruszyli zaraz wszyscy do alkierza i tam zaczęły się nowe powitania. Całował Ketling ręce Basi, a Wołodyjowski znów Krzysine, zarazem zaś przypatrywali się sobie wszyscy ciekawie, jak ludzie, którzy nie widzieli się dawno.

Ketling nie zmienił się prawie nic: włosy miał tylko krótko obcięte i to czyniło go młodszym; natomiast Krzysia była zmieniona, przynajmniej w owym czasie, niepomiernie. Nie była tak wiotka i wysmukła jak dawniej i na twarzy była bledsza, przez co meszek nad jej ustami wydawał się ciemniejszy. Zostały jej tylko dawne prześliczne oczy z niezmiernie długimi rzęsami i dawna w obliczu pogoda. Ale rysy jej, niegdyś tak cudne, straciły dawną subtelność. Mogło to być wprawdzie chwilowe tylko, jednakże Wołodyjowski, spoglądając na nią i porównując ją ze swą Baśką, mimo woli mówił sobie:

— Dla Boga! Jak ja mogłem w tej się kochać tam, gdzie obie były razem? Gdzie ja miałem oczy?

Przeciwnie zaś Baśka wydawała się Ketlingowi prześliczną. Bo też była śliczna ze swoją płową, wichrowatą czupryną nasuniętą na brwi, ze swoją cerą, która straciwszy nieco rumieńców, stała się po chorobie do listka białej róży podobna. Teraz jednak twarzyczka jej była zarumieniona cokolwiek z radości i delikatne jej chrapki poruszały się szybko. Wydawała się tak młoda, że prawie niedorosła, i na pierwszy rzut oka można było sądzić, że jest o jakie dziesięć lat od Ketlingowej młodsza.

Ale jej piękność podziałała tylko w ten sposób na czułego Ketlinga, że z jeszcze większą tkliwością począł myśleć o żonie, bo czuł się względem niej winnym.

Obie niewiasty wypowiedziały sobie już wszystko, co w tak krótkim przeciągu czasu można było wypowiedzieć, więc teraz cała kompania zasiadłszy przy łóżku Basi poczęła wspominać dawne czasy. Ale ta rozmowa nie szła jakoś, były bowiem w tych dawniejszych czasach różne drażliwe materie: były konfidencje pana Michałowe z Krzysią i obojętność małego rycerza względem ukochanej teraz Baśki, i różne

przyrzeczenia, i różne desperacje. Pobyt w Ketlingowym dworku miał dla wszystkich urok i wdzięczną pozostawił po sobie pamięć, ale mówić o tym było niezręcznie.

Wkrótce też Ketling rozpoczął z innej beczki.

— Nie wspominałem jeszcze — rzekł — iżeśmy po drodze wstępowali do państwa Skrzetuskich, którzy nas przez dwie niedziele puścić nie chcieli i tak podejmowali, że i w niebie nie mogłoby nam być lepiej.

— Na miły Bóg! Jak się mają Skrzetuscy? — zawołał pan Zagłoba. — To i jegoście w domu zastali?

— Zastaliśmy, bo na czas od pana hetmana z trzema starszymi synami przyjechał, którzy w kompucie służą.

— Skrzetuskich nie widziałem od czasu naszego wesela — rzekł mały rycerz. — Był on tu z chorągwią w Dzikich Polach i synowie byli z nim razem, ale nie przygodziło się spotkać.

— Okrutnie tam wszyscy tęsknią za jegomością! — rzekł Ketling zwracając się do pana Zagłoby.

— Ba! A ja za nimi! — odparł stary szlachcic. — Ale to tak: siedzę tu, kuczy mi się bez nich; pojadę tam, będzie mi się kuczyć bez tej łasicy... Takie to życie ludzkie, że nie w jedno, to w drugie ucho wiatr wieje... A najgorzej sierocie, bo żebym ja miał co swego, to bym cudzego nie kochał.

— Waćpana by i rodzone dzieci więcej od nas nie miłowały — odrzekła Basia.

Usłyszawszy to pan Zagłoba uradował się bardzo i porzuciwszy tęskne myśli, wpadł zaraz w jowialny humor, więc posapawszy nieco, odrzekł:

— Ha! Głupi byłem wtedy u Ketlinga, żem oto i Krzyśkę, i Baśkę wam swatał, a o sobie nie pomyślał! Jeszcze był czas...

Tu zwrócił się do niewiast:

— Przyznajcie się, że obie kochałyście się we mnie i że każda wolałaby za mnie iść niż za Michała albo Ketlinga.

— Ma się rozumieć! — zawołała Basia.

— Halszka Skrzetuska też by mnie była w swoim czasie wolała. Ha! Stało się! To mi dopiero niewiasta stateczna, nie żadna powsinoga, co Tatarom zęby wybija! A zdrowa tam ona?

— Zdrowa, jeno nieco strapiona, bo im dwóch średnich z Łukowa ze szkół do wojska uciekło — odrzekł Ketling — sam Skrzetuski jeszcze rad, że to w wyrostkach taka fantazja, ale matka, zwyczajnie matka!

— Siła tam wszystkich dzieci? — spytała z westchnieniem Baśka.

— Chłopców jest dwunastu, a teraz poczęła się płeć nadobna — odrzekł Ketling.

Na to pan Zagłoba:

— Ha! Szczególne błogosławieństwo boże nad tym domem! Wszystkom to pohodował na własnym łonie jako pelikan... Muszę średniakom uszu nakręcić, bo jeśli mieli uciekać, niechby byli tu do Michała uciekli... Czekajcie no, to musiał drapnąć Michałko z Jaśkiem? Takie tam tego mrowie, że samemu ojcu imiona się mieszały. A wrony to na pół mili naokół nie ujrzysz, bo wszystko, szelmy, z guldynek wystrzelały. Ba, ba! Drugiej takiej niewiasty ze świecą szukać! Co jej, bywało, powiem: „Halszka! Basałyki mi dorastają, trzeba mi nowej uciechy!" — to niby na mnie fuknie, a na termin jest! Jakoby kto zapisał! Imainujecie sobie: do tego doszło, że jak która podwika w okolicy nie mogła się konsolacji doczekać, to szat od Halszki pożyczała — i pomagało, jak mi Bóg miły!...

Wszyscy zdziwili się bardzo, tak że nastała chwila milczenia — po czym ozwał się nagle głos małego rycerza:

— Baśka! Słyszysz?

— Michał, będziesz cicho? — odpowiedziała Basia.

Lecz Michał nie chciał być cicho, bo mu różne chytre myśli przyszły do głowy, zwłaszcza zaś wydało mu się, że przy tej sprawie można będzie i drugą, równie ważną załatwić, więc począł mówić, niby tak sobie, od niechcenia, jako o rzeczy w świecie najzwyczajniejszej:

— Dalibóg, warto by też Skrzetuskich odwiedzić! No, jego nie będzie, bo on do hetmana ruszy, ale ona przecie ma rozum i Pana Boga kusić nie zwykła, więc ostanie w domu.

Tu zwrócił się do Krzysi:

— Idzie wiosna i aura będzie piękna. Teraz dla Baśki jeszcze za wcześnie, ale później nieco, dalibóg, może bym się nie przeciwił, bo to przyjacielski obowiązek. Pan Zagłoba by was tam obie odwiózł, a na jesień, jak się tu uspokoi, to i ja bym za wami ściągnął...

— A to jest arcyprzednia myśl! — zawołał pan Zagłoba. — Ja i tak muszę jechać, bom już ich niewdzięcznością nakarmił. Ha! Zapomniałem, że żyją na świecie! Aż mi i wstyd!

— Co waćpani na to? — pytał Wołodyjowski patrząc pilnie w Krzysine oczy.

Lecz ta najniespodzianiej odrzekła ze zwykłym sobie spokojem:

— Rada bym, ale nie może to być, bo ja w Kamieńcu przy mężu zostanę i żadną miarą go nie odstąpię.

— Dla Boga, co słyszę! — zawołał Wołodyjowski. — Waćpani w fortecy zostaniesz, która na pewno oblegana będzie i to przez nieprzyjaciela, żadnej dyskrecji nie znającego. Nie mówię jeszcze, żeby z jakim politycznym nieprzyjacielem miała być wojna, ale tu przecie z barbarzyństwem sprawa. Aza waćpani wiesz, co to zdobyte miasto? Co to turecki albo tatarski jasyr? Uszom swoim nie wierzę!

— A wszelako nie może inaczej być! — odrzekła Krzysia.

— Ketling! — zawołał w rozpaczy mały rycerz — także to dałeś się już opanować? — Człowieku, miej Boga w sercu!

— Deliberowaliśmy długo — odrzekł Ketling — i na tym stanęło.

— I syn nasz już w Kamieńcu jest, pod opieką jednej mojej powinowatej. Zali to Kamieniec koniecznie ma być zdobyty?

Tu Krzysia podniosła swe pogodne źrenice do góry.

— Bóg i od Turka mocniejszy, ufności naszej nie zawiedzie! A żem przysięgła mężowi, iż go do śmierci nie opuszczę, przeto moje miejsce przy nim.

Mały rycerz zmieszał się okropnie, bo właśnie zgoła czego innego od Krzysi oczekiwał.

Basia zaś, która od samego początku rozmowy spostrzegłszy zaraz, dokąd Wołodyjowski zdąża, uśmiechała się chytrze, teraz utkwiła w niego bystre swe oczka i rzekła:

— Michale, słyszysz?

— Baśka! Będziesz cicho! — zawołał w najwyższej konfuzji mały rycerz.

To rzekłszy począł rzucać desperackie spojrzenia na pana Zagłobę, jakby oczekując od niego ratunku, lecz ów zdrajca powstał nagle i rzekł:

— Trzeba też o jakowymś posiłku pomyśleć, bo nie samym słowem człowiek żyje.

I wyszedł z alkierza.

Pan Michał pognał wkrótce za nim i zastąpił mu drogę.

— No i co teraz? — spytał Zagłoba.

— No i co?

— A niech tę Ketlingową kule biją. Dla Boga! Jak nie ma ginąć ta Rzeczpospolita, kiedy białogłowy w niej rządzą?...

— Nicże waćpan nie wymyślisz?

— Jak ty się żony boisz, co ja ci na to wymyślę? Każ się kowalowi podkuć — ot, co!

Rozdział XLIV

Ketlingowie zabawili około trzech tygodni. Po upływie tego czasu Basia próbowała powstać z łóżka, ale pokazało się, iż jeszcze nie może utrzymać się na nogach. Zdrowie wracało jej wcześniej od sił — i medyk rozkazał jej leżeć, póki całkiem czerstwość nie wróci.

A tymczasem uczyniła się wiosna. Naprzód wstał od strony Dzikich Pól i Czarnego Morza duży a ciepły wiatr, porozrywał i poszarpał oponę chmur jakby zetlałą ze starości szatę, a potem począł owe chmury zganiać i rozganiać po niebie, równie jak pies owczarski zgania i rozgania stada owiec. Chmury, uciekając przed nim, zlewały często ziemię dżdżem obfitym o grubych jak jagody kroplach. Roztopione resztki śniegu i lodu utworzyły na równym stepie jeziora; z wiszarów poczęły spływać wstążeczki wody, w jarach na dnie wezbrały strumienie, a wszystko to leciało z szumem, gwarem i hałasem do Dniestru, tak właśnie, jak dzieci lecą radośnie do matki.

W przerwach między chmurami przeświecało co chwila słońce, jasne i odmłodzone, a jakieś mokre, jak gdyby w tej powszechnej topieli wykąpane.

Potem jasnozielone źdźbła trawy poczęły się wychylać z rozmiękłej ziemi; cienkie gałązki drzew i krzów nabrzmiały obfitym pąkowiem. Słońce dogrzewało coraz mocniej; na niebie pojawiły się stada ptactwa; więc klucze żurawi, dzikich gęsi, bocianów, za czym wiatr począł przywiewać chmury jaskółek; zarzechotały żaby wielkim chórem w ugrzanej wodzie; rozśpiewało się aż do zapamiętania drobne, szare ptastwo — i przez bory, przez lasy, przez stepy i jary poszedł jeden wielki rozgłos, jakoby całe przyrodzenie krzyczało w radości i uniesieniu:

— Wiosna! U-ha! Wiosna!

Lecz dla tych nieszczęsnych krain wiosna przynosiła żałobę, nie radość — i śmierć, nie życie. W kilka dni po wyjeździe Ketlingów mały rycerz odebrał następującą wiadomość od pana Myśliszewskiego:

„Na błoniu kuczunkauryjskim coraz większy wojska congressus. Sułtan posłał znaczne sumy do Krymu. Chan w pięćdziesiąt tysięcy ordy idzie w pomoc Doroszeńce. Nawała, jak tylko wody obeschną, ruszy szlakiem Czarnym i Kuczmeńskim. Niech Bóg zmiłuje się nad Rzecząpospolitą!”

Wołodyjowski posłał natychmiast pachołka swego Piętkę z tą wiadomością do hetmana.

Sam jednak nie spieszył się z Chreptiowa. Naprzód, jako żołnierz, nie mógł owej stanicy bez rozkazu hetmańskiego opuszczać, po wtóre, zbyt wiele lat spędził na „procederze” z Tatary, aby nie miał wiedzieć, że czambuły tak prędko nie ruszą. Jeszczeż wody nie opadły, jeszcze trawy nie wyrosły dostatecznie, jeszcze i Kozacy na zimownikach stali. Turków spodziewał się mały rycerz chyba dopiero latem, bo chociaż zbierali się już pod Adrianopolem, ale tak olbrzymi tabor, takie tłumy wojsk, sług obozowych, ciężarów, koni, wielbłądów i bawołów mogły się posuwać bardzo wolno. Komunika tatarskiego należało wyglądać wcześniej, bo w końcu kwietnia lub na początku maja. Wprawdzie przed głównym sieheniem, liczącym dziesiątki tysięcy wojowników, spadały zawsze na kraj luźne czambuliki i mniej, więcej liczne watahy, jak pojedyncze krople dżdżu spadają przed walną ulewą. Ale tych nie bał się mały rycerz, nawet wyborowy komunik tatarski nie był i w stanie dotrzymać w otwartym polu jeździe Rzeczypospolitej, a cóż dopiero takie kupy, które na samą wieść o zbliżaniu się wojsk rozpraszały się jak kurzawa przed wichrem.

W każdym razie było czasu dość, a gdyby go nawet nieco zbrakło, nie byłby pan Wołodyjowski bardzo od tego, aby otrzeć się o jakowe czambuły w sposób równie dla nich dotkliwy, jak pamiętny.

Był to żołnierz z krwi i kości, żołnierz z zawodu, więc bliskość wojny budziła w nim głód na krew nieprzyjacielską, a jednocześnie wracała mu spokój.

Pan Zagłoba, jakkolwiek z wielkimi niebezpieczeństwy przez długie życie niezmiernie już otrzaskany, mniej jednak był spokojny. W nagłych razach umiał on znaleźć odwagę; wyrobił ją wreszcie w sobie przez długą, choć często mimowolną praktykę; znacznych w życiu przewag dokonał, zawsze jednak pierwsza wieść o wojennej grozie czyniła na nim wielkie wrażenie. Lecz gdy mały rycerz wyłożył mu swój sposób widzenia, nabrał i on lepszej otuchy, a nawet począł wyzywać cały Wschód i odgrażać się na niego.

— Gdy chrześcijańskie nacje ze sobą wojują — mówił — i Pan Jezus smutny, i wszyscy święci się w głowę skrobią, bo tak zwykle bywa, że gdy frasobliwy pan, frasobliwa i czeladź; ale kto Turka bije, nie może milszej rzeczy niebu uczynić. Słyszałem to od pewnej duchownej persony, że święci to po prostu mdłości na widok onych psubratów dostają, przez co niebieskie jadło i napitki nie idą im na pożytek i nawet wiekuista szczęśliwość się psowa.

— Pewnie tak musi być — odrzekł mały rycerz. — Tylko że potęga turecka niezmierna, a nasze wojsko w przygarść można by zmieścić.

— Przecie całej Rzeczypospolitej nie zwojują. Mało to miał potęgi Carolus Gustavus: pod te czasy były wojny i z Septentrionami, i z Kozaki, i z Rakoczym, i z elektorem, a dziś gdzie oni? Jeszcześmy do ich domowych pieleszy ogień a miecz ponieśli…

— Prawda jest. Personaliter nie bałbym ja się tej wojny, zwłaszcza że, jako mówiłem, muszę czegoś znacznego dokazać, aby się Panu Jezusowi i Najświętszej Pannie za miłosierdzie nad Baśką wypłacić. Daj Bóg jeno sposobność!… Ale o te ziemie mi chodzi, które wraz z Kamieńcem snadnie w ręce pogańskie przejść, choćby na czas, mogą. Wyimaginuj sobie waćpan, co to będzie za pohańbienie kościołów Pańskich i ucisk ludu chrześcijańskiego!

— Jeno mi o kozactwie nie gadaj! Szelmy! To przeciw matce ręce podnosili, niechże ich spotka to, czego sami chcieli. Najważniejsza rzecz, żeby Kamieniec się oparł! Co myślisz, Michale, oprze się?

— Myślę, że pan generał podolski nie opatrzył go należycie, a mieszczanie, ubezpieczeni położeniem, nie uczynili też tego, co powinni. Ketling mówił, że przyszły tam regimenty księdza biskupa Trzebickiego, bardzo moderowne. Dla Boga! Oparliśmy się pod Zbarażem tylko za lichym wałem równie wielkiej przemocy, powinniśmy się oprzeć i teraz, boć to orłowe gniazdo ten Kamieniec…

— Ha! Orłowe gniazdo, ale nie wiadomo, czy się orzeł w nim znajdzie, jako był Wiśniowiecki, czy jeno wrona? Znaszli pana generała podolskiego?

— Możny pan i dobry żołnierz, ale trocha niedbały.

— Wiem, znam. Nierazem mu to wyrzucał. Panowie Potoccy chcieli swego czasu, żebym z nim za granicę dla jego edukacji jechał, żeby to pięknych manier przy mnie nabrał. Ale ja powiedziałem: „Nie pojadę właśnie dla jego niedbałości, bo on u żadnego buta dwóch uszu nie ma i w moich by się po dworach prezentował, a safian drogi.” Potem przy Marii Ludowice po francusku chodził, ale ciągle go pończochy opadały i gołymi łydkami świecił. Nie dorośnie on i do pasa Wiśniowieckiemu!

— Łyczkowie kamienieccy także wielce się oblężenia boją, bo w czasie oblężenia handel stoi. Woleliby oni i do Turków należeć, byle sklepów nie zamykać.

— Szelmy! — rzekł Zagłoba.

I obaj z małym rycerzem zakłopotali się srodze przyszłym losem Kamieńca; chodziło im prywatnie i o Basię, która w razie poddania twierdzy musiałaby los wszystkich mieszkańców podzielić.

Lecz po chwili pan Zagłoba uderzył się w czoło.

— Dla Boga! — rzekł — Czego my się frasujem? A po co nam do tego parszywego Kamieńca chodzić i w nim się zamykać? Nie lepiej ci to przy hetmanie zostać i w polu przeciw nieprzyjacielowi czynić? A w takim razie Baśka przecie się do chorągwi nie zaciągnie i musi gdzieś odjechać, ale nie do Kamieńca, jeno gdzie daleko, chociażby do Skrzetuskich. Michale! Bóg patrzy w moje serce i widzi, jaką mam przeciw poganom żądzę, ale już dla ciebie i dla Baśki to uczynię, że ją odwiozę.

— Dziękuję waćpanu — odrzekł mały rycerz. — Jużci, żebym ja nie miał być w Kamieńcu, nie napierałaby się tam i Baśka, ale co zrobić, jak rozkaz od hetmana przyjdzie?

— Co zrobić, jak rozkaz przyjdzie?... Bodaj kaduk porwał wszystkie rozkazy!... Co zrobić... Czekaj! Poczynam myśleć bystrze. Oto trzeba rozkaz uprzedzić!

— Jakże to?

— Napisz zaraz do pana Sobieskiego, niby o nowinach mu donosząc, a w końcu powiedz, że coram bliskiej wojny chciałbyś z miłości, jaką dla niego masz, przy jego osobie zostawać i w polu czynić. Na rany boskie! To jest arcyprzednia myśl! Bo naprzód i to jest niepodobne, żeby takiego zagończyka, jak ty jesteś, za murem zamykano, zamiast go w polu zażywać, a po wtóre, za list takowy hetman jeszcze bardziej cię pokocha i zechce przy sobie mieć. Będzie on także potrzebował wiernych żołnierzy... Słuchaj tylko: jeśli się Kamieniec obroni, to sława na pana generała podolskiego spadnie, a czego w polu dokażesz, to na chwałę hetmańską pójdzie. Nie bój się! Hetman cię generałowi nie odda!... Prędzej by każdego innego oddał, ale ciebie ni mnie nie odda!... Pisz list! Przypomnij się mu! Ha! Wart mój dowcip jeszcze czegoś lepszego, niż żeby go kury na śmieciach dziobały! Michale, napijmy się przy tej okazji — albo co! Pisz list!

Wołodyjowski uradował się istotnie bardzo; uściskał pana Zagłobę i pomyślawszy chwilę rzekł:

— I ani Pana Boga, ani ojczyzny, ani hetmana przy tym nie oszukam, bo pewnie że w polu siła będę mógł dokazać. Dziękuję waści z serca! Tak i ja myślę, że hetman zechce mnie mieć pod ręką, zwłaszcza po liście. Ale żeby i Kamieńca nie zaniechać, wiesz waćpan, co uczynię? Oto przygarść piechoty swoim sumptem wymoderuję i Kamieńcowi poślę. Zaraz do hetmana i o tym napiszę.

— Jeszcze lepiej! Ale, Michał, skądże ludzi weźmiesz?

— Mam w piwnicach ze czterdzieści zbójów i lewensów, tych wezmę. Baśka (że to, ile razy kazałem kogo powiesić, zawsze mnie molestowała, bym go darował zdrowiem)

nieraz mi już radziła, żebym ze zbójów żołnierzy uczynił. Nie chciałem, bo trzeba było przykładu. Ale teraz wojna na karku i wszystko można. Chłopy to okrutne, którzy już proch wąchali. Rozgłoszę przy tym, że kto dobrowolnie do regimentu z jarów albo z odojów się stawi, temu będą dawne zbójeckie uczynki darowane. Zbierze się ze sto ludzi. Baśka też będzie kontenta. Wielki ciężar waćpan zdjąłeś mi z serca!...

I tego samego dnia mały rycerz wyprawił nowego posłańca do hetmana, zbójom zaś ogłosił łaskę i darowanie życia, jeśli do piechoty się zaciągną. Ci przystali radośnie i obiecali innych pociągnąć. Basia uradowała się niezmiernie. Sprowadzono krawców z Uszycy, z Kamieńca, i skąd było można, dla szycia barwy. Dawni zbóje musztrowali się co dzień na chreptiowskim majdanie, pan Wołodyjowski zaś radował się w sercu na myśl, że sam w polu przeciw nieprzyjacielowi będzie czynił, żony na niebezpieczeństwa oblężenia nie narazi, a przecie Kamieńcowi i ojczyźnie znaczną przysługę odda.

I owe roboty trwały już przez kilka tygodni, gdy pewnego wieczora wrócił posłaniec z listem od pana hetmana Sobieskiego. Hetman pisał, co następuje:

„Mój kochany i wielce mi miły Wołodyjowski! Że mi tak pilno wszystkie nowiny przysyłasz, za to i jać wdzięczności dochowam, i ojczyzna wdzięczna ci być powinna. Wojna pewna. Mam i skądinąd wieści, że na Kuczunkaurach stoi już potęga okrutna; z ordą będzie na trzysta tysięcy. Ordy ruszą lada chwila. O nic tak sułtanowi nie chodzi jako o Kamieniec. Zdrajcy Lipkowie wszystkie drogi Turkom pokażą i o Kamieńcu ich nauczą. Mam nadzieję, że owego żmiję Tuhaj-bejowicza Bóg wyda w twoje ręce albo Nowowiejskiego, nad którego krzywdą szczerze boleję. Quod attinet tego, abyś ty przy mnie był. Bóg widzi, jakobym rad, ale nie może to być. Pan jenerał podolski różną mi wprawdzie po elekcji życzliwość okazywał ja zaś najlepszego żołnierza chcę mu posłać, bo mi o ową opokę kamieniecką jako o źrenicę oka chodzi. Będzie tam siła ludzi, którzy raz albo dwa razy w życiu wojny zaznali, ale tak, jakoby ktoś osobliwszą potrawę niegdy jadł, którą potem całe życie wspomina; człowieka zaś, który by jej jako chleba powszedniego zażywał i doświadczoną radą mógł posłużyć — zbraknie albo jeśli tacy będą, to bez należytej powagi. Przeto ja ciebie tam posyłam, bo Ketling dobry żołnierz, ale mniej znany, na ciebie zaś tamtejsze obywatelstwo będzie miało oczy obrócone i tak myślę, że chociaż komenda ostanie przy kim innym, jednako co powiesz, tego chętnie posłuchają. Niebezpieczna to może być ta służba w Kamieńcu, wszelako my już do tego przywykli, że na owym deszczu mokniem, przed którym się inni chowają. Nam dość nagrody w sławie i wdzięcznej pamięci, ale główna rzecz ojczyzna, do której ratowania ekscytować cię nie potrzebuję."

List ten, czytany w gronie oficerów, wielkie uczynił wrażenie, bo wszyscy oni woleliby służyć w polu niźli w twierdzy. Wołodyjowski schylił głowę.

— Co myślisz, Michale? — spytał Zagłoba.

Ów zaś podniósł twarz, już uspokojoną, i odrzekł równie spokojnym głosem, jakby żadnego zawodu w nadziejach nie doznał:

— Pójdziem do Kamieńca... Co mam myśleć?

I mogło się zdawać, że nic innego nigdy nie postało mu w głowie.

Po chwili jednak ruszył wąsikami i rzekł:

— Hej! Towarzysze mili, pójdziem do Kamieńca, ale go nie damy, chyba że sami polegniem!

— Chyba że polegniem! — powtórzyli oficerowie. — Raz człeku śmierć.

Pan Zagłoba milczał czas jakiś, wodząc oczyma po obecnych i widząc, że wszyscy czekają na to, co chce powiedzieć, nagle odsapnął i rzekł:

— Idę z wami. Niech diabeł porwie!

Rozdział XLV

Zaś gdy ziemia obeschła i pobujniały trawy, ruszył chan własną osobą w pięćdziesiąt tysięcy ordy krymskiej i astrachańskiej na pomoc Doroszowi i zbuntowanym Kozakom. I sam chan, i jego krewni sułtankowie, i wszyscy znaczniejsi murzowie, i bejowie mieli na sobie kaftany w podarunku od padyszacha przysłane i szli na Rzeczpospolitą nie tak już, jako chodzili zwykle po łup i jasyr, ale na wojnę świętą, na kęsim i pohybel Lechistanowi i chrześcijaństwu.

Druga, jeszcze większa burza zbierała się pod Adrianopolem, a przeciw tej powodzi sterczała jedna kamieniecka opoka, zresztą, Rzeczpospolita leżała jak step otwarty albo jak człowiek chory, niemocen nie tylko się bronić, ale i powstać na nogi. Wyczerpały ją poprzednie, chociaż przy końcu zwycięskie, wojny szwedzkie, pruskie, moskiewskie, kozackie, węgierskie; wyczerpały konfederacje wojskowe i bunty przeklętej pamięci Lubomirskiego, a teraz do reszty osłabiły ją domowe rozterki, niedołęstwo królewskie, niezgody możnych, zaślepienie bezmyślnej szlachty i groza domowej wojny. Próżno wielki Sobieski ostrzegał przed zatraceniem, nikt w wojnę wierzyć nie chciał; zaniechano środków obrony, więc skarb nie miał pieniędzy, hetman wojsk. Potędze, której by przymierze wszystkich chrześcijańskich ludów zaledwie sprostać mogło, zdolen był hetman przeciwstawić ledwie kilka tysięcy ludzi.

Tymczasem na Wschodzie, gdzie wszystko stawało się wolą padyszacha, a ludy były jako miecz w ręku jednego człowieka, działo się zgoła inaczej. Z chwilą gdy tylko rozwinięto wielką chorągiew proroka i rozwieszono buńczuki na serajowej bramie i wieży seras-kieratu, a ulemowie poczęli głosić wojnę świętą, poruszyło się pół Azji i cała północ Afryki. Sam padyszach stanął o wiośnie na kuczunkauryjskim błoniu i jął zgromadzać niewidzialną od dawna w świecie potęgę. Sto tysięcy spahów i janczarów, wyboru tureckiego wojska, stanęło przy jego świętej osobie, a potem zaczęły ściągać wojska ze wszystkich najdalszych krajów i posiadłości. Którzy zamieszkiwali Europę, ci stanęli najwcześniej. Przyszły zastępy konnych begów bośniackich, barwą do zorzy, furią do błyskawicy podobnych; przyszli dzicy wojownicy albańscy, handżarami piechotą walczący; przyszły watahy poturczeńców serbskich; nadciągnął lud, który nad brzegami Dunaju zamieszkiwał i niżej, z tej i tamtej strony Bałkanów, i jeszcze niżej, aż do gór greckich. Każdy basza wiódł armię całą, która sama jedna zdolna by była zalać bezbronną Rzeczpospolitą. Przyszli Wołochowie i Multańczycy, stanęli w sile Tatarzy dobrudzcy i białogrodzcy; stanęło kilka tysięcy Lipków i Czeremisów, którym straszny Azja Tuhaj-bejowicz przewodził, a którzy przewodnikami po nieszczęsnej dobrze sobie znanej krainie być mieli.

Potem zaś jęło płynąć pospolite ruszenie z Azji. Baszowie Siwasu, Brussy, Alepu, Damaszku, Bagdadu prócz regularnych wojsk przyprowadzili ze sobą tłumy orężne począwszy od dzikich górali z cedrem okrytych gór Azji Mniejszej, skończywszy na smagłych mieszkańcach pobrzeży Eufratu i Tygru. Stanęli na wezwanie kalifa i Arabowie, których burnusy pokryły jakoby śniegiem kuczunkauryjskie błonie; byli między nimi i koczownicy z pustyń piaszczystych, i mieszkańcy miast od Medyny do Mekki. Nie została w domowych pieleszach i hołdownicza egipska potęga. Którzy w rojnym Kairze siedzieli, którzy co wieczora patrzyli w płonące zorzą piramidy, którzy błądzili po tebańskich ruinach, którzy mieszkali w owych mrocznych krajach, skąd święty Nil wypływa, którym słońce spaliło na kolor sadzy skórę — ci wszyscy tkwili teraz orężnie na adrianopolskiej grudzi, modląc się co wieczora o zwycięstwo dla Islamu, o zagładę dla krainy, co sama jedna zasłaniała od wieków przed wyznawcami proroka resztę świata.

Były krocie zbrojnego ludu, setki tysięcy koni rżały na błoniu, setki tysięcy bawołów, owiec i wielbłądów pasły się obok stad końskich. Można było mniemać, że z rozkazu bożego anioł wypędził ludy z Azji jak niegdyś Adama z raju, i kazał im iść w strony, w których słońce bledsze i step śniegiem się zimą pokrywa. Więc szli, wraz ze stadami,

mrowiem nieprzebranym, biali, ciemni i czarni wojownicy. Ileż tam było słychać języków, ile strojów odmiennych błyszczało w wiosennym słońcu! Narody dziwiły się narodom; obce były jednym drugich obyczaje, nieznana broń, odmienne wojowania sposoby i tylko wiara łączyła te wędrowne pokolenia, tylko gdy muezini poczęli wzywać na modlitwę, wówczas te różnojęzyczne zastępy zwracały się twarzą ku wschodowi, jednym głosem wzywając Allacha.

Samej służby przy sułtańskim dworze było więcej niż wszystkich wojsk w Rzeczypospolitej. Za wojskiem i zbrojną ochotniczą hassą ciągnęły tłumy bazarników przedających towar wszelaki; wozy ich wraz z wojskowymi płynęły rzeką.

Dwóch trójbuńczucznych baszów na czele dwóch wojsk nie miało innej roboty, jeno dostarczać spyży tej ćmie ludzkiej — i była wszystkiego obfitość. Sangrytański sandżak czuwał nad całym olbrzymim taborem prochów. Z wojskiem szło dwieście dział, z tych dziesięć „burzących", tak wielkich, jakich żaden król chrześcijański nie posiadał. Beglerbejowie azjatyccy stali na prawym skrzydle, europejscy zaś na lewym. Namioty zajmowały tak wielką przestrzeń, że wobec nich Adrianopol wydawał się niezbyt wielkim grodem. Same sułtańskie, lśniące od purpury, jedwabnych sznurów, atłasów i złotych haftów, stanowiły jakby osobne miasto. Wśród nich mrowiły się zbrojne straże, czarni rzezańcy z Abisynii, w kaftanach żółtych i niebieskich; olbrzymi hamalowie z kurdyjskich plemion, przeznaczeni do noszenia ciężarów; młode pacholęta z pokoleń Uzbeków, o twarzach nad miarę pięknych, poprzysłanianych jedwabnymi frędzlami i mnóstwo innej służby, pstrej i barwnej jako kwiaty stepowe, to masztalerskiej, to stołowej, to do noszenia lamp, to wreszcie do posługi ważniejszym dworzanom oddanej.

Na obszernym majdanie naokół sułtańskiego dworu, który przepychem i rozkoszą raj obiecany wiernym przypominał, stały nie tak okazałe, ale królewskim równe dwory wezyra, ulemów i anatolskiego baszy, młodego kajmakana Kara Mustafy, na którego i sułtańskie, i wszystkie w całym obozie oczy zwrócone były, jako na przyszłe „słońce wojny".

Przed namiotami padyszacha widać było świetne straże „polachskiej" piechoty przybranej w zawoje tak wysokie, że ludzie noszący je wydawali się olbrzymami. Zbrojna ona była w dziryty osadzone na długich ratyszczach i krótkie, krzywe miecze. Płócienne jej schroniska dotykały do schronisk sułtańskich rzemieślników. Dalej szedł obóz straszliwych janczarów zbrojnych w muszkiety i włócznie, jądro potęgi tureckiej stanowiących. Ni cesarz niemiecki, ni król francuski nie mógł się pochlubić piechotą

równą tej w liczbie i bojowej sprawności. W wojnach z Rzecząpospolitą miększy w ogóle lud sułtański nie mógł się mierzyć w równej sile z komputowymi wojskami — i czasem tylko niezmierną przewagą liczebną przygniatał je i zwyciężał. Lecz janczarowie nawet regularnym chorągwiom jazdy ośmielali się stawiać czoło. Budzili oni postrach w całym chrześcijańskim świecie, a nawet w samym Carogrodzie. Częstokroć i sam sułtan drżał przed tymi pretorianami, a główny aga tych „baranków" bywał jednym z najwyższych dygnitarzy w dywanie.

Za janczarami stali spahowie, za nimi regularne wojska baszów, a dalej pospolitacka hassa. Cały ten obóz od kilku miesięcy stał już pod Konstantynopolem, czekając, aż się potęga uzupełni przybywającymi z najdalszych stron tureckiego władztwa zastępami i aż słońce wiosenne, wyssawszy wilgoć z ziemi, ułatwi pochód do „Lechistanu".

Słońce zaś, jakoby także woli sułtana podległe, świeciło pogodnie. Od początku kwietnia do maja zaledwie kilka razy dżdże ciepłe zrosiły kuczunkauryjskie błonie, zresztą nad namiotami sułtana zwieszał się błękitny boży namiot bez chmurki. Blaski dzienne grały na białych płótnach, na bombiastych zawojach, na różnobarwnych kefijach, na ostrzach hełmów, chorągwi i dzirytów, zatapiając wszystko — i obóz, i namioty, i ludzi, i stada — w morzu jasnego światła. Wieczorem na pogodnym niebie połyskiwał nieprzesłonięty tumanem sierp księżyca i patronował cicho tym tysiącom, które pod jego znakiem ciągnęły na zdobywanie ziem coraz nowych; potem wybijał się coraz wyżej na niebo i bladł przy łunie ognisk. Lecz gdy one rozbłysły na całej tej niezmiernej przestrzeni, gdy piesi Arabowie z Damaszku i Alepu, zwani mianem massała-działarów, pozapalali zielone, czerwone, żółte i błękitne lampy wedle sułtańskich i wezyrskich namiotów, zdawać się mogło, że to szmat nieba upadł na ziemię i że to gwiazdy tak się mienią i migocą na błoniu.

Wzorowy ład i posłuch panowały wśród tych zastępów. Baszowie gięli się, jak trzcina pod wichrem, przed wolą sułtańską, przed nimi gięło się wojsko. Nie zbrakło spyży dla ludzi i stad. Wszystkiego dostarczano nad miarę, wszystkiego w porę. We wzorowym również porządku przechodziły godziny ćwiczeń wojennych, godziny posiłku i modlitwy. W chwilach gdy muezini poczęli wzywać z pobudowanych naprędce drewnianych wieżyczek na modlitwę, całe wojsko obracało się twarzą ku wschodowi, każdy rozścielał przed sobą skórę lub dywanik i całe wojsko padało jak jeden człowiek na kolana. Na widok zaś owego ładu i owych karbów rosły serca w tłumach i dusze napełniały się pewną nadzieją zwycięstwa.

Sułtan, przybywszy do obozu pod koniec kwietnia, nie od razu w pochód wyruszył. Czekał przeszło miesiąc, żeby wody obeschły; tymczasem wojsko ćwiczył, do obozowego życia je wezwyczajał, rządził, posłów przyjmował i roki pod purpurowym baldachimem odprawiał. Cudna jak sen pierwsza małżonka, Kasseka, towarzyszyła mu na wyprawę, a z nią szedł również do rajskiego snu podobny dwór.

Złocony wóz wiózł panią pod namiotem z purpurowego tyftyku, za nim szły inne wozy i białe syryjskie wielbłądy, także purpurą kryte, juki niosące. Hurysy i bajadery śpiewały jej pieśni przez drogę. Słodkie tony cichych instrumentów odzywały się natychmiast, gdy zmęczona drogą, przymykała jedwabiste zasłony swych oczu — i kołysały ją do snu. W czasie znoju dziennego powiewały nad nią wachlarze z piór strusich i pawich; wschodnie bezcenne wonie płonęły w indyjskich czarach przed jej namiotami. Towarzyszyły jej wszystkie skarby, cuda i bogactwa, na jakie tylko Wschód i potęga sułtańska zdobyć się mogły. Hurysy, bajadery, czarni rzezańce, służebne, do aniołów podobne pacholęta, syryjskie wielbłądy, konie z pustyń Arabii, słowem, cały orszak połyskiwał od bisiorów, lam, złotogłowiów, lśnił się jak tęcza od diamentów, rubinów, szmaragdów i szafirów. Padały przed nim na twarz narody nie śmiąc spojrzeć w to oblicze, do którego jeden tylko padyszach miał prawo — i zdawał się ów orszak albo nadziemskim widzeniem, albo rzeczywistością przez samego Allacha ze świata tych widzeń i sennej ułudy na ziemię przeniesioną.

Lecz słońce grzało coraz silniej i nadeszły nareszcie dni znojne. Więc pewnego wieczora zaciągnięto chorągiew na wysoki maszt przed sułtańskim namiotem i wystrzał z działa zwiastował wojskom i ludom, iż pochód do Lechistanu się rozpoczyna. Zahuczał wielki święty bęben, huknęły wszystkie inne, ozwały się przeraźliwymi głosami piszczałki, zawyli pobożni półnadzy derwisze i rzeka ludzka ruszyła pod noc, dla uniknięcia słonecznego skwaru. Ale samo wojsko miało dopiero w kilka godzin od ogłoszenia pierwszego hasła wyruszyć. Najpierw poszedł tabor, poszli ci baszowie, którzy spyżę dla wojska obmyślali, poszły legie całe rzemieślników, którzy mieli rozpinać namioty, poszły stada już to juczne, już na rzeź przeznaczone. Pochód miał trwać sześć godzin i tej nocy, i następnych, a zaś odbywać się w takim porządku, aby żołnierz przyszedłszy na postój zastawał zawsze posiłek i spoczynek zapewniony.

Gdy wreszcie nadszedł czas ruszyć i na wojsko, sułtan wyjechał na wzgórze, aby całą swą potęgę okiem objąć i widokiem jej się nacieszyć. Był z nim wezyr i ulemowie, i młody kajmakan, Kara Mustafa, „wschodzące słońce wojny”, i straż z kompanii „polachskiej” piechoty złożona. Noc była pogodna i widna; księżyc świecił bardzo jasno

— i mógłby sułtan objąć okiem wszystkie swoje zastępy, gdyby nie to, że żadne oko ludzkie nie zdołałoby ich naraz ogarnąć, bo rozciągnąwszy się w pochodzie, choć idąc dość ciasno, kilka mil zajmowały.

Jednakże radował się w sercu i przesuwając wonne, z sandałowego drzewa paciorki różańca, wznosił oczy ku niebu w podzięce Allachowi, iż go panem tylu wojsk i tylu ludów uczynił.

Nagle, gdy już czoło taboru zasunęło się w dal prawie zupełnie, przerwał modlitwę i zwróciwszy się do młodego kajmakana Czarnego Mustafy, rzekł:

— Przepomniałem, kto idzie w przedniej straży?

— Światłości rajska! — odrzekł Kara Mustafa — w przedniej straży idą Lipkowie i Czeremisy, a wiedzie ich twój pies, Azja syn Tuhaj-beja...

Rozdział XLVI

Azja Tuhaj-bejowicz po długim postoju na kuczunkauryjskim błoniu rzeczywiście ruszył z Lipkami na czele pochodu wszystkich wojsk tureckich ku granicom Rzeczypospolitej.

Po ciężkiej porażce, jaką z dzielnej ręki Basi poniosły jego zamiary i jego osoba, pomyślna gwiazda zdawała się mu znów świecić. Naprzód wyzdrowiał. Uroda jego była wprawdzie raz na zawsze zniszczona: jedno oko wypłynęło mu zupełnie, nos był zmiażdżony, a twarz jego, niegdyś do sokolej głowy podobna, stała się potworna i straszna. Ale właśnie ów postrach, jakim przejmowała ludzi, czynił mu jeszcze większy mir między dzikimi dobrudzkimi Tatary. Przybycie jego miało wielki rozgłos w całym obozie, a czyny jego w opowiadaniu ludzkim rosły i olbrzymiały. Mówiono, że przywiódł wszystkich Lipków i Czeremisów w sułtańską służbę; że podszedł Lachów, jak nikt nigdy nie podszedł; że popalił wszystkie miasta na dniestrzańskim szlaku, wyciął ich załogi i wziął łupy znamienite. Ci, którzy mieli dopiero iść do Lechistanu; ci, którzy nadciągnąwszy z dalekich kątów Wschodu nie zaznali dotąd „lackiego” oręża; ci, którym serca biły niespokojnie na myśl, że wkrótce przyjdzie im stanąć oko w oko strasznej jeździe niewiernych — widzieli w młodym Azji wojownika, który już „Lachom” stawił czoło, który się ich nie uląkł, owszem, zwyciężył ich i uczynił szczęśliwy wojny początek. Widok „bagadyra” napełniał po prostu serca otuchą; że zaś Azja był synem strasznego Tuhaj-beja, którego imię grzmiało na całym Wschodzie, więc tym bardziej zwracały się nań wszystkie oczy.

— Lachy go chowali — mówiono — ale on syn lwa: pokąsał ich i wrócił na służbę padyszacha.

Sam wezyr zapragnął go widzieć, a „wschodzące słońce wojny”, młody kajmakan Kara Mustafa, rozkochany w sławie wojennej i dzikich wojownikach, pokochał go. Obaj pilnie wypytywali go o Rzeczpospolitą, hetmana, wojska, Kamieniec i radowali się z jego odpowiedzi, widząc z nich, że wojna będzie łatwą, że sułtanowi zwycięstwo, Lachom klęskę, im zaś obum miano ghazich, to jest zdobywców, przynieść musi. Więc później często miewał Azja sposobność padać na twarz przed wezyrem, siadywać u proga kajmakanowego namiotu i liczne od obydwóch odebrał dary w wielbłądach, koniach i broni.

Wielki wezyr darował mu kaftan ze srebrnej lamy, którego posiadanie wywyższyło go w oczach wszystkich Lipków i Czeremisów. Kryczyński, Adurowicz, Morawski, Grocholski, Tworowski, Aleksandrowicz, słowem, wszyscy ci rotmistrze, którzy niegdyś w Rzeczypospolitej mieszkali i jej służyli, a teraz do sułtana wrócili, poddali się bezspornie pod komendę Tuhaj-bejowicza, czcząc w nim zarówno kniaże pochodzenie, jak i wojownika, który kaftan otrzymał. Został więc murzą znacznym i przeszło dwa tysiące wojowników, nieporównanie dzielniejszych od zwykłych Tatarów, słuchało jego skinienia. Nadchodząca wojna, w której młodemu murzy łatwiej niż komu innemu było się odznaczyć, mogła go wynieść wysoko; mógł w niej znaleźć dostojeństwa, sławę, władzę.

A jednak Azja nosił truciznę w duszy. Naprzód pychę jego bodło to, że Tatarzy wobec Turków samych, zwłaszcza wobec janczarów i spahów, niewiele więcej znaczą niż gończe psy wobec myśliwych.

Sam on znaczył; ale Tatarów w ogóle za nikczemny uważano komunik. Turczyn potrzebował ich, czasem się obawiał, ale w obozie nimi pogardzał. Azja spostrzegłszy to wyłączył swoich Lipków z ogólnej tatarskiej hassy, jakby osobny a lepszy rodzaj wojska, lecz zaraz oburzył tym na się innych dobrudzkich i białogrodzkich murzów, nie zdołał zaś wpoić przekonania w rozmaitych tureckich oficerów, aby Lipkowie mieli być czymś istotnie od czambułowych ordyńców lepszym. Z drugiej strony, wychowany w kraju chrześcijańskim, wśród szlachty i rycerstwa, nie mógł przywyknąć do obyczajów Wschodu. W Rzeczypospolitej był tylko zwykłym oficerem, i to pośledniejszego znaku, a przecie stykając się ze starszyzną i z samym hetmanem nie potrzebował się tak uniżać jak tu, będąc murzą i wodzem wszystkich lipkowskich ściahów. Tu przed wezyrem trzeba było na twarz padać, w kajmakana przyjacielskim namiocie czołem do ziemi bić,

płaszczyć się przed baszami, przed ulemami, przed głównym agą janczarskim. Azja do tego nie przywykł; pamiętał o tym, że był witeziowym synem, duszę miał dziką i pełną pychy, tak wysoko mierzącą, jak orły mierzą, więc bolał srodze.

Lecz najbardziej paliło go ogniem wspomnienie Basi. Mniejsza już o to, że jedna słaba ręka zwaliła z konia jego, który pod Bracławiem, pod Karnikiem, i w stu innych miejscach wyzywał na harc i rozciągał trupem najgroźniejszych harcowników zaporoskich; mniejsza o wstyd, mniejsza o hańbę! Ale on tę niewiastę miłował bez miary, bez pamięci, chciałby ją posiadać w swoim namiocie, patrzyć na nią, bić, całować. Gdyby mu dano do wyboru padyszachem zostać i rządzić połową świata albo ją wziąść w ramiona, czuć sercem ciepło jej krwi, twarzą jej oddech, wargami jej wargi — to by ją wolał niż Carogród, Bosfor i miano kalifa. Pragnął jej, bo ją kochał; pragnął jej, bo ją nienawidził; im bardziej była cudzą, tym pragnął jej więcej; im czystszą, wierniejszą, bardziej niepokalaną, tym pragnął jej więcej. Nieraz gdy w namiocie wspominał, że raz już w życiu całował w parowie, po bitwie z Azbą-bejem, jej oczy, że pod Raszkowem już czuł pierś jej na swojej, to porywało go szaleństwo żądz. Nie wiedział nic, co się z nią stało, czy wróciła do Chreptiowa, czy zginęła w drodze. Czasem doznawał ulgi na myśl, że zmarła; czasem chwytał go żal niezgłębiony. Były chwile, że myślał, iż lepiej było nie porywać jej, nie palić Raszkowa, lepiej było nie przychodzić tu, zostać Lipkiem w Chreptiowie — byle na nią choć patrzeć.

Natomiast nieszczęsna Zosia Boska była u niego w namiocie. Życie jej płynęło w niewolniczych posługach, w hańbie i ciągłym przerażeniu, bo w sercu Azji nie było dla niej kropli litości. Po prostu znęcał się nad nią za to tylko, że nie była Basią. Miała ona wszakże słodycz i urok polnego kwiatu, miała młodość i piękność, więc on nasycał się jej pięknością, lecz z lada powodu kopał ją nogami lub smagał puhą białe jej ciało. Żyć w gorszym piekle nie mogła, bo żyła bez nadziei. Życie jej właśnie zakwitło w Raszkowie, jak wiosna, kwieciem miłości dla młodego Nowowiejskiego. Kochała go z całej duszy, kochała ze wszystkich sił tę rycerską, szlachetną i poczciwą zarazem naturę, a oto była igraszką i niewolnicą tego potwornego ślepca; drżąca jak bity pies, musiała się czołgać u jego stóp i patrzyć mu w twarz, i patrzyć na ręce, czy nie chwytają za batog z surowca — i tamować dech — i tamować łzy.

Wiedziała o tym dobrze, że nie ma i nie może być nad nią miłosierdzia, bo choćby jaki cud wyrwał ją z tych strasznych rąk, już ona nie była dawną Zosią, białą jak pierwsze śniegi, zdolną zapłacić czystym sercem za kochanie. Wszystko to minęło bezpowrotnie. A że w tym ogromnym pohańbieniu, w którym żyła teraz, nie było jej

najmniejszej winy, że, przeciwnie, była przedtem zawsze dziewczyną bez zmazy jak baranek, dobrą jak gołąb, ufną jak dziecko, prostą, kochającą — więc nie rozumiała, dlaczego dzieje się jej taka straszna krzywda, która już nie może być nagrodzoną, dlaczego cięży nad nią taki nieubłagany gniew boży — i ta rozterka duszna zwiększała jej ból, jej rozpacz.

Tak jej poczęły płynąć dni, tygodnie i miesiące. Azja w zimie jeszcze przybył na kuczunkauryjskie błonie, a pochód do granic Rzeczypospolitej rozpoczął się dopiero w czerwcu. Cały ten czas upłynął Zosi w hańbie, w męce i pracy. Ponieważ Azja mimo jej piękności i słodyczy, mimo iż trzymał ją w namiocie, nie tylko nie kochał jej, ale raczej nienawidził za to, że nie była Basią, i uważał za prostą niewolnicę, zatem musiała i pracować jak niewolnica. Ona poiła jego konie i wielbłądy w rzece; ona nosiła wodę na ablucje, drwa na ogień; ona rozścielała skóry na noc; ona warzyła strawę. W innych oddziałach wojsk tureckich niewiasty nie wychodziły z namiotów ze strachu przed janczarami lub ze zwyczaju, ale lipkowski obóz stał opodal, obyczaj zaś ukrywania niewiast nie był między Lipkami rozpowszechniony, bo mieszkając niegdyś w Rzeczypospolitej, do czego innego przywykli. Niewolnice prostych żołnierzy, o ile który z nich brankę posiadał, nie zakrywały nawet twarzy jaszmakami. Niewiastom nie wolno było wprawdzie wydalać się z granic lipkowskiego majdanu, gdyż poza tymi granicami porwano by je niezawodnie, ale w samym majdanie mogły wszędy chodzić bezpiecznie i zajmować się obozową gospodarką.

Mimo ciężkiej pracy było to dla Zosi nawet pewną pociechą wyjść po drwa lub ku rzece, do „poiska” z końmi, z wielbłądami, bo w namiocie bała się płakać, a przez drogę mogła dać folgę łzom bezkarnie. Raz, idąc z naręczem drzew, spotkała matkę, którą był Azja Halimowi darował. Padły sobie w objęcia i siłą je trzeba było rozrywać, a choć Azja wysmagał potem Zosię nie szczędząc uderzeń puhy nawet po głowie, jednak było to słodkie spotkanie. Drugi raz, piorąc chusty i onuce Azjowe u brodu, ujrzała Zosia z daleka Ewkę idącą z wiadrami wody. Ewka stękała pod ciężarem wiader; postać jej była już mocno zmieniona i ociężała, ale rysy, lubo przysłonięte jaszmakiem, przypomniały Zosi Adama — i taki ból chwycił jej serce, że przytomność opuściła ją na chwilę. Wszelako nie mówiły do siebie nic ze strachu.

Strach ów przytłumiał i opanowywał stopniowo wszystkie uczucia Zosi, aż wreszcie został sam jeden na miejsce pragnień, nadziei, pamięci. Nie być bitą — to stało się jej celem. Basia na jej miejscu byłaby zabiła Azję jego własnym nożem pierwszego dnia,

bez względu na to, co by ją potem spotkać mogło; lecz bojaźliwa Zosia, półdziecko jeszcze, nie miała Basinej dzielności.

I oto przyszło w końcu do tego, że uważała za łaskę, gdy straszny Azja pod wpływem chwilowej żądzy zbliżał czasem swoją zeszpeconą twarz do jej ust. Siedząc w namiocie, nie spuszczała oczu ze swego pana, pragnąc poznać, czy gniewny, czy niegniewny, śledząc jego ruchy, starając się odgadnąć chęci.

A gdy, bywało, odgadła źle i gdy mu spod wąsów, jak ongi staremu Tuhaj-bejowi, poczynały błyskać kły, wówczas bezprzytomna prawie z przerażenia czołgała mu się u nóg przyciskając zbladłe wargi do jego butów, obejmując konwulsyjnie kolana i krzycząc jak gnębione dziecko:

— Nie bij mnie, Azja! Nigdy nie będę! Daruj, nie bij!

On nie przebaczał prawie nigdy, pastwił się zaś nad nią nie tylko z tego powodu, że nie była Basią. Oto była niegdyś narzeczoną Nowowiejskiego. Azja miał duszę nieulęknioną — jednak tak straszne były między nim a Nowowiejskim rachunki, że na myśl o tym olbrzymie z zapiekłą w sercu zemstą ogarniał młodego Lipka pewien niepokój. Miała być wojna, mogli się spotkać i było prawdopodobnym, że się spotkają. Azja nie mógł tego dokazać, żeby o tym nie myśleć, że zaś myśli owe przychodziły mu do głowy na widok Zosi, więc się mścił na niej za to, jakby własny niepokój chciał razami puhy rozpędzić.

Nadeszła wreszcie chwila, że sułtan wydał rozkaz pochodu. Oczywiście Lipkowie, a za nimi cała ćma Tatarów dobrudzkich i bialogrodzkich miała iść w przedniej straży. Było to ułożone między sułtanem, wezyrem i kajmakanem. Lecz z początku, zwłaszcza do Bałkanów, szli wszyscy razem. Pochód był wygodny, bo dla rozpoczynających się upałów szli tylko w nocy, po sześć godzin od postoju do postoju. Beczki smolne płonęły po ich drodze, a massał-działarowie przyświecali barwnymi kagankami sułtanowi. Mrowie ludzkie płynęło na kształt fali przez nieprzejrzane równiny, napełniało jak szarańcza wgłębienia dolin, pokrywało całe góry. Za zbrojnym ludem szły tabory, w nich haremy, za taborem nieprzeliczone stada.

Tymczasem w przedbałkańskich mokradłach złocisty i purpurowy wóz Kasseki ugrzązł tak, że dwadzieścia bawołów nie mogło go z błota wyciągnąć. „Zła to wróżba, panie, i dla ciebie, i dla całego wojska!” — rzekł sułtanowi najwyższy mufty. „Zła wróżba!” — jęli powtarzać w obozie półobłąkani derwisze. Więc sułtan zląkł się i postanowił wszystkie niewiasty wraz z cudną Kasseką wyprawić z obozu.

Rozkaz został ogłoszony wojskom. Ci z żołnierzy, którzy nie mieli gdzie wyprawić niewolnic, a z miłości nie chcieli ich na rozkosz obcym przedawać, woleli je wyścinać. Inne kupowali na tysiące bazarnicy z Karawanseraju, by potem przedawać na rynkach Stambułu i wszystkich miast pobliskiej Azji. Trzy dni z rzędu trwał jak gdyby wielki jarmark. Azja wystawił bez wahania na sprzedaż Zosię, którą wnet i za dobre pieniądze kupił bogaty a stary stambulski kupiec bakalij dla swego syna.

Był to człowiek dobry, bo na łzy i zaklęcia Zosi kupił także od Halima — prawda, że za bezcen — jej matkę. Na drugi dzień powędrowały obie w stronę Stambułu wraz z czeredą innych niewiast. W Stambule los Zosi nie przestając być haniebnym poprawił się. Nowy właściciel pokochał ją i po upływie kilku miesięcy do godności małżonki podniósł. Matka nie rozłączała się z nią więcej.

Wiele ludzi, między nimi wiele niewiast, po długiej nawet czasem niewoli wracało do kraju. Był podobno ktoś, co wszelkimi sposoby, przez Ormian, przez kupców Greków, przez sługi posłów Rzeczypospolitej, szukał i Zosi, ale bezskutecznie. Potem szukania te urwały się nagle i Zosia nie obaczyła nigdy ni rodzinnego kraju, ni twarzy drogich.

Żyła do śmierci w haremie.

Rozdział XLVII

Jeszcze przed wyruszeniem Turków spod Adrianopola ruch wielki uczynił się we wszystkich naddniestrzańskich stanicach. Szczególniej do najbliższego od Kamieńca Chreptiowa przybiegali raz w raz hetmańscy gońcy przywożąc rozmaite rozkazy, które mały rycerz albo sam wykonywał, albo, o ile go nie dotyczyły, dalej przez pewnych ludzi rozsyłał. Wskutek tych rozkazów zmniejszyła się znacznie załoga chreptiowskiej fortalicji. Pan Motowidło poszedł ze swymi semenami aż pod Humań w pomoc Haneńce, któren z garścią wiernych Rzeczypospolitej Kozaków dużał się jak mógł z Doroszem i połączoną z nim ordą krymską. Pan Muszalski, łucznik niezrównany, pan Snitko, herbu Miesiąc Zatajony, pan Nienaszyniec i pan Hromyka powiedli towarzyską chorągiew i Linkhauzowskich dragonów do nieszczęsnej pamięci Batoha, gdzie stał pan Łużecki mający wraz z Haneńką dawać baczenie na Doroszeńkowe obroty. Pan Bogusz dostał rozkaz, aby dotrzymywał w Mohilowie dopóty, dopóki gołym okiem nie będzie mógł dojrzeć czambułów. Szukały pilnie polecenia hetmańskie i przesławnego pana Ruszczyca, nad którym jeden tylko Wołodyjowski jako zagończyk górował, ale pan

Ruszczyc poszedł na czele kilkudziesięciu ludzi w stepy i jak w wodę wpadł. Zasłyszano o nim dopiero później, gdy się rozeszły dziwne wieści, że naokoło Doroszowego taboru i ordyńskich sieheniów krąży jakoby zły duch, który codziennie pojedynczych wojowników i pomniejsze watahy porywa. Domyślano się, że to pan Ruszczyc musi nieprzyjaciela podchodzić, bo nikt inny za wyjątkiem małego rycerza nie potrafiłby tak podchodzić. Jakoż był to pan Ruszczyc.

Wołodyjowski miał po staremu iść do Kamieńca, bo go tam potrzebował hetman wiedząc, że to jest żołnierz, którego widok wleje otuchę w serca i podniesie ducha tak mieszkańców, jak i załogi. Hetman był przekonany, iż się Kamieniec nie utrzyma, chodziło mu o to tylko, by się trzymał jak najdłużej, mianowicie dopóty, dopóki by Rzeczpospolita nie zgromadziła jakichkolwiek sił na obronę. W tym przekonaniu posyłał jakoby na oczywistą śmierć najsławniejszego Rzeczypospolitej kawalera i ulubionego żołnierza.

Na śmierć posyłał najsławniejszego żołnierza i nie żal mu go było. Hetman myślał to zawsze, co później pod Wiedniem powiedział, że pani Wojnina może rodzić ludzi, ale wojna ich tylko gubi. Sam był gotów polec i mniemał, że polec to najprostszy obowiązek żołnierza, a gdy ów śmiercią swoją może znamienitą przysługę oddać, to mu śmierć jest łaską i wielką nagrodą. Wiedział też pan hetman, że mały rycerz jednakiego z nim jest mniemania.

Wreszcie, nie czas mu było o oszczędzaniu pojedynczych żołnierzy myśleć, gdy zatracenie szło na kościoły, miasta, kraje, na całą Rzeczpospolitą, gdy Wschód podnosił się z niepamiętną potęgą przeciw Europie na podbicie całego chrześcijaństwa, które zasłonięte piersią Rzeczypospolitej, nie myślało jej iść w pomoc. Chodzić hetmanowi mogło tylko o to, aby naprzód Kamieniec zasłonił Rzeczpospolitą, później Rzeczpospolita resztę chrześcijaństwa.

Co by i mogło się stać, gdyby miała siły, gdyby nie trawił jej nierząd. Ale hetman nie posiadał dość wojsk nawet na podjazdy, nie dopiero na wojnę. Jeśli w jedno miejsce pchnął kilkudziesięciu żołnierzy, zaraz w drugim czyniła się wyrwa, przez którą fala najezdnicza mogła się wlać bez przeszkody. Straże, które sułtan rozstawiał nocą w swoim obozie, były liczniejsze od hetmańskich chorągwi. Nawała szła z dwóch stron, od Dniepru i od Dunaju. Ponieważ Dorosz z całą ordą krymską byli bliżej i już zalewali kraj paląc i ścinając, więc przeciw nim poszły głównie chorągwie, a w drugą stronę brakło po prostu ludzi nawet na zwiady.

W tych ciężkich terminach napisał hetman do Wołodyjowskiego następnych kilka słów:

„Jużem na dwoje ważył, czy cię aż hen, do Raszkowa, pod nieprzyjaciela nie wysłać, alem się zląkł, że gdy orda siedmiu brodami z multańskiego brzegu się wleje i kraj zajmie, nie zdołasz potem do Kamieńca się przedostać, a tam cię koniecznie trzeba. Dopierom sobie wczora Nowowiejskiego przypomniał, który jest żołnierz doświadczony i rezolut, a że człek w desperacji na wszystko się waży, przeto tak myślę, że mi dobrze posłuży. Co możesz lekkiej jazdy mu posłać, to podeślij, on zaś niechaj idzie jako najdalej i wszędy się pokazuje, o wielkich wojskach naszych głosi, a gdy już nieprzyjaciel będzie w oczach, niech mu się też tu i owdzie miga, ogarnąć się nie dając. Wiadomo, jako będą szli, ale jeśliby co nowego postrzegł, zaraz ma ci dawać znać, a ty, nie mieszkając, języka pchniesz do mnie i do Kamieńca. Nowowiejski prędko niech rusza, a i ty bądź do Kamieńca w gotowości, ale czekaj, póki wieści z Multan i od Nowowiejskiego nie przyjdą."

Ponieważ Nowowiejski bawił chwilowo w Mohilowie i mówiono, że miał i tak przybyć do Chreptiowa, przeto mały rycerz dał mu tylko znać, żeby się z przyjazdem pokwapił, bo czeka na niego z ramienia hetmana funkcja w Chreptiowie.

Nowowiejski przyjechał trzeciego dnia. Znajomi ledwie go poznali i pomyśleli, że pan Białogłowski słusznie nazwał go kościejem. Nie był to już ów chłop na schwał, bujny, wesoły, który niegdyś rzucał się na nieprzyjaciela z wybuchami śmiechu podobnymi do rżenia końskiego i tuzał z takim właśnie rozmachem, z jakim obracają się skrzydła wiatraka. Wychudł, zżółkł, sczerniał, a w tej chudości wydawał się jeszcze bardziej olbrzymi. Na ludzi spoglądał mrugając oczyma, jakby najlepszych znajomych nie poznawał; trzeba mu też było powtarzać dwa razy jednę i tę samą rzecz, bo zdawał się od razu nie rozumieć. Widocznie w żyłach zamiast krwi płynęła mu zgryzota; widocznie o niektórych rzeczach starał się nie myśleć i wolał się zapamiętywać, żeby nie oszaleć. Wprawdzie w tych stronach nie było człowieka, nie było rodziny, w wojsku nie było jednego oficera, którego by nie dotknęło nieszczęście z pogańskich rąk, który by nie opłakiwał kogoś ze znajomych, przyjaciół, bliskich, drogich; ale nad Nowowiejskim oberwała się po prostu cała chmura nieszczęść. Jednego dnia stracił ojca, siostrę i narzeczoną, którą kochał ze wszystkich sił swej bujnej duszy. Wolej by ta siostra i tamta słodka, kochana dziewczyna zmarły; wolej by zginęły od noża i płomienia. Lecz los ich był taki, że w porównaniu z myślą o nim największa męka była dla Nowowiejskiego

niczym. Starał się nie myśleć o nim, bo czuł, że to rozmyślanie graniczy z szaleństwem, jednak nie mógł tego dokazać.

Jakoż spokój jego był pozorny. W duszy jego nie było wcale rezygnacji i na pierwszy rzut oka każdy mógł odgadnąć, że pod tą martwotą tai się coś złowrogiego i straszliwego, co jeśli wybuchnie, to ów olbrzym spełni jakieś okropne czyny, jak rozszalały żywioł. Było to tak wyraźnie wypisane na jego czole, że nawet przyjaciele zbliżali się do niego z pewną obawą, w rozmowie zaś z nim unikali wzmianki o tym, co się stało.

Widok Basi w Chreptiowie poruszył widocznie w nim zapiekłe bóle, bo całując na powitanie jej ręce począł nagle stękać jak dobijany żubr, przy czym oczy zaszły mu krwią i żyły na szyi nabrzmiały jak powrozy. A gdy Basia zalała się łzami i z uczuciem matki ścisnęła mu rączkami głowę, padł jej do nóg i długo nie można go było oderwać. Natomiast dowiedziawszy się, jaką funkcję hetman mu przeznacza, ożywił się wielce; płomień złowrogiej radości zabłysnął mu w twarzy i rzekł:

— Uczynię to, uczynię i więcej!

— A jeśli spotkasz tamtego wściekłego psa, dajże mu łupnia! — wtrącił pan Zagłoba.

Nowowiejski zrazu nic nie odrzekł, patrzył tylko na pana Zagłobę; nagle obłąkanie zaświtało mu w oczach, podniósł się i począł iść ku staremu szlachcicowi, jakby się chciał na niego rzucić.

— Czy waćpan wierzysz — rzekł — że ja temu człeku nie uczyniłem nigdy zła i żem mu był zawsze życzliwy?

— Wierzę, wierzę! — odrzekł pospiesznie pan Zagłoba cofając się roztropnie za małego rycerza. — Sam bym poszedł z tobą, ale mnie pedogra po nogach kąsa.

— Nowowiejski! — rzekł mały rycerz — kiedy chcesz ruszyć?

— Dziś na noc.

— Dam ci stu ludzi dragonów. Sam tu z drugim stem prócz piechoty ostanę. Chodź na majdan!

I wyszli, żeby wydać rozkazy.

Przy progu czekał wyprostowany jak struna Zydor Luśnia. Już wieść o ekspedycji rozeszła się po majdanie, więc wachmistrz w swoim i swojej kompanii imieniu zaczął prosić małego pułkownika, by mu z Nowowiejskim iść pozwolił:

— Także to? Chcesz ode mnie odejść? — pytał zdziwiony Wołodyjowski.

— Panie komendancie, my temu takiemu synowi ślubowali. A może przyjdzie na nasze ręce!

— Prawda jest! Mówił mi o tym pan Zagłoba — odrzekł mały rycerz.

Luśnia zwrócił się do Nowowiejskiego:

— Panie komendancie!

— Czego chcesz?

— Jeśli my jego dostaniem, żeby ja go mógł opatrzyć...

I taka sroga, zwierzęca zawziętość odmalowała się w twarzy Mazura, że Nowowiejski skłonił się zaraz Wołodyjowskiemu i rzekł prosząc:

— Wasza miłość, pozwól mi tego człeka!

Wołodyjowski nie myślał się sprzeciwiać i tego samego wieczora pod noc sto koni z Nowowiejskim na czele ruszyło w drogę.

Szli znanym szlakiem na Mohilów, Jampol. W Jampolu zetknęli się z dawną raszkowską załogą, z której dwustu ludzi na mocy rozkazania hetmańskiego połączyło się z Nowowiejskim, reszta zaś pod wodzą pana Białogłowskiego miała iść do Mohilowa, w którym stał pan Bogusz.

Nowowiejski zaś pociągnął w dół, aż do Raszkowa.

Okolice Raszkowa były już zupełną pustynią; samo miasteczko zmieniło się w kupę popiołów, które wiatry zdołały już rozwiać na cztery strony świata, nieliczni zaś mieszkańcy pouciekali przed spodziewaną burzą. Był to już bowiem początek maja i orda dobrudzka mogła każdej chwili ukazać się w tych stronach, więc niebezpiecznie było w nich dosiadywać.

W rzeczywistości ordy stały jeszcze wraz z Turkami na kuczunkauryjskim błoniu, ale nie wiedziano o tym w raszkowskich odojach, więc każdy z dawnych mieszkańców Raszkowa, ocalałych po ostatniej rzezi, unosił wcześnie głowę, dokąd mu się widziało.

Luśnia przez drogę układał sobie sposoby i fortele, jakich, wedle jego zdania, powinien się był chwycić pan Nowowiejski, jeśli chciał szczęśliwie i skutecznie nieprzyjaciela podchodzić. Myślami tymi dzielił się łaskawie z szeregowcami.

— Wy końskie łby — mówił im — wy się na tym nie znacie, ale ja stary, ja się znam. Pójdziem do Raszkowa, tam zataimy się w odojach i będziemy czekać. Przyjdzie orda do brodu, to naprzód przeprawią się małe zagony, jako to u nich zwyczaj, że czambuł stoi i czeka, aż mu owi dadzą znać, czy przezpiecznie. Dopieroż my chyłkiem ruszymy za nimi i pognamy przed sobą aż hen, chociażby do Kamieńca.

— A tak i tamtego psubrata możem nie dostać! — zauważył jeden z szeregowych.

— Stul gębę! — odparł Luśnia. — Któż pójdzie przodem, jeśli nie Lipki?

Jakoż przewidywania wachmistrza zdawały się sprawdzać. Nowowiejski dotarłszy do Raszkowa dał wypoczynek żołnierzom. Byli już wszyscy pewni, że następnie pójdą ku pieczarom, których pełno było w całej okolicy, i tam zatają się aż do przybycia pierwszych nieprzyjacielskich zagonów.

Lecz drugiego dnia postoju komendant podniósł chorągiew na nogi i powiódł ją za Raszków.

„Aż do Jahorlika pójdziemy czy co?" — mówił sobie wachmistrz.

Tymczasem zaraz za Raszkowem zbliżyli się tuż do rzeki, a w kilka pacierzy później stanęli nad tak zwanym „krwawym brodem". Wówczas Nowowiejski nie rzekłszy ni słowa wparł konia w wodę i jął się przeprawiać na drugą stronę.

Żołnierze poczęli spoglądać na siebie ze zdumieniem.

— Jakże to? Do Turczech idziem? — pytał jeden drugiego.

Ale nie byli to „mościpanowie" z pospolitego ruszenia, gotowi do narad i protestów, jeno żołnierze prostacy, wzwyczajeni do żelaznej, stanicznej karności; więc za komendantem wparł konie w wodę pierwszy szereg, za nim drugi, trzeci. Nie było najmniejszego wahania. Dziwili się, że w trzysta koni idą do państwa tureckiego, któremu cały świat nie może podołać, ale szli.

Wkrótce rozkołysana woda zaczęła chlupać koło końskich boków, więc i przestali się dziwić, a myśleli jeno o tym, żeby sakw ze spyżą dla siebie i koni nie zamoczyć.

Dopiero na drugim brzegu poczęli znów spoglądać po sobie.

— Dla Boga! To my już w Multanach! — zabrzmiały ciche szepty.

I jaki taki obejrzał się za siebie, na Dniestr, który w zachodzącym słońcu błyszczał jak złota i czerwona wstęga. Skały nadbrzeżne, pełne pieczar, także skąpane były w jaskrawych blaskach. Wznosiły się one jak mur, który oto w tej chwili przedzielił tę garść ludzi od ojczyzny. Dla wielu z nich było to zapewne ostatnie pożegnanie.

Przez głowę Luśni przeszła myśl, że może komendant oszalał, ale komendanta rzeczą było rozkazywać, jego słuchać.

Tymczasem konie wyszedłszy z wody poczęły w szeregach parskać okrutnie.

— Zdrów! Zdrów! — rozległy się głosy żołnierskie.

Poczytano to za dobrą wróżbę i jakowaś otucha wstąpiła w serca.

— Ruszaj! — zakomenderował Nowowiejski.

Szeregi ruszyły i poszły ku zachodzącemu słońcu i ku owym tysiącom, ku owemu rojowisku ludzkiemu, ku owym narodom stojącym na Kuczunkaurach.

Rozdział XLVIII

Przejście Nowowiejskiego przez Dniestr i pochód jego w trzysta szabel przeciw potędze sułtańskiej, setki tysięcy wojowników liczącej, były to czyny, które człowiek wojny nieświadom za proste szaleństwo mógłby poczytać. Tymczasem były one tylko zuchwałą wyprawą wojskową mającą widoki powodzenia.

Naprzód nieraz zdarzało się ówczesnym zagończykom iść przeciw stokrotnie liczniejszym czambułom, stanąć im na oczach, a potem pomykać przed nimi odcinając się krwawo pościgowi. Właśnie jak wilk wywabia czasem psy za sobą, aby w sposobnej chwili odwrócić się i zarżnąć najzuchwalej docierającego pokurcza, tak czynili i oni. Zwierz w okamgnieniu stawał się myśliwcem: pomykał, krył się, przytajał, ale goniony, sam gonił, napadał znienacka i kąsał na śmierć. Był to tak zwany „proceder z Tatary", w którym prześcigano się w fortelach, podejściach, zasadzkach. Słynął z owego procederu najbardziej pan Wołodyjowski, po nim pan Ruszczyc, po nim pan Piwo i pan Motowidło, lecz i Nowowiejski, praktykując od dzieciństwa w stepach, należał do tych, których między najsławniejszymi wymieniano, dlatego też było wielce prawdopodobnym, że stanąwszy na oczach ordy, ogarnąć się jej nie pozwoli.

Wyprawa jego miała także widoki powodzenia i z tego powodu, że za Dniestrem ciągnęły się kraje pustynne, w których zataić się było łatwo. Gdzieniegdzie tylko na porzeczach wznosiły się osady ludzkie, ale w ogóle kraj był mało zamieszkały, bliżej brzegu skalisty i wzgórzysty, dalej stepowy lub lasami pokryty, w których błąkały się liczne stada zwierza, począwszy od zdziczałych bawołów do jeleni, sarn i dzikich świń. Ponieważ sułtan pragnął przed wyprawą „poczuć się w potędze" i porachować swe siły, więc mieszkające wedle Dniestrowego Niżu ordy białogrodzkie i dalsze jeszcze, dobrudzkie, pociągnęły z rozkazania padyszacha hen, za Bałkany, za nimi poszli i karałaszowie multańscy, tak że kraj opustoszał jeszcze bardziej i można nim było ciągnąć tygodnie całe nie będąc przez nikogo widzianym.

Natomiast zbyt dobrze znał pan Nowowiejski obyczaje tatarskie, aby nie miał wiedzieć, że gdy czambuły przekroczą raz granicę Rzeczypospolitej, będą już iść ostrożnie, pilne dając baczenie na wszystkie strony; tu zaś, w swoim jeszcze kraju, pójdą szeroką ławą, żadnych ostrożności nie zachowując. I istotnie tak było; spotkanie śmierci wydałoby się Tatarom prawdopodobniejsze niż spotkanie w głębi Besarabii, na samych tatarskich rubieżach, wojsk tej Rzeczypospolitej, która ich nie miała dosyć na obronę własnych granic.

Ufał więc pan Nowowiejski, że wyprawa jego naprzód zdumieje nieprzyjaciela, a zatem większe jeszcze pożytki przyniesie, niż się pan hetman spodziewał; po wtóre, że dla Azji i Lipków zgubną stać się może. Łatwo było młodemu porucznikowi odgadnąć, iż Lipkowie i Czeremisy, jako znający wybornie Rzeczpospolitą, pójdą w przedniej straży, i na tej pewności główną nadzieję zakładał. Wpaść niespodzianie i schwytać wrażego Azję, odbić może siostrę i Zosię — wyrwać je z niewoli, zemsty dokonać, potem samemu na wojnie zginąć — oto było wszystko, czego jeszcze pragnęła rozdarta dusza Nowowiejskiego.

Pod wpływem tych myśli i nadziei Nowowiejski otrząsnął się z martwoty i ożył. Pochód przez nieznane drogi, ciężkie trudy, szeroki powiew stepowy i niebezpieczeństwa zuchwałej wyprawy wzmocniły mu zdrowie i powróciły dawną siłę. Zagończyk począł brać w nim górę nad nieszczęśnikiem. Przedtem nie było w nim miejsca na nic innego, jak na wspominki i mękę, teraz musiał rozmyślać po całych dniach, jak nieprzyjaciela podejść i poszarpać.

Przeszedłszy Dniestr, szli na ukos i w dół ku Prutowi, zapadając często dniem w lasach i oczeretach, nocą zaś czyniąc spieszne a tajemnicze pochody. Kraj, dziś jeszcze niezbyt osiadły, a wówczas zamieszkały przeważnie przez koczowników, po większej części był pusty. Bardzo rzadko napotykali pola kukurydzane, a przy nich osady.

Idąc tajemnie, starali się unikać większych osad, ale zajeżdżali częstokroć śmiało do mniejszych, złożonych z jednej, dwu, trzech lub nawet kilkunastu chat, wiedząc, że nikomu z mieszkańców nie przyjdzie na myśl biec przed nimi ku Budziakowi i ostrzegać tamtejszych Tatarów. Luśnia pilnował zresztą, aby to się nie stało, lecz wkrótce i tej ostrożności zaniechał, przekonał się bowiem, że ci nieliczni osadnicy, chociaż niby sułtańscy poddani, sami z trwogą oczekują nadejścia wojsk sułtańskich, a po wtóre, że nie mają żadnego pojęcia, co to za ludzie do nich przychodzą, i cały oddział biorą za jakowychś karałaszów, którzy za innymi na rozkaz sułtana ciągną. Dostarczano też im bez oporu kukurydzowych placków, suszonego dereniu i suszonego bawolego mięsa. Każdy chutornik miał swe gromady owiec, bawołów i koni, poukrywane przy rzekach. Od czasu do czasu napotykali też bardzo liczne stada półzdziczałych bawołów, których pilnowało po kilkunastu pastuchów. Ci koczowali na stepie, w namiotach, pozostawali zaś na miejscu dopóty tylko, dopóki pasza znajdowała się w obfitości. Częstokroć byli nimi starzy Tatarowie. Nowowiejski otaczał owych „czabańczyków" z takimi ostrożnościami, jakby o czambuł chodziło; otoczonych nie żywił, aby nie puścili rozgłosu hen, ku Budziakowi, o jego pochodzie. Szczególniej Tatarów, wypytawszy ich

wprzód o drogi, a raczej bezdroża, ścinać kazał bez miłosierdzia, tak aby noga nie uszła. Następnie brał ze stada tyle sztuk, ile mu było potrzeba, i szedł dalej.

W miarę jak szli na południe, stada przytrafiały się częściej, a pilnowali ich sami niemal Tatarowie, w kupach dość znacznych. W ciągu dwutygodniowego pochodu otoczył Nowowiejski i wygniótł trzy watahy pastusze od stad owczych, po kilkudziesięciu ludzi liczące. Dragoni zabierali im wszawe kożuchy i oczyściwszy je nad ogniem, sami przystrajali się w nie, aby się stać podobnymi do dzikich czabańczyków i owczarów. W drugim tygodniu wszyscy już byli z tatarska przybrani i wyglądali zupełnie na czambuł. Została im tylko jednostajna broń regularnej jazdy, kolety zaś zachowali w trakach, aby się w nie przebrać za powrotem. Z bliska, po płowych mazurskich wąsiskach i błękitnych oczach, można by ich poznać, co zacz są, lecz z daleka najwprawniejsze oko mogło się na ich widok omylić, zwłaszcza że pędzili jeszcze przed sobą i stada, i które im były na spyżę potrzebne.

Zbliżywszy się do Prutu, szli w dół lewym brzegiem. Ponieważ szlak kuczmański zbyt był ogłodzony, łatwo było przewidzieć, że zastępy sułtańskie, a przed nimi ordy pójdą na Falezi, Husz, Kotimore i potem dopiero szlakiem wołoskim — i albo skręcą ku Dniestrowi, albo jeszcze pociągną wprost, jak sierpem rzucił, przez całą Besarabię, by dopiero koło Uszycy wynurzyć się w granice Rzeczypospolitej. Nowowiejski tak był tego pewien, że szedł coraz wolniej, nic na czas nie zważając, i coraz ostrożniej, aby się zbyt nagle na czambuły nie natknąć. Wszedłszy wreszcie między widły rzeczne utworzone przez Saratę i Tekicz zapadł tam na długo, raz dlatego, żeby dać wypoczynek koniom i ludziom, a po wtóre, aby w dobrze osłoniętym miejscu oczekiwać na przednią straż ordzińską.

Miejsce zaś było dobrze osłonięte i dobrze wybrane, całe bowiem widły rzeczne i zewnętrzne brzegi były porośnięte częścią zwyczajnym dereniem, częścią świdwą. Gaj ów rozciągał się jak okiem sięgnąć pokrywając grunt miejscami zbitym gąszczem, miejscami zaś tworząc kępy, między którymi szarzały puste przestrzenie przydatne do założenia majdanu. O tej porze drzewa i krze już okwitły, wczesną wiosną jednak musiało tu być całe morze żółtych i białych kwiatów. Gaj był zupełnie bezludny, natomiast roił się od wszelkiego rodzaju zwierza, jako to: jeleni, sarn, zajęcy i wszelkiego rodzaju ptastwa. Tu i owdzie nad brzegami źródeł żołnierze odkryli także ślady niedźwiedzi. Jeden z nich w dwa dni po przybyciu podjazdu zabił parę owiec, wskutek czego Luśnia obiecywał sobie urządzić na niego łowy, że jednak Nowowiejski,

chcąc leżeć skrycie, nie pozwolił używać muszkietów, żołnierze wybierali się na rabusia z oszczepami i siekierami.

Później znaleziono przy źródłach także i ślady ognisk, ale stare, prawdopodobnie zeszłoroczne. Widocznie czasem zaglądali tu koczownicy ze stadami lub może Tatarzy przychodzili wycinać dereniowe pędy na kiścienie. Jednakoż najstaranniejsze poszukiwania nie zdołały wykryć żyjącej ludzkiej istoty.

Nowowiejski postanowił nie iść dalej i tu czekać na przybycie wojsk tureckich.

Założono więc majdan. Pobudowano szałasy i poczęło się oczekiwanie. Na krańcach gaju stanęły straże, z których jedne spoglądały dzień i noc ku Budziakowi, drugie na Prut, w stronę Falezi. Nowowiejski wiedział, że po pewnych oznakach odgadnie zbliżanie się wojsk sułtańskich, zresztą wysyłał i małe podjazdy, na których czele sam stawał najczęściej. Pogoda sprzyjała wybornie postojowi w tym suchym kraju. Dnie były znojne, ale w cieniu gęstwy łatwo się było przed upałem uchronić, noce — jasne, ciche, księżycowe, w czasie których chaszcze trzęsły się od śpiewania słowików. W czasie takich to nocy najwięcej cierpiał Nowowiejski, bo spać nie mogąc rozmyślał — i o dawnym szczęściu, i o teraźniejszych czasach klęski wspominał.

Żył tylko myślą, że gdy serce zemstą nasyci, będzie szczęśliwszy i spokojniejszy. Tymczasem zbliżał się termin, w którym miał albo tej zemsty dokonać, albo zginąć.

Tydzień płynął im za tygodniem na gospodarstwie w pustyni i na czuwaniu. Przez ten czas przeznali wszystkie szlaki, jary, błonia, rzeki i strumienie, zagarnęli znów kilka stad, wycięli kilka nielicznych kup koczowników i czyhali wciąż w tej gęstwie, jak dziki zwierz czyha na łup. Na koniec chwila oczekiwana nadeszła.

Pewnego poranku ujrzeli stada ptastwa ciągnącego niebem i ziemią. Dropie, pardwy, błękitnonogie przepiórki sunęły trawami ku gąszczom, w górze zaś leciały kruki, wrony, a nawet błotne ptastwo, widocznie płoszone nad brzegami Dunaju lub na błotach dobrudzkich. Na ów widok spojrzeli po sobie dragoni i wyraz: „Idą! idą!” — przeleciał z ust do ust. Twarze ożywiły się zaraz, wąsy poczęły się poruszać, oczy błyszczeć, ale w tym ożywieniu nie było najmniejszego niepokoju, byli to wszystko ludzie, którym wiek życia zbiegł na „procederze”, czuli więc tylko tyle, co czują psy myśliwskie, gdy już zwierza zawietrzą. Ogniska zostały w tej chwili zalane, aby dym nie zdradził obecności ludzkiej w gąszczach, konie posiodłane — i cały oddział stanął w gotowości do pochodu.

Należało teraz wymiarkować tak czas, aby wpaść na nieprzyjaciela w chwili, gdy będzie czynił postój. Nowowiejski rozumiał dobrze, że wojska sułtańskie nie idą z

pewnością zbitą masą, tym bardziej że są w kraju swoim, w którym jakiekolwiek niebezpieczeństwo było zupełnie nieprawdopodobnym. Wiedział przy tym, że przednie straże zawsze chodzą w mili albo we dwóch przed całą potęgą, spodziewał się zaś słusznie, że w pierwszej straży pójdą Lipkowie.

Przez pewien czas wahał się, czy iść im na spotkanie tajemnymi a dobrze już znanymi mu drogami, czy czekać na ich przybycie w dereniowej puszczy. Wybrał to ostatnie, ponieważ z puszczy łatwiej było wypaść w każdej chwili niespodzianie. Upłynął jeszcze cały dzień, potem noc, w czasie której nie tylko ptactwo, ale i zwierz ziemny ciągnął stadami ku gęstwie. Następnego poranku nieprzyjaciel już był widoczny.

Na południe od krańca dereniowego gaju ciągnęło się obszerne, lubo pagórzyste błonie gubiące się hen, na widnokręgu. Na tym to błoniu ukazał się nieprzyjaciel i zbliżał się ku Tekiczowi dość szybko. Dragoni patrzyli z chaszczów na ową czarniawą masę, która już to nikła chwilami z oczu, zakrywana przez garby gruntu, już ukazywała się znowu w całej swej rozciągłości.

Luśnia, który miał wzrok nadzwyczajny, wpatrywał się czas jakiś z natężeniem w owe zbliżające się kupy, po czym zbliżył się do Nowowiejskiego.

— Panie komendancie! — rzekł – Ludzi tam nie masz wiele: to jeno stada wyganiają na paszę.

Nowowiejski po małej chwili przekonał się, że Luśnia ma słuszność, i twarz rozjaśniła mu się radością.

— To znaczy, że postój wypadł im na milę albo półtory od tych chaszczów? — rzekł.

— Tak jest — odparł Luśnia. — Idą widać nocami, by się upałów uchronić, a w dzień spoczywają; konie zaś wysyłają aż do wieczora na pastwiska.

— Siła widzisz straży przy koniach?

Luśnia wysunął się znów na brzeg zarośli i nie powracał przez czas dłuższy. Na koniec jednak pokazał się znowu i rzekł:

— Będzie koni z półtora tysiąca, a ludzi przy nich ze dwudziestu pięciu. W swoim są kraju i nie boją się niczego, więc i straży większych nie stawiają.

— A ludzi mogłeś rozeznać?

— Jeszcze są opodal, ale to Lipki, panie! Już oni nasi!...

— Tak jest! — rzekł Nowowiejski.

Jakoż był już pewien, że mu żywa noga z tych ludzi nie ujdzie. Dla takiego zagończyka, jakim był, i dla takich żołnierzy, jakim przywodził, było to zadanie zbyt łatwe.

Tymczasem koniuchowie pędzili stado bliżej i bliżej pod dereniowe chaszcze. Luśnia jeszcze raz wysunął się na brzeg i jeszcze raz wrócił. Twarz jego jaśniała radością i okrucieństwem.

— Lipki, panie, na pewno! — szepnął.

Usłyszawszy to Nowowiejski zakwilił jak jastrząb i wnet oddział dragonów cofnął się w głębokie gąszcze. Tam rozpadł się na dwa oddziały, z których jeden zapadł zaraz w wąwóz, by wynurzyć się z niego dopiero z tyłu stada i Lipków, drugi uformował półkole i czekał.

Wszystko to odbyło się tak cicho, że najwprawniejsze ucho nie mogłoby żadnego szmeru ułowić; nie zabrzęczała szabla ni ostroga, koń nie zarżał; gęste trawy, którymi gaj był podszyty, tłumiły tupot kopyt. Wreszcie i konie zdawały się rozumieć, że powodzenie napadu od ciszy zależy, bo i one nie pierwszy raz pełniły podobną służbę. Z wąwozu i z gąszczów odzywały się tylko kwilenia jastrzębia, coraz cichsze i coraz rzadziej.

Stado lipkowskie zatrzymało się przed gajem i rozrzuciło większymi lub mniejszymi kupami po błoniu. Sam Nowowiejski był teraz na skraju i śledził wszystkie ruchy koniuchów. Dzień był pogodny, godzina przedpołudniowa, ale już słońce stało wysoko i sypało żarem na grudź. Konie poczęły się tarzać, następnie zbliżyły się do chaszczów. Koniuchowie przyjechali na skraj gaju, tam pozsiadawszy z koni puścili je na arkanach, sami zaś, szukając cienia i chłodu, weszli w zarośla i rozłożyli się pod większym krzem na spoczynek.

Wkrótce buchnęło płomieniem ognisko, gdy zaś suche patyki zwęgliły się już i obsypały popiołem, koniuchowie położyli na węglach pół źrebięcia, sami zaś usiedli opodal dla ochrony od żaru.

Niektórzy powyciągali się na murawie, niektórzy rozmawiali siedząc w kuczki, po turecku; jeden począł grać na piszczałce. W gęstwie panowała cisza zupełna, czasem tylko jastrząb zakwilił.

Zapach przypalonego mięsa oznajmił wreszcie, iż pieczeń gotowa, więc dwóch wyciągnęło ją z popiołu i zawlokło pod kierz cienisty. Tam obsiedli ją wszyscy wkoło i rozdarłszy nożami, żarli ze zwierzęcą żarłocznością wpółsurowe ochłapy, z których krew osiadała im na palcach i ściekała po brodach.

Następnie, opiwszy się kwaśnego kobylego mleka z bukłaków, poczuli sytość w brzuchach. Chwilę rozmawiali jeszcze, po czym głowy ich i członki stały się ociężałe.

Przyszło południe. Żar leciał z nieba na ziemię coraz większy. Grunt leśny upstrzył się świetlistymi, drgającymi plamami utworzonymi przez promienie słońca przenikające w gęstwę. Umilkło wszystko, nawet jastrzębie przestały kwilić.

Kilku Lipków wstało i powlokło się ku skrajowi, by popatrzyć na konie, inni powyciągali się na kształt trupów na pobojowisku i wkrótce zmorzył ich sen.

Lecz sen po obżarciu i opiciu się musiał być jakiś ciężki, a złowrogi, bo czasem który jęknął głęboko, czasem inny otworzył na chwilę powieki i powtórzył:

— Ałła, Bismiłła!...

Nagle ze skraju lasu dał się słyszeć jakiś odgłos cichy, ale straszny, jakby krótkie rzężenie duszonego człowieka, który nie miał czasu zawyć. Czy uszy koniuchów były tak czujne, czy jakiś instynkt zwierzęcy ostrzegł ich przed niebezpieczeństwem, czy wreszcie śmierć tchnęła na nich lodowatym tchnieniem, dość, że w jednej chwili porwali się wszyscy ze snu.

— Co to jest? Gdzie tamci od koni? — poczęli pytać jedni drugich.

Wtem z dereniowego krza ozwał się jakiś głos po polsku:

— Tamci nie wrócą!

I w tej chwili sto pięćdziesiąt ludzi runęło kołem na koniuchów przerażonych tak strasznie, że krzyk zamarł im w piersi. Ledwie który zdołał chwycić za handżar. Koło napastników zalało ich i pokryło zupełnie. Kierz trząsł się pod parciem ciał ludzkich, które kotłowały się w bezładnej kupie. Słychać było świst ostrzy, sapanie, czasem jęk lub chrapnięcie, ale trwało to wszystko jedno mgnienie oka. Po czym ucichło wszystko.

— Ilu żywych? — spytał jakiś głos wśród napastników.

— Pięciu, panie komendancie.

— Obejrzyć ciała, by się któren nie zataił, i każdemu nożem dla pewności dać po gardle, a jeńców do ogniska!

Rozkaz został w jednej chwili spełniony. Trupy poprzygważdżano do murawy ich własnymi nożami; jeńców, przywiązawszy im nogi do kijów, pokładziono wokół ogniska, które Luśnia rozgarnął tak, aby węgle ukryte pod popiołem znajdowały się na wierzchu.

Jeńcy patrzyli na te przygotowania i na Luśnię błędnymi oczyma. Było między nimi trzech chreptiowskich Lipków i ci znali wachmistrza doskonale. Ów poznał ich także i rzekł:

— No, kamraty! Trzeba teraz będzie śpiewać, a nie, to na prażonych podeszwach pójdziecie na tamten świat. Po starej znajomości węgli nie pożałuję!

To rzekłszy dorzucił na węgle suchych gałęzi, które buchnęły zaraz wysokim płomieniem. Lecz nadszedł Nowowiejski i badać począł. Z zeznań jeńców okazało się to, co po części odgadł już młody porucznik.

Lipkowie i Czeremisi szli w przedniej straży, przed ordą i przed wszystkimi sułtańskimi wojskami. Wiódł ich Azja Tuhaj-bejowicz, któremu wszystkie ściahy oddano pod komendę. Szli, z powodu upałów, tak jak i całe wojsko, nocami, na dzień zaś wysyłali stada na paszę. Nie strzegli się, bo nikt nie przypuszczał, żeby jakiekolwiek wojsko mogło na nich wpaść nawet w pobliżu Dniestru, a cóż dopiero nad Prutem, tuż obok ordzińskich siedzib; szli tedy wygodnie, ze stadami i wielbłądami, które niosły namioty dla starszyzny. Murzy Azji namiot łatwo poznać, bo na wierzchu ma buńczuk zatknięty i ściahy chorągwie w czasie postoju przy nim zatykają. Sieheń lipkowski został o małą milę; jest w nim około dwóch tysięcy głów, ale część ludzi została przy białogrodzkiej ordzie, która ciągnie znów o milę od lipkowskiego czambułu.

Nowowiejski wypytywał jeszcze o drogi, którymi do siehenia najłatwiej się dostać, następnie, jak stoją namioty, wreszcie począł badać o to, o co mu chodziło najwięcej.

— Niewiasty jakowe są w namiocie? — spytał.

Lipkowie zadrżeli o własną skórę. Ci z nich, którzy dawniej służyli w Chreptiowie, wiedzieli doskonale, że Nowowiejski był bratem jednej z tych niewiast, a narzeczonym drugiej, rozumieli więc, co za wściekłość musi go ogarnąć, gdy dowie się całej prawdy.

Wściekłość ta mogła spaść naprzód na nich, więc poczęli się wahać, ale Luśnia rzekł zaraz:

— Panie komendancie, ogrzejem psubratom podeszwy, to będą mówić!

— Wsuń im nogi w węgle! — rzekł Nowowiejski.

— Pomiłujcie! — zawołał Eliaszewicz, stary chreptiowski Lipek — powiem wszystko, na co patrzyły oczy moje...

Luśnia spojrzał na komendanta, czy mimo tej zapowiedzi nie każe spełnić groźby, lecz ów skinął ręką i rzekł do Eliaszewicza:

— Mów, coś widział?

— My niewinni, panie — odpowiedział Eliaszewicz — my za komendą szli. Murza nasz darował siostrę waszej miłości panu Adurowiczowi, któren ją w namiocie miał. Ja ją na Kuczunkaurach widział, jak po wodę z wiadrami chodziła, i pomagał jej dźwigać, bo ciężarna chodziła...

— Gorze! — szepnął Nowowiejski.

— A drugą pannę murza nasz sam w namiocie miał. My jej tak często nie widywali, ale nieraz słyszeli, jak krzyczała, bo murza, choć ją dla rozkoszy trzymał, przecie ją co dzień puhą bijał i nogami kopał...

Wargi Nowowiejskiego pobielały i poczęły się trząść. Eliaszewicz zaledwie dosłyszał pytanie:

— Gdzie one teraz?

— Sprzedane do Stambułu.

— Komu?

— Murza sam pewnie nie wie. Wyszło rozkazanie od padyszacha, by w obozie nie było niewiast. Sprzedawali wszyscy na bazarze, to i murza przedał.

Badanie się skończyło i przy ognisku zapanowała cisza. Tylko od niejakiego czasu wstał gorący południowy wiatr i trząsł gałęziami dereniu, które szumiały coraz mocniej. Powietrze uczyniło się duszne; na krańcu widnokręgu ukazało się kilka chmur, ciemnych w środku, a połyskujących miedziano na brzegach.

Nowowiejski odszedł od ogniska i szedł jak błędny, nie zdając sobie sprawy, dokąd zdąża. Na koniec rzucił się twarzą na ziemię i począł drzeć paznokciami ziemię, później kąsać własne ręce i chrapać, jak gdyby konał. Kurcz wstrząsał jego olbrzymim ciałem, i leżał tak przez całe godziny. Dragoni patrzyli na niego z dala, ale nawet Luśnia nie śmiał się zbliżyć.

Natomiast wymiarkowawszy, że komendant nie będzie się gniewał za nieoszczędzanie Lipków, straszliwy wachmistrz wprost z wrodzonego okrucieństwa ponatykał im murawy do ust, żeby wrzaskom zapobiec, i pozarzynał ich jak woły.

Oszczędził tylko jednego Eliaszewicza przypuszczając, że ów będzie jako przewodnik potrzebny. Skończywszy robotę poodciągał drgające jeszcze trupy od ogniska i ułożył je szeregiem, sam zaś poszedł spoglądać na komendanta.

— Choćby oszalał — mruknął sobie — i tak tamtego musim dostać!

Południe przeszło, popołudniowe godziny również — i dzień począł się chylić ku zachodowi. Lecz owe małe z początku chmury zajęły już prawie całe niebiosa i stawały się coraz gęstsze i ciemniejsze nie tracąc owego miedzianego blasku po brzegach. Olbrzymie ich kłęby obracały się ociężale, na kształt kamieni młyńskich, naokół własnych osi, następnie zachodziły na siebie, parły jedne na drugie i spychając się wzajem z wysokości, staczały się zbitym tłumem niżej i niżej ku ziemi.

Wiatr uderzał czasem jak drapieżny ptak skrzydłem, przyginał derenie i świdwy do ziemi, porywał tuman liści i roznosił go z wściekłością; chwilami ustawał, jakby w ziemię zapadł. A w tych chwilach ciszy słychać było w kłębiących się chmurach jakieś złowrogie charczenie, syk, szum, rzekłbyś: zbierają się w nich zastępy gromów, szykują się do bitwy — i warcząc głucho, podniecają w sobie zaciekłość i gniew, nim wybuchną i uderzą zapamiętale na struchlałą ziemię.

— Burza! Burza idzie! — szeptali do siebie dragoni.

Burza szła. Czyniło się coraz ciemniej.

Wtem na wschodzie, od strony Dniestru, wstał grzmot i począł toczyć się ze straszliwym łoskotem po niebie, aż hen, ku Prutowi; tam umilkł na chwilę, lecz zerwał się znowu, runął na budziackie stepy i wreszcie jął przewalać się naokół całego widnokręgu.

Pierwsze wielkie krople dżdżu upadły na spieczoną murawę.

W tej chwili przed dragonami pojawił się Nowowiejski.

— Na koń! — krzyknął grzmiącym głosem.

I po upływie takiego czasu, jakiego potrzeba na odmówienie krótkiego pacierza, ruszył na czele stu pięćdziesięciu jeźdźców.

Wyjechawszy z gaju, połączył się przy stadzie z drugą połową swych ludzi, pilnującą od pola, by żaden z koniuchów nie wymknął się ukradkiem do obozu. Dragoni obegnali w mgnieniu oka stado i wydawszy dziki, właściwy tatarskim koniuchom okrzyk, ruszyli naprzód, pędząc przed sobą zhukany tabun.

Wachmistrz trzymał na arkanie Eliaszewicza i krzyczał mu do ucha chcąc przekrzyczeć łoskot grzmotów:

— Prowadź, psiakrew, a prosto, bo nożem w gardło!

Tymczasem chmury stoczyły się tak nisko, że prawie dotykały ziemi. Nagle buchnęło jakby żarem z pieca i zerwał się wściekły huragan; wkrótce rażąca światłość rozdarła ciemność: runął grom, za nim drugi, trzeci, w powietrzu rozszedł się zapach siarki i znów uczyniła się ciemność. Przerażenie ogarnęło tabun. Konie, gnane z tyłu przez dzikie okrzyki dragonów, pędziły z otwartymi nozdrzami i rozwianą grzywą, nie tykając ziemi w pędzie, grzmot nie ustawał ani na chwilę, wiatr wył, a oni gnali bez pamięci w tym wichrze, w tej pomroce, wśród łoskotu, od którego ziemia zdawała się pękać, gnani sami przez burzę i przez zemstę, podobni na tym pustym stepie do strasznego korowodu upiorów lub złych duchów.

Przestrzeń uciekała za nimi. Nie potrzebowali i przewodnika, bo stado biegło wprost do obozowiska Lipków, które było bliżej i bliżej. Lecz nim dobiegli, burza rozpętała się tak, jakby niebo i ziemia oszalały. Cały widnokrąg zapłonął żywym ogniem, przy którego blasku dojrzeli już z dala stojące na stepie namioty; świat trząsł się od huku gromów; zdawało się, że kłęby chmur zarwą się lada chwila i zwalą się na ziemię. Jakoż otworzyły się ich upusty i potoki dżdżu zaczęły zalewać step. Fala przesłoniła świat tak, iż na kilka kroków nie było nic widać, a z rozpalonej od żaru słonecznego ziemi wstał wnet gęsty opar.

Chwila jeszcze i stado, a z nim dragoni, będą już w obozowisku.

Lecz tabun przed samymi namiotami rozbiegł się w dzikim popłochu na obie strony; wówczas trzysta piersi wydało straszliwy krzyk, trzysta szabel zamigotało od ognia błyskawic i dragoni wpadli w namioty.

Lipkowie przed wybuchem ulewy widzieli w świetle błyskawic nadbiegające stado, lecz żaden z nich nie domyślił się, jak straszni pędzą je koniuchowie. Chwyciło ich tylko zdziwienie i niepokój, dlaczego tabun pędzą tak wprost na namioty, więc poczęli krzykać, aby zestraszyć konie. Sam Azja Tuhaj-bejowicz uchylił skrzydło płócienne i mimo dżdżu wyszedł na zewnątrz z gniewem w swej groźnej twarzy.

Lecz właśnie w tej chwili tabun rozbiegł się, a wśród strug deszczu i w oparach zaczerniały jakieś straszne postacie, wielekroć razy od koniuchów liczniejsze, i zagrzmiał straszliwy krzyk:

— Bij, morduj!...

Nie było już czasu na nic, nawet na to, by pomyśleć, co się stało; nawet na to, by się przerazić. Orkan ludzki, straszniejszy i bardziej wściekły od burzy, zwalił się na obozowisko.

Zanim Tuhaj-bejowicz zdołał jednym krokiem cofnąć się ku namiotowi, rzekłbyś: nadludzka siła porwała go i podniosła od ziemi; nagle uczuł, że cisną go jakieś straszne objęcia, że od tego uścisku gną się jego kości, pękają żebra, przez chwilę dojrzał jakby we mgle twarz, od której wolałby widzieć szatańską, i omdlał.

A tymczasem rozpoczęła się bitwa, a raczej rzeź okropna. Burza, ciemność, nieznana liczba napastników, nagłość napadu i rozegnanie koni sprawiły, że Lipkowie nie bronili się niemal wcale. Ogarnęło ich po prostu szaleństwo strachu. Nikt nie wiedział, dokąd uciekać, gdzie się chronić; wielu nie miało przy sobie broni, wielu napad pochwycił we śnie — więc odurzeni, obłąkani z przerażenia, zbijali się w gęste kupy tłocząc się, przewracając, depcąc. Parły ich i obalały piersi końskie, cięły szable, miażdżyły kopyta.

Nie tak wicher łamie, niszczy i pustoszy młody bór, nie tak wilcy wżerają się w stado oślepłych owiec, jak tratowali i cięli ich dragoni.

Z jednej strony obłęd, z drugiej wściekłość i zemsta dopełniały rozmiaru klęski. Potoki krwi pomieszały się z deszczem. Lipkom zdawało się, że niebo się na nich wali, że ziemia rozstępuje się pod ich nogami. Łoskot grzmotów, huk piorunów, szum dżdżu, ciemność, groza burzy wtórowały strasznymi odgłosami rzezi. Konie dragońskie, ogarnięte również przerażeniem, rzucały się jak szalone w gęstwę ludzką, rozrywając ją, łamiąc i ścieląc pokotem na ziemi.

Wreszcie mniejsze kupy poczęły pierzchać, ale do tego stopnia straciły świadomość miejsca, że uciekały kołem po pobojowisku, zamiast uciekać przed siebie — i uderzając często o siebie, jak dwie przeciwległe fale, biły się ze sobą, przewracały się wzajem i szły pod miecz.

Wreszcie rozproszono resztki zupełnie, rozegnano i cięto w ucieczce i w pogoni bez miłosierdzia, nie biorąc nikogo żywcem, dopóki trąbki w obozowisku nie odwołały pościgu.

Nigdy napad nie był bardziej niespodziany, ale też nigdy klęska straszniejszą. Trzystu ludzi rozpędziło w cztery strony świata blisko dwa tysiące wybornej jazdy przewyższającej nieskończenie sprawnością zwykłe czambuły. Większa część jej leżała mostem wśród czerwonych kałuż utworzonych przez deszcz i krew. Reszta w rozproszeniu uchroniła głowy dzięki ciemności i umykała pieszo, na oślep, nie wiedząc, czy nie biegnie znów pod nóż. Zwycięzcom pomogła burza i pomroka, jakby gniew boży walczył po ich stronie przeciw zdrajcom.

Noc już zapadła zupełna, gdy Nowowiejski wyruszył na czele dragonów na powrót ku granicom Rzeczypospolitej. Między młodym porucznikiem a wachmistrzem Luśnią szedł koń tabunny, na którego grzbiecie leżał skrępowany powrozami wódz wszystkich Lipków, Azja Tuhaj-bejowicz, omdlały i z połamanymi żebrami, ale żyw.

Oni zaś obaj spoglądali na niego co chwila tak uważnie i troskliwie, jakby skarb wieźli i bali się go uronić.

Burza poczęła przechodzić; po niebie cwałowały jeszcze gromady chmur, ale w przerwach między nimi poczęły świecić gwiazdy, odbijając się w jeziorkach wody utworzonych na stepie przez ulewę.

W oddali, w stronie granic Rzeczypospolitej, huczał jeszcze od czasu do czasu grzmot.

Rozdział XLIX

Zbiegowie lipkowscy dali znać o klęsce ordzie białogrodzkiej, gońce zaś od niej ponieśli wieść do Orduihamajunu, to jest do cesarskiego obozu, w którym nadzwyczajne uczyniła wrażenie. Pan Nowowiejski nie potrzebował, prawdę mówiąc, umykać zbyt spiesznie ze swoim łupem do Rzeczypospolitej, bo nie tylko w pierwszej chwili, ale i przez dwa następne dni nikt go nie gonił. Sułtan zdumiał się tak, że nie wiedział, co począć. Na razie wysłał czambuły białogrodzkie i dobrudzkie, by sprawdziły, jakie wojska są w okolicy. Te poszły niechętnie, bo im o własną skórę chodziło. Tymczasem wieść, podawana z ust do ust, urosła do rozmiarów znacznej klęski. Tych z mieszkańców głębokiej Azji lub Afryki, którzy nigdy dotąd nie chodzili na wojnę do Lechistanu, a słyszeli z opowiadań o strasznej jeździe niewiernych, zdjął strach na myśl, że już znajdują się wobec tego nieprzyjaciela, który nie czeka na nich w swych granicach, ale szuka ich w samym państwie padyszacha. Sam wielki wezyr i „przyszłe słońce wojny", kajmakan Czarny Mustafa, nie wiedzieli również, co o tym napadzie myśleć. Jakim sposobem ta Rzeczpospolita, o której bezsilności mieli jak najdokładniejsze relacje, występowała nagle zaczepnie, tego nie umiała odgadnąć żadna turecka głowa, dość, że pochód okazał się być odtąd mniej pewnym i mniej do łatwego triumfu podobnym. Sułtan na radzie wojennej przyjął i wezyra, i kajmakana z groźnym obliczem.

— Zwiedliście mnie — mówił — nie muszą Lachowie być tak słabi, skoro sami nas aż tu szukają. Mówiliście, że Sobieski nie będzie Kamieńca bronił, a owóż pewnie to on z całym wojskiem przed nami…

Wezyr i kajmakan próbowali tłumaczyć panu, że mogła to być jakaś luźna wataha zbójecka, ale wobec znalezionych muszkietów i troków, w których były kolety dragońskie, sami w to nie wierzyli. Niedawna, nad wszelką miarę zuchwała, a jednak zwycięska wyprawa Sobieskiego na Ukrainę pozwalała przypuszczać, że groźny wódz i teraz wolał zaskoczyć nieprzyjaciela.

— Nie ma on wojsk — mówił po wyjściu z rady wielki wezyr do kajmakana — ale lew w nim mieszka trwogi nie znający; jeśli choć kilkanaście tysięcy zebrał i jest tu, tedy w krwi pójdziemy do Chocimia.

— Chciałbym się z nim zmierzyć — rzekł młody Kara Mustafa.

— Oby Bóg odwrócił wówczas od ciebie nieszczęście! — odpowiedział wielki wezyr.

Powoli jednak czambuły białogrodzkie i dobrudzkie przekonały się, że nie tylko większych, ale i żadnych wojsk w pobliżu nie masz. Odkryto natomiast ślady oddziału liczącego około trzechset koni, który spiesznie dążył ku Dniestrowi. Ordyńcy mając w pamięci los Lipków nie ścigali go z obawy zasadzki. Napad na Lipków pozostał czymś zdumiewającym i niewytłumaczonym, ale spokój wracał powoli w Orduihamajunie — i wojska padyszacha rozpoczęły znów pochód, podobny do powodzi.

Tymczasem Nowowiejski wracał bezpiecznie ze swoim żywym łupem do Raszkowa. Wracał spiesznie, ale doświadczeni zagończycy już drugiego dnia poznali, że nie są ścigani, szli więc mimo pośpiechu tak, aby nie zdrożyć zanadto koni. Azja jechał ciągle między Nowowiejskim a Luśnią, przykrępowany sznurami do grzbietu bachmata. Ponieważ dwa żebra miał złamane i osłabł srodze, bo i rany zadane przez Basię w twarz otworzyły mu się wskutek szamotania się z Nowowiejskim, a następnie wskutek jazdy ze zwieszoną głową, więc straszny wachmistrz miał o nim staranie, aby nie umarł przed przybyciem do Raszkowa i nie udaremnił zemsty. Młody Tatar chciał zaś umrzeć wiedząc, co go czeka. Naprzód postanowił się zamorzyć głodem i nie chciał przyjmować pokarmów, lecz Luśnia podważał mu zaciśnięte zęby nożem i wlewał przemocą do ust gorzałkę i mołdawskie wino zasypane startym na proch sucharem. Na popasach oblewał mu też często twarz wodą, aby rany w oku i w nosie, na których podczas jazdy siadały gęsto muchy i bąki, nie poczęły gnić i nie przyprawiły o zbyt wczesną śmierć nieszczęsnego junaka.

Nowowiejski nie mówił do niego przez drogę; raz tylko, na początku podróży, gdy Azja za cenę swej wolności i życia obiecywał zwrócić Zosię i Ewkę, porucznik odrzekł mu:

— Łżesz, psie! Sprzedałeś obie do Stambułu kupcowi, który je odprzeda tam na bazarze.

I wnet postawiono mu do oczu Eliaszewicza, który powtórzył mu wobec wszystkich:

— Tak jest, effendi! Sprzedałeś ją, sam nie wiesz komu, a Adurowicz sprzedał siostrę bagadyra, chociaż była już z nim ciężarna...

Po tych słowach zdawało się przez chwilę Azji, iż Nowowiejski pokruszy go natychmiast w swoich strasznych rękach; więc potem, gdy już utracił wszelką nadzieję, postanowił doprowadzić do tego młodego olbrzyma, aby go zabił w uniesieniu i oszczędził mu tym sposobem przyszłych mąk; że zaś Nowowiejski, nie chcąc go spuszczać z oczu, jechał ciągle tuż przy nim, ów przeto począł się chełpić okropnie i bezwstydnie wszystkim, czego dokonał. Mówił, jak zarzezał starego Nowowiejskiego,

jak Zosię Boską miał w namiocie, jak nasycał się jej niewinnością, jak wreszcie darł jej białe ciało puhą i kopał ją nogami. Nowowiejskiemu pot w gęstych kroplach spływał po bladej twarzy; słuchał, nie miał siły, nie miał chęci odjechać; słuchał chciwie, ręce mu drgały, ciało wstrząsały konwulsje, lecz panował nad sobą i nie zabijał.

Zresztą Azja dręcząc nieprzyjaciela dręczył i sam siebie, bo własne jego opowiadania przywodziły mu na myśl dzisiejszą niedolę. Oto niedawno jeszcze rozkazywał, żył w rozkoszy, był murzą, ulubieńcem władnego kajmakana, a teraz jechał, do końskiego grzbietu przywiązany i jedzon żywcem przez muchy, na straszną śmierć! Najlżej mu teraz było, gdy z bólu, ran i zmęczenia omdlewał. Przytrafiało się to coraz częściej, tak że Luśnia począł się obawiać, czy go żywego dowiezie. Lecz jechali dniem i nocą, tyle tylko koniom wypoczywając, ile było koniecznie potrzeba — i Raszków coraz był bliżej. Rogata dusza tatarska nie chciała jednak opuścić sturbowanego ciała. Natomiast przez ostatnie dni był w ciągłej gorączce, a chwilami zapadał w ciężki sen. Nieraz w tej gorączce lub śnie marzyło mu się, że jest jeszcze w Chreptiowie i że razem z Wołodyjowskim ma ruszyć na wielką wojnę; to znów, że odprowadza Basię do Raszkowa; to znów, że ją już porwał i ma ją w swoim namiocie; czasem widywał w malignie bitwy i rzezie, w których, jako hetman polskich Tatarów, wydawał spod buńczuka rozkazy. Lecz przychodziło przebudzenie, a z nim przytomność; wówczas otworzywszy oczy spostrzegał twarz Nowowiejskiego, Luśni, hełmy draganów, którzy już pozrzucali baranie czapki koniuchów — i tę całą rzeczywistość tak straszną, że właśnie wydawała mu się zmorą senną. Każdy ruch konia przeszywał go bólem, rany piekły go coraz bardziej i znów mdlał, a trzeźwiony, cucił się, by zapaść w gorączkę, z niej w sen — i znów się obudzić.

Były chwile, w których wydawało mu się niepodobieństwem, by on, taki nędzarz, miał być Azją, synem Tuhaj-beja, i by jego życie nadzwyczajnych zdarzeń pełne, które jakieś wielkie przeznaczenia zdawało się zapowiadać, miało się skończyć tak prędko i tak strasznie.

Czasem przychodziło mu także do głowy, że zaraz po męce i śmierci pójdzie do raju, ale że sam niegdyś wiarę chrześcijańską wyznawał i żył długo między chrześcijany, więc brał go strach na myśl o Chrystusie. Ten nie będzie miał dla niego miłosierdzia; gdyby zasię prorok był od Chrystusa mocniejszy, to by go w ręce Nowowiejskiego nie wydał. Być może jednak, że prorok okaże nad nim jeszcze miłosierdzie i wyjmie z niego duszę, nim go męką zmorzą.

Ale tymczasem Raszków był tuż. Wjechali w kraj skalisty, bliskość Dniestru oznajmujący. Azja pod wieczór wpadł w stan półgorączkowy, półprzytomny, w którym mary mieszały się z rzeczywistością. Więc owo zdawało mu się, że przyjechali, że stają, że słyszy koło siebie powtarzany wyraz: „Raszków, Raszków!" Następnie zdało mu się, że słyszy odgłos siekier rąbiących drzewo.

Wtem poczuł, że mu głowę ochlustywają zimną wodą, a potem długo i długo leją w usta gorzałkę. Wtedy ocknął się zupełnie. Noc była nad nim gwiaździsta, a tuż koło niego migotało kilkanaście pochodni. Do uszu jego doszły słowa:

— Przytomny?

— Przytomny. Patrzy rozumnie...

I w tej chwili ujrzał nad sobą twarz Luśni.

— No, bratku — mówił wachmistrz spokojnym głosem — czas na cię!

Azja leżał na wznak i oddychał dobrze, albowiem ramiona miał wyciągnięte po obu stronach głowy, przez co rozszerzona pierś jego poruszała się swobodniej i nabierała więcej powietrza niż wówczas, kiedy leżał przykrępowany do grzbietu bachmata. Rękoma nie mógł jednak poruszyć, bo były przywiązane nad głową do dębczaka idącego wzdłuż jego pleców i okręcone umaczaną w smole słomą.

Tuhaj-bejowicz domyślił się zaraz, dlaczego to uczyniono, lecz w tej chwili spostrzegł i inne przygotowania, które zwiastowały, że męka jego będzie długą i okropną. Oto od połowy ciała aż do stóp był rozebrany i uniósłszy nieco głowy, ujrzał między swymi nagimi kolanami świeżo obrobione siekierą ostrze pala. Grubszy koniec tego pala oparty był o pień drzewa. Od każdej nogi Azji szedł powróz kończący się orczykiem, do którego przyprzężony był koń. Azja przy blasku pochodni dojrzał tylko zady końskie i stojących nieco dalej dwóch ludzi, którzy widocznie trzymali konie przy pysku.

Nieszczęsny junak objął wszystkie te przygotowania jednym rzutem oka, potem spojrzawszy nie wiadomo dlaczego ku górze, dostrzegł nad sobą gwiazdy i błyszczący sierp księżyca.

„Będą mnie nawlekać" — pomyślał. I zacisnął zęby zaraz tak silnie, że aż kurcz chwycił go za szczęki. Pot wystąpił mu na czoło, a jednocześnie uczyniło mu się zimno w twarz, bo krew z niej uciekła. Potem zdało mu się, że ziemia ucieka spod jego pleców i że ciało jego leci i leci w jakąś niezgłębioną przepaść. Na chwilę stracił świadomość czasu, miejsca i tego, co się z nim dzieje. Wachmistrz podważył mu zęby nożem i znów począł lać gorzałkę w jego usta.

Azja krztusił się i wypluwał palący płyn, lecz musiał go także i połykać. Wówczas wpadł w dziwny stan: nie był pijany, przeciwnie, nigdy rozeznanie jego nie było jaśniejsze, umysł bystrzejszy. Widział, co się dzieje, rozumiał wszystko, tylko ogarnęło go jakby nadzwyczajne podniecenie i jakby niecierpliwość, że to wszystko trwa tak długo i że nic się jeszcze nie rozpoczyna.

Wtem obok dały się słyszeć ciężkie kroki i stanął nad nim Nowowiejski. Na ten widok zadygotały w Tatarze wszystkie żyły. Luśni nie bał się, zbyt nim pogardzał, ale Nowowiejskim nie pogardzał, bo nie miał za co; natomiast każde spojrzenie na jego twarz napełniało duszę Azji jakimś zabobonnym strachem, wstrętem, ohydą. Pomyślał sobie w tej chwili: „Jestem w jego mocy i boję się go!" — a było to tak straszne uczucie, że pod jego wpływem włosy wyprężały się na głowie Tuhaj-bejowicza.

A Nowowiejski rzekł:

— Za to, coś uczynił, w męce zginiesz!

Lipek nie odrzekł nic, tylko począł sapać głośno. Nowowiejski usunął się na bok, nastała cisza, którą przerwał Luśnia:

— I na panią podniosłeś rękę — rzekł ochrypłym głosem — ale pani teraz już u pana w komorze, a ty w naszych rękach! Przyszedł twój czas!

Od tych słów akt męki dla Azji już się rozpoczął. Oto straszny ten człowiek w godzinę śmierci dowiadywał się, że zdrada jego i wszystkie okrucieństwa na nic się nie przydały. Gdyby choć Basia zmarła w drodze, miałby tę pociechę, że nie będąc jego, nie będzie niczyją. I tę to pociechę odjęto mu teraz właśnie, gdy ostrze pala było o łokieć odległe od jego ciała. Wszystko na próżno! Tyle zdrad, tyle krwi i tyle bliskiej kary — za nic! Za nic zupełnie!... Luśnia ani wiedział, o ile cięższą uczyniły śmierć Azji te słowa: gdyby był wiedział, byłby je powtarzał przez całą drogę.

Lecz teraz nie było już czasu na duszną zgryzotę, bo wszystko musiało ustąpić wobec egzekucji. Luśnia pochylił się i wziąwszy w obie ręce biodra Azji, tak aby mógł nimi kierować, zawołał na ludzi trzymających konie:

— Ruszaj! A powoli, razem!

Konie ruszyły: wyprężone sznury pociągnęły za nogi Azji. Ciało jego sunęło się przez mgnienie oka po ziemi i trafiło na zadzierżyste ostrze. Wówczas ostrze poczęło się w nim pogrążać i jęło się dziać coś strasznego, coś przeciwnego naturze i człowieczym uczuciom! Kości nieszczęśnika rozstępowały się, ciało darło się na dwie strony; ból niewypowiedziany, tak straszny, że graniczący niemal z potworną rozkoszą, przeniknął jego jestestwo. Pal pogrążał się głębiej i głębiej.

Tuhaj-bejowicz zwarł szczęki, wreszcie jednak nie wytrzymał — zęby jego wyszczerzyły się okropnie, a z gardzieli wydobył się krzyk: A! A! A! — do krakania kruka podobny.

— Wolno! — skomenderował wachmistrz.

Azja powtarzał swój straszny krzyk coraz szybciej.

— Kraczesz? — spytał wachmistrz.

Po czym krzyknął na ludzi:

— Równo! Stój! Ot, i już! — dodał zwracając się do Azji, który umilkł nagle i tylko rzęził głucho.

Szybko wyprzężono konie, za czym podniesiono pal, grubszy jego koniec spuszczono w umyślnie przygotowany dół i poczęto obsypywać go ziemią. Tuhaj-bejowicz patrzył już z wysoka na tę czynność. Był przytomny. Straszliwy ten rodzaj kary był tym straszniejszy, że ofiary nawleczone na pal żyły czasem przez trzy dni. Azji głowa zwisła na piersi, wargi jego poruszały się mlaszcząc, jakby coś żuł i smakował; czuł teraz wielką omdlałość i widział przed sobą jakby niezmierną, białawą mgłę, która nie wiadomo dlaczego wydawała mu się okropną, ale w tej mgle rozeznawał twarze wachmistrza i dragonów, wiedział, że jest na palu, że ciężarem ciała obsuwa się coraz głębiej na ostrze; zresztą począł drętwieć od nóg i stawał się coraz nieczulszy na ból.

Chwilami ciemność przesłaniała mu tę okropną białawą mgłę; wówczas mrugał swoim jedynym okiem, chcąc patrzyć i widzieć wszystko aż do śmierci. Wzrok jego przechodził ze szczególną uporczywością z pochodni na pochodnię, bo wydawało mu się, że koło każdego płomienia tworzy się jakby tęczowe kolisko.

Lecz męka jego nie była skończona; po chwili wachmistrz zbliżył się do pala ze świdrem w ręku i zawołał na stojących obok dragonów:

— Podsadźcie mnie!

Dwóch silnych chłopów podniosło go ku górze. Azja począł teraz patrzeć na niego z bliska, mrugając ciągle, jakby chciał poznać, co to za człowiek wspina się aż do jego wysokości. Tymczasem wachmistrz rzekł:

— Pani wybiła ci jedno oko, a ja sobie ślubowałem, że ci wywiercę drugie.

I to rzekłszy zapuścił ostrze w źrenicę, zakręcił raz i drugi, a gdy powieka i delikatna skóra otaczająca oko owinęły się już naokół skrętów świdra — szarpnął.

Wówczas z obu jam ocznych Azji wypłynęły dwa strumienie krwi i płynęły jakby dwa strumienie łez po jego twarzy.

Twarz sama zbielała i stawała się coraz bielsza. Dragoni poczęli gasić w milczeniu pochodnie, jakby wstydząc się, że światło oświeca dzieło tak okropne — i tylko od księżycowego sierpa szły srebrne, lecz niezbyt jasne blaski na ciało Azji.

Głowa jego pochyliła się zupełnie na piersi, tylko przywiązane do dębczaka i owinięte smolną słomą ręce sterczały ku górze, jakby ten syn Wschodu wzywał zemsty tureckiego półksiężyca na swych oprawców.

— Na koń! — rozległ się głos Nowowiejskiego. Przed samym wsiadaniem wachmistrz zapalił jeszcze ostatnią pochodnią owe wzniesione ręce Tatara, po czym oddział ruszył ku Jampolowi, a wśród gruzów Raszkowa, wśród nocy i pustki został tylko na wysokim palu sam Azja, syn Tuhaj-beja — i świecił długo...

Rozdział L

W trzy tygodnie później o południu stanął pan Nowowiejski w Chreptiowie. Drogę z Raszkowa odbywał dlatego tak długo, że częstokroć jeszcze przeprawiał się na drugą stronę Dniestru, podchodząc czambuły i perkułabskich ludzi wzdłuż rzeki po różnych stanicach stojących. Ci opowiadali potem nadciągającym sułtańskim wojskom, że wszędzie widzieli polskie oddziały, a słyszeli o wielkich wojskach, które pewnie nie czekając na przybycie Turków pod Kamieniec, same drogę im zaskoczą i w walnej bitwie się z nimi zmierzą.

Sułtan, którego zapewniano o bezsilności Rzeczypospolitej, bardzo się zdumiewał i wysyłając naprzód Lipków, Wołoszę i naddunajskie ordy, sam posuwał się powoli naprzód, bo pomimo swej niezmiernej potęgi, bitwy z regularnymi wojskami Rzeczypospolitej wielce się obawiał.

W Chreptiowie nie zastał pan Nowowiejski Wołodyjowskiego, gdyż mały rycerz pociągnął za panem Motowidłą do pana podlaskiego przeciw krymskiej ordzie i Doroszeńce. Tam nową sławę do dawnej dodając, wielkich przewag dokonał: srogiego Korpana rozgromił i ciało jego na pastwę zwierza w dzikim polu zostawił; toż groźnego Drozda rozgromił, toż mężnego Małyszkę, toż dwóch braci Sinych, słynnych kozackich zagończyków, toż wiele pomniejszych watah i czambułów.

Pani Wołodyjowska zaś w chwili przybycia Nowowiejskiego zbierała się właśnie z resztą ludzi i taboru do Kamieńca, bo Chreptiów trzeba już było wobec zbliżającej się nawałności zostawić. Z żalem wyjeżdżała pani Wołodyjowska z tej drewnianej fortalicji, w której licznych wprawdzie przygód doznała, ale w której najszczęśliwsza pora jej życia

spłynęła — przy mężu, wśród sławnych żołnierzy i wśród serc kochających. Teraz na własną prośbę miała wyjechać do Kamieńca na nieznane losy i niebezpieczeństwa, jakimi oblężenie groziło.

Lecz serce mężne mając nie poddawała się żalowi, natomiast pilnie doglądała przygotowań czuwając nad żołnierzami i taborem. Pomagali jej w tym pan Zagłoba, który w każdej przygodzie rozumem wszystkich przenosił, oraz pan Muszalski, łucznik niezrównany, a przy tym żołnierz dzielnej ręki i niepomiernego doświadczenia. Wielce się oni wszyscy przybyciem pana Nowowiejskiego ucieszyli, choć zaraz z twarzy młodego rycerza poznali, że ni Ewki, ni słodkiej Zosi z niewoli pogańskiej wydobyć nie zdołał. Łzami też rzewnymi Basia losy obydwóch panien oblała, bo już je za stracone należało uważać. Sprzedane nie wiadomo komu, mogły ze stambulskiego rynku być uwiezione do Azji Mniejszej, na wyspy pod rządem tureckim będące albo do Egiptu, i tam w haremach zamkniętych trzymane. A wobec tego nie tylko ich wykupić, ale dopytać się o nie było niepodobieństwem.

Płakała Basia, płakał roztropny pan Zagłoba, płakał i pan Muszalski, łucznik niezrównany — jeden tylko pan Nowowiejski oczy miał suche, bo już mu brakło łez. Lecz gdy zaczął opowiadać, jako hen, ku Dunajowi, aż pod Tekicz poszedł i tam Lipków pod bokiem ordy i sułtana rozgromił, a złowrogiego Azję Tuhaj-bejowicza schwytał, obadwaj starzy rycerze poczęli w szable trzaskać i wołać:

— Dawajcie go sam! Tu, w Chreptiowie, zginąć powinien!

Na to odrzekł pan Nowowiejski:

— Nie w Chreptiowie, ale w Raszkowie zginął, bo tam był powinien, a mękę mu wachmistrz tutejszy obmyślał, która nie była lekka.

Tu opowiedział, jaką śmiercią umarł Azja Tuhaj-bejowicz, a oni słuchali w zgrozie, lubo bez litości.

— Że Pan Bóg zbrodnie ściga, wiadomo — rzekł wreszcie pan Zagłoba — ale to dziw, że diabeł tak licho swoich sług broni!

Basia westchnęła pobożnie, podniosła oczy w górę i po małej chwili rozwagi odrzekła:

— Bo mu potęgi brak, która by mocy bożej zdzierżyć mogła!

— O, tuś waćpani utrafiła! — zawołał pan Muszalski — Bo gdyby, czego Boże broń, diabeł był od Pana Boga mocniejszy, tedy by wszelka justycja, a z nią i Rzeczpospolita sczeznąć musiała!

— Przeto ja się i Turków nie boję, gdyż to primo: tacy synowie, a secundo: synowie Beliala! — odparł Zagłoba.

I przez chwilę milczeli wszyscy. Nowowiejski siedział na ławie z dłońmi na kolanach, patrząc szklanymi oczyma w ziemię, więc pan Muszalski zwrócił się do niego:

— Musiało ci jednako ulżyć — rzekł — bo niepomierna to jest konsolacja grzecznej zemsty dokonać.

— Mów waćpan, zali ci istotnie ulżyło? Zali lepiej ci teraz? — pytała Basia pełnym litości głosem.

Olbrzym milczał jeszcze czas jakiś, jakby się z własnymi myślami pasował, nareszcie odrzekł jakby ze zdziwieniem wielkim i tak cicho, że prawie szepcąc:

— Imainujcie sobie waćpaństwo, jak mi Bóg miły, takem sam myślał, że mi będzie lepiej, gdy go zgładzę... I widziałem go na palu, widziałem, gdy mu oko świdrem wykręcano, wmawiałem sam w siebie, że mi lepiej, tymczasem nieprawda! Nieprawda!...

Tu pan Nowowiejski objął nieszczęsną głowę rękoma i mówił przez zaciśnięte zęby:

— Lepiej było jemu na palu, lepiej ze świdrem w oczach, lepiej z ogniem na dłoniach niźli mnie z tym, co we mnie siedzi, co we mnie rozmyśla i pamięta. Jedna śmierć mi konsolacja, śmierć, śmierć — ot, co!...

Usłyszawszy to Basia, serce dzielne i żołnierskie, wstała nagle i położywszy nieszczęśnikowi rękę na głowę, rzekła:

— Dajże ci ją Bóg pod Kamieńcem, boć prawdę mówisz, że to jedyna konsolacja!

On zaś oczy przymknął i jął powtarzać:

— O tak! O tak! Bóg zapłać!...

I tego samego wieczora ruszyli wszyscy do Kamieńca.

Basia, wyjechawszy za kołowrót, długo, długo jeszcze oglądała się na fortalicję błyszczącą w świetle zorzy wieczornej, wreszcie przeżegnawszy ją krzyżem świętym, rzekła:

— Bodaj nam przyszło jeszcze wrócić z Michałem do cię, miły Chreptiowie!... Bodaj nas nic gorszego nie czekało!...

I dwie łzy stoczyły się po jej różanej twarzy. Smutek jakiś dziwny ścisnął wszystkie serca — i jechali dalej w milczeniu. Tymczasem zapadł zmrok.

Do Kamieńca jechali wolno, bo tabor posuwał się bardzo powoli. Szły w nim wozy, stada koni, woły, bawoły, wielbłądy; czeladź wojskowa czuwała nad stadami. Niektórzy z czeladzi i z żołnierzy pożenili się w Chreptiowie, więc i niewiast nie brakło w taborze.

Wojska było tyle, co pod Nowowiejskim, a oprócz tego dwieście piechoty węgierskiej, który to oddział mały rycerz własnym kosztem wystawił i wyćwiczył. Patronowała im Basia, a dowodził nimi oficer dobry, Kałuszewski. Węgrzynów prawdziwych nie było wcale w tej piechocie, która tylko dlatego zwała się węgierską, iż moderunek miała madziarski. Podoficerami byli „służali" żołnierze z dragonów, szeregowcy zaś składali się z dawnych „zbójów" i grasantów, pochwytanych z łupieżnych watah i skazanych na postronek. Tym darowano życie pod warunkiem, że będą w piechocie służyli i wiernością a męstwem dawne grzechy zgładzą. Nie brakło też między nimi i ochotników, którzy porzuciwszy jary, odoje i tym podobne zbójeckie komysze, woleli na służbę do chreptiowskiego „Małego Sokoła" przystać niż czuć miecz jego zawieszony nad głowami. Był to lud niezbyt sforny i nie dość jeszcze wyćwiczon, ale mężny, przywykły do niewygód, niebezpieczeństw i krwi przelewu. Basia nadzwyczaj kochała tę piechotę, jako dzieło Michałowe, a i w ich dzikich sercach prędko zrodziło się przywiązanie do cudnej i dobrej pani. Teraz więc szli naokół jej kolaski, z samopałami na ramionach i szablami przy bokach, dumni z tego, że pani strzegą, i gotowi bronić jej zaciekle na wypadek, gdyby jaki czambuł zabiegł im drogę.

Lecz droga była jeszcze wolna, bo pan Wołodyjowski przezorniejszy był od innych, a przy tym zbyt żonę miłował, aby przez zwłokę miał ją narazić na niebezpieczeństwo. Podróż odbyła się więc spokojnie. Wyjechawszy po południu z Chreptiowa, jechali do wieczora, następnie całą noc — i drugiego dnia, również po południu, ujrzeli już wyniosłe skały kamienieckie.

Na ich widok, a także na widok baszt i rondeli fortecznych zdobiących szczyty skał wielka otucha wstąpiła im zaraz w serca. Albowiem wydawało się niepodobnym, aby jaka inna ręka prócz boskiej mogła zburzyć to orle gniazdo na szczycie otoczonych pętlicą rzeki wiszarów uwite. Dzień był letni i cudny; wieże kościołów i cerkwi wyglądające spoza wiszarów świeciły jak olbrzymie świece; spokój, pogoda i wesołość unosiły się nad jasną krainą.

— Baśka – rzekł Zagłoba — nieraz już poganie gryźli te mury i zawsze połamali sobie na nich zęby! Ha! Ile razy sam widziałem, jak umykali stąd trzymając się za pyski, bo ich bolały. Da Pan Bóg, że i teraz tak będzie!

— Pewnie, że tak! — odpowiedziała rozpromieniona Baśka.

— A to przecie był tu już jeden ich cesarz, Osman. Było to, pamiętam jak dziś, w roku 1621. Przyjeżdża, jucha, owo właśnie z tamtej strony Smotrycza, od Chocimia; wybałuszył ślepie, otworzył gębę, patrzy, patrzy — i wreszcie pyta: „A tę twierdzę

(powiada) kto tak obwarował?” „Pan Bóg!” — odpowie wezyr. „To niechże ją Pan Bóg zdobywa, bo ja nie głupi!” I zaraz się wrócił.

— Ba, prędko nawet wracali! — wtrącił pan Muszalski.

— Wracali prędko — odrzekł pan Zagłoba — bośmy ich kopiami w słabiznę ekscytowali, a mnie potem rycerstwo na rękach przed pana Lubomirskiego przyniosło.

— Toś waćpan był pod Chocimiem? — spytał łucznik niezrównany. — Wierzyć mi się nie chce, jak pomyślę, gdzieś waćpan nie był i czegoś nie dokazał!

Pan Zagłoba uraził się nieco i odrzekł:

— Nie tylkom był, ale i ranęm otrzymał, którą waćpanu ad oculos, jeśliś tak ciekaw, zaraz sprezentować mogę, ale na stronie, bo wobec pani Wołodyjowskiej chlubić mi się nią nie wypada.

Słynny łucznik wnet poznał, iż z niego zadrwiono, że jednak nie czuł się na siłach iść o lepszą z dowcipem pana Zagłoby, więc nie dopytywał więcej i zwrócił rozmowę.

— To, co waćpaństwo mówicie, to prawda — rzekł — jak człek z daleka i słyszy ludzkie gadania: „Kamieniec nie opatrzon, Kamieniec upadnie” — to i strach bierze, a jak Kamieniec zobaczy, dalibóg, otucha wstępuje.

— I jeszcze Michał będzie w Kamieńcu! — zawołała Basia.

— I pan Sobieski może sukurs przysłać!

— Chwała Bogu! Nie tak źle z nami! Nie tak źle! Ha! Gorzej bywało, a nie daliśmy się!

— Choćby też i najgorzej było, rzecz w tym, żeby fantazji nie tracić! Nie zjedli nas i nie zjedzą, póki duch żywie! — zakończył pan Zagłoba.

Pod wpływem tych radosnych myśli zamilkli, lecz to milczenie w bolesny zostało przerwane sposób. Oto nagle do kolaski Basinej przysunął się z koniem pan Nowowiejski. Twarz jego, tak zwykle straszna i posępna, była teraz uśmiechnięta i pogodna. Zapatrzone oczy utkwił w skąpanym w blaskach słonecznych Kamieńcu i uśmiechał się ciągle.

Dwaj rycerze i Basia patrzyli na niego ze zdziwieniem, bo nie mogli zrozumieć, jakim sposobem widok twierdzy zdjął tak nagle wszelki ciężar z jego duszy, ów zaś rzekł:

— Pochwalone imię Pańskie! Siła było zmartwienia, ale ot, i radość gotowa!

Tu zwrócił się do Basi:

— One obie są u wójta lackiego Tomaszewicza, i dobrze, że się tam schroniły, bo w takiej fortecy nic im ten zbój nie uczyni!

— O kim waćpan mówisz? — pytała z przestrachem Basia.

— O Zosi i Ewce.

— Boże ci dopomóż! — zawołał Zagłoba. — Nie daj się diabłu!

Nowowiejski zaś mówił dalej:

— Bo to, co o ojcu moim powiadają, że go Azja zarzezał, to też nieprawda!

— Rozum mu się pomieszał! — szepnął pan Muszalski.

— Waćpani pozwolisz — rzekł znów Nowowiejski — że pojadę przodem. Tyle czasu człek ich nie widział, to mu i tęskno! Oj, kuczy się z dala od kochania, kuczy!

To rzekłszy począł kiwać na obie strony swoją olbrzymią głową, następnie zaś ścisnął konia piętami i ruszył.

Pan Muszalski, kiwnąwszy na kilku dragonów, ruszył za nim, aby mieć oko na szaleńca.

Basia skryła w dłoniach swoją różaną twarz i wkrótce łzy gorące poczęły jej przeciekać przez palce, pan Zagłoba zaś rzekł:

— Chłop był jak złoto, ale nie w miarę człeku takowe nieszczęścia. Przy tym samą zemstą dusza nie wyżyje...

W Kamieńcu wrzały przygotowania do obrony. Na murach w starym zamku i przy bramach, szczególniej przy bramie Ruskiej, pracowały „nacje" miasto zamieszkujące, pod swymi wójtami, między którymi wójt lacki Tomaszewicz pierwsze brał miejsce, a to dla swej znanej odwagi i wielkiej biegłości w strzelaniu z dział. Tymczasem pracowano łopatami i taczkami, a Lachowie, Rusini, Ormianie, Żydzi i Cygany szli ze sobą w zawody. Oficerowie rozmaitych regimentów mieli dozór nad robotą, wachmistrze i żołnierze pomagali mieszczaństwu, pracowała nawet szlachta przepomniawszy, że Bóg jej ręce tylko do szabli stworzył, wszelką zaś inną pracę zdał na ludzi „nikczemnego" stanu. Przykład dawał sam pan Wojciech Humiecki, chorąży podolski, którego widok aż łzy wyciskał, bo własnymi rękoma kamienie taczką woził. Robota wrzała i w mieście, i w zamku. Między tłumami kręcili się dominikanie, jezuici, braciszkowie św. Franciszka i karmelici, błogosławiąc wysiłki ludzkie. Niewiasty donosiły żywność i trunki pracującym: piękne Ormianki, żony i córy bogatych kupców, i jeszcze piękniejsze Żydówki z Karwaserów, Źwańca, Zinkowiec, Dunajgrodu zwracały na się oczy żołnierskie.

Lecz uwaga tłumów najbardziej zwróciła się na wjazd Basi. Było zapewne wiele dostojniejszych niewiast w Kamieńcu, lecz nie było żadnej, której by męża okrywała większa chwała wojenna. Słyszano również w Kamieńcu i o samej pani Wołodyjowskiej jako o niewieście chrobrej, która nie strachała się mieszkać w pustynnej strażnicy

wśród dzikiego ludu, która z mężem chodziła na wyprawy, a porwana przez Tatara, zdołała go pogromić i wyjść cało z jego rąk drapieżnych. Sława jej była także niepomierna. Ale ci, którzy jej nie znali i nie widzieli dotąd, wyobrażali sobie, że musi to być jakaś olbrzymka, łamiąca podkowy i rozdzierająca pancerze. Jakież więc było ich zdziwienie, gdy ujrzeli wychylającą się maleńką i różową, na poły dziecinną twarzyczkę.

— Samaże to jest pani Wołodyjowska alboli tylko jej córka? — pytano w tłumach.

— Samać jest — odpowiadali znajomkowie.

Za czym podziw ogarniał mieszczan, niewiasty, księży, wojsko. Poglądano z nie mniejszym podziwem na „niezwyciężoną" chreptiowską komendę, na dragonów, między którymi jechał spokojnie, uśmiechnięty, z błędnymi oczyma, Nowowiejski, i na groźne twarze opryszków przerobionych w węgierską piechotę. Szło jednak z Basią kilkuset ludzi na schwał, wojenników z rzemiosła, więc zaraz serca przybyło mieszczanom.

— Toć siła niepowszednia, ci Turkom śmiele zajrzą w oczy! — wołano w tłumach.

Niektórzy z mieszczan, a nawet i z żołnierzy, szczególniej z regimentu księdza biskupa Trzebickiego, który to regiment świeżo przybył do Kamieńca, myśleli, że i sam pan Wołodyjowski znajduje się w orszaku, wnet też podniosły się krzyki:

— Niech żyje pan Wołodyjowski!

— Niech żyje obrońca nasz! Najsławniejszy kawaler!

— Vivat Wołodyjowski! Vivat!

Basia słuchała i serce jej rosło, bo nic nie może być milszego niewieście nad sławę męża, zwłaszcza gdy brzmią nią usta ludzkie w wielkim grodzie.

„Tylu tu rycerzy — myślała Basia — a przecie żadnemu nie krzyczą, jeno mojemu, jeno Michałowi!"

I sama miała ochotę zakrzyknąć z chórem: „Vivat Wołodyjowski!" — lecz pan Zagłoba reflektował ją, iż powinna zachować się, jak na dostojną personę przystoi, i kłaniać się na obie strony, właśnie jak czynią królowe wjeżdżając do stolicy.

Sam się też kłaniał to czapką, to ręką, a gdy znajomkowie i na jego cześć poczęli wiwatować, wówczas ozwał się do tłumów:

— Mości panowie! Kto Zbaraż wytrzymał, wytrzyma i w Kamieńcu.

Wedle instrukcji Wołodyjowskiego orszak zajechał przed nowo zbudowany klasztor panien dominikanek. Miał ci mały rycerz swój własny dworek w Kamieńcu, ale że klasztor leżał w miejscu zacisznym, do którego kule działowe z trudnością mogły dochodzić, wolał więc w nim Baśkę swoją miłą umieścić, tym bardziej że jako

dobrodziej klasztoru, spodziewał się dobrego przyjęcia. Jakoż ksieni, matka Wiktoria, córka Stefana Potockiego, wojewody bracławskiego, przyjęła Basię z otwartymi rękoma. Z tych objęć poszła zaraz w drugie i kochane bardzo ciotuli Makowieckiej, z którą nie widziała się od lat dawnych. Płakały też obie, płakał i pan stolnik latyczowski, którego Basia była zawsze ulubienicą. Ledwie łzy rozczulenia wszyscy obtarli, nadbiegła Krzysia Ketlingowa i nowe poczęły się powitania, po czym otoczyły Basię siostry zakonne i szlachcianki tak znajome, jak i nieznajome; więc pani Marcinowa Boguszowa, pani Stanisławska, pani Kalinowska, pani Chocimierska, pani Wojciechowa Humiecka, żona pana chorążego podolskiego, kawalera wielkiego. Jedne, jak pani Boguszowa, dopytywały o mężów, inne: co Basia myśli o nawałności tureckiej i czy, wedle jej opinii, Kamieniec utrzymać się zdoła.

Basia z radością wielką spostrzegła, że poczytują ją za jakowąś powagę wojenną i wyglądają z jej ust pociechy. Więc też jej nie skąpiła.

— Ani mowy o tym nie masz — rzekła — byśmy się Turczynowi obronić nie zdołali. Michał tu przyjedzie dziś, jutro, najdalej za parę dni, a jak on się zajmie obroną, możecie waćpanie spać spokojnie, ile że i forteca, jako wiadomo, okrutna, na czym się, dziękować Bogu, znam trocha!

Pewność Basi wlała pociechę w niewieście serca, a zwłaszcza uspokoiła je obietnica przyjazdu pana Wołodyjowskiego. Imię jego było istotnie tak szanowane, że wnet, chociaż już wieczór zapadł, poczęli przychodzić z powinnym czołem do Basi oficerowie miejscowi, każden zaś z nich zaraz po pierwszych powitaniach wypytywał, kiedy mały rycerz wraca i czy istotnie zamknąć się w Kamieńcu zamierza? Basia przyjęła tylko majora Kwasibrockiego, któren piechotą księdza biskupa krakowskiego dowodził, pana pisarza Rzewuskiego, jen po panu Łączyńskim, a raczej w jego zastępstwie, był na czele regimentu — i Ketlinga. Przed innymi nie otworzono już drzwi tego dnia, bo pani była zdrożona, a przy tym musiała się zająć panem Nowowiejskim. Nieszczęsny ów młodzian przed samym klasztorem spadł z konia i już bez przytomności był do celi odniesiony.

Posłano zaraz po medyka, tego samego, któren Basię w Chreptiowie leczył, a któren ciężką chorobę mózgu zapowiedział i o życiu słabą nadzieję dawał. Do późnego wieczora Basia, pan Muszalski i pan Zagłoba rozmawiali o tym zdarzeniu, rozmyślając nad nieszczęsnym losem rycerza.

— Medyk powiada mi — rzekł Zagłoba — że jeśli wyżyje, to po skutecznych krwie upustach rozum mu się nie pomiesza i potem lżejszym sercem będzie nieszczęście znosił.

— Nie masz już dla niego pociechy! — odrzekła Basia.

— Częstokroć lepiej by dla człowieka było, żeby pamięci nie posiadał — zauważył pan Muszalski — ale animalia nawet od tego nie są wolne.

Lecz staruszek zgromił za tę uwagę sławnego łucznika.

— Gdybyś waćpan pamięci nie posiadał, tedy byś do spowiedzi chodzić nie mógł — rzekł — a wówczas byłbyś lutrom równy i godzien ognia piekielnego. Waćpana już i ksiądz Kamiński przestrzegał w bluźnieniu, ale: mów wilkowi pacierz, a wilk woli kozią macierz!

— Co ja za wilk! — rzekł sławny łucznik — Ot, Azja to był wilk!

— A czy ja tego nie mówiłem? — spytał Zagłoba. — Kto pierwszy powiedział: to wilk?

— Nowowiejski mnie mówił — rzekła Basia — że po dniach i po nocach słyszy, jako Ewka i Zosia wołają na niego: „ratuj" — a tu jak ratować? Musiało się na chorobie skończyć, bo nikt — by takiej boleści nie wytrzymał. Śmierć by ich przeżył — hańby nie mógł.

— Leży teraz jak kawał drewna, o bożym świecie nic nie wie — rzekł Muszalski — a szkoda, bo harcownik z niego przedni!

Dalszą rozmowę przerwał pachołek, który przyszedł z doniesieniem, że w mieście znów gwar okrutny, bo się ludzie zbiegają patrzyć na pana jenerała podolskiego, który dopiero co wjechał z dworem dość zacnym i kilkudziesięciu piechoty.

— Komenda do niego należy — rzekł Zagłoba. — Cnotliwie to ze strony pana Mikołaja Potockiego, że woli tu być niż gdzie indziej, ale po staremu, wolałbym, żeby go tu nie było. Ha! Przeciwny był hetmanowi i on! W wojnę nie wierzył, a teraz kto wie, czy nie przyjdzie mu głową nałożyć!

— Może i inni panowie Potoccy za nim ściągną — rzekł pan Muszalski.

— To już widać Turcy niedaleko! — odpowiedział pan Zagłoba. — W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego! Bogdaj pan jenerał był drugim Jeremim, a Kamieniec drugim Zbarażem.

— Musi tak być albo pierwej zginiem! — rzekł jakiś głos od proga.

Basia skoczyła na dźwięk tego głosu i krzyknąwszy: „Michał" — rzuciła się małemu rycerzowi w ramiona.

Pan Wołodyjowski przywiózł z pola wiele ważnych nowin, które zanim na radzie wojennej oznajmił, wpierw żonie w zacisznej celi opowiadał. Sam on zniósł doszczętnie kilka pomniejszych czambulików i z wielką sławą tuż pod koszem krymskim i Doroszeńkowym się uwijał. Jeńców też przyprowadził kilkudziesięciu, od których można było zasięgnąć języka co do sił chańskich i Doroszowych.

Innym zagończykom mniej się natomiast udało. Pan podlaski, stojący na czele znaczniejszych sił, zniesion został w morderczej bitwie; pana Motowidło, który pociągnął ku wołoskiemu szlakowi, rozbił Kryczyński z pomocą ordy białogrodzkiej i resztek Lipków pozostałych po tekickim pogromie. Wołodyjowski, zanim do Kamieńca przybył, wyboczył do Chreptiowa, bo — jak mówił — chciał jeszcze raz na to miejsce szczęśliwości swojej spojrzeć.

— Byłem tam — rzekł — tuż po waszym odjeździe, jeszcze i miejsce po was nie ostygło i mogłem was łacno dogonić, alem się w Uszycy na multański brzeg przeprawił, by tam ucha od stepów nadstawić. Niektóre czambuły już przeszły i boję się, że na Pokucie wychynąwszy, na „niespodzianych" ludzi uderzą. Inne zasię idą przed tureckim wojskiem i niedługo tu będą. Będzie oblężenie, gołębiu mój najmilszy, nie ma na to rady, ale się nie damy, bo tu każden nie tylko ojczyzny, ale i swego prywatnego dobra broni.

To rzekłszy, ruszył kilkakroć wąsikami, a potem żonę za ramiona wziął i począł całować po policzkach. Tego dnia nie mówili ze sobą więcej. Nazajutrz pan Wołodyjowski powtórzył swe nowiny u księdza biskupa Lanckorońskiego przed radą wojenną, do której prócz biskupa należeli: pan generał podolski, pan podkomorzy podolski Lanckoroński, pan pisarz podolski Rzewuski, pan chorąży Humiecki, Ketling, pan Makowiecki, major Kwasibrocki i kilku innych wojskowych. Nie podobało się to naprzód panu Wołodyjowskiemu, że pan generał podolski oświadczył, iż komendy nie chce na się brać, ale ją radzie powierza.

— W nagłych razach musi być jedna głowa i jedna wola! — odrzekł mały rycerz. — Pod Zbarażem było trzech regimentarzy, którym z urzędu należała się władza, a przecież oddali ją księciu Jeremiemu Wiśniowieckiemu, słusznie sądząc, iż w niebezpieczeństwie lepiej jednego słuchać.

Słowa te nie przydały się na nic. Próżno uczony Ketling Rzymian jako przykład cytował, którzy największymi wojennikami w świecie będąc, dyktaturę wymyślili. Ksiądz biskup Lanckoroński, który Ketlinga nie lubił, bo nie wiadomo dlaczego ułożył sobie, iż ów, jako Szkot z pochodzenia, na dnie duszy heretykiem być musi, odparł, iż

Polacy nie potrzebują od przybyszów historii się uczyć, ale też, mając własny rozum, nie potrzebują i Rzymian naśladować, którym zresztą w męstwie i wymowie nic zgoła albo bardzo mało ustępują. „Jako z całego naręcza drzewa (mówił) większe jest płomię niźli z jednej szczapy, tak z wielu głów baczniejsza niźli z jednej rada". Przy czym chwalił modestię pana generała podolskiego, chociaż inni rozumieli, że to jest raczej strach przed odpowiedzialnością — i od siebie układy radził. Gdy wyraz ten został wymówiony, porwali się żołnierze z siedzeń, jakby ogniem sparzeni, pan Wołodyjowski, Ketling, Makowiecki, Kwasibrocki, Humiecki, Rzewuski, i poczęli zgrzytać a szablami trzaskać. „A Wierę!" — ozwały się głosy. „Nie na układy my tu przyszli!" „Mediatora suknia duchowna broni!" Kwasibrocki zawołał nawet: „Do kruchty, nie do rady!" I stał się huczek. Na to biskup wstał i rzekł wielkim głosem:

— Pierwszym gotów dać gardło za kościoły i za moje owieczki, a jeśli o układach wspominam i temporyzować bym pragnął, to niech mnie Bóg sądzi — nie dlatego, by twierdzę poddać, jeno żeby hetmanowi dać czas do zebrania posiłków. Straszne jest poganom imię pana Sobieskiego i choćby słusznych sił nie miał, niech jeno rozgłos się rozlegnie, że idzie — wnet bisurman Kamieńca poniecha.

A gdy tak potężnie przemówił, umilkli wszyscy, niektórzy zaś ucieszyli się nawet widząc, że poddania nie miał ksiądz biskup na myśli.

Wtem Wołodyjowski rzekł:

— Nieprzyjaciel, nim Kamieniec obiegnie, musi wprzód Żwaniec pokruszyć, bo mu nijak obronny zamek za plecami sobie zostawiać. Owóż za pozwoleństwem pana podkomorzego podolskiego ja się podejmuję w Żwańcu zamknąć i trzymać się właśnie przez taki czas, jaki ksiądz biskup za pomocą układów zyskać zamierza. Ludzi wiernych wezmę i póki będzie mego życia, póty będzie i Żwańca!

Na to zakrzyknęli wszyscy:

— Nie może być! Tyś tu potrzebny! Bez ciebie i mieszczaństwo ducha utraci, i żołnierze z taką ochotą stawać nie będą. Żadną miarą nie może być! Kto tu ma więcej eksperiencji? Kto Zbaraż odbył? A jak do wycieczki przyjdzie, kto poprowadzi? Ty zgorzejesz w Żwańcu, a my tu zgorzejem bez ciebie!

— Komenda mną rządzi — odpowiedział Wołodyjowski.

— Do Żwańca młodego by jakiego rezoluta posłać, który by mi był pomocnikiem — ozwał się podkomorzy podolski.

— Niech Nowowiejski idzie! — ozwało się kilka głosów.

— Nowowiejski iść nie może, bo mu głowa gorzeje — odparł Wołodyjowski — leży on na łożu i o bożym świecie nie wie!

— Tymczasem radźmy: gdzie kto ma stanąć i której bramy bronić? — ozwał się ksiądz biskup.

Wszystkie oczy zwróciły się na generała podolskiego, ów zaś rzekł:

— Zanim rozkazy wydam, rad zdania doświadczonych żołnierzy posłucham, że zaś eksperiencją wojenną pan Wołodyjowski tu góruje, jego pierwszego do głosu wzywam.

Wołodyjowski radził przede wszystkim zamki przed miastem leżące dobrze osadzić, bo mniemał, iż właśnie na owe zamki zwróci się głównie impet nieprzyjacielski. Inni poszli za jego mniemaniem. Było tysiąc sześćdziesiąt piechoty, którą rozdzielono w taki sposób, iż prawą stronę zamku obsadził pan Myśliszewski, lewą pan Humiecki, sławny ze swoich przewag pod Cudnowem. Od Chocimia, w miejscu najniebezpieczniejszym, stanął sam pan Wołodyjowski, niżej umieszczono oddział Serdiuków, stronę od Zinkowic osłaniał major Kwasibrocki, południe pan Wąsowicz, a bok od dworca kapitan Bukar z ludźmi pana Krasińskiego. Byli to wszystko nie wolentarze jakowiś, ale żołnierze z zawodu, wyborni i w boju tak wytrzymali, że nie łatwiej inni znosili upał słoneczny niż oni ogień z dział. Prócz tego w wojskach Rzeczypospolitej, zawsze nielicznych, służąc, przywykli od młodych lat dawać odpór dziesięćkroć potężniejszemu nieprzyjacielowi i za rzecz naturalną to uważali. Ogólny nadzór nad zamkową artylerią miał urodziwy Ketling, który biegłością w kierowaniu armat wszystkich przewyższał. Komenda główna w zamku miała być przy małym rycerzu, któremu zarazem pan generał podolski pozostawił wolność czynienia wycieczek, ilekroć zdarzy się potrzeba i sposobność.

Owi zasię, dowiedziawszy się, gdzie który będzie stał, uradowali się w sercach i krzyk znaczny podjąwszy oraz trzaskanie rapierami uczyniwszy, tym sposobem swoją ochotę okazali. Słysząc to pan generał podolski rzekł do własnej duszy:

„Nie wierzyłem, byśmy się obronić zdołali, i bez wiary tu przybyłem, sumienia jeno słuchając, ale przecie kto wie, czy z takimi żołnierzami nie zdołamy odbić nieprzyjaciela? Sława na mnie spadnie i za drugiego Jeremiego mnie ogłoszą, a w takim razie bogdaj jeżeli nie szczęśliwa przywiodła mnie tu gwiazda!”

I jak dawniej wątpił o obronie, tak teraz począł wątpić o zdobyciu Kamieńca, za czym fantazja jego wzrosła i raźniej już o obsadzeniu samego miasta naradzać się począł.

Uradzili więc, aby w samym mieście, przy bramie Ruskiej stanął pan Makowiecki z garścią szlachty, polskich mieszczan, w bitwie od innych wytrzymalszych, tudzież z

kilkudziesięcią Ormian i Żydów. Zaś bramę Łucką oddano panu Gródeckiemu, przy której rząd nad armatą pan Żuk i pan Matczyński objęli. Zaś straż placową przed ratuszem objął pan Łukasz Dziewanowski; zaś pan Chocimirski za Ruską bramą nad hałaśliwym ludem Cyganów wziął dowództwo. Zaś od mostu, aż po dwór pana Sinickiego, zawiadował strażami pan Kazimierz Humiecki, brat mężnego Wojciecha. A dalej mieli mieć kwatery pan Staniszewski i nad Lacką bramą pan Marcin Bogusz, a przy baszcie Spiżowej miał stanąć pan Jerzy Skarżyński z panem Jackowskim, tuż wedle białobłockiej dziury. Pan Dubrawski z Pietraszewskim objęli basztę Rzeźnika. Wielki szaniec miejski oddano Tomaszewiczowi, wójtowi jurysdykcji polskiej, mniejszy panu Jackowskiemu; zaś był rozkaz, by usypać i trzeci, z którego później Żyd pewien, biegły puszkarz, wielce Turkom dokuczał.

Tak się rozporządziwszy, na wieczerzę wszyscy radni do pana generała podolskiego poszli, który szczególniej podczas tej ochoty uczcił pana Wołodyjowskiego, i miejscem, i winem, i potrawami, i mową, przewidując, iż po oblężeniu do przezwiska „małego rycerza" miano „Hektora kamienieckiego" przez potomność dodane będzie. Ów zaś oświadczył, że szczerze służyć zamyśla i w tym celu pewnym ślubem w katedrze związać się zamierza, za czym prosi księdza biskupa, aby mu to jutro uczynić było nie wzbronno. Ksiądz biskup widząc, iż z tego ślubu pożytek publiczny wyrosnąć może, przyrzekł chętnie.

Nazajutrz wielkie było w katedrze nabożeństwo. Słuchali go w skupieniu i podniosłości ducha rycerze, szlachta, żołnierstwo i lud pospolity. Pan Wołodyjowski z Ketlingiem leżeli krzyżem przed ołtarzem; Krzysia i Basia klęczały tuż za stallami, płacząc, bo wiedziały, iż ślub ów na niebezpieczeństwo życie ich mężów podać może. Po ukończeniu mszy ksiądz biskup obrócił się do ludu z monstrancją; wówczas mały rycerz wstał i klęknąwszy na stopniach ołtarza, tak rzekł wzruszonym, choć spokojnym głosem:

— Za osobliwe dobrodziejstwa i szczególniejszą protekcję, jakąm ja od Pana Boga Najwyższego i Syna Jego Jedynego otrzymał, do również szczególniejszej poczuwając się wdzięczności, ślubuję i poprzysięgam, iż jako On i Syn Jego mnie wspomogli, tako i ja do ostatniego tchu Krzyża świętego będę bronił. A mając komendę starego zamku sobie powierzoną, pókim żyw i rękoma a kolanami ruchać mogąc, pogańskiego nieprzyjaciela w sprosności żyjącego do zamku nie puszczę ni z murów nie ustąpię, ni szmaty białej nie zatknę, choćby mi też pod gruzami pogrześć się przyszło... Tak mi dopomóż Bóg i święty Krzyż — Amen!

Cisza uroczysta nastała w kościele, po czym dał się słyszeć głos Ketlinga:

— Ślubuję — rzekł ów — za szczególne dobrodziejstwa, których w tej ojczyźnie doznałem, do ostatniej kropli krwie zamku bronić i pierwej się pod gruzami jego pogrześć, zanim by noga nieprzyjacielska miała w jego mury wstąpić. A jako ze szczerego serca i szczerej wdzięczności przysięgę ową składam, tako mi dopomóż Bóg i święty Krzyż — Amen!

Tu ksiądz biskup pochylił monstrancję i dał ją do ucałowania naprzód panu Wołodyjowskiemu, potem Ketlingowi. Na ów widok liczni rycerze uczynili gwar w kościele. Rozległy się głosy:

— Wszyscy przysięgamy! Jeden na drugim polegniem! Nie upadnie ta twierdza! Przysięgamy! Przysięgamy! Amen! Amen! Amen!

Szable i rapiery wyszły ze zgrzytem z pochew i w kościele uczyniło się jasno od stali. Blask ów rozświecił groźne twarze, rozpalone oczy i zapał wielki, niewypowiedziany ogarnął szlachtę, żołnierzy, lud.

Wtem uderzono we wszystkie dzwony, huknął organ, ksiądz biskup zaintonował: Sub Tuum praesidium — sto głosów zabrzmiało mu w odpowiedzi — i tak modlono się za twierdzę, która była strażnicą chrześcijaństwa i kluczem Rzeczypospolitej.

Po ukończonym nabożeństwie Ketling z Wołodyjowskim wyszli z kościoła trzymając się pod ręce. Żegnano i błogosławiono ich po drodze, bo nikt nie wątpił, że pierwej polegną, nim zamek oddadzą. Ale nie śmierć, jeno zwycięstwo i sława zdawały się nad nimi unosić — i prawdopodobnie wśród tych wszystkich tłumów oni jedni tylko wiedzieli, jak straszną związali się przysięgą. Może także przeczuwały zagładę, jaka zawisła nad ich głowami, dwa kochające niewieście serca, bo ni Basia, ni Krzysia nie mogły się uspokoić, a gdy wreszcie Wołodyjowski znalazł się w klasztorze przy żonie, ta, zanosząc się i łkając jak małe dziecko, przytuliła się do jego piersi i tak rzekła przerywanym głosem:

— Pamiętaj... Michałku, że... broń Boże na ciebie nieszczęścia... ja... ja... nie wiem... co... się... ze mną... stanie!...

I poczęła, się trząść z uniesienia; mały rycerz wzruszon był także bardzo. Żółte jego wąsiki wysuwały się i cofały przez chwilę, wreszcie rzekł:

— Ano, Baśka... trzeba było, no!...

— Wolałabym umrzeć! — rzekła Basia.

Usłyszawszy to mały rycerz począł jeszcze prędzej wąsikami ruszać i powtórzywszy kilkakrotnie: „Cicho, Baśka!... cicho!” — tak wreszcie ozwał się dla uspokojenia kochanej nad wszystko niewiasty:

— A pamiętasz, jak mi cię Pan Bóg wrócił, com powiedział? Powiedziałem tak: „Na jaką mnie, Panie Boże, kontentację stać, taką ci obiecuję. Po wojnie, jeśli ostanę żyw, kaplicę będę erygował, ale czasu wojny muszę czegoś znacznego dokazać, aby cię niewdzięcznością nie nakarmić!” Co tam zamek! Mało i tego za takowe dobrodziejstwo! Przyszła pora! Zali godzi się, aby Zbawiciel powiedział sobie: „Obiecanka cacanka”? Niechby mnie wprzód kamienie zamkowe potłukły, nim bym miał kawalerski parol Bogu dany złamać! Trzeba, Baśka! — i cała rzecz!... Bogu, Baśka, ufajmy!...

Rozdział LI

Tegoż dnia jeszcze pan Wołodyjowski wyjechał z chorągwiami na pomoc młodemu panu Wasilkowskiemu, który ku Hryńczukowi skoczył, bo przyszła wieść, iż tam Tatarowie wpadli torhakiem, ludzi krępując, bydło biorąc, ale wsi dla niepoznaki nie paląc. Pan Wasilkowski wnet ich rozgromił, jasyr odebrał i jeńców wziął. Tych pan Wołodyjowski do Żwańca powiódł poleciwszy panu Makowieckiemu na pytki ich wziąć i zeznania ich rządnie spisać, tak aby hetmanowi i królowi mogły być odesłane. Tatarzy zeznali, iż z rozkazania perkułabskiego granicę przeszli mając sobie dodanego w pomoc rotmistrza Styngana z Wołoszą. Natomiast, lubo przypiekani, nie umieli powiedzieć, jak daleko mógł znajdować się w tej chwili cesarz turecki z całą potęgą, gdyż idąc niesfornymi kupami przodkiem, nie utrzymywali z całym obozem związku.

Wszyscy jednak zgodnie zeznali, że cesarz potęgę poruszył, że do Rzeczypospolitej ciągnie i prawdopodobnie wkrótce stanie już pod Chocimiem. Nie było w tych zeznaniach nic nowego dla przyszłych obrońców Kamieńca, ponieważ jednak w Warszawie, na dworze królewskim, jeszcze nie wierzono w wojnę, przeto postanowił pan podkomorzy podolski wyprawić jeńców wraz z ich nowinami do Warszawy.

Podjazdy wróciły zadowolone z pierwszej ekspedycji. Tymczasem wieczorem przybył do Wołodyjowskiego sekretarz jego pobratymca, Habareskula, starszego perkułaba chocimskiego. Nie przywiózł on żadnego listu, bo perkułab bał się pisać, natomiast polecił powiedzieć ustnie swemu pobratymcowi Wołodyjowskiemu, „źrenicy oka” i „kochaniu serca”, aby się na baczności miał i jeśli Kamieniec nie ma dość wojsk

do obrony, by pod jakimkolwiek pozorem miasto opuścił, bo cesarz już drugiego dnia w Chocimiu z całą potęgą spodziewan.

Wołodyjowski kazał podziękować perkułabowi i nagrodziwszy sekretarza wysłał go z powrotem, sam zaś zawiadomił natychmiast komendantów o zbliżającym się niebezpieczeństwie.

Wieść, lubo spodziewano się jej każdej godziny, wielkie uczyniła wrażenie. Zdwojono gorliwość przy robotach miejskich, pan Hieronim Lanckoroński zaś ruszył bez chwili zwłoki do swojego Żwańca, by stamtąd na Chocim mieć oko.

Czas jakiś upłynął na oczekiwaniu, na koniec w Porcjunkułę 2 sierpnia sułtan stanął pod Chocimiem. Rozlały się pułki jako morze bezbrzeżne – i na widok ostatniego grodu leżącego w granicach władzy padyszacha okrzyk: „Allach! Allach!", wyrwał się z setek tysięcy gardzieli. Po drugiej stronie Dniestru leżała bezbronna Rzeczpospolita, którą te niezmierne wojska miały zalać jak powódź lub pożreć jak płomień. Tłumy wojowników, nie mogąc się pomieścić w grodzie, rozłożyły się na polach, na tych samych, gdzie kilkadziesiąt lat temu równie liczną armię proroka rozgromiły polskie szable.

Teraz zdawało się, że nadszedł czas zemsty, i nikt w tych dzikich zastępach, począwszy od sułtana, skończywszy na ciurze obozowym, nie przeczuwał, że te pola po dwakroć będą dla półksiężyca złowrogie. Nadzieja, ba, nawet pewność zwycięstwa ożywiała wszystkie serca. Janczarowie i spahisowie, tłumy pospolitego ruszenia z Bałkanów, z gór Rodopu, z Rumelii, z Pelionu i Ossy, z Karmelu i Libanu, z pustyń arabskich, znad brzegów Tygru, z nizin nilowych i spiekłych piasków afrykańskich, wydając dzikie okrzyki domagały się, by ich natychmiast na „niewierny brzeg" prowadzić. Lecz tymczasem muezinowie z chocimskich minaretów poczęli wołać na modlitwę, więc uciszyło się wszystko. Morze głów w zawojach, kapuzach, fezach, burnusach, kefiach i stalowych hełmach pochyliło się ku ziemi i przez pola poszedł głuchy pomruk modlitwy, na kształt brzęczenia niezmiernego roju pszczół — i porwany przez powiew, leciał za Dniestr ku Rzeczypospolitej.

Za czym ozwały się bębny, krzywuły i piszczałki, dając znak wytchnienia. Lubo wojska szły z wolna i wygodnie, chciał przecie padyszach dać im po długiej drodze aż z Adrianopola dorzeczny wypoczynek. Sam on odbył ablucje w jasnym źródle niedaleko miasta płynącym i do chocimskiego konaku odjechał, na polach zaś poczęto rozpinać dla pułków namioty, które wkrótce okryły jakoby śniegiem nieprzejrzaną przestrzeń okolicy.

Dzień był piękny i kończył się pogodnie. Po ostatnich wieczornych modlitwach obóz począł odpoczywać. Zabłysło tysiące i setki tysiąców ognisk, na których migotanie spoglądano trwożnie z przeciwległego żwanieckiego zameczku, bo tak były rozległe, że żołnierze, którzy chodzili na podjazd, zdając sprawę z tego, co widzieli, mówili, iż zdawało im się, „że całe Multany w ogniskach". Lecz w miarę jak jasny miesiąc wytaczał się coraz wyżej na gwiaździste niebo, ogniska, prócz strażowych, gasły, obóz uciszał się i tylko wśród milczenia nocy rozlegało się rżenie koni i ryk bawołów pasących się na tarabańskich błoniach.

Lecz nazajutrz skoro świt sułtan ordynował janczarów, Tatarów i Lipków, by przeszli Dniestr i zajęli Żwaniec, tak miasteczko, jak i zamek. Nie czekał ich mężny pan Hieronim Lanckoroński za murami, lecz mając przy boku czterdziestu swoich Tatarów, ośmdziesięciu Kijanów i jedną własną chorągiew towarzyską, uderzył na janczarów u przeprawy i pomimo gęstego ognia z rusznic zmieszał tę najprzedniejszą piechotę tak, iż się w rozsypce poczęła cofać w wodę. Lecz tymczasem czambuł wspomagany przez Lipków, przeprawiwszy się bokiem, wdarł się do miasta. Dymy i krzyki ostrzegły mężnego pana podkomorzego, iż miasto jest już w rękach nieprzyjaciela, więc kazał się cofać od przeprawy, aby nieszczęsnym mieszkańcom przyjść w pomoc. Janczarzy, jako piechota, nie mogli go ścigać, on zaś biegł całym pędem na ratunek. I już dobiegał, gdy nagle nadworni jego Tatarowie cisnąwszy swe chorągwie przeszli na stronę nieprzyjaciela. Nastała chwila wielce niebezpieczna: czambuł wspomagany przez Lipków, w przypuszczeniu, że zdrada wywoła zamieszanie, uderzył wręcz i z wielkim impetem na pana podkomorzego. Na szczęście Kijanie, zachęceni przykładem wodza, dali dzielny opór, chorągiew zaś towarzyska złamała wkrótce nieprzyjaciela, który zresztą nie był w stanie dać regularnej polskiej jeździe odporu. Grudź przed miastem wnet pokryła się trupami, szczególniej Lipków, ci bowiem wytrwalej od zwykłych ordyńców dotrzymywali pola. Nacięto ich sporo jeszcze i w ulicach, po czym pan Lanckoroński widząc, że od wody zbliżają się janczarowie, schronił się za mury, wysławszy wprzód do Kamieńca o posiłki.

Padyszach nie myślał zrazu tego dnia zdobywać żwanieckiego zamku, mniemając słusznie, że go w mgnieniu oka przy ogólnej wojsk przeprawie pokruszy. Chciał tylko zająć miasto i w przypuszczeniu, że oddziały, jakie wysłał, są na to zupełnie wystarczające, nie wysyłał więcej ni janczarów, ni ordy. Ci zaś, którzy już na tej stronie rzeki byli, po cofnięciu się pana podkomorzego w mury zajęli ponownie miasto i nie paląc onego, aby w przyszłości za schronisko im samym i innym oddziałom służyć

mogło, poczęli w nim gospodarzyć szablą i kindżałem. Janczarowie chwytali młode niewiasty na żołnierską swawolę, mężów zaś i dzieci rąbali siekierami; Tatarzy braniem łupu byli zajęci.

Wtem z baszty zameczku ujrzano, iż od strony Kamieńca zbliża się jakowaś jazda. Zasłyszawszy o tym pan Lanckoroński wyszedł sam na basztę mając przy sobie kilku towarzyszów i wysadziwszy perspektywę przez strzelnicę, patrzył długo i uważnie w pole, wreszcie rzekł:

— To lekka jazda z chreptiowskiego prezydium, ta sama jazda, na której czele Wasilkowski do Hryńczuka chodził. Pewnie i teraz jego samego wysłano.

Po czym znów jął patrzeć:

— Widzę wolentarzy; pewnie Humiecki Wojciech!

A po chwili:

— Chwała Bogu! Jest i sam Wołodyjowski, bo widać dragonów. Mości panowie, wyskoczym i my zza murów i z bożą pomocą wyżeniem nieprzyjaciela nie tylko z miasta, ale całkiem za wodę.

To rzekłszy, zbiegł co duchu na dół, by swych Kijanów i towarzystwo sprawić. Tymczasem w mieście pierwsi Tatarowie dojrzeli nadciągające chorągwie i ałłakując przeraźliwie, poczęli się zbierać w czambuł. Po wszystkich ulicach rozległ się odgłos bębnów i szypuszów; janczarowie stanęli wnet sfornie z całą tą szybkością, w jakiej mało która w świecie piechota mogła im dorównać.

Czambuł wyleciał, jakby wichrem wywiany, za miasto i skoczył na lekką chorągiew. Sam czambuł prócz Lipków, których pan Lanckoroński napsuł wiele, był przecie trzykroć liczniejszy od załogi żwanieckiej i nadciągających posiłkowych chorągwi, dla której to przyczyny nie zawahał się skoczyć na pana Wasilkowskiego. Lecz pan Wasilkowski, niepohamowany młodzik, który równie chciwie, jak ślepo rzucał się na wszelkie niebezpieczeństwa, kazał natychmiast ludziom wziąść impet największy i leciał jako trąba powietrzna, ani dbając na liczbę nieprzyjaciół.

Stropiła taka odwaga Tatarów, nie lubiących w ogóle spotkania wręcz. Wnet też mimo krzyku jadących z tyłu murzów, mimo przeraźliwego świstu piszczałek i głosu bębna huczącego na kęsim — to jest na ścinanie głów niewiernych — poczęli konie zdzierać, hamować; widocznie mdlały w nich serca i ochota coraz bardziej, wreszcie na odległość strzelenia z łuku przed chorągwią rozbiegli się na dwie strony, wypuściwszy ćmę strzał na pędzących jeźdźców.

Pan Wasilkowski, nie wiedząc nic o janczarach, którzy sforowali się z drugiej strony domów ku rzece, pognał z ludźmi tymże impetem za Tatarami, a raczej za połową czambułu, zgonił ją wkrótce i począł siec tych, którzy konie gorsze mając niesporo uciekali. Wówczas druga połowa czambułu zwróciła się chcąc go otoczyć, ale w tej chwili naskoczyli wolentarze, jednocześnie zaś wypadł pan podkomorzy z Kijanami. Tatarzy, naciśnięci z kilku stron, rozproszyli się jak piasek, w mgnieniu oka — i rozpoczęło się przebieganie, to jest gonitwa kupy za kupą, męża za mężem, przy czym orda padała gęstym trupem, szczególniej z ręki pana Wasilkowskiego, który w zaślepieniu sam jeden na całe gromady uderzał, tak właśnie jako kobuz uderza na stado wróbli lub trznadli.

Lecz pan Wołodyjowski, żołnierz przezorny i zimny, dragonów z ręki nie puścił. Równie jak ten, który sforę ociętnych kondli na tęgich rzemieniach trzymając, nie puszcza ich na lada zwierza, lecz wówczas dopiero, gdy iskrzące ślepie i białe kły srogiego odyńca zobaczy, tak i mały rycerz, gardząc pierzchliwą ordą, wyglądał, czyli za nią nie masz spahisów, janczarów lub innego jakiego wyborowego komunika.

Wtem przypadł do niego pan Hieronim Lanckoroński ze swoimi Kijany.

— Dobrodzieju! — zawołał — Janczary mają się ku rzece, przyciśniem ich!

Wołodyjowski wydobył rapier z pochwy i skomenderował:

— Naprzód!

Każdy z dragonów ściągnął lejce, by konia pewniej mieć w ręku, po czym szereg pochylił się nieco i ruszył przed się tak sprawnie jak gdyby na mustrze. Szli z początku rysią, potem w skok, ale nie wypuszczali jeszcze koni do największego biegu. Dopiero minąwszy domostwa położone ku wodzie, na wschód od zamku, ujrzeli białe pilśniowe czapki janczarów i poznali, iż to nie z dżamakami, ale z regularnymi janczarami będzie sprawa.

— Bij! — krzyknął Wołodyjowski.

I konie wyciągnęły się, brzuchami szorując niemal po ziemi i wyrzucając kopytami grudy stwardniałego gruntu.

Janczarowie nie wiedząc, jaka siła nadchodzi w pomoc Żwańcowi, mieli się istotnie ku rzece. Jeden ich oddział, dwieście kilkadziesiąt ludzi liczący, był już u brzegu i pierwsze jego szeregi poczęły właśnie wstępować na promy; drugi oddział, równie silny, nadążał chyżo, lecz w doskonałym ordynku, gdy ujrzał pędzącą jazdę. Wówczas zatrzymał się i w jednym mgnieniu oka obrócił czoło ku nieprzyjacielowi. Rusznice pochyliły się płotem i huknęła salwa jakby na mustrze. Co więcej, zaciekli wojownicy

licząc, iż towarzysze znad brzegu poprą ich ogniem, nie tylko nie pierzchli po wystrzale, ale okrzyknąwszy się ruszyli za dymem i uderzyli z furią szablami na jazdę. Było to zuchwalstwo, do którego jedni janczarowie byli zdolni, ale za które też przypłacili ciężko, bo jazda nie mogąc, choćby chciała, powstrzymać koni, uderzyła w nich jak młotem i złamawszy w mig, rozniosła postrach i zgubę.

Pod siłą natarcia położył się pierwszy szereg jak łan pod wichrem. Prawda, że wielu padło tylko od impetu i ci zerwawszy się biegli w rozproszeniu ku rzece, od której drugi oddział dawał ognia raz po razu, mierząc wysoko, by ponad głowami swoich razić dragonię. Przez chwilę między janczarami stojącymi przy promach widać było wahanie się i niepewność, czy wsiadać na promy, czy też, idąc za przykładem drugiego oddziału, uderzyć wręcz na jazdę. Lecz od tego ostatniego kroku powstrzymywał ich widok uciekających kup, które jazda parła końskimi piersiami i cięła tak okrutnie, że zapamiętałość jej chyba z jej biegłością mogła być porównana. Czasem kupa taka, gdy ją zbyt naciśnięto, odwracała się z desperacji i poczynała kąsać, jak kąsa przyparty zwierz, skoro widzi, że nie masz już dla niego ucieczki. Ale właśnie wówczas stojący u brzegu mogli poznać jasno jak na dłoni, że tej jeździe na białą broń niepodobna dotrzymać, tak dalece w użyciu jej góruje. Cięto broniących się przez łby, pyski i karki z taką wprawą i szybkością, że ruchu szabel oko niemal nie mogło pochwycić. Jak gdy czeladź w zamożnym gospodarstwie, młócąc groch dobrze wyschnięty, bije gorliwie a prędko w klepisko, tak iż cała stodoła brzmi odgłosami razów, a wyłuszczone ziarno pryska na wszystkie strony — tak i od odgłosu szabel brzmiało całe nadrzecze, a kupy janczarów, łuszczone bez miłosierdzia, rozpryskiwały się na wszystkie strony.

Pan Wasilkowski rzucał się na czele swej lekkiej jazdy, nic o własne życie nie dbając. Lecz o ile biegły kosiarz przewyższy silniejszego od się, lecz mniej wprawnego do kośby parobka, bo gdy ów zmacha się już i obfitym potem pokryje, tamten idzie wciąż naprzód, równo przed sobą ścieląc pokłosy — o tyle właśnie pan Wołodyjowski przewyższył zapamiętałego młodzieńca. Przed samym zderzeniem się z janczarami puścił on dragonów naprzód, sam zaś nieco z tyłu pozostał, aby na całą bitwę mieć oko. Tak z dala stojąc, pilnie patrzył, co chwila zaś rzucał się w war, uderzał, naprawiał, to znów pozwalał, by bitwa odsunęła się od niego, i znów patrzył, znów uderzał. Jak zwykle w bitwie z piechotą tak i wówczas trafiło się, że jazda w zapędzie pominęła uciekających. Kilkunastu z nich, nie mając przed sobą drogi do rzeki, zwróciło się w ucieczce do miasta, aby ukryć się w słonecznikach tuż przed domostwami rosnących. Lecz zauważył ich pan Wołodyjowski, dognał dwóch pierwszych i rozdał między nich dwa lekkie cięcia,

a oni padli zaraz i kopiąc ziemię nogami, dusze wraz z krwią przez otwarte rany wyzionęli. Widząc to trzeci strzelił do małego rycerza z janczarki i chybił, a mały rycerz trzasnął go ostrzem między nos a usta, i w ten sposób lubego życia pozbawił. Po czym nie zwłócząc skoczył za innymi i nie tak prędko wyrostek wiejski pozbiera grzyby w kupie rosnące, jako on pozbierał ich, nim do słoneczników dopadli. Dwóch tylko ostatnich pochwycili żwanieccy ludzie, którym mały rycerz żywcem ich zachować rozkazał.

Sam zaś rozgrzawszy się nieco, gdy ujrzał, że janczarów znacznie już do rzeki przyparto, skoczył w war bitwy i zrównawszy się z dragonami, pracować począł.

Chwilami przed się uderzał, chwilami zwracał się w prawo lub w lewo, dawał szacht płytki i nie patrzył więcej, a za każdym razem biała kapuza obsuwała się na ziemię. Janczary z wrzaskiem tłoczyć się w trwodze przed nim poczęli, on zaś szybkość cięć zdwoił i choć sam spokojny pozostał, jednak żadne oko nie mogło już za ruchami jego rapiera nadążyć i rozeznać, kiedy cięciem, a kiedy sztychem uderza, bo szabla jedno świetliste kolisko naokół jego osoby czyniła.

Pan Lanckoroński, który z dawna o nim jako o mistrzu nad mistrzami słyszał, ale go przy robocie dotąd nie widział, aż walczyć poprzestał i patrzył zdumiony, nie mogąc oczom uwierzyć, aby jeden człowiek, choćby mistrz, choćby za najpierwszego kawalera ogłoszon, tyle mógł sprawić i dokonać. Więc się za głowę wziął i naokół słyszeli tylko towarzysze, jak ustawicznie powtarzał: „Mało jeszcze mówiono, dla Boga!” Inni zaś krzyczeli: „Patrzcie, bo tego w świecie nie ujrzycie!” Wołodyjowski zaś pracował dalej. Zepchnięto wreszcie janczarów ku rzece, którzy teraz bezładnie na promy pchać się poczęli. Lecz że promów było dość, a ludzi mniej wracało, niż przyszło, pomieścili się szybko a snadnie. Wnet poruszyły się ciężkie wiosła i między jazdą a janczarami utworzyła się wodna przerwa, która rozszerzała się z każdą chwilą... Lecz z promów poczęły grzmieć janczarki, którym dragonia huknęła w odpowiedź z bandoletów; dymy wzniosły się chmurą nad wodą, potem rozciągnęły się w długie szlaki. Promy, a z nimi janczarowie oddalali się coraz bardziej. Dragoni, otrzymawszy pole, podnieśli srogi krzyk i wygrażając pięściami odjeżdżającym, wołali za nimi:

— A pójdziesz, sobaka! A pójdziesz!...

Pan Lanckoroński, lubo kule pluskały jeszcze tuż przy brzegu, wziął w ramiona Wołodyjowskiego.

— Oczom nie wierzyłem! — rzekł — mirabilia to są, dobrodzieju, złotego pióra warte!

Wołodyjowski zaś:

— Przyrodzona sposobność i wprawa, ot cała rzecz! Ile to się już wojen odbyło!

Tu oddawszy uścisk panu Lanckorońskiemu uwolnił się z jego objęć i spojrzawszy na brzeg, wykrzyknął:

— Patrz, wasza miłość, bo inną osobliwość zobaczysz!...

Podkomorzy, zwróciwszy się, spostrzegł oficera naciągającego łuk nad brzegiem.

Był to pan Muszalski.

Przesławny łucznik walczył dotąd z innymi, wręcz ścinając się z nieprzyjacielem, lecz teraz, gdy janczarowie oddalili się już tak, że kule z janczarek i bandoletów nie donosiły, wyciągnął łuk spod uda i stanąwszy w miejscu, gdzie brzeg był wyniosłejszy, naprzód spróbował palcem cięciwy, po czym, gdy ozwała mu się donośnie, przytknął do niej pierzastą strzałę i wymierzył.

W tej chwili obejrzeli się na niego Wołodyjowski z Lanckorońskim.

Piękny był to obraz! Łucznik siedział na koniu, lewą rękę trzymał prosto, w niej łuk jakby w kleszczach, prawą zaś dłoń przyciągał coraz silniej do brodawki piersi, aż żyły wystąpiły mu na czoło — i mierzył spokojnie.

W oddali widać było pod chmurą dymów kilkanaście promów sunących po rzece, bardzo z powodu topnienia śniegów w górach wezbranej, a tak tego dnia przeźroczej, że odbijały się w niej promy i siedzący na nich janczary. Bandolety z brzegu umilkły; oczy zwróciły się na pana Muszalskiego lub szły w kierunku, w jakim zabójcza strzała miała podążyć.

Wtem zadźwięczała rozgłośnie cięciwa i pierzasty posłaniec śmierci wypadł z łuku. Żadne oko nie mogło jego lotu pochwycić, lecz wszyscy ujrzeli doskonale, jak stojący przy wiośle tęgi janczar rozłożył nagle ręce i okręciwszy się na miejscu, chlupnął w wodę. Prysnęła pod jego ciężarem toń przeźrocza, zaś pan Muszalski rzekł:

— Dla ciebie, Dydiuk!...

Po czym sięgnął po drugą strzałę.

— Na cześć pana hetmana! — ozwał się do towarzyszów.

Owi dech zaparli; po chwili znów zaświszczało powietrze i drugi janczar obsunął się na dno promu.

Na wszystkich promach wiosła poczęły poruszać się żywiej i tłukły gwałtownie jasną falę, lecz łucznik niezrównany zwrócił się teraz z uśmiechem do małego rycerza:

— Na cześć godnej małżonki waszej mości!

I po raz trzeci łuk naciągnął, po raz trzeci wypuścił gorzką strzałę, a ta po raz trzeci pogrążyła się do pół brzechwy w ciele ludzkim. Okrzyk tryumfu zagrzmiał na brzegu,

okrzyk wściekłości z promów, po czym cofnął się pan Muszalski, a jego śladem cofnęli się inni dnia dzisiejszego zwycięzcy — i podążyli do miasta.

Wracając, spoglądali z zadowoleniem na żniwo dnia dzisiejszego. Ordyńców mało zginęło, bo ani razu dobrze się nie zwarli — i przepłoszeni, wnet przeprawili się przez rzekę; ale natomiast janczarowie leżeli w liczbie kilkudziesięciu na kształt snopów pięknie powrósłami związanych. Niektórzy rzucali się jeszcze, ale wszyscy byli już obdarci przez czeladź pana podkomorską.

Spoglądając na nich pan Wołodyjowski rzekł:

— Mężna to piechota i idzie na dym jako odyniec, ale przez pół tyle nie umie, ile szwedzka.

— Jednak dali salwę, jakoby kto orzech zgryzł — zauważył pan podkomorzy.

— Ale stało się to samo przez się, nie zaś przez ich sprawność, bo pospolicie musztry oni nijakiej nie robią. To była gwardia sułtańska i ci się jeszcze jako tako ćwiczą, prócz nich zaś są i janczarowie nieregularni, znacznie gorsi.

— Daliśmy im pro memoria! Bóg łaskaw, że od tak znacznej wiktorii wojnę tę rozpoczynamy!

Lecz doświadczony Wołodyjowski innego był zdania.

— Mała to jest wiktoria, nie znaczna — odrzekł. — Dobre i to dla podniesienia ducha w ludziach nieobytych i w mieszczaństwie, ale innego skutku mieć nie będzie.

— Zali waszmość myślisz, że w poganach fantazja nie skruszeje?

— W poganach fantazja nie skruszeje — rzekł Wołodyjowski.

Tak rozmawiając dojechali do miasta, gdzie łyczkowie oddali im owych dwóch żywcem pochwyconych janczarów, którzy przed szablą pana Wołodyjowskiego chcieli się w słoneczniki schronić.

Jeden był postrzelon nieco, drugi zdrów zupełnie i pełen okrutnej fantazji. Stanąwszy na zamku kazał go mały rycerz panu Makowieckiemu badać, sam bowiem, chociaż rozumiał dobrze język turecki, jednak nim biegle nie mówił. Wypytywał więc pan Makowiecki, czy sułtan jest już własną osobą w Chocimiu oraz jak prędko do Kamieńca zamyśla?

Turczyn zeznawał jasno, lecz hardo.

— Padyszach jest własną osobą — mówił. — W obozie gadali, że jutro Halil i Murad baszowie mają się przeprawić na drugą stronę, mehentysów ze sobą wziąwszy, którzy wnet rowy rżnąć poczną. Jutro lub pojutrze przyjdzie na was czas zatracenia.

Tu jeniec wziął się w boki i dufny w grozę sułtańskiego imienia, tak dalej mówił:

— Szaleni Lachowie! Jakże to ośmieliliście się pod bokiem pana napadać ludzi jego i szarpać? Zali myślicie, iż sroga kara was minie? Zali ten zameczek was obronić zdoła? Czymże za kilka dni będziecie, jeśli nie niewolnikami? Czymże jesteście dziś, jeśli nie psami miotającymi się na pańską oblicznośc?

Pan Makowiecki pilnie wszystko spisywał, lecz pan Wołodyjowski, chcąc zuchwalstwo jeńca poskromić, w pysk go po ostatnich słowach uderzył. Stropił się Turczyn i zaraz nabrał dla małego rycerza szacunku, a i w ogóle przystojniej wyrażać się począł. Po skończonym badaniu, gdy wyprowadzono go z sali, pan Wołodyjowski rzekł:

— Trzeba tych jeńców i ich zeznania w skok do Warszawy wysłać, bo tam na dworze królewskim jeszcze nie wierzą w wojnę.

— Co to są mehentysy, z którymi Halil i Murad mają się przeprawiać? — spytał Lanckoroński.

— Mehentysy są to inżynierowie, którzy zasłony i nasypy pod armaty będą przygotowywali — odparł Makowiecki.

— A jak waszmościowie myślicie, prawdęli ten jeniec powiadał czy też zgoła łgał?

— Jeśli się waszmościom podoba — odrzekł Wołodyjowski — można mu będzie pięty przypalić. Mam ja wachmistrza, który Azję Tuhaj-bejowicza oprawiał i który w tych rzeczach jest exquisilissimus, ale, moim zdaniem, janczar prawdę we wszystkim mówi; przeprawa wnet się rozpocznie, której przeszkodzić nie zdołamy, ba, choćby nas było sto razy więcej! Przeto nie pozostaje nam nic innego, jak się zabierać i do Kamieńca z gotową wieścią jechać.

— Tak mi dobrze pod Żwańcem poszło, że rad bym się w zameczku zawrzeć — rzekł pan podkomorzy — bylem miał pewność, że mi waszmość od czasu do czasu na pomoc z Kamieńca wyskoczysz. Niechby potem było, co ma być!

— Mają dwieście dział — odrzekł Wołodyjowski — a gdy dwie ciężkie armaty przeprawią, zamek ów dnia jednego nie wytrzyma. Sam chciałem się w nim zawrzeć, ale teraz, gdym go opatrzył, widzę, że to na nic.

Inni przyłączyli się do zdania małego rycerza. Pan Lanckoroński upierał się jeszcze czas jakiś dla fantazji, że w Żwańcu zostanie, ale zbyt był doświadczonym żołnierzem, aby nie przyznać słuszności Wołodyjowskiemu. Wreszcie rozmysły jego przeciął pan Wasilkowski, który przybywszy z pola, wpadł spiesznie do zamku.

— Mości panowie — rzekł — rzeki nie widać, bo cały Dniestr pod tratwami.

— Przeprawiają się? — spytali wszyscy razem.

— Jako żywo! Turcy na tratwach, a czambuły w bród za ogonami.

Pan Lanckoroński nie wahał się już dłużej, jeno natychmiast kazał topić stare haubice zamkowe; rzeczy zaś, co się dało, kryć lub wywozić do Kamieńca. Wołodyjowski zaś skoczył na koń i ruszył na czele swych ludzi patrzyć z dalekiej wyniosłości na przeprawę.

Halil i Murad baszowie przeprawiali się rzeczywiście. Jak okiem sięgnąć, widać było promy i tratwy, których wiosła tłukły miarowym ruchem jasną wodę. Jechali janczarowie i spahisy od razu w wielkiej liczbie, bo statki przewozowe przygotowywano od dawna już w Chocimiu. Prócz tego stały nad brzegiem opodal wielkie masy wojsk. Wołodyjowski przypuszczał, iż rozpoczynają budowę mostu. Jednakże sułtan nie ruszył jeszcze głównej potęgi. Tymczasem nadjechał pan Lanckoroński ze swymi ludźmi i obaj z małym rycerzem ruszyli do Kamieńca. W mieście oczekiwał ich pan Potocki. W kwaterze jego pełno było wyższych oficerów, a przed kwaterą stały tłumy obojej płci, niespokojne, stroskane, ciekawe.

— Nieprzyjaciel przeprawia się i Żwaniec zajęty! — rzekł mały rycerz.

— Roboty ukończone i czekamy! — odrzekł pan Potocki.

Wieść dostała się do tłumów, które poczęły szumieć jak fala.

— Do bram! Do bram! — wołano po mieście — nieprzyjaciel w Żwańcu!

Mieszczanie i mieszczanki biegli na rondele forteczne w mniemaniu, że z nich dojrzą nieprzyjaciela, ale żołnierze nie chcieli ich puszczać na miejsca pod służbę przeznaczone.

— Idźcie do domów! — wołali do tłumów — będziecieli przeszkadzać obronie, to żony wasze wprędce Turków z bliska obaczą!

Zresztą nie było trwogi w grodzie, bo go już obiegła wieść o dzisiejszym zwycięstwie, i naturalnie wieść przesadzana. Do przesady przyczyniali się i żołnierze opowiadając dziwy o spotkaniu.

— Pan Wołodyjowski rozbił janczarów, samą gwardię sułtańską — powtarzały wszystkie usta. — Nie poganom mierzyć się z panem Wołodyjowskim! Samego baszę usiekł. Nie tak diabeł straszny, jak go malują! A przecie naszemu wojsku nie dotrzymali! Dobrze wam, psubraty! Na pohybel wam i waszemu sułtanowi!

Mieszczanki raz jeszcze ukazały się przy szańcach, przy basztach i rondelach, ale obładowane flaszkami gorzałki, wina i miodu.

Tym razem przyjęto je chętnie i ochota rozpoczęła się między żołnierstwem. Pan Potocki nie przeciwił się jej, chcąc utrzymać w żołnierzach ducha i wesołość, ponieważ

zaś amunicji była w mieście i zamku obfitość nieprzebrana, pozwolił i salwy dawać, w nadziei, że owe odgłosy radości niemało skonfundują nieprzyjaciela, jeżeli je usłyszy.

Tymczasem pan Wołodyjowski, doczekawszy zmierzchu w kwaterze generała podolskiego, siadł na koń i chyłkiem przemykał się w towarzystwie czeladnika ku klasztorowi, chcąc jako najprędzej znaleźć się przy żonie. Ale na nic przydały się przebiegi. Poznano go i wnet liczne tłumy otoczyły jego konia. Rozpoczęły się okrzyki i wiwaty. Matki podnosiły ku niemu dzieci.

— Ów to jest! Patrzcie i pamiętajcie! — powtarzały liczne głosy.

Podziwiano go więc niezmiernie, ale najbardziej zdumiewała ludzi nieświadomych wojny jego drobna postawa. W głowie się to nie mogło pomieścić łyczkom, jakim sposobem człowiek tak mały, z tak wesołą i łagodną twarzą, mógł być najstraszniejszym żołnierzem Rzeczypospolitej, z którym nikt nie mógł się mierzyć. On zaś jechał wśród tłumów, od czasu do czasu poruszał żółtymi wąsikami i uśmiechał się, bo jednak był kontent. Przyjechawszy wreszcie do klasztoru wpadł w otwarte ramiona Baśki.

Wiedziała ona już o jego czynach dzisiejszych i o wszystkich mistrzowskich cięciach, bo przed chwilą był u niej pan podkomorzy podolski i jako naoczny świadek, zdał jej obszerną relację.

Baśka zaraz z początku opowiadania zwołała obecne w klasztorze niewiasty, więc pannę ksienię Potocką, panią Makowiecką, Humiecką, Ketlingową, Chocimirską, Boguszową, i w miarę jak pan podkomorzy opowiadał, poczęła wobec nich puszyć się niezmiernie. Wołodyjowski nadszedł właśnie w chwilę po rozejściu się niewiast.

Za czym, kiedy się nasycili powitaniem, siadł strudzony mały rycerz do wieczerzy. Baśka zaś, siadłszy koło niego, sama nakładała mu jadło na talerze i dolewała miodu do kubka. Ów jadł i pił chętnie, bo przez cały dzień nic prawie nie miał w ustach. W przerwach opowiadał też nieco, a Baśka, słuchając z roziskrzonymi oczyma, potrząsała wedle zwyczaju głową, dopytując:

— Acha! No i co? No i co?

— Silne bywają między nimi chłopy i srogie okrutnie, ale na Turka fechmistrza trudno trafić — mówił mały rycerz.

— To i ja mogłabym się z każdym zmierzyć?

— Jako żywo! Jeno się nie zmierzysz, bo cię nie wezmę!...

— Żeby choć jednego w życiu! Wiesz, Michałku, jak ty idziesz za mury, to ja nawet nie jestem niespokojna. Ja wiem, że ciebie nikt nie dosięże...

— Albo to nie mogą mię ustrzelić?

— Cicho bądź, albo to nie ma Pana Boga? Usiec się nie dasz, to grunt!

— Jednemu ni dwom się nie dam.

— Ni trzem, Michałku, ni czterem!

— Ni czterem tysiącom! — rzekł przedrzeźniając Zagłoba. — Żebyś wiedział, Michale, co ona wyrabiała w czasie opowiadania pana podkomorzego! Myślałem, że ze śmiechu się rozpuknę. Jak mi Bóg miły! Nosem to tak ci fyrkała jak koza, a patrzyła w twarz każdej babie po kolei, czy należycie się delektuje. W końcu jużem się zląkł, że kozły zacznie machać, któren widok nie byłby zbyt polityczny.

Mały rycerz przeciągnął się trochę po jedzeniu, bo był znacznie utrudzon, nagle przygarnął żonę do się i rzekł:

— Moja kwatera na zamku już gotowa, ale tak się nie chce wracać!... Baśka, chyba że już tu ostanę?...

— Jak wolisz, Michałku! — odpowiedziała spuszczając oczy Basia.

— Ha! — zawołał Zagłoba — Już mię za grzyba, nie za męża tu uważają, bo mi ksieni pozwala mieszkać w klasztorze. No, ale zapłacze ona na to, moja w tym głowa! Uważaliście, jak pani Chocimirska na mnie mruga?... Wdówka jest... dobrze!... Nic więcej nie powiem!

— Dalibóg, że chyba ostanę! — rzekł mały rycerz.

Na to Basia:

— Byleś się wywczasował dobrze!

— Czemu się nie ma wywczasować? — pytał Zagłoba.

— Bo będziem gadali, gadali, gadali!

A pan Zagłoba począł szukać czapki, aby też pójść na spoczynek, wreszcie znalazłszy ją, nałożył na głowę i odrzekł:

— Nie będziecie gadali, gadali, gadali!

I wyszedł.

Rozdział LII

Nazajutrz skoro świt pojechał mały rycerz pod Kniachin, gdzie ze spahisami się potykał i Bułuk-baszę, znacznego między Turkami wojownika, pochwycił. Dzień cały zeszedł mu w pracy, w polu, część nocy na naradzie u pana Potockiego i dopiero o pierwszych kurach strudzoną głowę nieco do snu przyłożył. Ledwie jednak usnął smacznie a

głęboko, gdy zbudził go huk dział. Jednocześnie czeladnik Piętka, Żmudzin, wierny Wołodyjowskiego sługa i prawie przyjaciel, wszedł do izby.

— Jegomość! — zawołał — Nieprzyjaciel pod miastem!...

Zerwał się na równe nogi mały rycerz.

— A jakie działa słychać?

— Nasi poganów płoszą. Jest znaczny podjazd, który bydło z pola zabiera.

— Janczaryli czy jazda?

— Jazda, panie. Sami czarni. Krzyżem świętym ich płoszą, bo kto wie, czy nie diabli?

— Diabli czy nie diabli, a trzeba nam ku nim — odrzekł mały rycerz. — Ty pójdziesz do pani i oznajmisz, żem w polu. Jeśliby chciała do zamku przyjść patrzyć, to może, byle z panem Zagłobą, gdyż na jego przezorność najbardziej liczę.

I w pół godziny potem wypadł pan Wołodyjowski w pole na czele dragonów i ochotników szlachty, którzy liczyli, iż na harcach można się będzie popisać. Ze starego zamku widać było doskonale kawalerię nieprzyjacielską w liczbie około dwóch tysięcy, złożoną w części ze spahisów, przeważnie zaś z egipskiej gwardii sułtańskiej. W tej ostatniej służyli możni i wielkoduszni mamelukowie znad Nilu. Błyszczące ich karaceny, jaskrawe, złotem tkane kefie na głowach, białe burnusy i broń sadzona klejnotami czyniły z nich najświetniejszą jazdę w świecie. Zbrojni byli w dziryty osadzone na kolankowych trzcinach, w bardzo krzywe bułaty i noże. Siedząc na koniach jak wiatr ścigłych przelatywali na kształt tęczowego obłoku pole, wyjąc i kręcąc między palcami zabójcze włócznie. Widokiem ich nie mogli się z zamku nasycić.

Lecz pan Wołodyjowski sunął ku nim z jazdą. Trudno jednak było jednym i drugim zewrzeć się ze sobą w bitwie na białą broń, albowiem armaty zamkowe powstrzymywały Turków; ci zaś zbyt byli liczni, aby mały rycerz mógł skoczyć ku nim i rozprawić się z nimi poza doniosłością swoich dział. Czas więc jakiś jedni i drudzy kręcili się z daleka, wytrząsając na się bronią i krzycząc gromko. Wreszcie jednak ognistym synom pustyń sprzykrzyły się widocznie próżne przegrażania, bo nagle pojedynczy jeźdźcy zaczęli się odrywać od masy i przybliżać wyzywając głosem przeciwników. Wnet rozproszyli się po polu i migotali na nim na kształt kwiatów, które wiatr żenie w różne strony. Wołodyjowski spojrzał po swoich:

— Mości panowie! Zapraszają nas! A kto na harcownika?

Skoczył pierwszy ognisty kawaler pan Wasilkowski, za nim pan Muszalski, łucznik niechybny, ale i w ręcznym spotkaniu harcownik wyborny, za nimi sunął pan Miazga herbu Prus, który w całym pędzie konia umiał włócznią pierścień przenizać; za panem

Miazgą skoczył pan Topór-Paderewski i pan Oziewicz, i pan Szmłud-Płocki, i kniaź Owsiany, i pan Markos-Szeluta, i kilkunastu innych dobrych kawalerów, a zaś dragonów poszła również kupka, bo ich nadzieja bogatego łupu nęciła, głównie zaś bezcenne konie Arabów. Na czele dragonów jechał srogi Luśnia i przygryzając płowy wąs, z dala już sobie najbogatszego wypatrywał.

Dzień był piękny, widać ich było doskonale. Działa na wałach milkły kolejno, a nareszcie wszystkie umilkły, gdyż puszkarze bali się kogoś ze swoich obrazić, przy tym woleli także patrzyć na bitwę niż strzelać do rozproszonych harcowników. Owi zaś jechali ku sobie krokiem, nie spiesząc się, potem rysią, i nie w linii, ale w rozproszeniu, jak któremu było dogodniej. Na koniec przyjechawszy blisko jedni ku drugim, zatrzymali konie i poczęli się lżyć wzajem dla rozbudzenia w sercach gniewu i męstwa.

— Nie utyjecie nami, psy pogańskie! — wołali polscy harcownicy. — Sam tu! Nie ochroni was wasz prorok bezecny!

Tamci zaś krzyczeli po turecku i po arabsku. Wielu między polskimi harcownikami rozumiało oba języki, bo wielu, za przykładem przesławnego łucznika, ciężką odbyło niewolę, więc że poganie szczególniej hardo Najświętszej Pannie bluźnili, wnet gniew począł podnosić włosy na głowach sług Marii i ruszyli końmi, chcąc pomścić zniewagę jej imienia.

Któż tam kogo naprzód dosięgnął i miłego życia pozbawił? Oto pan Muszalski poraził naprzód strzałą młodego beja w purpurowej kefii na głowie i w srebrnej jak światło miesiąca karacenie. Bolesny grot pod lewym mu okiem utkwił i do pół brzechwy wbił się w głowę, a on przegiąwszy w tył urodziwą twarz i rozłożywszy ręce leciał z konia. Lecz łucznik, łuk pod udo schroniwszy skoczył ku niemu i szablą go jeszcze przeszył, po czym broń mu wyborną zabrawszy, konia jego pognał płazem ku swoim, sam zaś począł wołać po arabsku:

— Bogdaj to był sułtana syn! Zgniłby tutaj, nim kindię ostatnią zagracie!

Usłyszawszy to Turcy i Egipcjanie zmartwili się okropnie i zaraz dwóch bejów skoczyło ku panu Muszalskiemu, lecz z ukosa zabiegł im drogę Luśnia, do wilka srogością podobny, i w mgnieniu oka ukąsił jednego na śmierć. Naprzód zaciął go w rękę, a gdy ów się pochylił za wyłuskwioną szablą, strasznym cięciem w kark prawie zupełnie odczepił mu głowę. Drugi to widząc zwrócił szybkiego jak wicher konia do ucieczki, ale tymczasem pan Muszalski znów łuk spod uda wydobyć zdołał i posłał za uciekającym strzałę, ta zaś doścignęła go w biegu i wbiła mu się prawie po bełt między łopatki.

Trzeci zaś pokonał swego przeciwnika pan Szmłud-Płocki nadziakiem ostrym go po misiurce uderzywszy. Puściło od ciosu srebro i aksamit, którym blacha była podszyta, a zakrzywiony koniec nadziaka utkwił w kości tak silnie, że pan Szmłud-Płocki czas jakiś wydobyć go wcale nie mógł. Inni walczyli z rozmaitym szczęściem, jednak zwycięstwo było po większej części po stronie biegłej w szermierce szlachty. Legło natomiast dwóch dragonów z ręki potężnego Hamdi-beja, któren następnie kniazia Owsianego krzywym bułatem przez pysk chlastnął i rozciągnął na ziemi. Kniaź ziemię rodzinną krwią swoją kniaziowską polewał. Hamdi zaś zwrócił się ku panu Szelucie, któremu koń nogą w dziurę skrzeczkową zapadł. Pan Szeluta, widząc śmierć nieuchronną, zeskoczył z konia pragnąc się na piechotę ze strasznym jeźdźcem spotkać. Lecz Hamdi przewrócił go piersiami końskimi i upadającego — samym końcem bułata w ramię dosięgnął. Owemu ręka natychmiast zwisła, bej zaś skoczył dalej w pole szukając przeciwników.

Lecz wielu nie starczyło serca, by się z nim zmierzyć, tak bardzo i widocznie potęgą nad wszystkimi górował. Wiatr podnosił mu biały burnus na plecach i rozwijał go na kształt skrzydeł drapieżnego ptaka, pozłocista karacena rzucała złowrogi blask na jego twarz, całkiem niemal czarną, o oczach dzikich i świecących, a krzywa szabla błyszczała nad jego głową, właśnie jak błyszczy sierp księżyca w noc pogodną.

Przesławny łucznik dwie już nań strzały wypuścił, lecz obie zadźwięczały tylko jękliwie na karacenie i zesunęły się bezsilnie na trawę; więc na dwoje począł ważyć myśli pan Muszalski: czy trzecią jeszcze strzałę w szyję dzianeta wypuści, czy z szablą na beja natrze? Lecz gdy tak rozważał, ów dostrzegł go i pierwszy wypuścił nań swego czarnego źrebca.

Obaj natarli na się w środku pola. Chciał pan Muszalski siłą swą wielką się popisać i żywcem Hamdiego pochwycić, więc podbiwszy mu silnym cięciem od dołu bułat w górę, sczepił się z nim, jedną ręką pochwycił go za gardło, drugą za ostrze misiurki i ciągnął potężnie ku sobie. Wtem pękł mu popręg u terlicy, więc niezrównany łucznik przekręcił się z nią razem i zwalił się na ziemię. Upadającego zaś Hamdi uderzył rękojeścią bułata w głowę i ogłuszył na miejscu. Zakrzyknęli z radością spahisy i mamelukowie, którzy już byli o Hamdiego się zlękli: bardzo się zmartwili Polacy, po czym zapaśnicy skoczyli ku sobie gęstymi kupami, jedni, aby łucznika porwać, drudzy, aby choć ciało jego obronić.

Mały rycerz nie brał dotąd w harcach udziału, bo mu na to nie pozwalała jego pułkownikowska powaga, lecz widząc upadek pana Muszalskiego i przewagi groźnego

Hamdi-beja, postanowił pomścić łucznika, a zarazem swoim serca dodać. Ożywion tą myślą, wspiął ostrogami konia i sunął ukosem w pole tak szybko, jak sunie krogulec ku stadu siewek kręcących się nad rżyskiem. Dostrzegła go przez perspektywę Baśka, stojąca na blankach starego zamku, i krzyknęła zaraz do stojącego obok pana Zagłoby:

— Michał leci! Michał leci!

— Tu go poznasz! — zawołał stary wojownik — patrz pilnie, patrz, gdzie naprzód uderzy! Nie bój się!

Perspektywa trzęsła się w ręku Basi. Ponieważ nie strzelano już w polu ni z łuków, ni z janczarek, więc niezbyt trwożyła się o życie męża, ale ogarnął ją zapał, ciekawość i niepokój. Dusza i serce wyszły z niej w tej chwili i leciały za mężem. Pierś jej poczęła oddychać szybko, jasne rumieńce oblały twarz. W jednej chwili przechyliła się przez blanki tak, iż Zagłoba musiał ją chwycić w pół w obawie, by nie spadła w fosę — i krzyknęła:

— Dwóch leci na Michała!

— Dwóch będzie mniej! — odpowiedział pan Zagłoba.

Istotnie dwóch rosłych spahów wysforowało się przeciw małemu rycerzowi. Sądząc ze stroju, poznali, że to ktoś znaczniejszy, a widząc drobną postać jeźdźca, sądzili, że tanio sławę uzyszczą. Głupi! Lecieli na oczywistą śmierć, gdy bowiem zwarli się opodal innych jeźdźców, mały rycerz nawet konia nie powstrzymał, ale mimochodem rozdał między nich dwa uderzenia na pozór tak lekkie, jak gdyby matka rozdała mimochodem dzieciom po szturchańcu, a owi padli na ziemię i wpiwszy się w nią palcami, poczęli drgać jak para rysiów, których śmiertelne strzały jednocześnie dosięgną.

Mały rycerz zaś poleciał dalej, ku jeźdźcom wichrzącym się po polu, i począł szerzyć klęski okropne. Jak gdy po ukończonej mszy wejdzie chłopiec i blaszaną pokrywką, osadzoną na kiju, gasi jedną po drugiej palące się przed ołtarzem świece, a ołtarz w cień się pogrąża — tak i on gasił na prawo i lewo świetnych tureckich i egipskich jeźdźców, ci zaś pogrążali się w mrok śmierci. Poznali poganie mistrza nad mistrzami i omdlały w nich serca. Ten i ów zdarł konia, by ze strasznym mężem się nie spotkać; mały rycerz zaś rzucał się za uciekającymi na kształt zjadliwego szerszenia i coraz to innego jeźdźca żądłem przeszywał.

Żołnierze od armaty zamkowej poczęli krzyczeć radośnie na ów widok. Niektórzy biegli do Basi i uniesieni zapałem, całowali kraj jej sukni, inni urągali Turkom.

— Baśka, hamuj się! — wołał co chwila pan Zagłoba trzymając ciągle wpół panią Wołodyjowską, pani Wołodyjowska zaś miała ochotę i śmiać się, i płakać, i w ręce klaskać, i krzyczeć, i patrzyć, i lecieć za mężem w pole.

Ów dalej porywał spahów i egipskich bejów, aż wreszcie wołania: „Hamdi! Hamdi!” — rozległy się po całym polu. To wyznawcy proroka przywoływali wielkimi głosami najtęższego ze swych wojowników, aby nareszcie zmierzył się z tym straszliwym małym jeźdźcem, który zdawał się być śmiercią wcieloną.

Hamdi dostrzegł już małego rycerza od dawna, ale widząc jego czyny, zląkł się po prostu w pierwszej chwili. Strach mu było postawić na raz sławę wielką i młode życie przeciw tak złowrogiemu przeciwnikowi, więc umyślnie udał, że go nie widzi, i na drugim krańcu pola krążyć począł. Tam porwał właśnie pana Jałbrzyka i pana Kosa, gdy desperackie wołania: „Hamdi! Hamdi!” — obiły się o jego uszy. Poznał wówczas, że dłużej kryć się niepodobna i że trzeba albo sławę niezmierną uzyskać, albo głową nałożyć. W tej chwili wydał krzyk tak przeraźliwy, że wszystkie wiszary ozwały mu się echem, i wypuścił ku małemu rycerzowi podobnego do wichru konia.

Wołodyjowski dojrzał go z dala i ścisnął również piętami swego gniadego Wołoszyna. Inni zawiesili orężną rozprawę. Na zamku Basia, która poprzednio widziała wszystkie przewagi groźnego Hamdi-beja, mimo całej ślepej wiary w niezwyciężoną szermierkę małego rycerza, przybladła nieco, lecz pan Zagłoba był zupełnie spokojny.

— Wolałbym być spadkobiercą tego poganina niźli nim samym — rzekł sentencjonalnie do Basi.

Piętka zaś, powolny Żmudzin, tak był pewien swego pana, że najmniejsza troska nie zasępiła jego oblicza, owszem, ujrzawszy pędzącego Hamdiego począł sobie śpiewać narodową piosenkę:

Oj ty durna, durna piesa,
Szak to idzie wiłka z lesa,
Czemu jemu zagibujesz,
Kiedy jemu nie zdołujesz?

Tamci zaś zwarli się w środku pola, wśród dwóch z dala patrzących szeregów. Serca wszystkim zamarły na chwilę. Wtem błyskawica wężowa mignęła w jasnym słońcu nad głowami walczących: to krzywy bułat wyleciał, jakby podbita cięciwą strzała, z rąk Hamdiego, ten zaś pochylił się w kulbace, jakby już ostrzem przeszyty, i zamknął oczy, lecz pan Wołodyjowski ucapił go lewą ręką za kark i przyłożywszy mu sztych rapiera do pachy, pognał ku swoim. Hamdi oporu nie stawiał, owszem, sam piętami konia

poganiał, bo czuł ostrze między pachą a karaceną — i jechał jak ogłuszony, ręce tylko zwisły mu bezwładnie, a z oczu poczęły płynąć łzy. Wołodyjowski oddał go srogiemu Luśni, sam zaś nawrócił ku polu.

Lecz w drużynach tureckich ozwały się trąby i piszczałki; był to znak dla harcowników, że czas ściągać się z pola do kupy, więc poczęli pomykać ku swoim, unosząc w sercach wstyd, frasunek i wspomnienie straszliwego jeźdźca.

— Szejtan to był! — mówili między sobą spahisy i mamelukowie. — Kto się z nim zetrze, temu śmierć przeznaczona! Szejtan, nikt inny!

Harcownicy polscy postali jeszcze chwilę, aby okazać, iż odzierżyli pole, za czym wydawszy po trzykroć okrzyk zwycięstwa, cofnęli się pod zasłoną dział, z których pan Potocki na nowo bić kazał. Lecz i Turcy poczęli całkiem ustępować. Czas jakiś migały jeszcze w słońcu ich burnusy, barwne kefie i błyszczące misiurki, po czym przesłonił ich błękit. Na pobojowisku zostali tylko pocięci mieczami Turcy i Polacy. Wyszła z zamku czeladź, by zebrać i pogrześć swoich. Potem przyleciały kruki, by się pogrzebem pogan zająć, ale niedługa była ich stypa, bo jeszcze tego wieczora spłoszyły ich nowe zastępy proroka.

Rozdział LIII

Następnego dnia przyjechał pod Kamieniec sam wezyr na czele licznego wojska spahisów, janczarów i pospolitego ruszenia z Azji. Zrazu, sądząc po wielkiej liczbie sił, mniemano, że szturm przypuści, lecz jemu chodziło tylko o zlustrowanie murów. Przybyli z nim inżynierowie oglądali fortecę i nasypy ziemne. Naprzeciw wezyrowi wyszedł tym razem pan Myśliszewski z piechotą i oddziałem konnych ochotników. Zwodzono znów harce — i dla oblężonych pomyślnie, lecz nie tako świetnie jak dnia zeszłego. Wreszcie wezyr rozkazał janczarom ruszyć na próbę pod mury. Huk dział wstrząsnął zaraz miastem i zamkami. Janczarowie, podszedłszy pod kwaterę pana Podczaskiego, naraz z wielkim wrzaskiem wszyscy dali ognia, ale że i pan Podczaski odpowiedział natychmiast z góry bardzo celnymi strzałami i była obawa, że jazda może zajechać w bok janczarom, przeto ci nie zwłócząc ruszyli drogą żwaniecką i wrócili do głównego wojska.

Wieczorem przekradł się do miasta Czech pewien, który u janczar-agi był pajukiem i zbiegł po otrzymanych kijach w pięty. Dowiedziano się od niego, iż nieprzyjaciel obwarował się już w Żwańcu i zajął rozległe pola od wsi Dłużka. Wypytywano troskliwie

zbiega, jakie też jest powszechne mniemanie między Turkami: czy Kamieniec zdobędą, czy nie? Ów odpowiedział, że duch w wojsku panuje dobry, a wróżby były pomyślne. Przed paru dniami przed sułtańskim namiotem podniósł się nagle z ziemi jakoby słup dymu, cienki u dołu, a rozszerzający się na kształt olbrzymiej kiści ku górze. Muftowie wytłumaczyli, że zjawisko owo oznacza, iż sława padyszacha niebios dosięgnie i że on właśnie będzie tym władcą, który skruszy nie zdobytą dotąd kamieniecką zaporę. Podniosło to wielce serca w wojsku. Turcy (mówił dalej zbieg) obawiają się pana hetmana Sobieskiego i odsieczy, z dawna bowiem została u nich pamięć o niebezpieczeństwie mierzenia się w otwartym polu z wojskami Rzeczypospolitej — i chętniej gotowi się potykać z Wenecjanami, z Węgrami lub jakimkolwiek innym narodem. Lecz że mają wiadomości, iż wojsk w Rzeczypospolitej nie masz, przeto tuszą powszechnie, że Kamieniec, choć nie bez trudu, zdobędą. Czarny Mustafa, kajmakan, radził wprost szturmem na mury uderzyć, lecz roztropniejszy wezyr woli regularnymi robotami miasto otoczyć i zasypać pociskami z dział. Sułtan, po pierwszych utarczkach, przechylił się do zdania wezyra, dlatego należy się spodziewać regularnego oblężenia.

Tak mówił zbieg. Słuchając tych wiadomości zmartwił się wielce pan Potocki i ksiądz biskup, i pan podkomorzy podolski, i pan Wołodyjowski, i wszyscy inni starsi oficerowie. Liczyli oni bowiem na szturmy i spodziewali się, że przy obronności miejsca zdołają je z wielkimi stratami dla nieprzyjaciela odeprzeć. Otóż wiadomo im było z doświadczenia, że przy szturmach oblegający ponoszą straty niezmierne, że każdy odbity atak wątli w nich ducha i dodaje odwagi oblężonym. Równie jak zbarascy rycerze zakochali się wreszcie w oporze, w bitwach, wycieczkach, tak mogli nabrać zamiłowania do boju i mieszczanie kamienieccy, zwłaszcza gdyby każdy zamach turecki kończył się klęską Turków, zwycięstwem kamieńczan. Natomiast regularne oblężenie, w którym kopanie aproszów, min i zaciąganie dział na pozycje wszystko znaczy, mogło tylko znużyć oblężonych, zwątlić ich ducha i skłonnymi do układów ich uczynić. Trudno zaś było liczyć na wycieczki, bo nie godziło się ogałacać murów z żołnierzy, czeladź zaś lub łyczkowie, wyprowadzeni za mury, z trudem zdołaliby zdzierżyć janczarom.

Rozważając to wszystko starsi oficerowie bardzo się pomartwili i szczęśliwy rezultat obrony mniej prawdopodobnym im się wydał. Jakoż i był mało prawdopodobny nie tylko ze względu na siły tureckie, ale i ze względu na nich samych. Pan Wołodyjowski był to żołnierz niezrównany i przesławny, ale nie miał w sobie majestatu wielkości. Kto w sobie słońce nosi, ten zdoła od razu wszystkich rozgrzać, kto zaś jest płomieniem, choćby najgorętszym, ten rozgrzewa tylko najbliższych. Tak było z małym rycerzem.

Nie umiał on i nie mógł przelać w innych swego ducha, tak samo jak swej biegłości w szermierce. Pan Potocki, wódz naczelny, nie był wojownikiem, a przy tym brakło mu wiary w siebie, w drugich i Rzeczpospolitę. Ksiądz biskup liczył głównie na układy; brat jego miał ciężką rękę, ale i umysł nie lżejszy. Odsiecz była niepodobną, bo hetman, pan Sobieski, choć był wielkim, był naówczas bezsilnym. Bezsilnym był również król, bezsilną cała Rzeczpospolita.

Dnia 16 sierpnia nadciągnął chan z ordą i Doroszeńko ze swymi Kozaki. Obaj zalegli ogromną przestrzeń na polach od Orynina. Sufankaz-aga wezwał tegoż dnia pana Myśliszewskiego na rozmowę i radził, by się miasto poddało, bo jeśli to bez zwłoki uczyni, może uzyskać kondycje tak łaskawe, o jakich w dziejach oblężeń nie słyszano. Ksiądz biskup ciekawy był dowiedzieć się o tych łaskach, lecz zakrzyknięto na niego w radzie i posłano odpowiedź odmowną.

Dnia 18 sierpnia poczęli nadciągać Turcy, a z nimi sam cesarz. Szli jako morze niezmierzone. Piechota polachska, janczary, spahy. Każdy pasza prowadził wojska swego paszaliku: więc szli mieszkance Europy, Azji, Afryki. Za nimi ciągnął tabor olbrzymi z ładownymi wozami zaprzężonymi w muły i bawoły. Mrowie to stubarwne w rozlicznych zbrojach i ubiorach ciągnęło się bez końca. Od świtu do nocy, bez przestanku, wchodzili, przenosili się z miejsca na miejsce, rozstawiali wojska, kręcili się po polach, ustawiali namioty, które taką przestrzeń zaległy, że z wież i najwyższych miejsc Kamieńca wcale nie było można dojrzeć wolnego od płócien pola. Ludziom zdało się, że śniegi spadły i całą okolicę pokryły. Rozstawianie taboru odbywało się przy huku strzelb, albowiem zasłaniający tę robotę oddział janczarów nie przestawał ku murom strzelać; z murów zaś odpowiadano nieustającym ogniem działowym. Grzmiało echo po skałach, dymy unosiły się ku górze i zakryły błękit niebieski. Do wieczora Kamieniec był tak zamknięty, że chyba jedne gołębie mogły się zeń wydostać. Ogień ucichł dopiero, gdy pierwsze gwiazdy błysnęły na niebie.

Przez kilka następnych dni ogień z murów i do murów trwał ciągle z wielką dla oblegających szkodą; skoro tylko większa kupa janczarów zebrała się na doniosłość strzału, wnet biały dym wykwitał na murze, kule padały między janczarów, oni zaś rozpraszali się jako stado wróbli, gdy ktoś z guldynki przygarść drobnego śrutu między nie wypuści. Turcy przy tym nie wiedząc widocznie, iż na obu zamkach i w samym mieście są dalekonośne działa, porozbijali zbyt blisko namioty. Za radą małego rycerza pozwolono im to uczynić — i dopiero gdy z nadejściem chwili spoczynku żołnierze chroniąc się przed upałem napełnili ich wnętrza, mury ozwały się nieustającym

grzmotem. Powstał popłoch: kule rozrywały płótna i drągi, raziły żołnierzy, rozrzucały ostre okruchy skał. Janczarowie cofali się w zamieszaniu i nieładzie, krzycząc wielkimi głosami, i w ucieczce przewracali dalsze namioty, roznosząc wszędy trwogę. Na tak pomieszanych wypadł pan Wołodyjowski z jazdą i siekł, póki potężne hufy jazdy nie przyszły im w pomoc. Ketling kierował głównie tym ogniem, a obok niego lacki wójt Cyprian największych naczynił między pogany spustoszeń. Sam on pochylał się nad każdym działem, sam lont przykładał; następnie przykrywszy oczy ręką, patrzył na skutek strzału i radował się w sercu, że tak pożytecznie pracuje.

Lecz i Turcy kopali aprosze, sypali szańce i zaciągali na nie ciężkie działa. Zanim jednak bić z nich poczęli, podjechał pod wały poseł turecki i zatknąwszy na trzcinową dzidę pismo cesarskie, ukazał je oblężonym. Wysłani dragoni porwali natychmiast czausza i przywiedli go na zamek. Cesarz wzywał miasto do poddania, wynosząc pod niebiosa swoją potęgę i łaskawość.

„Wojsko moje (pisał) może być z liśćmi na drzewie i z piaskiem nadmorskim porównane. Spojrzyjcie nocą w niebo i gdy ujrzycie gwiazdy nieprzeliczone, tedy wzbudźcie strach w sercach i powiedzcie jeden drugiemu: Oto jest potęga wiernych! Ale iżem jest nad inne króle król łaskawy i wnuk prawdziwego Boga, przeto od Boga swoje sprawy poczynam. Wiedzcie, iż człeka hardego nienawidzę, wy tedy, nie sprzeciwiając się woli mojej, miasto wasze poddajcie. Chcecieli ze mną uporem iść, wszyscy pod mieczem zginiecie, a przeciw mnie żaden głos ludzki wznieść się nie ośmieli”.

Namyślano się długo, jaki dać na owo pismo respons i odrzucono niepolityczną radę pana Zagłoby, aby psu ogon uciąć i takowy w odpowiedzi odesłać. Wysłano wreszcie sprawnego człeka Jurycę, umiejącego dobrze język turecki, z listem, który brzmiał, jak następuje:

„Cesarza gniewać nie chcemy, ale i słuchać go nie mamy obowiązku, bośmy nie jemu, jeno naszemu panu przysięgali. Kamieńca nie damy, gdyż nas przysięga wiąże twierdzy i kościołów do śmierci bronić”.

Po tej odpowiedzi rozeszli się oficerowie na mury, z czego skorzystał ksiądz biskup Lanckoroński i pan generał podolski i nowy list do sułtana wysłali prosząc go o armistycjum na cztery tygodnie. Gdy wieść o tym rozeszła się po bramach, począł się huk i trzaskanie szablami.

— A wierę — powtarzał ten i ów — to my tu przy działach gorzejem, a tam, za naszymi plecami, listy ślą bez naszej wiedzy, chociaż do rady należym!

I po wieczornej „kindii” oficerowie gromadnie udali się do pana jenerała mając na swym czele małego rycerza i pana Makowieckiego, obydwóch wielce tym, co się stało, strapionych.

— Jakże to? — zawołał stolnik latyczowski — zali już o poddaniu myślicie, żeście nowego posła wysłali? Czemu to stało się bez naszej wiedzy?

— Zaiste — dodał mały rycerz — skorośmy na radę zostali wezwani, bez nas listów słać się nie godzi. O poddaniu też mówić nie pozwolim; kto by zaś sobie tego życzył, ten niech się z rządu usunie!

To mówiąc, groźnie wąsikami ruszał, bo to był żołnierz niezmiernie karny i z wielką boleścią przychodziło mu odzywać się przeciw starszyźnie. Lecz że zaprzysiągł bronić zamku do śmierci, sądził, że tak mu mówić należy.

Zmieszał się pan generał podolski i odrzekł:

— Mniemałem, iż to było za ogólnym konsensem.

— Nie masz konsensu! Tu zgorzeć chcemy! — zawołało kilkanaście głosów.

Na to generał:

— Rad to słyszę, bo i mnie wiara od życia milsza, a tchórz mnie nie oblatywał nigdy i nie będzie. Ostańcie, waszmościowie, na wieczerzę, to łatwie do zgody przyjdziem...

Lecz oni pozostać nie chcieli.

— Przy bramach nasze miejsce, nie za stołem! — odparł mały rycerz.

Tymczasem nadjechał ksiądz biskup i dowiedziawszy się, o co rzecz idzie, zwrócił się zaraz do pana Makowieckiego i do małego rycerza.

— Zacni ludzie! — rzekł — każden ma w sercu to, co i wy, i o poddaniu nikt nie wspominał. Posłałem prosić o armistycjum na cztery niedziele. Napisałem tak: przez ten czas o odsiecz do naszego króla wyślemy i instrukcji się od niego doczekamy, a dalej będzie, co Bóg da.

Usłyszawszy to mały rycerz począł znowu wąsikami ruszać, ale tym razem dlatego, że porwała go jednocześnie złość i pusty śmiech nad takim pojmowaniem spraw wojennych. On, żołnierz od lat dziecinnych, uszom swoim nie wierzył, żeby ktoś proponował nieprzyjacielowi zawieszenie broni dlatego, by był czas po odsiecz posłać.

Począł więc mały rycerz spoglądać na pana Makowieckiego i innych oficerów, oni zaś spoglądali na niego.

— Żarty, nie żarty? — spytało kilka głosów.

Po czym umilkli wszyscy.

— Wasza wielebność! — rzekł wreszcie Wołodyjowski. — Odbyłem wojny tatarskie, kozackie, moskiewskie, szwedzkie, a o takich racjach nie słyszałem. Bo nie po to tu sułtan przybył, aby nam, jeno po to, aby sobie wygodzić. Jakże to on ma dać konsens na armistycjum, jeśli mu się pisze, że przez ten czas na odsiecz sobie wygodnie poczekamy?

— Jeśli się nie zgodzi, to nie będzie nic innego, jak jest! — odrzekł ksiądz biskup.

Na to Wołodyjowski:

— Kto o armistycjum błaga, ten swój strach i swoją niemoc jawnie pokazuje, a kto na odsiecz liczy, ten widać własnym siłom nie dufa. Dowiedział się teraz o tym z owego listu pies pogański i przez to szkoda stała się nieobliczona.

Zasmucił się usłyszawszy to ksiądz biskup.

— Mogłem być gdzie indziej — rzekł — a iżem nie opuścił w potrzebie mojej owczarni, przeto wymówki znoszę.

Małemu rycerzowi zaraz uczyniło się żal godnego prałata, więc pod nogi go podjął, potem zaś ucałował w rękę i odpowiedział:

— Broń mnie Bóg, abym ja tu wymówki jakowe dawał, jeno że jest consilium, więc mówię, co mi eksperiencja dyktuje.

— Co tedy czynić? Niech będzie mea culpa, ale co czynić? Jak złe naprawić? — pytał biskup.

— Jak złe naprawić? — powtórzył pan Wołodyjowski.

I zamyślił się trocha, po czym podniósł wesoło głowę.

— Ano, można! Mości panowie, proszę za sobą!

I wyszedł, za nim oficerowie. W kwadrans potem cały Kamieniec zatrząsł się od huku dział. Pan Wołodyjowski zaś wypadł z ochotnikami za mury i napadłszy na uśpionych w aproszach janczarów siekł ich, póki nie rozpędził i do taboru nie odegnał.

Po czym wrócił do pana generała, u którego zastał jeszcze księdza Lanckorońskiego.

— Wasza wielebność! — rzekł wesoło — A ot, rada!

Rozdział LIV

Po owej wycieczce noc przeszła na strzelaninie, ale dorywczej; świtaniem dano znać, że kilku Turków stoi podle zamku czekając, by przeciw nim do traktowania wysłano. Bądź co bądź, trzeba było wiedzieć, czego chcą, więc starszyzna na radzie wyznaczyła pana Makowieckiego i pana Myśliszewskiego, by się z pogany porozumieli.

W chwilę później połączył się z nimi pan Kazimierz Humiecki i poszli. Turków było trzech: Muchtar-bej, Salomi pasza ruszczucki i trzeci Kozra, tłumacz. Spotkanie nastąpiło pod gołym niebem, za bramą zamkową. Turcy na widok posłów poczęli kłaniać się przykładając zarazem końce palców do serca, ust i czoła, Polacy zaś witali ich uprzejmie, pytając, z czym by przyszli.

Na to Salomi rzekł:

— Mili! Wielka stała się krzywda panu naszemu, nad którą wszyscy sprawiedliwość miłujący płakać muszą, a za którą i sam Przedwieczny was ukarze, jeśli prędko jej nie naprawicie. Oto sami przysłaliście Jurycę, który czołem naszemu wezyrowi bił i o zawieszenie broni go prosił, potem zaś, gdyśmy ufając waszej cnocie, wychylili się zza skał i szańców, poczęliście z dział do nas bić, a wypadłszy za mury trupami wiernych usłaliście drogę aż po namioty padyszacha. Któren postępek bez kary zostać nie może, chyba że zaraz zamki i miasto poddając, żal wielki i zmartwienie, mili, okażecie.

Na to pan Makowiecki odpowiedział:

— Juryca jest pies, który instrukcje przekroczył, bo i białą chorągiew pachołkowi swemu wywiesić kazał, za co sądzony będzie. Ksiądz biskup pytał prywatnie od siebie, czyli by armistycjum stanąć mogło, ale że i wy nie przestaliście w czasie wysyłki onych listów do szańców strzelać (a ja sam świadek, bo mnie kamienie rozpryśnięte w gębę obraziły), przeto i od nas przerwy w strzelaniu nie mieliście prawa wymagać. Jeśli teraz przychodzicie z gotowym armistycjum, to dobrze, a jeśli nie, to powiedzcie, mili, panu swemu, że po staremu będziem zamków i miasta bronić, póki nie zgorzejem, albo co pewniejsza, póki wy w tych skałach nie zgorzejecie. Nic więcej nie mamy wam, mili, do powiedzenia prócz życzeń, aby Bóg pomnożył wasze dni i późnej starości dożyć wam pozwolił.

Po tej rozmowie wysłańcy rozjechali się zaraz. Turcy wrócili do wezyra, zaś panowie Makowiecki, Humiecki i Myśliszewski do zamku, gdzie obrzucono ich pytaniami, jako tych posłów odprawili. Owi opowiedzieli deklarację turecką.

— Nie przyjmiecie jej, bracia kochani — rzekł pan Kazimierz Humiecki. — Krótko mówiąc: ci psi chcą, byśmy do wieczora klucze miasta oddali.

Na to ozwały się liczne głosy powtarzając ulubione wyrażenie:

— Nie utyje nami ten pies pogański. Nie damy się, z konfuzją go odgonim! Nie chcemy!

Po takim postanowieniu rozeszli się wszyscy i zaraz strzelanina się rozpoczęła. Już Turcy zdołali pozaciągać wiele ciężkich dział na pozycje i kule ich mijając „brustwery”

jęły wpadać w miasto. Puszkarze w mieście i na zamkach pracowali w pocie czoła przez resztę dnia i całą noc. Któren poległ, nie było go kim zastąpić, brakło również i szafarzów od kul i prochu. Dopiero przed świtaniem hałasy nieco ustały.

Lecz ledwie dzień zaczął szarzeć, a na wschodzie pokazał się różowy, bramowany złotem pas jutrzenki, gdy w obu zamkach uderzono na alarm. W mieście, kto spał, ten się rozbudził, rozespane tłumy poczęły pojawiać się na ulicach, nasłuchując pilnie.

— Szturm się gotuje! — mówili jedni drugim, ukazując w stronę zamków.

— A pan Wołodyjowski tam jest? — pytały niespokojne głosy.

— Jest! Jest! — odpowiadali inni.

W zamkach zaś bito w kaplicach we dzwony, prócz tego warczenie bębnów odzywało się ze wszystkich stron. W półświcie, półmroku porannym, gdy miasto było stosunkowo ciche, brzmiały te głosy tajemniczo i uroczyście. W tejże chwili Turcy „kindię" zagrali; jedna kapela podawała dźwięki drugiej, one zaś tak biegły, jak echo, przez cały tabor niezmierny. Mrowie pogańskie poczęło się poruszać koło namiotów. Przy wstającym dniu wychylały się z pomroki spiętrzone szańce, szańczyki i aprosze, ciągnące się długą linią podle zamku. Naraz na całej tej długości ryknęły ciężkie działa tureckie, odhuknęły im gromkim echem skały Smotrycza i stał się grzmot tak okropny i straszliwy, jakby w lamusie niebieskim zapaliły się wszystkie pioruny na składzie leżące i zlatywały razem ze sklepieniem obłoków na ziemię.

Była to wielka artyleria. Miasto i zamki odpowiedziały potężnie. Wkrótce dymy przesłoniły słońce, świat i nie było widać fortyfikacji tureckich, nie było widać Kamieńca, tylko jedną szarą, olbrzymią chmurę, pełną w środku gromów i łoskotu.

Lecz działa tureckie donośniejsze były od miejskich. Wkrótce śmierć w mieście poczęła kosić. Kilka kartaunów rozbito. Z obsługi przy hakownicach po dwóch i trzech naraz ginęło. Ojcu franciszkanowi, który po szańcu chodząc, działa błogosławił, klin spod armaty oberwał nos i część gęby; przy nim dwóch Żydów, wielkich rezolutów, do rychtowania pomagających, upadło.

Lecz głównie biły działa w szaniec miejski. Pan Kazimierz Humiecki siedział tam, jako salamandra, w największym ogniu i dymie; połowa z sotni jego poległa, pozostali wszyscy niemal byli ranni. On sam zaniemówił i ogłuchł, lecz przy pomocy lackiego wójta zmusił do milczenia baterie nieprzyjacielskie, dopóty przynajmniej, dopóki na miejsce dawnych rozbitych dział nie pozaciągano nowych.

Upłynął dzień, drugi, trzeci, a owo straszliwe colloquium armat nie ustawało ani na chwilę. U Turków zmieniali się puszkarze cztery razy na dobę, lecz w mieście jedni i ci

sami musieli wytrwać bez snu, prawie bez jedzenia, na wpół uduszeni od dymu, wielu rannych od rozpryśniętych kamieni i złomków lawet. Żołnierze wytrwali, ale w mieszczanach poczęło słabnąć serce. Trzeba ich było w końcu naganiać kijami do armat, przy których zresztą gęstym padali trupem. Na szczęście wieczorem i przez noc trzeciego dnia, z czwartku na piątek, główny impet zwrócił się na zamki.

Zasypywano oba, a szczególniej stary, granatami z wielkich moździerzów, które jednak „mało co psowały, gdyż w ciemności każdy granat jest znaczny i człowiek przed nim łatwo umknąć potrafi". Dopiero nad ranem, gdy ludzi ogarnęło tak wielkie znużenie, iż ze snu walili się z nóg, poczęli ginąć dość gęsto.

Mały rycerz, Ketling, Myśliszewski i Kwasibrocki odpowiadali z zamków na ogień turecki. Pan generał podolski raz w raz do nich zaglądał i chodził wśród gradu kul frasobliwy, ale na niebezpieczeństwo niebaczący.

Wszelako ku wieczorowi, gdy ogień jeszcze się powiększył, pan Potocki zbliżył się do Wołodyjowskiego.

— Mości pułkowniku — rzekł — nie utrzymamy się tu.

— Póki poprzestają na strzelaniu — odrzekł mały rycerz — póty się utrzymamy, ale oni minami nas stąd wysadzą, bo kują.

— Zali kują istotnie? — spytał niespokojnie pan generał.

Na to Wołodyjowski:

— Siedmdziesiąt armat gra i grzmot jest prawie nieustający, ale przecie zdarzają się chwile cichości. Jak taka nadejdzie, niech jeno wasza dostojność dobrze nadstawi ucha, a usłyszy.

Na ową chwilę nie potrzebowali istotnie długo czekać, tym bardziej że wypadek przyszedł im w pomoc. Oto jedno z dział burzących tureckich pękło. Sprowadziło to pewne zamieszanie; z innych szańców posłano pytać, co się dzieje, i nastała przerwa w strzelaniu.

Wówczas pan Potocki z Wołodyjowskim zbliżyli się do samego końca jednego z zamkowych wyczółków i poczęli słuchać. Po pewnym czasie uszy ich ułowiły dosyć wyraźnie dźwiękliwe odgłosy kilofów bijących w skalną ścianę.

— Kują — rzekł pan Potocki.

— Kują — powtórzył mały rycerz.

Po czym zamilkli. Wielki niepokój pojawił się w twarzy generała; podniósł ręce i skronie dłońmi przycisnął. Widząc to Wołodyjowski rzekł:

— Zwyczajna to rzecz w każdym oblężeniu. Pod Zbarażem ryli pod nami dzień i noc.

Pan jenerał podniósł głowę.

— Co Wiśniowiecki na to robił?

— Przenosiliśmy się z obszerniejszych wałów w coraz ciaśniejsze.

— A nam co czynić przystoi?

— Nam należy działa, a z nimi co można zabrać i do starego zamku się przenieść, bo stary na takich skałach fundowan, że i minami ich nie rozsadzą. Zawszem tak mniemał, że nowy posłuży tylko na to, żeby dać pierwszy wstręt nieprzyjacielowi, potem trzeba nam go będzie samym od czoła prochami wysadzić i prawdziwa obrona pocznie się dopiero w starym.

Nastała chwila milczenia i generał pochylił znów stroskaną głowę.

— A jeśli nam i ze starego zamku przyjdzie ustąpić? Gdzie ustąpimy? — pytał złamanym głosem.

Na to wyprostował się mały rycerz, ruszył wąsikami i ukazał palcem na ziemię.

— Ja jeno tam! — rzekł.

W tej chwili działa zaryczały na nowo i całe stada granatów poczęły lecieć na zamek, ale że już mrok był na świecie, więc było je widać doskonale. Pan Wołodyjowski, pożegnawszy się z generałem, poszedł wzdłuż murów i przechodząc od jednej baterii do drugiej, wszędy zachęcał, rady dawał, wreszcie spotkawszy się z Ketlingiem rzekł:

— A co?

Ów uśmiechnął się słodko.

— Widno od granatów jak w dzień — rzekł ściskając rękę małego rycerza — nie żałują nam ognia!

— Działo im znaczne pękło. Tyś wysadził?

— Ja.

— Spać mi się chce okrutnie.

— I mnie, ale nie czas.

— Ba — rzekł Wołodyjowski — i żoniska muszą być niespokojne; na tę myśl sen odbiega.

— Modlą się za nas — rzekł Ketling wznosząc oczy ku lecącym granatom.

— Dajże Bóg zdrowie mojej i twojej!

— Między ziemiankami — począł Ketling — nie ma...

Lecz nie dokończył, bo mały rycerz, zwróciwszy się w tej chwili ku wnętrzu zamku, krzyknął nagle wielkim głosem:

— Dla Boga! Rety! Co ja widzę!

I skoczył przed siebie. Ketling obejrzał się ze zdziwieniem: o kilkanaście kroków na podwórcu zamkowym ujrzał Baśkę w kompanii pana Zagłoby i Żmudzina Piętki.

— Pod mur! Pod mur! — krzyczał mały rycerz ciągnąc ich co prędzej pod przykrycie blankowe. — Dla Boga!...

— Ha! — mówił przerywanym głosem, sapiąc, pan Zagłoba — Daj tu sobie z taką rady! Proszę, perswaduję: „Zgubisz siebie i mnie!" — klękam, nic! Miałem ją samą puścić, co?... Uf! Nic nie pomaga! Nic nie pomaga! „Pójdę i pójdę!" Masz ją!

Basia miała przestrach w twarzy i brwi jej drgały jak do płaczu. Ale nie granatów się bała, nie grzmotu kul, nie rozpryśniętych kamieni, tylko gniewu męża.

Więc ręce złożyła jak dziecko obawiające się kary i poczęła wołać łkającym głosem:

— Nie mogłam, Michałku! Jak ciebie kocham, nie mogłam! Mój Michałku, nie gniewaj się! Ja nie mogę tam siedzieć, kiedy ty tu gorzejesz, nie mogę, nie mogę!...

On zaczął się w istocie gniewać, już zakrzyknął: „Baśka, Boga się nie boisz!" — lecz nagle porwało go rozczulenie, głos mu uwiązł w gardle i dopiero gdy ta najdroższa jasna głowa spoczęła na jego piersiach, ozwał się:

— Mój ty przyjacielu wierny do śmierci, mój ty!...

I objął ją rękoma.

A tymczasem Zagłoba, wcisnąwszy się w załamanie muru, mówił pospiesznie do Ketlinga:

— I twoja chciała iść, jenośmy ją zwiedli, że nie idziemy. Jakże! W takowym stanie... jenerał artylerii ci się urodzi, szelmą jestem, jeśli nie jenerał... Ha! Na most od miasta do zamku padają granaty jak gruszki... Myślałem, że się rozpuknę... ze złości, nie ze strachu... Przewróciłem się na ostre czerepy i podarłem sobie tak skórę, że przez tydzień bez bólu nie usiędę. Zakonnice muszą mnie smarować, na modestię nie uważając... Uf! A te szelmy strzelają i strzelają, żeby ich pioruny wystrzelały!... Pan Potocki mnie komendę chce oddać... Dajcie pić żołnierzom, bo nie wytrzymają... Patrzcie na ten granat! Dalibóg! Blisko tu gdzieś padnie... Osłońcie Baśkę! Dalibóg, blisko!...

Lecz granat upadł daleko, nie blisko, bo aż na dach kaplicy luterskiej w starym zamku. Tam, że sklepienie było bardzo mocne, zniesiono amunicję, lecz pocisk przebił sklepienie i zapalił prochy. Huk potężny, silniejszy od grzmotu dział, wstrząsnął posadami obu zamków. Z blanków ozwały się głosy przerażenia — armaty i polskie, i tureckie umilkły.

Ketling porzucił Zagłobę, pan Wołodyjowski Basię i co siły w nogach skoczyli obaj na mury. Przez chwilę słychać było, jak obaj wydawali zdyszanymi piersiami rozporządzenia, lecz komendę ich zgłuszyło warczenie bębnów w szańcach tureckich.

— Do ataku pójdą! — szepnął Zagłoba Basi.

Jakoż Turcy usłyszawszy wybuch wyobrazili sobie widocznie, że oba zamki muszą być zrujnowane, a obrońcy częścią zagrzebani w gruzach, częścią przejęci strachem. W tej myśli gotowali się do szturmu. Głupi! Nie wiedzieli, iż sama tylko kaplica luterska wyleciała w powietrze, wybuch zaś prócz wstrząśnienia nie przyczynił innych szkód i nawet żadne działo nie wypadło z łoża na nowym zamku. Atoli w szańcach warczenie bębnów stało się coraz gorętsze. Tłumy janczarów zsunęły się z szańców i biegły kłusem ku zamkowi. Ognie na zamku i w przykopach tureckich pogasły wprawdzie, ale noc uczyniła się pogodna i przy świetle księżyca widać było zbitą masę białych czapek janczarskich kołyszącą się od biegu na kształt fali poruszanej wiatrem. Szło kilka tysięcy janczarów i kilkaset dżamaku. Wielu z nich nie miało nigdy już ujrzeć stambulskich minaretów, jasnych wód Bosforu i ciemnych cyprysów cmentarnych, ale teraz biegli z zaciekłością i nadzieją pewnego zwycięstwa w sercach.

Wołodyjowski biegł, jak duch, wzdłuż murów.

— Nie strzelać! Czekać komendy! — wołał przy każdym dziale.

Dragoni z muszkietami położyli się wiankiem na blankach dysząc zawziętością. Nastała cisza, słychać było tylko odgłos szybkiego stąpania janczarów, jak przygłuszony grzmot. Im byli bliżej, tym byli pewniejsi, że jednym zamachem ogarną oba zamki. Wielu mniemało, że resztki obrońców cofnęły się już do miasta i że na blankach pustka. Dobiegłszy do fosy poczęli ją zarzucać faszyną, worami bawełny, pękami słomy i zarzucili w mgnieniu oka.

Na murach była ciągle cisza.

Lecz gdy pierwsze szeregi wstąpiły już na podściel, którą zarzucona była fosa, w jednym wrębie blankowym huknął wystrzał z pistoletu, a jednocześnie prawie przeraźliwy głos zawołał:

— Ognia!

I zaraz oba wyczółki i łączące je wydłużenie czołowe zaświeciły długą błyskawicą płomienia; rozległ się grzmot dział, grzechotanie samopałów i muszkietów, wrzask obrońców, wrzask napastników. Jak kiedy dziryt, rzucony ręką tęgiego osacznika, uwięźnie do połowy w brzuchu niedźwiedzia, ów zwija się w kłąb, ryczy, rzuca się, miota, wypręża i znów się zwija — tak właśnie skłębiły się tłumy janczarów i dżamaku.

Ni jeden strzał przeciwników nie był daremny. Działa nabite kartaczami po prostu kładły ludzi mostem, jak wiatr gwałtowny kładzie za jednym podmuchem łan zbożowy. Ci, którzy uderzyli na wydłużenie łączące wyczółki, znaleźli się w trzech ogniach — i ogarnięci przerażeniem, poczęli zbijać się w bezładną kupę do środka, ścieląc się tak gęstym trupem, iż tworzyły się z nich drgające wzgórza. Ketling mieszał kartaczami z dwóch dział w tej kupie, wreszcie gdy poczęli uciekać, zamknął deszczem żelaza i ołowiu wąskie ujście między wyczółkami.

Atak został na całej linii odparty, więc gdy janczarowie i dżamak, odbieżawszy fosy, uciekali jak obłąkani z rykiem przestrachu — w szańcach tureckich poczęto ciskać zapalone maźnice, pochodnie oraz palić sztuczne ognie prochowe, dzień z nocy czyniące, aby uciekającym drogę oświecić i spodziewanej wycieczce pościg utrudnić.

Tymczasem pan Wołodyjowski, widząc ową kupę zamkniętą między wyczółkami, skrzyknął dragonów i spuścił się wraz z nimi ku niej. Owi nieszczęśni raz jeszcze próbowali wydostać się przez ujście, lecz Ketling zasypywał je tak okropnie, że wnet zatkało się stosem trupów jak wał wysokim. Żywym pozostawało tylko zginąć, bo obrońcy nie chcieli brać jeńców, więc poczęli się bronić okropnie. Tęgie chłopy zbijając się w małe gromadki, po dwóch, trzech, po pięciu — i podpierając jeden drugiego plecami, zbrojni w dzidy, berdysze, jatagany i szable, siekli zapamiętale. Strach, przerażenie, pewność śmierci, rozpacz zmieniły się w nich w jedno uczucie wściekłości. Ogarnęło ich uniesienie bojowe. Niektórzy rzucali się w zapamiętaniu pojedynczo na dragonów. Tych roznoszono w mgnieniu oka na szablach. Była to walka dwóch furii, bo i dragonów z trudu, bezsenności, głodu ogarnęła zwierzęca zawziętość na tego nieprzyjaciela, że zaś przewyższali go biegłością w walce na białą broń, więc szerzyli klęski okropne. Ketling, ze swej strony, chcąc rozwidnić pole walki rozkazał także pozapalać maźnice ze smołą i przy ich blasku widać było niepohamowanych Mazurów ścinających się z janczarami na szable, wodzących się za łby i za brody. Szczególniej srogi Luśnia szalał na kształt rozhukanego byka. Na końcu drugiego skrzydła walczył sam pan Wołodyjowski, wiedząc zaś, że Baśka spoglądała na niego z murów, przeszedł sam siebie. Jak gdy zjadliwa łasica wdarłszy się w stertę zboża, przez rojowisko myszy zamieszkałą, czyni w nich rzeź straszliwą, tak i mały rycerz rzucał się na podobieństwo ducha zniszczenia między janczarami. Już imię jego znane było między Turkami i z poprzednich walk, i z opowiadań Turków chocimskich; już było powszechne mniemanie, że żaden człowiek, który się z nim spotka, nie odejmie się śmierci; więc niejeden z tych janczarów zamkniętych teraz w wyczółkach, ujrzawszy go nagle przed

sobą, nie bronił się nawet, ale przymknąwszy oczy konał pod ciosem rapiera, ze słowem „kiszmet” na ustach. Wreszcie opór ich osłabł; reszta rzuciła się pod ów wał trupów zagradzający ujście i tam ich docięto.

Dragoni wrócili teraz przez wymoszczoną fosę ze śpiewem i krzykiem, zziajani, pachnący krwią; następnie dano jeszcze kilka strzałów działowych z szańców tureckich i z zamku, po czym nastała cisza. Tak skończyła się owa walka armat od kilku dni trwająca, a ukoronowana przez szturm janczarów.

— Chwała Bogu — rzekł mały rycerz — będzie spoczynek przynajmniej do jutrzejszej „kindii”, a należy się nam sprawiedliwie.

Lecz był to względny spoczynek, bo gdy noc stała się jeszcze głębsza, w ciszy rozległ się znowu dźwięk kilofów bijących w skalną ścianę.

— Gorsze to od dział! — rzekł nasłuchując Ketling.

— Ot, wycieczkę by wyprowadzić — zauważył mały rycerz — ale niepodobna, ludzie zbyt fatigati. Nie spali i nie jedli, choć było co, bo czasu nie starczyło. Zresztą przy górnikach stoi zawsze na straży kilka tysięcy dżamaku i spahów, aby zaś nie mieli jakowejś z naszej strony przeszkody. Nie ma innej rady, jeno sami musimy nowy zamek wysadzić, a do starego się schronić.

— Nie dziś to już — odpowiedział Ketling. — Patrz, ludzie popadali jak snopy i śpią kamiennym snem. Dragoni nawet szabel nie obtarli.

— Baśka, do miasta i spać! — rzekł nagle mały rycerz.

— Dobrze, Michałku — odpowiedziała pokornie Basia — pójdę, jak każesz. Ale tam klasztor już zamknięty, więc wolałabym tu ostać i nad twoim snem czuwać.

— Dziw to jest — rzekł mały rycerz — po takim trudzie sen mnie odbieżał i wcale się nie chce głowy przytulić...

— Boś w sobie krew rozbujał, z janczary się zabawiając — rzekł Zagłoba. — Tak i ze mną zawsze bywało. Po bitwie nijak spać nie mogłem. Ale co się tycze Baśki, co się ma po nocy wlec do zamkniętej furty; niech już tu lepiej do porannej „kindii” zostanie.

Basia uściskała z radości pana Zagłobę, mały zaś rycerz widząc, jak bardzo jej o to chodzi, rzekł:

— To pójdźmy do komnat.

I poszli. Lecz pokazało się, iż w komnatach pełno było kurzawy wapiennej, której naczyniły kule wstrząsając ścianami. Niepodobna w nich było wytrzymać, więc po niejakim czasie Basia z mężem wyszli na powrót ku murom i umieścili się w niszy po zamurowaniu starej bramy pozostałej.

Tam on siadł i wsparł się o mur, a ona przytuliła się do niego jak dziecko do matki. Noc była sierpniowa, ciepła i słodka. Księżyc oświecał srebrnym światłem wgłębienie, tak że twarze małego rycerza i Basi były skąpane w blasku. Poniżej, na podwórzu zamkowym, widać było uśpione kupy żołnierzy, a także i ciała zabitych podczas dziennej strzelaniny, bo nie znaleziono dotąd czasu na ich pogrzebanie. Ciche światło miesiąca pełzało po tych kupach, jakby ów samotnik niebieski chciał wiedzieć, kto śpi tylko ze znużenia, a kto już usnął snem wiecznym. Dalej rysowała się ściana głównej budowy zamkowej, od której padał czarny cień na połowę podwórza. Z zewnątrz murów, gdzie między wyczółkami leżeli pocięci mieczami janczarowie, dochodziły głosy męskie. To ciurowie i ci z dragonów, którym łup milszy był od snu, obdzierali ciała poległych. Latarki ich migotały po pobojowisku na kształt czerwi świętojańskich. Niektórzy nawoływali się z cicha, a jeden śpiewał półgłosem pieśń słodką i nie licującą z zajęciem, któremu się w tej chwili oddawał:

Nic mi po srebrze, nic mi po złocie,
Nic po chudobie —
Niech z głodu zamrę przy krzywym płocie,
Byle przy tobie!

Lecz po niejakim czasie ruch ów począł ustawać i nareszcie ustał zupełnie.

Uczyniła się cisza, którą przerywały tylko dalekie odgłosy kilofów łamiących wciąż skałę i nawoływania straży na murach. Ta cisza, światło i noc przepyszna upoiły małego rycerza i Basię. Stało im się nie wiadomo dlaczego tęskno i trochę smutno, chociaż błogo. Baśka pierwsza podniosła oczy na męża i widząc, że ma źrenice otwarte, spytała:

— Michałku, nie śpisz?

— Aż dziwno, ale nic się nie chce.

— A dobrze ci tu jest?

— Dobrze. A tobie?

Baśka poczęła kręcić jasną główką.

— Oj, Michałku, tak dobrze, oj! Oj! Słyszałeś, co ów tam śpiewał?

Tu powtórzyła ostatnie słowa piosenki:

Niech z głodu zamrę przy krzywym płocie,
Byle przy tobie!

Nastała chwila milczenia, którą przerwał mały rycerz:

— Baśka! — rzekł — słuchaj no, Baśka!

— Co, Michałku?

— Bo prawdę rzekłszy, okrutnie nam dobrze ze sobą i tak myślę, że gdyby jedno z nas poległo, to by drugie bez miary tęskniło.

Basia doskonale zrozumiała, że mały rycerz mówiąc: „gdyby jedno z nas poległo” zamiast: „umarło” — siebie miał na myśli. Przyszło jej do głowy, że on może nie spodziewa się wyjść żywym z tego oblężenia, że chce ją oswoić z tym terminem, więc straszne przeczucie ścisnęło jej serce i złożywszy ręce rzekła:

— Michale, miej miłosierdzie nad sobą i nade mną!

Głos małego rycerza był nieco wzruszony, choć spokojny.

— A widzisz, Baśka, że nie masz słuszności — rzekł — bo tak wziąwszy tylko na rozum, cóż to jest to życie doczesne? Przez co tu kark kręcić? Komu tu będzie dostatkiem smakować szczęśliwość i kochanie, kiedy wszystko kruche jako zeschła gałęź, co?

Lecz Basia poczęła się trząść z płaczu i powtarzać:

— Nie chcę, nie chcę, nie chcę!

— Jak mi Bóg miły, tak nie masz słuszności — powtórzył mały rycerz. — Ot, uważasz, tam w górze, za onym cichym miesiącem, jest kraina wiekuistej szczęśliwości. O takiej to mi gadaj! Kto się na tamtą lewadę dostanie, ten dopiero sobie odsapnie, jakby po długiej drodze — i pasie się spokojnie. Jak na mnie termin przyjdzie (a to przecie żołnierska rzecz), zaraz sobie powinnaś powiedzieć: „Nic to!” Po prostu powinnaś sobie powiedzieć: „Michał odjechał, prawda, że daleko, dalej jak stąd na Litwę, ale nic to! Bo i ja za nim podążę”. Baśka, no, cicho, nie płacz! Które pierwsze odjedzie, to drugiemu kwaterę przygotuje — i cała sprawa.

Tu przyszło na niego jakby widzenie rzeczy przyszłych, bo oczy podniósł ku miesięcznemu blaskowi i tak dalej mówił:

— Co to doczesność! Dajmy, że ja już tam będę, aż tu ktoś puka do niebieskich podwoi. Święty Piotr otwiera; patrzę ja: kto? Moja Baśka! Rety! O! To dopiero skoczę! O! To dopiero zakrzyknę! Miły Boże! Słów w gębie brak! I nie będzie płakania, jeno wieczne wesele, i nie będzie pogan ni armat, ni min pod murami, jeno spokój i szczęśliwość! Ej, Baśka, pamiętaj: nic to!

— Michale, Michale! — powtarzała Basia.

I znowu nastała cisza, przerywana tylko odległym monotonnym dźwięczeniem kilofów.

Wreszcie Wołodyjowski ozwał się:

— Baśka, zmówimy sobie teraz pacierz.

I te dwie dusze, czyste jak łzy, poczęły się modlić. W miarę jak odmawiali pacierze, spływał na oboje spokój, a potem zmorzył ich sen i usnęli aż do pierwszego brzasku.

Pan Wołodyjowski odprowadził następnie Basię, jeszcze przed „kindią" poranną, aż do mostu łączącego stary zamek z miastem, na odchodnym zaś rzekł jej:

— Pamiętaj, Baśka: nic to!

LV

Grzmot dział wstrząsnął zaraz po „kindii" zamkami i miastem. Już Turcy wyryli fosę wzdłuż zamku na pięćset łokci długą, w jednym miejscu zaś już się przy samym murze w głąb dobywali. Z fosy owej szedł na mury nieustanny ogień janczarek. Oblężeni czynili zasłony ze skórzanych worów wypchanych wełną, lecz że z szańców miotano bezustannie faskule i granaty, przeto koło armat padał trup bardzo gęsto. Przy jednym dziale granat zabił od razu sześciu ludzi z piechoty Wołodyjowskiego, przy innych raz w raz padali puszkarze. Do wieczora spostrzegli przywódcy, że trzymać się dłużej niepodobna, zwłaszcza że i miny mogły już lada chwila wybuchnąć. W nocy więc zeszli się rotmistrzowie ze swymi sotniami i do rana przenoszono wśród ciągłej strzelaniny wszystkie armaty, prochy i zapasy żywności na stary zamek. Ten, iż na opoce był fundowany, dłużej mógł wytrzymać, a zwłaszcza trudniej było pod niego się podkopać. Pan Wołodyjowski, zapytywany o to na radzie, rzekł, iż byle nikt układów nie poczynał, gotów i rok się bronić. Słowa jego doszły do miasta i wlały niezmierną otuchę w serca, wiedziano bowiem, że mały rycerz słowo zdzierży, choćby życiem miał za to przypłacić.

Opuszczając jednak nowy zamek, podłożono silne miny pod oba wyczółki i front. Miny wybuchły z wielkim hukiem około południa, lecz nie przyczyniły wielkiej szkody Turkom, bo ci, pamiętając wczorajszą naukę, jeszcze się nie byli ośmielili zająć opuszczonego miejsca. Natomiast oba wyczółki, front i główna część nowego zamku utworzyły jeden olbrzymi wał gruzów. Gruzy owe utrudniały wprawdzie przystęp do starego, ale dawały doskonałą zasłonę strzelcom, a co gorzej górnikom, którzy nie zrażeni widokiem potężnej opoki, wnet nową minę wiercić poczęli. Czuwali nad tą pracą biegli inżynierowie włoscy i węgierscy, na służbie sułtańskiej będący, i praca szła sporo. Oblężeni nie mogli „zrażać" nieprzyjaciela ni z dział, ni z muszkietów, bo go widać nie było. Zamyślał pan Wołodyjowski o wycieczce, lecz zaraz nie można było jej przedsiębrać. Żołnierze zbyt byli strudzeni. Dragonom porobiły się na prawych ramionach od ustawicznego przykładania kolb sine narywy, tak wielkie, jak bochny chleba. Niektórzy prawie zupełnie nie mogli ręką poruszyć; tymczasem stało się

widoczne, iż jeśli kowanie miny potrwa jeszcze jakiś czas bez przerwy, to główna brama zamkowa niechybnie w powietrze zostanie wysadzona. Przewidując to pan Wołodyjowski kazał za tą bramą sypać wysoki wał i nie tracąc otuchy mówił:

— A co mi tam! Wyleci brama, to się zza wału będziem bronić; wyleci wał, to przedtem usypiem drugi — i tak dalej, póki łokieć gruntu będziem czuć pod nogami.

Lecz pan jenerał podolski utraciwszy wszelką nadzieję pytał:

— A gdy i łokcia zbraknie?

— To i nas zbraknie! — odpowiedział mały rycerz.

Tymczasem kazał miotać na nieprzyjaciela ręczne granaty, które wiele szkód czyniły. Najsprawniejszym w tej robocie okazał się pan porucznik Dębiński, który bez liku Turków nabił, póki mu zbyt wcześnie zapalony granat nie pękł w ręku i całkiem onej nie urwał. W ten sposób poległ i kapitan Szmit. Wielu ginęło od działowego ognia, wielu od ręcznej broni, z której strzelali janczarowie wśród gruzów nowego zamku ukryci. Przez ten czas z dział zamkowych mało strzelano, czym niepomału stropili się panowie rada w mieście. — Nie strzelają, to już widać i sam Wołodyjowski zwątpił o obronie — takie było powszechne mniemanie. Z wojskowych żaden nie śmiał pierwszy wypowiedzieć, że pozostaje już tylko najlepsze kondycje uzyskać; ale ksiądz biskup, próżen rycerskich ambicji, głośno to wypowiedział. Przedtem jednak posłano jeszcze pana Wasilkowskiego do generała po wiadomości z zamku. Ów odpisał: „Zdaniem moim zamek i do wieczora się nie utrzyma, ale tu myślą inaczej”.

Po przeczytaniu tej odpowiedzi nawet i wojskowi poczęli mówić:

— Czyniliśmy, cośmy mogli, nikt tu siebie nie oszczędzał, ale jak nie można, to nie można — i trzeba się o kondycję ułożyć.

Słowa te wydostały się na miasto i spowodowały wielkie zbiegowisko. Tłum stał przed ratuszem niespokojny, milczący, raczej nieprzychylny niż przychylny układom. Kilku bogatych kupców ormiańskich cieszyło się po cichu w sercach, że oblężenie się skończy, a targi się rozpoczną; lecz inni Ormianie, z dawien dawna w Rzeczypospolitej osiedli i wielce jej przychylni, a dalej Lachowie i Rusini chcieli się bronić.

— Mieliśmy się poddawać, to lepiej było od razu — szemrano tu i owdzie — bo wtedy siła dałoby się było uzyskać, a teraz kondycje nie będą łaskawe, więc lepiej się pod gruzem pogrzebać.

I pomruk niezadowolenia stawał się coraz głośniejszy, aż nagle i niespodzianie zmienił się w okrzyki uniesienia i wiwaty.

Co się stało? Oto na rynku pojawił się pan Wołodyjowski w towarzystwie pana Humieckiego, bo ich jenerał umyślnie wysłał, aby sami zdali sprawę z tego, co się w zamku dzieje. Tłumy ogarnął zapał. Niektórzy krzyczeli tak, jakby już Turcy wdarli się do miasta; innym łzy napływały do oczu na widok uwielbionego rycerza, na którym znać było trudy nadzwyczajne. Twarz miał sczerniałą od dymu prochowego i wychudłą, oczy czerwone i wpadnięte, lecz spoglądał wesoło. Gdy obaj z Humieckim przedarli się wreszcie przez zbiegowisko i weszli na radę, i tam powitano ich radośnie, ksiądz biskup zaś rzekł zaraz:

— Bracia kochani! Nec Hercules contra plures! Pisał nam już pan jenerał, że musicie się poddać.

Na to Humiecki, który był człowiek bardzo żywy, a do tego możny familiant, nie oglądający się na ludzi, odrzekł ostro:

— Pan jenerał głowę stracił; ma jeno tę cnotę, że jej nadstawia. Co do obrony, odstępuję głosu panu Wołodyjowskiemu, bo lepiej ode mnie potrafi o tym powiedzieć.

Wszystkie oczy zwróciły się na małego rycerza, on zaś ruszył żółtymi wąsikami i odrzekł:

— Dla Boga! Kto tu o poddaniu wspomina? Albożeśmy to nie przysięgli Bogu żywemu, że jeden na drugim padniem?

— Przysięgaliśmy, że uczynim, co w mocy naszej, i uczyniliśmy wszystko! — odrzekł ksiądz biskup.

— Kto co obiecywał, niech za to odpowiada! Jam z Ketlingiem przysięgał, że do śmierci zamku nie damy — i nie damy, bo jeślim ja obowiązany każdemu człowiekowi słowa kawalerskiego dotrzymać, to cóż dopiero Bogu, któren majestatem wszystkich przenosi?

— No, a jak z zamkiem? Słyszeliśmy, że mina pod bramą? Długoż wytrzymacie? — pytały liczne głosy.

— Mina pod bramą jest albo będzie, ale też już i wał przed bramą grzeczny się wznosi, i hakownice kazałem na niego pozaciągać. Bracia kochani, bójcie się ran boskich; pomyślcie, że poddając się trzeba będzie kościoły w ręce pogan oddać, którzy je na meczety pozamieniają, aby w nich sprośności odprawować! Jakże to z tak lekkim sercem o poddaniu mówicie? Jakim sumieniem chcecie otworzyć furtę srogiemu nieprzyjacielowi do serca ojczyzny? Jać w zamku siedzę i min się nie boję, a wy się ich w mieście, opodal, boicie? Na miły Bóg! Nie dajmy się, pókiśmy żywi! Niech pamięć tej obrony między potomnymi zostanie, jako zbaraska została!

— Zamek w kupę gruzów Turcy obrócą! — odrzekł jakiś głos.

— To niech obrócą! Z kupy gruzów też się bronić można!

Tu zbrakło nieco cierpliwości małemu rycerzowi:

— I będę się z kupy gruzów bronił, tak mi dopomóż Bóg! Wreszcie powiadam tak: zamku nie poddam! Słyszycie?

— I miasto zgubisz? — pytał ksiądz biskup.

— Mali na Turka pójść, to wolę je zgubić! Przysięgłem! Więcej słów nie będę tracił i idę sobie z powrotem między armaty, bo te Rzeczypospolitej bronią, zamiast ją przedawać!

To rzekłszy wyszedł, a za nim Humiecki trzasnął drzwiami na odchodnym i obaj bardzo spieszyli, było im bowiem istotnie lepiej wśród gruzów, trupów, kul niż wśród ludzi małej wiary. Po drodze dognał ich pan Makowiecki.

— Michał — rzekł — powiadaj prawdę, zaliś dla dodania serca tylko o oporze mówił, czyli też naprawdę potrafisz w zamku wytrzymać?

Mały rycerz ramionami ruszył.

— Jak mi Bóg miły! Niech miasta nie poddają, a będę się rok bronił!

— Czemu nie strzelacie? Ludzie się tym straszą i dlatego o poddaniu gadają.

— Nie strzelamy, bośmy rzucaniem ręcznych granatów byli zabawni, które też znaczne szkody w górnikach uczyniły.

— Słuchaj, Michał, macieli w zamku takowe obrony, byście i w tył od Ruskiej bramy bili? Gdyby bowiem (uchowaj Boże!) Turcy tamę przerwali, to się do bramy dostaną. Ja ze wszystkich sił pilnuję, ale z samymi mieszczany, bez żołnierzy, rady nie dam.

Na to mały rycerz:

— Nie frasujże się, miły bracie! Już ja piętnaście dział od tej strony wyrychtował. O zamek także bądźcie spokojni. Nie tylko sami się obronim, ale jak będzie trzeba, to i wam do bram posiłek damy.

Usłyszawszy to pan Makowiecki uradował się bardzo i już chciał odchodzić, gdy mały rycerz zatrzymał go jeszcze i spytał:

— Powiedz, ty częściej tam na tych radach bywasz, chcąli oni tylko nas doświadczyć czyli też naprawdę Kamieniec wydać w ręce sułtańskie zamierzają?

Makowiecki spuścił głowę.

— Michał — rzekł — powiedz ty teraz szczerze, zali się na tym nie musi skończyć? Czas jakiś będziem się opierać, tydzień, dwa, miesiąc, dwa miesiące, ale koniec będzie jednaki.

Spojrzał na niego ponuro Wołodyjowski, po czym podniósłszy ręce zakrzyknął:

— I ty, Brutusie, przeciw mnie? Ha! Sami wówczas swoją hańbę spożywać będziecie, bom ja do takiej strawy nie przywykł!

I rozstali się z goryczą w sercach.

Mina pod główną bramą starego zamku wybuchła wkrótce po przybyciu Wołodyjowskiego. Leciały cegły, kamienie, wstała kurzawa i dym. Przestrach na chwilę opanował serca kanonierów. Turcy też sypnęli się zaraz do wyłomu, jak wsypuje się stado owiec przez otwarte drzwi do owczarni, gdy pastuch i potrzódkowie napędzają je z tyłu biczami. Lecz Ketling dmuchnął w ową kupę kartaczami z sześciu dział przygotowanych poprzednio na wale; dmuchnął raz, drugi, trzeci i wymiótł ją z podwórca. Wołodyjowski, Humiecki, Myśliszewski nadbiegli z piechotą i dragonami, którzy pokryli wał tak gęsto, jak muchy pokrywają w upalny dzień letni ścierwo wołu lub konia. Rozpoczęła się teraz walka muszkietów i janczarek. Kule padały na wał na kształt deszczu lub ziarn zboża, które tęgi chłop szuflą w górę wyrzuca. Turcy roili się w gruzach nowego zamku: w każdym dołku, za każdym złamem, za każdym kamieniem, w każdej rozpadlinie ruin siedziało ich po dwóch, trzech, pięciu, dziesięciu i strzelali bez chwili spoczynku. Od strony Chocimia napływały im coraz nowe posiłki. Pułki szły za pułkami i przypadłszy między gruzy rozpoczynały natychmiast ogień. Cały nowy zamek był jak wybrukowany zawojami. Chwilami owe masy zawojów zrywały się nagle z okropnym wrzaskiem i biegły do wyłomu, lecz wówczas Ketling zabierał głos; bas dział głuszył grzechotanie samopałów, a stada kartaczy z świstem i straszliwym furkotaniem miesiły ów tłum, kładły go mostem na ziemię i zamykały wyłom drgającymi kupami ludzkiego mięsa. Czterykroć razy zrywali się janczarowie i czterykroć Ketling odrzucał ich i rozpraszał, jak burza rozprasza chmarę liści. Sam on wśród ognia, dymu, rozpryśniętych grud ziemi i pękających granatów stał, do anioła wojny podobny. Oczy jego utkwione były w wyłom, a na jasnym czole nie było znać najmniejszej troski. Czasem sam porywał lont od puszkarza i do działa przykładał, czasem osłaniał oczy ręką i na skutek strzału spoglądał, chwilami zwracał się z uśmiechem do pobliskich oficerów i mówił:

— Nie wejdą!

Nigdy zaciekłość ataku nie rozbiła się o taką furię obrony. Oficerowie i żołnierze szli ze sobą w zawody. Zdawało się, że uwaga tych ludzi zwrócona jest na wszystko z wyjątkiem na śmierć. Ona zaś kosiła gęsto. Legł pan Humiecki, pan Mokoszycki, komendant Kijanów. Wreszcie schwytał się z jękiem za piersi białowłosy pan

Kałuszowski, stary Wołodyjowskiego przyjaciel, żołnierz jak baranek łagodny, jak lew straszliwy. Wołodyjowski podtrzymał upadającego, ów zaś rzekł:

— Daj rękę, daj prędko rękę!

Po czym dodał:

— Chwała Bogu! — i twarz stała mu się tak biała jak broda i wąsy.

Było to przed czwartym atakiem. Wataha janczarów dostała się wówczas za wyłom, a raczej nie mogła się z przyczyny zbyt gęsto lecących pocisków na powrót wydostać. Skoczył na nich na czele piechurów pan Wołodyjowski i wybito ich w mgnieniu oka kolbami i ośnikami.

Płynęła godzina za godziną, ogień nie słabł. Lecz tymczasem rozniosła się po mieście wieść o bohaterskiej obronie i wznieciła zapał i bojową ochotę. Lackie mieszczaństwo, szczególniej młodzi, poczęli skrzykiwać się po mieście, spoglądać po sobie i podniecać się wzajemnie.

— Pójdziem z pomocą na zamek! Pójdziem, pójdziem! Nie damy braciom ginąć! Dalej, chłopcy!

Takie głosy rozlegały się na rynku, przy bramach i wkrótce kilkuset ludzi, zbrojnych lada jako, ale z odwagą w sercu, ruszyło ku mostowi. Turcy skierowali nań natychmiast straszliwy ogień, tak że wnet usłał się trupami, lecz część przeszła i zaraz poczęła z wału przeciw Turkom z wielką ochotą pracować.

Odbito wreszcie ów czwarty atak z tak straszną dla Turków szkodą, iż zdawało się, że musi nadejść chwila wytchnienia. Próżna nadzieja! Grzechot janczarek nie ustał do wieczora. Dopiero gdy wieczorną „kindię" zagrano, armaty umilkły i Turcy opuścili gruzy nowego zamku. Pozostali oficerowie zeszli wówczas z wału na drugą stronę. Mały rycerz, nie tracąc chwili czasu, rozkazał założyć wyłom, czym było można, więc kłodami drzewa, faszyną, gruzem, ziemią. Piechota, towarzystwo, dragoni, szeregowcy i oficerowie pracowali na wyścigi, bez różnicy szarży. Spodziewano się, że lada chwila ozwą się znów działa tureckie, ale ostatecznie dzień ów był dniem wielkiego zwycięstwa oblężonych nad oblegającymi, więc wszystkie twarze były jasne, a dusze płonęły nadzieją i chęcią dalszych zwycięstw.

Ketling z Wołodyjowskim, wziąwszy się po ukończeniu roboty przy wyłomie pod ręce, obchodzili majdan i mury, wychylali się przez blanki, by spoglądać na dziedzińce nowego zamku, i radowali się żniwem obfitym.

— Trup tam leży przy trupie! — rzekł ukazując na gruzy mały rycerz — a przy wyłomie stosy takie, że choć drabinę przystawiaj. Ketling! Twoich to armat robota!...

— Najlepsze to — odrzekł rycerz — iżeśmy tak ów wyłom założyli, że Turcy znów mają dostęp zamknięty i muszą nową minę podkładać. Potęga ich jako morze nieprzebrana, ale takie oblężenie za jaki miesiąc, dwa, musi się im uprzykrzyć.

— Przez ten czas pan hetman nadąży. Wreszcie, co bądź się stanie, myśmy przysięgą związani — rzekł mały rycerz.

W tej chwili spojrzeli sobie w oczy, po czym Wołodyjowski pytał ciszej:

— A uczyniłeś, com ci powiedział?

— Wszystko przygotowane — odszepnął Ketling — ale myślę, że do tego nie przyjdzie, bo naprawdę możemy się tu jeszcze trzymać bardzo długo i mieć wiele dni takich jak dzisiejszy.

— Daj, Boże, takie jutro!

— Amen! — odrzekł Ketling wznosząc ku niebu oczy.

Dalszą rozmowę przerwał im huk dział. Granaty poczęły znów iść na zamek. Kilka ich pękło jednak w górze i zgasło natychmiast na kształt letnich błyskawic.

Ketling popatrzył okiem znawcy.

— Na tym owo szańcu, z którego właśnie strzelają — rzekł — knoty mają przy granatach zbytnio wysiarkowane.

— Zaczyna dymić i na innych! — odrzekł Wołodyjowski.

I rzeczywiście tak było. Jak gdy jeden pies ozwie się wśród cichej nocy, inne poczynają mu wnet wtórować, i w końcu cała wieś brzmi szczekaniem — tak jedno działo w szańcach tureckich zbudziło wszystkie sąsiednie i oblężone miasto otoczył wieniec grzmotów. Tym razem strzelano jednak głównie na miasto, nie na zamek. Natomiast z trzech stron ozwało się kowanie min. Widocznie, mimo iż potężna opoka udaremniała niemal pracę górników, Turcy postanowili koniecznie wysadzić to skalne gniazdo w powietrze.

Z rozkazu Ketlinga i Wołodyjowskiego poczęto znów ciskać ręczne granaty kierując się odgłosem kilofów. Lecz po nocy nie można było poznać, czy ten sposób obrony przynosi jakowąś szkodę oblegającym.

Przy tym wszyscy zwrócili oczy i uwagę na miasto, na które leciały całe stada płomienistego ptactwa. Niektóre pociski pękały w górze, lecz inne, zakreśliwszy ognistą krzywiznę na niebie, wpadały między dachy domostw. Naraz krwawa łuna rozdarła w kilku miejscach ciemności. Płonął kościół Św. Katarzyny, cerkiew Św. Jura w dzielnicy ruskiej, a wkrótce zapłonęła i katedra ormiańska, która zresztą zapalona została jeszcze w dzień, obecnie zaś rozgorzała tylko pod granatami na nowo. Pożar potężniał z każdą

chwilą i rozwidniał całą okolicę. Krzyk z miasta dochodził aż do starego zamku. Można było mniemać, że całe miasto się pali.

— Źle to jest — mówił Ketling — bo w mieszczanach serce upadnie.

— Niech wszystko spłonie — odrzekł mały rycerz — byle opoka nie skruszała, z której się można bronić!

Tymczasem krzyk wzmagał się coraz bardziej. Od katedry zajęły się ormiańskie składy kosztownych towarów, zbudowane na rynku do tej narodowości należącym. Płonęły tam bogactwa wielkie w złocie, srebrze, dywanach, skórach i drogich materiach. Po chwili tu i owdzie języki ognia poczęły się ukazywać nad domami.

Wołodyjowski zatrwożył się wielce.

— Ketling! — rzekł — Pilnuj rzucania granatów i psowaj, co możesz, w robocie min, ja zasię poskoczę do miasta, bo mi o panny dominikanki serce cierpnie. Bogu chwała, że zamek ostawili w spokoju i że się oddalić mogę...

W zamku nie było istotnie w tej chwili wiele do roboty, więc mały rycerz siadł na koń i odjechał. Wrócił dopiero po dwóch godzinach w towarzystwie pana Muszalskiego, który już po owym szwanku, poniesionym z ręki Hamdiego, wydobrzał, a teraz na zamek przybywał mniemając, że przy szturmach będzie mógł łukiem znaczną klęskę poganom zadać i sławę niepomierną uzyskać.

— Witajcie! — rzekł Ketling — Jużem był niespokojny. Co tam u dominikanek?

— Wszystko dobrze — odrzekł mały rycerz. — Ni jeden granat tam nie pękł. Miejsce jest zaciszne i przezpieczne.

— To chwała Bogu! A Krzysia się tam nie trwoży?

— Spokojna, jakoby u siebie w domu. Obie z Baśką siedzą w jednej celi, a pan Zagłoba z nimi. Jest tam i Nowowiejski, któremu przytomność wróciła. Prosił się ze mną na zamek, ale na nogach jeszcze nie może długo ustać. Ketling, jedź tam teraz, a ja cię tu zastąpię.

Ketling uściskał Wołodyjowskiego, bo go bardzo serce do kochanej Krzysi ciągnęło, i zaraz sobie kazał konia podawać. Lecz nim go przyprowadzono, wypytvwał jeszcze małego rycerza, co w mieście słychać?

— Mieszczanie gaszą ogień bardzo odważnie — odrzekł mały rycerz — ale bogatsi kupcy ormiańscy widząc, że im się składy palą, wysłali do księdza biskupa deputację z naleganiem, żeby miasto poddał. Dowiedziawszy się o tym, chociażem sobie obiecywał, że na te narady ich więcej nie pójdę, poszedłem. Tam dałem w pysk jednemu, któren najbardziej o poddanie nalegał, za co ksiądz biskup był na mnie krzyw. Źle, bracia! Już

tam tchórz coraz bardziej ludzi oblatuje i coraz tańsza im nasza do obrony gotowość. Ganią nas tam, nie chwalą, bo powiadają, że na próżno miasto narażamy. Słyszałem także, że na Makowieckiego napadano za to, iż się układom przeciwił. Sam ksiądz biskup powiedział mu: „Wiary ni króla nie odstępujemy, a na cóż dalszy opór przydać się może? Widzisz (powiada), stąd zhańbione świątynie, panny poczciwe znieważone i dziatwę niewinną w jasyr wleczoną? Z traktatem zaś (powiada) możem jeszcze los ich zapewnić, a dla siebie wolny przechód warować!" Tak mówił ksiądz biskup, a pan jenerał głową kiwał i powtarzał: „Wolej bym zginął, ale to prawda!"

— Dziej się wola boża! — odpowiedział Ketling.

A Wołodyjowski ręce załamał.

— I żeby to choć była prawda! — zakrzyknął — ale Bóg świadek, że możemy się jeszcze bronić!

Tymczasem przyprowadzono konia. Ketling począł siadać pospiesznie. Wołodyjowski zaś rzekł mu na drogę:

— Ostrożnie przez most, bo tam gęsto granaty padają!

— Za godzinę wrócę — rzekł Ketling.

I odjechał.

Wołodyjowski wraz z Muszalskim poczęli obchodzić mury.

W trzech miejscach ciskano ręczne granaty, bo w trzech miejscach odzywało się kowanie. Po lewej stronie zamku kierował tą robotą Luśnia.

— A jak tam idzie? — spytał Wołodyjowski.

— Źle, panie komendancie! — odrzekł wachmistrz — Juchy już w skale siedzą i ledwie przy wejściu czasem którego skorupa zawadzi. Niewieleśmy wskórali...

W innych miejscach szło jeszcze gorzej, tym bardziej że niebo zasępiło się i począł padać deszcz, od którego zamakały knoty w granatach. Ciemność zawadzała także robocie.

Wołodyjowski odprowadził pana Muszalskiego nieco na stronę i zatrzymawszy się rzekł nagle:

— Słuchaj waćpan! A żebyśmy tak popróbowali onych kretów w norach wydusić?

— Widzi mi się: śmierć to pewna, bo przecie całe pułki janczarskie ich strzegą! Ha! Popróbujmy!

— Pułki ich strzegą, prawda, ale noc bardzo ciemna i łatwo ich konfuzja ogarnie. A pomyśl no waćpan: w mieście o poddaniu myślą; dlaczego? Bo mówią: „Miny pod wami, nie obronicie się!" — Toż by im się gęby zamknęły, gdyby tak jeszcze dziś w nocy

posłać z wieścią: „Nie masz już min!” Dla takiej sprawy wartoli głową nałożyć czyli nie warto?

Pan Muszalski pomyślał chwilę, wreszcie zawołał:

— Warto! Dalibóg, warto!

— W jednym miejscu niedawno zaczęli kować — rzekł Wołodyjowski — i tych ostawim w spokoju, ale ot, z tej i z tamtej strony bardzo już się wryli. Weźmiesz waść pięćdziesięciu dragonów, wezmę ja tyluż i popróbujem ich przydusić. Masz waść ochotę?

— Ano, jest! Rośnie, rośnie! Wezmę za pas kilka gwoździ zadzierżystych do gwożdżenia armat, może się w drodze na jaką hakownicę natkniem.

— Czy się natkniem, wątpię, choć kilka hakownic blisko stoi, ale weź waść. Poczekamy tylko na Ketlinga, bo on lepiej od innych będzie wiedział, jak nam w nagłym razie przyjść w pomoc.

Ketling przyjechał, jak obiecał, jednej minuty nie uchybił, a w pół godziny potem dwa oddziały dragonów, po pięćdziesiąt ludzi każdy, zbliżyły się do wyłomu i poczęły się prześlizgiwać cicho na drugą stronę. Po czym znikli w ciemności. Ketling kazał rzucać jeszcze czas jakiś granaty, ale krótko, wreszcie zawiesił robotę i czekał. Serce biło mu niespokojnie, bo rozumiał dobrze, jak zuchwałe jest to przedsięwzięcie. Upłynął kwadrans, pół godziny, godzina; zdawało się, że już powinni byli dojść i poczynać, tymczasem przyłożywszy ucho do ziemi można było doskonale usłyszeć spokojne kowanie.

Nagle u stóp zamku ozwał się z lewej strony wystrzał pistoletowy, który zresztą w wilgotnym powietrzu i wobec strzelaniny z szańców nie rozległ się zbyt głośno i byłby może przebrzmiał bez zwrócenia na się uwagi załogi, gdyby nie wrzawa straszliwa, jaka nastała zaraz potem. „Doszli! — pomyślał Ketling. — Ale czy wrócą?” A tam zagrzmiały krzyki ludzkie, warczenie bębnów, świst piszczałek, wreszcie grzmot janczarek, pospieszny a bardzo bezładny. Strzelano ze wszystkich stron i tłumnie; widocznie całe oddziały nadbiegły w pomoc górnikom, lecz jak przewidywał pan Wołodyjowski, powstał zamęt i konfuzja ogarnęła janczarów, którzy w obawie, aby wzajem się nie razić, obwoływali się wielkimi głosami, paląc na oślep i po części w górę. Wrzaski i strzelanina wzmagały się z każdą chwilą. Jak gdy łakome krwi kuny wedrą się wśród głuchej nocy do uśpionego kurnika, w cichym budynku powstaje nagle niezmierny harmider i wrzawa, i gdakanie — taki warchoł uczynił się nagle wokół zamku. Z szańców poczęto ciskać na mury granaty, aby rozwidnić ciemność. Ketling, wyrychtowawszy

kilkanaście dział w kierunku strażowych wojsk tureckich, odpowiedział kartaczami. Rozgorzały aprosze tureckie, rozgorzały mury. W mieście poczęto bić w dzwony na trwogę, powszechne bowiem było mniemanie, że Turcy wdarli się już do fortecy. W szańcach sądzono przeciwnie, iż potężna wycieczka oblężonych atakuje wszystkie naraz roboty — i rozległ się alarm powszechny. Noc sprzyjała zuchwałemu przedsięwzięciu pana Wołodyjowskiego i Muszalskiego, bo uczyniła się bardzo ciemna. Wystrzały armatnie i granaty rozdzierały tylko na chwilę pomrokę, która potem stawała się jeszcze czarniejszą. Na koniec upusty niebieskie otworzyły się nagle i poczęły lać potoki dżdżu. Grzmoty zgłuszyły strzelaninę i zataczając się kołem, dudniąc, hucząc, budziły straszne echo w skałach. Ketling zeskoczył z wałów, pobiegł na czele kilkunastu ludzi do wyłomu i czekał.

Lecz nie czekał już długo. Wkrótce ciemne postacie zaroiły się między belkami, którymi zasłonięty był otwór.

— Kto idzie? — krzyknął Ketling.

— Wołodyjowski! — brzmiała odpowiedź.

I dwaj rycerze padli sobie po chwili w objęcia.

— Cóż, jak tam? — pytali oficerowie, których coraz więcej zbiegało się do wyłomu.

— Chwała Bogu! Górnicy wybici do nogi, narzędzia połamane i rozrzucone, na nic ich robota!

— Chwała Bogu! Chwała Bogu!

— A Muszalski ze swoimi jest już?

— Nie masz go jeszcze.

— Może by skoczyć im w pomoc? Mości panowie! Komu wola?

Ale w tej chwili wyłom zaroił się na nowo. To ludzie Muszalskiego wracali z pośpiechem i w znacznie pomniejszonej liczbie, bo ich siła od kul poległo. Wracali jednak radośnie, bo z równie pomyślnym skutkiem. Niektórzy żołnierze poprzynosili kilofy, świdry, oskardy do łamania skały, na dowód, że byli w samej minie.

— A gdzie pan Muszalski? — spytał Wołodyjowski.

— Prawda! Gdzie pan Muszalski? — powtórzyło kilka głosów.

Ludzie spod komendy przesławnego łucznika poczęli na się spoglądać, wtem jeden dragon, mocno ranny, ozwał się słabym głosem:

— Pan Muszalski poległ. Widziałem, jak padł, ja też padłem koło niego, alem się podniósł, on zaś ostał…

Rycerze bardzo się zmartwili usłyszawszy o śmierci łucznika, był to bowiem jeden z pierwszych kawalerów w wojskach Rzeczypospolitej. Wypytywano jeszcze dragona, jak się to stało, lecz ów odpowiadać nie mógł, gdyż krew ciurkiem z niego uchodziła, a wreszcie zwalił się jak snop na ziemię.

Rycerze zaś biadać poczęli z żalu po panu Muszalskim.

— Zostanie pamięć jego w wojsku — mówił pan Kwasibrocki — a kto to oblężenie przeżyje, ten imię jego będzie wysławiał.

— Nie narodzi się już taki drugi łucznik! — rzekł jakiś głos.

— Był to mąż najsilniejszy w ręku w całym Chreptiowie — ozwał się mały rycerz. — Talara on palcem przycisnąwszy, w świeżą deskę całkiem wpychał. Jeden tylko pan Podbipięta, Litwin, siłą go przenosił, ale ów pod Zbarażem zabit, a z żywych chyba by pan Nowowiejski na rękę mu wytrzymał.

— Wielka, wielka strata — mówili inni. — Tylko dawniej rodzili się tacy kawalerowie.

Tak uczciwszy pamięć łucznika poszli na wał. Wołodyjowski wnet pchnął gońca z wiadomością do pana generała i księdza biskupa, że miny popsowane, a górnicy przez wycieczkę pobici.

Z wielkim zdumieniem przyjęto tę nowinę w mieście, ale — któż by się spodziewał! — z tajoną niechęcią. I pan generał, i ksiądz biskup byli zdania, że te chwilowe tryumfy miasta nie uratują, a rozdrażnią tylko tym więcej srogiego lwa. Mogły być one pożyteczne tylko w takim razie, gdyby mimo nich zgodzono się na poddanie, toteż obaj główni przywódcy postanowili dalej traktaty prowadzić.

Lecz ani pan Wołodyjowski, ani Ketling nie przypuszczali nawet na chwilę, by taki tylko skutek miały wywrzeć przysłane przez nich szczęsne wieści. Byli, owszem, pewni, że teraz otucha wstąpi w najsłabsze serca i że wszyscy nową ochotą do zaciekłego oporu rozgorzeją. Bo miasta niepodobna było wziąć nie zdobywszy pierwej zamku, więc jeśli zamek nie tylko się opierał, ale w dodatku gromił, oblężeni nie mieli najmniejszej potrzeby uciekać się do układów. Zapasów był dostatek, prochów także; wobec tego należało tylko pilnować bram i gasić pożary w mieście.

Podczas całego oblężenia była to najradośniejsza noc dla małego rycerza i dla Ketlinga. Nigdy nie mieli tak wielkiej nadziei, że i sami wyjdą zdrowo z tych tureckich obieży, i równie zdrowo najdroższe głowy wyprowadzą.

— Jeszcze parę szturmów — mówił mały rycerz — a jak Bóg na niebie, Turcy się zniechęcą i głodem będą nas chcieli zniewolić. A owóż zapasów jest dość. September ci

to przy tym za pasem: za dwa miesiące poczną się słoty i zimna, niezbyt to wytrzymałe wojska; niech raz dobrze przemarzną, to i odejdą.

— Wielu z nich z krain etiopskich pochodzi — odrzekł Ketling — albo z różnych takich, w których pieprz rośnie, i tych lada zamróz zwarzy. Dwa miesiące w najgorszym razie, nawet przy szturmach wytrzymamy. Niepodobna też przypuścić, aby żadna odsiecz nie przybyła. Ocknie się wreszcie Rzeczpospolita, choćby zaś nawet pan hetman wielkiej potęgi nie zebrał, podjazdami będzie Turków nękał.

— Ketling! Tak mi się widzi, że nie wybiła jeszcze nasza godzina.

— W mocy to bożej, ale i mnie się tak widzi, że do tego nie przyjdzie.

— Chyba by któren poległ, jak pan Muszalski! Ano, trudna rada! Szkoda mi okrutna pana Muszalskiego, choć kawalerską poległ śmiercią!

— Nie daj nam Boże gorszej, byle nie zaraz, bo powiem ci, Michał, iż żal by mi było... Krzysi.

— Ba, a mnie Basi... No! Pracujem szczerze, ale też miłosierdzie jest nad nami. Okrutnie mi jakoś wesoło w duszy! Trzeba też będzie i jutro czegoś znacznego dokazać!

— Turcy porobili drewniane zasłony z belek na szańcach. Obmyśliłem taki sposób, jaki bywa do zapalania okrętów używany: szmaty moczą się już w smole i mam nadzieję, że jutro do południa spalę te wszystkie roboty.

— Ha! — rzekł mały rycerz. — To ja wycieczkę poprowadzę. Przy pożarze i tak się uczyni konfuzja, a przy tym w dzień do głowy im nie przyjdzie, by wycieczka mogła nastąpić. Jutro może być lepsze niż dziś, Ketling...

Tak to oni rozmawiali mając serca wezbrane, po czym udali się na spoczynek, bo wielce byli znużeni. Lecz mały rycerz nie spał trzech godzin, gdy rozbudził go wachmistrz Luśnia.

— Panie komendancie, nowiny są! — rzekł.

— Co tam? — zawołał czujny żołnierz zrywając się w jednej chwili na równe nogi.

— Pan Muszalski jest!

— Dla Boga! Co powiadasz?

— Jest! Stałem przy wyłomie, wtem słyszę, woła ktoś z drugiej strony po naszemu: „Nie strzelać, to ja!” Patrzę, aż tu pan Muszalski, za janczara przebrany, wraca!

— Bogu chwała! — rzekł mały rycerz.

I skoczył witać łucznika. Dniało już. Pan Muszalski stał z tej strony wału w białej kapuzie i karacenie, tak do prawdziwego janczara podobny, że oczom nie chciało się wierzyć. Ujrzawszy małego rycerza skoczył ku niemu i poczęli się witać radośnie.

— Jużeśmy waści opłakali! — zawołał Wołodyjowski.

Wtem nadbiegło kilku innych oficerów, między nimi Ketling. Wszyscy zdumiewali się nadzwyczajnie, za czym jęli wypytywać na wyścigi łucznika, jakim sposobem w tureckim przebraniu się znalazł, ów zaś zabrał głos i tak mówił:

— Przewróciłem się, wracając, przez janczarskiego trupa i głową o kulę leżącą wyciąłem, a choć czapkę miałem drutem przeszywaną, zamroczyło mnie zaraz, ile że od owego uderzenia, którem od Hamdiego otrzymał, rozum miałem jeszcze zbyt na wszelaki szwank czuły. Budzę się tedy potem: leżę ja ci na janczarze zabitym, jak na łóżku. Macam głowę, boli nieco, ale nawet i guza nie ma. Zdjąłem czapkę, deszcz mi wychłodził czuprynę i myślę sobie: dobra nasza! Wtem przyszło mi do głowy: nużbym z owego janczara moderunek cały zdjął i między Turków poszedł? Przecie ja po turecku tak jak po polsku gadam i nikt mnie po mowie nie pozna, z gęby też janczara nie odróżnić. Pójdę, posłucham, co gadają. Strach chwilami brał, bo mi się dawna niewola przypomniała, alem poszedł. Noc ciemna, ledwie się tam gdzie niegdzie u nich świeciło, to, powiadam waściom, żem tak sobie między nimi chodził jak między swymi. Wielu z nich w rowach pod przykrywkami leżało; poszedłem i tam. Ten i ów mnie pyta: „Czego się włóczysz?” — a ja na to: „Bo mi się nie chce spać!” Inni też gwarzyli kupami o oblężeniu. Konsternacja między nimi wielka. Na własne uszy słyszałem, jak na obecnego tu naszego chreptiowskiego komendanta wyrzekali. — Tu pan Muszalski skłonił się Wołodyjowskiemu. — Powtórzę ich ipsissima verba, bo to przecie wraża przygana na największą pochwałę wychodzi. „Dopóki (mówili) ten mały pies (tak psubraci waszą mość nazywali), dopóki ten mały pies zamku broni, nie zdobędziem go nigdy”. Inny mówi: „Jego się kula i żelazo nie ima, a śmierć od niego na ludzi wieje jak zaraza”. Tu poczęli wszyscy w kupie narzekać: „My jedni się bijem (prawią), a inne wojska nic nie robią; dżamak leży brzuchami do góry, Tatarowie rabują, spahia po bazarze się włóczy. Nam padyszach mówi: „Moi mili barankowie”, ale widać niezbyt jesteśmy mili, skoro nas tu na jatki przyprowadzono. Wytrzymamy (prawią), ale niedługo, potem zaś do Chocimia się wrócim, a jeśli pozwoleństwa nie dostaniem, to mogą i jakie znaczne głowy spaść w ostatku”.

— Słyszycie, waszmościowie! — krzyknął Wołodyjowski. — Gdy się janczary zbuntują, wraz się sułtan przelęknie i oblężenia zaniecha!

— Jak mi Bóg miły, tak szczerą prawdę powiadam! — mówił pan Muszalski. — Między janczarami nietrudno o rebelię, a już im bardzo mruczno. Tak myślę, że jeszcze

jednego albo dwóch szturmów spróbują, a potem zęby na janczar-agę, na kajmakana, ba, na samego sułtana wyszczerzą.

— Tak będzie! — zawołali oficerowie.

— Niech spróbują jeszcze i dwudziestu szturmów, gotowiśmy! — mówili inni.

I poczęli w szable trzaskać, rozpalonymi oczyma ku szańcom spoglądać i sapać, co słysząc mały rycerz szepnął w uniesieniu do Ketlinga:

— Nowy Zbaraż! Nowy Zbaraż!..

Lecz pan Muszalski zabrał na nowo głos:

— Oto, com słyszał. Żal mi było odchodzić, bo mogłem i więcej usłyszeć, alem się bał, że mnie dzień zaskoczy. Poszedłem tedy ku tym szańcom, z których nie strzelano, żeby się w pomroce przemknąć. Patrzę, aż tam nie ma porządnych straży, jeno kupami się janczarowie włóczą, jako i wszędzie. Podchodzę do srogiej armaty, nikt nie woła. A to pan komendant wie, żem zabrał ze sobą na wycieczkę zadziory do gwożdżenia armat. Wsunę prędko jeden w zapał — nie lezie, bo chcąc, żeby wlazł, trzeba młotkiem uderzyć. Ale że to Pan Bóg niejaką siłę w ręku dał (boście i waćpanowie moje eksperymenta nieraz widzieli), kiedy nie przycisnę dłonią, zazgrzytało trochę, ale gwóźdź wlazł po głowicę!... Uradowałem się okrutnie!...

— Dla Boga! Waćpan to uczynił? Waćpan wielką armatę zagwoździł? — pytano ze wszystkich stron.

— Uczyniłem i to, i drugie, bo jak tak gładko poszło, znowu żal było odchodzić i poszedłem do drugiego działa. Boli trochę ręka, ale gwoździe wlazły!

— Mości panowie! — zawołał Wołodyjowski — Nikt tu większej rzeczy nie dokazał, nikt się taką sławą nie okrył! Vivat pan Muszalski!

— Vivat! Vivat! — powtórzyli oficerowie.

Za oficerami poczęli krzyczeć żołnierze. Usłyszeli w szańcach te okrzyki Turcy i zlękli się — i tym bardziej im serca ubyło; łucznik zaś kłaniał się, pełen radości, oficerom i pokazując swą potężną do łopaty podobną dłoń, na której widać było dwie sine plamy, mówił:

— Dalibóg, prawda! Macie, waćpanowie, świadectwo!

— Wierzym! — wołali wszyscy. — Chwalić Boga, żeś nam szczęśliwie wrócił!

— Przemknąłem się przez belkowanie — odparł łucznik. — Chciało się owe roboty podpalić, ale nie było czym.

— Wiesz co, Michał — zawołał Ketling — moje szmaty gotowe. Zacznę ja o tym belkowaniu myśleć. Niech wiedzą, że pierwsi zaczepiamy.

— Poczynaj! Poczynaj! — krzyknął Wołodyjowski.

Sam zaś skoczył do cekhauzu i wysłał nową wiadomość do miasta:

„Pan Muszalski na wycieczce nie zabit, bo wrócił, dwa wielkie działa zagwoździwszy. Był między janczarami, którzy o buncie zamyślają. Za godzinę spalimy belkowania, a jeśli będzie można przy tym wyskoczyć, to wyskoczę”.

Jakoż goniec nie przebiegł jeszcze przez most, gdy mury zadrżały od huku dział. Zamek pierwszy tym razem rozpoczynał grzmiącą rozmowę. W bladym świetle poranku leciały płomienne płachty na kształt płonących chorągwi — i padały na belkowania. Nie pomogła nic wilgoć, którą nocny deszcz nasycił drzewo. Belki zajęły się wkrótce i poczęły się palić. Za płachtami jął Ketling sypać granaty. Znużone tłumy janczarów opuściły w pierwszej chwili szańce. Nie grano „kindii”. Nadjechał sam wezyr na czele nowych zastępów wojsk, lecz zwątpienie wkradło się widocznie i do jego serca, bo paszowie słyszeli, jak mruczał:

— Milsza im bitwa niż spoczynek! Co to za ludzie w tym zamku mieszkają?

W wojsku zaś słychać było na wszystkie strony trwożne głosy powtarzające:

— Mały pies kąsać poczyna! Mały pies kąsać poczyna!

Rozdział LVI

A gdy przeszła owa szczęśliwa noc pełna wróżb zwycięstwa, nastał po niej dzień 26 sierpnia, który miał się stać przeważnym w dziejach onej wojny. W zamku oczekiwano jakiegoś wielkiego wysiłku ze strony tureckiej. Jakoż o wschodzie słońca rozległo się znów kowanie po lewej stronie zamku, tak głośne i silne jak nigdy dotąd. Widocznie Turcy wiercili z pośpiechem nową minę, najpotężniejszą ze wszystkich. Wielkie oddziały wojsk strzegły opodal tej roboty.

Na szańcach mrowie poczęło się ruszać. Z mnóstwa barwistych sandżaków, którymi jakby kwieciem zakwitło pole od strony Dłużka, poznano, iż sam wezyr podjeżdża, aby kierować szturmem. Na szańce janczarowie pozaciągali nowe działa; prócz tego nieprzeliczone ich tłumy pokryły nowy zamek chroniąc się w jego fosach i gruzach, aby być w gotowości do ręcznego ataku.

Jako się rzekło, zamek pierwszy rozpoczął armatnią rozmowę, i tak skutecznie, że chwilowy popłoch powstał w szańcach. Lecz bimbaszowie sprawili na powrót w mgnieniu oka janczarów, jednocześnie zaś ozwały się wszystkie tureckie działa. Leciały kule, granaty, kartacze; leciał na głowy broniących się gruz, cegły, tynk; dym pomieszał

się z kurzawą, żar ognia z żarem słonecznym. Piersiom brakło powietrza, oczom widoku; huk armat, pękanie granatów, zgrzyt kul po kamieniach, wrzaski tureckie, okrzyki obrońców utworzyły jedną straszliwą kapelę, której do wtóru brzmiały echa skał. Zasypywano pociskami zamek, zasypywano miasto, wszystkie bramy, wszystkie baszty. Lecz zamek bronił się zaciekle, piorunami na pioruny odpowiadał, trząsł się, świecił, dymił, huczał, ział ogniem i śmiercią, i zniszczeniem, jakby go Jowiszowy gniew uniósł, jakby się zapamiętał wśród płomieni, jakby chciał zgłuszyć tureckie gromy i w ziemię się zapaść lub zwyciężyć.

Wśród zamętu, wśród lecących kul, ognia i kurzawy, i dymu mały rycerz rzucał się od działa do działa, od jednych murów do drugich, od rogu do rogu, sam do niszczącego płomienia podobny. Zdawał się dwoić i troić; był wszędzie, zachęcał, krzyczał, gdzie padł kanonier, tam on go zastępował — i wlawszy otuchę w piersi, znów biegł gdzie indziej. Zapał jego udzielił się żołnierzom. Uwierzyli, iż to ostatni szturm, po którym spokój i sława nastąpi — wiara w zwycięstwo przepełniała ich piersi, serca stały się harde i zaciekłe, szał bojowy ogarnął umysły. Okrzyki i wyzywania wyrywały się co chwila z ich gardzieli. Niektórych chwytała taka wściekłość, iż darli się za mur, by z bliska sczepić się z janczarami.

Owi dwakroć, pod zasłoną dymów, poszli zbitą masą do wyłomu i dwakroć, wymościwszy ciałami ziemię, cofnęli się w popłochu. O południu pchnięto im w pomoc masy pospolitego ruszenia i dżamaku, lecz mniej ćwiczone tłumy, lubo pobudzane z tyłu włóczniami, wyły tylko okropnymi głosami i nie chciały iść przeciw zamkowi. Nadjechał kajmakan — nic nie pomogło. Lada chwila groził powszechny, graniczący z obłędem popłoch, więc w końcu ludzi cofnięto i tylko działa po staremu pracowały bez wytchnienia, miotając grom za gromem, błyskawicę za błyskawicą.

Tak upływały całe godziny. Słońce już zeszło z zenitu i spoglądało na ową walkę bezpromienne, czerwone, zadymione, jakby srzeżogą przesłonięte.

Około trzeciej z południa huk dział doszedł do takiej potęgi, iż najgłośniej krzyczanych w ucho słów nie można było w murach dosłyszeć. Powietrze stało się w zamku gorące jak w piecu. Woda, którą polewano rozpalone działa, buchała w nich parą, mieszając się z dymem i przesłaniając świat, lecz działa grzmiały ciągle.

Zaraz po trzeciej rozbito dwie największe kolubryny tureckie. Moździerz stojący obok nich pękł, uderzony faskulą, w kilka pacierzy później. Kanonierowie ginęli jak muchy. Z każdą chwilą stawało się widoczniejszym, że ów niepokonany piekielny

zamek bierze górę w walce, że przekrzyczy tureckie grzmoty i że on wypowie ostatnie słowo... zwycięstwa.

Ogień turecki począł z wolna słabnąć.

— Koniec będzie! — krzyknął z całych sił Wołodyjowski w ucho Ketlinga, chcąc, ażeby go ten wśród huku dosłyszał.

— I ja tak myślę! — odrzekł Ketling. — Do jutra czy na dłużej?

— Może na dłużej. Dziś przy nas wiktoria!

— I przez nas!

— O tej nowej minie musim pomyśleć.

Ogień turecki osłabł jeszcze bardziej.

— Bijmy dalej z dział! — zawołał Wołodyjowski.

I skoczył między kanonierów.

— Ognia, chłopcy! — krzyknął — Póki ostatnie działo tureckie grać nie ustanie! Na chwałę Bogu i Przenajświętszej Pannie! Na chwałę Rzeczypospolitej! Ognia!

Żołnierze zaś widząc, że i ten szturm ma się już ku końcowi, ozwali się gromkim, radosnym okrzykiem i z tym większym zapałem poczęli walić ku szańcom tureckim.

— „Kindię" wam wieczorną, psubraty, zagramy, „kindię" — wołały liczne głosy.

Nagle stało się coś dziwnego. Oto wszystkie działa tureckie zamilkły od razu, jakby kto nożem uciął. Zamilkł również grzechot janczarek w nowym zamku. Stary zamek grzmiał jeszcze czas jakiś, lecz w końcu poczęli oficerowie spoglądać po sobie i pytać się wzajemnie:

— Co to jest? Co się stało?

Ketling, zaniepokojony nieco, powstrzymał również strzelaninę.

Jeden z oficerów ozwał się wówczas głośno:

— Chyba mina jest pod nami, którą zaraz podpalą!...

Wołodyjowski przeszył mówiącego groźnym wzrokiem.

— Mina niegotowa, a choćby była gotowa, wyleci od niej tylko lewa ściana zamku — i z gruzów będziem się bronili, póki tchu w nozdrzach — rozumiesz waść?

Po czym nastała cisza. Nie zmącił jej ani jeden wystrzał ni z miasta, ni z szańców. Po huku i grzmotach, od których trzęsły się mury i ziemia, było w tej ciszy coś uroczystego, ale zarazem i złowrogiego. Oczy wszystkich wytężały się ku szańcom, lecz zza chmury dymu nie było nic widać.

Nagle rozległy się od lewej strony miarowe uderzenia kilofów.

— Mówiłem, że minę kują dopiero! — ozwał się Wołodyjowski.

Tu zwrócił się do Luśni:

— Wachmistrz! Weźmiesz dwudziestu ludzi i wyjrzysz mi na nowy zamek.

Luśnia prędko spełnił rozkaz, wziął dwudziestu ludzi, a po chwili zniknął z nimi za wyłomem.

Nastało znów milczenie, przerywane tylko odzywającym się tu i owdzie chrapaniem lub czkawką konających, a także odgłosem kilofów.

Czekano dość długo, wreszcie wachmistrz zjawił się z powrotem.

— Panie komendancie — rzekł — w nowym zamku nie ma żywej duszy.

Wołodyjowski spojrzał ze zdziwieniem na Ketlinga:

— Czyby od oblężenia już odstąpili czy co? Przez dymy nic nie można dojrzeć!

Lecz dymy, zwiewane powiewem, rzedły i wreszcie opona ich przerwała się nad miastem.

W tej samej chwili jakiś głos okropny i przerażony począł krzyczeć z baszty:

— Nad bramami białe chorągwie! Poddajem się!

Usłyszawszy to żołnierze, oficerowie zwrócili się ku miastu. Straszliwe zdumienie odbiło się na twarzach, słowa zamarły wszystkim na ustach i przez smugi dymu patrzyli ku miastu.

A w mieście, na bramie Ruskiej i Lackiej, powiewały istotnie białe chorągwie, dalej widać było jeszcze jedną na baszcie Batorego.

Wówczas twarz małego rycerza stała się tak białą jak te chorągwie kolebiące się na wietrze.

— Ketling, widzisz? — szepnął zwracając się do przyjaciela.

Ketlingowi także twarz pobladła.

— Widzę — rzekł.

I czas jakiś patrzyli sobie w oczy mówiąc nimi wszystko, co mogli powiedzieć tacy dwaj żołnierze bez plamy i bojaźni, którzy nigdy w życiu nie złamali słowa, a którzy przed ołtarzem przysięgli wpierw zginąć niżby mieli zamek poddać. I oto teraz, po takiej obronie, po takiej walce, która zbaraskie dzieje przypominała, po odbitym szturmie i po zwycięstwie, kazano im złamać przysięgę, wydać zamek i żyć!

Jak niedawno złowrogie kule przelatywały nad zamkiem, tak teraz złowrogie myśli przelatywały im tłumem przez głowę. I żal ściskał im serca po prostu bezdenny, żal dwóch ukochanych istot i żal życia i szczęścia, więc spoglądali na się jak błędni, jak martwi, a czasem zwracali wzrok pełen rozpaczy ku miastu, jakby się chcąc przekonać, czy ich oczy nie zwodzą i czy istotnie godzina wybiła.

A tymczasem od strony miasta zatętniały kopyta końskie i po chwili wpadł Horaim, rękodajny młodzian pana generała podolskiego.

— Rozkaz do komendanta! — krzyknął osadzając bachmata.

Wołodyjowski wziął rozkaz, przeczytał go w milczeniu i po chwili wśród grobowej ciszy ozwał się do oficerów:

— Mości panowie! Komisarze przejechali czółnem rzekę i już udali się do Dłużka dla podpisania ugody. Za chwilę będą tedy wracać. Do wieczora mamy wyprowadzić wojsko z zamku, a białą chorągiew zatknąć nie mieszkając...

Nikt nie ozwał się słowem. Słychać było tylko szybkie oddechy i sapanie.

Wreszcie Kwasibrocki przemówił:

— Trzeba chorągiew zatknąć. Ludzi zaraz zgromadzę!...

Wnet tu i owdzie rozległy się słowa komendy. Żołnierze poczęli się zwierać w szeregi i brać na ramię broń. Dźwięk muszkietów i miarowe ich stąpania budziły echa w milczącym zamku.

Ketling przysunął się do Wołodyjowskiego.

— Czas? — spytał.

— Czekaj na komisarzy, dowiemy się kondycyj... Wreszcie ja sam tam zejdę.

— Nie! Ja zejdę, ja lepiej lochy znam i wiem, gdzie co jest.

Dalszą rozmowę przerwały im głosy wołające:

— Komisarze wracają! Komisarze wracają!

Jakoż po niejakim czasie trzej nieszczęśni wysłannicy ukazali się na zamku. Byli to: sędzia podolski Gruszecki, stolnik Rzewuski i chorąży czernihowski pan Myśliszewski. Szli ponuro, z pospuszczanymi głowami. Na grzbietach ich mieniły się kaftany ze złotogłowiu, które w darze od wezyra dostali.

Wołodyjowski czekał ich oparty o ciepłe jeszcze i dymiące działo skierowane ku Dłużkowi. Wszyscy trzej powitali go w milczeniu, a on spytał:

— Jakie kondycje?

— Miasto nie będzie rabowane, mieszkańcom życie i mienie zapewnione. Każden, kto nie zechce zostać, ma prawo wyjść i udać się, gdzie mu się będzie podobało.

— A Kamieniec i Podole?

Komisarze pospuszczali głowy:

— Na sułtana... po wieki wieków!...

Po czym komisarze odeszli nie ku mostowi, bo tam już tłumy ludu zawaliły drogę, ale w bok, przez południową bramę. Zeszedłszy na dół, siedli w czółno, którym aż do

Lackiej bramy mieli dojechać. W nizinie leżącej między opokami wzdłuż rzeki zaczęli się już pokazywać janczarowie. Z miasta napływały coraz większe fale ludu i zajęły plac naprzeciw starego mostu. Wielu chciało biec na zamek, lecz wychodzące regimenta powstrzymały ich z rozkazu małego rycerza.

Ów sprawiwszy wojsko przywołał pana Muszalskiego i rzekł mu:

— Stary przyjacielu, oddajże mi jedną przysługę: idź zaraz do żony mojej i powiedz jej ode mnie...

Tu głos uwiązł na chwilę w gardle małemu rycerzowi.

— I powiedz jej ode mnie: Nic to! — dodał prędko.

Łucznik odszedł. Za nim wychodziło powoli wojsko.

Wołodyjowski siadł na konia i czuwał nad wymarszem. Zamek opróżniał się, ale marudnie, z przyczyny zawadzającego gruzu i złamów.

Ketling zbliżył się do małego rycerza.

— Schodzę! — rzekł zaciskając zęby.

— Idź, jeno zwlecz, póki wojsko nie wyjdzie... Idź!...

Tu wzięli się w ramiona i przez pewien czas tak trwali. Oczy obydwom błyszczały nadzwyczajnym światłem... Ketling skoczył wreszcie w kierunku lochów...

Wołodyjowski zaś zdjął hełm z głowy; chwilę spoglądał jeszcze na tę ruinę, na to pole chwały swojej, na gruzy, trupy, odłamy murów, na wał i na działa, następnie podniósłszy oczy w górę, począł się modlić...

Ostatnie jego słowa były:

— Daj jej, Panie, moc, by zaś cierpliwie to zniosła, daj jej spokój!...

Ach!... Ketling pospieszył się, nie czekając nawet na wyjście regimentów, bo w tej chwili zakołysały się bastiony, huk straszliwy targnął powietrzem: blanki, wieże, ściany, ludzie, konie, działa, żywi i umarli, masy ziemi — wszystko to porwane w górę płomieniem, pomieszane, zbite jakby w jeden straszliwy ładunek, wyleciało w powietrze...

Tak zginął Wołodyjowski, Hektor Kamieniecki, pierwszy żołnierz Rzeczypospolitej.

W kolegiacie stanisławowskiej stał na środku kościoła wysoki katafalk rzęsiście obstawiony świecami, a na nim leżał w dwóch trumnach, ołowianej i drewnianej, pan Wołodyjowski. Wieka były już zabite i właśnie odprawiano pogrzeb. Życzeniem serdecznym wdowy było, by ciało spoczęło w Chreptiowie, lecz że całe Podole było w rękach nieprzyjacielskich, więc tymczasowo miano je pochować w Stanisławowie, do

tego bowiem miasta odesłani zostali pod konwojem tureckim kamienieccy exules i tu wydani w ręce wojsk hetmańskich.

Wszystkie dzwony biły w kolegiacie. Kościół zapełniony był tłumem szlachty i żołnierzy, którzy ostatni raz chcieli rzucić okiem na trumnę Hektora Kamienieckiego i pierwszego Rzeczypospolitej kawalera. Szeptano, że sam hetman ma na pogrzeb przyjechać, że jednak nie było go dotąd widać, a lada chwila mogli nadejść czambułem Tatarzy, przeto postanowiono nie odkładać ceremonii.

Starzy żołnierze, przyjaciele lub podkomendni nieboszczyka, stanęli wieńcem koło katafalku. Byli między innymi obecni: pan Muszalski, łucznik, i pan Motowidło, i pan Snitko, i pan Hromyka, i pan Nienaszyniec, i pan Nowowiejski, i wielu innych, dawnych oficerów ze stanicy. Dziwnym trafem nie brakło prawie nikogo z tych, którzy niegdyś zasiadali wieczorami ławy przy ognisku chreptiowskim; wszyscy wynieśli cało głowy z tej wojny, tylko ów, który im był wodzem i wzorem, ów rycerz dobry i sprawiedliwy, straszny dla nieprzyjaciół, słodki dla swoich, tylko ów, szermierz nad szermierze z sercem gołębia — leżał oto wysoko, wśród światła, w chwale niezmiernej, ale w ciszy śmierci.

Zatwardziałe przez wojnę serca kruszyły się z żalu na ów widok; żółte błyski od świec oświecały srogie, strapione twarze wojowników i odbijały się błyszczącymi skrami we łzach płynących z oczu. W środku żołnierskiego koła leżała krzyżem na podłodze Basia, a obok niej stary, zniedołężniały, złamany i trzęsący się pan Zagłoba. Ona przyszła tu piechotą z Kamieńca za wozem wiozącym najdroższą trumnę, a teraz właśnie przyszła chwila, że trzeba było tę trumnę oddać ziemi. Przez całą drogę idąc nieprzytomna, jakby nie do tego świata należąca — i teraz, przy tym katafalku, powtarzała bezświadomymi usty: „Nic to!” — powtarzała, bo tak jej kazał ten ukochany, bo to były ostatnie wyrazy, które jej przesłał; ale w tym powtarzaniu i w tych wyrazach były tylko dźwięki bez treści, bez prawdy, bez znaczenia i otuchy. Nie „nic to” było — jeno żal, ciemność, rozpacz, martwota, jeno nieszczęście niepowrotne, jeno życie zabite i złamane, jeno błędna świadomość, że już nie ma nad nią ni miłosierdzia, ni nadziei, a jest tylko pustka i będzie pustka, którą wypełnić może jeden Bóg, kiedy śmierć ześle.

Dzwony biły; u wielkiego ołtarza kończyła się msza. Na koniec zabrzmiał wysoki, jakby z otchłani wołający głos księdza: „Requiescat in pace!” Drgania febryczne wstrząsnęły Basią, a w nieprzytomnej głowie zerwała się tylko jedna myśl: „Już, już mi go zabiorą!...” Lecz nie był to jeszcze koniec ceremonii. Rycerstwo przygotowało liczne mowy, które miały być wypowiedziane przy spuszczaniu trumny w dół, tymczasem zaś

wyszedł na ambonę ksiądz Kamiński, ten sam, który dawniej w Chreptiowie często przesiadywał i który w czasie choroby Basi na śmierć ją dysponował.

W kościele poczęli ludzie chrząkać i kasłać, jako zwykle przed kazaniem, po czym ucichli i wszystkie oczy zwróciły się na ambonę.

Wtem z ambony ozwało się warczenie bębna.

Zdumieli się słuchacze. Ksiądz Kamiński zaś bił w bęben, jakby na trwogę; nagle urwał i nastała cisza śmiertelna. Po czym warczenie ozwało się po raz drugi, trzeci; nagle ksiądz Kamiński cisnął pałeczki na podłogę kościelną, podniósł obie ręce w górę i zawołał:

— Panie pułkowniku Wołodyjowski!

Odpowiedział mu krzyk spazmatyczny Basi. W kościele uczyniło się po prostu straszno. Pan Zagłoba podniósł się i na współkę z panem Muszalskim wynieśli omdlałą niewiastę z kościoła.

Tymczasem ksiądz wołał dalej:

— Dla Boga, panie Wołodyjowski! Larum grają! Wojna! Nieprzyjaciel w granicach! A ty się nie zrywasz! Szabli nie chwytasz? Na koń nie siadasz? Co się stało z tobą, żołnierzu? Zaliś swej dawnej przepomniał cnoty, że nas samych w żalu jeno i trwodze zostawiasz?

Wezbrały rycerskie piersi i płacz powszechny zerwał się w kościele, i zrywał się jeszcze kilkakrotnie, gdy ksiądz cnotę, miłość ojczyzny i męstwo zmarłego wysławiał, a i kaznodzieję porwały własne słowa. Twarz mu pobladła, czoło okryło się potem, głos drżał. Uniósł go żal nad zmarłym rycerzem, żal nad Kamieńcem, żal nad zgnębioną rękoma wyznawców księżyca Rzecząpospolitą, i taką wreszcie kończył swoją mowę modlitwą:

— Kościoły, o Panie, zmienią na meczety i Koran śpiewać będą tam, gdzieśmy dotychczas Ewangelię śpiewali. Pogrążyłeś nas, Panie, odwróciłeś od nas oblicze Twoje i w moc sprośnemu Turczynowi nas podałeś. Niezbadane Twoje wyroki, lecz kto, o Panie, teraz opór mu stawi? Jakie wojska na kresach wojować go będą? Ty, dla którego nic nie jest w świecie zakryte. Ty wiesz najlepiej, że nie masz nad naszą jazdę! Która ci, Panie, tak skoczy, jako nasza skoczyć potrafi? Takichże obrońców się pozbywasz, za których plecami całe chrześcijaństwo mogło wysławiać imię Twoje? Ojcze dobrotliwy! Nie opuszczaj nas! Okaż miłosierdzie Twoje! Ześlij nam obrońcę, ześlij sprośnego Mahometa pogromcę, niech tu przyjdzie, niech stanie między nami, niech podniesie upadłe serca nasze, ześlij go, Panie!...

W tej chwili rum uczynił się przy drzwiach i do kościoła wszedł pan hetman Sobieski. Oczy wszystkich zwróciły się na niego, dreszcz jakiś wstrząsnął ludźmi, a on szedł z brzękiem ostróg ku katafalkowi, wspaniały, z twarzą rzymskiego cezara, ogromny...

Zastęp żelaznego rycerstwa szedł za nim.

— Salvator! — krzyknął w proroczym uniesieniu ksiądz.

A on klęknął przy katafalku i począł się modlić za duszę Wołodyjowskiego.

EPILOG

W rok przeszło po upadku Kamieńca, gdy uciszyły się jako tako niezgody stronnictw, wystąpiła nareszcie Rzeczpospolita w obronie swych granic wschodnich.

I wystąpiła zaczepnie. Wielki hetman Sobieski poszedł w trzydzieści jeden tysięcy jazdy i piechoty w sułtańskie ziemie, pod Chocim, by uderzyć na potężniejsze nierównie zastępy Husseina-baszy stojącego pod tymże zamkiem.

Imię pana Sobieskiego było już straszne nieprzyjacielowi. Przez ów rok po upadku Kamieńca, mając zaledwie kilka tysięcy wojska, tyle dokazał, tak poszarpał niezliczoną armię padyszacha, tyle wygniótł czambułów, tak wielkie odbił tłumy jasyru, że stary Hussein, lubo liczbą wojsk potężniejszy, lubo na czele wyborowego komuniku stojący, lubo przez Kapłana-baszę wspomagany, nie śmiał hetmanowi stawić czoła w otwartym polu i w warownym postanowił się bronić obozie.

Hetman otoczył wojskami ów obóz i wiadomo było powszechnie, iż chce wstępnym bojem go zdobyć. Mniemali wprawdzie niektórzy, iż niesłychane to jest w dziejach wojen przedsięwzięcie, by z mniejszą siłą porywać się na większą, której w dodatku wały i rowy bronią. Hussein miał sto dwadzieścia dział, w całym zaś polskim obozie było ich tylko pięćdziesiąt. Piechoty tureckie trzykroć przenosiły potęgą hetmańskie; samych janczarów, tak strasznych w ręcznym boju, stało w tureckich wałach przeszło ośmnaście tysięcy. Lecz hetman wierzył w swoją gwiazdę, urok swego imienia — i na koniec w wojska, które prowadził.

Szły bowiem pod nim pułki doświadczone i hartowane w ogniu, ludzie, którzy od dziecinnych lat we wrzawie wojennej wzrośli, odbyli niezliczoną ilość pochodów, wypraw, oblężeń, bitew. Wielu pamiętało jeszcze straszne Chmielnickiego czasy, Zbaraż i Beresteczko; wielu przetrwało wszystkie wojny: szwedzkie, pruskie, moskiewskie, domowe, duńskie i węgierskie. Były tam poczty pańskie z samych weteranów złożone, byli żołnierze ze stanic, dla których wojna stała się tym, czym dla innych pokój: zwykłym stanem i trybem życia. Pod wojewodą ruskim stało piętnaście chorągwi husarii, jazdy nawet przez cudzoziemców za nieporównaną uważanej; były

chorągwie lekkie, te same właśnie, na których czele takie klęski zadał hetman już po upadku Kamieńca rozproszonym czambułom tatarskim; były na koniec piechoty łanowe, które z kolbami, bez wystrzału, umiały się rzucać na janczarów.

Hodowała tych ludzi wojna, bo hodowała ona w Rzeczypospolitej całe pokolenia; lecz byli dotychczas rozproszeni albo w usługach wrogich stronnictw. Teraz, gdy zgoda wewnętrzna powołała ich do jednego obozu i pod jedną komendę, spodziewał się hetman zgnieść nimi potężniejszego Husseina i równie potężnego Kapłana. Prowadzili tych ludzi doświadczeni przywódcy, których imiona zapisane były również niejednokrotnie w dziejach ostatnich wojen, w zmiennej kolei klęsk i zwycięstw.

Sam hetman jako słońce stał na czele wszystkich i wolą swoją tysiącami kierował, lecz jacyż byli inni przywódcy, którzy przy tym chocimskim obozie nieśmiertelną mieli się okryć sławą?

Oto było tam dwóch hetmanów litewskich: wielki — Pac i polny — Michał Kazimierz Radziwiłł. Ci na kilka dni przed bitwą połączyli się z wojskami koronnymi, a teraz z rozkazu pana Sobieskiego stanęli na wyżniach łączących Chocim ze Żwańcem. Dwanaście tysięcy wojowników słuchało ich rozkazów, między nimi zaś było dwa tysiące wybornej piechoty. Od Dniestru ku południowi stały sprzymierzone pułki wołoskie, które w przededniu bitwy opuściły obóz turecki, aby się z chrześcijany połączyć. Obok Wołochów stał z artylerią pan Kątski, w zdobywaniu obronnych miejsc, sypaniu wałów i kierowaniu armatą nieporównany. W cudzoziemskich krajach on się w tej sztuce ćwiczył, lecz wkrótce i cudzoziemców nią przewyższył. Za panem Kątskim stały piechoty ruskie i mazurskie Koryckiego; dalej pan hetman polny Dymitr Wiśniowiecki, chorego króla brat stryjeczny. Ten jazdę lekką miał pod sobą. Obok niego osadził się z własnymi chorągwiami piechoty i jazdy pan Jędrzej Potocki, nigdy hetmana przeciwnik, dziś wielkości jego wyznawca. Za nim i za Koryckim stanęło pod panem Jabłonowskim, wojewodą ruskim, piętnaście chorągwi husarskich, w błyszczących pancerzach, w hełmach rzucających groźne cienie na twarze, ze skrzydłami u ramion. Las włóczni sterczał nad nimi, lecz oni stali w spokoju, ufni w siłę nieprzełamaną i pewni, że im przyjdzie zwycięstwo rozstrzygnąć.

Z mniejszych zaś — nie męstwem, ale znaczeniem — wojowników był pan kasztelan podlaski Łużecki, któremu brata w Bodzanowie Turcy ścięli, za co im wieczną zemstę poprzysiągł; był pan Stefan Czarniecki, wielkiego Stefana synowiec, pisarz polny koronny. On w czasie oblężenia Kamieńca, pod Gołębiem na czele hassy szlacheckiej po stronie króla stojąc, ledwie że wojny domowej nie wzniecił, teraz zaś męstwem

pragnął na lepszym polu zabłysnąć. Był pan Gabriel Silnicki, któremu wiek życia zszedł na wojnach, a starość ubieliła już głowę; byli różni inni wojewodowie i kasztelanowie, mniej z poprzednich wojen znani, mniej sławni, lecz tym bardziej sławy chciwi.

A między rycerstwem w senatorskie godności nieprzystrojonym błyszczał nad innych pan pułkownik Skrzetuski, słynny zbarażczyk, żołnierz na wzór rycerstwu podawany, wszystkich wojen, jakie od trzydziestu lat prowadziła Rzeczpospolita, uczestnik. Sędzielizna pokrywała mu już głowę, lecz za to otaczało go sześciu synów siłą do sześciu dzików podobnych. Z tych starsi poznali już wojnę, dwaj najmłodsi zaś prymicje dopiero odbyć mieli i dlatego tak wielką do bitwy płonęli żądzą, iż ojciec roztropnymi słowy niecierpliwość ich hamować musiał.

Z wielkim szacunkiem patrzyli towarzysze na ojca i synów, lecz większy jeszcze podziw wzbudzał pan Jarocki, który na oba oczy ślepym będąc, wzorem owego króla czeskiego, Jana, na wyprawę jednak pociągnął. Dzieci ni krewnych on nie miał, pachołkowie prowadzali go pod ramiona, miał tylko nadzieję, że w bitwie głowę złoży, ojczyźnie się przysłuży i sławę pozyska. Tamże był pan Rzeczycki, któremu ojciec i brat w ciągu tego roku polegli. Tamże był pan Motowidło, który świeżo z niewoli tatarskiej się wyrwawszy, w pole zaraz wyciągnął na współkę z panem Myśliszewskim. Pierwszy bowiem za niewolę chciał się pomścić, drugi za krzywdę, jakiej w Kamieńcu doznał, gdy wbrew układom i godności szlacheckiej kijami przez janczarów był zbity. Byli i rycerze dawni ze stanic naddniestrzańskich, więc zdziczały pan Ruszczyc i niezrównany łucznik, pan Muszalski. Ów z Kamieńca zdrową głowę wyniósł dlatego, iż go mały rycerz do żony z wieścią wysłał; był pan Snitko i pan Nienaszyniec, i pan Hromyka, i najnieszczęśliwszy ze wszystkich młody pan Nowowiejski.

Temu przyjaciele nawet i krewni śmierci życzyli, albowiem nie było już dla niego pociechy. Po przyjściu do zdrowia przez cały rok czambuły znosił, szczególniej zaś Lipków ścigał zawzięcie. Po rozbiciu pana Motowidły przez Kryczyńskiego — za Kryczyńskim Podole całe zjeździł odetchnąć mu nie dając i ciężki mu był niezmiernie. W tych wyprawach Adurowicza schwytał i ze skóry obedrzeć go kazał, jeńców nie żywił, lecz ulgi w boleści nie znalazł. Na miesiąc przed tą bitwą do husarii pana wojewody ruskiego się zaciągnął.

Z takim to rycerstwem stanął pod Chocimiem pan Sobieski. Za krzywdy Rzeczypospolitej w pierwszym rzędzie, lecz i za swoje prywatne pragnęli się mścić ci żołnierze, albowiem w ciągłych z pogaństwem walkach na tej krwią przesiąkniętej ziemi niemal każdy jakieś kochane głowy utracił, jakichś stasznych nieszczęść nosił w sobie

wspomnienie. Kwapił się więc do bitwy hetman wielki widząc, iż zaciekłość w sercach jego żołnierzy do zaciekłości lwicy może być porównaną, której niebaczni myśliwi małe wybrali z komyszy.

Dnia 9 listopada 1673 roku od harców poczęła się wyprawa. Gromady Turków wychyliły się od rana zza wałów, gromady polskiego rycerstwa pospieszyły ku nim chciwie. Padali ludzie z obu stron, z większą jednak turecką szkodą. Znacznych wszelako kilku tylko i Turków, i Polaków poległo. Pana Maja zaraz z początku potyczki olbrzymi spahia sztychem krzywej szabli przeszył, lecz za to najmłodszy Skrzetuski jednym cięciem całkiem prawie owemu głowę odciął, czym na pochwały roztropnego ojca i na sławę znaczną zarobił.

Tak to oni potykali się kupami lub pojedynczo, w innych zaś patrzących na walkę rosło serce i ochota coraz większa wzbierała. Tymczasem oddziały wojska rozstawiały się naokół obozu tureckiego, gdzie któremu hetman naznaczył. Sam on stojąc za piechotą Koryckiego, na starej drodze jasskiej, obejmował oczyma cały ogromny obóz Husseina i na twarzy miał ten pogodny spokój, jaki ma mistrz pewny swej sztuki, zanim do dzieła przystąpi. Od czasu do czasu ordynansów z rozkazami wysyłał, to zamyślonym wzrokiem spoglądał na walkę harcowników. Pod wieczór przyjechał do niego wojewoda ruski.

— Wały tak obszerne — rzekł — iż niepodobna naraz ze wszystkich stron nastąpić.

— Jutro będziem na wałach, a pojutrze we trzy kwatery wytniem tych ludzi — odrzekł spokojnie pan Sobieski.

Tymczasem zaszła noc. Harcownicy ściągnęli z pola. Hetman rozkazał przybliżyć się w ciemnościach wszystkim oddziałom do wałów, czemu Hussein przeszkadzał, ile mógł, z dział wielkiego kalibru, ale bez skutku. Nad ranem znów poruszyły się nieco naprzód polskie oddziały. Piechoty poczęły sypać przed sobą szańczyki. Niektóre regimenta „przytarły na dobre strzelenie z muszkietu". Jakoż janczarowie jęli gęsto dawać ognia ze strzelb. Z rozkazu hetmana nie odpowiadano jednak na ów ogień prawie wcale, natomiast piechota przygotowywała się do ataku wręcz. Żołnierze czekali tylko rozkazu, by rzucić się zapalczywie naprzód. Nad wydłużoną ich linią przelatywały również ze świstem i szumem kartacze, jakoby stada ptastwa. Artyleria pana Kątskiego, rozpocząwszy walkę o świcie, nie zmilkła dotąd ani na jedną chwilę. Po bitwie dopiero okazało się, jak wielkie spustoszenia uczyniły jej pociski padając na miejsca najgęściej obstawione namiotami spahii i janczarów.

Tak zeszło do południa, ale że dzień, jako w listopadzie, był krótki, więc należało się spieszyć. Naraz huknęły wszystkie bębny, kotły, krzywuły. Kilkanaście tysięcy gardzieli zawrzasło jednym głosem i piechoty, wspomagane przez następującą tuż lekką jazdę, ruszyły gęstym tłumem do ataku.

„Naraz z piąci stron zaatakował Turków Jegomość". — Jan Dennemark i Krzysztofor de Bohan, wojownicy doświadczeni, wiedli cudzoziemskie pułki. Pierwszy, zapalczywy z natury będąc, gnał tak zaciekle, iż przed innymi dotarł do wałów i o mało regimentu nie zgubił, gdyż salwę kilkunastu tysięcy samopałów wytrzymać musiał. Sam legł; żołnierze chwiać się poczęli, lecz właśnie w tej chwili przyszedł im w pomoc de Bohan i popłoch powstrzymał. Ów spokojnym, jakoby na mustrze i do taktu kapeli zastosowanym krokiem przebył całą przestrzeń aż do tureckich wałów, na salwę salwą odpowiedział, a gdy zarzucono faszynami fosę, pierwszy ją pod gradem kul przebył, skłonił się janczarom kapeluszem i pierwszy szpadą chorążego na wylot przeszył. Skoczyli, uniesieni przykładem takiego pułkownika, żołnierze i rozpoczęły się straszliwe zapasy, w których sforność i ćwiczenie szły z dzikim męstwem janczarów o lepszą.

A spieszonych dragonów prowadzili od strony wioski Tarabanów Tetwin i Doenhoff, drugi zaś regiment Aswer Greben i Hajdepol, wszyscy żołnierze wyborni, którzy prócz Hajdepola jeszcze pod panem Czarnieckim w Danii sławą niepomierną się okryli. Lud pod nimi szedł rosły i cięty, wybrany z poddanych po królewszczyznach, wielce do pieszej i jezdnej walki sprawny. Bramy przeciw nim bronił dżamak, to jest nieregularni janczarowie, dlatego też, choć tłumy ich były ogromne, wnet poczęli się mieszać i ustępować, gdy zaś do ręcznej pracy przyszło, bronili się o tyle tylko, o ile nie mogli do odwrotu znaleźć miejsca. Brama ta najpierw też została zdobyta i najpierw mogła przez nią jazda do środka obozu przeniknąć.

A na czele piechoty łanowej polskiej uderzyli na okopy w trzech innych miejscach panowie Kobyłecki, Michał Żebrowski, Piotrkowczyk i Gałecki. Najstraszliwsza walka zawrzała przy głównej bramie, na drogę jasską wychodzącej, gdzie Mazurowie zwarli się z gwardią Husseina-baszy. Głównie jemu o tę bramę chodziło, albowiem przez nią mogła się wlać do obozu jazda polska, dlatego postanowił bronić jej najuporczywiej i ustawicznie pchał ku niej oddziały janczarów. Łanowe piechoty, opanowawszy zrazu bramę, wytężały następnie wszystkie siły, by się przy niej utrzymać. Spędzały ich działa i grad kul ze strzelby ręcznej, a do tego z kłębów dymu wychylały się coraz to nowe watahy wojowników biegnących do ataku. Wówczas pan Kobyłecki nie czekając, aż

dojdą, rzucał się ku nim na kształt rozjuszonego niedźwiedzia i dwie ściany ludzkie parły się i przepychały w ścisku, zamęcie, zwichrzeniu, w potokach krwi i na stosach trupów ludzkich. Bito się tam na wszelką broń: na szable, noże, kolby od muszkietów, na łopaty, drągi, ośniki; godzono w siebie kamieniami; wreszcie tłok czynił się chwilami tak straszliwy, że ludzie chwytali się wpół i walczyli na pięści i zęby. Hussein próbował dwakroć złamać za pomocą impetu jazdy piechotę, lecz piechurowie za każdym razem wpadli na nią z tak „ekstraordynaryjną rezolucją", iż musiała się cofać w nieładzie. Użalił się wreszcie ich pracy pan Sobieski i posłał im wszystką czeladź obozową na pomoc.

Na czele stanął pan Motowidło. Hałastra ta, zwykle nieużywana do boju i zbrojna w broń lada jaką, skoczyła jednak z taką ochotą, iż obudziła podziw w samym hetmanie. Być może, iż zagrzewała ich chciwość łupów, być może, iż ogarnął ich zapał, jaki ożywiał dnia tego całe wojsko, dość, że uderzyli jak w dym na janczarów i poczęli się z nimi zmagać tak zaciekle, iż w pierwszym impecie zepchnęli ich na odległość strzału muszkietowego od bramy. Hussein rzucił w zamęt bojowy nowe pułki i walka, odnowiwszy się w mgnieniu oka, trwała całe godziny. Lecz przez ten czas Korycki na czele wybranych pułków osadził silnie bramę, z dala poruszyła się husaria, na kształt olbrzymiego ptaka zrywającego się leniwie do lotu, i poczęła sunąć ku bramie.

Jednocześnie też przybiegł ordynans do hetmana od wschodniej strony obozu.

— Pan wojewoda bełski w wałach! — krzyknął zdyszaną piersią.

Po nim drugi:

— Panowie hetmani litewscy w wałach.

Po nich nadbiegli inni, ciągle z tą samą wieścią. Mrok już czynił się na świecie, ale od twarzy hetmana biło światło. Zwrócił się do pana Bidzińskiego, który w tej chwili był przy nim, i rzekł:

— Teraz na jazdę kolej, ale to się dopiero jutro stanie.

Nikt jednak i w polskim wojsku, i w tureckim nie wiedział i nie przypuszczał, że hetman ogólny atak wszystkich sił zamierza do następnego rana odłożyć. Owszem, oficerowie ordynansowi skoczyli do rotmistrzów z poleceniem, by każdej chwili byli gotowi. Piechota stała w zwartych szeregach, jeździe paliły się ręce, szable i kopie. Wszyscy oczekiwali rozkazu z niecierpliwością, bo ludzie byli wygłodniali i zziębnięci.

Lecz rozkaz nie przychodził, a tymczasem upływały godziny. Noc stała się czarna jak kir. Już w czasie dnia rozpoczęła się słota, o północku zaś zerwał się wicher z lodowatym deszczem i śniegiem. Uderzenia jego mroziły szpik w kościach; konie ledwie mogły

ustać na miejscu, ludzie drętwieli. Największy mróz, byle suchy, nie mógłby być tyle dokuczliwym, ile ten wicher, śnieg i deszcz, zacinający jak biczem. W oczekiwaniu ustawicznym hasła ani było można myśleć o jedzeniu, piciu lub rozpaleniu ogniska. Z każdą godziną czas stawał się straszniejszy. Była to pamiętna noc, „noc męki i szczękania zębami". Głosy rotmistrzów: „Stać! Stać!", — odzywały się co chwila i przyuczony do karności żołnierz stał w największej gotowości, bez ruchu, ale cierpliwie.

Naprzeciw zaś, w dżdżu, wichrze i pomroce, stały w tej samej gotowości skostniałe pułki tureckie.

I między nimi nikt nie palił ognia, nikt nie jadł, nie pił. Atak wszystkich sił polskich lada chwila był spodziewany, więc spahia nie mogła popuścić szabel z ręki, janczarowie zaś stali murem z samopałami gotowymi do strzału. Wytrzymały żołnierz polski, przywykły do srogości zimy, mógł taką noc przetrzymać, ale ci ludzie wyhodowani w słodkim klimacie Rumelii lub wśród palm Azji Mniejszej cierpieli więcej, niż siły ich znieść mogły. Husseinowi stało się na koniec jasnym, dlaczego Sobieski nie poczyna ataku: oto ten zlodowaciały deszcz z wichrem był najlepszym lackim sprzymierzeńcem. Rzecz była widoczna, iż jeśli spahia i janczarowie postoją tak dwanaście godzin, to nazajutrz będą się kładli jak snopy, nie próbując się nawet bronić, póty przynajmniej, póki ich żar samej bitwy nie rozgrzeje.

Zrozumieli to i Polacy, i Turcy. Koło godziny czwartej w nocy przybyli do Husseina dwaj baszowie: Janisz-basza i Kiaja, dowódca janczarów, wojownik stary, doświadczony i znakomity. Twarze obydwóch pełne były smutku i troski.

— Panie! — rzekł pierwszy Kiaja — Jeśli „barankowie" moi do świtu tak postoją, nie trzeba będzie na nich ni kul, ni mieczów!

— Panie! — rzekł Janisz-basza — Spahia mi wymarznie i jutro bić się nie będzie!

Hussein targał się za brodę, przewidując klęskę i własną zgubę. Co jednak miał robić? Gdyby choć na minutę pozwolił rozluźnić szyk bojowy i ludziom rozpalić ognie, ogrzać się ciepłą strawą, atak nastąpiłby w tej samej chwili. I tak od czasu do czasu od strony wałów odzywały się trąbki, jakby jazda już ruszać miała.

Kiaja i Janisz-basza widzieli tylko jedną radę: oto nie czekać na atak i samym natychmiast uderzyć z całą siłą na nieprzyjaciela. Nic to, że stoi w gotowości, bo jednak sam chcąc atakować, nie spodziewa się ataku. Może się go uda wyprzeć z wałów; w ostatnim razie, w nocnej bitwie klęska jest prawdopodobną, w jutrzejszej dziennej pewną.

Lecz Hussein nie śmiał iść za radą starych wojowników.

— Jak to? — mówił — Porznęliśmy majdan rowami, w nich widząc jedyny przed tą piekielną jazdą ratunek, teraz zaś mamy sami przechodzić rowy, by się na zgubę oczywistą narażać? Wasza to była rada i wasze przestrogi, teraz zaś co innego mówicie!

I rozkazu nie wydał. Kazał tylko z dział ku wałom bić, na co pan Kątski odpowiedział w tej chwili z wielkim skutkiem. Deszcz czynił się coraz bardziej lodowaty i zacinał coraz okrutniej, wiatr szumiał, wył, przejmował ubranie, skórę i mroził krew w żyłach. Tak przeszła ta długa listopadowa noc, w czasie której zwątlały siły wojowników islamu i rozpacz wraz z przeczuciem klęski owładnęła ich sercami.

Na samym świtaniu Janisz-basza raz jeszcze udał się do Husseina z radą, by cofnąć się w bojowym porządku aż do mostu na Dniestrze i tam ostrożnie poczynać grę wojenną. „Bo jeśli (mówił) wojska nie oprą się zapędowi jazdy, wtedy przez most na drugą stronę się schronią i rzeka da im zasłonę". Kiaja, dowódca janczarów, był jednak innego zdania. Sądził on, że już na Janiszową radę za późno, a przy tym obawiał się, iż gdy rozkaz cofania się zostanie ogłoszony, wnet popłoch ogarnie całe wojsko. „Spahia przy pomocy dżamaku powinna wytrzymać na sobie pierwszy impet jazdy niewiernych, choćby też wszystka przy tym wyginąć miała. Przez ten czas janczarowie przybędą jej w pomoc, a gdy pierwszy impet niewiernych zostanie powstrzymany, być może, iż Bóg ześle zwycięstwo".

Tak radził Kiaja i Hussein poszedł za jego radą. Konne tłumy komunika tureckiego wysunęły się naprzód, janczarowie zaś i dżamak stanęli w sprawie za nimi, koło namiotów Husseina. Głębokie ich zastępy wspaniały i groźny przedstawiały widok. Białobrody Kiaja, „lew boży", który aż dotąd do zwycięstw tylko prowadził żołnierzy, przelatywał zwarte ich szeregi, krzepiąc, ducha podnosząc, dawne boje i dawne przewagi wspominając. Im zaś także milszą była bitwa niż owo bezczynne stanie w słocie, dżdżu, w oczekiwaniu i na wichrze przejmującym ciało do kości; więc choć zgrabiałe ich ręce zaledwie utrzymać mogły janczarki i dzidy, cieszyli się jednak, iż się w walce rozgrzeją. Z daleko mniejszym sercem czekała na atak spahia, raz dlatego, że na nią miał przyjść pierwszy zapęd, a po wtóre, że służyło w niej wielu mieszkańców Azji Mniejszej oraz Egipcjan, którzy nadzwyczaj na chłody czuli, zostali półżywi po owej nocy. Konie ucierpiały także niemało i lubo w świetne przyodziane rzędy, stały z pozwieszanymi ku ziemi nozdrzami, z których buchały kłęby pary. Ludzie z twarzami sinymi, o zgasłym spojrzeniu ani myśleli o zwycięstwie. Myśleli tylko, że śmierć lepsza od takiej męki, w jakiej zeszła noc ostatnia, a najlepsza — ucieczka do domowych pieleszy, pod gorące promienie słońca.

W polskich wojskach kilkunastu ludzi niemających dostatecznej odzieży marzło nade dniem przy wałach, w ogólności jednak piechoty i jazda przetrzymywały zimno daleko lepiej od Turków, bo ich krzepiła nadzieja zwycięstwa i wiara ślepa niemal, że skoro hetman postanowił, by kostnieli na słocie, to niechybnie ta męka im na dobro, Turkom na zło i zgubę wyjść musi. Powitali wszelako i oni pierwsze blaski poranku z radością.

O tej samej porze pan Sobieski pojawił się w wałach. Zorzy nie było tego dnia na niebie, ale zorza była w jego twarzy, bo gdy zmiarkował, iż nieprzyjaciel chce mu wydać bitwę w obozie, już był pewien, że dzień ten straszliwą klęskę Mahometowi przyniesie. Więc jeździł od pułku do pułku powtarzając: „Za kościoły pohańbione! Za bluźnierstwa Najświętszej Pannie w Kamieńcu! Za krzywdy chrześcijaństwa i Rzeczypospolitej! Za Kamieniec!” Żołnierze zaś spoglądali groźnie, jakby chcąc mówić: „Ledwie już stoim! Puść, wielki hetmanie, a obaczysz!” Blade i szarawe światło poranku stawało się z każdą chwilą jaśniejsze; z tumanu wychylały się coraz wyraźniej szeregi łbów końskich, postacie ludzkie, kopie, proporce, wreszcie regimenta piechoty. Naprzód też one poczęły poruszać się i płynęły we mgle ku nieprzyjacielowi jakby dwiema rzekami po bokach jazdy; potem ruszyła lekka jazda zostawując tylko środkiem szeroki szlak, którym w chwili stosownej miała skoczyć husaria.

Każdy dowódca regimentu w piechocie, każdy rotmistrz miał już instrukcje i wiedział, co mu czynić należy. Artyleria pana Kątskiego poczęła odzywać się coraz potężniej, wywołując ze strony tureckiej również potężne odpowiedzi. Wtem zagrzmiała muszkietowa palba, okrzyk ogromny rozległ się po całym obozie — atak był rozpoczęty.

Przesłaniało widok mgliste powietrze, ale odgłosy walki dochodziły do miejsca, w którym stała husaria. Słychać było strzały, szczęk broni, krzyki ludzkie. Pan hetman, który aż dotąd przy husarii pozostał i z panem wojewodą ruskim rozmawiał, umilkł nagle i począł nasłuchiwać, po czym rzekł do wojewody:

— Piechoty z dżamakiem się biją, któren w szańczykach, w przedzie, rozrzucon.

Po chwili odgłos strzałów począł stopniowo słabnąć, gdy wtem niespodzianie huknęła jedna ogromna salwa, za nią bardzo prędko druga. Widocznym stało się, że lekkie chorągwie przeparły spahię i znalazły się wobec janczarów.

Hetman wielki, wspiąwszy konia, ruszył jak błyskawica na czele kilkudziesięciu przybocznych ludzi ku bitwie; pan wojewoda ruski został sam z piętnastoma

chorągwiami husarzy, które stojąc w sprawie, czekały tylko na znak, by skoczyć i losy walki rozstrzygnąć.

Czekali jeszcze dość długo, a tymczasem w głębi obozu wrzało i huczało coraz straszliwiej. Bitwa chwilami zdawała się przewalać to w prawo, to w lewo, to ku stronie wojsk litewskich, to ku stronie pana wojewody bełskiego, tak właśnie, jak w czasie burzy przewalają się grzmoty po niebie. Armatni ogień turecki stawał się nieregularny, natomiast artyleria pana Kątskiego biła ze zdwojoną siłą. Po upływie godziny zdało się panu wojewodzie ruskiemu, iż ciężar bitwy przeniósł się znów do środka, właśnie na wprost jego husarii.

W tej samej chwili przybiegł na czele swoich ludzi pan hetman wielki. Z ócz strzelał mu płomień. Osadził konia przy wojewodzie ruskim i krzyknął:

— W nich teraz z pomocą bożą!

— W nich! — zawrzasnął wojewoda ruski.

A za nim powtórzyli komendę rotmistrze. Ze straszliwym szumem pochylił się od jednego zamachu las włóczni ku łbom końskim i piętnaście chorągwi tej jazdy, która nawykła łamać wszystko po drodze, ruszyło na kształt olbrzymiej chmury naprzód.

Od czasu gdy w trzydniowej bitwie pod Warszawą husaria litewska pod wodzą Połubińskiego rozszczepiła jakby klinem całą armię szwedzką i przeszła na wylot, nie pamiętano ataku prowadzonego z taką potęgą. Rysią z miejsca ruszyły chorągwie, lecz na przestrzeni dwustu kroków rotmistrze zakomenderowali: „W skok!” — ludzie zaś, obezwawszy się okrzykiem: „bij, zabij!” — pochylili się w kulbakach i konie wzięły impet największy. Wówczas ta ława gnających wichrem rumaków, żelaznych mężów, pochylonych kopii miała w sobie coś z siły rozhukanego żywiołu. I szła jak burza lub jak rozhukana fala, z łoskotem, z szumem. Ziemia jęczała pod jej ciężarem i było widocznym, że choćby nikt z nich kopią się nie złożył, choćby nikt szabli nie wydobył, samym swym rozpędem i wagą położą, zgniotą i stratują wszystko przed sobą, tak jak trąba powietrzna łamie i kładzie bór. Tak dobiegli aż do krwawego, usłanego trupami pola, na którym wrzała bitwa. Lekkie chorągwie łamały się jeszcze na skrzydłach z jazdą turecką, którą już zdołały znacznie w tył odepchnąć; lecz w środku stały jeszcze na kształt niepożytego muru głębokie szeregi janczarów. Kilkakroć już rozbiły się o nie pojedyncze lekkie chorągwie, jak fala przychodząca z roztoczy rozbija się o brzeg skalisty. Ich złamać, ich położyć było teraz zadaniem husarii.

Kilkanaście tysięcy janczarek gruchnęło naraz, „jakoby jeden człek strzelił”. Chwila jeszcze: janczary ustawiają się silniej na nogach; niektórzy mrużą oczy na widok

straszliwej nawały, niektórym drżą ręce trzymające dzidy, serca wszystkie walą jak młotem, zaciskają się zęby, piersi dyszą gwałtownie. Tamci już, już dobiegają, już słychać grzmiący oddech koni — zniszczenie leci, zguba leci, śmierć leci!

„Allach!... Jezus Maria!" — dwa te okrzyki tak okropne, jakby nie z ludzkich piersi wyszłe, mieszają się ze sobą. Żywy mur kolebie się, ugina, pęka; suchy trzask łamanych kopii głuszy na chwilę wszystkie inne odgłosy, po nim rozlega się zgrzyt żelaza, dźwięk jakby tysiąca młotów z całą siłą w kowadła bijących, uderzenia jakby tysiąca cepów w klepisko, pojedyncze i gromadne krzyki, jęki, oderwane strzały rusznic i pistoletów, wycie przerażenia. Napastnicy i napastowani, zmieszani ze sobą, kłębią się w niepojętym zwichrzeniu; następuje rzeź, spod wiru krew wypływa ciepła, dymiąca, napełniając surową wonią powietrze.

Pierwsze, drugie, trzecie i dziesiąte szeregi janczarów leżą mostem obalone, stratowane kopytami, pobodzone włóczniami, pocięte mieczem. Lecz białobrody Kiaja, „lew boży", rzuca wszystkie następne w war bitwy. Nic to, że kładą się pokotem jak łan pod burzą — walczą. Wściekłość ich ogarnia, śmiercią dyszą i śmierci pragną. Ława końskich piersi prze ich, przechyla, obala, więc bodą nożami brzuchy końskie; tysiące szabel tnie ich bez wytchnienia; ostrza wznoszą się jak błyskawice i spadają na głowy, karki, ręce — i oni tną jezdnych po nogach, po kolanach, wiją się i kąsają na kształt jadowitego robactwa — giną i mszczą się.

Kiaja, „lew boży", coraz nowe szeregi rzuca w paszczę śmierci; krzykiem zachęca do boju i sam ze wzniesioną krzywą szablą rzuca się w odmęt. Wtem olbrzymi husarz, niszcząc wszystko przed sobą jak burza, dopada do białobrodego starca, staje w strzemionach, by ciąć tym okropniej, i ze strasznym zamachem spuszcza ostrze koncerza na sędziwą głowę. Nie wytrzymała cięcia ni szabla, ni kuta w Damaszku misiurka — i Kiaja, rozcięty niemal do ramion, pada, jakby strącony gromem, na ziemię.

Pan Nowowiejski, on to był bowiem, straszne już szerzył poprzednio zniszczenie, bo nikt się jego sile i ponurej wściekłości oprzeć nie mógł, lecz teraz największą oddał w bitwie przysługę zwaliwszy starca, który sam jeden podtrzymywał dotychczas walkę zaciętą. Krzyknęli strasznym głosem na widok śmierci wodza janczarowie i kilkunastu z nich wymierzyło janczarki w pierś młodego rycerza, on zaś zwrócił się ku nim — do nocy posępnej podobny. I zanim inni rycerze zdołali na nich uderzyć, huknęły strzały, po których pan Nowowiejski zdarł konia i przechylił się na kulbace. Dwóch towarzyszów pochwyciło go w ramiona, lecz owemu uśmiech, gość dawno niebywały,

rozjaśnił twarz ponurą i zaraz źrenice przekręciły mu się w tył głowy, a zbielałe usta poczęły szeptać jakieś słowa, których w zgiełku bitwy nie można było dosłyszeć. Tymczasem zachwiały się ostatnie szeregi janczarskie.

Waleczny Janisz-basza chciał jeszcze bitwę odnowić, lecz już szał strachu ogarnął ludzi, już nie pomogły wysilenia; zmieszały i zwichrzyły się szeregi, a parte, bite, tratowane, cięte, nie mogły przyjść do sprawy. Wreszcie pękły, jak pęka zbyt naprężony łańcuch i ludzie, jak pojedyncze ogniwa, rozlecieli się na wszystkie strony, wyjąc, krzycząc, rzucając broń i osłaniając głowy rękoma. Jazda biegła za nimi, a oni nie znajdując dość przestrzeni do luźnej ucieczki stłaczali się chwilami w jedną zbitą masę, na której karkach jechali jeźdźcy pławiąc się we krwi. Walecznego Janisza-baszę groźny łucznik pan Muszalski ciął szablą po karku, aż szpik pacierzowy wytrysnął owemu z przeciętych kręgów i poplamił jedwabie oraz srebrną łuskę karaceny.

Janczarowie, pobity przez piechotę polską dżamak i część rozproszonej już z samego początku bitwy jazdy, słowem: cała tłuszcza turecka uciekała teraz w przeciwną stronę obozu, gdzie nad głęboką przepaścią sterczał stromy, na kilkadziesiąt stóp wysoki wiszar. „Tam strach pędził szalonych". Wielu rzucało się w przepaść „nie dlatego, by ujść śmierci, lecz by nie polec od ręki Polaków". Tej rozpaczliwej rzeszy zabiegł drogę pan Bidziński, strażnik koronny, lecz nawałnica ludzka porwała go wraz z ludźmi i strąciła na dno przepaści, która po krótkim czasie wypełniła się prawie po brzegi stosami zabitych, rannych i zduszonych.

Z dna podnosiły się jęki okropne, ciała drgały w konwulsjach, kopiąc się wzajem nogami lub drąc pazurami w skurczach konania. Do wieczora brzmiały te jęki i do wieczora poruszała się masa ciał, lecz coraz wolniej, coraz nieznaczniej, aż o pierwszym zmroku ucichła.

Straszne były skutki uderzenia husarii. Ośm tysięcy janczarów pociętych mieczami leżało przy rowie otaczającym namioty Husseina-baszy nie licząc tych, którzy zginęli w ucieczce lub na dnie przepaści. Jazda polska była w namiotach, pan Sobieski tryumfował. Trąby i krzywuły głosiły już chrapliwymi dźwiękami zwycięstwo, gdy wtem najniespodzianiej bitwa zawrzała na nowo.

Oto wielki hetman turecki Hussein-basza na czele swych konnych gwardii i reszty wszystkiej jazdy pierzchnął po złamaniu janczarów przez bramę do Jass wiodącą, lecz gdy tam pochwyciły go chorągwie Dymitra Wiśniowieckiego, hetmana polnego, i poczęły siec bez litości, wrócił nazad do obozu, by szukać innego wyjścia, zupełnie jak zwierz, otoczony w kniei, szuka, którym by się mógł wymknąć przesmykiem. Wrócił zaś

z takim impetem, że rozbił w mgnieniu oka lekką chorągiew semeńską, zamieszał piechotę po części już rabunkiem obozu zajętą — i dotarł „na pół strzelenia z pistoletu” do samego pana hetmana.

„Już w samym obozie byliśmy bliscy przegranej — pisał później pan Sobieski — co, że się nie stało, przypisać to należy ekstraordynaryjnej rezolucji husarzy”. Rzeczywiście natarcie Turków było straszne, bo dokonane pod wpływem najwyższej rozpaczy — i tym straszniejsze, że zupełnie niespodziewane. Lecz husaria, nie ostygłszy jeszcze z bojowego żaru, ruszyła ku nim z miejsca w największym pędzie. Pierwsza uderzyła chorągiew Prusinowskiego, i ta osadziła atakujących; za nią runął ze swoimi Skrzetuski, po czym w całym wojsku jazda, piechota, ciury obozowe, jak kto stał, gdzie kto był, wszyscy rzucili się z największą zaciekłością na nieprzyjaciela i wywiązała się bitwa nieco bezładna, lecz furią nie ustępująca atakowi husarzy na janczarów.

Z podziwieniem wspominali po ukończonej walce rycerze męstwo Turków, którzy gdy Wiśniowiecki i hetmani litewscy nadbiegli, otoczeni ze wszystkich stron, bronili się tak zapamiętale, iż lubo hetman pozwolił już żywcem brać, zdołano zaledwie garść jeńców pochwycić. Gdy ciężkie chorągwie rozbiły ich na koniec po półgodzinnej walce, pojedyncze kupy, a następnie pojedynczy jeźdźcy wzywając Allacha walczyli jeszcze do ostatniego tchu. Tamże dokonano wielu czynów świetnych, których pamięć między ludźmi nie zaginęła. Tam hetman polny litewski własną ręką ściął potężnego baszę; ów przedtem pochwycił pana Rudominę, pana Kimbara i pana Rdułtowskiego, lecz hetman, zajechawszy mu od oczu, jednym zamachem odciął mu głowę. Tamże pan Sobieski spahisa, któren z pistoletu do niego strzelił, w oczach całego wojska ściąć raczył; tam pan Bidziński, strażnik koronny, wydobywszy się cudem z przepaści, lubo potłuczon i ranny, natychmiast w wir walki się rzucił i walczył, póki z wyczerpania nie zemdlał. Długo on potem chorował, lecz po kilku miesiącach odzyskawszy zdrowie, dalej na wojnę z wielką swą chwałą chadzał.

Z pomniejszych zaś szalał najbardziej pan Ruszczyc porywając tak jeźdźców, jak wilk porywa wełniste barany stadem chodzące. Siła dokazał także pan Skrzetuski, koło którego synowie na kształt lwiąt rozżartych walczyli. Ze smutkiem i żałością rozmyślali potem ci rycerze, czego by w takim dniu nie dokazał szermierz nad szermierze, pan Wołodyjowski, gdyby nie to że od roku już w Bogu, w sławie i w ziemi spoczywał. Inni wszakże, którzy w jego szkole uczyli się walczyć, zebrali dość chwały dla niego i dla siebie na owym krwawym polu.

W tej wznowionej bitwie z dawnych chreptiowskich rycerzy, prócz pana Nowowiejskiego, dwóch poległo: pan Motowidło i groźny łucznik, pan Muszalski. Panu Motowidle kilka naraz kul pierś przeszyło, a on zwalił się jak dąb, który kresu dobiegł. Naoczni świadkowie mówili, iż poległ z rąk tych braci Kozaków, którzy pod wodzą Hohola przy Husseinie do ostatka przeciw matce i chrześcijaństwu walczyli. Pan Muszalski zaś — rzecz dziwna! — od strzały zginął, którą jakowyś Turczyn w ucieczce nań wypuścił. Gardło mu ona na wskroś przebiła w chwili właśnie, gdy po zupełnym już pogromie pogan sięgał ręką do sahajdaka chcąc jeszcze kilku niechybnych gońców śmierci za pierzchającymi wypuścić. Jego się dusza musiała z duszą Dydiuka połączyć, aby zawartą na galerze tureckiej przyjaźń węzłami wieczności utrwalić. Dawni kompanowie chreptiowscy odnaleźli po bitwie trzy ciała i rzewnymi je żegnali łzami, chociaż zazdrościli im tak sławnej śmierci. Pan Nowowiejski miał uśmiech na ustach i cichą pogodę w twarzy; pan Motowidło zdawał się spać spokojnie, a pan Muszalski oczy miał wzniesione w górę, jakby się modlił. Pochowano ich razem na tym sławnym chocimskim polu, pod skałą, na której na wieczną rzeczy pamięć kazano wyryć trzy ich nazwiska pod krzyżem.

Wódz całej armii tureckiej, Hussem-basza, ocalił się na szybkim natolskim koniu ucieczką, lecz po to tylko, by w Stambule sznurek jedwabny z rąk sułtana otrzymać. Ze świetnej armii tureckiej małe tylko watahy zdołały wynieść zdrowe głowy z pogromu. Ostatnie zastępy Husseinowej jazdy wojska Rzeczypospolitej podawały sobie w ręce w ten sposób, że hetman polny naganiał je wielkiemu, ten hetmanom litewskim, tamci znów polnemu, i tak szło koleją, póki nie wyginęli prawie wszyscy. Z janczarów nie ocalił się niemal nikt. Cały ogromny obóz spłynął krwią pomieszaną z deszczem i śniegiem, trupa zaś tyle leżało, że tylko mrozy, krucy i wilcy zapobiegli zarazie, jaka z ciał gnijących wstawać zwykła. Polskie wojska wpadły w tak wielki zapał bojowy, że jeszcze nie odsapnąwszy dobrze po bitwie, Chocim zdobyły. W samym obozie łupy wzięto niezmierne. Sto dwadzieścia dział, a z nimi trzysta chorągwi i znaków przesłał hetman wielki z owego pola, na którym po raz już drugi w ciągu wieku szabla polska święciła tryumf znamienity.

Sam pan Sobieski stanął w kapiącym od złota i bisiorów namiocie Husseina-baszy i z niego wieści o szczęśliwym zwycięstwie na wszystkie strony przez lotnych gońców rozsyłał. Za czym zebrały się jazda i piechota, wszystkie chorągwie polskie, litewskie i kozackie, całe wojsko stanęło w bojowej sprawie. Odprawiano dziękczynne

nabożeństwo — i na tym samym majdanie, na którym jeszcze dnia wczorajszego muezinowie wykrzykiwali: „Lacha il Allach!” — brzmiała pieśń: Te Deum laudamus.

Hetman słuchał mszy i pieśni krzyżem leżąc, a gdy powstał, łzy radości ciekły mu po dostojnym obliczu. Na ów widok zastępy rycerstwa, nie otarte jeszcze z krwi, drżące jeszcze z wysilenia po bitwie, wydały po trzykroć gromki okrzyk:

— Vivat Joannes victor!!!

A w dziesięć lat później, gdy majestat króla Jana III obalił w proch potęgę turecką pod Wiedniem, okrzyk ów powtarzano od mórz do mórz, od gór do gór, wszędy po świecie, gdzie tylko dzwony wołały wiernych na modlitwę…

Na tym kończy się ten szereg książek pisanych w ciągu kilku lat i w niemałym trudzie — dla pokrzepienia serc.

Przeczytaj także:

Pan Wołodyjowski – Streszczenie szczegółowe

Pan Wołodyjowski – Streszczenie krótkie

Pan Wołodyjowski – Plan wydarzeń

Pan Wołodyjowski – Charakterystyka bohaterów

Pan Wołodyjowski – Czas i miejsce akcji

Pan Wołodyjowski – Geneza utworu i gatunek

Pan Wołodyjowski – Problematyka

Pan Wołodyjowski – Biografia autora

Utwór znajduje się w domenie publicznej. Masz prawo do jego wykorzystywania, publikowania i rozpowszechniania.
Tekst opracowany na podstawie: Henryk Sienkiewicz, Pan Wołodyjowski, red. Julian Krzyżanowski, oprac. Maria Skalska, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1974